



# OFIARA

JOHN  
KATZENBACH

  
AMBER

Profesor Scott Freeman znajduje w pokoju córki anonimowy list miłosny.  
„Jesteśmy sobie przeznaczeni i nic nie może nam przeszkodzić”.  
Te słowa budzą najgorsze przeczucie zawsze racjonalnie myślącego naukowca.  
Ashley, studentka bostońskiego uniwersytetu, początkowo bagatelizuje obawy ojca.  
Do czasu... Obsesyjnie zauroczony nią mężczyzna zmienia jej życie w koszmar.  
Nie daje jej spokoju, śledzi każdy krok, osacza.  
Żeby ratować córkę, profesor musi stanąć do walki z psychopatą.  
Żeby wygrać, musi obudzić w sobie zło  
i być bardziej bezwzględny niż jego przeciwnik.

**John Katzenbach**, były reporter kryminalny, zdobył rozgłos jako pisarz powieścią *W słusznej sprawie*, nominowaną do Edgar Award i sfilmowaną z Seanem Connerym. Kolejne, m.in. *Wojna Harto* zekranizowana z Bruce'em Willlsem, *Analityk*, *Opowieść szaleńca*, stały się bestsellerami i przyniosły Katzenbachowi sławę mistrza thrillera psychologicznego.



Cena det. zł 34,80

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)



# OFIARA

JOHN

KATZENBACH

Przekład  
KRZYSZTOF BEREZA



Redakcja

Anna Nastulanka

Redakcja techniczna

Andrzej Witkowski

Korekta

Jolanta Kucharska

Renata Kuk

Ilustracja na okładce

Wydawnictwo Amber

Opracowanie graficzne okładki

Wydawnictwo Amber

Skład Wydawnictwo

Amber

Druk

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału

The Wrong Man

Copyright © 2006 by John Katzenbach.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-2830-3

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13,620 8162

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

*Najbardziej podejrzanym:  
żonie, dzieciom i psu*

- Chciałby pan usłyszeć pewną opowieść? Bardzo niezwykłą opowieść.

- Oczywiście.

- Dobrze. Ale najpierw musi pan coś obiecać. Nigdy pan nie zdradzi, gdzie ją pan usłyszał. A jeśli ją pan sam kiedykolwiek opowie, w jakichkolwiek okolicznościach, w jakimkolwiek miejscu i w jakiejkolwiek postaci, zatai pan tyle, żeby nie można było dotrzeć ani do mnie, ani do ludzi, o których panu opowiem. Nikt nigdy się nie dowie, czy jest prawdziwa, czy nie. Nikt nigdy nie będzie w stanie odnaleźć jej prawdziwego źródła. I wszyscy uznają, że jest tym samym, czym są wszystkie pana opowieści: fikcją.

- Brzmi to aż zbyt dramatycznie. Co to za opowieść?

- Opowieść o zabijaniu. Wydarzyło się to kilka lat temu. Ale być może w ogóle się nie wydarzyło. Chce pan ją usłyszeć?

- Tak.

- Więc proszę dać mi słowo.

- W porządku. Ma pani moje słowo.

Na jej twarzy dostrzegłem dziwny niepokój, w oczach coś poważniejszego niż zakłopotanie. W głosie zabrzmiał ton świadczący o skrywanej obawie. Pochyliła się do przodu i wzięła głęboki oddech.

- Można chyba powiedzieć, że wszystko zaczęło się w chwili, kiedy znalazł list miłosny.

## 1. Profesor historii i dwie kobiety

Kiedy Scott Freeman po raz pierwszy przeczytał list, który znalazł w górnej szufladzie komody swojej córki, mniej więcej dwa tygodnie po jej ostatniej wizycie, zmięty i wciśnięty za jakies stare sportowe skarpety, natychmiast przysła mu do głowy myśl, że ktoś zginie.

Nie było to doznanie, które potrafiłby od razu dokładnie określić, ale ovladnęło nim tak, jak przecucie zbliżającego się nieuchronnie zagrożenia. Poczul w środku nagły chłód. Stał jak wryty i wciąż od nowa przebiegał wzrokiem, jedno po drugim, słowa widniejące na kartce:

*Nikt nigdy nie kochał Cię tak jak ja. Nikt nigdy nie będzie Cię tak kochał. Jesteśmy sobie przeznaczeni i nic nie może nam przeszkodzić. Nic. Będziemy razem na zawsze. Tak czy inaczej.*

List nie był podpisany.

Wydrukowano go na zwykłym papierze i napisano kursywą, co sprawiało wrażenie niedzisiejszej delikatności. Scott nie znalazł koperty, nie miał więc adresu nadawcy, nie mógł też sprawdzić stempla pocztowego. Położył list na komodzie i próbował rozprostować załamania nadające kawałkowi papieru taki wygląd, jakby rozstano się z nim w gniewie i pośpiechu. Raz jeszcze przebiegł wzrokiem tekst, usiłując przekonać samego siebie, że są to niewinne słowa. Że to tylko szczeniackie wyznania miłości, dowód chwilowego zauroczenia jakiegoś kolegi Ashley ze studiów i że ukryła go, nie mając po temu żadnego poważniejszego powodu, może po prostu wstydząc się takiej irytującej, romantycznej głupoty. Jesteś naprawdę przewrażliwiony, powiedział do siebie.

Jednak żadne z tych wyjaśnień nie pomagało i lodowaty chłód usadowiony gdzieś w głębi nie ustępował.

Scott Freeman niełatwo wpadał w gniew, nie podejmował też nigdy nieprzemyślanych decyzji. Lubił rozpatrywać każdą sytuację ze wszystkich

stron, przyglądał się różnym aspektom swojego życia jak zeszlifowanym krawędziom brylantu pod mikroskopem. Był naukowcem zarówno z wyboru, jak i z natury; nosił długie włosy przypominające mu młodość w latach sześćdziesiątych, lubił chodzić w dżinsach, adidasach i w wytartych sztruksowych marynarkach ze skórzanymi łatami na łokciach. Używał jednych okularów do czytania, drugich do jazdy samochodem i zawsze pamiętał, by mieć obie pary przy sobie. Utrzymywał formę dzięki codziennym ćwiczeniom, często biegał, jeśli pogoda na to pozwalała, a w długie, nowoangielskie zimy korzystał z domowej automatycznej bieżni. Robił to po części dlatego, by zrekompensować sobie wysoki, które mu się czasem zdarzały: potrafił ostro pić do lustra, uzupełniając whisky z lodem skrętem z marihuany.

Scott był dumny ze swoich talentów dydaktycznych, dzięki nim mógł codziennie, rozglądając się po pełnym audytorium, stwierdzać od nowa, że jego wykłady budzą żywe zainteresowanie studentów. Kochał swoją dziedzinę nauki i wyczekiwał każdego września z radością zabarwioną tylko niewielką dawką cynizmu, którym prześlknęło wielu jego kolegów z uczelni. Uważał, że prowadzi ustabilizowane życie i obawiając się, czy nie wyczerpała się zbytnio jego zdolność odczuwania silnych emocji, pozwolił sobie na coś szalonego - kupił dziesięcioletnie porsche 911, którym jeździł codziennie, jeśli tylko nie padał śnieg, z rykiem rock and rolla płynącym z głośników. Do jazdy zimą trzymał zdezelowanego starego pikapa. Miewał przelotne romanse, ale tylko z kobietami w swoim wieku, które były realistkami w swoich oczekiwaniach. Prawdziwie silne uczucia zachowywał dla Red Soksów, Patriotsów, Celticsów, Bruinsów i wszystkich sportowych drużyn własnej uczelni.

Miał siebie za człowieka trzymającego się pewnych schematów postępowania i czasami myślał, że przydarzyły mu się w życiu tylko trzy prawdziwe przygody.

Gdy pewnego razu z grupą przyjaciół pojechał na spływ kajakowy wzdłuż skalistego wybrzeża Maine, niespodziewana mgła i silny prąd sprawiły, że odłączył się od pozostałych. Przez wiele godzin dryfował w jakiejś szarej zupie w niemal zupełnej ciszy, przerywanej tylko pluskiem wody uderzającej o plastikowe burty kajaka i niekiedy przypominającymi cmokanie odgłosami wynurzających się fok albo morświnów. Otoczyły go zewsząd chłód i wilgoć, podpełzały coraz bliżej i osłabiały jego zdolność widzenia. Wiedział, że znalazł się w niebezpieczeństwie, i to być może znacznie większym, niż wydawało mu się na początku, ale zachował spokój i doczekał chwili, gdy z otulających go oparów wyłoniła się łódź straży przybrzeżnej. Kapitan powiedział mu potem, że od silnego prądu, który najprawdopodobniej zniósłby go na otwarte morze,



dzieliło go zaledwie kilka metrów, a wtedy Scott poczuł strach o wiele silniejszy od tego, jakiego doznał, gdy rzeczywiście groziło mu niebezpieczeństwo.

To była jedna przygoda. Dwie inne trwały dłużej.

Kiedy miał osiemnaście lat, na pierwszym roku studiów w 1968 roku, nie skorzystał z przysługującego studentom odroczenia poboru do wojska. Uważał, że jeśli inni narażają się na niebezpieczeństwo, on też nie powinien go unikać, gdyż jest to nie do przyjęcia z moralnego punktu widzenia. Ta decyzja wydawała mu się szlachetna, gdy ją podejmował, ale jego romantyczny zapał mocno osłabł, kiedy otrzymał list z komisji poborowej. Niezwłocznie powołano go do wojska, przeszkolono i wysłano do jednostki wsparcia bojowego w Wietnamie. Przez sześć miesięcy służył w artylerii. Jego zadanie polegało na przekazywaniu dowódcy baterii współrzędnych otrzymanych drogą radiową, ten oszacowywał wskaźniki, a potem wydawał komendę: „Ognia!” Pociski wylatywały z łuf dział z hukiem, który Scottowi zawsze wydawał się dźwiękiem niższym i potężniejszym od łoskotu pioruna. Dręczyły go później koszmary - uczestniczył w zabijaniu ludzi, których nie widział, nawet nie mógł usłyszeć, którzy byli poza jego zasięgiem. Kiedy budził się w środku nocy, zastanawiał się, czy zabił ich dziesiątki, setki czy może nikogo. Po roku wrócił do domu, ani razu nie wystrzeliwszy do kogoś widzianego na własne oczy.

Po wyjściu z wojska odciął się od politycznych dyskusji i sporów, jakie rozgorzały w całym kraju, i poświęcił się studiom z determinacją, która zaskoczyła nawet jego samego. Zobaczył wojnę, a przynajmniej jakąś jej część, historia przynosiła więc pociechę i uspokojenie decyzjami podjętymi dawno temu, namiętnościami, których echo pobrzmiwało jedynie w przeszłości. Nie lubił rozmawiać o swojej służbie w wojsku, a teraz, jako mężczyzna w średnim wieku z budzącym szacunek stopniem naukowym, wątpił, by któryś z jego kolegów w ogóle wiedział o tym, że Scott Freeman brał udział w wojnie. Prawdę mówiąc, jemu samemu wydawało się to czasem snem, może koszmarem, i w końcu prawie uwierzył, że tego roku chaosu i śmierci tak naprawdę nigdy nie było.

Trzecią przygodą była Ashley.

Scott wziął do ręki list i usiadł na brzegu łóżka córki. Leżały na nim trzy poduszki, jedną z nich, tę z wyhaftowanym sercem, podarował jej na walentynki ponad dziesięć lat temu. Były tu także dwa pluszowe misie - Alfons i Gaston - i postrzępiona kołderka, którą Ashley dostała zaraz po urodzeniu. Scott spojrzął na nią i przypomniał sobie, że wyszło to wtedy trochę śmiesznie - obie przyszłe babcie podarowały nienarodzonej jeszcze wnuczce kołderki. Ta druga leżała na podobnym łóżku w podobnym pokoju w domu jej matki.

Powiódł wzrokiem po pokoju. Popatrzył na zdjęcia Ashley i jej przyjaciół na ścianie; na bibeloty; notatki zapisane zamasztyłym piśmem nastolatki. Były tu plakaty z wizerunkami sportowców i poetów, oprawiony w ramki wiersz Williama Butlera Yeatsa kończący się słowami: „Całuję twe drobne usteczka, lecz wzdycham przy tym żałośnie, zabraknie mi ciebie, maleńka, kiedy mi wreszcie dorośniesz”\*, \* W.B. Yeats *Kołysanka*, przeł. Tomasz Wyżyński. który dał jej na piąte urodziny; często szeptał córce te słowa, kiedy zasypiała. Były zdjęcia jej kolejnych drużyn piłki nożnej i softballu i oprawiona w ramki fotografia z balu maturalnego, zrobiona w tym wyjątkowym momencie nastoletniej doskonałości, kiedy sukienka przylegała szczelnie do nowych krągłych kształtów Ashley, włosy opadały idealnie na nagie ramiona, a skóra lśniła. Scott Freeman uświadomił sobie, że patrzy na kolekcję wspomnień, klasyczną dokumentację dzieciństwa, wewnątrz prawdopodobnie nieróżniące się niczym od pokoju innej młodej osoby, ale na swój sposób wyjątkowe. Na archeologię dorastania.

Było tam także jedno zdjęcie całej ich trójki zrobione, kiedy Ashley miała sześć lat, może na miesiąc przed tym, jak jej matka od niego odeszła. Spędzali razem wakacje nad morzem. Scott pomyślał, że uśmiechy utrwalone na fotografii mają w sobie jakąś bezradność, z trudem maskują napięcie, które zdominowało ich życie. Ashley budowała tego dnia z matką zamek z piasku. Przyplływ i fale niweczyły ich wysiłki; splekiwały każdą budowlę. Na nic się zdało gorączkowe kopanie fos i usypywanie wałów z piasku.

Omiótł wzrokiem ściany, biurko i komodę; nie znalazł niczego, co wyglądałoby choćby trochę nie tak, jak powinno. To zmartwiło go jeszcze bardziej.

Spojrzał na list. *Nikt nigdy nie kochał Cię tak jak ja.*

Pokręcił głową. Nieprawda, pomyślał. Wszyscy kochali Ashley.

Przeraziła go myśl, że ktoś mógł naprawdę wierzyć w słowa tego listu. Przez chwilę próbował jeszcze przekonać samego siebie, że jest niemądry i nadopiekuńczy. Ashley nie była już nastolatką, nie była już nawet studentką college'u. Lada dzień zamierzała rozpocząć podyplomowe studia historii sztuki w Bostonie i miała własne życie.

Niepodpisany list. To oznaczało, że znała tego, kto go przysłał. Anonimowość była podpisem równie wyraźnym, jak imię i nazwisko.

Obok łóżka Ashley stał różowy telefon. Scott podniósł słuchawkę i wybrał numer jej komórki.

Odebrała po drugim sygnale.

- Cześć, tato! Co u ciebie?

Jej głos był pełen młodzieńczego entuzjazmu i ufności. Scott powoli wypuścił powietrze, natychmiast odzyskując spokój.

- A co słyhać u ciebie? - zapytał. - Chciałem tylko usłyszeć twój głos.

W jej milczeniu wyczuł wahanie. Nie spodobało mu się to.

- Niewiele. Na uczelni wszystko dobrze. Praca jak praca. Ale ty to wszystko wiesz. Nic się chyba nie zmieniło od mojego ostatniego pobytu w domu w zeszłym tygodniu.

Wziął głęboki oddech.

- Prawie cię nie widywałem. I nie mieliśmy za wiele okazji, żeby po gadać. Chciałem tylko się upewnić, że wszystko w porządku. Nie masz żadnych kłopotów z nowym szefem ani z którymś z profesorów? Dostałaś jakąś odpowiedź w sprawie programu, do którego się zgłosiłaś?

Znowu jakby się zawahała.

- Nie. Nie mam żadnych kłopotów, naprawdę.

Odkasznęła.

- A chłopcy? Przepraszam, raczej mężczyźni. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Nie odpowiedziała od razu.

- Ashley?

- Nie - rzuciła szybko. - Naprawdę nie. Nic szczególnego. Nic, z czym nie poradziłabym sobie sama.

Zaczekał, ale nic więcej nie dodała.

- Chcesz mi o czymś powiedzieć? - spytał.

- Nie. Raczej nie. Co to za przesłuchanie, tato?

Pytanie zadała pogodnym tonem, który zdawał się całkowicie zaprzeczać złym przeczuciom Scotta.

- Próbuję tylko być na bieżąco - odparł. - Twoje życie toczy się tak szybko. Czasami muszę cię trochę doganiać.

Zaśmiała się, ale jakby nieszczerze.

- Ej, tato, ta twoja stara bryka jest chyba wystarczająco szybka?

- Jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać? - powtórzył i skrzywił się, bo wiedział, że Ashley to wyczuje.

- Nie. - Po raz drugi odparła pospiesznie: - Dlaczego pytasz? A u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, tak, u mnie w porządku.

- A co z mamą? I z Hope? Wszystko dobrze, prawda?

Scott wstrzymał oddech. Swoboda, z jaką Ashley wymieniała imię partnerki swojej matki, zawsze go zaskakiwała, chociaż wiedział, że po tylu latach nie powinien już się dziwić.

- Chyba u obu wszystko w porządku.  
- Skąd więc ten telefon? Coś się stało? Spojrzał na leżący przed nim list.

- Nie, zupełnie nic. Dzwonię tak tylko, bez powodu. Zresztą tacy już są ojcowie: zawsze coś nas gryzie. Martwimy się. Umiemy sobie wyobrazić tylko najczarniejsze scenariusze. Zagładę, rozpacz i trudności na każdym kroku. Dlatego właśnie wszyscy jesteśmy tacy śmiertelnie nudni.

Usłyszał, że Ashley się śmieje, i poczuł się trochę lepiej.

- Słuchaj, muszę już iść do muzeum. Zdzwonimy się później, co?

- Jasne. Kocham cię.

- Ja ciebie też, tato. Pa.

Odkładając słuchawkę, pomyślał, że czasem ważniejsze od tego, co się słyszy, jest to, czego się nie słyszy. I uświadomił sobie, że w tym przypadku byłyby to same kłopoty.

Hope Frazier uważnie obserwowała środkową pomocniczkę przeciwnika. Dziewczyna miała tendencję do wybiegania za daleko, poza swoją połowę boiska, w ten sposób pozostawiała bez krycia koleżankę grającą w obronie. Zawodniczka drużyny Hope trzymała się blisko przeciwniczki i nie dostrzegła jeszcze, że mogłaby wykorzystać jej ryzykowne zachowanie do wyprowadzenia kontrataku. Hope zrobiła kilkanaście kroków wzdłuż linii bocznej; przyszło jej do głowy, że należałoby może zmienić dziewczynę, ale się rozmyśliła. Wyjęła z tylnej kieszeni spodni mały notes, z kurtki ogryzek ołówka i szybko coś zanotowała. Trzeba będzie o tym wspomnieć na treningu, pomyślała. Usłyszała za sobą pomruk dziewczyn na ławce rezerwowych; przyzwyczyły się już do widoku wyciąganego notesu. Czasami oznaczało to pochwałę, czasami dodatkowe okrążenia boiska na następnym treningu. Hope odwróciła się w ich stronę.

- Czy któraś z was widzi to co ja?

Wahały się przez chwilę. Licealistki, pomyślała Hope. Moment - i sama brawura, w następnym momencie - kompletne onieśmienie. Jedna z dziewczyn podniosła rękę.

- Co takiego widzisz, Molly?

Molly wstała i wskazała środkową pomocniczkę przeciwnej drużyny.

- Sprawia nam kłopoty na prawym skrzydle, ale możemy wykorzystać jej lekkomyślność...

Hope klasnęła w dłonie.

- No właśnie! - powiedziała. Zobaczyła, że pozostałe dziewczyny się uśmiechnęły. Jutro nie będzie dodatkowych kółek. - Dobrze, Molly,

rozgrzej się i wejdiesz. Zastąpisz Sarę na środku, opanuj piłkę i zacznij tam coś robić.

Podeszła do ławki i usiadła na miejscu Molly.

- Obserwujcie boisko, moje panie - powiedziała cicho. - Powinnyście patrzeć na nie jako na całość. W grze nie zawsze najważniejsza jest piłka przy nodze, liczy się przestrzeń, czas, cierpliwość i pasja. Jak w szachach. Słabość trzeba przekształcać w siłę.

Usłyszała głośne krzyki i podniosła wzrok. Przy linii bocznej po drugiej stronie boiska doszło do zderzenia; ludzie gestami sugerowali sędziemu, żeby wyjął żółtą kartkę. Zauważyła, że jakiś szczególnie wzburzony ojciec biegł tam i z powrotem wzdłuż linii autowej, wymachując wściekle rękami. Hope wstała i przeszła kilka kroków w kierunku tej samej linii, próbując zobaczyć, co się stało.

- Pani trener...

Obejrzała się i zobaczyła, że macha do niej sędzia liniowy.

- Chyba będzie tam pani potrzebna...

Trener drużyny przeciwnej już biegł przez boisko, więc Hope wyjęła z torby butelkę gatorade oraz podręczną apteczkę i też ruszyła szybko w tamtą stronę. Na chwilę zboczyła w stronę Molly.

- Molly... nie widziałam, co się stało?

- Zderzyły się głowami, pani trener. Vicki przez moment nie mogła oddychać, ale z tamtą drugą jest zdaje się gorzej.

Kiedy obie dobiegły na miejsce, Vicki już siedziała, ale zawodniczka przeciwnej drużyny leżała na ziemi. Hope słyszała jej stłumiony szloch. Najpierw podeszła do dziewczyny ze swojego zespołu.

- Vicki, wszystko dobrze?

Dziewczyna skinęła głową, ale twarz miała mocno wystraszoną. Wciąż z trudem łapała powietrze.

- Coś cię boli?

Vicki pokręciła głową. Wokół nich zebrały się inne zawodniczki, ale Hope kazała im wracać na pozycje.

- Możesz wstać?

Vicki skinęła głową. Hope wzięła ją pod rękę i pomogła jej się podnieść.

- Usiądźmy na chwilę na ławce - powiedziała spokojnie.

Dziewczyna zaczęła protestować, ale Hope ścisnęła ją mocniej za ramię.

Ojciec gestykułujący gwałtownie przy linii autowej jeszcze bardziej podniósł głos, wrzeszcząc na trenera przeciwnej drużyny. Dotąd nie padły jeszcze żadne przekleństwa, ale Hope wiedziała, że niewiele już brakuje. Odwróciła się w tamtą stronę.

- Spróbujmy zachować spokój - zwróciła się do mężczyzny. - Zna pan przepisy dotyczące wyzwisk.

Ojciec spojrział na nią rozjuszony. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Przez chwilę wyglądało na to, że da upust złości. Opanował się jednak, choć z wyraźnym trudem, i odwrócił się, obrzuciwszy przedtem Hope gniewnym wzrokiem. Trener drużyny przeciwnej wzruszył ramionami i Hope usłyszała, jak mruczy pod nosem „idiota”. Powoli poprowadziła Vicki przez boisko. Dziewczyna wciąż była roztrzęsiona.

- Mój tata wariuje - powiedziała z taką prostotą i takim bólem, że Hope natychmiast zrozumiała, że chodzi tu o coś znacznie więcej niż zderzenie na boisku.

- Może przyjdiesz porozmawiać ze mną o tym po treningu w tym tygodniu? Albo wpadniesz do szkolnej poradni?

Vicki pokręciła głową.

- Przykro mi, pani trener, nie mogę. Nie pozwoli mi.

A więc to tak.

Hope ścisnęła dziewczynę za ramię.

- Wymyślimy coś innym razem.

Miała nadzieję, że tak będzie naprawdę. Gdy sadzała Vicki na ławce i wprowadzała do gry nową zawodniczkę, pomyślała, że nie ma sprawiedliwości, nie ma równości ani uczciwości. Spojrzała na drugą stronę boiska, gdzie w pewnej odległości od reszty rodziców stał ojciec Vicki ze skrzyżowanymi ramionami, nachmurzony, jakby liczył sekundy spędzone przez jego córkę na ławce. Hope zrozumiała w tym momencie, że jest od niego silniejsza, szybsza, na pewno bardziej doświadczona w grze. Zdobyła wszystkie licencje trenerskie, zaliczyła parę zaawansowanych kursów, a gdyby miała piłkę przy nodze, potrafiłaby oszołomić niedźwiedziowatego mężczyznę zwodami i zmianami tempa. Mogłaby zdemontować mu, co potrafi, a także pokazać mistrzowskie trofea i certyfikaty Krajowego Stowarzyszenia Sportów Uniwersyteckich, ale wszystko to absolutnie niczego by nie zmieniło. Owładnął ją na moment gniew, stłumiła go w sobie, tak jak nieraz już to robiła w podobnych chwilach. Kiedy rozmyślała, jedna z jej zawodniczek przedarła się na prawym skrzydle i szybkim, niemal niezauważalnym mistrzowskim strzałem ulokowała piłkę w bramce. Dziewczęta z jej drużyny zaczęły skakać w górę, wiwatowały, śmiejąc się i przybijając sobie piątki, a Hope zdała sobie sprawę, że chronią ją jedynie zwycięstwa.

Za oknem zapadał październikowy półmrok, ale Sally Freeman-Richards nie wyszła jeszcze z biura. Jej sekretarka i obaj partnerzy pożegnali

się już i dołączyli do wieczornego potoku samochodów na ulicy, by powrócić do swoich domów. Zdarzało się w ciągu roku, zwłaszcza na jesieni, że zachodzące słońce opadało za białe iglice kościoła episkopalnego na skraju kampusu uczelni i zalewało okna pobliskich biur oślepiającym blaskiem. To była niespokojna pora roku. Ów blask okazywał się niebezpieczny; studenci, którzy wracali z późnych zajęć, przechodząc przez ulicę, narażali się na potrącenia przez samochody, bo kierowców oślepiało światło odbijające się w przednich szybach. Sally poznała to zjawisko z obu stron: broniła kiedyś w sądzie pechowego kierowcę, a innym razem pozwała firmę ubezpieczeniową w imieniu studenta, który na skutek wypadku miał złamane obie nogi.

Teraz patrzyła, jak promienie słońca wpadają do biura, rzeźbiąc cienie i tworząc na ścianach oryginalne, niezidentyfikowane kształty. Lubiła te chwile. Dziwne, pomyślała, światło, które wydaje się tak łagodne, potrafi być tak niebezpieczne. Wszystko zależy od tego, gdzie się znajdziemy w danej chwili.

Westchnęła i pomyślała, że to spostrzeżenie oddaje - przynajmniej w jakimś stopniu - istotę prawa. Zerknęła na swoje biurko i skrzywiła się na widok stosu szarych kopert i teczek spiętrzonych po jednej stronie. Było ich tam sześć czy siedem, a wszystkie zawierały dokumenty dotyczące banalnych, drobnych spraw. Licytacja domu. Odszkodowanie z miejsca pracy. Drobny spór pomiędzy sąsiadami o kawałek ziemi. W drugim kącie gabinetu, w osobnej szafce, Sally trzymała akta spraw, które bardziej ją interesowały i stanowiły podstawę jej praktyki. Dotyczyły innych lesbijek z całej doliny. Były to przeróżne sprawy, od adopcyjnych po rozwodowe. W jednej chodziło nawet o zabójstwo przez zaniedbanie, Sally brała w niej udział jako drugi obrońca. Z pracą radziła sobie całkiem dobrze, miała rozsądne stawki, pomagała wielu ludziom i uważała się - kiedy była w dobrym nastroju - za orędowniczkę nieokleństwanych, odmiennie ulokowanych uczuć. Wiedziała, że w grę wchodzi tu także chęć zadośćuczynienia za pewne wydarzenia w przeszłości, ale nie lubiła analizować własnego życia psychicznego tak głęboko, jak czasami musiała wnikać w cudze.

Wzięła ołówek i otworzyła jedną z nudnych teczek, a potem szybko odsunęła ją od siebie. Wrzuciła ołówek z powrotem do kubka z napisem „Najlepsza Mama na Świecie”. Ta opinia nie wydawała jej się zbyt uzasadniona.

Właściwie nie ma nic tak pilnego do zrobienia w biurze, by musiała zostawać po godzinach. Zastanawiała się właśnie, czy Hope wróciła już do domu i co takiego mogła przygotować na kolację, kiedy zadzwonił telefon.

- Sally Freeman-Richards.

- Cześć, Sally, mówi Scott.

Poczuła lekkie zaskoczenie, słysząc głos byłego męża.

- Cześć, Scott. Właśnie wychodziłam...

Wyobraził sobie jej gabinet. Pewnie jest utrzymany w znakomitym porządku i bardzo schludny, w przeciwieństwie do jego własnego, gdzie zawsze panował chaos. Przez chwilę oblizywał wargi, myśląc, jak bardzo irytuje go to, że zachowała jego nazwisko zestawione z panięńskim. Sally uważała, że w ten sposób łatwiej będzie dorastającej Ashley.

- Masz trochę czasu?

- Wydajesz się czymś zmartwiony.

- Sam nie wiem. Może powinienem się martwić, a może nie.

- Co się stało?

- Chodzi o Ashley.

Sally Freeman-Richards wstrzymała oddech. Rozmowy z eksmężem były z reguły nieprzyjemne, spierali się o drobiazgi, szczątki wspólnych spraw, jakie pozostały im po rozwodzie. Od ich rozstania minęło już wiele lat i łączyła ich jedynie Ashley, dlatego porozumiewali się głównie w kwestiach transportu między ich domami, opłat za szkołę i ubezpieczenie samochodu. Z czasem udało im się osiągnąć odprężenie we wzajemnych stosunkach, załatwiali niezbędne sprawy szybko i sprawnie. Nie rozmawiali ze sobą o tym, kim się stali lub dlaczego; Sally miała wrażenie, że w ich wspomnieniach życie tej drugiej osoby uległo zamrożeniu w momencie rozwodu.

- O co chodzi?

Scott Freeman się zawahał. Nie bardzo wiedział, jak ująć w słowa to, co go dręczyło.

- Znalazłem w jej rzeczach niepokojący list - powiedział. Sally również się zawahała.

- A czemu szperałeś w jej rzeczach? - spytała.

- To naprawdę bez znaczenia. Ważne, że go znalazłem.

- Nie jestem taka pewna, czy to bez znaczenia. Powinieneś szanować jej prywatność.

Scott natychmiast się zirytował, ale postanowił tego nie okazywać.

- Zostawiła u mnie trochę skarpet i bielizny. Chowałem je do szuflady, zobaczyłem list, przeczytałem go. Zaniepokoił mnie. Może nie powinienem go czytać, ale to zrobiłem. Kim się przez to stałem według ciebie, Sally?

Sally pominęła milczeniem to pytanie, chociaż przyszło jej do głowy kilka odpowiedzi.

- Co to za list? - spytała.

Scott odchrząknął - kruczek wykładowcy, pozwalający zyskać na czasie - a potem powiedział po prostu:



- Posłuchaj.

I przeczytał byłej żonie list od początku do końca.

Kiedy skończył, zapadła cisza.

- Nie wygląda tak źle - odezwała się w końcu Sally. - Ashley ma chyba jakiegoś tajemniczego wielbiciela.

- Tajemniczy wielbiciel. To brzmi tak uroczo, kojarzy się z niezapomnianą epoką wiktoriańską.

Sally zignorowała ten sarkazm. Milczała.

Scott odczekał chwilę.

- Czy nie wydaje ci się, odwołuję się do twojego doświadczenia, spraw, które prowadzisz, że w tym liście można wyczuć jakąś obsesję? Może manię? Co za człowiek pisze coś takiego?

Sally wzięła głęboki oddech, lecz nadal milczała, zastanawiając się nad tym samym.

- Wspominała ci może o czymś? O czymś podobnym? - nie ustępował Scott.

- Nie.

- Jesteś jej matką. Nie przyszłaby do ciebie, gdyby miała jakieś kłopoty z mężczyznami?

Sformułowanie „kłopoty z mężczyznami” wciąż promieniowało żywym gniewem, jaki Sally i jej były mąż budzili w sobie. Nie miała ochoty odpowiadać.

- Tak. Chyba tak. Ale nie przyszła.

- A kiedy była u ciebie, nic nie mówiła? Nie zauważyłaś niczego w jej zachowaniu?

- Nie. A ty? Spędziła u ciebie parę dni...

- Nie. Prawie jej nie widywałem. Ciągle była poza domem, odwiedzała kolegów z liceum. No wiesz, znikwała po kolacji, wracała o drugiej w nocy, spała do południa, a potem laziła po mieszkaniu, aż do chwili, gdy wszystkim zaczynało się od nowa.

Sally Freeman-Richards wzięła głęboki oddech.

- Cóż, Scott - zaczęła powoli - nie jestem przekonana, czy warto nad tym łamać sobie głowę. Jeśli ma jakiś problem, wcześniej czy później przyjdzie z tym do któregoś z nas. Może na razie powinniśmy dać jej wolną rękę. I nie wiem, czy jest sens zakładać, że w ogóle ma jakiś problem, dopóki sama nam o tym nie powie. Myślę, że się niepotrzebnie przejmujesz.

Cóż za rozsądna odpowiedź, pomyślał Scott. Bardzo nowoczesna. Bardzo liberalna. Bardzo charakterystyczna dla ludzi, którymi byli, a także dla miejsca, w którym mieszkali. I niestety, powiedział sobie, całkowicie błędna.

Wstała i podeszła do regaliku w kącie salonu. Poprawiła porcelanowy talerz oparty na podstawie, zmarszczyła brwi, odsunęła się o krok i sprawdziła, czy jest dobrze ustawiony. Z oddali dobiegały głośne piski bawiących się dzieci, ale w pokoju, w którym prowadziliśmy naszą rozmowę, w uszach dźwięczało mi tylko narastające napięcie.

- Skąd Scott wiedział, że coś jest nie tak? - powtórzyła moje pytanie.

- Właśnie. List, który pani cytuje, mógł oznaczać niemal wszystko. Była żona Scotta słusznie nie wyciągnęła pochopnych wniosków.

- Taką postawę powinien przyjąć prawnik? - spytała ostrym tonem.

- Jeśli ma pani na myśli postawę ostrożną, odpowiedź brzmi: tak.

- I uważa pan, że słusznie? - spytała. Machnęła ręką w powietrzu, jakby chciała dać do zrozumienia, że moje wątpliwości nie są istotne. - Wiedział, bo wiedział, po prostu wiedział. Można by to chyba nazwać instynktem, ale to byłoby uproszczenie. To jakaś drobna pozostałość zwierzęcego zmysłu, który tli się w każdym z nas, wie pan, gdy ma się przeczucie, że coś jest nie w porządku.

- Trochę pani przesadza.

- Naprawdę nie. Widział pan kiedyś film dokumentalny o zwierzętach żyjących na równinie Serengeti w Afryce? Jakże często kamera łapie gazelę, która nagle zaniepokojona podnosi głowę. Nie widzi czającego się w pobliżu drapieznika, ale...

- Dobrze. Powiedzmy, że się z panią zgadzę. Wciąż nie rozumiem, jak...

- Cóż - przerwała. - Być może musiałby pan znać człowieka, o którym mówimy.

- Tak. Sądzę, że to mogłoby pomóc. W końcu czy nie wobec tego samego problemu stanął Scott?

- Istotnie. On, oczywiście, na początku nie wiedział nic. Nie znał nazwiska, adresu, wieku, rysopisu, numeru prawa jazdy, numeru ubezpieczenia, miejsca pracy. Niczego. Widział tylko wyznanie na kartce i w głębi duszy przeczuwał kłopoty.

- Ogarnął go lęk?

- Tak. Lęk. Nie całkiem uzasadniony, jak pan zauważył. Scott był sam ze swoim strachem. To chyba najtrudniejszy do zniesienia rodzaj lęku: niebezpieczeństwo nieokreślone i nieznanne. Znalazł się w niełatwej sytuacji, prawda?

- Tak. Większość ludzi na jego miejscu nie zrobiłaby nic.

- Scott nie był chyba taki, jak większość ludzi.

Milczałem. Odetchnęła głęboko, zanim znów zaczęła mówić.

- Ale gdyby wiedział już wtedy, na samym początku, z kim ma do czynienia, mógłby się poczuć... - przerwała.

- Jaki?
- Bezradny.

## 2. Niezwykle gniewny człowiek

Maszynka tatuażysty bzycała niecierpliwie; kojarzyła mu się z szerszeniem latającym dookoła głowy. Tatuażysta był krępy i mocno umięśnionym mężczyzną; wielobarwne posplatane wzory pięły się niczym pnącza po jego ramionach ponad barki i owijały wokół szyi aż po lewe ucho, gdzie kończyły się łbem węża o wyszczerzonych zębach. Z igłą w dłoni pochylił się nad klientem jak do modlitwy. Już miał zacząć swoje dzieło, ale nagle się zawahał i podniósł wzrok.

- Jesteś pewien, że tego chcesz, stary? - spytał.
- Jestem pewien - odparł Michael O'Connell.
- Nigdy nie robiłem nikomu takiej dziary.
- Czas, żebyś zrobił pierwszą.
- Stary, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Będzie cię bolało przez parę dni.

- Zawsze wiem, co robię - odparł O'Connell. Zaciśnął lekko zęby i rozparł się w fotelu. Przyglądał się, jak krępy mężczyzna zaczyna rysować wzór. Michael O'Connell wybrał sobie szkarłatne serce przesyte czarną strzałą, roniące krwawe łzy. Na środku serca miały się znaleźć inicjały AF. Zamówił wykonanie wzoru w niezwyklej miejscu i teraz widział, że sprawia to tatuażystcie pewne kłopoty. Wykluwanie serca i inicjałów na prawej pięcie O'Connella było dla niego jeszcze bardziej niewygodne niż dla jego klienta utrzymanie nieruchomo uniesionej nogi. Kiedy igła przebiła skórę, O'Connell czekał. To miejsce jest bardzo wrażliwe. Tam laskocze się dziecko albo pieści kochankę. Piętą przygważdża się także rozdeptywanego robaka. To miejsce najlepiej odpowiada różnorodności moich uczuć, pomyślał.

Michael O'Connell był człowiekiem, którego ze światem zewnętrznym łączyły nieliczne więzy, ale wewnętrznie skrepowanym grubymi sznurami, drutem kolczastym i pętami. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i ciemne, gęste, kędzierzawe włosy. Był szeroki w barach, a wąski w pasie, o co zadbał już w liceum, godzinami podnosząc ciężary i trenując zapasy. Wiedział, że jest przystojny; było coś pociągającego w

sposobie, w jaki unosił brwi, i swobodzie, jaką zachowywał w każdej sytuacji. Ubierał się w sposób pozornie niedbały, dzięki czemu sprawiał wrażenie kogoś sympatycznego, „swojego chłopca”. Wolał wełnę od skóry, bo chciał lepiej pasować do studenckiego środowiska, i unikał noszenia czegokolwiek, co mogłoby się kojarzyć z dzielnicą, w której dorastał, na przykład obcisłych dżinsów czy podkoszulków z podwiniętymi wysoko rękawami. Szedł Boylston Street w stronę Fenway, owiewała go lekka poranna bryza. Czulo się już w niej zbliżający się listopad; unosiła z ulicy opadłe liście i papierki, tworząc nad chodnikiem małe wiry śmieci. O'Connell odnajdywał w powietrzu cząstkę New Hampshire, rzeźkość, która przypominała mu dzieciństwo.

Stopa mu dokuczała, ale był to przyjemny ból.

Tatażysta dał mu dwa paracetamole i zaklecił tatuaż sterylnym opatrunkiem, ale uprzedził, że chodzenie z taką piętą może być trudne. Michaelowi to nie przeszkadzało, nie miało dla niego znaczenia, jak bardzo będzie utykał przez kilka najbliższych dni.

Był akurat niedaleko kampusu Uniwersytetu Bostońskiego; znał tam pewien bar, który wcześniej otwierał podwoje, by udzielić gościny pijakom wciąż jeszcze okupującym okolice śródmiejskich skwerów. Pokuśtykał w tamtym kierunku boczną uliczką, trochę przygarbiony, przy każdym kroku próbując mierzyć fale elektryzującego bólu promieniującego od stopy. To trochę jak gra, pomyślał. Po tym kroku poczuje ból do kostki. Teraz do łydki. Czy dojdzie do kolana albo dalej? Pchnął drzwi baru i zatrzymał się na chwilę, czekając, aż jego wzrok przywyknie do ciemności zadymionego wnętrza.

Przy barze siedziało dwóch starszych mężczyzn zgarbionych nad szklankami. Stali bywalcy, pomyślał. Ludzie, których potrzeby określały dolar i kieliszek.

O'Connell podszedł do baru, rzucił na kontuar dwa dolary i skinął na barmana.

- Piwo i pięćdziesiątkę - powiedział.

Barman chrząknął, wprawnie nalał piwa z półcentymetrową pianką do małej szklanki, potem napenił kieliszek bursztynową szkocką. O'Connell wypił ją jednym haustem - zapiekła go ostro w gardle - i pociągnął spory łyk piwa. Wskazał palcem kieliszek.

- Jeszcze raz - powiedział.

- Najpierw zobaczymy pieniądze - odparł barman.

O'Connell znowu wskazał kieliszek.

- Jeszcze raz - powtórzył.

Barman milczał. Już swoje powiedział.

O'Connell rozważył kilka odzywek, z których każda, jak sądził, mogłaby doprowadzić do bójki. W uszach zaczęła mu dudnić adrenalina, czuł w sobie potrzebę walki. Pomyślał, że to jedna z tych chwil, kiedy nie ma znaczenia, czy wygra, czy przegra, liczyła się tylko ulga, jaką by poczuł, rozdając ciosy. Uczucie, którego doznawał, gdy jego pięść zderzała się z ciałem innego mężczyzny, było rozkoszne i upajające bardziej niż alkohol; wiedział, że zagłuszyłoby ból pulsujący w stopie i spotęgowało jego energię na wiele godzin. Popatrzył na barmana. Mężczyzna był znacznie starszy od niego, blady, tłusty, miał wielki brzuch. Walka nie potrwałaby długo, pomyślał O'Connell, czując, jak jego mięśnie napinają się i błagają, by uwolnić z nich energię. Barman przyglądał mu się czujnie; lata spędzone po tamtej stronie baru nauczyły go odczytywać z twarzy człowieka, co ten zamierza zrobić za chwilę.

- Myślisz, że nie mam pieniędzy? - spytał O'Connell.
- Muszę je zobaczyć - rzucił barman.

Cofnął się o pół kroku, a O'Connell zauważył, że inni mężczyźni siedzący przy barze odsunęli się, patrząc intensywnie w ciemny sufit. Oni także byli weteranami takich starć.

Nów spojrzał na barmana. Facet jest za stary i zbyt dobrze poznał świat wyznaczony ponurymi kątami obskurnego baru, by dał się zaskoczyć, pomyślał. Zdał sobie też sprawę, że barman musi mieć jakieś narzędzie służące do wyrównywania szans. Aluminiowy kij bejsbolowy albo drewnianą pałkę na ryby z krótką rączką. A może coś bardziej skutecznego - chromowaną spluwę 9 milimetrów albo strzelbę dwunastkę. Nie, pomyślał, nie dziewiątkę. Za trudno ją zarepetować. Coś starszego, na przykład policyjną trzydziestkęósemkę, odbezpieczoną, załadowaną kulami z płaskim czołem, żeby zmaksymalizować uszkodzenia ciała, a zminimalizować uszkodzenia przedmiotów stanowiących jego własność. Leżałaby gdzieś poza zasięgiem wzroku, ale pod ręką. O'Connell nie sądził, że zdążyłby przeskoczyć nad kontuarem, zanim barman chwyci za broń.

Wzruszył więc tylko ramionami. Odwrócił się i spojrzał na mężczyznę siedzącego przy barze parę metrów dalej.

- Na co się gapisz, stary fiucie? - rzucił gniewnie. Mężczyzna unikał jego spojrzenia.
  - Chcesz jeszcze jednego drinka? - spytał barman.
- O'Connell nie widział już jego dłoni. Zaśmiał się.

- Nie w takiej zaszrannej norze - powiedział. Wstał i wyszedł z baru. Gdy otwierał drzwi, pozostali w lokalu mężczyźni nadal milczeli. Zanołował w pamięci, że kiedyś tu wróci, i ta myśl przyniosła mu satysfakcję. Nic, pomyślał, nie jest w życiu tak przyjemne jak kołysanie się na krzędzi.

Wściekłość działała na niego jak narkotyki; w umiarkowanych ilościach pozwalała mu odlecieć. Ale raz na jakiś czas musiał sobie naprawdę pofolgować. Spojrzał na zegarek. Zaczynała się właśnie pora obiadowa. Ashley lubiła niekiedy brać kanapki na skwer i jeść je pod drzewem w towarzystwie kolegów z uczelni. Łatwo było tam mieć na nią oko, samemu pozostając niezauważonym. Michael uznał, że może się przejść i sprawdzić.

Michael O'Connell poznał Ashley Freeman przypadkiem jakieś pół roku wcześniej. Pracował na niepełnym etacie jako mechanik na stacji benzynowej przy przedłużeniu Massachusetts Turnpike. W wolnym czasie chodził na kurs informatyki, a w weekendy dorabiał, pracując za barem w studenckiej knajpie niedaleko uniwersytetu. I jakoś wiązał koniec z końcem. Ashley wracała z wycieczki narciarskiej ze znajomymi. Wpadli w jedną z licznych dziur w bostońskiej jezdni - podobne wypadki zdarzały się zimą dość często - i przedziurawili prawą tylną oponę. Współlokalka Ashley doprowadziła samochód do stacji i to O'Connell zmieniał im oponę. Kiedy okazało się, że kredytowa Visa dziewczyny jest zablokowana po weekendowych szaleństwach, Michael zapłacił za oponę własną. Ta hojność i zachowanie godne dobrego samarytanina zostały docenione przez cztery dziewczyny z samochodu. Nie wiedziały, że karta, której użył, była skradziona, więc chętnie podały Michaelowi swoje adresy oraz numery telefonów i obiecały, że do połowy tygodnia zbiorą pieniądze i oddadzą mu dług. Nowa opona i jej założenie kosztowały dwieście dwadzieścia jeden dolarów. Żadnej z czterech dziewczyn nie mogło przyjść na myśl, jak śmiesznie niska była to cena za otwarcie Michaelowi O'Connellowi furtki, którą wkroczy w ich życie.

O'Connell był nie tylko przystojny, natura obdarzyła go także wyjątkowo bystrym wzrokiem. Bez trudu wypatrzył Ashley z odległości przecznicy; schował się za dębem i obserwował dziewczynę. Wiedział, że nikt go nie zauważy; był za daleko, wokoło kręciło się zbyt wielu ludzi, przejeżdżało zbyt wiele samochodów, a październikowe słońce zbyt mocno świeciło. Poza tym - z tego też zdawał sobie sprawę - rozwinął w sobie umiejętność wtapiania się w otoczenie niczym kameleon. Czasami myślał, że naprawdę powinien zostać gwiazdorem filmowym, bo zawsze, gdy chciał, potrafił sprawić wrażenie, że jest kimś innym.

W nędznym barze, którego klientelę stanowili alkoholicy i drobni kryminaliści, był twardzielem. Potem z taką samą łatwością w licznym środowisku studenckim Bostonu zmieniał się w przeciętnego studenta. Takie wrażenie pomagał mu stworzyć plecak wyładowany podręcznikami do informatyki. Michael O'Connell wiedział, że potrafi sprawnie

przechodzić z jednego świata do drugiego, wykorzystując fakt, że ludzie nie poświęcali nigdy więcej niż sekundę, by mu się przyjrzeć.

Gdyby poświęcili mu więcej uwagi, pomyślał, przeraziliby się.

Uważnie obserwował grupę studentów i bez trudu wyłowił w niej rudoblonde włosy Ashley. Sześcioro młodych ludzi siedziało w luźnym kręgu, jedząc drugie śniadanie, śmiejąc się i coś sobie opowiadając. Wiedział, że gdyby był siódmą osobą w tej grupie, milczałby. Potrafił dobrze kłamać i wymyślać przekonujące opowieści o sobie - kim był, skąd pochodził i co robił - ale w grupie zawsze się bał, że przesadzi, powie coś nieprawdopodobnego i straci tak ważną dla niego wiarygodność. Gdy znalazł się sam na sam z kimś takim jak Ashley, potrafił być uwodzicielski, osiągać zrozumienie.

Michael O'Connell patrzył i nie próbował powstrzymywać wzbierającej w nim wściekłości.

To uczucie było mu dobrze znane, miłe i znienawidzone zarazem. Inne niż gniew, który odczuwał, gdy szykował się do walki albo kiedy wdawał się w kłótnię z szefem w którejś z dorywczych prac lub z właścicielem maleńkiego wynajętego mieszkanka czy ze starszą panią mieszkającą obok, której lubieżne spojrzenia i liczne koty mocno go irytowały. Mógł się kłócić z kimkolwiek, mógł nawet posunąć się do rękoczynów, i nie znaczyło to dla niego niemal nic. Ale to, co czuł do Ashley, było czymś zupełnie innym.

Wiedział, że ją kocha.

Patrzył na nią z bezpiecznej odległości, nierozpoznany i niezauważony, i kipiał wewnątrz. Próbował się odprężyć, ale nie mógł. Odwrócił się, jej widok sprawiał mu zbyt wielki ból, ale znowu utkwiał w niej wzrok, bo gdy jej nie widział, ból był o wiele większy. Każdy jej śmiech, każdy ruch, jakim odrzucała głowę do tyłu, każdy moment, gdy pochylała się do kogoś, kto do niej coś mówił, jej włosy uwodzicielsko opadające na ramiona, wszystko to było dla niego męką. Kiedy wyciągała ręce i mimo woli kogoś dotykała, czuł, jakby lodowate ostrza wbijały mu się głęboko w pierś.

Michael O'Connell wciąż patrzył i był pewien, że przez blisko minutę w ogóle nie oddychał.

Ashley spętała wszystkie jego myśli.

Sięgnął do kieszeni spodni, w której nosił nóż. Nie był to szwajcarski scyzoryk z rodzaju tych, jakie znalazłoby się w setkach studenckich plecaków w Bostonie, lecz dziesięciocentymetrowy składany nóż skradziony w sklepie ze sprzętem turystycznym w Somerset. Miał swoją wagę. Michael tak mocno zacisnął na nim palce, że ostrze, choć było schowane w rękojeści, wbiło mu się w ciało. Odrobina dodatkowego bólu, pomyślał, pozwala oczyścić umysł.

Michael O'Connell lubił nosić przy sobie nóż, bo dzięki temu czuł, że jest niebezpiecznym facetem.

Czasami uważał, że obraca się w świecie ludzi, którzy wkrótce mieli się stać inni, niż byli. Za takich uważał studentów z otoczenia Ashley. Szkoła prawnicza dla przyszłych prawników. Szkoła medyczna dla tych, którzy chcieli być lekarzami. Szkoła plastyczna. Kursy filozofii. Studia językowe. Zajęcia filmowe. Wszyscy kimś się stawali. Wkrótce mieli dołączyć do grona tych, którzy byli już kimś naprawdę.

Niekiedy żałował, że nie wstąpił do armii. Lubił myśleć, że jego talenty sprawdziłyby się i zostały docenione w wojsku, gdyby tylko przełożeni odnieśli się ze zrozumieniem do trudności, jakie sprawiało mu wykonywanie wszelkich rozkazów. A może powinienem starać się o przyjęcie do CIA, pomyślał. Byłbym doskonałym szpiegiem. Albo płatnym zabójcą. To by mi się naprawdę podobało, rozmyślał. Jak James Bond. Miał w końcu wrodzony talent.

Zdał sobie sprawę, że zamiast tego los wyznaczył mu rolę przestępcy. A tym, co lubił studiować, było niebezpieczeństwo.

Ze swojego miejsca zobaczył jakiś ruch w grupie studentów. Niemal jednocześnie wstali i zaczęli otrząpywać kurtki i płaszcze, głusi na wszystko oprócz własnego śmiechu i beztroskich rozmów.

Ruszył naprzód, powoli, nie zmniejszając dystansu, wmieszał się w tłum ludzi na chodniku i patrzył na Ashley aż do chwili, gdy z resztą towarzystwa podeszła do schodów i zniknęła w budynku.

Wiedział, że zajęcia kończyła o wpół do piątej. Potem na dwie godziny szła do muzeum, gdzie pracowała na niepełnym etacie. Był ciekaw, czy ma jakieś plany na ten wieczór.

On miał. Zawsze.

- Jest coś, czego nie do końca rozumiem...

- Co takiego? - zapytała cierpliwie, jak nauczyciel pyta niezbyt pojętne dziecko.

- Jeśli ten człowiek...

- Michael. Michael O'Connell. Ładne irlandzkie nazwisko. Bostońskie nazwisko. Od Brockton do Somerville i dalej muszą ich być tysiące. Kojarzą się z ministrantami noszącymi kadzidło, próbami chóru i ze strażakami w kiltach, grającymi na dudach w rześki, zimny Dzień Świętego Patryka.

- To nie jest jego prawdziwe nazwisko, prawda? To część układanki, mam rację? Gdybym zaczął szukać, nie znalazłbym żadnego Michaela O'Connella?



- Może by pan znalazł. Może nie.
- Komplikuję pani wszystko trochę bardziej niż to konieczne.
- Czyżby? Nie uważa pan, że to ja powinnam o tym zdecydować? Być może zakładam, że nadejdzie moment, kiedy przestanie mi pan zadawać pytania i zacznie szukać odpowiedzi na własną rękę, bo będzie pan chciał poznać prawdę. Już teraz wie pan wystarczająco dużo, żeby zacząć porównywać to, co powiedziałam, z tym, czego zdoła się pan dowiedzieć. Dlatego właśnie całą rzecz utrudniam. Nazwał to pan układanką. Dobre określenie.

Mówiła swobodnym tonem. Jeśli próbowała jakoś usprawiedliwić swoją ostrożność, nie wyczuwałem tego w jej głosie.

- Dobrze - powiedziałem. - Idźmy dalej. Jeśli ten gość, Michael, rzeczywiście zamierzał prowadzić życie na marginesie, wspinać się po drabinie drobnych przestępstw, skąd tu się wzięła Ashley? Chodzi mi o to, że przecież rozgryzłaby takiego faceta w dwie sekundy, prawda? Była wykształcona. Musiała chodzić na wykłady o typach maniakałnych i tego rodzaju przestępcach. Do diabła, jest nawet o nich rozdział w stanowym licealnym podręczniku oświaty medycznej. Zastosowano tam układ alfabetyczny, więc piszą o wariatach tuż przed chorobami wenerycznymi. Dlatego od razu powinna go rozszyfrować. A potem zrobić wszystko, żeby się od niego uwolnić. Sugeruje pani jakąś obsesyjną miłość. Ale ten facet, O'Connell, sprawia wrażenie psychopaty i...

- Kogoś, kto staje się psychopatą. Psychopaty niedoszłego...
- Dobrze, zgoda. To rozumiem, ale skąd się wzięła jego obsesja?
- Dobre pytanie - odparła. - I należy na nie odpowiedzieć. Ashley miała wiele różnych zalet i znaczną wiedzę, ale błędem byłoby uważać, że została przygotowana do tego, by sobie radzić z problemami, jakie stwarzał Michael O'Connell.
- To prawda, ale ciekaw jestem, jak ona sama to widziała. Z czym według niej miała do czynienia?
- Z teatrem - odparła. - Nie wiedziała tylko, jaka to może być sztuka.

### 3. Dziewczyna zwyczajnie nieświadoma

Dwa stoliki od miejsca, gdzie Ashley Freeman siedziała z trójką przyjaciół, kilku zawodników uniwersyteckiej drużyny bejsbolowej Uniwersytetu Northeastern klóciło się zawzięcie o zalety Jankesów i Red Soków, głośno i często w dość wulgarny sposób oceniając obie drużyny.

Hałas, jaki przy tym robili, przeszkadzałby Ashley, gdyby nie to, że przez cztery lata studiów w Bostonie spędziła wiele godzin w studenckich barach i słyszała ten spór już nieraz. Czasami kończył się przepychanką albo szybką wymianą ciosów, zazwyczaj jednak zmieniał się tylko w gwałtowne potoki plugawych wyzwisk. Często zawierały one pomysłów sugestie na temat dziwacznych praktyk seksualnych, którym gracze Jankesów albo Red Soksów oddawali się w wolnym czasie; w praktykach tych ważną rolę miały odgrywać zwierzęta gospodarskie.

Znajomi siedzący naprzeciw Ashley prowadzili własną ożywioną dyskusję. Tematem była otwarta w Harvardzie wystawa słynnych szkiców Goi *Okrucieństwo wojny*. Pojechali na nią metrem całą grupą, a potem wzburzeni krążyli między czarno-białymi rysunkami przedstawiającymi poszatkowane ciała, tortury, morderstwa i konanie. Ashley uderzyło to, że choć na rysunkach zawsze można było odróżnić cywilów od żołnierzy, żadna z tych ról nie zapewniała anonimowości ani bezpieczeństwa. Śmierć, pomyślała, na swój sposób wszystkich zrównuje. Miażdży ducha, nie zwracając uwagi na politykę. Jest nieubłagana.

Poprawiła się na krzesło, czuła się trochę nieswojo. Obrazy, zwłaszcza pełne przemocy, wywierały na niej silne wrażenie już od czasu, gdy była małym dzieckiem. Trwały wbrew jej woli w pamięci: Salome podziwiająca głowę Jana Chrzciciela na makabrycznym renesansowym obrazie, matka Jelonka Bambi próbująca uciec przed ścigającymi ją myślami. Dręczyły ją nawet kiczowate sceny zabijania z *Kill Billa* Tarantina.

Tego wieczoru towarzyszył jej Will, chudy, długowłosy student podyplomowego studium psychologii, który nachylając się nad stołem, perorował zawzięcie, a jednocześnie próbował zmniejszyć odległość między swoim barkiem a jej ramieniem. Przelotne dotknięcia są ważne w zalotach, pomyślała. Najdrobniejsze wspólne doznania mogą prowadzić do czegoś poważniejszego. Nie bardzo wiedziała, co o nim właściwie sądzi. Był bez wątpienia inteligentny i sprawiał wrażenie myślącego. Pojawił się pod jej drzwiami z pół tuzinem róż, które, jak wyjaśnił, stanowiły psychologiczny odpowiednik karty wyjścia z więzienia\*, dający mu szansę na jej wybaczenie, gdyby zdarzyło mu się zrobić coś niestosownego lub głupiego. \* *Get Out of Jail Free Card* - wyciągnięcie jednej z kart w grze monopoli, pozwalające graczowi na opuszczenie pola więzienia. Określenie weszło do potocznego języka jako otrzymanie jednej szansy wyjścia z kłopotliwej sytuacji (przyp. tłum.). Tuzin róż, powiedział, to by była przesada; zorientowałaby się pewnie, że to podstęp, podczas gdy bukiet z połowy tych kwiatów niósł ze sobą jakąś

obietnicę i odrobinę tajemniczości. Ashley uznała, że to zabawne i chyba prawdziwe; postanowiła dać mu szansę, choć szybko zaczęła nabierać podejrzeń, że jest nieco zbyt zarozumiała i nie bardzo potrafi słuchać, a to jej się nie podobało. Odgarnęła włosy z twarzy i próbowała skupić się na jego słowach.

- Goya chciał szokować. Chciał cisnąć całą rzeczywistość wojny w twarze polityków i arystokratów, którzy uważali ją za romantyczną przygodę. Chciał, by nie można było tej rzeczywistości zaprzeczyć...

Ostatnie słowa tej wypowiedzi zagłuszył nagły wybuch przy sąsiednim stoliku.

- Powiem ci, co dobrze wychodzi Derekowi Jeterowi. Dobrze mu wychodzi, gdy się wypnie i...

Ashley nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Poczula się uwieczona w specyficznej bostońskiej wersji Strefy Mroku, między pretensjonalnością a plebejskością.

Poruszyła się na krześle, zachowując neutralną odległość, która nie mogła ani zniechęcić, ani zbyt zachęcić Willa, i pomyślała, że nigdy nie miała szczęścia w miłości. Zastanawiała się, czy to kiedyś się zmieni, czy tak właśnie będzie wyglądała jej przyszłość. Miała wrażenie, że znajduje się na jakiejś krawędzi, ale nie wiedziała jakiej.

- Tak, ale ukazywanie prawdziwej natury wojny i szokowanie nią w sztuce nigdy nie powstrzymuje wojen, zyskuje natomiast aplauz w płaszczyźnie artystycznej. Spotykamy się, by obejrzeć *Guernicę*, i podziwiamy głębię wizji jej twórcy, ale czy los zbombardowanych wieśniaków budzi w nas jakiegokolwiek uczucia? A przecież byli prawdziwi. Ich śmierć była prawdziwa. Ale ta prawda stała się czymś podrzędnym w stosunku do sztuki.

To mówił Will, chłopak, z którym się dziś umówiła. Ashley uznała, że jego spostrzeżenie było mądre, ale wiedziała też, że takie opinie mogłyby wygłosić milion politycznie poprawnie myślących studentów. Zerknęła na hałaśliwych bejsbolistów. Podobała się jej pasja, z jaką się kłócili, nawet jeśli była podsycana alkoholem. Poczula ukłucie zwątpienia. Lubiła siedzieć w Fenway przy piwie. Lubiła spacerować po Muzeum Sztuk Pięknych. Przez sekundę, która zdawała się trwać znacznie dłużej, zastanawiała się, który z dwóch sporów jest jej tak naprawdę bliższy.

Zerknęła z ukosa na Willa; najwyraźniej uważał, że najskuteczniejszą drogą do uwiedzenia jej będzie wygłaszanie pompacyjnych truizmów intelektualnych. To był standardowy sposób myślenia wszystkich studentów studiów podyplomowych. Postanowiła utrudnić mu nieco sprawę.

Odsunęła gwałtownie krzesło i wstała.

- Hej! - zawołała. - Panowie, skąd jesteście? BC? BU? Northeastern?

Przy stoliku bejsbolistów natychmiast zrobiło się cicho. Kiedy do młodych facetów zawoła piękna dziewczyna, pomyślała Ashley, zawsze przyciągnie ich uwagę.

- Northeastern - odparł jeden z nich, lekko uniósł się z krzesła i skłonił w jej stronę ze wschodnią galanterią rzadko spotykaną w hałaśliwym barze.

- Kibicować Jankesom to tak, jakby kibicować General Motors, IBM-owi albo republikanom. A kibicowanie Red Soksom to poezja. W życiu każdego nadchodzi taki moment, kiedy trzeba wybrać. I tyle.

Chłopcy przy stoliku wybuchnęli śmiechem i udawanym oburzeniem. Will odchylił się do tyłu, z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Krótko i zwięźle - powiedział.

Ashley także się uśmiechnęła i pomyślała, że mimo wszystko nie jest może taki najgorszy.

Kiedy była mała, uważała, że lepiej byłoby być nieładną dziewczyną. Takie dziewczyny nie rzucają się w oczy.

Jako nastolatka przeszła dramatyczny okres buntu, głośno i histerycznie manifestowała swoje odmienne zdanie wobec matki, ojca, nauczycieli i znajomych. Nosila workowate ciuchy w ziemistych kolorach, na ufarbowanych na atramentowo-czarno włosach robiła sobie jaskrawoczerwone pasemka, słuchała grunge'u, piła mocną czarną kawę, popalała papierosy i marzyła o tatuażach oraz piercingu. Ten burzliwy okres trwał zaledwie parę miesięcy, akurat tyle, by popsuć wszystko, co osiągnęła do tego czasu w szkole zarówno na zajęciach w klasie, jak i na boisku. Utraciła też kilkoro przyjaciół, a ci, którzy pozostali, nabrali do niej rezerwy.

Ku zaskoczeniu Ashley jedyną dorosłą osobą, z którą potrafiła wtedy rozmawiać w miarę normalnie, była partnerka jej matki, Hope. Zaskoczyło ją to, bo właśnie Hope obwiniała za rozpad małżeństwa swoich rodziców i często mówiła znajomym, że jej za to nienawidzi. Mówiła tak, bo wiedziała, że koledzy właśnie takie słowa chcą od niej usłyszeć, ale uwierała ją myśl, że dostosowuje się do ich oczekiwań. Po grunge'u i modzie gotyckiej przeszła przez fazę khaki i kraciastej flaneli, potem przez fazę kibicowania, następnie przez trwającą parę tygodni fazę weganizmu - jadła wtedy tofu i sojowe kotlety. Spróbowała aktorstwa, jako tako zagrała bibliotekarkę Marian w *The Music Man*, wypełniała płynącymi prosto z serca wyznaniem całe strony pamiętnika, upodabniała się kolejno do Emily Dickinson, Eleanor Roosevelt i Carrie Nation, z drobnym dodatkiem Glorii Steinem i Mii Hamm. Pracowała przy budowie domu dla Habitat for Humanity, pojechała też z największym w całej szkole handlarzem narkotyków na przerażającą wyprawę do pobliskiego

miasta, by odebrać sporą partię kokainy, co zostało zarejestrowane przez policyjną kamerę i zakończyło się telefonem kogoś z funkcjonariuszy do matki. Sally Freeman-Richards wpadła w szal, dała córce szlaban na kilka tygodni, krzyczała, że Ashley miała wielkie szczęście, bo jej nie aresztowali, choć powinni, i że niełatwo będzie jej odzyskać zaufanie matki. I Hope, i ojciec Ashley ocenili łagodniej całe wydarzenie, mówili więcej o buncie typowym dla nastolatków; Scott przypomniał sobie parę głupich rzeczy, które zrobił w młodości, co było zabawne, a przede wszystkim dodało jej otuchy. Nie uważała, że świadomie łąduje się w niebezpieczne sytuacje, ale wiedziała, że raz czy dwa podjęła spore ryzyko i miała rzeczywiście dużo szczęścia, ponieważ udało się jej uniknąć poważniejszych konsekwencji. Często myślała, że jest jak glina na kole garncarza, wciąż się obraca, formuje i czeka na podmuch żaru z pieca, który nada jej ostateczny kształt.

Czuła, że dryfuje. Nie przepadała za pracą w muzeum. Pomagała tam przy katalogowaniu zbiorów, godzinami siedząc na zapleczu wpatrzona w ekran komputera. Nie była też do końca przekonana, czy wybrany przez nią program podyplomowej historii sztuki - czekała na odpowiedź uczelni w tej sprawie - interesuje ją tak, jak powinien. Czasami wydawało się jej, że zaczęła zajmować się tą dziedziną tylko dlatego, że dobrze radziła sobie z ołówkiem, atramentem i pędzlem. Bardzo ją to martwiło, bo jak wielu młodych ludzi uważała, że powinna robić tylko to, co kocha, a nie wiedziała, czym to coś było.

Wyszli z baru. Ashley poczuła wieczorny chłód i otuliła się szczelniej płaszczem. Uświadomiła sobie, że powinna chyba poświęcić Willowi więcej uwagi. Był przystojny, naprawdę się nią interesował, nie brakowało mu poczucia humoru. Szedł teraz obok niej dziwnym, kołyszącym się krokiem, który miał w sobie coś rozbijającego. Był kimś, nad kim mogłaby się poważniej zastanowić. Ale przeszli już prawie dwie przecznice i pozostało im zaledwie pięćdziesiąt metrów do drzwi jej mieszkania, a on nie zadał jeszcze pytania, na które czekała.

Postanowiła zabawić się w małą grę. Gdyby zapytał ją o coś, co uznalaby za interesujące, zgodziłaby się na drugą randkę. A jeśli spyta, czy może wejść z nią na górę, spławi go.

- Jak myślisz? - spytał nagle. - Ci faceci w barze kłócą się o bejsbol dlatego, że uwielbiają tę grę, czy dlatego że uwielbiają się kłócić? Moim zdaniem nie ma tu poprawnej odpowiedzi, jest tylko lojalność wobec drużyny. A ślepa lojalność wymyka się dyskusji, prawda?

Ashley się uśmiechnęła. Będzie druga randka.

- Oczywiście - dodał Will - uwielbianie Red Soksów prawdopodobnie mieści się w tematyce mojego seminarium z psychologii anormalnej.

Z całą pewnością będzie druga randka.

- Tutaj mieszkam - powiedziała. - Dobrze się dzisiaj bawiłam.

Will spojrzął na nią.

- Może spotkalibyśmy się w jakimś spokojniejszym miejscu? - spytał. - Łatwiej byłoby się nam poznać, gdybyśmy nie musieli przekrzykiwać podniesionych głosów i zacieklej spekulacji na temat skłonności Dereka Jetera do skórzanych pejczy, seksualnych gadżetów w rozmiarze XL oraz otworów, w których można by ich użyć przy odrobinie wyobraźni.

- Chętnie - powiedziała Ashley. - Zadzwonisz?

- Zadzwonię - odparł Will.

Weszła na pierwszy stopień schodów prowadzących do mieszkania; zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma Willa za rękę, odwróciła się i pocałowała go. Był to prawie niewinny pocałunek; jej język musnął tylko jego wargi. Pocałunek zawierający obietnicę, ale odnoszącą się do przyszłych dni i nie mógł być odczytany jako zaproszenie na dzisiejszą noc. Will - co dodało jej otuchy - chyba to zrozumiał, bo zrobił pół kroku w tył, pochylił się w wyszukany ukłon i jak osiemnastowieczny dworzanin pocałował ją w rękę.

- Dobranoc - powiedziała. - Było naprawdę bardzo miło.

Ashley weszła do budynku. Między dwiema parami szklanych drzwi odwróciła się i spojrzała za siebie. Lampa nad wejściem rzuciła słabe światło, a Will stał tuż poza niewielkim kręgiem żółtego blasku, gasnącego w zaborczej czerni nowoangielskiej nocy. Po jego twarzy przemknął cień, jakby trafiła go strzała ciemności. Ale Ashley tym się nie przejęła, pomachała mu i poszła do siebie, podekscytowana możliwościami, które niosła przyszłość, i dumna, że nawet nie pomyślała o jednorazowej przygodzie tak popularnej w środowisku studenckim. Pokręciła głową. Gdy ostatnio uległa tej pokusie, było wręcz okropnie. Przypomniał jej o tym niespodziewany telefon od ojca. Ale szybko odpędziła niedobre wspomnienia tamtej nocy. Szukając klucza do mieszkania, poczuła umiarkowane zadowolenie z dzisiejszego wieczoru.

Zastanawiała się, ile minie czasu, zanim „Will pierwsza randka” zadzwoni i zostanie „Willem drugą randką”.

Kiedy Ashley zniknęła za drugimi drzwiami, Will Goodwin stał jeszcze przez chwilę w ciemności. Czuł radość, beztrudne podniecenie wieczorem, który właśnie się skończył, i wieczorem, który miał nadejść.

Był jednak trochę onieśmielony. Dziewczyna kolegi, od której zdobył numer Ashley, powiedziała mu o niej, że jest piękna i inteligentna, może odrobinę tajemnicza, ale rzeczywistość przerosła jego wyobraźnię. Pomyślał, że właśnie udało mu się o włos uniknąć etykiety nudziarza.

Kuląc się przed narastającym wiatrem, Will wsunął ręce głęboko w kieszenie kurtki i ruszył przed siebie. Wydawało mu się, że dreszcze wywoływane u niego przez zimne powietrze nie różniły się niczym od tych, które październikowy chłód powodował u poprzednich pokoleń wędrujących ulicami Bostonu. Will czuł, że policzki zaczynają mu się czerwienić, więc rozpoczął pospieszny marsz w stronę stacji metra. Długie nogi mężczyzny szybko pokonywały dystans dzielący go od celu.

Ona też jest wysoka, pomyślał. Prawie metr osiemdziesiąt, zgadywał, ma smukłą figurę modelki, której nie zdołały ukryć nawet džinsy, i luźny bawelniany sweter. Przebiegł między jadącymi samochodami; był zdumiony, że Ashley nie otaczał wianuszek facetów; podejrzewał, że musiało to mieć coś wspólnego z nieudanym związkiem albo jakimś innym przykrym doświadczeniem. Uznał, że nie powinien się bawić w spekulacje, lecz po prostu podziękować szczęśliwej gwiazdzie, która zetknęła go z Ashley. W jego studiach wszystko było oparte na badaniu prawdopodobieństwa i przewidywaniach. Nie był pewien, czy statystyka, którą wykorzystywał w pracy klinicznej ze szczurami laboratoryjnymi, dałaby się zastosować do badania szans, jakie miał on sam, żeby zetknąć się z kimś takim jak Ashley.

Uśmiechnął się do siebie i zbiegł po schodach.

W bostońskim metrze, tak jak w metrach większości miast, wyczuwa się coś niezmiernie szybkiej komunikacji. Światła odbijają się w białych płytkach na ścianach, cienie szukają sobie miejsc między stalowymi kolumnami. Panuje nieustanny hałas, pociągi przyjeżdżają, odjeżdżają albo huczą w oddali. Zewnętrzny świat wydaje się odcięty, zastąpiony chaotycznym kosmosem, a wiatr, deszcz, śnieg czy nawet jasne, ciepłe promienie słońca należą już do innego miejsca i czasu.

Pociąg zatrzymał się z wysokim, piskliwym dźwiękiem i Will szybko wsiadł do środka. W świetle wagonowych lamp twarze wydawały się szarawe, chorobliwie blade. Przez chwilę myślał o innych pasażerach, zasłoniętych gazetami, pogrążonych w lekturze albo tępo patrzących przed siebie. Odchylił głowę w tył, przymknął oczy, pozwalając, by pędzący pociąg kołysał go jak matka tuląca dziecko w ramionach. Zadzwonię jutro, powiedział sobie. Zaproszę ją gdzieś i spróbuję chwilę porozmawiać przez telefon. Przebiegł w myślach różne tematy, próbując znaleźć taki, który mógłby ją zaskoczyć. Zastanawiał się, dokąd ją zabierze. Na kolację i do kina? Banalne. Czuł, że Ashley jest kobietą, która chciałaby zobaczyć coś wyjątkowego. Może teatr? Kabaret? A potem późna kolacja w jakimś lokalu, lepszym niż zwykłe knajpy z hamburgerami i

piwem? Ale nie za bardzo snobistycznym, pomyślał. I spokojnym. A więc rozrywka, a potem coś romantycznego. Może to nie najwspanialszy plan, pomyślał, ale sensowny.

Pociąg zatrzymał się na jego stacji, Will wysiadł z wagonu i szybko wyszedł na górę. Światła Porter Square przecinały mrok, sprawiając wrażenie sporego ruchu tam, gdzie w rzeczywistości było go niewiele. Will skulił się pod uderzeniem zimnego wiatru, przeciął plac i skręcił w boczną ulicę. Mieszkał cztery przecznice dalej; idąc, wyteżał pamięć, próbując podjąć decyzję, do której restauracji zabierze Ashley.

Zwolnił, kiedy usłyszał szczekanie psa, poczuł jakiś niepokój. W oddali ciszę nocy przeszło wycie syreny karetki. Tylko w kilku mieszkaniach okna jarzyły się zimnym blaskiem włączonych telewizorów, większość pobliskich domów była pogrążona w ciemności.

Po jego prawej stronie między dwoma budynkami biegła mała uliczka. Willowi wydało się, że usłyszał odgłos skrobania, więc odwrócił się w tamtym kierunku. Nagle zobaczył lecący na niego ciemny kształt. Cofnął się o krok, zaskoczony, i podniósł rękę, próbując się zasłonić; pomyślał, że powinien zawołać o pomoc, ale wszystko działo się o wiele za szybko. Dana mu była tylko jedna chwila zaskoczenia, lęku i nieokreślonej, mglistej grozy, bo wiedział, że coś szybko leci w jego stronę. To była ołowiana rurka, która przeciąwszy powietrze ze świstem, jaki wydaje miecz, spadła na jego czoło.

Dopiero po prawie siedmiu godzinach poszukiwań znalazłem Willa Goodwina w „Boston Globe”. Tyle że pod zupełnie innym nazwiskiem. Artykuł *Policja szuka sprawcy napadu na studenta* zamieszczono w dziale wydarzeń lokalnych, prawie na samym dole strony. Liczył zaledwie cztery akapity i zawierał bardzo mało informacji, poza tą, że dwudziestoczteroletni student trafił w stanie krytycznym do Szpitala Massachusetts General, gdy wczesnym rankiem przechodząc zauważył zakrwawione ciało leżące za aluminiowymi koszami na śmieci w zaułku. Policja prosiła o pomoc wszystkich mieszkańców Somerville, którzy mogli słyszeć albo widzieć coś podejrzanego.

I to było wszystko.

Nic więcej, ani następnego dnia, ani w następnych tygodniach. Zwyczajny przypadek wielkomiejskiej przemocy, odnotowany, zarejestrowany, a potem szybko zapomniany, przysypany warstwami nowych informacji.

By zdobyć adres Willa, musiałem spędzić kolejne dwa dni przy telefonie. Biuro Absolwentów Boston College poinformowało mnie, że nie ukończył studiów, i podało adres w Concord, jednym z przedmieść Bostonu. Numer telefonu był zastrzeżony.



Concord to urocze miejsce, pełne dostojnych domów. Jest tam duży, zielony park, imponująca publiczna biblioteka, prywatne liceum i zabytkowe śródmieście z mnóstwem modnych sklepów. Kiedy byłem młodszy, zabierałem swoje dzieci na spacer po okolicznych polach bitewnych i recytowałem im słynny wiersz Longfellowa. Miasteczko, jak wiele innych w Massachusetts, pozwoliło niestety, by szacunek wobec historii okazał się słabszy niż fascynacja rozwojem. Ale młody człowiek, którego poznałem jako Willa Goodwina, mieszkał w małym domu zbudowanym w neokolonialnym stylu, znacznie mniej pretensjonalnym niż nowsze budynki. Dom stał przy bocznej uliczce, oddzielony od niej mniej więcej pięćdziesięcioma metrami zwirowego podjazdu. Ktoś poświęcił sporo czasu na posadzenie i pielęgnację kwiatów od frontu. Na lśniącej, białej ścianie spostrzegłem małą tabliczkę z datą „1789”. Przy bocznym wejściu dobudowano drewnianą rampę dla wózka inwalidzkiego. Gdy podszedłem do głównych drzwi, poczułem zapach kwitnących hibiskusów. Zapukałem lekko.

Otworzyła mi szczupła kobieta, siwa, ale niewyglądająca jeszcze na babcię.

- Słucham, w czym mogę pomóc? - spytała.

Przedstawiłem się, przeprosiłem, że przychodzę bez zapowiedzi i wyjaśniłem, że nie mogłem zadzwonić, ponieważ numer telefonu jest zastrzeżony. Powiedziałem, że jestem pisarzem i interesują mnie przestępstwa, które miały miejsce kilka lat temu w okolicach Cambridge, Newton i Somerville, i chciałem zadać kilka pytań dotyczących Willa albo jeszcze lepiej, porozmawiać z nim osobiście.

Zaskoczyło ją to, ale nie zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

- Nie wiem, czy możemy panu pomóc - powiedziała uprzejmie.

- Przepraszam, jeśli panią zaskoczyłem - odparłem. - Mam tylko kilka pytań.

Pokręciła głową.

- On nie... - zaczęła szybko i spojrzała na mnie. Zobaczyłem, że jej dolna warga zaczyna drżeć, a w oczach zaszklily się łzy. - To było... - podjęła, ale przerwał jej jakiś głos, pytając:

- Mamo? Kto przyszedł?

Zawahała się, jakby nie wiedziała, co ma powiedzieć. Spojrzałem nad jej ramieniem i zobaczyłem, że z bocznego pokoju wyjechał na wózku młody mężczyzna. Miał bladą skórę, a ciemne, pozlepiane w strąki włosy opadały mu na ramiona. Po prawej stronie czoła dostrzegłem czerwoną bliznę w kształcie litery Z, sięgającą prawie do brwi. Ręce miał żyłaste, umięśnione, ale pierś zapadniętą, niemal wychudzoną i duże dłonie o

delikatnych, długich palcach. Patrząc na niego, pomyślałem, że widzę ślady tego, kim był kiedyś. Podjechał bliżej. Matka spojrzała na mnie.

- To było i wciąż jest dla niego bardzo trudne - powiedziała cicho, z zaskakującą ufnością.

Gumowe koła wózka zapiszczały, kiedy jej syn się zatrzymał.

- Dzień dobry - powiedział całkiem uprzejmie.

Przedstawiłem mu się i szybko wyjaśniłem, że interesuje mnie napad, który uczynił go kaleką.

- Napad na mnie? - spytał, ale najwyraźniej nie spodziewał się odpowiedzi, bo szybko jej sobie udzielił. - Nie wydaje mi się, żeby było w tym coś szczególnego. Zwyczajny napad, jakich wiele. Zresztą nie potrafisz panu wiele o tym opowiedzieć. Dwa miesiące w śpiączce. A potem to...

Szybkim ruchem ręki wskazał wózek.

- Policja kogoś aresztowała?

- Nie. Kiedy się ocknąłem, niewiele mogłem im pomóc. Nie pamiętam niczego z tamtego wieczoru. Dosłownie niczego. To tak, jakby wcisnął pan na klawiaturze „Backspace” i patrzył, jak znikają litery dokumentu. Wie pan, że prawdopodobnie wszystko jest gdzieś w komputerze, ale nie może pan tego znaleźć.

- Wracał pan do domu z randki?

- Tak. Potem nigdy się już nie spotkaliśmy. Nic dziwnego. Byłem w fatalnym stanie. Nadal jestem.

Zaśmiał się krótko i uśmiechnął cierpko. Skinąłem głową.

- Policja niewiele się dowiedziała, prawda?

- Niewiele, poza paroma dziwnymi rzeczami.

- Jakimi?

- Znaleźli w Roxbury jakichś małych, którzy próbowali skorzystać z mojej kredytowej wisy. Myśleli, że to oni mogli na mnie napaść, ale okazało się, że nie. Dzieciaki znalazły kartę przy kontenerze na śmieci.

- Dobrze, ale dlaczego...

- Bo ktoś inny znalazł portfel z moimi wszystkimi dokumentami. Wie pan: prawo jazdy, karnet do stołówki na uczelni, ubezpieczenie, książeczkę zdrowia, wszystko to, nietknięte. W Dorchester. Parę kilometrów od kontenera, w którym dzieciaki znalazły kartę. Zupełnie jakby to, co mi zabrano, rozrzucano po całym Bostonie. - Uśmiechnął się. - Prawie jak mój mózg.

- Co pan teraz robi? - spytałem.

- Teraz? - Will spojrzął na matkę. - Teraz tylko czekam.

- Czekasz pan? Na co?

- Nie wiem - odparł. - Na zajęcia rehabilitacyjne w Centrum Urazów Głowy. Na dzień, kiedy wstanę z wózka. Nie mam nic innego do roboty. Cofnąłem się, a jego matka zaczęła zamykać drzwi.
- Hej! - zawołał Will. - Myśli pan, że kiedykolwiek znajdą faceta, który mi to zrobił?
- Nie wiem - powiedziałem. - Ale jeśli czegoś się dowiem, dam panu znać.
- Chętnie bym poznał nazwisko i adres - powiedział cicho. - Chciałbym chyba zająć się nim osobiście.

#### 4. Rozmowa, która znaczyła więcej niż słowa

W zbrodni, myślał Michael O'Connell, najważniejsze są powiązania.

Jeśli ktoś nie chce, żeby go schwytano, tłumaczył sobie, musi usunąć wszystkie nici, które go z nią łączą. A przynajmniej schować je tak, żeby nie były łatwe do wykrycia dla ślęczącego nad sprawą detektywa. Uśmiechnął się do siebie i na chwilę przymknąwszy oczy, poddał się miarowemu kołysaniu pociągu. Wciąż czuł pulsujący w ciele ładunek energii. Po pobiciu człowieka odczuwał dziwny spokój, mimo iż mięśnie miał wciąż skurczone i napięte. Zastanawiał się, czy przemoc fizyczna będzie dla niego zawsze tak pociągająca.

U stóp Michaela leżał tani, niebieski płócienny worek z paskiem, który luźno oplatał mu ramię. W środku znajdowała się para skórzanych rękawiczek, druga para chirurgicznych z lateksu i półmetrowa pospolita gazurka. Był tam także portfel należący do Willa Goodwina, chociaż O'Connell jeszcze nie wiedział, jak nazywał się mężczyzna, którego zaatakował.

Pięć przedmiotów, pomyślał, oznacza pięć różnych stacji metra.

Wiedział, że jest przesadnie ostrożny, ale powtarzał sobie, że staranność i precyzja oplacają się mu. Rurka była na pewno umazana krwią ofiary. Podobnie skórzane rękawiczki. Domyślał się, że trochę krwi mogło pozostać na ubraniu, a także na adidasach, ale rano zamierzał poddać wszystko kilku cyklom gorącego prania w miejscowej automatycznej pralni. I tyle, pomyślał, jeśli chodzi o mikroskopijne nici łączące mnie z tamtym człowiekiem. Worek chciał wrzucić do kontenera w Brockton, ołowiana rurka miała trafić na plac budowy w śródmieściu, portfel, po opróżnieniu z gotówki, wylądować w koszu na śmieci na stacji metra w Dorchester. Karty kredytowe postanowił porzucić na ulicach w Roxbury

w nadziei, że znajdą je i zaczną ich używać jakies czarne dzieciaki. O'Connell wiedział, że Boston jest wciąż podzielony rasowo, i przypuszczał, że właśnie one zostaną obwinione o to, co zrobił.

Rękawiczek chirurgicznych, które podczas napadu miał na rękach pod skórzanymi, mógł bezpiecznie pozbyć się w drodze do domu: cisnąc je do kosza niedaleko Szpitala Massachusetts General albo Brigham, albo kobiecego, gdzie - nawet gdyby ktoś je zauważył - nie wydałyby się mu godne szczególnej uwagi.

Zastanawiał się, czy zabił faceta, który pocałował Ashley.

Bardzo możliwe, pomyślał. Pierwszy cios trafił tamtego w okolice skroni i Michael usłyszał trzask kości. Mężczyzna osunął się na ziemię, uderzywszy plecami o drzewo, co na szczęście stłumiło odgłos upadku. Nawet gdyby ktoś coś usłyszał i z ciekawości wyjrzał przez okno, obaj - Michael i mężczyzna, który pocałował Ashley - byli zasłonięci pniami drzewa i paroma zaparkowanymi samochodami. Z łatwością zaciągnął go w mrok zaułka. Bicie i kopanie zajęły tylko kilka sekund. Wybuch dziłości był prawie jak orgazm - niepowstrzymana eksplozja, a potem koniec. Wepchnął nieprzytomnego za metalowe pojemniki, zabrał mu portfel, pospiesznie schował prowizoryczną broń do worka i szybko ruszył przez mrok z powrotem na stację metra Porter Square.

Uznał, że wszystko poszło mu niewiarygodnie łatwo. Atak był niespodziewany, anonimowy i brutalny.

Przez chwilę próbował się domyślić, kim był pobity. Wzruszył ramionami. Tak naprawdę niewiele go to obchodziło. Nie chciał nawet wiedzieć, jak tamten się nazywał. Za godzinę czy dwie jedynym, co pozwoliłoby go powiązać z mężczyzną pozostawionym w zaułku, będzie kobieta śpiąca we własnym mieszkaniu, nieświadoma tego, co zaszło nocą. A jeśli kiedyś by się o tym dowiedziała, pomyślał O'Connell, poszłaby na policję. Wątpił w to, choć możliwość taka wchodziła w grę. Ale cóż mogłaby powiedzieć? W kieszeni miał połówkę biletu do kina. Nie było to najlepsze alibi, lecz obejmowało ów czas, kiedy doszło do pocałunku, i wystarczyłoby, jak sądził, każdemu policjantowi, który zresztą nie uwierzyłby Ashley, zwłaszcza gdy portfel i karty kredytowe znalazłyby się na drugim końcu miasta.

Odchylił głowę w tył, słuchając odgłosów pociągu - dziwnej muzyki ukrytej pod monotonnym dźwiękiem metalu zgrzytającego o metal.

Dochodziła piąta rano, kiedy Michael O'Connell zrobił sobie przedostatni przystanek. Wybrał stację trochę na chybił trafił i w okolicy chińskiej dzielnicy, w pobliżu śródmiejskiego centrum finansowego wyszedł w mrok, który za chwilę miało rozproszyć światło wstającego dnia. Większość sklepów na pustej ulicy była zamknięta, a w witrynach czerniały zasunięte rolety. Bez trudu udało mu się znaleźć automat telefoniczny w

budce. Zadrzał z chłodu. Naciągnął na głowę kaptur bluzy, zapewniając sobie anonimowy, mniszy wygląd. Poruszał się szybko. Nie chciał, żeby policjanci z nocnego patrolu wykonujący ostatnią rundę po wąskich uliczkach spostrzegli go, zatrzymali się i zaczęli zadawać pytania.

Wrzucił pięćdziesiąt centów i wybrał numer Ashley.

Dopiero po pięciu sygnałach Michael usłyszał jej zaspany głos.

- Halo?

Odczekał chwilę, chciał dać jej czas, żeby się rozbudziła.

- Halo? - odezwała się po raz drugi. - Kto tam?

Przypomniał sobie tani, biały przenośny telefon obok jej łóżka. Nie miał identyfikacji dzwoniącego, było to zresztą bez znaczenia.

- Wiesz, kto - powiedział cicho.

Nie odpowiedziała.

- Mówiłem ci. Kocham cię, Ashley. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Nikt nie może stanąć pomiędzy nami.

- Michael, przestań do mnie dzwonić - powiedziała. - Zostaw mnie w spokoju.

- Nie muszę do ciebie dzwonić. Zawsze jestem przy tobie.

A potem odwiesił słuchawkę, zanim ona zdążyła to zrobić. Najlepiej działającą groźbą, pomyślał, jest nie ta, którą się słyszy, lecz ta, którą sobie wyobrażamy.

Prawie świtało, kiedy w końcu wrócił do swojego mieszkania.

Po korytarzu kręciło się kilka kotów sąsiadki; miauczały i wydawały inne irytujące odgłosy. Jeden nawet zasyczał, kiedy O'Connell podszedł bliżej. Starsza pani mieszkająca naprzeciwko miała ich ponad dwanaście, może nawet dwadzieścia, nadawała im rozmaite imiona i wystawiała tacki zjedzeniem dla tych bezpańskich, które się tu czasami zjawiały. „Miała” to określenie względne, pomyślał Michael. Wyglądało na to, że przychodziły i znikwały, kiedy im się podobało. Starsza pani wystawiła nawet dodatkową kuwetę w kącie korytarza, żeby miały gdzie załatwić swoje potrzeby, dlatego na korytarzu unosił się mdły, nieprzyjemny zapach. Koty znały Michaela O'Connella, on znał je także, i nie lubił ich nawet odrobinę bardziej niż ich właścicielki. Uważał je za przybłędy, coś tylko trochę lepszego niż robactwo. Kichał przez nie, łzały mu oczy, a w dodatku zawsze, gdy tylko wszedł do budynku, obserwowały go z kocią czujnością. Nie lubił, kiedy ktoś zwracał uwagę na jego wyjścia i powroty.

O'Connell chciał wymierzyć kopniaka Calico, który znalazł się w zasięgu jego nogi, ale nie trafił. Robisz się powolny, powiedział sobie. To rezultat długiej, ale ekscytującej nocy. Gdy Michael otwierał drzwi do

mieszkania, Calico i jego towarzysze się rozpierzchli. Spojrzał w dół i zobaczył, że jeden z kotów, czarno-biały z rudymi łatami, pozostał chwilę dłużej przy tacy z karmą. Musi być nowy albo na tyle głupi, że nie bierze przykładu z innych, które trzymają się ode mnie z daleka. Starsza pani miała wstać dopiero za godzinę, może później, a O'Connell wiedział, że z jej słuchem było nie najlepiej. Rozejrzał się po korytarzu. Inni lokatorzy też chyba spali. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego nikt nie skarżył się na koty tak jak on. Nienawidził ich za to. Na jego piętrze mieszkała para starszusków z Kostaryki, bardzo słabo mówiących po angielsku, i Portorykańczyk, który - jak O'Connell podejrzewał - do pensji operatora dźwigu dorabiał sobie drobnymi włamaniami. Lokale piętro wyżej zajmowała dwójka studentów, którzy co jakiś czas wypełniali korytarz ostrym smrodem marihuany, i siwy akwizytor o obwisłej twarzy, który wolny czas spędzał, użalając się nad kieliszkiem. Jeśli nie liczyć skarg na koty zgłaszanych do gospodarza - ten starszy mężczyzna z wieloletnimi pokładami brudu za paznokciami mówił z niemożliwym do zidentyfikowania akcentem i nie lubił, kiedy zawracało mu się głowę naprawami - O'Connell nie utrzymywał kontaktów z żadnym spośród mieszkańców kamienicy. Zastanawiał się, czy pozostali lokatorzy wiedzą chociaż, jak się nazywa. W sumie był to cichy, zapuszczony, pospolity, zimny dom, dla jednych ostatnia stacja, dla innych przystanek w pół drogi; miał w sobie tymczasowość, która odpowiadała Michaelowi. Otwierając drzwi, spojrzął w dół i zastanowił się, czyjego wiekowa sąsiadka rzeczywiście wiedziała, ile ma kotów. Wątpił, by potrafiła je policzyć.

Albo żeby zauważyła brak któregoś z nich.

Schylił się szybko i chwycił czarno-białego pod brzuch. Kot miauknął zaskoczony i podrapał go.

Michael popatrzył na czerwoną pręgę na wierzchu dłoni. Wąska kreska krwi miała mu znacznie ułatwić to, co zamierzał zrobić.

Ashley Freeman opadła na poduszkę.

- Mam naprawdę problem - szepnęła na głos.

Leżała niemal bez ruchu. Po jakimś czasie pierwsze promienie słońca zaczęły zaglądać w okno przez obszyte falbankami zasłony, które przypominały jej dzieciństwo. Patrzyła, jak światło dnia pełznie powoli po ścianie naprzeciw łóżka. Wisiały tam jej prace - rysunki węglem wykonane na zajęciach z rysowania żywych postaci. Jeden, jej ulubiony, przedstawiał tors mężczyzny, drugi - plecy kobiety wyginające się zmysłowo na białym papierze. Był tam również autoportret, o tyle niezwykły, że Ashley narysowała szczegółowo jedynie pół swojej twarzy, a resztę pozostawiła niewyraźną, jakby znajdowała się w cieniu.

- To nie może być prawda - powiedziała, ale tym razem trochę głośniej.

Oczywiście, pomyślała, nie wiem, czym jest owo „to”. Jeszcze nie.

Zadzwońnię do niej tego samego dnia. Oszczędziłem sobie wymiany uprzejmości oraz wstępnych towarzyskich pogwarek i od razu zadałem pytanie:

- Skąd właściwie wzięła się obsesja Michaela O'Connella?

Westchnęła.

- Sam musi pan dojść do tego. Ale czy nie pamięta pan, kiedy jako młody człowiek przeżywał pan niespodziewane chwile namiętności? Jednorazowe przygody, przypadkowe znajomości. Tak się pan postarzał, że nie pamięta pan już czasów, gdy wszystko było możliwe?

- W porządku. Pamiętam - powiedziałem może trochę za szybko.

- Te wszystkie przygody były mniej lub bardziej przyjemne, choć zdarzały się też żenujące. Ale po popełnieniu takich pomyłek człowiek najwyżej się czerwieni albo zachowuje je dla siebie. W tym przypadku było inaczej. Ashley, w chwili słabości, raz się potknęła i już wpadła w poważne tarapaty; znalazła się w sytuacji, z której trudno było się wyplątać. Tyle że trudne sytuacje nie zawsze muszą być zabójcze, a Michael O'Connell był.

Milczałem przez chwilę po jej słowach.

- Znalazłem Willa Goodwina - powiedziałem w końcu. - Ale nie nazywał się Goodwin.

Zawahała się; po krótkiej przerwie urywane myśli ubrane w słowa napłynęły z drugiego końca linii telefonicznej.

- To dobrze. Prawdopodobnie nauczył się pan czegoś istotnego, a przynajmniej lepiej pan rozumiał, hm, możliwości Michaela O'Connella. Jednak nie od tego wszystko się zaczęło i pewnie na tym się nie kończy. Nie wiem... Pan sam powinien to rozgryźć.

- Tak, ale...

- Muszę teraz wyjść. Niech pan zrozumie, że w pewnym sensie jest pan w tym samym miejscu, w którym był Scott Freeman, zanim sytuacja zaczęła się stawać... cóż, nie wiem, jakiego tu użyć słowa. Napięta? Trudna? Wiedział to i owo, ale brakowało mu podstawowych informacji. Przypuszczał, że Ashley zagraża niebezpieczeństwo, jednak nie wiedział jakie, gdzie, kiedy. Był jak naukowiec, który mając przed sobą sam środek równania, próbuje się zorientować, gdzie jest ukryte rozwiązanie...

Przerwała, a ja po raz pierwszy poczułem lekkie dotknięcie chłodu.

- Muszę już iść - powiedziała. - Jeszcze porozmawiamy.

- Ale... - zacząłem.

Przerwała mi.

- Niezdecydowanie to proste słowo, które przeważnie oznacza dla nas coś, co prowadzi do złych następstw, nieprawdaż? Oczywiście taki sam skutek mogą przynieść nierozsądne decyzje. Na tym mniej więcej polega problem, prawda? Działać czy nie działać? To zawsze intrygujące pytanie, nie sądzi pan?

## 5. Bezimienny

Kiedy Hope przeszła przez frontowe drzwi swojego domu, odruchowo dwa razy klasnęła w dłonie. Już słyszała tupot łap psa biegnącego do niej z salonu. Spędzał tam wiele czasu, wyglądając przez panoramiczne okno w oczekiwaniu na jej powrót. Dobrze znała te odgłosy: najpierw łomot - zeskakuje z kanapy, gdzie nie miał prawa się wylegiwać, jeśli w pobliżu był człowiek, który mógł mu powiedzieć „nie”; potem drapanie pazurów na parkiecie, ślizganie się i przesuwanie orientalnego dywanika, a w końcu pospieszny tupot - już pędzi do przedsionka.

Czekając na niego, Hope odłożyła na podłogę gazety i torby z zakupami. Nie ma na świecie niczego, pomyślała, co byłoby równie spontaniczne i żarliwe jak psie powitanie. Uklęła i pozwoliła polizać sobie twarz; jego ogon wybijał równy rytm o ścianę. Dla tych, co mają psy, pomyślała Hope, jest oczywiste, że bez względu na to, jak ci się układają sprawy, kiedy wejdiesz do domu, pies będzie merdał ogonem.

Rodzice jej psa musieli być dziwnie dobraną parą. Weterynarz sugerował, że jest prawdopodobnie potomkiem przypadkowych godów pit-bulla i golden retrievera; dlatego miał krótki pysk i miękkie jasne futro. Odznaczał się też niezłomną lojalnością pozbawioną paskudnej agresji oraz inteligencją, która niekiedy zaskakiwała nawet Hope. Pieska wzięła ze schroniska, dokąd oddano go jako szczeniaka, a kiedy spytała pielęgniarza, jak się wabi, dowiedziała się, że nie został jeszcze, jeśli tak można powiedzieć, ochrzczony. W przyпіlywie nagłego natchnienia nazwała go Bezimienny.

Kiedy był młody, nauczyła go przynosić po treningu porozrzucane po boisku piłki; ten widok zawsze bawił dziewczęta ze wszystkich drużyn, które trenowała. Bezimienny cierpliwie czekał przy ławce rezerwowych z pyskiem wyszczerzonym w głupawym uśmiechu, dopóki nie dała mu znaku ręką; pędził wtedy przez boisko i turlał każdą piłkę po kolei, nosem i przednimi łapami do miejsca, w którym Hope czekała z workiem.



Dziewczętom z zespołu mówiła, że jeśli nauczą się panować nad piłką przy pełnej szybkości co najmniej tak jak on, trafią do ligi krajowej.

Teraz był już za stary, niedowidział i niedosłyszał, miał początki artretyzmu i raczej nie poradziłby sobie z zebraniem kilku piłek, rzadziej więc zabierała go na treningi. Hope nie lubiła myśleć o tym, że jego życie dobiega końca. Był z nią równie długo, jak ona z Sally Freeman.

Często myślała o tym, że gdyby nie bezimienny szczeniak, jej związek z Sally mógłby się rozpaść. To obecność psa zmusiła ją i Ashley do znalezienia płaszczyzny porozumienia. Psy, pomyślała, potrafią takie sprawy bez trudu rozwiązywać. Gdy po rozwodzie Sally zamieszkała u niej z Ashley, Hope napotkała mur całkowitej obojętności, na jaką umie się zdobyć urażona siedmiolatka. Bezimienny nie przejmował się gniewem i bólem Ashley, po prostu po swoim wyrażał radość z pojawienia się w domu dziecka, w dodatku tak żywego. Hope namówiła więc dziewczynkę, żeby razem bawiły się ze szczeniakiem i tresowały go, co przynosiło różne efekty. Pies świetnie aportował, ale był głuchy na pouczenia dotyczące szanowania domowych mebli. Rozmawiając o jego sukcesach i niepowodzeniach, najpierw osiągnęły zawieszenie broni, potem porozumienie, a w końcu połączyło je poczucie posiadania czegoś własnego. To pomogło przełamać wiele kolejnych barier.

Hope podrapała Bezimiennego za uszami. Zawdzięczam mu o wiele więcej niż on mnie, pomyślała.

- Głodny? - zapytała. - Zjadłbyś trochę karmy?

Bezimienny szczeknął. Głupio zadawać takie pytania psu, pomyślała, ale on z pewnością lubił je słyszeć. Poszła do kuchni i podnosząc z podłogi miskę, zastanawiała się, co zrobić na kolację dla Sally. To musi być coś wyszukanego, postanowiła. Dziki łosoś z sosem koperkowym i risotto. Doskonale gotowała i była dumna ze swoich kulinarnych osiągnięć. Bezimienny usiadł i zamiatając podłogę ogonem, czekał.

- Ty i ja jesteśmy tacy sami - powiedziała do niego Hope. - Oboje na coś czekamy. Różnica polega na tym, że ty wiesz, iż chodzi ci o kolację, a ja nie wiem, co ma mnie spotkać.

Scott Freeman rozejrzał się wokoło i pomyślał, że są w życiu chwile, kiedy samotność dopada cię niespodziewanie.

Opadł na stary fotel i przez moment spoglądał za okno w ciemność skradającą się wśród ostatnich październikowych liści na drzewach. Musiał poprawić kilka artykułów, przygotować wykład i przejrzeć parę rzeczy, w tym dostarczony pocztą rękopis kolegi oraz listy od magistrantów proszących o radę w wyborze seminariów.

Przy tym utknął w połowie własnego artykułu - eseju na temat specyficznego etosu walki, który ujawnił się podczas wojny o niepodległość. W jednym momencie dochodziło tam do aktów nieopisanego barbarzyństwa, a w następnym - do przejawów rycerskości w średniowiecznym stylu, gdy Waszyngton w samym środku bitwy pod Princeton zwrócił brytyjskiemu generałowi jego zaginionego psa.

Sporo pracy, pomyślał, po czym wymruczał do siebie:

- Mnóstwo spraw na głowie...

Ale dla mnie nie ma to teraz żadnego znaczenia, dodał w myślach.

Odrzucił się od okna, za którym gasło światło dnia, i utkwiał wzrok w liście znalezionym w komodzie Ashley. Po raz setny przeczytał każdy wyraz i doznał tego samego uczucia osamotnienia, jak wtedy, gdy widział je pierwszy raz.

Potem poddał analizie każde słowo, każdą zmianę modulacji, jaką usłyszał w głosie córki w ich ostatniej rozmowie telefonicznej.

Odchylił się do tyłu w fotelu i przymknął oczy. Próbował wyobrazić sobie siebie na jej miejscu. Znasz własną córkę, pomyślał. Co się dzieje?

Pytanie odbiło się echem w jego wyobraźni.

Przed wszystkim musisz się dowiedzieć, kto napisał list. Mógłbyś wtedy sam ocenić tego człowieka, nie wtrącając się w życie Ashley. Gdybym zrobił to umiejętnie, rozmyślał dalej, rozgryzłbym go, nie wciągając w to innych, a przynajmniej nikogo, kto ewentualnie poinformowałby Ashley, że ojciec węszy wokół jej prywatnych spraw.

Kiedy stwierdziłby już - na co miał nadzieję - że list jest jedynie niepokojący i niestosowny, mógłby się odprężyć i pozwolić, by Ashley sama się pozbyła niechcianego wielbiciela. Właściwie, powiedział sobie w duchu, mógłbym pewnie poradzić sobie ze wszystkim, nie wciągając w to matki Ashley ani jej partnerki; tego stanowczo pragnął uniknąć.

Pozostawało pytanie: od czego zacząć?

Uważał, że jedną z korzyści, które przynosiło studiowanie historii, była możliwość poznania metod postępowania, jakie przez wieki wybierali wielcy ludzie. Scott wiedział, że w głębi duszy jest trochę romantykiem; kochał walkę wbrew wszelkiej nadziei i rozpaczliwe zrywy. Lubił filmy i książki, które opowiadały o takich sprawach, nie zapominał przy tym, że w historiach tych jest pewien wdzięk przesłaniający skrajne okrucieństwo rzeczywistych wydarzeń. Historycy są pragmatykami, chłodnymi i wyrachowanymi. O tym, kto powiedział w Bastogne: „Szaleni”, lepiej pamiętali powieściopisarze i filmowcy. Historycy poświęcali więcej uwagi odmrożeniom, kałużom krwi zamarzającym na polu bitwy i otepiałej umyśle oraz dusze rozpaczy bezsilności.

Scott wierzył, że sporo takiego romantyzmu przekazała Ashley, która spędziła wiele godzin na lekturze *Domku na prerii* albo książek Jane Austen. To właśnie mogło, przynajmniej w jakimś stopniu, sprawić, że jest tak ufna.

Poczuł cierpki smak na języku, jakby przelknął coś gorzkiego. Nie mógł znieść myśli, że wychował ją na pewną siebie i niezależną, a teraz zamartwiał się właśnie dlatego, że taka była.

Pokręcił głową.

- Uprowadzasz fakty - powiedział na głos. - Niczego nie wiesz na pewno, a nawet w ogóle nic nie wiesz... - Zaczynaj od czegoś prostego. Zdobądź nazwisko. Ale w taki sposób, żeby córka się nie dowiedziała, a to nie będzie łatwe. Musiał wkroczyć w życie Ashley, nie dając się na tym przylapać.

Poczuł się trochę jak przestępca, odwrócił się i ruszył po schodach na piętro swojego małego domku do dawnej sypialni córki. Postanowił dokładniej ją przeszukać i miał nadzieję, że znajdzie choćby strzęp informacji, który powie mu coś więcej niż sam list. Gdy wszedł do pokoju, znów poczuł się winny i zadał sobie pytanie, dlaczego musi naruszać prywatność córki, by lepiej ją poznać.

W czasie kolacji Sally Freeman-Richards podniosła wzrok znad talerza.

- Wiesz, miałam dzisiaj po południu bardzo dziwny telefon od Scotta.

Hope odchrząknęła i sięgnęła po bochenek chleba na zakwasie. Wiedziała, że Sally lubi dochodzić do pewnych tematów w sposób nieco okrężny. Czasami myślała, że po tylu latach wspólnego życia partnerka wciąż pozostaje dla niej zagadką; w sądzie potrafiła być agresywna i przebojowa, a potem, w zaciszu domowym, stawała się prawie nieśmiała. W ich życiu było wiele sprzeczności, a to tworzyło napięcia.

- Sprawiał wrażenie zmartwionego - powiedziała Sally.

- Zmartwionego? Czym?

- Ashley.

Hope odłożyła nóż na talerz. - Ashley? Jak to?

Sally się zawahała.

- Wygląda na to, że szperał w jakichś jej rzeczach i znalazł list, który od kogoś dostała i który go zaniepokoił.

- Ale czemu szperał w jej rzeczach?

- Takie było właśnie moje pierwsze pytanie. Wielkie umysły pracują podobnie.

- I?

- No i właściwie nie odpowiedział. Chciał pomówić o tym liście.

Hope lekko wzruszyła ramionami.

- Dobrze, więc co z tym listem?

Po chwili milczenia Sally zapytała:

- Powiedz, dostałaś kiedykolwiek, mam na myśli dawne lata, w liceum albo na studiach, list miłosny, no wiesz, wyznanie miłości, niegasnącej namiętności, całkowitego oddania, z przesadnymi frazesami: nie mogę bez ciebie żyć i tak dalej?

- Hm, nie, nigdy nie dostałam, ale podejrzewam, że w moim przypadku były po temu specyficzne powody. Właśnie coś takiego znalazł?

- Tak. Wyznanie wielkiej miłości.

- To brzmi zupełnie niegroźnie. Jak sądzisz, dlaczego tak się tym przejął?

- Pewnie zaniepokoiło go coś w tonie tego listu.

- A co mogło w nim być? - W głosie Hope pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

Sally rozważała to, co zamierzała powiedzieć, z ostrożnością prawnika.

- Wydawał mu się, czy ja wiem, jakiś zaborczy. I może odrobinę szalony. No wiesz, jeśli ja nie mogę cię mieć, nikt nie będzie cię miał. Moim zdaniem za bardzo się tym przejął.

Hope skinęła głową.

- Pewnie masz rację - przyznała. Ona też starannie dobierała teraz słowa. - Ale czy nie byłoby poważniejszym błędem zlekceważenie takiego listu?

- Uważasz, że Scott słusznie się przejmuje?

- Tego nie mówię. Powiedziałam, że lekceważenie problemu rzadko bywa dobrym rozwiązaniem.

Sally się uśmiechnęła.

- Mówisz teraz jak szkolny psycholog.

- Bo jestem szkolnym psychologiem. To chyba nic dziwnego, że czasami mówię w ten sposób.

Sally umilkła.

- Nie powiedziałam tego, żeby się kłócić - odezwała się po chwili.

Hope kiwnęła głową.

- Oczywiście - odparła. Nie miała pewności, czy tak rzeczywiście jest, ale tak było o wiele bezpieczniej.

- Mam wrażenie, że za każdym razem, kiedy w naszej rozmowie pojawia się Scott, zaczynamy się kłócić - powiedziała Sally. - Nawet po tylu latach.

Hope pokręciła głową.

- Dobrze, nie mówmy już o Scotcie. W końcu nie jest dla nas kimś ważnym, prawda? Jednak jest wciąż częścią życia Ashley, więc powinniśmy się z nim liczyć. Zresztą, nawet jeśli ja i Scott specjalnie za sobą nie przepadamy, nie oznacza to, że uważam go za szaleńca.

- W porządku, zgadzam się - odparła Sally. - Ale ten list...

- Czy Ashley była ostatnio bardziej zamknięta w sobie, jakby nieobecna, a może zauważyłaś coś dziwnego w jej zachowaniu? - spytała Hope.

- Wiesz tak samo jak ja. Odpowiedź brzmi: „nie”. Chyba że ty coś zauważyłaś.

- Nie wiem, czy jestem taka dobra w dostrzeganiu uczuciowych rozterek młodych kobiet - rzuciła Hope, chociaż prawda była zupełnie inna.

- Dlaczego uważasz, że ja jestem?

Hope wzruszyła ramionami. Rozmowa przybrała niedobry kierunek, a ona nie umiała powiedzieć z czyjej winy. Spojrzała ponad stołem na Sally i pomyślała o napięciu między nimi. Nie potrafiła bliżej go określić. Zupełnie jakby widziała hieroglify wyryte w kamieniu i nie umiała ich odczytać.

- Czy zauważyłaś coś dziwnego, gdy Ashley tu była?

Czekając na odpowiedź Sally, Hope przypomniała sobie ostatnią wizytę jej córki. Dziewczyna jak zwykle była pewna siebie, chwaliła się sukcesami, snuła miliony planów i chciała wcielać w życie wszystkie naraz. Czasami, pomyślała Hope, chcieć za nią nadażyć to jakby próbować objąć pięć palmy podczas huraganu. Ashley miała w sobie jakąś wrodzoną dynamikę.

- Nie wiem - zaprzeczyła z uśmiechem Sally. - Robiła różne rzeczy i spotykała się z różnymi ludźmi. Ze znajomymi z liceum, z którymi nie widziała się od lat. Prawie nie miała czasu dla nudnej starej matki. Czy dla partnerki nudnej starej matki. Albo, jak sądzę, także dla swojego nudnego starego ojca.

Hope przytaknęła.

Sally odsunęła się od stołu.

- Och, zobaczymy, jak się sprawy potoczą. Jeśli Ashley ma jakiś kłopot, zadzwoni i poprosi o radę lub pomoc. Nie twórzmy problemów na siłę, dobrze? Właściwie żałuję, że poruszyłam ten temat. Gdyby Scott nie był taki zdenerwowany... To znaczy nie tyle zdenerwowany, ile zatroskany. Myślę, że na starość dostaje lekkiej paranoi. Do diabła, wszyscy dostajemy, prawda? A Ashley, no cóż, ona ma tyle energii. Najlepiej po prostu pozwolić jej, żeby załatwiła wszystko po swojemu.

Hope skinęła głową.

- Słowa mądrej matki - powiedziała. Zaczęła sprzątać talerze, ale kiedy sięgnęła po kieliszek na długiej nóżce, szkło pękło jej w dłoni, a kawałek podstawki odłamał się i rozprysnął na podłodze. Spojrzała w dół, spostrzegła, że czubek jej wskazującego palca krwawi. Przez chwilę patrzyła, jak krew się zbiera i zaczyna kapać z ranki w rytmie zsynchronizowanym z biciem jej serca.

Przez jakiś czas oglądały razem telewizję, a potem Sally oznajmiła, że idzie spać. Była to informacja, a nie zaproszenie. Nie towarzyszyło jej nawet zwyczajowe cmoknięcie w policzek na dobranoc. Hope ledwie uniosła wzrok znad studenckich prac, które przeglądała, ale spytała Sally, czy nie chciałaby przyjść na jeden lub dwa mecze w najbliższych tygodniach. Sally nie dała jej jednoznacznej odpowiedzi i zniknęła na schodach prowadzących do ich wspólnej sypialni.

Hope opadła na kanapę, spojrzała na Bezimiennego, który do niej podszedł. Gdy usłyszała szum wody w łazience na górze, klapnęła dłonią w miejsce obok siebie, zapraszając psa, by wskoczył. Nigdy nie robiła tego przy Sally, która nie akceptowała niefrasobliwego stosunku Bezimiennego do mebli. Sally lubiła, by każdy miał określony status, pomyślała. Psy na podłodze. Ludzie na fotelach. Jak najmniej bałaganu - to była jej druga natura, natura prawnika. Jej praca zawodowa polegała na prostowaniu niejasności, łagodzeniu konfliktów, wynajdywaniu rozsądnych rozwiązań. Tworzenie zasad i wytycznych, ustalanie sposobów postępowania i definiowania zjawisk - Hope wcale nie miała pewności, czy dobra organizacja daje więcej wolności.

Lubiła, kiedy w jej życiu był pewien nieporządek, i uważała, że ma w sobie coś z buntowniczką.

Odruchowo pogłaskała Bezimiennego, a on raz czy dwa uderzył ogonem, po czym przymknął oczy. Hope słyszała kroki Sally na górze, a potem zobaczyła, że cień rzucany przez światło w sypialni zniknął ze schodów.

Odchyliła głowę na oparcie; pomyślała, że być może kryzys ich związku jest o wiele poważniejszy, niż przypuszczała, chociaż nie umiała wskazać jego przyczyn. Wydawało się jej, że przez większą część ostatniego roku Sally była ciągle rozkojarzona, myślami przebywała gdzie indziej. Hope zastanawiała się, czy można odkochać się równie szybko, jak one się w sobie zakochały. Wypuściła powoli powietrze z płuc, przesunęła się na kanapie i przestała się martwić partnerką, kierując swoją uwagę na Ashley.

Nie знаła dobrze Scotta i w ciągu prawie piętnastu lat rozmawiała z nim może kilka razy, co, musiała przyznać, nie było normalne. Swoje wyobrażenia na jego temat budowała na podstawie słów Sally i Ashley,

ale nie uważała go za człowieka, który bez powodu przejmowałby się czymś tak banalnym jak anonimowy list miłosny. Jako trenerka i szkolna psycholog Hope widziała już tyle niebezpiecznych i dziwacznych związków, że zawsze była skłonna zachowywać czujność.

Jeszcze raz szturchnęła Bezimiennego, ale on nawet nie drgnął.

To banalne, pomyślała, że ktoś o takiej orientacji seksualnej jak ja nie ufa żadnemu mężczyźnie bez wyjątku. Z drugiej strony była świadoma, jakie szkody mogą pociągnąć za sobą niekontrolowane uczucia młodych ludzi.

Spojrzała w górę, jakby mogła przeniknąć wzrokiem strop i dotrzeć do tego, o czym rozmyśla leżąca w łóżku Sally. Hope wiedziała, że jej partnerka ma kłopoty z zasypianiem. A kiedy udawało jej się zasnąć, rzucała się i przekręcała z boku na bok, jakby miała złe sny. Zastanawiała się, czy Ashley miała podobne kłopoty ze snem. Uświadomiła sobie, że jest to pytanie, na które chyba powinna znaleźć odpowiedź, lecz nie wiedziała, w jaki sposób.

Nie miała pojęcia, że w tej samej chwili Scott również nie śpi dręczony tym samym problemem.

Boston jest niczym kameleon. Cechy tej, jak sądzę, brak innym miastom. W pogodny niedzielny poranek wydaje się tryskać energią i pomysłami. Czuje się tu atmosferę sprzyjającą zdobywaniu wiedzy, niezmiennosc i siłę. Ale przejdź się tymi samymi ulicami, gdy mgła napływa od portu, kiedy mróz przenika powietrze albo gdy poplamione brudem resztki zimowego śniegu pokrywają ulice - Boston zmienia się w miejsce zimne i okrutnie surowe, ujawniając swoją ciemniejszą stronę.

Patrzyłem, jak mrok późnego popołudnia gęstnieje powoli na Dartmouth, i czułem ciepłe powietrze płynące znad Charles. Z miejsca gdzie stałem, nie mogłem dojrzeć rzeki, choć znajduje się zaledwie parę przecznic dalej. Nieopodal biegła ulica Newbury ze swoimi modnymi sklepami i elitarnymi galeriami, niewielki dystans dzielił mnie także od szkoły muzycznej Berklee: przyległe chodniki były pełne początkujących muzyków; dobrze się zapowiadających punków, piosenkarzy, przyszłych wybitnych pianistów. Długowłosych, z włosami nastroszonymi i pomalowanymi w jaskrawe kolory. Spostrzegłem też bezdomnego; mamrotał coś do siebie, kołysząc się w przód i w tył zwrócony plecami w stronę muru jakiegoś domu. Być może słyszał wiele głosów, a może tylko jeden - głodu. Na sąsiedniej ulicy bmw zatrąbiło na paru studentów, którzy nieprawidłowo przechodzili przez jezdnię, a potem pomknęło szybko naprzód z piskiem opon.

Zatrzymałem się na chwilę i pomyślałem, że tym, co czyniło Boston miastem jedynym w swoim rodzaju, była jego zdolność łączenia wielu

różnych nurtów i tendencji. Nic dziwnego, że w mieście o tylu tożsamościach Michael O'Connell znalazł swój dom.

Nie znałem go jeszcze dobrze. Ale miałem wrażenie, że wyczuwam, kim był.

Wobec tej samej tajemnicy stanęła także Ashley.

## 6. Smak tego, co miało nadejść

Czekała do południa. Nie była w stanie wyjść z łóżka, dopóki światło słoneczne nie zaczęło się wlewać przez okna, a ulice obok jej domu nie zaczęły rozbrzmiewać uspokajającym gwarem. Przez jakiś czas spoglądała przez pokryte smugami szyby, jakby chciała przekonać samą siebie, że skoro na zewnątrz wszystko odbywa się zgodnie z normalnym rytmem dnia, również w jej życiu nie może wydarzyć się nic, co odbiegałoby od ustalonego porządku. Podążyła wzrokiem za pierwszym, potem za następnym przechodniem. Choć nikogo nie rozpoznała, wszyscy wydawali jej się dobrymi znajomymi. Każdy odpowiadał jakiemś typowi łatwemu do zidentyfikowania. Biznesmen. Student. Kelnerka. Przechodnie zmierzali przed siebie zdecydowanym krokiem. Tworzyli świat, który leżał poza jej zasięgiem, świat ludzi dążących do określonych celów.

Ashley miała wrażenie, jakby była wyspą wśród nich. Przez chwilę czuła żal, że nie ma współlokatorki lub dobrej przyjaciółki. Kogoś, komu mogłaby się zwierzyć, kto usiadłby obok niej na łóżku, sącząc herbatę, gotów śmiać się lub płakać, wyrażać szczerze z troskanie. Pomyślała, że zna milion ludzi w Bostonie, ale nikogo, komu mogłaby powiedzieć o swoich problemach, a już na pewno nie o tym, jakim był dla niej Michael O'Connell. Miała stu przyjaciół i nie miała żadnego. Odwróciła się do biurka, na którym stał laptop, zawalonego jej niedokończonymi pracami, tekstami oraz kilkunastoma płytami CD. Grzebała przez chwilę w tym bałaganie i w końcu znalazła kawałek papieru z zanotowanym numerem. Po czym, westchnąwszy głęboko, wybrała numer telefonu Michaela O'Connella.

Usłyszała dwukrotny sygnał, zanim odebrał.

- Tak?

- Michael, mówi Ashley...

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Chciała wyrazić to, co pragnęła mu powiedzieć, za pomocą stanowczych i jednoznacznych słów. Ale stało się inaczej - pozwoliła się ponieść emocjom.



- Nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek jeszcze dzwonił do mnie - wybuchnęła.

O'Connell nie odpowiedział.

- Kiedy zadzwoniłeś dziś rano, jeszcze spałam. Bardzo się przestraszyłam...

Czekała na przeprosiny. Może na jakieś usprawiedliwienie albo wyjaśnienia. Nie usłyszała niczego takiego.

- Proszę, Michael - dodała. Zabrzmiało to zupełnie tak, jakby prosiła, by zechciał łaskawie coś dla niej zrobić.

O'Connell wciąż nie odpowiadał.

- Posłuchaj, to była tylko jedna noc. Bawiliśmy się nieźle, wypiliśmy parę drinków i posunęliśmy się trochę za daleko. Chociaż tego nie żałuję, nie było w tym jednak tego, czego chciałam. Jeśli nie rozumiałeś moich odczuć, przykro mi, przepraszam cię. Nie możemy się rozstać jak przyjaciele? Niech każde z nas idzie dalej swoją drogą.

Słyszała w słuchawce jego oddech, ale nadal się nie odzywał.

- No więc - ciągnęła, mając świadomość, że wszystko brzmi coraz bardziej nieprzekonująco i coraz żałośniej - nie przysyłaj mi już więcej żadnych listów, zwłaszcza takich jak ten, który dostałam w zeszłym tygodniu. To był list od ciebie, prawda? Musiał być od ciebie. Wiem, że jesteś bardzo zajęty i masz mnóstwo spraw na głowie. Ja też jestem pochłonięta pracą i studiami. Nie mogę sobie teraz pozwolić na poważny związek, zupełnie nie mam na to czasu. Wiem, że to zrozumiesz. Oboje jesteśmy zaangażowani w tak wiele różnych spraw, że to nie jest odpowiednia pora ani dla mnie, ani dla ciebie. Sam chyba to widzisz, prawda?

Jej pytanie zawisło w powietrzu otoczone ciszą jego milczenia. Skorzasta z tej ciszy, jakby była objawem uległości z jego strony.

- Naprawdę doceniam, że mnie słuchasz, Michael. I wierz mi, życzę ci jak najlepiej. Może kiedyś w przyszłości połączy nas bliższa przyjaźń. Ale nie teraz, dobrze? Przykro mi, jeśli czujesz się rozczarowany. Ale jeśli naprawdę mnie kochasz, tak jak mówisz, zrozumiesz, że chcę być niezależna i nie mogę w tym momencie wiązać się z nikim. Nigdy nie możemy przewidzieć, co przyniesie przyszłość, ale teraz nie mogę się w coś takiego angażować, rozumiesz? Chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi, zgoda?

Słyszała, jak on oddycha. Wciągał i wypuszczał powietrze, miarowo, bez pośpiechu.

- Posłuchaj. - W jej głosie pojawił się ton irytacji, a jednocześnie za brzmiała nuta rozpacz. - Nie znamy się. To było tylko raz i oboje byliśmy trochę pijani, prawda? Jak możesz mówić, że mnie kochasz? Jak

możesz mówić takie rzeczy? Jesteśmy stworzeni dla siebie? Nie możesz żyć beze mnie? Przecież to nie ma sensu. Żadnego sensu. Ja chcę tylko, żebyś zostawił mnie w spokoju, dobrze? Znajdziesz sobie kogoś innego, kto będzie odpowiedni dla ciebie. Wiem, że tak się stanie. Ale ja nie jestem tą osobą. Proszę, Michael, zostaw mnie w spokoju. Dobrze?

O'Connell nie odezwał się nawet słowem; po prostu się roześmiał. Ten śmiech dotarł do Ashley wzdłuż linii telefonicznej jak coś obcego i odległego. Przecież nic z tego, co przed chwilą powiedziała, nie było w najmniejszym stopniu śmieszne czy choćby ironiczne. Zmroził ją całkowicie.

A potem się rozłączył.

Przez parę sekund stała wpatrzona w trzymaną w rękę słuchawkę, zastanawiając się, czy ta rozmowa naprawdę się odbyła. Na moment utraciła nawet pewność, czy Michael rzeczywiście był na drugim końcu linii, ale potem przypomniała sobie to jedno słowo „tak”, które wypowiedział, co rozwiało wszelkie jej wątpliwości. Ostrożnie odłożyła słuchawkę, a potem rozejrzała się pospiesznie po mieszkaniu, jakby w obawie, że ktoś skoczy w jej stronę. Docierały do niej stłumione odgłosy przejeżdżających pojazdów, ale to w niewielkim stopniu złagodziło uczucie osamotnienia, które nią owładnęło.

Ashley osunęła się na brzeg łóżka, nagle wyczerpana, lży zakręciły się w kącikach jej oczu. Czuła się poniżona.

W gruncie rzeczy nie rozumiała tej sytuacji, domyślała się tylko, że coś zaczynało nabierać szybkości i sunęło niebezpiecznie naprzód. Nie wymknęło się jeszcze spod kontroli, ale było już na granicy. Otarła oczy z mocnym postanowieniem, że musi zapanować nad emocjami.

- Powinnaś wcześniej przemyśleć to, co zamierzasz powiedzieć - stwierdziła głośno. Gdy usłyszała, jak jej głos odbił się echem od ścian niewielkiego mieszkania, poczuła niepokój. Próbowała sprawić wrażenie silnej, przynajmniej taka być pragnęła, ale zamiast tego wydała się słaba, skłonna do tego, by błagać, i płaczliwa, chociaż uważała, że te cechy były jej obce. Zmusiła się, żeby wstać z łóżka. - Jasna cholera - mruknęła, po czym dodała szybko: - Co za cholerna pieprzona sytuacja. - Wyrzuciła jeszcze z siebie potok przekleństw, w którym znalazły się wszystkie obrzydliwe, ordynarne i nieprzyzwoite słowa, jakie mogła sobie przypomnieć, istny wodospad bezsilnego gniewu. Potem spróbowała się uspokoić. - To po prostu zwykła menda - powtórzyła na głos. - Poznałaś już w życiu parę mend.

Nie była to prawda i Ashley w głębi duszy o tym wiedziała. Jednak poczuła się lepiej, słysząc własny głos pełen determinacji i wściekłości. Rozejrzała się wokół, wzięła ręcznik i ruszyła zdecydowanym krokiem do małej łazienki. W ciągu paru sekund rozebrała się i uruchomiła gorący

prysznic. Gdy wchodziła pod parujący strumień, zdała sobie sprawę, że po rozmowie z Michaeliem O'Connellem poczuła się brudna. Zaczęła trzeć skórę do czerwoności, jakby chciała usunąć jakiś niechciany zapach albo wżartą głęboko plamę.

Po wyjściu spod prysznica zerknęła w lustro i starła odrobinę pary ze szkła, po czym spojrzała sobie głęboko w oczy.

- Ułóż plan działania. Zignoruj tę mendę, wtedy po prostu zniknie. - Prychnęła i naprężyła mięśnie ramion. Przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze: krągłe piersi, płaski brzuch, jędrne uda. Jestem szczupła, atrakcyjna, w dobrej formie, pomyślała. Uważała się za sprawna fizycznie.

Ashley wróciła do sypialni. Czowała potrzebę włożenia na siebie czegoś nowego, innego niż zwykle, czego nie nosiła na co dzień. Wepchnęła laptop do plecaka, potem sprawdziła, czy ma pieniądze w portmonetce. Zamierzała spędzić dzień mniej więcej tak jak zwykle: pójść do biblioteki w muzeum, poszperać wśród stosów książek z zakresu historii sztuki, przejrzeć niektóre opracowania, a potem iść do pracy. Parę jej esejów wymagało ostatecznego szlifowania i pomyślała, że jeśli zagłębi się w teksty, ryciny i reprodukcje wielkich obrazów, łatwiej jej będzie zapomnieć o Michaelu O'Connellu...

Upewniwszy się, że ma już wszystko, czego może potrzebować, złapała klucze i otworzyła szeroko drzwi prowadzące na korytarz.

Nagle stanęła jak wryta.

Spojrzała w dół i poczuła, jak przeszywa ją straszny chłód. Wydało jej się, że lód utkwił jej w gardle.

Do ściany na wprost jej drzwi ktoś przykleił taśmą dwanaście róż.

Martwych. Zwiędłych i rozpadających się róż.

Gdy patrzyła na nie, czerwony jak krew płatek, już poczerniał od starości, oderwał się i sfrunął na podłogę, jakby uniesiony samą siłą jej spojrzenia. Przez chwilę bezradnie wpatrywała się w bukiet.

Scott siedział przy biurku w swoim niewielkim uczelnianym gabinecie, obracał ołówek między palcami prawej dłoni i zastanawiał się nad tym, jak mógłby ingerować w życie swojego prawie dorosłego dziecka, zachowując się w sposób dostatecznie delikatny. Gdyby Ashley była nastolatką czy małą dziewczynką, mógłby podniesionym, gniewnym głosem zażądać, by mu powiedziała to, co chciał, nawet gdyby miało to wywołać szloch, urazy i inne reakcje, typowe w relacjach między dziećmi a rodzicami. Ashley była właśnie w pół drogi pomiędzy młodością a dorosłością i Scott zupełnie nie wiedział, jaką metodę postępowania

powinien przyjąć. A gdy tak zwlekał z decyzją i nie robił zupełnie nic, z każdą sekundą narastało w nim uczucie niepokoju.

Musiał działać w sposób subtelny, ale skuteczny.

Otaczały go historyczne teksty i reprodukcja Deklaracji Niepodległości w taniej ramce. Trzy fotografie Ashley stały w rogu jego biurka i wisiały na ścianie, naprzeciwko której siedział. Największe wrażenie robiło na Scotcie zdjęcie wykonane podczas szkolnego meczu koszykówki - miała na nim skupioną, pełną napięcia twarz, a rudawoblond koński ogon podfrunął, kiedy skoczyła w górę i odebrała piłkę dwóm dziewczynom z przeciwnej drużyny. Scott miał w gabinecie jeszcze jedną fotografię, ale trzymał ją w górnej szufladzie biurka. Było to jego zdjęcie zrobione, kiedy miał dwadzieścia lat, a więc tylko trochę mniej niż jego córka obecnie. Siedział na skrzynce z amunicją, obok lśniącego stosu pocisków, tuż za haubicą kaliber 125 milimetrów. Hełm położył przy nogach na ziemi i palił papierosa, co, biorąc pod uwagę bliskość wybuchowego materiału, nie było chyba rozsądne. Miał znużony wyraz twarzy i sprawiał wrażenie, że jest nieobecny duchem. Czasami Scott myślał, że ta fotografia to jego jedyna rzeczywista pamiątka z okresu, który spędził na wojnie. Oprawił ją, a później przechowywał w sekrecie. Nigdy nie pokazał tego zdjęcia Sally; nawet wtedy, gdy miała się urodzić Ashley i kiedy wydawało się im, że wciąż się kochają. Przez moment zastanawiał się, czy Sally kiedykolwiek pytała go o tamten okres w jego życiu. Scott poprawił się na krześle. Myślenie o własnej przeszłości wprawiało go w nerwowy nastrój. Lubił się zastanawiać nad historią innych ludzi, nie nad własną.

Zakołysał się w przód i w tył, po czym zaczął odtwarzać w wyobraźni kolejne słowa listu. I wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Jedną z dobrych i niedobrych zarazem cech Scotta było to, że nigdy nie wyrzucał wizytówek ani skrawków papieru, na których notował nazwiska i numery telefonów. Można by to nazwać łagodną obsesją chomikowania. Poszukiwania w szufladach biurka i segregatorach zajęły mu niemal pół godziny, ale w końcu znalazł to, czego szukał. Miał nadzieję, że numer telefonu jest jeszcze aktualny.

Po trzecim sygnale usłyszał znajomy głos.

- Halo?

- Czy to Susan Fletcher?

- Tak, kto mówi?

- Susan, tu Scott Freeman, ojciec Ashley... pamiętasz ją z pierwszego i drugiego roku studiów?

Nastąpiła chwila wahania, a potem na drugim końcu linii głos odezwał się znowu. Tym razem Scott usłyszał w nim wyraźną radość.

- Pan Freeman, oczywiście, to już parę lat temu...
  - Czas rzeczywiście szybko pędzi, prawda?
  - Na pewno. O rety, co z Ashley? Nie widziałam jej od miesiący...
  - Tak naprawdę dzwonię z jej powodu.
  - Jest jakiś problem?
- Teraz z kolei Scott się zawahał.
- Być może.

Susan Fletcher była młodą energiczną kobietą. Zawsze rozważała kilka pomysłów i planów naraz, wykorzystując do tego zarówno swój umysł, jak i komputer. Była niewysoka, ciemnowłosa, zasadnicza aż do przesady i niesłuchanie energiczna. Gdy tylko skończyła studia, porwał ją największy bank inwestycyjny First Boston. Pracowała w dziale planowania finansowego.

Stała przed oknem biurowego boksu, patrząc, jak samoloty jeden po drugim lądowały na płycie lotniska Logana. Była lekko zaniepokojona po rozmowie ze Scottem Freemanem i nie miała pewności, jak powinna postąpić, mimo że uspokoiła go, oznajmiając, że poradzi sobie z tą sytuacją.

Susan lubiła Ashley, choć od czasu, kiedy rozmawiały ze sobą po raz ostatni, minęły prawie dwa lata. Zostały współlokatorkami na pierwszym roku studiów w college'u. Były bardzo zaskoczone tym, jak różnią się od siebie, a potem jeszcze bardziej, gdy odkryły, że ich wzajemne stosunki układają się całkiem dobrze. Trzymały się razem na drugim roku, aż obie opuściły kampus; od tej pory ich kontakty stały się znacznie rzadsze. Widywały się jednak od czasu do czasu. Podczas spotkań obie czuły się odprężone i swobodne, zaśmiewały się głośno i szczerze. Nie miały już ze sobą wiele wspólnego. Susan zapytana, czy poprosiłaby Ashley na druhnę na swoim ślubie, odpowiedziałyby: nie. Ale darzyła wielką sympatią swoją byłą współlokatorkę. W każdym razie tak jej się wydawało.

Spojrzała w stronę telefonu.

Z jakiegoś powodu, którego nie umiała do końca określić, czuła się zażenowana tym, o co ją poprosił ojciec Ashley. Ujmując rzecz uczciwie, było to zadanie zbliżone do szpiegowania. Z drugiej strony mogła to być tylko przesadna, nieuzasadniona ojcowska troska. W zasadzie nic nie stało na przeszkodzie, by zadzwoniła do Ashley, upewniła się, że nie ma żadnych powodów do obaw, potem oddzwoniła do Scotta Freemana i wszyscy troje żyliby tak jak dotąd. A przy tym, pomyślała, dodatkową korzyścią w całej sprawie była okazja do ponownego nawiązania kontaktu z przyjaciółką.

Gdyby wywołało to jakieś irytujące skutki uboczne, pomyślała, sprawa toczyłaby się pomiędzy Ashley i jej ojcem. Odczuwając już tylko

drobne wątpliwości, chwyciła za telefon stojący na biurku, spojrzała jeszcze raz na pierwsze warstwy mroku spływającego na lotnisko i wybrała numer Ashley.

Rozległo się pięć sygnałów, zanim ktoś podniósł słuchawkę, właśnie w momencie gdy Susan zamierzała już pozostawić wiadomość.

- Słucham?

Głos przyjaciółki brzmiał oschle, co zaskoczyło Susan.

- Hej, wolna dziewczyno, co słyhać?

Susan, w sposób łagodnie poufały, posłużyła się przezwiskiem Ashley nadanym jej na pierwszym roku studiów. Chodziły razem na seminarium na temat sytuacji kobiet w XX wieku i pewnego wieczoru, po kilku piwach doszły zgodnie do wniosku, że wolny człowiek\* brzmi seksistowsko i niewłaściwie, wolna kobieta wydawała im się określeniem pretensjonalnym. Najodpowiedniejsze byłoby: wolna dziewczyna.

\* W oryginale *free-man*. Chodzi tu o podwójne znaczenie słowa: człowiek albo mężczyzna. Polskie: wolny człowiek nie brzmi seksistowsko, lecz angielskie *free-man* może dla kogoś tak zabrzmieć (przyp. tłum.).

Ashley czekała na ulicy przed Młotem i Kowadłem z podniesionym wysoko kołnierzem kurtki, by ochronić się przed wiatrem; czuła, jak chłód od ziemi przenika przez jej buty. Wiedziała, że przyszła parę minut za wcześniej. Spóźnianie się było dla Susan czymś niezgodnym z jej naturą. Ashley spojrzała na zegarek i w tym samym momencie usłyszała dźwięk klaksonu samochodowego.

Susan Fletcher opuściła szybę auta i jej promienny uśmiech przedarł się przez mrok wczesnego wieczoru.

- Hej, wolna dziewczyno! - krzyknęła ze szczerym entuzjazmem. - Nie sądziłaś chyba, że każę ci na siebie czekać, prawda? Wejdz do środka i zajmij dla nas stolik. Zaparkuję nieco dalej. Zajmie mi to dwie minuty.

Ashley pomachała jej dłonią i przez chwilę przyglądała się, jak Susan oddala się od krawężnika. Ładny, elegancki, nowy samochód, pomyślała. Gdy zobaczyła, że Susan zjechała na Park and Lock, jedną przecnicę dalej, weszła do restauracji.

Susan wjechała na trzeci poziom, gdzie stało znacznie mniej samochodów, by zatrzymać swoje nowe audi w miejscu, w którym prawdopodobnie nie zostanie porysowane przez inny zbyt blisko parkujący samochód. Auto miało dopiero dwa tygodnie i było w połowie prezentem od dumnych z jej osiągnięć rodziców, a w połowie upominkiem, jaki sprawiła sama sobie. Za nic w świecie nie pozwoliłaby, żeby w centrum Bostonu ktoś je podrapał.

Włączyła system alarmowy i szybko zeszła po schodach, zamiast czekać na windę. Po paru minutach była już wewnątrz Młota i Kowadła, zdjęła płaszcz i podeszła do Ashley, przed którą stały dwie wysokie szklanki z piwem.

Objęły się na powitanie.

- Hej, współlokatoro - powiedziała Susan - nie czekałaś chyba zbyt długo.

- Zamówiłam dla ciebie piwo, ale może, skoro jesteś teraz taką ważną bizneswoman i mieszkanką Wall Street, bardziej odpowiednia byłaby szkocka z lodem albo wytrawne martini - powiedziała Ashley.

- To jest piwny wieczór - odparła Susan. - Ashley, wyglądasz wspa-  
niale.

Nieprawda, pomyślała. Jej dawna przyjaciółka była blada i sprawiała wrażenie podenerwowanej.

- Tak uważasz? Nie wydaje mi się...

- Coś cię gryzie?

Ashley zawahała się, wrzuciła ramionami i omiotła spojrzeniem restaurację. Jasno płonące lampy, lustra. Toasty przy sąsiednim stoliku. Czująca się do siebie para przy innym. Gwar wesółych głosów. Poczula się tak, jakby to, co się jej przydarzyło tego poranka, miało miejsce w jakimś dziwnym równoległym wszechświecie. W tym momencie nie otaczało jej nic oprócz uczucia beztróskiego oczekiwania.

Westchnęła.

- Ach, Susie, poznałam kreaturę. To wszystko. W pewnym sensie wkurzył mnie trochę. Ale nie za bardzo.

- Wkurzył cię? Co takiego zrobił?

- Nie zrobił nic, chodzi bardziej o to, co sugeruje. Mówi, że mnie kocha. Jestem rzekomo dziewczyną przeznaczoną dla niego. Żadna inna nie będzie odpowiednia. Nie może beze mnie żyć. Jeżeli on nie będzie mnie miał, nie będzie miał mnie nikt. Różne takie pierdoły. To jest w ogóle bez sensu. Spaliśmy raz ze sobą, mój wielki błąd. Próbowałam mu delikatnie wyjaśnić, że się pomylił co do mnie, powiedzieć: dziękuję, ale nie mam ochoty. Sądziłam, że to poskutkowało, ale gdy wychodziłam dzisiaj z domu, okazało się, że zostawił kwiaty pod moimi drzwiami.

- Cóż, kwiaty to brzmi prawie tak, jakby był dżentelmenem.

- Martwe kwiaty.

Susan milczała przez chwilę.

- To nie brzmi uspokajająco. Skąd wiesz, że to on?

- Nie wierzę, że mógłby to być ktoś inny.

- Więc co zamierzasz teraz zrobić?

- Zrobić? Po prostu zignoruję mendę. Odczepi się. Oni zawsze tak robią, wcześniej czy później.

- Doskonały plan, wolna dziewczyno. Wygląda na to, że rzeczywiście przemyślałaś całą sprawę.

Ashley zaśmiała się, chociaż to nie było śmieszne.

- Coś na pewno wymyślę. Wcześniej lub później.

Susan uśmiechnęła się szeroko.

- To mi przypomina kurs rachunku różniczkowego, który miałaś na pierwszym roku. Odkładałaś problem aż do końcowych egzaminów.

- Nigdy nie byłam dobra z matematyki. W dużym stopniu zawdzięczam to mamie. Myślę, że ona wyciągnęła właściwe wnioski i wtedy po raz ostatni zapytała mnie, jakie mam zajęcia.

Młode kobiety pochyliły ku sobie głowy i wybuchnęły śmiechem. Niewiele jest rzeczy na świecie tak uspokajających jak spotkanie ze starą przyjaciółką, która, choć żyje teraz w nowym i osobnym świecie, wciąż pamięta te same żarty, pomyślała Ashley.

- Och, już dość o tej mendzie. Poznałam innego faceta, który wydaje się całkiem do rzeczy. Mam nadzieję, że zadzwoni do mnie znowu.

Susan się uśmiechnęła.

- Ash, gdy mieszkałam z tobą, zauważyłam, że chłopcy zawsze dzwonią do ciebie ponownie.

Nie zadawała już innych pytań, nie usłyszała też nazwiska wielbiciela. Ale uznała, że i tak dowiedziała się wiele.

Po sporej ilości jedzenia i picia oraz przypomnieniu sobie więcej niż kilku starych dowcipów wyszły z Młota i Kowadła. Ashley objęła Susan w długim uścisku.

- Cudownie było zobaczyć cię znowu, Susie. Powinnyśmy częściej się spotykać.

- Gdy skończysz już z tymi swoimi zajęciami i całą bieżączką, zadzwoń do mnie. Może zaczniemy się spotykać raz w tygodniu? Będziesz mogła z całą swoją artystyczną wrażliwością odnosić się do moich narzekania na głupich szefów i durne modele biznesowe.

- Chciałabym - powiedziała Ashley.

Zrobiła krok do tyłu i zapatrzyła się w nowoangielską noc. Niebo było czyste i za rozproszonymi lampami ulicznymi i budynkami widziała tylko baldachim gwiazd rozsypanych po jego niebieskoczarnych przestrzeniach.

- Jeszcze jedno, Ash - powiedziała Susan, szukając po kieszeniach kluczy od samochodu. - Trochę mnie niepokoi ten facet, który cię tak wkurza...



- Michael? Michael O'Menda... - powiedziała Ashley i machnęła lekceważąco ręką, ale sama wyczuła fałszywy ton w swoim głosie. - Uwolnię się od niego w ciągu paru najbliższych dni, Susie. Facetom takim jak on wystarcza wyraźne, twarde nie. Potem przez jakiś czas żalą się i skarżą, a wreszcie idą do baru, gdzie z kumplami ogląda się widowiska sportowe w telewizji i pije piwo. W końcu wszyscy zgodnie stwierdzają, że kobiety to kurwy, i na tym sprawa się kończy.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Ale byłabym marną przyjaciółką, gdybym ci nie powiedziała, że możesz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy, jeśli ten facet się nie odczepi.

- Dzięki, Susie, jestem ci naprawdę wdzięczna. Ale nie martw się o nic.

- Och, pamiętasz przecież, wolna dziewczyno, że martwienie się było moją specjalnością.

Wybuchnęły śmiechem, uściślały się raz jeszcze, po czym Ashley odwróciła się i ruszyła wzdłuż ulicy, przechodząc przez pasma światła odbitego od neonowych szyldów nad witrynami sklepowymi i restauracjami. Susan Fletcher przez chwilę odprowadzała ją wzrokiem, a potem także się odwróciła. Nigdy do końca nie wiedziała, jaka naprawdę jest Ashley; w tajemniczy sposób łączyła w sobie naiwność z wyrafinowaniem. Nie było w tym nic dziwnego, że pociągała chłopców, ale, myślała Susan, pozostała nieuchwytna i samotna. Nawet sposób, w jaki się poruszała, zanurzając się co chwilę w mroku, kojarzył się jej z jakimś innym światem. Susan wciągnęła głęboko do płuc chłodne nocne powietrze i poczuła mróz na wargach. Było jej trochę głupio, bo nie powiedziała przyjaciółce, że to za sprawą Scotta doszło do ich spotkania, że jej telefon nie był przypadkowy. Przesząpiła z nogi na nogę, czując się nieco nie w porządku wobec Ashley. Nie była wobec niej całkowicie szczerą, wobec jej ojca także; tak naprawdę nie dowiedziała się dla niego zbyt wiele. Michael O'Kreatura, powiedziała do siebie. I martwe kwiaty.

To albo było bez znaczenia, albo było czymś przerażającym, a Susan nie wiedziała, jak jest naprawdę. Nie wiedziała też, którą z tych różnych opinii miała przekazać Scottowi Freemanowi.

Prychnęła głośno, podwójnie niezadowolona, i ruszyła szybko w stronę Park and Lock odległego o półtorej przecznicy. Trzymała klucze w dłoni, a palec na pojemniczku z gazem łzawiącym przytwierdzonym do łańcuszka z kluczami. Susan nieczęsto w życiu odczuwała strach, ale wiedziała też, że odrobina przezorności nie zaszkodzi. Żałowała, że nie włożyła bardziej praktycznych butów. Idąc, słyszała odgłosy dobiegające z ulicy i stukot swoich obcasów na chodniku. Nagle przytłoczyło ją uczucie

samotności, jakby była ostatnią osobą, która pozostała o tej porze na ulicy. Zawahała się i rozejrzała wokół. Nie dostrzegła nikogo na chodniku. Przystanęła i próbowała zajrzeć do pobliskiej restauracji, ale okno było zasłonięte. Zatrzymała się, wzięła głęboki oddech i odwróciła się za siebie.

Nie dostrzegła nikogo. Ulica za nią była zupełnie pusta.

Susan pokręciła głową. Rozmowa i myślenie o jakimś dziwnym facecie musiały trochę ją rozstroić. Oddychała teraz powoli, napełniając płuca rześkim powietrzem. Martwe kwiaty. Było w tych słowach coś, co potrafiło w niej jakąś fałszywie brzmiącą strunę i spowodowało, że jej każdy kolejny krok stał się dziwnie niezdecydowany. Przystanęła raz jeszcze. Przestraszona, zziębnięta, owinęła się szczelniej płaszczem i pochyliwszy się do przodu, ruszyła szybszym krokiem przez mroczną ulicę.

Obracała się to w prawo, to w lewo, ale nie zobaczyła nikogo. Mimo to miała wrażenie, że ktoś za nią idzie. Powtarzała sobie, że jest sama na ulicy, ale to jej nie uspokoiło, więc po prostu znowu przyspieszyła.

Po paru krokach przeszył ją dziwny prąd, teraz silniejszy, jakby ją ktoś obserwował. Znowu się zawahała, omiotła wzrokiem przestrzeń wokół, badając okna w budynkach biurowych i szukając pary oczu, które - była tego pewna - śledziły każdy jej krok. Ponownie nie dostrzegła niczego, co mogło sprawić, że owładnęło ją uczucie zimnego, ściskającego gardło strachu.

Bądź rozsądna, nakazywała sobie. I znów przyspieszyła kroku. Poruszała się teraz z maksymalną szybkością, na jaką pozwalały jej wysokie obcasy. Czowała, że wszystko, co zrobiła, było niewłaściwe, że łamała wszelkie zasady bezpieczeństwa w mieście; że pozwoliła sobie na rozkojarzenie i sama postawiła się w pozycji osoby bezbronnej. Tyle że nie potrafiła dostrzec źródła zagrożenia, a to powodowało, że sunęła do przodu jeszcze szybciej.

W pewnym momencie pośliznęła się i straciła równowagę; nie upadła, ale upuściła torebkę. Porwała z ziemi szminkę, długopis i portfel, które rozsypały się na chodniku. Wepchnęła wszystko z powrotem do torebki i zarzuciła ją sobie na ramię.

Od wejścia do Park and Lock dzieliło ją tylko kilka metrów, prawie biegiem dopadła szklanych drzwi. Przecisnęła się przez wąskie przejście, oddychając z trudem. Po drugiej stronie grubej ściany z pustaków znajdowała się budka, w której dyżurował parkingowy inkasujący należność od odjeżdżających kierowców. Zastanawiała się przez chwilę, czy usłyszałby, gdyby go zawołała. Wątpiła w to. Wątpiła zresztą i w to, że mógłby jej pomóc.

Panuj nad sytuacją, pouczyła samą siebie. Odszukaj swój samochód. Odjedź stąd. Przestań się zachowywać jak dziecko.

Przez chwilę patrzyła na klatkę schodową tonącą w mroku i pełną cieni.

Odwróciła się, nacisnęła przycisk windy i czekała. Nie odrywała oczu od małych światełek monitorujących ruch windy. Drugi poziom. Pierwszy poziom. Parter. Najniższy poziom. Drzwi otworzyły się z drzeniem i trzaskiem.

Susan zrobiła krok do przodu i nagle przystanęła. Jakiś mężczyzna w ciepłej kurtce i czapce narciarskiej, odwróciwszy twarz tak, że nie mogła jej zobaczyć, wyskoczył obok niej, nieomal przewracając ją na ziemię. Susan wydała stłumiony okrzyk i zatoczyła się na bok.

Uniosła rękę, jakby chciała odeprzeć uderzenie, ale dziwna postać przepchnęła się już przez drzwi na klatkę schodową i zniknęła w mroku tak szybko, że Susan dostrzegła zaledwie parę szczegółów. Mężczyzna miał na sobie džinsy. Czapka narciarska była czarna, a ciepła kurtka granatowa. Ale to było wszystko. Nie potrafiła powiedzieć, czy był niski, czy wysoki, przysadzisty czy chudy, młody czy stary, biały czy czarny.

- Jezu Chryste - wydyszała na głos. - Co to, do diabła, miało być?

Nasłuchiwała przez moment, ale nic nie usłyszała. Mężczyzna zniknął równie szybko, jak się pojawił i teraz znacznie wyraźniej poczuła swoje osamotnienie.

- Jezu - powtórzyła.

Jej serce biło gwałtownie, pompując adrenalinę do skroni. Strach jakby zalał ją całą, zatopił zdrowy rozsądek, racjonalne przesłanki działania i poczucie własnej tożsamości. Susan Fletcher toczyła wewnętrzną walkę, starając się odzyskać kontrolę nad sobą. Siłą woli zmuszała każdą kończynę do posłuszeństwa. Nogi. Ramiona. Dłonie. Przywoływała do porządku serce i gardło, ale już nie mogła zaufać własnemu głosowi.

Drzwi windy zaczęły się zamykać, Susan nagłym ruchem wyciągnęła rękę i zatrzymała je. Zmusiła się do wejścia do środka, nacisnęła trzeci guzik. Doznała słabego uczucia ulgi, gdy drzwi windy się zamknęły i pozostała w niej sama.

Dźwиг zaskrzypiał, unosząc się ku parterowi. Potem na wysokości pierwszego poziomu zwolnił i przystanął. Susan zadrżała lekko, gdy drzwi się otworzyły.

Podniosła wzrok i chciała krzyknąć, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Mężczyzna, który przed chwilą wyskoczył z windy i przemknął obok niej, stał teraz tuż przed drzwiami. Te same džinsy. Ta sama kurtka. Ale zsunięta w dół czapka narciarska tworzyła maskę, więc Susan mogła widzieć tylko oczy, które zdawały się świdrować ją na wskroś. Odkoczyła gwałtownie ku tylnej ścianie kabiny. Czowała, że się kurczy i niemal pada jak pod naporem czegoś, co niczym wielka fala ruszyła ku niej od mężczyzny.

To był strach, który zbijał ją z nóg, grożąc, że porwie ją i zatopi. Chciała zaatakować intruza, bronić się, ale nagle poczuła się bezwolna. To było tak, jakby ten mężczyzna w niby-masce świecił jej w oczy oślepiającym światłem. Wyrzucała z siebie jakieś słowa, nie wiedząc zupełnie, co mówi, chciała krzykiem wzywać pomocy, ale nie była w stanie.

Mężczyzna z twarzą zasłoniętą maską stał nieruchomo.

Nie zrobił kroku naprzód, tylko na nią patrzył.

Susan wcisnęła się w kąt windy, osłaniając niepewnie twarz dłonią. Zdawało się jej, że nie będzie w stanie dłużej oddychać.

Mężczyzna nadal nie zrobił żadnego ruchu. Wpatrywał się w nią uparczywie, jakby zapisując w pamięci jej twarz, strój, pełne paniki oczy. Potem wyszeptał:

- Teraz już ciebie znam.

W następnej chwili drzwi windy powoli się zamknęły.

Tym razem, kiedy zadzwoniłem do niej, nie miałem powodu, by okazywać niecierpliwość. Wydawała się dziwnie obojętna, jakby już wcześniej w wyobraźni odtworzyła nasz dialog: moje pytania i swoje odpowiedzi, jakbym trzymał się gotowego scenariusza.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem zachowanie Michaela O'Connella. Sądziłem, że wczułem się w jego psychikę i naraz...

- On robi coś nieoczekiwanego?

- Właśnie. Martwe kwiaty to jednoznaczne przesłanie, ale...

- Czy czasem tym, co przeraża nas najgłębiej, nie jest coś nieznanego, ale coś, co rozumiemy i przewidzieliśmy?

To była prawda. Milczała przez chwilę, po czym wróciła do tematu.

- A więc Michael nie zachował się tak, jak pan to z góry przewidział? Nie dostrzega pan, jakie znaczenie ma wzbudzenie w kimś strachu?

- Owszem, dostrzegam, ale.

- Być zupełnie, absolutnie bezbronnym i bezradnym, owładniętym całkowicie przerażeniem, a w chwilę potem nagle ujrzeć, jak powód tych uczuć w mgnieniu oka znika...

- Skąd mogę mieć pewność, że to w ogóle był Michael O'Connell? - zapytałem.

- Nie może pan jej mieć - odparła. - Ale jeśli mężczyzna w kominiarce na wielopoziomowym parkingu naprawdę planowałby gwałt lub rabunek, czy nie próbowałby tego zrobić? Miał idealne warunki, żeby dokonać każdego z tych przestępstw. Ale ktoś, kto ma inny plan działania, zachowuje się w sposób niezwykle i nieprzewidywalny.

Kiedy nie spieszyłem się z odpowiedzią, zawahała się, jakby zastanawiała nad własnymi słowami.

- Być może powinien pan spojrzeć nie tylko na to, co się stało, ale także na skutki.

- Okay. Ale proszę mi wskazać właściwy kierunek.

- Susan Fletcher była sprawną, zdecydowaną osobą. Mądra i rozważna, dawała sobie świetnie radę z wieloma sprawami. Ale została głęboko porażona swoim strachem. Skrajne przerażenie może spowodować takie skutki. To jedna kwestia. Ale przerażenie pozostawia także trwałe ślady w psychice. Ta chwila w windzie sprawiła, że Susan zaczęła się czuć bezbronna. Bezsilna. I w rezultacie została przekreślona możliwość pomocy, której w następnych dniach mogłaby udzielić Ashley.

- Myślę, że rozumiem...

- Osoba sprawna, bystra, o wielu umiejętnościach, umiejąca działać w zdecydowany sposób i dzięki temu będąca w stanie lepiej niż ktokolwiek inny pomóc Ashley, została zepchnięta na margines. Proste. Skuteczne. Przeróżające.

- Tak...

- Ale co tak naprawdę wówczas się wydarzyło? - zapytała mnie nagle. - Co było znacznie gorsze? O wiele bardziej przerażające niż cokolwiek, co zrobił do tej pory?

Zastanawiałem się przez moment, po czym odpowiedziałem:

- Michael O'Connell się uczył.

Przez dłuższą chwilę milczała. Wyobraziłem ją sobie, jak ścisła telefon w jednej ręce i jednocześnie wyciąga drugą, by opanować drżenie dłoni. Jej knykcie mogły zbieleć, gdy tak zmagala się z czymś, czego jeszcze nie rozumiałem. Kiedy wreszcie mi odpowiedziała, był to niemal szept, jakby normalne wypowiedzenie tych słów wymagało od niej zbyt wielkiego wysiłku.

- Tak. To prawda. On się uczył. Ale pan jeszcze nie wie, co przydarzyło się Susan potem.

## 7. Kiedy sprawy zaczynają się wyjaśniać

Scott przez czterdzieści osiem godzin nie miał żadnych wiadomości od Susan Fletcher, ale gdy w końcu zadzwoniła, niemal pożałował, że to zrobiła.

Był zajęty tym, czym zajmują się wszyscy pracownicy naukowo-dydaktyczni - przeglądał swój program nauczania w nadchodzącym

wiosennym semestrze, obmyślał konstrukcję wykładów, nadrabiał zaległości w lekturze korespondencji, jaka napłynęła od różnych towarzystw historycznych i grup badawczych. I tak naprawdę nie oczekiwał szybkiej odpowiedzi od Susan Fletcher. Zdawał sobie sprawę, że postawił ją w niezręcznej sytuacji; w gruncie rzeczy spodziewał się ostrego telefonu od Ashley z pytaniem: Dlaczego wtrącasz się w moje prywatne sprawy? Nie bardzo wiedział, czy potrafi jej odpowiedzieć. Pozwalał więc, by czas mijał, starając się tłumić w sobie zdenerwowanie. Denerwowanie się nie daje, pomyślał, przyłapawszy się na tym, że kieruje wzrok w stronę czarnego aparatu telefonicznego milczącego na jego biurku. Kiedy w końcu zadzwonił, Scott był zaskoczony. W pierwszej chwili nie rozpoznał głosu Susan Fletcher.

- Profesor Freeman?

- Tak?

- Mówi Susan... Susan Fletcher. Pan dzwonił do mnie któregoś dnia... w sprawie Ashley...

- Oczywiście, Susan, przepraszam, nie spodziewałem się, że odzwoni pani tak szybko.

To nie była prawda. W głębi duszy miał nadzieję, że Susan zrobi to niezwłocznie.

Zawahała się i Scott usłyszał, że jej głos nagle się załamał.

- Coś jest nie tak? - zapytał, tracąc trochę panowanie nad własnym głosem.

- Nie wiem. Być może. Nie jestem tego pewna.

- Co z Ashley? - wyrwało się Scottowi i natychmiast pożałował, że zignorował nutę zmartwienia w głosie Susan.

- Z nią jest wszystko w porządku - powiedziała powoli. - W każdym razie wygląda na to, że jest z nią wszystko w porządku, ale rzeczywiście ma problem z pewnym facetem, tak jak pan podejrzewał. Przynajmniej ja uważam, że ma. Ona nie chce o tym mówić.

Każde słowo wypowiadała jakimś bojaźliwym tonem, jakby sądziła, że ktoś podsłuchuje.

- Czuję niepewność w pani głosie.

- Miałam kilka trudnych dni, od czasu gdy spotkałam się z Ashley. Tak naprawdę to spotkanie było ostatnią dobrą rzeczą, jaka mi się zdarzyła.

- Ale co się stało?

- Nie wiem. Nic. Wszystko. Nie potrafię powiedzieć.

- Pogubiłem się. Co pani ma na myśli?

- Miałam wypadek.

- O mój Boże! - zawołał Scott. - To okropne. Jak się pani czuje?

- Już dobrze. Doznałam tylko szoku. Mój samochód jest prawie zupełnie zniszczony. Ale nie mam złamanej żadnej kości. Może tylko lekkie wstrząśnienie mózgu. I wielki obrzęk wzdłuż klatki piersiowej. Czuję się tak, jakby moje żebra były poobijane. Jeśli jednak nie liczyć tego, że jestem obolała i zdezorientowana, nic mi nie jest.

- Ale co...

- Prawe przednie koło odleciało. Jechałam prawie sto dziesięć, nie, może trochę szybciej, prawie sto trzydzieści na godzinę i koło odpadło. Miałam szczęście, bo poczułam, że samochód zaczął gwałtownie skręcać, a przód się chybotął, więc nacisnęłam hamulec. Zwalniałam gwałtownie, kiedy rzeczywiście się urwało. Potem straciłam kontrolę.

- Mój Boże...

- Wszystko wirowało wokół i wciąż słyszałam ten dźwięk. To było tak, jakby ktoś piszczał mi wprost do ucha, obudziła się we mnie jakaś hiperczuyność, bo wiedziałam, że nie mam żadnego wpływu na to, co się działo. Na szczęście uderzyłam w te składane bariery, wie pan, takie wielkie, żółte w kształcie beczek, wypełnione piaskiem, by zamortyzować uderzenie.

- Koło odpadło?

- Tak. Powiedział mi to policjant. Znaleźli je czterysta metrów z tyłu, na szosie.

- Nigdy nie słyszałam o czymś takim...

- No tak. Policjant też nigdy nie słyszał. W dodatku to był prawie nowy samochód.

Scott zawahał się i na chwilę zapadło milczenie.

- Czy pani myśli... - zaczął i przerwał.

- Nie wiem, co mam myśleć. W jednej chwili pędziłam autostradą, a w następnej...

Scott znowu zamilkł, a po chwili Susan powiedziała cicho:

- Jechałam tak szybko, bo byłam wystraszona.

To słowo sprawiło, że Scott zaczął słuchać, nie przerywając. Nie odezwał się ani razu, kiedy Susan opowiadała o wieczorze, podczas którego spotkała się z Ashley. Nie zadawał żadnych pytań, gdy usłyszał imię Michael O'Kreatura, które jego rozmówczyni zapamiętała najlepiej ze wszystkiego. W pamięci Susan pewne rzeczy się pomieszały i gdy starała się podawać wiernie szczegóły, Scott wyczuł frustrację w jej głosie. Domyślił się, że były to skutki lekkiego wstrząśnienia mózgu. Przepraszała go za sposób relacji, ale Scott uznał oczywiście, że nie było to potrzebne.

Nie wiedziała, czy to, co się jej przydarzyło, wiązało się w jakikolwiek sposób z Ashley. Wiedziała jedynie, że poszła na spotkanie z nią, a potem,

gdy tylko uściskała przyjaciółkę na pożegnanie, doszło do wydarzeń, które ją przeraziły. Miała szczęście, że przeżyła.

- Jak pani sądzi, czy facet, którego Ashley poznała, miał coś wspólnego z tym, co się pani przydarzyło? - zapytał Scott. Nie chciał uwierzyć w takie powiązanie, ogarnął go niepokój, którego nie potrafił zrozumieć.

- Nie wiem. Nie wiem. Prawdopodobnie to tylko zbieg okoliczności. Ale - powiedziała Susan niemal szeptem, bliska płaczu - jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przez pewien czas nie będę dzwoniła do Ashley. Dopóki znowu nie wezmę się w garść.

Odkładając słuchawkę, Scott pomyślał, że są do wyboru dwie możliwości: Nie dzieje się nic niepokojącego. Albo dzieje się coś najgorszego, co mógłby sobie wyobrazić.

*Jesteśmy sobie przeznaczeni.*

Spróbował przełknąć ślinę, ale usta miał zupełnie suche.

Ashley szła prędko ulicą, jakby szybkość jej kroków mogła dorównywać tej, z jaką myśli przelatowały przez głowę. W jej świadomości nie uformowało się jeszcze w pełni zdanie: Jesteś śledzona”, ale nie odstępowało jej dręczące uczucie, że coś jest nie w porządku. W ręku niosła małą torbę z zakupami, a plecak miała wypchany książkami, więc za każdym razem, gdy się zatrzymywała i omiatała wzrokiem ulicę, próbując dociec, co wywołuje w niej niepokój, było to trochę niewygodne.

Nie dostrzegła niczego, co w najmniejszym choćby stopniu odbiegaloby od normalności.

Miasto jest takie jak zawsze, pomyślała. Otoczenie jej domu w zachodnim Massachusetts było trochę mniej przeładowane i bardziej statyczne, więc kiedy coś znalazło się nie na swoim miejscu, łatwo rzucało się w oczy. Ale Boston, pełen nieustannego ruchu i tętniący życiem, osłabiał jej zdolność dostrzegania zmian. Czula, że robi się jej gorąco, jakby temperatura otoczenia rosła; to ją niepokoiło, bo wiedziała, że tak naprawdę jest odwrotnie.

Znowu zlustrowała ulicę. Samochody. Autobusy. Piesi. Widok dobrze jej znany. Nastawiła uszu. Ten sam ciągły szum i rytm codziennego życia. Żaden z jej zmysłów nie odnotował niczego, co mogłoby wywołać ten niepokój, przypominający słaby prąd elektryczny. Wobec tego zignorowała to wrażenie.

Ruszyła szybkim krokiem i skręciła w boczną uliczkę, przy której mieszkała.

W Bostonie bardzo wyraźnie widać różnicę między mieszkaniami dla studentów a mieszkaniami dla ludzi, którzy mają już konkretną posadę. Ashley wciąż jeszcze należała do studenckiego świata. Ulica była zaniedbana



w stopniu możliwym do przyjęcia i trochę brudna, co w oczach młodych ludzi dodawało jej charakteru, ale ci, którzy już się stąd wyprowadzili, widzieli ją jedynie jako tymczasowe miejsce pobytu. Drzewa posadzone w niewielkich pasach zieleni sprawiały wrażenie, jakby je przesadzono w miejsce, gdzie miały więcej słońca niż w poprzednim. To była ulica, która nie przybrała jeszcze ostatecznego kształtu, pozostała niedokończona - podobnie jak ludzie, którzy tu żyli.

Ashley nieco chwiejnym krokiem dotarła do swojego domu, torbę z zakupami oparła na kolanie i otworzyła drzwi. Zatrzasnęła je za sobą, przekreśliła klucz w zamku i poczuła się bardzo wyczerpana.

Rozejrzała się wokół zadowolona, że nie czekały na nią następne martwe kwiaty.

Włożenie muesli, jogurtu, wody źródlanej i gotowej surówki na odpowiednie miejsca w małej lodówce zajęło jej mniej niż pięć minut. W pojemniku na owoce i warzywa znalazła butelkę piwa i pociągnęła solidny łyk. Potem przeszła do swojego niewielkiego salonu i poczuła ulgę, gdy się przekonała, że nie ma żadnych wiadomości na automatycznej sekretarce. Wypiła następny łyk piwa i pomyślała sobie, że to była niemądra reakcja, ponieważ chętnie wysłuchałaby wiadomości od dowolnej liczby osób. Miała nadzieję, że odezwie się Susan Fletcher. Liczyła też na to, że zadzwoni Will Goodwin, by się z nią umówić na następną randkę. Pomyślała, że w gruncie rzeczy byłoby naprawdę głupie, gdyby pozwoliła Michaelowi O'Connellowi izolować się od znajomych i przyjaciół. Pomyślała też sobie, że powie mu bez ogródek w następnej rozmowie, co o nim myśli i to być może zakończy całą sprawę.

Im dłużej wyobrażała sobie tę rozmowę, tym większej nabierała ona zaciekłości, choć prawdopodobnie nie była tego warta.

Ashley zrzuciła z nóg buty, opadła na krzesło przy biurku, włączyła komputer i czekając, aż się uruchomi, zaczęła nucić sobie pod nosem.

Ku jej zaskoczeniu okazało się, że czeka na nią ponad pięćdziesiąt e-maili. Spojrzała na adresy i zobaczyła, że wysłały je wszystkie osoby figurujące w jej elektronicznej książce adresowej. Najechała kursorem na pierwszy list - od współpracowniczkę z muzeum, Anne Armstrong - i otworzyła go. Pochyliła się do przodu, by zobaczyć, co miała jej do przekazania koleżanka. Ale tego e-maila nie napisała Anne.

CZEŚĆ ASHLEY. TĘSKNIĘ ZA TOBĄ BARDZIEJ, NIŻ JESTEŚ TO SOBIE W STANIE WYOBRAZIĆ. ALE JUŻ NIEDŁUGO BĘDZIEMY RAZEM NA ZAWSZE I TO BĘDZIE WSPANIAŁE. JAK WIDZISZ, JEST OPRÓCZ TEGO E-MAILA JESZCZE PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ INNYCH. NIE KASUJ ICH. SĄ TAM WAŻNE INFORMACJE, KTÓRE BĘDĄ CI POTRZEBNE.

DZIŚ KOCHAM CIĘ MOCNIEJ NIŻ W CZORAJ. A JUTRO BĘDĘ CIĘ KOCHAŁ  
JESZCZE MOCNIEJ.

TWÓJ NA ZAWSZE

MICHAEL

Ashley chciała wrzasnąć na cały głos, ale nie mogła wydobyć z gardła  
żadnego dźwięku.

Początkowo właściciel warsztatu samochodowego nie miał ochoty mi  
pomagać.

- Postawię sprawę jasno - powiedział, wycierając zatłuszczone, po-  
plamione olejem ręce w nie mniej brudną szmatę. - Chce pan dowie-  
dzieć się czegoś o Michaelu O'Connellu? Powiedz mi pan, dlaczego?

- Jestem pisarzem - odparłem. - On występuje w książce, nad którą  
pracuję.

- O'Connell? W książce? - Mój rozmówca wybuchnął wymuszonym  
śmiechem. - Musi to być chyba jakiś cholerny kryminal.

- Zgadza się - przyznałem. - Coś w tym rodzaju. Byłbym wdzięczny  
za wszelką pomoc...

- Gdy naprawiamy samochód, bierzemy tutaj pięćdziesiąt dolarów  
za godzinę - oznajmił. - Ile czasu będzie pan potrzebował?

- To zależy od tego, ile może mi pan powiedzieć - odrzekłem.

- Tak, a to zależy od tego, co chce pan wiedzieć. Pracowałem obok  
O'Connella przez cały czas, kiedy był tu zatrudniony. To było parę ład-  
nych lat temu i dawno go już nie widziałem. I bardzo dobrze. Ale, do  
diabła, to ja dałem mu pracę, więc mogę panu powiedzieć to i owo. Choć  
zamiast tego mogę naprawiać skrzynię biegów w chevrolecie, rozumie  
pan, co mam na myśli?

Krążyliśmy wokół mojego pytania i pomyślałem, że przez następnych  
parę minut również nie dojdziemy do niczego. Sięgnąłem więc do tylnej  
kieszeni, wyjąłem portfel i szybko odliczyłem sto dolarów. Położyłem je  
przed sobą na ladzie.

- Chcę usłyszeć tylko prawdę - powiedziałem. - I tylko to, co pan wie  
z pierwszej ręki.

Mężczyzna otaksował spojrzeniem kupkę banknotów.

- O tym sukinsynu, oczywiście.

Wyciągnąłem rękę i niby jakiś twardy, cyniczny facet, postać z milio-  
na kiczowatych hollywoodzkich filmów, położyłem dłoń na pieniądzu i  
przycisnąłem je do lady. Mechanik uśmiechnął się szeroko, prezentując  
białe, wyszczerbione zęby.

- Najpierw jedno pytanie - zaczął. - Czy wiesz pan, gdzie teraz jest O'Connell?

- Nie - odparłem. - Jeszcze nie. Ale dowiem się wcześniej czy później. Czemu pan o to pyta?

- On jest takim facetem, którego niekoniecznie chciałbym wkurzyć. Będzie mnie szukał, żeby mi zadać własne pytania. Najpierw takie: dlaczego rozmawiałem z panem. Już ja bym wołał, żeby on mi nie zadawał podobnych pytań. To facet, któremu nasza rozmowa na pewno by się nie spodobała.

- Ta rozmowa pozostanie między nami - zapewniłem.

- Jasne. To są piękne, wielkie słowa. Ale skąd mogę wiedzieć, panie pisarzu, że dotrzymasz pan tego, co powiedziałeś?

- Może pan jednak zaryzykuje.

Mechanik pokręcił głową, ale nie spuszczał wzroku z banknotów.

- Marne szanse - stwierdził - zwłaszcza gdy chodzi o tego gościa. Nie chciałbym przehandlować spokoju ducha za sto dolców. - Przerwał na moment. - Pieprzyć to - mruknął pod nosem, po czym wzruszył ramionami. - Michael O'Connell. Pracował tutaj około roku, a już po mniej więcej dwóch minutach postanowiłem, że będzie pracował na tej samej zmianie co ja. Nie chciałem, by mnie okradał, kiedy nie będę miał go na oku. To był najbardziej cwany sukinsyn, jaki kiedykolwiek zmieniał tutaj świece zapłonowe, jestem tego pewny jak cholera. Do tego, kiedy chciał zrobić jakąś kasę na boku, działał w sposób bardzo opanowany. Zarazem wredny i czarujący jak diabli, jeśli może pan sobie coś takiego wyobrazić. Większość chłopaków, zatrudnionych tutaj przy dystrybutorach, to dzieciaki z college'u, które próbują zarobić trochę gotówki ekstra albo faceci, którym nie udało się zaliczyć egzaminu i dostać certyfikatu ukończenia kursu mechanika w wielkich przedstawicielstwach handlowych. Są albo za młodzi, albo za tępi na to, żeby umieć kraść. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Nie odpowiedziałem na to pytanie, ale popatrzyłem przeciągle na właściciela warsztatu. Był mniej więcej w moim wieku, spędził jednak zbyt wiele czasu pod samochodami w letnie upały i zimowe mrozy - stąd wzięły się bruzdy pod oczami i w kącikach ust. Palenie też mu nie służyło. Teraz wetknął sobie papierosa między wargi, ignorując własny napis „Palenie wzbronione” umieszczony w widocznym miejscu. W trakcie naszej rozmowy był zwrócony twarzą ku mnie, ale odwracał lekko głowę, jakby mówił gdzieś w bok.

- A więc zaczął tutaj pracować...

- Tak. Pracował tutaj, ale tak naprawdę to nie pracował, rozumie pan o co mi chodzi?

- Nie rozumiem.

Przewrócił oczami.

- Pracował i pobierał wyższe opłaty, niż się należało. Ale naprawianie starych gaźników czy przeglądy wozów w gruncie rzeczy go nie interesowały. Nie z tym wiązał swoją przyszłość.

- Az czym?

- Zastąpienie pompy paliwowej w doskonałym stanie zreperowaną to było to. A potem sprzedawał tę doskonałą i różnicę zgarniał do kieszeni. Innym razem inkasował dwadzieścia dolców ekstra od każdego, kto przyszedł, by się upewnić, czy jego stary gruchot przejdzie test stanu Massachusetts dotyczący zanieczyszczania środowiska spalinami. Potrafił też trzasnąć młotkiem w przednie złącze kulowe, a potem powiedzieć jakiemuś dzieciakowi z bostońskiego college'u, że musi założyć nowy komplet hamulców i ustawić prawidłowo koła...

- Mistrz przekrętu?

Mechanik się uśmiechnął.

- Właśnie. Ale to powierzchowna wiedza o O'Connellu.

- Tak? A co jeszcze powinienem wiedzieć?

- No więc skończył wieczorowy kurs informatyki i potrafił za pomocą laptopa zrobić każdą cholerną rzecz, jaką się da. Ten gość to kopalnia wiedzy o możliwościach działania w sieci. Umiał popełniać oszustwa, posługując się kartą kredytową. Kradzież tożsamości. Podwójne rachunki. Wykorzystanie kart telefonicznych. Do takich rzeczy miał smykałkę. W wolnym czasie przeglądał każdą cholerną internetową witrynę, gazetę, czasopismo, wszystko, w poszukiwaniu nowych sposobów robienia przekrętów. Gromadził w teczkach mnóstwo wycinków po to tylko, żeby być na bieżąco. Wiesz pan, co stale mawiał?

- Co?

- „Nie musisz kogoś zabijać, żeby go zabić. Ale jeśli naprawdę chcesz, możesz. I jeżeli wiesz, co robisz, nikt cię nie schwyta. Nigdy”.

- Zapisalem to sobie.

Gdy właściciel warsztatu zobaczył, że skrobię ołówkiem w notesie, uśmiechnął się, wyciągnął rękę i zabrał pieniądze z lady. Pozwoliłem mu schować do kieszeni sto dolarów.

- Wie pan, co w tym wszystkim było najgłupsze?

- Niby co?

- Można by sobie pomyśleć, że taki facet powinien szukać jakiegoś wielkiego sukcesu, na przykład sposobu na to, żeby zdobyć szmal. Ale O'Connellowi wcale nie o to chodziło.

- Więc czego chciał?

- Chciał być doskonały. Wielki. Ale chciał też pozostać nieznanym.

- Przystępca bez głośnych sukcesów?

- Nie, mylisz się pan. On wiedział, że i tak będzie kimś. Miał ambicję. Ambicja go zżerała, niszczyła jak jakiś pieprzony narkotyk. Wiesz pan, co to znaczy być blisko faceta, który zachowuje się, jakby był uzależniony? Ale to nie koka ani heroina wypełniała jego żyły. Przez cały czas był odurzony swoimi planami. Zawsze przygotowany na coś ważniejszego. Jakby to coś czekało gdzieś na niego. Praca tutaj, cokolwiek robił, była tylko sposobem spędzania czasu, ale pieniądze ani rozgłos nie były tym, o co mu chodziło. Zależało mu na czymś innym.

- Rozstaliście się?

- No tak. Właściwie to nawet nie ja to skończyłem. Przyzwyczailem się do tych jego różnych planów. Ale pewnego dnia stąd się wyniósł. No cóż, taki był O'Connell. Jak powiedziałem, chłopak miał wielkie plany.

- Ale nie wie pan...

- Nie wiem, co się z nim stało. Ale widziałem wystarczająco dużo, żeby się porządnie wystraszyć.

Spojrzałem na mechanika. Nie wyglądał na to, że słowo „wystraszony” było na co dzień częścią jego słownika.

- Tego nie rozumiem - powiedziałem. - Wystraszył pana?

Zaciągnął się głęboko papierosem, kłęby dymu zaczęły owijać się wokół jego głowy.

- Czy spotkałeś pan kiedyś kogoś, kto zawsze robił co innego, niż naprawdę robił? Nie wiem, może to nie ma sensu, ale taki był O'Connell. Jeśli mówiłeś, że ma coś zrobić, on spoglądał na ciebie w taki sposób, jakby w tym miejscu, gdzie patrzy, nie było ciebie, tylko powietrze; i jakby zapisywał sobie coś na twój temat i gdzieś to odkładał, żeby pewnego dnia wykorzystać przeciwko tobie.

- Przeciwko tobie?

- Tak czy inaczej. Był facetem, któremu nie miało się ochoty nadepnąć na odcisk. Stać z boku, to było w porządku, ale gdyby mu się weszło w drogę... Albo przeskodziło w tym, co chciał zrobić... Tak, to było coś, czego wolałoby się uniknąć.

- Był agresywny?

- Był taki, jaki potrzebował w tej czy innej chwili. Może to właśnie było w nim tak przerażające.

Znowu zaciągnął się głęboko. Nie zadałem mu następnego pytania, ale dodał:

- Wiesz pan, panie pisarzu, zdarzyła się pewna historia, jakieś dziesięć lat temu, pracowałem tutaj naprawdę do późna, do drugiej, trzeciej nad ranem. Weszło dwóch chłopaków, a potem wielka, błyszcząca stalowa lufa dziewczątki znalazła się przy mojej twarzy. Jeden z tych dzieciaków krzyczał:

„Ty taki nie taki, skurwysynu, pieprzony skurwielu, ja ci to, ja ci tamto!” i powtarzał: „Zaraz ci strzelę w łeb, stara pierdoło!” Mówię uczciwie, pomyślałem, że on to robi, kiedy jego cholerny koleś opróżni kasę. Nie jestem za bardzo religijny, ale mamrotałem *Ojczy nasz* i *Zdrowaś Mario*. Nie miałem wątpliwości, że to koniec. Ale te dwa dzieciaki wyniosły się i zostawiły mnie leżącego na podłodze za ladą z mokrymi gaciami. Widzisz pan tę scenę?

Skinąłem głową.

- Niezbyt przyjemna.

- Niezbyt, szanowny panie. Całkiem nieprzyjemna.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ale co miał z tym wspólnego O'Connell? - spytałem.

Mężczyzna pokiwał głową i wypuścił z ust dym.

- Nic - powiedział ostrożnie. - Absolutnie nic. Z wyjątkiem jednego: gdy coś mówiłem do Michaela O'Connella, za każdym razem, kiedy nic nie odpowiadał, tylko słuchał i gapił się na mnie tak jak zawsze, przypominało mi się, jak patrzyłem w czarną dziurę pistoletu tamtego dzieciaka. Miałem wtedy to samo uczucie. Za każdym razem, kiedy z nim rozmawiałem, zastanawiałem się, czy to, co powiedziałem, sprawi, że umrę.

## 8. Początek paniki

Ashley pochyliła się w stronę ekranu komputera i zaczęła badać, jedno po drugim, migoczące przed nią słowa. Spędziła przeszło godzinę w tej pozycji jak skamieniała, więc plecy zupełnie jej zeszywniały. Czowała, że mięśnie łydek drżą, jakby przebiegła tego dnia dłuższy dystans, niż wynosiła jej zwykła porcja joggingu.

E-maile tworzyły oszalamiający zbiór krótkich listów miłosnych, ozdobionych komputerowo narysowanymi sercami i balonikami; marnych wierszy napisanych przez O'Connella i znacznie lepszych Szekspira, Andrew Marvella, a nawet Roda McKuena. Wszystko wyglądało niesamowicie banalnie i dziecinnie, a mimo to mroziło krew w żyłach.

Próbowała notować różne kombinacje słów i zdań z e-maili, by odnaleźć zawarte w nich przesłanie. Nie było tam niczego tak oczywistego jak słowo napisane wersalikami lub pogrubione, co mogłoby ułatwić jej zadanie. Po dwóch godzinach rzuciła ołówek zniechęcona brakiem rezultatów. Czowała, że okazała się głupia, nie zrozumiała czegoś, co byłoby oczywiste dla każdego miłośnika krzyżówek lub akrostychów. Nie znosiła takich gier.

- Co to ma być? - krzyknęła głośno w stronę ekranu. - Co ty próbujesz powiedzieć? Co chcesz mi przekazać?

Zdała sobie sprawę, że w jej głosie pojawiają się obce dotąd tony.

Przewinęła pocztę do tyłu, zaczęła od początku - błyskawicznie przelatywała wzrokiem każdą wiadomość; pojawiały się na moment na ekranie komputera i znikaly.

- Co? Co? Co? - krzyzczała, gdy kolejno przemykały jej przed oczami.

I naraz, w jednej sekundzie zrozumiała.

Wiadomości od Michaela O'Connella nie było w żadnym z przysłanych przez niego e-maili.

Wiadomość stanowiło to, że był w stanie przysłać.

Każdy e-mail pozornie pochodził od innej osoby, nazwiska nadawców figurowały w jej książce adresowej, a wszystkie wysłał on. Fakt, że były to miłosne wyznania na poziomie nastolatka, nie miał znaczenia. Istotne było to, iż potrafił się włamać do jej osobistego komputera. A następnie, dzięki umiejętnej doborowi słów, zmusił ją do przeczytania wszystkich wiadomości. Zrozumiała coś jeszcze: uruchamiając jedną z nich, prawdopodobnie otworzyła swego rodzaju ukryte elektroniczne drzwi. Michael O'Connell działał jak groźny wirus. Teraz był niemal tak blisko, jakby naprawdę przy niej siedział.

Ashley zaczerpnęła powietrza i odchyliła się do tyłu na fotelu tak, że niemal straciła równowagę; miała wrażenie, że cały pokój kręci się wokół niej. Chwyliła rękami poręcz krzesła i starając się jak najprędzej uspokoić, odetchnęła kilkakrotnie głęboko, by odzyskać kontrolę nad bijącym coraz szybciej sercem.

Odwróciła się powoli i ogarnęła spojrzeniem mieszkanie - swój niewielki świat. Michael O'Connell spędził tu jedną noc i nie była to noc najdłuższa. Oboje byli trochę pijani, gdy zapraszała go do siebie. Teraz przestraszona, ale z trzeźwym umysłem próbowała odtworzyć w pamięci to, co się wtedy działo. Zgromiła siebie, bo nie umiała sobie dokładnie przypomnieć, ile on wypił. Jednego drinka? Pięć? Czy powstrzymał się od picia, kiedy ona nadal raczyła się alkoholem? Nie potrafiła dziś odpowiedzieć na te pytania. Uniemożliwiły jej to własne ekscesy. Była ja-koś obrzydliwie rozluźniona tej nocy, poddała się nastrojowi zapamiętania, jakiego dotychczas nie знаła i który był obcy jej naturze. Pozbyli się niezdarnie ubrań, potem spleli gorączkowo na łóżku. To było szybkie nerwowe zbliżenie, niewiele znalazłoby się w nim czułości. Wszystko trwało kilka chwil. Jeśli towarzyszyło temu jakieś uczucie, nie potrafiła go sobie przypomnieć. To było dla niej raczej gwałtowne buntownicze uwolnienie w okresie, kiedy często dokonywała złych wyborów. Próba

zrekompensowania sobie nieprzyjemnego rozstania z chłopakiem z tego samego, przedostatniego roku studiów. Ich związek, pomimo pretensji z obu stron i częstych kłótni, utrzymał się jeszcze na ostatnim roku. Ale wtedy doszła jeszcze dręcząca niepewność co do wyboru dalszych studiów i kariery zawodowej. Uczucie izolacji w stosunku do rodziców i przyjaciół. Wszystko w życiu wydawało się jej narzucone, zniekształcone, niedostrojone. W tym zamieszaniu doszło do jednej niedobrej nocy z O'Connellem. Był przystojny, uwodzicielski, inny niż koledzy, z którymi umawiała się podczas studiów w college'u. Nie zauważyła, że patrzył na nią nad stolikiem w ten szczególnie nieromantyczny sposób, jakby chciał zapamiętać każdy centymetr jej skóry.

Pokręciła głową.

Potem oboje osunęli się znowu na łóżko. Ashley wzięła poduszkę - pokój chwiały się niepokojąco, czuła w ustach cierpki smak - i natychmiast zasnęła. „Co on wtedy zrobił? - zapytała siebie. - Zapalił papierosa?” Gdy wstała raniem, nie zaprosiła go na drugie igraszki, wymyśliła jakąś historyjkę, że musi pójść na spotkanie, nie zaproponowała też, żeby zjadł śniadanie, nawet go nie pocałowała, po prostu zniknęła za drzwiami łazienki i szorując się w parującej wodzie, namydlała każdy centymetr ciała, jakby była oblepiona jakimś obrzydliwym zapachem. Chciała, by sobie poszedł, ale on nie odszedł.

Teraz Ashley próbowała przypomnieć sobie ów krótki poranek. Ona była zdystansowana, chłodna i pochłonięta własnymi myślami, aż w końcu Michael popatrzył na nią w niepokojąco długim milczeniu, potem się uśmiechnął, skinął głową i wyszedł bez słowa.

A teraz mówi tylko o miłości, pomyślała. Skąd się to wzięło?

Wyobraziła go sobie, jak wychodzi od niej z zimnym wyrazem twarzy.

To wspomnienie sprawiło, że poczuła się nieswojo.

Inni mężczyźni, których знаła, choćby krótko, wychodzili od niej rozgniewani albo pełni optymizmu lub nawet z pewną brawurą. Ale O'Connell był inny. Zmroził ją milczeniem, a potem się wyniósł. To było tak, jakby odszedł, ale wiedział, że nie odchodzi na długo.

Ashley myślała coraz intensywniej. Spałam. Potem wzięłam prysznic. Miał mnóstwo czasu. Co wtedy robił, nie wiedziała. Czy komputer został włączony? Co poprzeczował na jej biurku? Rachunki bankowe? Ha-sła? Co miał czas odnaleźć i ukraść?

To pytanie było oczywiste, ale wołałaby go sobie nie zadawać.

Na moment pokój znowu zawirował, Ashley wstała i popędziła do łazienki; pochyliła się nad lśniąca muszlą klozetową i zaczęła gwałtownie wymiotować.



Umyła się, potem okryła ramiona kocem, usiadła na brzegu łóżka i zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Czuła się jak ktoś, kto się uratował z rozbitego statku po wielu ciężkich dniach dryfowania po morzu.

Im dłużej tak siedziała, tym silniejszy gniew w niej narastał.

Mogła to powiedzieć z całą pewnością - Michael O'Connell nie miał do niej żadnego prawa. Nie miał prawa dręczyć jej i napastować. Jego zapewnienia o wiecznej miłości były wyjątkowo głupie.

Ashley była wyrozumiała, nie lubiła konfrontacji i unikała walki za wszelką cenę. Ale ta głupota - tak tylko mogła teraz myśleć o przygodzie z Michałem - posunęła się już za daleko.

Odrzuciła koc i wstała.

- Niech to szlag trafi. To już koniec. Dość tych bredni.

Podeszła do biurka i wzięła do ręki telefon komórkowy. Niezastanawiając się nad tym, co powie, wybrała numer O'Connella. Odebrał niemal natychmiast.

- Cześć, kochanie - rzucił radosnym tonem, z poufałością, która ją rozwścieczyła.

- Nie jestem dla ciebie kochanie.

Milczał.

- Posłuchaj, Michael. To się musi skończyć.

Znowu żadnej odpowiedzi.

- Okay?

Nadal milczenie.

Po upływie paru sekund nie była nawet pewna, czy on jeszcze słucha.

- Michael?

- Jestem tutaj - odezwał się chłodno.

- To już skończone.

- Nie wierzę ci - odparł.

- To już zamknięta sprawa.

Znowu milczał przez chwilę, potem powiedział:

- Ja tak nie sądzę.

Ashley zamierzała go przekonywać dalej, ale naraz zdała sobie sprawę, że się rozłączył.

- Ty cholerny sukinsynu! - zaklęła, po czym ponownie wybrała jego numer.

- Chcesz powiedzieć mi to samo? - zapytał.

Ashley wzięła głęboki oddech.

- W porządku - stwierdziła. - Jeżeli tak ci będzie łatwiej, porozmawiamy zupełnie szczerze, choćby to miało być okrutne.

Usłyszała tylko krótki śmiech.

- Okay - podjęła. - Spotkajmy się na lunch.
- Gdzie? - zapytał ostro.

Zawahała się, szukała w myślach jakiegoś odpowiedniego miejsca. Musiał to być popularny lokal, w którym zawsze było dużo osób, gdzie ona była dobrze znana, a on nie. Lokal, w którym znalazłaby się w otoczeniu sprzymierzeńców. Pomyślała, że w takich okolicznościach łatwiej zdobędzie się na odwagę konieczną, żeby skończyć z nim raz na zawsze.

- Restauracja w muzeum sztuki - powiedziała. - O pierwszej, dziś po południu. Okay?

Wyczuła, że się uśmiechnął i zadrżała lekko, jakby chłodny powiew powietrza przedostał się przez szczelinę w ramie okiennej. Uświadomiła sobie, że Michael zaakceptował czas i miejsce, ponieważ bez dalszych słów się rozłączył.

- Przypuszczam więc - powiedziałem - że w jakiś sposób to dotyczy rozpoznania niebezpieczeństwa. Wszyscy musieli zrozumieć, co się działo.

- Tak - odparła. - Łatwo powiedzieć. Trudno zrobić.
- Czyżby?

- Tak. Wie pan, lubimy zakładać, że potrafimy rozpoznać niebezpieczeństwo, gdy pojawia się na horyzoncie. Każdy umie uniknąć zagrożenia pełnego dzwonek, gwizdków, czerwonych świateł i syren alarmowych. Przychodzi nam to znacznie trudniej, kiedy nie wiemy dokładnie, z czym mamy do czynienia.

Myślała przez chwilę, ja też milczałem. Piła mrożoną herbatę.

- Ashley wiedziała? - spytałem.

Zaprzeczyła.

- Nie. Była przestraszona, to prawda. Ale jednocześnie odczuwała lęk i gniew, dlatego nie spostrzegła, że znalazła się w rozpaczliwej sytuacji. A tak naprawdę, co ona wiedziała o Michaelu O'Connellu? Niewiele. Dużo mniej niż on wiedział o niej. Co ciekawe, chociaż Scott patrzył na wszystko z dystansu, był bliższy zrozumienia tego, z czym mieli do czynienia, ponieważ działał instynktownie, zwłaszcza na początku.

- A Sally? I jej partnerka, Hope?
- One jeszcze nie odczuwały lęku. Ale wkrótce miało się to zmienić.
- A O'Connell?

Zawahała się.

- Tego nie mogli widzieć. Przynajmniej na razie.
- Widzieć czego?
- Że on zaczął naprawdę świetnie się bawić.

## 9. Dwa różne spotkania

Gdy Scottowi nie udawało się dodzwonić do Ashley ani na telefon stacjonarny, ani na komórkę, poczuł niepokój, ale natychmiast starał siebie przekonać, że to do niczego nie prowadzi. Było południe, Ashley z całą pewnością wyszła i zostawiła komórkę w mieszkaniu.

Nagrał jej krótką wiadomość: „ciekaw jestem co się u ciebie dzieje” i przez chwilę zastanawiał się, czy ma jakieś powody do niepokoju. Po pewnym czasie, czując, że puls bije mu coraz szybciej, zaczął spacerować tam i z powrotem po swoim małym gabinecie. Potem starał się skupić na najpilniejszej pracy: odpowiadał na e-maile studentów i wydrukował parę swoich szkiców. Zabijał czas, mimo iż zdawał sobie sprawę, że być może nie ma chwili do stracenia.

Nie trwało to długo, znowu usiadł przy biurku i kołysząc się lekko na fotelu, zaczął wspominać dzieciństwo Ashley. Gdy miała niewiele ponad rok, zachorowała na ciężkie zapalenie oskrzeli, temperatura podskoczyła wysoko i męczył ją uporczywy kaszel. Scott trzymał córkę w ramionach przez całą noc, starając się dodać jej otuchy. Łagodnymi słowami próbował uspokoić suchy kaszel i słuchał, jak dziecko oddycha z coraz większym trudem. O ósmej rano zadzwonił do gabinetu pediatry - polecono mu, by natychmiast przywiózł córeczkę. Lekarz pochylił się nad Ashley, przyłożył ucho do jej klatki piersiowej, po czym odwrócił się i chłodno zapytał, dlaczego Scott i Sally nie zawieźli jej wcześniej do szpitala. „Jak to? - zdziwił się, gdy usłyszał odpowiedź - myślał pan, że jeśli będzie pan trzymał córkę w objęciach przez całą noc, jej stan się poprawi?”

Scott nic na to nie odpowiedział, ale rzeczywiście tak sądził.

Oczywiście, antybiotyki były mądrzejszym wyjściem.

Kiedy Ashley zaczęła dzielić swój czas pomiędzy domy obojga rodziców, Scott oczekując na nią, potrafił spacerować nieprzerwanie po swojej sypialni, nie będąc w stanie zapanować nad wyobraźnią, która podsuwała mu najgorsze obrazy: wypadki samochodowe, napady, narkotyki, alkoholowe ekscesy, seks i inne odrażające niebezpieczeństwa czyhające na młodzież w okresie dorastania. Wiedział, że Sally spała w swoim łóżku, kiedy buntująca się, Bóg raczy wiedzieć przeciwko czemu, nastolatka Ashley była poza domem. Sally zawsze z trudem radziła sobie ze zmęczeniem powodowanym niepokojem i zmartwieniami. Jakby uważała, że można przespać kłopoty.

On tego nienawidził. Zawsze przeżywał wszystko samotnie, nawet z nim się rozwiadli.

Chwycił ołówek, zaczął obracać go między palcami i w końcu przełamał na pół.

Wziął głęboki wdech. „Jak to? Myślał pan, że gdy będzie pan trzymał ją w objęciach przez całą noc, jej stan się poprawi?”

Martwienie się jest czymś bezużytecznym. Czuł potrzebę działania, nawet jeśli byłoby ono całkowicie błędne.

Ashley przyszła do pracy dziesięć minut wcześniej niż zwykle. Przyglądała się gniew, jej powolny zazwyczaj krok nabral tempa, szła, myśląc wciąż o Michaelu. Przez kilka sekund patrzyła na ogromne, podobne do twierdzy, doryckie kolumny zwieńczające wejście do muzeum, a potem odwróciła oczy i omiotła wzrokiem ulicę. Była zadowolona z siebie. Miejsce, w którym pracowała, pełne było barw jej, a nie jego świata. Czuła się swobodnie pośród dzieł sztuki, rozumiała je, umiała wyczuć energię ukrytą w każdym pociągnięciu pędzla. Te płótna, wielkie jak samo muzeum, zajmowały całe połacie ścian. Onieśmiały zwiedzających, ponieważ każdy, kto stał przed nimi, wydawał się sobie mały.

Odczuwała odrobinę satysfakcji. Było to doskonale miejsce, by uwolnić się od szalonych miłosnych roszczeń Michaela O'Connella, jej świat, dla niego całkowicie obcy. W muzeum powinien się poczuć kimś małym i nieważnym. Liczyła na to, że ich spotkanie będzie krótkie i w miarę bezbolesne dla obu stron.

Wyobrażała sobie jego przebieg. Będzie twarda i nieustępliwa. Grzeczna, ale bezwzględna.

Żadnych jęklanych skarg. Żadnych „proszę” i „zostaw mnie w spokoju”.

Od razu przejdzie do sedna. Sprawa zamknięta. Koniec.

Żadnych rozmów o miłości. Żadnych dyskusji o tym, co byłoby możliwe. Ani słowa więcej na temat tej jednej nocy. Ani słowa o e-mailach. O martwych kwiatach. O niczym, co prowadziłoby do dłuższej wymiany zdań. Nie powie nic, co mógłby uznać za krytykę. Czyste, nieobciążone niczym zerwanie. Tylko: Dziękuję. Przykro mi. To już skończone. Żegnaj na zawsze.

Wyobraziła sobie nawet, że gdy już będzie miała za sobą to spotkanie, zadzwoni do Willa Goodwina. Dziwiło ją, że dotąd się nie odezwał. Ashley nie spotkała jeszcze chłopaka, który nie dzwoniłby po pierwszej randce, prosząc o drugą, więc czuła się trochę niepewnie. Myślała o tym, że Will zachowywał się odwrotnie niż Michael O'Connell. Tymczasem przechodziła przez biura i sale muzeum, kłaniając się ludziom, których znała i chłonęła dobroczynną normalność dnia.

Kiedy nadeszła pora lunchu, poszła do barku, usiadła przy małym stoliku i zamówiła szklanek wody gazowanej, ale nic do jedzenia. Wybrała miejsce, z którego mogła dostrzec Michaela O'Connella, gdy tylko

wszedłby na schody prowadzące do muzeum, a potem przez szerokie szklane drzwi skierowałby się do wejścia. Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest dokładnie pierwsza.

Poczuła, że zaczyna się pocić i lekko drżą jej dłonie. Powtórzyła sobie: Żadnych pocałunków w policzek. Żadnego podawania rąk. Absolutnie żadnych fizycznych kontaktów. Pokaż mu tylko krzesło naprzeciwko siebie i przejdź od razu do rzeczy. Nie odbiegaj od tematu.

Wyjęła pięciodolarowy banknot, który znacznie przewyższał cenę jednej szklanki wody, i włożyła do kieszeni, skąd mogła go szybko wyciągnąć. Chciała mieć pełną swobodę na wypadek, gdyby musiała nagle wstać i odejść. Pogratulowała sobie, że pomyślała o takim zabezpieczeniu.

Coś jeszcze? Nie było żadnych luk, przemyślała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Powtórzyła w myślach cały plan i odczuła podniecenie, a potem wewnętrzną pustkę.

Spojrzała przez okno, spodziewając się, że zaraz go zobaczy. W jej polu widzenia pojawiło się kilka par, potem rodzina, dwoje młodych rodziców ciągnących za sobą znudzonego sześciolatka. Zauważyła dwóch starszych mężczyzn o dziwacznym wyglądzie, którzy bardzo powoli wchodzili po schodach, przystając co chwila, jakby na dany znak, by w następnym momencie jednocześnie ruszyć dalej. Zlustrowała chodnik, potem spojrzała w głąb ulicy. Ani śladu Michaela O'Connella.

Dziesięć po pierwszej zaczęła się wiercić na krześle.

Piętnaście po pierwszej podszedł do niej kelner i grzecznym, ale stanowczym tonem zapytał, czy chce coś zamówić.

O wpół do drugiej wiedziała już, że on nie przyjdzie. Jednak jeszcze czekała.

O drugiej położyła pięciodolarówkę na stoliku i opuściła bar.

Po raz ostatni rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegła Michaela. Wróciła do pracy. Gdy podeszła do swojego biurka, wyciągnęła rękę w stronę telefonu, bo pomyślała, że powinna zadzwonić do niego i dowiedzieć się, gdzie jest.

Jej palce zastygły na moment w bezruchu, zawahała się.

Pomyślała, że po prostu stchórzył. Zrozumiał, że zamierza się go pozbyć raz na zawsze i nie chciał wysłuchać osobiście tej złej wiadomości. Może zniknął już naprawdę z mojego życia. Wtedy telefon byłby niepotrzebny, co więcej, mógł popsuć całą sprawę.

Nie przypuszczała, że wszystko pójdzie po jej myśli, ale z pewnością było to możliwe. Nieoczekiwanie mogła się stać wolna, cudownie wolna.

Trochę niepewna, co tak naprawdę się stało, zabrała się znowu do pracy; starała się zająć umysł monotonnymi, zwyczajnymi czynnościami.

Ashley pracowała do późna, mimo że nie było takiej potrzeby.

Gdy wyszła z muzeum, na dworze padało. Zimny, przeraźliwie ostry deszcz niczym bęben wystukiwał na chodniku rytm melodii samotności. Naciągnęła głębiej wełnianą czapkę, otuliła się szczelniej płaszczem i ruszyła naprzód ze spuszczoną głową. Ostrożnie zeszła po śliskich schodach muzeum i już miała skrócić w najbliższą ulicę, gdy napotkała wzrokiem odbicie czerwonego neonu połyskującego w witrynie sklepowej naprzeciw niej. Światła zdawały się rozmywać w blasku reflektorów przejeżdżających samochodów. Nie wiedziała, dlaczego jej wzrok pobiegł w tym kierunku, ale postać, którą zobaczyła, przypominała widmo.

Tuż przy ścianie, tak że w połowie znajdował się w świetle, a w połowie w mroku, czekał Michael O'Connell.

Przystanąła raptownie.

Ich spojrzenia spotkały się ponad ulicą.

Miał na sobie spodnie khaki i ocieplaną kurtkę w wojskowym stylu, a na głowie ciemną czapkę. Wydawał się kimś anonimowym, kimś, kto stara się być niewidoczny, ale jednocześnie promieniowała z niego jakaś intensywna energia, coś, czego nie potrafiła określić.

Nie zrobił żadnego gestu w jej kierunku, żadnym znakiem nie zdradził, że ją rozpoznał - utkwiał jedynie w niej spojrzenie.

Ashley cofnęła się o krok. Czowała, że serce wali jej jak młotem, nie wiedziała, co ma robić.

Przed nią, na ulicy, jakiś samochód skręcił gwałtownie, by wyminąć taksówkę; szerokie pasmo światła pojawiło się na jej drodze. Rozległo się trąbienie klaksonów, zapiszczały opony na mokrej nawierzchni. Ashley na chwilę zainteresowała się sytuacją na ulicy, a kiedy znowu odwróciła się w jego kierunku, O'Connella już nie było.

Wzdrygnęła się i ponownie cofnęła o krok.

Społgądała to w jedną, to w drugą stronę, ale on jakby zapadł się pod ziemię. Na moment straciła pewność, co dokładnie widziała przed chwilą. Wydał się jej bardziej przywidzeniem niż kimś rzeczywistym.

Zaczęła iść, jej pierwsze kroki były nierówne i chwiejne. Szła pełna wątpliwości i niepokoju. Odwróciła się znowu, próbując wypatrzeć O'Connella, ale go nie dostrzegła. Nagle wydało jej się, że jest gdzieś tuż za jej plecami, odwróciła się gwałtownie i omal nie zderzyła z jakimś biznesmenem, maszerującym pospiesznie po chodniku. Gdy wykonała nagły zwrot, chcąc zejść mu z drogi, prawie wpadła na parę młodych ludzi, którzy zdążyli rzucić: „Hej, uwaga”, zanim ją ominęli.

Ashley odwróciła się po raz kolejny i ruszyła ich śladem, brnąc przez kałuże tak szybko, jak mogła. Wciąż obracała głowę to w prawo, to w lewo,

lecz to nic nie dało. Miała chęć odwrócić się i sprawdzić, co się dzieje za jej plecami, ale zabrakło jej odwagi. Zamiast tego przyspieszyła kroku, teraz prawie biegła.

W ciągu paru sekund znalazła się na stacji metra, przepchnęła przez kołowrót i odetchnęła z ulgą na widok tłumu ludzi i oślepiających świateł peronu.

Uniosła wysoko głowę, próbując odnaleźć O'Connella w którejś z gruppek czekających na pociąg. I tym razem go nie dostrzegła. Zaczęła obserwować ludzi przechodzących przez kołowrót i wchodzących po schodach, ale wśród nich też go nie było. Mimo to nie miała wcale pewności, że gdzieś się nie przycisnął. Nie mogła przebić się wzrokiem przez wszystkie grupki, a liczne plakaty i słupy ograniczały jej pole widzenia. Wychyliła się, czekając na przyjazd pociągu. W tym momencie pragnęła tylko jednego - uciec. Uspokajała samą siebie, że nic nie może jej się stać na zatłoczonej stacji metra, ale gdy powtarzała kolejny raz: jesteś tu bezpieczna, poczuła, że ktoś popchnął ją z tyłu. Przez jedną przyprawiającą o zawrót głowy sekundę myślała, że straci równowagę i spadnie na tory. Wydała stłumiony okrzyk i raptownie się cofnęła.

Z trudem przełknęła ślinę, zebrała się w sobie, naprężyła mięśnie niczym sportowiec oczekujący zderzenia z przeciwnikiem, jakby się bała, że Michael O'Connell stoi za nią, gotów ją znów popchnąć. Czekała, czy nie usłyszy jego oddechu, zbyt przerażona, by się odwrócić i spojrzeć za siebie. Nadjeżdżający pociąg wypełnił peron ostrymi dźwiękami hamulców. Odetchnęła z ulgą, gdy wagon przesunął się obok i tuż przed nią otworzyły się drzwi, wydając świszczący odgłos.

Dała się ponieść fali ludzi dojeżdżających do pracy, wśliznęła się na wolne miejsce siedzące i natychmiast została ściśnięta pomiędzy jakąś starszą kobietą a studentem, który opadł na ławkę obok niej; poczuła mocną woń nikotyny. Przed nią stało kilku pasażerów uczeponych metalowych uchwytych i górnych poręczy.

Ashley spojrzała w górę, potem w prawo i w lewo, badając każdą twarz.

Nie zobaczyła go.

Rozległ się ten sam świszczący odgłos i drzwi się zamknęły. Pociąg szarpnął i ruszył naprzód.

Nie wiedziała, dlaczego to robi, ale obróciła się na swoim miejscu i spojrzała na wysoki peron, kiedy pociąg zaczął nabierać szybkości. To, co zobaczyła, sprawiło, że z trudem powstrzymała krzyk przerażenia. O'Connell stał dokładnie w tym miejscu, gdzie znajdowała się kilkanaście sekund wcześniej. Nieruchomo, niewzruszony jak posąg. Jego oczy

znów były utkwione w jej twarzy, a kiedy pociąg odsuwał ją stopniowo od niego, nadal nie odrywał od niej wzroku. Zniknął, gdy odjechali z peronu.

Czuła rytmiczne kołysanie pędzącego pociągu, który oddalał ją coraz bardziej od ścigającego mężczyzny. Ashley zrozumiała, że niezależnie od tego, jak szybko jedzie, powiększająca się odległość pomiędzy O'Connelllem a nią była czymś zwodniczym i prawdopodobnie w końcu musiała się stać nierzeczywista.

Kampus Uniwersytetu Massachusetts-Boston znajduje się w Dorchester tuż obok przystani. Budynki kampusu są tak niewzruszone i pozbawione wdzięku jak średniowieczne fortyfikacje, a we wczesne letnie dni brązowe ceglane mury i szare betonowe przejścia zdają się wchłaniać i gromadzić gorąco. Jest to brzydsza przyrodnia siostra uczelni, która przyjmuje młodych ludzi starających się zdobyć dodatkową porcję edukacji.

W pewnym momencie zgubiłem się w betonowym morzu, musiałem zapytać o drogę, nim znalazłem właściwą klatkę schodową, prowadzącą do wysłużonego baru na zewnątrz stołówki. Zawahałem się na moment, a potem spostrzegłem profesora Corcorana, który machał do mnie z jednego ze spokojniejszych miejsc w sali.

Prezentacja trwała krótko, uścisnęliśmy sobie ręce i wymieniliśmy kilka słów na temat nietypowego dla tej pory roku upału.

- A więc - zaczął profesor, gdy już usiadł i pociągnął łyk wody mineralnej - w jaki sposób mógłbym panu pomóc?

- Michael O'Connell - odparłem. - Ukończył u pana dwa kursy informatyki kilka lat temu. Miałem nadzieję, że będzie pan mógł go sobie przypomnieć.

Corcoran skinął głową.

- Istotnie, pamiętam go - powiedział. - To znaczy, nie powinienem w gruncie rzeczy, ale pamiętam i już to o czymś świadczy.

- Dlaczego?

- Wciążu kilku ostatnich lat setki studentów przeszły te same dwa kursy, co on. To oznacza mnóstwo testów, mnóstwo dyplomów ukończenia kursu, mnóstwo twarzy. Po jakimś czasie wszyscy uczniowie zlewają się w jedną postać w niebieskich dżinsach, czapce bejsbolowej odwróconej daszkiem do tyłu, pracującą w dwóch różnych miejscach, by zarobić na studia.

- Ale O'Connell...

- No cóż, ujmę to w ten sposób: nie jestem zaskoczony, że ktoś zadaje pytania dotyczące jego osoby.

Profesor był niedużym, żyłastym mężczyzną o jasnych rudawozłotych, rzadziejących włosach. Nosił dwuogniskowe okulary. Z kieszeni



koszuli wystawał mu rząd piór i ołówków. Miał przy sobie wysłużoną płócienną teczkę.

- Aha - ciągnąłem. - Czemu to pana nie zaskakuje?

- Zawsze myślałem, że mógłby się tu zjawić detektyw z jakimiś pytaniami na temat O'Connella. Albo ktoś z FBI czy może zastępca prokuratora generalnego lub jakiś adwokat. Wie pan, kto przychodzi na mój kurs? Studenci, którzy słusznie się spodziewają, że umiejętności, jakie tu nabędą, znacznie poprawią ich perspektywy finansowe. Problem polega na tym, że im większe doświadczenie zdobywa student, tym lepiej widzi, jak można niewłaściwie spożytkować zdobytą wiedzę.

- Niewłaściwie?

- Łagodniejsze słowo niż to, które w pełni oddaje prawdę. Wygłaszam cały wykład na temat łamania prawa, jednakże...

- O'Connell?

- Większość tych dzieciaków, które wybierają ową ciemną stronę... - mówiąc te słowa, zaśmiał się cicho. - No cóż, oni są właśnie tacy, jak można by oczekiwać. Wyrośnięci durnie i nieudacznicy do n-tej potęgi. Najczęściej sprawiają same kłopoty. Włamują się do komputerów, przesyłają sobie gry, nie płacąc za licencje, kradną pliki muzyczne lub kopiują filmy z Hollywood, zanim zostaną rozprowadzone na DVD. Ale O'Connell był inny.

- Niech mi pan wyjaśni różnicę.

- On był kimś o wiele groźniejszym i o wiele bardziej przerażającym.

- Dlaczego?

- Ponieważ dobrze wiedział, czym jest w istocie komputer: narzędziem. A jakich narzędzi potrzebuje czarny charakter? Noża? Pistoletu? Samochodu, którym mógłby szybko zniknąć? To zależy od tego, jakie przestępstwo zamierza popełnić, prawda? Komputer może być równie skuteczny jak broń kaliber 9 milimetrów, gdy trafi w niewłaściwe ręce. A niech mi pan wierzy, to były naprawdę złe ręce.

- Skąd pan to wiedział?

- Wiedziałem od pierwszej chwili. Nie wyglądał jak zmokła kura ani ktoś lekko oszołomiony światem, jak wielu innych studentów. Miał ten, no nie wiem, jakiś wewnętrzny luz. Był przystojny. Dobrze zorganizowany... Ale promieniowało z niego coś niebezpiecznego. Jakby nie liczyło się dla niego nic, poza nikomu niezdradzonymi własnymi planami. A kiedy się patrzyło na niego z bliska, miał niepokojący wyraz oczu, spojrzenie mówiące „lepiej nie wchodź mi w drogę”. Wie pan, oddał kiedyś zadaną pracę kilka dni po terminie, więc zrobiłem to, co zawsze robię w takich wypadkach i o czym uprzedzam każdą grupę pierwszego dnia zajęć, obniżyłem mu ocenę o jeden stopień za każdy dzień spóźnienia. Przyszedł do mnie i powiedział, że byłem niesprawiedliwy. Jak pan się

domyśla, nie był to pierwszy przypadek, że student pojawił się u mnie poskarżyć się na ocenę. Lecz rozmowa z O'Connell'em była inna niż poprzednie. Nie wiem, jak on to zrobił, ale to ja znalazłem się w pozycji kogoś, kto się usprawiedliwia... Im dłużej wyjaśniałem mu, że to nie było niesprawiedliwe, tym bardziej zwięźlały się jego oczy. Patrzył jak człowiek, który za chwilę może cę uderzyć. Ani razu ml nie groził, niczego nie sugerował ani nie uczynił niczego jawnie wrogiego. Ale przez cały czas naszej rozmowy czułem, że to właśnie robił. Ostrzegiał mnie.

- To robi wrażenie.

- Przez cały wieczór nie mogłem o tym zapomnieć. Żona mnie pytała, co się dzieje, a ja musiałem odpowiadać: „Nic”, choć to nie była prawda. Miałem wrażenie, że udało ml się uniknąć czegoś naprawdę przerażającego.

- Nigdy nic panu nie zrobił?

- No cóż, pewnego dnia, jakby mimochodem dał ml do zrozumienia, że wie, gdzie mieszkam.

- I...?

- Tylko tyle. I w ten sposób to się skończyło.

- W jaki sposób?

- Złamałem wszystkie swoje zasady. Poniosłem całkowitą moralną klęskę. Poprosiłem go do siebie po zajęciach, powiedziałem mu, że popełniłem błąd, że to on miał rację, I dałem mu A za pracę i A jako ocenę semestralną.

Nic na to nie powiedziałem.

- A więc - zapytał profesor Corcoran, zbierając swoje rzeczy - kogo on zabił?

## 10. Kiepski początek

Hope była w kuchni. Czekając na powrót Sally, przygotowała danie według nowego przepisu. Spróbowała sosu, sparzyła się w język i zakłęła pod nosem. Uznała, że nie ma dobrego smaku i przestraszyła się, że obiad się nie uda. Ogarnęło ją uczucie bezradności wywołane czymś znacznie poważniejszym niż klęska kulinarna; łzy zakręciły się jej w oczach.

Nie umiała powiedzieć, dlaczego w ich relacjach z Sally wciąż trwa taki trudny okres.

Kiedy analizowała wszystko powierzchownie, wydawało się, że nie ma żadnych powodów uzasadniających przeciągające się okresy milczenia i liczne napięcia między nimi. Ani Sally w jej praktyce prawniczej,

ani ona w szkole nie miały poważnych zmartwień czy problemów. Pod względem finansowym wiodło im się całkiem dobrze, mogły się wybrać na urlop do egzotycznych krajów albo kupić nowy samochód, a nawet przerobić kuchnię, gdyby miały na to ochotę. Ale za każdym razem, gdy jedna z tych możliwości pojawiała się jako temat rozmowy, była skutecznie odsuwana na dalszy plan. Sally wyliczała powody, dla których powinny zrezygnować z tego czy z tamtego. Wynajdywała przeszkody, uniemożliwiając w ten sposób przeżycie jakiejś przygody, i Hope głęboko się tym martwiła.

Wydawało się jej, że minęło już sporo czasu od chwili, gdy po raz ostatni wspólnie coś przeżywały.

Nawet ich współżycie seksualne niegdyś pełne miłostnego zapamiętania, czułości i namiętności, ostatnio ostygło. Stało się powierzchowne, jakby zdawkowe, i to ją również niepokoiło. A okazje do uprawiania seksu zdarzały się teraz o wiele rzadziej...

Ciekawe, powiedziała sobie, brak żarliwości miłosnej wskazywał, że być może Sally szukała uczucia gdzie indziej. Przypuszczenie, że Sally miała romans, było z jednej strony śmieszne, ale z drugiej całkiem możliwe. Hope zacisnęła zęby. Uznała, że wyobrażając sobie uczuciową klęskę, mogła sama do niej doprowadzić, a rozpamiętywanie podejrzeń sprawiało jedynie, że coraz silniej narastał w niej niepokój. Nienawidziła uczucia niepewności. Nie leżało w jej naturze i popełniłaby błąd, gdyby pozwoliła, żeby zagnieździło się w niej nieproszone.

Spojrzała na zegar na ścianie i nagle poczuła ogromną chęć, by wyłączyć kuchenkę, wziąć sportowe buty i urządzić sobie męczący, szybki bieg. Pozostało jeszcze trochę czasu do zmierzchu i pomyślała, że jeśli nawet czuje się wyczerpana po szkolnym dniu i treningu piłkarskim, kilkukilometrowy bieg w tempie zbliżonym do sprintu to dobry pomysł. Gdy była zawodniczką, w końcowej fazie meczu zawsze pozostawało jej więcej energii niż dziewczynom z przeciwnej drużyny. Nie była pewna, czy zawdzięcza to szczególnej odporności na zmęczenie, jak sądzili trenerzy. Uważała, że miało to związek z jej możliwościami emocjonalnymi, czymś, co napędzało ją tak, że kiedy inne słabły, ona uruchamiała dodatkowy zapas energii

Wyłączyła kuchenkę i pobiegła na górę do sypialni, przeskakując po dwa stopnie naraz. W ciągu paru sekund zrzuciła ubranie, wciągnęła szorty, czerwoną, starą sportową bluzę Manchester United i włożyła buty. Chciała się znaleźć na dworze, zanim wróci Sally, żeby nie musiała wyjaśniać, dlaczego nabrała ochoty na bieganie w porze, kiedy na ogół zajmowała się przyrządzaniem obiadu.

Bezimienny przysiadł u podnóża schodów, machając ogonem z umiarkowanym entuzjazmem. Rozpoznał strój do biegania, ale wiedział,

że rzadko już jest zabierany na tego rodzaju imprezy. Kiedyś pojawiał się natychmiast u jej boku i skakał podniecony i szczęśliwy, teraz chciał tylko ją odprowadzić ją do drzwi, a potem usadowić się wygodnie i czekać na jej powrót. Tak bowiem, jak sądziła, pojmował swoje psie obowiązki.

Hope zatrzymała się i w tej samej chwili odezwał się telefon.

Zaprzagnęła jednego: uciec od problemów, które ją dręczyły, choćby la jakiś czas. Przypuszczała, że to dzwoni Sally i może powie, że wróci różno. Wyglądało na to, że ona nigdy już nie zadzwoni, aby powiedzieć, że przyjdzie wcześniej. Hope nie miała ochoty tego słuchać i postanowiła zignorować dzwonek.

Ale telefon odezwał się ponownie.

Ruszyła w stronę drzwi, już je otworzyła, ale przystanęła, odwróciła się, przeszła szybkim krokiem do kuchni i podniosła słuchawkę.

- Halo - powiedziała dziarskim, rzeczowym tonem.

- Hope?

W jednej sekundzie Hope usłyszała nie tylko Ashley, ale i niepokojącą nutę w jej głosie, która zdradzała, że dzieje się coś niedobrego.

- Cześć, Zabójco - powiedziała. Użyła przezwiska, które znały tylko one. - Coś nie tak? - Nadała głosowi ożywiony ton, który miał spełnić rolę zasłony; chciała ukryć nie tylko własny nastrój, ale i dziwny ucisk, jaki poczuła nagle w żołądku.

- Och, Hope. - Głos Ashley drżał. - Myślę, że naprawdę mam problem.

Sally słuchała w samochodzie lokalnej alternatywnej stacji rockowej, kiedy rozległo się *Poor, Poor Pitiful Me* kapeli Warren Zevon's. Nagły impuls, którego nie mogła zrozumieć, sprawił, że zjechała do krawężnika, gdzie wysłuchiwała piosenki do końca. Zastygła w fotelu, bębniąc palcami w kierownicę w rytm melodii.

Gdy muzyka wypełniła małego sedana, uniosła ręce przed sobą.

Na grzbiecie dłoni wystąpiły żyły niebieskie jak autostrady międzystanowe na mapie samochodowej. Palce były naprężone, może trochę artretyczne. Potarła je o siebie, próbując odzyskać trochę ich dawnej giętkości. Pomyślała, że kiedy była młodsza, miała ładną cerę, piękne oczy i zgrabną figurę, ale najbardziej dumna była ze swoich dłoni. Wydawało się jej, że mają w sobie zaklęte nuty. Jako nastolatka grała na wiolonczeli i zastanawiała się nad przesłuchaniem kwalifikacyjnym do Juliarda lub Berklee, ale w ostatniej chwili postanowiła podjąć bardziej ogólną edukację, co doprowadziło ją do męża, córki, romansu z inną kobietą, rozwodu oraz dyplomu prawnika. Do jej obecnej praktyki i jej obecnego życia.

Nie grała już na swoim instrumencie. Nie potrafiła wydobyć z wionczeli dźwięków tak czystych i subtelnych jak niegdyś, a wołała nie słuchać własnych błędów. Sally nie znosiła być niedoskonałą.

Kiedy piosenka zaczęła się zbliżać do końca, we wstecznym lusterka mignęło jej odbicie własnych oczu. Wyciągnęła rękę i ustawiła lusterko tak, że mogła patrzeć na siebie. Brakowało jej roku do pięćdziesiątki, którą niektórzy uważają za kamień milowy na drodze życiowej, ale której ona bała się panicznie. Nie cierpiała zmian w swoim ciele, poczynając od uderzeń krwi do głowy, a skończywszy na zeszywnieniu stawów. Nienawidziła zmarszczek tworzących się w kącikach oczu. Nie znosiła skóry zwisającej pod podbródkiem i na pośladkach. W tajemnicy przed Hope zapisała się do lokalnego klubu fitness i pocila się na ruchomych bieżniach i eliptycznych maszynach tak często, jak tylko mogła sobie na to pozwolić.

Zaczęła studiować oferty klinik chirurgii kosmetycznej i nawet rozważała, czy nie wymknąć się do jakiegoś renomowanego centrum odnowy biologicznej pod pretekstem ważnej podróży służbowej. Nie bardzo wiedziała, dlaczego ukrywa to wszystko przed swoją partnerką...

Zaczerpnęła głęboko powietrza i wyłączyła radio.

Pomyślała, że skradziono jej całą młodość. Poczowała smak goryczy, ponieważ wszystko w jej życiu wydawało się łatwe do przewidzenia, mieściło się w ogólnie przyjętych schematach. Nawet jej związek, który w pewnych regionach kraju mógł pobudzić ludzi do plotek i wydawać się czymś egzotycznym lub niebezpiecznym, w zachodnim Massachusetts był niemal tak banalny jak nieuchronność nadejścia kolejnych pór roku. Nie jestem nawet w kolizji z prawem, jeśli chodzi o seks, pomyślała Sally.

Chwyciła mocno kierownicę i wydała krótki gniewny krzyk, coś w rodzaju wrzasku, jakby odczuła nagły ból. Potem rozejrzała się dookoła, by się upewnić, że nie usłyszał tego nikt z przechodniów.

Z trudem oddychając, wrzuciła bieg.

I co dalej? - zadała sobie pytanie, włączając się do ruchu na jezdni; wiedziała już, że znowu się spóźni na obiad. Jakaś choroba? Pomyślała sobie, że mogłoby to być rak piersi, osteoporoza albo anemia. Cokolwiek by to było, nie mogłoby stać się czymś boleśniejszym, trudniejszym do zniesienia niż ten przyływ niekontrolowanego gniewu, frustracji i szaleństwa, wobec których czuła się bezradna.

- A więc obie kobiety miały problemy?

- Tak. Sądzę, że tak, lecz to wcale nie ułatwia zrozumienia tego, co zaszło od momentu, w którym pojawił się w ich życiu Michael O'Connell,

ani zrozumienia, jak dalece jego obecność zmieniała to, co się działo w ich związku.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Naprawdę? - odparła. - Mam wrażenie, że niezupełnie pan rozumie...

Siedzieliśmy w małej restauracji blisko wejścia, w miejscu, z którego mogła przez okno spoglądać na główną ulicę miasteczka uniwersyteckiego, gdzie mieszkaliśmy oboje. Uśmiechnęła się i odwróciła z powrotem do mnie.

- W naszym przyjemnym, bezpiecznym życiu ludzi należących do klasy średniej przyjmujemy wiele rzeczy za oczywiste, zgodzi się pan? - zapytała nie czekając na moją odpowiedź, ciągnęła: - Czasami zdarzają się problemy, wtedy, gdy najmniej się ich spodziewamy, także w momentach, kiedy nie jesteśmy przygotowani do tego, by sobie z nimi radzić.

W jej głosie zabrzmiał ton podenerwowania czy irytacji, połączony ze stanowczością, a wszystko wydawało się nie na miejscu w to pogodne popołudnie.

- Okay - westchnąłem. - A więc życie Scotta nie było w pełni udane, chociaż biorąc rzecz ogólnie, nie było takie złe. Miał dobrą pracę, pewien prestiż, więcej niż zadowalające pobory, co powinno skompensować mu, przynajmniej w pewnym stopniu, samotność dość typową dla osoby w średnim wieku. Susan i Hope przechodziły trudny okres, ale powodziło im się bardzo dobrze. Miały dużo pieniędzy. A Ashley, mimo że była wykształcona, kulturalna i atrakcyjna, ciągle w jakiś sposób się zmieniała i nigdy nie była pewna tego, jaka czeka ją przyszłość. Takie mniej więcej jest życie, prawda? Jak to...

Przerwała mi, unosząc jedną rękę jak policjant z drogówki, a drugą sięgnęła po szklankę mrożonej herbaty. Upiła łyk i dopiero wtedy dopowiedziała:

- Musi pan znaleźć odpowiednią perspektywę. W przeciwnym razie ta historia nie będzie miała sensu.

Znowu zachowałem milczenie.

- Umieranie - przyznała w końcu - to taki prosty akt. Ale wszystkie chwile, które prowadzą do niego, wszystkie minuty, jakie następują potem, są przerażająco skomplikowane.

## 11. Pierwsza odpowiedź

Sally była zaskoczona, gdy zobaczyła, że drzwi wejściowe są otwarte. Bezmienny klapnął przy wejściu, nie całkiem spał i nie całkiem pełnił

wartę, ale mniej więcej robił jedno i drugie. Uniósł głowę i walił ogonem na powitanie Sally, a ona wyciągnęła rękę i pogłaskała go za uszami, co było najcieplejszą formą jej kontaktów z psem. Podejrzuwała, że gdyby przyszedł Kuba Rozpruwacz z ciasteczkami dla psów w jednym ręku i zbroszonym krwią nożem w drugim, Bezimienny chwyciłby zębami ciasteczko.

Stawiając teczkę w niewielkim holu, usłyszała ostatnie słowa rozmowy.

- Tak... tak. Okay. Zrozumiałam. Zadzwonimy do ciebie dziś wieczorem. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Tak... To na razie.

Sally usłyszała dźwięk słuchawki odłożonej na widelki, a potem Hope odetchnęła głośno i powiedziała: - Jezu Chryste...

- Co się stało? - zapytała Sally.

Hope odwróciła się szybko.

- Nie słyszałam, jak weszłaś...

- Musiałaś zostawić otwarte drzwi.

Sally popatrzyła na strój do biegania i dodała:

- Wychodziłaś? Czy właśnie wróciłaś?

Hope zignorowała pytania i ton Sally.

- To była Ashley - powiedziała. - Jest naprawdę zaniepokojona. Uwikłała się w coś z jakimś świrem w Bostonie i teraz zaczyna się go trochę bać.

Sally zawahała się na moment.

- Jakie uwikłanie masz na myśli?

- Ona sama powinna ci to wyjaśnić - odparła Hope. - Ale, o ile dobrze rozumiałam, spędziła z tym facetem jedną noc, a teraz on nie chce jej zostawić w spokoju.

- Czy to ten facet, którego list znalazł Scott?

- Chyba tak. On zapewnia ją na wszelkie sposoby, że „jesteśmy stworzeni dla siebie”, w czym nie ma nawet odrobiny sensu. Facet sprawia wrażenie trochę nienormalnego, ale to znów powinna ci wyjaśnić Ashley. Wyda ci się to znacznie bardziej realne, jeśli usłyszysz to bezpośrednio od niej.

- No cóż, wydaje mi się, że tak naprawdę ona robi z igły widły, ale...

- Nie wygląda na to. - Hope przerwała Sally. - Obie wiemy, że Ashley potrafi dramatyzować, ale wydawała się autentycznie zaniepokojona. Powinnaś od razu do niej oddzwonić. Pewnie poczuje się lepiej, gdy usłyszysz swoją matkę. To ją uspokoi, chyba rozumiesz?

- No dobrze, czy ten facet ją uderzył? Albo jej groził?

- Niezupełnie. I tak, i nie. Trudno powiedzieć.

- Co masz na myśli, mówiąc „niezupełnie”? - zapytała szybko Sally.

Hope pokręciła głową.

- Mam na myśli to, że „Zabiję cię” jest groźbą. Ale: „Zawsze będziemy razem” może być nią także. Trudno to wyjaśnić, dopóki nie usłyszysz tych słów skierowanych do siebie.

Hope zaskoczyło, że Sally tak chłodno i spokojnie reagowała na to, co jej powiedziała. Była tym zdenerwowana.

- Zadzwoń do Ashley - powtórzyła.
- Chyba masz rację. - Sally podeszła do telefonu.

Scott próbował się dodzwonić na stacjonarny telefon Ashley, ale po raz trzeci tego wieczoru usłyszał automatyczną sekretarkę. Próbował też dzwonić na komórkę, ale i tu usłyszał tylko nagrane pogodnym tonem powitanie i prośbę o pozostawienie wiadomości. Był zniechęcony. Jaki mają sens, zastanawiał się, te wszystkie nowoczesne środki komunikowania się, skoro człowiek z nikim nie może się skontaktować szybciej i sprawniej. W XVIII wieku, myślał, gdy się dostawało list z jakiegoś odległego miejsca, to było coś. Teraz powinniśmy być bliżej, a tak naprawdę jesteśmy coraz dalej jeden od drugiego.

Zanim jego frustracja wzrosła jeszcze bardziej, zadzwonił telefon. Poderwał słuchawkę.

- Ashley? - zapytał szybko.
- Nie, Scott, to ja, Sally - usłyszał w odpowiedzi.
- Sally - powtórzył jej imię. - Czy stało się coś złego?

Sally się zawahała, a w tym czasie Scott poczuł, jak kurczy mu się żołądek i świat wokół niego ciemnieje.

- Kiedy ostatnio rozmawialiśmy - odezwała się wreszcie Sally, wykorzystując cały swój spokój niezbędny na co dzień prawnikowi - powiedziałeś, że jakiś list, który znalazłeś, wzbudził w tobie lęk. Możliwe, że twoja reakcja była uzasadniona.

Scott milczał przez chwilę, choć miał ochotę krzyczeć, słysząc w jej głosie nuty profesjonalnego rozsądku i opanowania.

- Dlaczego? Co się stało? Gdzie jest Ashley?
- Z Ashley wszystko w porządku - powiedziała Sally. - Ale rzeczywiście może mieć problemy.

Michael O'Connell wstąpił do małego sklepu dla artystów. Jego zapas ołówków węglowych był na wyczerpaniu, więc wsunął nowy komplet do kieszeni kurtki. Wziął średniej wielkości szkicownik i przyniósł go do kasy. Znudzona młoda kobieta, która prezentowała cały wachlarz piercingów, a włosy miała w czarnych i czerwonych pasemkach, siedziała za



kasą, czytając jakąś powieść Anne Rice o wampirach. Miała na sobie czarną bawełnianą koszulkę z napisem wykonanym wielkimi gotyckimi literami: „Uwolnić Trójkę z West Memphis”. O’Connell poczuł wściekłość. Trzeba było napchać do kieszeni o wiele więcej rzeczy, zważywszy na wyraźny brak zainteresowania sprzedawczyni wchodzącymi i wychodzącymi klientami. Zapisał sobie w pamięci, że powinien tu wrócić za parę dni. Był trochę rozczarowany swoim zachowaniem, gdy wygrzebywał kilka wymiętych dolarów, by zapłacić za papierowy szkicownik.

Wiedział, że tej ekspedientce nigdy nie przysłoby do głowy skontrolowanie kieszeni kogoś, kto zamierzał zapłacić za cokolwiek.

Błąd, pomyślał. Przypomniał sobie, jak grał w futbol w szkole średniej. Do jego ulubionych zagrań należały te, które zawierały pewien element oszustwa. Spowodować, żeby zawodnicy drużyny przeciwnej przypuszczali, że robi coś zupełnie innego, niż robił w rzeczywistości. Udana zagrywka *screen pass*. Sprytne zagranie z potrójnym podaniem piłki. To był klucz, którego używał w życiu i z którego korzystał przy każdej okazji. Zrób tak, żeby ludzie cię nie doceniali. Zrób tak, żeby wydawało im się, że widzą, co się dzieje, gdy tymczasem zagraża im coś innego.

To właśnie gra, myślał, sprawiała, że to wszystko warte było zachodu.

Ekspedientka wydała mu resztę i O’Connell zapytał:

- Kim jest Trójka z Memphis?

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby zwyczajny akt kontaktowania się z kimś sprawiał jej fizyczny ból. Westchnęła.

- To są trzej faceci, których skazano za morderstwo innego faceta, chociaż tego nie zrobili. Zostali uznani za winnych z powodu swojego wyglądu przez tych wszystkich klepiących biblijne teksty, którym się nie podobało to, jak się ubierali, nie podobał się ich gotycki rock i sposób, w jaki mówili o szatanie. Teraz czekają na wykonanie wyroku śmierci i to jest niesprawiedliwe. HBO nakręciło dokumentalny film o nich.

- Dali się schwytać.

- Uważam, że to niesprawiedliwe. To, że jesteś inny, nie oznacza, że jesteś winny.

Michael O’Connell skinął twierdząco głową.

- Słusznie - powiedział. - To tylko ułatwia glinom szukanie. Gdy się różnisz od innych, nic nie ujdzie ci na sucho. Ale jeśli jesteś taki jak każdy, możesz robić wszystko, co zechcesz. Wszystko.

Wyszedł ze sklepu. Idąc ulicą, dokonał w myślach małego remanentu zdobytych informacji. Istnieją niewielkie obrzeża społeczeństwa, po których można podróżować stosunkowo bezkarnie. Trzymaj się z daleka od sklepów należących do sieci handlowej, strzeżonych przez ochroniarzy.

Pracuj na stacji obsługi, której właściciel chętnie oszczędza kosztem klienta i przymyka oczy na wiele. Unikaj zwijania czegoś z Mlecznej Hali Targowej lub z 7-11, ponieważ te miejsca bywają ciągle okradane i może tam siedzieć gliniarz, który po zakończeniu służby ukryty za lustrem weneckim dorabia sobie na boku ze spluwą kaliber 12. Zawsze rób to, czego się nie spodziewają, w taki sposób, by wytrącić ich z równowagi, ale nie budzić czujności.

Nigdy nie polegaj na innych.

Do tego wszystkiego, pomyślał, doszedłem sam w naturalny sposób.

Michael O'Connell powłókł się ulicą do swojego domu, a potem po schodach w górę. Jak zawsze w korytarzu przed jego drzwiami rozbrzmiewało miauczenie i mruczenie kotów jego starej sąsiadki. Jak zwykle wystawiła dla nich miski z jedzeniem i wodą. Spojrzył w dół i kilka kotów czmychnęło mu z drogi. To były te mądre, pomyślał, ponieważ wyczuły zagrożenie, nawet jeśli nie potrafiły pojąć, na czym polegało. Pozostałe kłębiły się beładnie. Otworzył swoje drzwi tak cicho, jak to było możliwe, sprawdzając, czy usłyszy jakieś odgłosy w którymkolwiek z innych mieszkań, a zwłaszcza kroki starej kobiety. Potem przykłęknął, wyciągnął rękę i czekał, aż jeden z najmniej podejrzliwych kotów podejdzie wystarczająco blisko do niego w oczekiwaniu pieszczoty. Szybkim, wyćwiczonym ruchem chwycił kota za kark i zaniósł do swojego mieszkania.

Kot walczył przez chwilę, próbował się wywinąć i drapać, ale O'Connell trzymał go mocno i nie zwalniał uścisku. Wszedł do kuchni i wyciągnął torbę zasuwaną na zamek błyskawiczny. Ten kot miał dołączyć do czterech innych, które trzymał w zamrażarce. Postanowił, że gdy zbierze ich sześć, zawiezie je na jakieś odległe wysypisko. Potem zacznie od początku. Nie wierzył, by stara kobieta знаła dokładnie liczbę swoich ulubieńców. A w końcu prosił ją już kiedyś raz albo i dwa, żeby ją ograniczyła. Skoro nie posłuchała jego sugestii, wypowiedzianej w tak łagodny sposób, sama w gruncie rzeczy zabiła te koty. On był tylko narzędziem śmierci.

Scott słuchał tego, co mówiła jego była żona, i z każdą sekundą zbierał w nim gniew.

Nie chodziło o to, że lekceważono jego intuicję, nie uważał też, że ma całkowitą rację. Do furii doprowadzał go spokojny ton jej głosu. Uznał jednak, że spieranie się z Sally nie da w tej sytuacji nic dobrego.

- Uważam więc i Ashley także tak sądzi - powiedziała - że byłoby najlepiej, gdybyś pojechał do Bostonu i przywiózł ją do domu na weekend, żeby przemyślała tu sobie dokładnie, jakie problemy może stworzyć jej ten młody człowiek.

- Okay - odparł Scott. - Pojadę jutro.

- Pewien dystans zazwyczaj pozwala uzyskać nową perspektywę - dodała Sally.

- Ty powinnaś to wiedzieć - przyciął jej Scott. - Jaką masz teraz perspektywę?

Sally miała chęć zrewanżować mu się takim samym sarkazmem, ale się powstrzymała.

- Scott, czy możesz po prostu przywieźć tutaj Ashley? Pojechałabym sama, ale...

- Ja pojedę. Ty prawdopodobnie masz przesłuchanie świadków lub coś w tym rodzaju, coś, czego nie da się przełożyć.

- Prawdę mówiąc, rzeczywiście mam - przyznała.

- W każdym razie, w powrotnej drodze będę miał sposobność trochę wybadać. Wtedy możemy wymyślić jakiś plan działania, a to przynajmniej da więcej niż zwyczajny weekend w domu. Być może wszystko, co będę musiał zrobić, sprowadzi się do rozmowy z tym typem.

- Uważam, że zanim włączymy się w tę sprawę, powinniśmy dać Ashley szansę, żeby mogła sama uporać ze swoim problemem. No wiesz, to część tego, co się nazywa osiągnięciem dorosłości...

- Całkowicie rozsądne i w najwyższym stopniu sensowne podejście, którego nie znoszę - odparł Scott.

Sally skwitowała jego słowa milczeniem. Nie chciała, żeby rozmowa zeszała na niepożądane tory. Zdała sobie przy tym sprawę, że Scott ma uzasadnione powody do niepokoju. W ten sposób właśnie pracował jej umysł - widziała każde wypowiedziane słowo, jakby to było światło przepuszczone przez pryzmat. Czyniło ją to świetnym adwokatem i jednocześnie osobą dość trudną w kontaktach.

- Może powinienem pojechać już dziś wieczorem - rzucił Scott.

- Nie - pospiesznie odparła Sally. - To wprowadziłoby element paniki. Starajmy się działać spokojnie.

Przez chwilę milczeli oboje.

- Hej. - Scott ożywił się nagle. - Czy ty masz jakiegokolwiek doświadczenie w tego rodzaju sprawach?

Miał na myśli doświadczenie prawnicze, ale Sally zrozumiała to inaczej.

- Nie - zaprzeczyła. - Jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek po wiedział mi, że zawsze będzie mnie kochał, byłeś ty.

W lokalnej gazecie przez ostatnich kilka dni opisywano historię, która przykuwała powszechną uwagę w dolinie, gdzie mieszkam. Trzynastoletnie dziecko trafiło do dziesiątego już z kolei zastępczego domu i

zmarło w okolicznościach budzących wątpliwości. Policja i biuro tutejszego prokuratora okręgowego podjęły dochodzenie. Ale fakty zgromadzone w tej sprawie były tak niejasne, że prawda mogła nie zostać nigdy wykryta. Dziecko poniosło śmierć na skutek pojedynczej rany postrzałowej zadanej z bliskiej odległości. Rodzice zastępczy powiedzieli, że chłopiec znalazł pistolet ojca, zaczął się nim bawić i broń wystrzeliła. A może nie bawił się nią, tylko popełnił samobójstwo. Natomiast komplet świeżych siniaków na ramionach i torsie dziecka, ujawnionych w trakcie autopsji, mógł wskazywać, że było bite lub przytrzymywane, gdy robiono z nim coś znacznie gorszego. Pistolet mógł być także powodem walki pomiędzy dzieckiem a osobą dorosłą i wypalił przypadkowo. Może zresztą miało tu miejsce coś gorszego, kto wie, czy nie morderstwo. Morderstwo, którego powodem był gniew. Morderstwo spowodowane frustracją. Morderstwo z pożądania.

Nabrałem wtedy przekonania, że prawda bywa często niesłychanie trudna do uchwycenia.

Przez cały tydzień, każdego dnia czarno-białe zdjęcie martwego dziecka spoglądało na mnie ze stron gazety. Chłopiec miał na twarzy cudownie ironiczny, lekko nieśmiały uśmiech, a jego oczy zdawały się promieniować nadzieją. Być może to właśnie czyniło tę historię tak żywą i przejmującą, zanim znikła pochłonięta powodzią innych wydarzeń. Było coś nieuczciwego w tej śmierci. Ktoś został oszukany.

Nikt nie opiekował się tym dzieckiem. W każdym razie nikt nie opiekował się nim tak, jak należało.

Sądzę, że w moich reakcjach nie różniłem się od innych ludzi, którzy czytali tę historię, słyszeli o niej w wieczornych wiadomościach albo dyskutowali na jej temat pod budką z piwem. Poruszyła ona każdego, kto kiedykolwiek przyglądał się śpiącemu dziecku i myślał, jak kruche jest życie, a przy tym jak słabe i niepewne mogą się okazać dłonie, którymi staraliśmy się uchwycić to, co uchodzi za szczęście. Domyślałem się, że na swój sposób prawda ta powoli stała się oczywista dla Scotta, Sally i Hope.

## 12. Pierwszy niekonsekwentny plan

Następnego ranka Scott pojechał na wschód na tyle wcześniej, że wstające nad horyzontem słońce odbijało się od zbiornika wodnego za Gardner i zalewało blaskiem przednią szybę. Zazwyczaj kiedy jechał

porsche drogą numer 2 z jej długimi pustymi odcinkami biegnącymi przez najmniej malownicze wiejskie okolice Nowej Anglii, pozwalał, by samochód rozpędził się tak, jakby miał się zerwać do lotu. Zapłacił kiedyś mandat pozbawionemu poczucia humoru policjantowi stanowemu, który namierzył go, gdy jechał z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, i który zaczął rozmowę od serii łatwych do przewidzenia pouczeń. Scott wcale się nimi nie przejął. Jeśli jechał samotnie i szybko, co robił tak często, jak mógł, myślał niekiedy, że to jedyne chwile, gdy nie zachowuje się tak, jak powinien się zachowywać mężczyzna w jego wieku. Jeśli nie liczyć tych momentów, zawsze starał się postępować, jak przystało na dorosłego i odpowiedzialnego człowieka. W głębi duszy wiedział, że jego lekkomyślność wynika z pewnego problemu wewnętrznego, ale wołał tę wiedzę ignorować.

Samochód zaczął buczeć w charakterystyczny dla niego sposób, co oznaczało: „przypominam, że mogę jechać szybciej, jeśli mi na to pozwolisz” i Scott rozsiadłszy się wygodnie, przygotowany na długą jazdę, zaczął rozmyślać o krótkiej rozmowie, jaką odbył z Ashley poprzedniego wieczoru.

Nie było żadnej dyskusji na temat powodu, dla którego przyjedzie, by ją zabrać. Zadał jej jedno czy dwa pytania, ale zdał sobie sprawę, że rozmawiała już z Hope i z matką, więc prawdopodobnie powtarzałby pytania, które już słyszała. Wobec tego powiedzieli sobie tylko: „Przyjadę wcześniej” i „Nie rób sobie kłopotów z parkowaniem, zatrąb tylko, a ja szybko przybiegnę”. Pomyślał, że kiedy Ashley wsiądzie do samochodu, otworzy się przed nim przynajmniej na tyle, że umożliwi mu to jakąś ocenę sytuacji.

Na razie nie bardzo wiedział, co tak naprawdę sądzić o całej sprawie. To, że jego pierwsza, instynktowna reakcja po przeczytaniu tamtego listu okazała się uzasadniona, nie dawało mu żadnej satysfakcji.

Teraz, jadąc do Bostonu, żeby zabrać córkę, nie wiedział właściwie również, na ile poważnie powinien się martwić. Trochę przewrotnie cieszył się na spotkanie z nią, bo przypuszczał, że nie będzie miał zbyt wielu okazji, by działać naprawdę tak, jak powinien ojciec. Ashley stawała się osobą dorosłą i ani on, ani matka nie byli jej potrzebni w takim stopniu jak wtedy, kiedy była dzieckiem.

Scott zsunął z nosa przeciwsłoneczne okulary. Zastanawiał się, czego teraz Ashley naprawdę potrzebuje. Trochę ekstragotówki. Może weselnego przyjęcia kiedyś w przyszłości. Rady? Chyba nie.

Nacisnął pedał gazu i samochód pomknął szybciej.

Lubił czuć się potrzebny, ale wątpił, czy kiedykolwiek będzie jeszcze niezbędny córce tak, jak rodzice małemu dziecku, które wyolbrzymia najdrobniejsze problemy. Ashley była przygotowana do tego, by potrafiła

sama się uwolnić od problemu. Scott podejrzewał nawet, że może zażądać, by dano jej prawo do tego. Przypuszczał, że jego rola sprowadzi się do dodawania jej otuchy i przedstawienia jakiejś skromnej sugestii.

Gdy po raz pierwszy przeczytał ów list, obudziły się w nim opiekuńcze uczucia, które przypomniały mu jej dzieciństwo. Teraz, gdy jechał po Ashley, mniej lub bardziej utwierdzony w swoich obawach, uświadomił sobie ze smutkiem, że jego rola będzie tu prawdopodobnie niewielka i swoje emocje powinien zachować dla siebie. Mimo to, kiedy kępy drzew wciąż jeszcze pełne jesiennych kolorów przelatwały za oknem porsche, jakąś swoją częścią cieszył się, że będzie miał okazję wkroczyć w życie swojej córki i to nie w jakieś jego peryferyjne regiony. Pędząc autostradą, Scott się uśmiechnął.

Ashley usłyszała dźwięk klaksonu, szybko spojrzała za okno i zobaczyła ojca w czarnym porsche. Pomachał ręką w jej stronę gestem, który był jednocześnie powitaniem i sygnałem ponagląjącym, ponieważ zablokował ulicę, a w Bostonie nie brakuje kierowców, którzy uwielbiają wdawać się w wymianę słów na temat trudności, jakie sprawia zastawianie drogi. Kierowcy bostońscy czerpią wielką sportową satysfakcję z używania klaksonów i wydawania głośnych okrzyków. W Miami czy Houston taka konwersacja mogłaby doprowadzić do wyciągnięcia pistoletów, ale w Bostonie jest to zawsze tylko pojedynek na słowa.

Ashley chwyciła niewielką torbę podrózną i sprawdziła, czy mieszkanie jest zamknięte. Przedtem odłączyła od sieci automatyczną sekretarkę, wyłączyła też telefon komórkowy i komputer.

Żadnych wiadomości. Żadnych e-maili. Żadnych kontaktów, myślała, zbiegając po schodach i przechodząc pospiesznie przez frontowe drzwi.

- Cześć, piękna dziewczyno - powiedział Scott, gdy przeszła przez chodnik.

- Cześć, tato - odpowiedziała Ashley. Uśmiechnęła się. - Pozwolisz mi prowadzić?

- Ach... - zawahał się Scott. - Może następnym razem...

Oboje żartowali. Scott nie pozwalał nikomu prowadzić swojego porsche. Twierdził, że chodzi mu o ubezpieczenie, ale Ashley wiedziała, jakie naprawdę są tego powody.

- To wszystko, czego będziesz potrzebowała? - zapytał Scott, spoglądając na jej małą torbę.

- Wystarczy. Mam mnóstwo rzeczy u ciebie i u mamy.

Scott pokręcił głową z uśmiechem i objął córkę.

- Był czas - powiedział sztucznie dziarskim tonem - dobrze to pamiętam, że nosiłem kufry, walizki, plecaki i ogromny worek marynarski.

Wszystko wypełnione po brzegi zupełnie niepotrzebnymi strojami po to tylko, aby mieć pewność, że będziesz mogła przebierać się przynajmniej sześć razy każdego dnia.

Ashley uśmiechnęła się znowu i podeszła do drzwi auta.

- Zabierajmy się stąd, zanim nadjedzie jakaś ciężarówka dostawcza i postanowi zgnieść twoje cacko dla panów przeżywających kryzys wieku średniego.

Oparła głowę na skórzanym podglówku i natychmiast przymknęła oczy; po raz pierwszy od wielu godzin poczuła, że jest bezpieczna. Oddychała powoli, wreszcie odprężona.

- Dzięki, że przyjechałeś, tato.

Tych parę słów wyrażało bardzo wiele.

Krótki dialog z ojcem rozproszył jej uwagę w momencie, gdy Scott wyprowadzał małe auto z ulicy. On oczywiście nie rozpoznałby postaci, która usunęła się w cień drzewa, kiedy przejeżdżali obok, ale ona rozpoznałaby ją na pewno... Gdyby miała otwarte oczy i była bardziej czujna.

Michael O'Connell odprowadzał ich wzrokiem, odnotowując w pamięci samochód, jego kierowcę i numer na tablicy rejestracyjnej.

- Czy słucha pan pieśni o miłości? - zapytała ni z tego, ni z owego. Zastanawiałem się przez chwilę, zanim odpowiedziałem.

- Pieśni miłosnych?

- Właśnie. Pieśni miłosnych. No wie pan „Późno w nocy, kiedy cały świat śpi, ja nie śpię i marzę o tobie” albo może „Maria... Spotkałem właśnie dziewczynę o imieniu Maria”. Mogłabym tak jeszcze długo cytować...

- Niespecjalnie - odparłem. - To znaczy, myślę, że każdy z nas ich słucha. Jakies dziewięćdziesiąt dziewięć procent piosenek pop, rockowych, country, wszelkich innych, nawet punk to piosenki o takiej lub innej miłości, prawda? Utraconej miłości. Nieodwzajemnionej miłości. Dobrej miłości. Złej miłości. Nie bardzo wiem, co to ma wspólnego z tym, o czym mówimy...

Byłem trochę zirytowany. Chciałem się teraz dowiedzieć, co działo się dalej z Ashley. I na pewno chciałem rozgryźć Michaela O'Connella.

- Większość miłosnych piosenek to nie są wcale piosenki o miłości. Mówią o wielu sprawach. Ale najczęściej o frustracji. Może o pożądaniu. Pragnieniu. Rozczarowaniu. Rzadko o tym, czym miłość jest naprawdę, a jest ona, jeśli pominiemy te wszystkie jej aspekty... no cóż, wzajemną zależnością. Często zbyt trudno to dostrzec, ponieważ nasze uczucie jest zdominowane przez jedną z tych innych postaci miłości. Błędnie sądzimy, że właśnie to uczucie jest wszystkim i że na nim miłość się kończy.

- No dobrze - powiedziałem powoli. - A Michael O'Connell?
- Dla niego miłość była gniewem. Wściekłością. Milczałem.
- I była dla niego czymś najważniejszym w życiu.

### 13. Najskromniejszy z celów

Chrapliwy szum silnika sportowego samochodu uśpił Ashley niemal natychmiast. Nie poruszała się prawie przez godzinę, po czym otworzyła nagle oczy, usiadła wyprostowana i wydała cichy okrzyk, zupełnie zdezorientowana. Scott zobaczył jej przerażone spojrzenie i szybko włączył nawiew powietrza przed jej fotelem. Po paru sekundach osunęła się znowu na oparcie. Potarła twarz obu dłońmi, ścierając z niej resztki snu.

- Jezus - powiedziała. - Czyja zemdlalam? Scott nie odpowiedział na to pytanie.

- Zmęczona?

- Tak sądzę - odparła. - A może raczej odprężona, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Po prostu poczułam się dziwnie. Nie to, że dziwnie niedobrze, ale i nie dziwnie dobrze. Po prostu dziwnie, dziwnie.

- Czy chcesz o tym teraz porozmawiać?

Ashley sprawiała wrażenie trochę niezdecydowanej, jakby z każdym kilometrem przesuwającym się pod kołami porsche i oddalającym ich od Bostonu, który niknął pomału w tylnym lusterku, wszystkie jej kłopoty malały. Scott tymczasem zadał trzecie już pytanie.

- Czy nie powinnaś mi po prostu powiedzieć o tym, co już mówiłaś mamie i jej partnerce? - mówił spokojnie, zdając sobie sprawę, że w przesadnie formalny sposób określił związek Sally i Hope. - Wtedy wszyscy będziemy na bieżąco zorientowani w całej sprawie. Byłoby rozsądne - dodał - gdybyśmy wspólnie zastanowili się nad tym i wymyślili sensowny rozsądny plan postępowania, którego mogłabyś się trzymać. - Nie miał pewności, czy Ashley chciała przyjechać do domu po to, by mogli ułożyć taki plan, ale miał nadzieję, że było to coś, co się spodziewała od niego usłyszeć, i to już samo w sobie musiało być uspokajające

Ashley milczała przez chwilę, wzdrygnęła się, a potem powiedziała:

- Martwe kwiaty. Martwe kwiaty podrzucone pod moimi drzwiami.

A potem śledził mnie, ale nie przyszedł do restauracji na umówione spotkanie. Zamierzałam tam uwolnić się od niego, a w efekcie poczułam się,



jakbym była zwierzęciem, a on myśliwym, który mnie osacza... - prze-  
rwała, spoglądając w boczną szybę, porządkując myśli tak, by to, co mó-  
wiła, miało sens, po czym powiedziała z głębokim westchnieniem: - Za-  
cznę od początku, żebyś mógł to zrozumieć...

Scott zmniejszył szybkość samochodu do dozwolonej, skręcił na pra-  
wy pas, którym jego samochód nigdy nie jeździł, i słuchał, nie przerywa-  
jąc nawet słowem.

Zanim dotarli do niewielkiego uniwersyteckiego miasta, gdzie miesz-  
kał Scott, Ashley opowiedziała mu dość wyczerpująco o swoim związku z  
Michaeliem O'Connellem, jeśli można było nazwać to, co zaszło między  
nimi. Prześliznęła się nad początkiem ich znajomości na tyle, na ile to  
było możliwe, krępowałyby ją bowiem rozmowa z ojcem o piciu alkoholu  
i własnym życiu intymnym. Musiałaby się w niej uciec do pozornie łag-  
odnych eufemizmów w rodzaju: „połączyliśmy się” i „piliśmy”, żeby  
uniknąć słów bardziej precyzyjnych i jednoznacznych.

Scott zrozumiał dokładnie, o czym mówiła, ale powstrzymał się od  
zbyt natarczywych dociekań. Domyślał się, że były tam szczegóły, któ-  
rych nie miał ochoty poznawać.

Kiedy zjechali z autostrady, skręcił raz czy dwa i ruszyli dalej wiejs-  
kimi drogami. Ashley znowu się uspokoiła. Wyglądała przez okno.  
Wstał pogodny dzień, wysoko w górze jaśniało błękitne niebo.

- To miło - powiedziała, wpatrując się w pejzaż za szybą - być znowu  
w domu. Zapominasz o tym, jak dobrze znasz jakieś miejsce, kiedy jesteś  
zajęta tyloma przeróżnymi sprawami. Ale to jest właśnie to. Ta sama  
miejska stołówka. Restauracje. Kawiarnie. Dzieciaki grające we frisbee  
na trawniku. Myślisz wtedy, że nigdzie nie może czyhać na ciebie zło. -  
Wypuściła powietrze z płuc i prychnęła. - No więc, tato, tak to wygląda.  
Co o tym sądzisz?

Scott próbował się zmusić do uśmiechu, który pozwoliłby mu ukryć  
niepokój.

- Sadzę, że uda nam się znaleźć sposób na to, żeby zniechęcić pana  
O'Connella do dalszych zalotów - odparł, choć nie był za bardzo przeko-  
nany, że mówi prawdę. Mimo to zadbał, by w jego głosie Ashley usłysza-  
ła wyraźny ton pewności siebie. - Być może trzeba będzie z nim poroz-  
mawiać i to wszystko. Albo może będziesz musiała zachować pewien  
dystans wobec kolegów do czasu ukończenia szkoły. Ale takie bywa ży-  
cie. Trochę w nim zamieszania. Jestem jednak pewien, że możemy to  
wszystko uporządkować. Nie wydaje się, aby Michael był tak poważnym  
wyzwaniem, jak początkowo się obawiałem.

Ashley odetchnęła trochę spokojniej.

- Tak sądzisz? - spytała.

- Tak sądzę. I założę się, że twoja matka myśli tak samo jak ja. W swojej praktyce widziała nieraz całkiem twardych facetów, no wiesz, w sprawach rozwodowych lub dotyczących drobnych przestępstw. I widziała wiele związków pełnych przemocy. Chociaż moim zdaniem twój przypadek nie należy do tej kategorii, wiem, że Sally jest dosyć kompetentna, gdy chodzi o porządkowanie podobnych spraw.

Ashley skinęła głową.

- Mam nadzieję, że cię nie uderzył?

Scott zadał to pytanie, chociaż Ashley już na nie odpowiedziała.

- Mówiłam ci, że nie. On tylko twierdzi, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

- No cóż - powiedział Scott. - Niewiele wiem o okolicznościach, w jakich on przyszedł na świat, ale znam te, w jakich ty byłaś poczęta. Wątpię, żebyśmy myśleli wtedy o nim.

Blady uśmiech przebiegł po twarzy Ashley.

- I wierz mi - dodał Scott, próbując jeszcze bardziej rozładować atmosferę. - Nie wygląda to na tak poważny problem, by szanujący się historyk nie był w stanie go rozgryźć. Troszeczkę badań. Może parę oryginalnych dokumentów lub relacji naocznych świadków. Podstawowych źródeł. Trochę pracy w terenie. I będziemy na właściwym tropie.

Ashley zdobyła się na lekki śmiech.

- Tato, nie mówimy tu o artykule naukowym...

- Naprawdę?

To raz jeszcze wywołało uśmiech na jej twarzy. Scottowi udało się obrócić w fotelu na tyle szybko, że zdążył go zobaczyć. Ten uśmiech przypomniiał mu tysiące momentów, jakie przeżył, i miał dla niego wartość większą niż wszystko inne w jego życiu.

W soboty w prywatnej uczelni, gdzie pracowała Hope, rozgrywano mecze, więc była wewnętrznie rozdarta: chciała pojechać do kampusu, a jednocześnie czekać na przyjazd Scotta z Ashley. Z doświadczenia wiedziała, że poranne słońce może osuszyć boisko, ale nie całkowicie, spodziewała się więc uciążliwej gry na błotnistej murawie. Pokolenie wcześniejsze pomyślało, by dziewczęta grały w błocie, wydawałby się tak niewłaściwy, że mecz z pewnością by odwołano. A dziś? Była pewna, że jej podopieczne cieszyły się, iż spotkanie odbędzie się w takich fatalnych warunkach. To, że są pokryte od stóp do głów błockiem i potem, wcale im nie przeszkadzało.

Hope czekała w kuchni, to spoglądając na zegar wiszący na ścianie, to wyglądając przez okno. Nasłuchiwała charakterystycznego dźwięku, jaki

wydawał silnik porsche, gdy Scott, dojeżdżając do ich domu, zmniejszał prędkość samochodu. Bezimienny czekał przy drzwiach. Zbyt stary, by być niecierpliwym, nie chciał jednak zostać w domu. Znał pytanie: „Chcesz iść na mecz?” i gdy Hope je wypowiadała, choćby najspokojniejszym tonem, od stanu bliskiego śpiączce natychmiast przechodził do szaleńczej radości.

Okno było uchylone, więc Hope mogła słyszeć odgłosy dobiegające z sąsiednich domów tak typowe dla sobotniego poranka: kosiarkę do trawy, która po pierwszym kasznięciu zaczynała wyć, jęczenie wentylatorów, piskliwe głosy dzieci bawiących się w pobliskim ogródku. Trudno było sobie wyobrazić, by gdziekolwiek na świecie mogło istnieć zagrożenie dla ich spokojnego życia. Hope nie miała oczywiście pojęcia, że kilka chwil temu ta sama myśl przyszła do głowy Ashley.

Odwróciła się i zobaczyła, że Sally stanęła za nią w drzwiach.

- Nie spóźnisz się? - zapytała. - O której godzinie jest ten mecz?

- Mam jeszcze trochę czasu - odparła Hope.

- Czy dzisiejszy mecz jest ważny?

- Każdy jest ważny. Niektóre są tylko trochę ważniejsze. Wszystko będzie w porządku - uspokoiła ją Hope, po czym zawahała się i dodała: - Powinni tu być lada moment. Scott mówił przecież, że wyjedzie wcześniej.

Sally także zastanawiała się przez chwilę, zanim odpowiedziała:

- Myślę, że powinniśmy zaprosić Scotta do nas, bo będzie chciał, że byśmy wspólnie podjęli jakąś decyzję.

- To dobry pomysł - powiedziała Hope, choć wcale tak nie uważała.

Wszystko, co wiązało się ze Scottem, stawiało ją w niezręcznym położeniu, a z czasem sytuacja jeszcze się pogorszyła i komplikowała.

Przypuszczała, że Scott jej nienawidzi, chociaż nigdy jej nie dał tego do zrozumienia w jednoznaczny sposób.

W każdym razie nie znosił jej widoku. A może nienawidził tego, co robiła, by przyciągnąć Sally lub tego, do czego doszło pomiędzy nimi. Tak czy inaczej nosił w sobie gniew skierowany przeciwko niej i sądziła, że nic tego nigdy nie zmieni.

- Zastanawiam się - powiedziała Sally - czy jeśli tu będziesz, kiedy on przyjdzie, a ja zaproszę go do środka, będziesz dobrze się czuła.

O to chodzi, pomyślała Hope.

Ogarnął ją gniew na Sally i jednocześnie poczuła się rozczarowana. Wydało się jej to całkowicie nie fair, po tylu latach grzeczne zachowanie stało się normą w ich współżyciu, nawet jeśli skrywało znacznie silniejsze emocje. Wprawiła ją w furję myśl, że Sally mogłaby chcieć jakoś się dostosować do tego, co czuł Scott, i jednocześnie podeptać jej uczucia. Przez całe lata zajmowała się wychowywaniem Ashley i choć nie było

między nimi pokrewieństwa, czuła, że szczęście dziewczyny jest dla niej tak samo ważne jak dla tamtych dwojga.

Zagryzła wargę, zanim pomyślała: Bądź rozsądna.

- Nie sadzę, że to jest fair. Ale jeśli ty uważasz, że to ważne, ustępuję, biorąc pod uwagę twoją wybitną wiedzę w tego rodzaju sprawach.

Ostatnie zdania mogły zabrzmieć szczerze lub sarkastycznie. Sally nie była pewna jej intencji.

Cofnęła się o krok, trochę zaszokowana tym, że pozwoliła sobie na coś takiego jak prośba, by Hope usunęła się na bok, gdy przyjdzie Scott. Co ja robię?

- Nie... - zaczęła, ale przerwał jej odgłos porsche wjeżdżającego przez niewielkie wzniesienie pod ich dom. - Już są.

- Myślę - powiedziała Hope chłodno - że tu zostanę.

Bezimienny skoczył w górę, rozpoznawszy znajomy odgłos silnika.

Ruszyły do drzwi i pies przepchnął się obok ich nóg, gdy tylko Scott wjechał na podjazd. Ashley wysiadła i znalazła się przed samochodem niemal tak szybko jak pies, schyliła się natychmiast, przywarła twarzą do jego pyska, a potem pozwoliła mu, by ją polizał mokrym językiem, wyrażając w ten sposób swoje gorące uczucie. Scott wysiadł także, trochę niepewny, jak będzie przebiegało spotkanie. Gestem dłoni powitał Sally i skinął głową Hope.

- Cała i zdrowa - powiedział.

Sally przeszła przez trawnik na podjazd i zatrzymała się, aby uściskać Ashley.

- Nie sądzisz, że powinieneś wejść do nas, żebyśmy mogli razem ustalić jakiś plan działania? - zapytała Scotta.

Ashley uniosła głowę w stronę swoich rodziców i przez moment czekała. W jednej chwili uświadomiła sobie, jak rzadko zbliżali się do siebie na odległość ramienia. Wyraźnie określony dystans zawsze był charakterystyczną cechą ich spotkań.

- Niech o tym zadecyduje Ashley - stwierdził Scott. - Może ona nie ma ochoty zabierać się tak od razu do tej całej sprawy. Może chciałaby zjeść jakiś lunch i się rozpakować?

Spojrzeni oboje na Ashley, a ona skinęła głową, choć wiedziała, że jest to z jej strony pewne tchórzostwo.

- W porządku - oznajmiła Sally rzeczowym tonem prawnika, który bierze sprawę w swoje ręce. - Wobec tego dziś po południu. Powiedzmy około czwartej albo wpół do piątej?

Scott skinął głową. Potem wskazał ręką dom Sally i Hope.

- Tutaj?

- Czemu nie? - zapytała Sally.

Scott mógłby przytoczyć co najmniej dziesięć sensownych powodów przemawiających przeciwko temu, ale jakoś się powstrzymał i nie wymienił żadnego z nich.

- Dobrze, wobec tego o wpół do piątej. Możemy się napić herbaty jak cywilizowani ludzie.

Sally nie zareagowała na jego sarkazm. Odwróciła się do Ashley i zapytała, wskazując na jej skromny bagaż:

- Czy to jest wszystko, co przywiozłaś ze sobą?

- Wszystko - odpowiedziała Ashley.

Hope, która stała z boku, przyglądając się całej trójce i słuchając ich wymiany zdań, pomyślała, że w istocie dziewczyna przywiozła ze sobą znacznie cięższy bagaż. Tylko nie tak widoczny.

Ashley, skacząc ostrożnie wzdłuż brzegu zabloconego boiska, dotarła do miejsca, z którego mogła widzieć Hope przygotowującą drużynę do meczu. Bezimienny był przypięty na smyczy do końca ławki, wałnął ogonem, gdy ją zobaczył, po czym znowu opuścił głowę. Lwy, pomyślała Ashley, patrząc na niego, często śpią nawet dwadzieścia godzin w ciągu afrykańskiego dnia. Wyglądało na to, że Bezimienny zbliża się do tej normy, chociaż niezbyt przypominał lwa. Czasami Ashley zastanawiała się, czy ktoś z nich mógłby przetrwać, gdyby nie Bezimienny. Zaskakiwało ją, że matka nie w pełni docenia znaczenie Bezimiennego w ich życiu. Pies ratownik, pomyślała. Pies przewodnik. Pies stróżujący. Bezimienny w sensie metaforycznym spełniał wszystkie te role, a obecnie, choć stary i prawie emeryt, wciąż był dla niej niemal bratem.

Omiotła wzrokiem odległe pasmo wzgórz. Tutejsi mieszkańcy nazywali Holyoke Range górami, ale ona zdawała sobie sprawę, że było to określenie mocno przesadzone. Góry Skaliste - to są prawdziwe góry, pomyślała. Te wzgórza miały jakieś niezасłużone dostojęństwo, majestat, a w pogodne jesienne popołudnia nadrabiały brak wysokości bogactwem czerwonych, brązowych i rudobrunatnych pasm.

Odwróciła się, by popatrzeć na mecz. Nietrudno było jej przypomnieć sobie czasy - jakieś pięć lat temu - kiedy sama mogła się znaleźć na tym boisku w niebiesko-białym kostiumie i biegać tam i z powrotem po lewej stronie placu. Zawsze była dobrą zawodniczką, choć nie tak dobrą jak Hope, która grała z jakąś brawurową swobodą. Coś jednak powstrzymało Ashley przed dokładnym jej naśladowniem.

Poczula dziwny dreszcz, gdy dziewczyna grająca na jej dawnej pozycji zdobyła zwycięską bramkę. Przeczekała radosne okrzyki i wiwaty, potem

popatrzyła, jak Hope odpina Bezimiennego ze smyczy i toczy piłkę w stronę środka boiska. Rzuciła tylko jedną, zauważyła Ashley, i nie tak daleko jak kiedyś, chciała dać mu szansę, żeby udało mu się ją przynieść. Pies złapał piłkę i radośnie potoczył ją z powrotem do Hope, popychając nosem i przednimi łapami, pełen psiej radości. Hope podniosła piłkę, wrzuciła ją do siatki na zakupy i w tym momencie spostrzegła stojącą z boku Ashley.

- Hej, Zabójco, ty już masz to za sobą. Co myślisz o nich?

Słyszając przezwisko, nadane jej przez Hope na pierwszym roku studiów, gdy grała w reprezentacji uczelni, Ashley się uśmiechnęła. Hope tak ją nazywała, ponieważ Ashley zachowywała się na boisku zbyt powściągliwie, była zbyt nieśmiała wobec starszych zawodniczek z zespołu. Hope wzięła ją wtedy na bok i powiedziała jej, że kiedy gra, musi przestać być tą Ashley, która się przejmuje tym, co czują inni, i zmienić się w zabójcę, który zawsze gra twardo, nie ma litości ani jej od nikogo nie oczekuje. Grać tak, żeby schodziła z boiska z przeświadczeniem, że dała z siebie wszystko. Obie zachowały istnienie tej drugiej postaci w tajemnicy, której nie zdradziły ani Sally, ani Scottowi, a tym bardziej innym dziewczętom z zespołu. Ashley początkowo uważała, że to jest głupie, lecz później zaczęła doceniać rady i była za nie wdzięczna Hope.

- Prezentują się nieźle. Są silne.

Hope przesunęła wzrok obok niej.

- Sally nie przyszła z tobą?

Ashley pokręciła przecząco głową.

- Są za młode. Brak im jeszcze doświadczenia - powiedziała Hope, ale ton jej głosu zdradził ją, nie potrafiła ukryć zawodu. - Jeśli tylko nie dadzą się przstraszyć, wszystko może być dobrze.

Ashley skinęła głową. Zamyśliła się nad tym, czy to samo można by powiedzieć o jej sytuacji.

Scott siedział nieco zażenowany na środku kanapy stojącej w salonie. Wszystkie trzy kobiety usiadły na krzesłach naprzeciw niego. Nadawało to ich spotkaniu jakiś dziwny oficjalny charakter i Scott miał wrażenie, jakby siedział na sali posiedzeń ławy przysięgłych.

- No cóż - zaczął dziarskim tonem - myślę, że zaczniemy od tego, co naprawdę wiemy o gościu, który nie daje spokoju Ashley. Chodzi mi o to, jaki to jest facet? Skąd pochodzi? Podstawowe fakty...

Spojrzał na Ashley, która wyglądała tak, jakby siedziała na rozżarzonych węglach.

- Powiedziałam wam już wszystko, co wiem - oznajmiła. - Nie jest tego naprawdę zbyt dużo.

Chłodno czekała na to, że ktoś z tej trójki doda teraz: „No cóż, wiedziałaś, zdaje się, dostatecznie dużo, żeby mu pozwolić wejść do swojego mieszkania i spędzić z nim noc”. Nikt tego jednak nie powiedział.

- Chciałabym zauważyć - rzuciła Sally, przerywając krótką ciszę - że nie wiemy, czy ten facet, O'Connell, zareaguje w ogóle na same słowa. Może tak. Może nie. Ale mały pokaz naszej determinacji...

- Próbowałam już tego - odparła Ashley.

- Tak, wiem. Postąpiłaś słusznie. Ale proponuję, by pójść nieco dalej - powiedział Scott. - Czy nie sądzicie, że należałoby zacząć od tego: nie zakładamy, że problem jest większy, niż jest w rzeczywistości. Być może wszystko, co będzie potrzebne, sprowadzi się do małej demonstracji ojcowskiej siły.

Sally skinęła głową.

- Może spróbujemy podzielać dwutorowo. Scott, pójdziesz powiedzieć temu gościowi: „Zostaw ją w spokoju”, a jednocześnie spróbujemy osłodzić to stanowisko, oferując mu trochę pieniędzy. Jakąś sporą sumkę, na przykład pięć tysięcy. To powinna być kwota licząca się dla kogoś, kto pracuje na stacji benzynowej i próbuje zdobyć na boku dyplom informatyka.

- Łapówka, żeby zostawił Ashley w spokoju? - zapytał Scott. - Czy to bywa skuteczne?

- Z mojego doświadczenia wynika, że zapis pieniężny jest najprostszą drogą do zawarcia ugody w wielu rodzinnych sporach, sprawach rozwodowych, sprawach o przyznanie opieki nad dzieckiem i innych tego typu problemach

- Chciałbym, żeby to była prawda - rzekł z powątpiewaniem Scott. Nie wierzył jej. Miał również wątpliwości, czyjego rozmowa z O'Connellem przyniesie jakieś efekty. Wiedział jednak, że najpierw powinno się spróbować najprostszymi sposobami. - Ale przypuścimy...

Sally uniosła rękę, przerywając jego pytanie.

- Nie spieszymy się zbytnio. Facet zachowywał się jak kreatura. Ale o ile wiem, nie naruszył dotąd prawa. Chodzi mi o to, że gdyby to zrobił, moglibyśmy mówić o prywatnym detektywie, wezwaniu policji, nakazie sądowym...

- To na pewno by poskutkowało - powiedział Scott z sarkazmem.

Sally zignorowała jego słowa.

- ...lub wypróbować inne legalne środki. Moglibyśmy nawet wywieźć Ashley z Bostonu. To skomplikowałoby jej życie, ale zawsze jest taka możliwość. Myślę jednak, że powinniśmy zacząć od najprostszymi sposobami.

- Okay - zgodził się Scott zadowolony, że Sally myśli mniej więcej tak samo jak on. - Jaki zatem przyjmujemy schemat działania?

- Ashley zadzwoni do tego faceta. Umówi się na następne spotkanie.

Zjawi się na nim z gotówką i ojcem. Niech to będzie miejsce, gdzie zawsze bywa wielu ludzi. Krótka, rozsądna, rzeczowa rozmowa. I koniec historii, miejmy nadzieję.

Scott chciał pokręcić przecząco głową, ale się powstrzymał. Wydało mu się, że pomysł ma jakiś sens. W każdym razie na tyle, że warto było się go trzymać. Postanowił postąpić zgodnie z planem Sally, po dokonaniu niewielkiej korekty.

Hope przez cały czas tej rozmowy milczała. Sally odwróciła się do niej.

- A ty co o tym sądzisz? - zapytała.

- Uważam, że to właściwy sposób - odparła Hope, chociaż wcale tak nie myślała.

Scott poczuł nagle gniew, że Hope dano sposobność do zabrania głosu. Chciał powiedzieć, że ona nie ma tu nic do gadania, że nie powinno nawet jej być w tym pokoju. Bądź rozsądny, powiedział sobie. Nawet jeżeli to jest irytujące.

- Mamy zatem plan. Przynajmniej na początek, dopóki nie przekona my się, że jest nieskuteczny.

Sally skinęła głową.

- Scott, więc naprawdę chcesz herbaty, czy to, co mówiłeś wcześniej, było jednym z twoich znakomitych żartów?

- Trudno mi po prostu uwierzyć... - zacząłem, po czym przerwałem i spróbowałem wyrazić swoją wątpliwość inaczej. - Chodzi mi o to, że oni musieli zdawać sobie sprawę... w jakimś stopniu się orientować...

- Z kim mają do czynienia? - zapytała, ale nie czekała na odpowiedź.

- Nie wiedzieli o napadzie na jej chłopaka. Nie wiedzieli o „wypadku”, który zdarzył się przyjaciółce Ashley po spotkaniu dziewcząt na kolacji. Nie wiedzieli nic o opinii, jaką miał Michael O'Connell, ani o wrażeniu, jakie wywarł na ludziach, którzy z nim pracowali, nauczycielach, na każdym, kto z nim się zetknął. Nie mieli żadnej informacji o decydującym znaczeniu. Wiedzieli o nim tylko to, że... jakiego określenia używała Ashley? Był kreaturą. Jakież niewinne słowo.

- Ale mimo wszystko chcieli z nim rozmawiać, oferować mu pieniądze? Jak mogli choć przez moment pomyśleć, że taki sposób może być skuteczny?

- A dlaczego miałyby nie być? Czy ludzie tak nie robią?

- Owszem, ale...

- Ludzie zawsze wierzą, że znaleźliby rozwiązanie, a prawda jest taka, że go nie znajdują. Jakie oni mieli inne możliwości działania?

- Cóż, mogli działać w ostrzejszy sposób...



- Nie wiedzieli! - Jej głos nagle nabral siły i pasji. Pochyliła się ku mnie i zobaczyłem w jej zwężonych oczach błysk gniewu i rozczarowanie. - Dlaczego ludziom tak trudno jest zrozumieć, jak potężne są w nas wszystkich, bez wyjątku, siły skłaniające nas do zaprzeczania. Nie chcemy wierzyć w to najgorsze!

Przerwała i zaczerpnęła głęboko powietrza. Zacząłem odpowiadać, wtedy uniosła dłoń.

- Niech pan się nie tłumaczy - powiedziała. - Niech pan nie sądzi, że nie chciałby pan wierzyć w najbezpieczniejszą wersję, kiedy w rzeczywistości czaiłoby się tuż przed panem coś najgroźniejszego.

Raz jeszcze odetchnęła głęboko.

- Tylko Hope to widziała. Lub przynajmniej miała pewne podejrzenia, jakieś mgliste pojęcie. Ale z tych czy innych powodów, niesłusznych i cholernie głupich, nie mogła nic powiedzieć. Wtedy jeszcze nie...

## 14. Głupota

Scott wiercił się na stołku przy barze, sączył powoli butelkę piwa i starał się nie spuszczać z oka drzwi restauracji, a jednocześnie obserwować Ashley siedzącą samotnie w zacisznym boksie. Czekała, przez cały czas patrząc w górę, bawiąc się srebrem stołowym i bębniąc nerwowo palcami o drewniany blat stołu.

Czuł się zażenowany tą sytuacją.

Poinstruował ją już wcześniej, co powinna powiedzieć, gdy zadzwoni do Michaela O'Connella, i co ma robić, kiedy on przyjdzie na spotkanie. W kieszeni marynarki miał kopertę z pięcioma tysiącami dolarów w studolarowych banknotach. Koperta była wypchana do granic możliwości, więc rzucona na blat stolika mogła sprawić imponujące wrażenie; Scott liczył, że jej widok podziała silniej niż wymienienie zawartej w niej sumy. Myśląc o pieniądzach, czuł krople potu oblepiające nieprzyjemnie ciało. A i tak zapewne był w znacznie lepszym nastroju niż jego córka, po której widać było napięcie. Mimo to wierzył, że zdolności aktorskie pozwolą Ashley jakoś przetrzymać to spotkanie. Przełknął ślinę i pociągnął kolejny długi łyk piwa. Napiął mięśnie pod sportową kurtką i po raz dziesiąty w tym dniu przypomniał samemu sobie, że typ, który chce zastraszyć kobietę, prawdopodobnie sam się przestraszy, stanąwszy twarzą w twarz z kimś, kto jest podobnego wzrostu i równie silny jak on, a przy tym starszy od niego, bardziej zaradny i doświadczony. On sam

przez znaczną część swojego dorosłego życia miał stale do czynienia i umiał sobie radzić ze studentami, nieróżniącymi się zbyt od Michaela O'Connella, i potrafił w niejednym z nich wzbudzić lęk. Dał znak barmanowi, by podał mu następne piwo.

Ashley czuła w sobie tylko lodowaty chłód i palące napięcie, nic poza tym.

Kiedy udało się jej dodzwonić do O'Connella na komórkę, zachowała ostrożność i trzymała się ściśle małego scenariusza, który opracowali z ojcem w powrotnej drodze do Bostonu. Niekonfrontacyjny, ale i niedwuznaczny. Chodziło o to, wciąż sobie powtarzała, by spotkał się z nią osobiście, tak aby - jeśli okazałoby się to konieczne - ojciec mógł interweniować.

- Michael, mówi Ashley.

- Gdzie byłaś?

- Miałam pewne sprawy do załatwienia poza miastem.

- Jakie sprawy?

- Sprawy, o których powinniśmy porozmawiać. Dlaczego nie przyszedłeś wtedy na spotkanie w muzeum?

- Nie podobało mi się miejsce, które zaproponowałaś. No i nie miałem ochoty słuchać tego, co zamierzałaś mi powiedzieć, Ashley. Ja naprawdę uważam, że to wspaniale, że się poznaliśmy...

- Jeśli tak uważasz, spotkaj się ze mną na obiedzie dziś wieczorem. W tym samym miejscu, gdzie byliśmy na naszej pierwszej i ostatniej randce. Okay?

- Ale tylko... - powiedział - tylko jeśli obiecasz, że to nie będzie wielkie rozstanie. Że mnie nie porzucisz. Potrzebuję cię, Ashley. A ty potrzebujesz mnie. Wiem o tym.

Jego głos brzmiał cicho, tak jak głosik proszącego dziecka. Wprawiło ją to w pewne zakłopotanie. Zawahała się.

- Dobrze, obiecuję. Dziś wieczorem o ósmej, okay?

- To byłoby wspaniale. Mamy mnóstwo rzeczy do omówienia. Choćby naszą przyszłość.

- Cieszę się - skłamała bezceremonialnie.

Zamiast odpowiedzieć na jego ostatnie zdania, rozłączyła się, nie wspomniawszy też słowem o tym, jak była przerażona, gdy szedł za nią w deszczu do stacji metra. Ani o martwych kwiatach. Ani o czymkolwiek, co naprawdę ją zmroziło.

Teraz całym wysiłkiem woli zmusiła się, by nie spoglądać na ojca siedzącego przy barze i nie spuszczać wzroku z drzwi, świadoma, że była już prawie ósma. Miała nadzieję, że nie powtórzy się sytuacja z tamtego

dnia. Plan był bardzo prosty: ona przyjdzie wcześniej do restauracji, usiądzie w boksie, a kiedy O'Connell wejdzie tam, Scott pojawi się zniecka i Michael zostanie zablokowany na swoim miejscu; nie będzie mógł wyjść, dopóki z nim nie porozmawiają. Oboje z ojcem działając jak zgrana para, zmusiliby go, żeby się zgodził pozostawić Ashley w spokoju. Przewaga liczebna. Atut w postaci miejsca pełnego ludzi. Dawalo im to, upierał się jej ojciec, również psychologiczną przewagę i powinni bez trudu kontrolować sytuację, od początku do końca. „Bądź tylko silna. Zdecydowana. Nie pozostawiaj miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości”. Scott stanowczym, wręcz kategorycznym tonem opisywał, co może się wydarzyć. „Pamiętaj. Jest nas dwoje. Jesteśmy bardziej inteligentni, lepiej wykształceni. Dysponujemy większymi środkami finansowymi. Sprawa zamknięta”.

Wyciągnęła rękę po stojącą przed nią szklankę i upiła łyk wody. Miała suche, spieczone usta. Poczula się nagle tak, jakby dryfowała po morzu na małej tratwie.

W momencie, kiedy stawiała szklankę z powrotem na stoliku, spostrzegła w drzwiach O'Connella. Podniosła się lekko na krzesło i pomachała do niego. Widziała, jak szybko omiótł wzrokiem salę, ale nie była pewna, czy zauważył Scotta siedzącego przy barze. Rzuciła ukradkowe spojrzenie w kierunku ojca i zobaczyła, że wyraźnie zeszytniał.

Zrobiła głęboki wdech i szepnęła:

- Okay, Ashley. Kurtyna w górę. Sygnał na rozpoczęcie. Czas na przedstawienie.

O'Connell przeszedł szybko przez salę i pospiesznie wśliznął się na miejsce w boksie naprzeciwko niej.

- Cześć, Ashley - powitał ją radośnie. - O rany, jak wspaniale cię widzieć.

Ashley nie była w stanie zapanować nad sobą.

- Dlaczego nie przyszedłeś na lunch, tak jak się umówiliśmy? - zapytała. - A potem, kiedy mnie śledziłeś...

- Przestraszyło cię to? - odpowiedział takim tonem, jakby usłyszał jakiś żarcik.

- Tak. Jeśli mówisz, że mnie kochasz, czemu robisz takie rzeczy?

O'Connell uśmiechnął się tylko i Ashley przyszło naraz do głowy, że może wcale nie ma ochoty poznać odpowiedzi na to pytanie. Michael O'Connell odrzucił lekko głowę do tyłu, a następnie pochylił się w przód. Spróbował wyciągnąć rękę ponad stołem i ująć jej dłoń, ale ona szybko przeniosła obie ręce pod stół i położyła je na kolanach. On ni to prychnął, ni to roześmiał się i odchylił do tyłu.

- Więc, jak rozumiem, tak naprawdę nie jest to romantyczny obiad dla dwojga, czy może jednak...?

- Nie.

- I domyślam się, że okłamałaś mnie, mówiąc, że to nie będzie wielkie pożegnanie?

- Michael, ja...

- Nie lubię, kiedy ludzie, których kocham, nie mówią mi prawdy. To bardzo mnie denerwuje.

- Próbowałam...

- Myślę, że nie do końca mnie rozumiesz, Ashley - powiedział spokojnie. Nie podniósł nawet trochę głosu. Nie było z jego strony żadnych oznak świadczących o tym, że mówili o czymś mniej banalnym niż pogoda. - Czy myślisz, że ja nie mam żadnych uczuć?

Powiedział to bezbarwnym, niemal obojętnym tonem. Tak właśnie myślę, przeleciało jej przez głowę, ale zamiast tego powiedziała:

- Posłuchaj, Michael, czemu to ma być dla nas jeszcze trudniejsze, niż już jest?

- Nie uważam, żeby to w ogóle było trudne. Bo do tego nie dojdzie. Kocham cię, Ashley. A ty kochasz mnie. Jeszcze tylko o tym nie wiesz. Ale przekonasz się już niedługo.

- Nie, nie kocham cię, Michael - odparła. I w momencie, gdy to powiedziała, zrozumiała, że nie powinna tego robić. Była konkretna, a jednocześnie mówiła o czymś niewłaściwym w tej sytuacji, to znaczy o miłości, czego zdecydowanie miała unikać.

- Nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Michael, proszę. Dlaczego nie możesz mnie po prostu zostawić w spokoju?

Zawahał się na moment, Ashley dostrzegła, że po twarzy przemknął mu uśmieшек, i przyszła jej nagle do głowy straszna myśl: On się tym dobrze bawi.

- Wydaje mi się, że będę musiał dowieść ci mojej miłości - powiedział, wciąż się uśmiechając.

- Nie musisz mi niczego udowadniać...

- Mylisz się. Mylisz się całkowicie. - W jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta zadowolenia z siebie. - Rzekłbym nawet, że mylisz się absolutnie.

Ashley zaczerpnęła głęboko powietrza i zdała sobie sprawę, że nic nie potoczyło się tak, jak miała nadzieję, że się potoczy, po czym uniosła lewą rękę i dwukrotnie odgarnęła nią włosy do tyłu. To był sygnał dla

ojca, by wkroczył do akcji. Kątem oka dostrzegła, jak podnosi się szybko ze swojego miejsca przy barze i trzema wielkimi krokami przemierza niedużą salę. Tak jak to było zaplanowane, stanął przy stoliku, blokując O'Connellowi wyjście z boksu.

- Nie sadzę, że pan słucha tego, co ona mówi - powiedział Scott spokojnym, ale pełnym chłodnej siły tonem, jakiego zwykł używać wobec opornych studentów.

O'Connell nie spuszczał wzroku z Ashley.

- A więc uznałaś, że potrzebujesz pomocy? - zapytał.

Skinęła głową.

O'Connell powoli obrócił się na krześle i spojrzał na Scotta, jakby go szacował wzrokiem.

- Dzień dobry, profesorze. Zechce pan usiąść?

Hope w milczeniu obserwowała Sally rozwiązującą krzyżówkę z „New York Timesa”, której nie dokończyła poprzedniej soboty. Sally nigdy nie używała do tego ołówka, bębniła piórem o przednie zęby, nim ostatecznie nie dobrała liter do diagramu i powoli, systematycznie wypełniała puste pola. Hope pomyślała, że te chwile milczenia, do których już przywykła, stawały się ostatnio coraz częstsze. Przyjrzała się Sally i zaczęła się zastanawiać, co było powodem tego, że czuła się tak bardzo nieszczęśliwa, po czym zdała sobie sprawę, że nie jest pewna, czy chciałaby poznać odpowiedź na to pytanie. Zadała więc inne.

- Sally, nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać o tym facecie, z którym Ashley się zaprzyjaźniła?

Usłyszawszy pytanie Hope, Sally uniosła głowę. Miała właśnie wpisać odpowiedź na siedem poziomo, cztery litery; hasło brzmiało: „Morderca klaun”, a chodziło o słowo „Gacy”. Zawahała się.

- Nie wiem, o czym tu można mówić. Scott i Ashley powinni sobie z tym poradzić. Mam nadzieję, że zadzwoni wieczorem i powie, że sprawa jest załatwiona. *Finito. Kaput.* Wszystko będzie się toczyć dalej normalnie. My powinniśmy tylko oddać Scottowi naszą część z tych pięciu tysięcy.

- Nie obawiasz się, że ten facet może okazać się kimś gorszym, niż myślimy?

Sally wzruszyła ramionami.

- Wydaje mi się rzeczywiście wstrętnym typkiem. Ale Scott całkiem nieźle potrafi sobie radzić ze studentami college'u, więc przypuszczam, że ten facet w tej chwili zniknął już definitywnie z życia Ashley.

Następne pytanie Hope sformułowała bardzo starannie.

- Czy twoje doświadczenie w sprawach rozwodowych i dotyczących rodzinnych sporów mówi ci, że ludzie łatwo dają się przekupić?

Wiedziała, że odpowiedź brzmiała: „nie”. Pamiętała, jak Sally nieraz podczas obiadu lub nawet później w łóżku dawała upust swojej złości na osłi upór klientów i ich rodzin.

- No cóż - powiedziała Sally i w jej głosie Hope nie wyczuła żadnej nuty niepokoju, co wprawiło ją w nagłą furję. - Myślę, że powinniśmy po prostu uzbroić się w cierpliwość. Nie ma sensu przygotowywać się do uporania z problemem, jeśli nie wiemy, czy on w ogóle istnieje.

Hope pokręciła głową. Nie była w stanie zapanować nad sobą.

- Cholera, to jest najgłupsza rzecz, jaką słyszałam od dłuższego czasu - odpowiedziała lekko podniesionym głosem. - Nie wiemy, czy sztorm w nas uderzy, więc po co kupować świece, baterie i żywność na zapas. Nie wiemy, czy złapiemy grypę, więc po co mamy się szczepić?

Sally odłożyła krzyżówkę.

- Okay. - W jej głosie zaczęła pobrzmiwać nuta irytacji. - Jakie baterie chciałabyś kupić? Jaka szczepionka jest tu potrzebna?

Hope spojrzała na swoją wieloletnią partnerkę i pomyślała, że tak naprawdę niewiele wie o Sally i o sobie samej. Żyły w świecie, gdzie normalność była definiowana w inny sposób niż gdzie indziej, i Hope myślała czasami, że było to po prostu pole minowe.

- Nie potrafisz ci odpowiedzieć, wiesz o tym - odparła powoli. - Myślę tylko, że powinniśmy coś zrobić, a my siedzimy beczynn timer i czekamy, aż Scott zadzwoni i powie, że wszystko wróciło do normy, gdy ja tymczasem nie spodziewam się, że otrzymamy taki telefon. Ani że rzeczywiście zasługujemy na taki telefon.

- Zasługujemy?

- Zastanów się nad tym, gdy skończysz swoją krzyżówkę. Ja sobie trochę poczytam. - Wzięła głęboki wdech i pomyślała, że są zagadki znacznie trudniejsze do rozwiązania, nad którymi Sally mogłaby popracować.

Sally skinęła głową i spuściła wzrok na leżącą przed nią stronę z krzyżówkami. Chciała coś powiedzieć Hope, coś uspokajającego, coś serdecznego, co złagodziłoby napięcie panujące ostatnio w ich domu, ale zamiast tego spojrzała w dół i zobaczyła, że trzy pionowo to było: „Opiewany przez boginię”, a pamiętała, że wstęp do *Iliady* Homera brzmi: „Gniew Achilla, bogini, głos, obfity w szkody” Było tam pięć wolnych kratek, a ostatnią literą powinna być „w”, więc domyśliła się bez trudu, że chodziło istotnie o „gniew”.

Scott wsunął się do boksu, spychając Michaela O'Connella w kąt, tak jak zamierzał. Kelnerka wykorzystała ten moment i podeszła do stolika z kartą.

- Proszę chwilę zaczekać - zwrócił się do niej Scott.

- Jedno piwo - zamówił O'Connell. Odwrócił się do Scotta. - Sądzę, że pan stawia kolejkę.

Na moment zapadło milczenie, a potem O'Connell odwrócił się w stronę Ashley.

- Jesteś dzisiaj pełna niespodzianek - powiedział. - Naprawdę nie uważasz, że jest to sprawa wyłącznie między tobą a mną?

- Próbowałam ci powiedzieć - odrzekła - ale ty nie chciałeś słuchać.

- Więc pomyślałaś, że sprowadzisz swojego ojca... - Odwrócił się powoli i utkwiał wzrok w Scotcie. - ...No nie wiem, naprawdę... Jaka właściwie ma być tu jego rola?

To pytanie było skierowane do Ashley, ale odpowiedział na nie Scott.

- Jestem tutaj po to, żeby pomóc panu zrozumieć, że kiedy ona mówi, że wszystko skończone, to znaczy: wszystko jest skoń-czo-ne.

Michael O'Connell otaksował wzrokiem Scotta.

- Niekoniecznie siła. Niekoniecznie metoda perswazji. A więc, profesorze, co pan zamierza zrobić?

- Myślę, że już pora, aby pan pozostawił Ashley w spokoju. Niech pan żyje własnym życiem, tak by ona mogła nadal żyć swoim. Ashley ma wiele zajęć. Pracuje. Studiuje. Naprawdę nie ma czasu na trwały związek. Z pewnością nie na taki, jaki pan jej proponuje. Jestem tutaj, by zrobić to, co mogę, by pomóc panu to wyjaśnić.

O'Connell nie sprawiał wrażenia w najmniejszym stopniu speszzonego tym, co powiedział Scott.

- Dlaczego pan w ogóle sądzi, że to pańska sprawa?

- Skoro nie chciał pan zastosować się do tego, co powiedziała Ashley, stało się to moją sprawą.

O'Connell się uśmiechnął.

- Może i tak. A może nie.

Kelnerka przyniosła O'Connellowi zamówione piwo. Wypił potężnym haustem pół szklanki. Uśmiechnął się raz jeszcze.

- W jaki sposób, profesorze, zamierza mi pan wyperswadować miłość do Ashley? Skąd pan wie, czy nie pasujemy doskonale do siebie? Co pan o mnie wie? Ja panu powiem: nic! Może nie wyglądam jak ten ktoś, kogo pan pragnąłby dla niej, może nie jestem typem młodego dyrektora, który ukończył Harvard, jeździ bmw i na którego pan liczy, ale jestem facetem, który umie całkiem dobrze robić wiele różnych rzeczy. Mogłaby

trafić znacznie gorzej. Nie sądzę, by to, że nie pasuję do pańskiego cholernego wzorca, miało jakiegokolwiek znaczenie.

Scott nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. O'Connell nadał rozmowie kierunek, którego się nie spodziewał.

- Nie mam ochoty poznawać pana - powiedział. - Chcę tylko jednego: niech pan zostawi Ashley w spokoju. Gotów jestem zrobić wszystko, co jest konieczne, by pomóc to panu zrozumieć.

O'Connell milczał chwilę, po czym odezwał się:

- Jakoś dziwnie w to wątpię. Co takiego jest konieczne? Nie sądzę, żeby to była prawda.

- Niech pan określi cenę - odparł Scott.

- Cenę?

- Pan wie, o czym mówię - ciągnął Scott. - Niech pan określi cenę.

- Chce pan, żebym umieścił metkę z ceną na moich uczuciach do Ashley?

- Niech pan się przestanie wygłupiać - rzucił Scott. Uśmiezek O'Connella i spokojny, niefrasobliwy sposób, w jaki prowadził rozmowę, były bardziej niż irytujące.

- Nigdy bym tego nie zrobił - odparł O'Connell. - I nie chcę pańskich pieniędzy.

Scott sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął pięć tysięcy dolarów w białej kopercie.

- Co to jest? - zapytał O'Connell.

- Pięć tysięcy. Tylko za słowo, które da pan Ashley i mnie, że zniknie pan z jej życia.

- Chce mi pan zapłacić?

- Zgadza się.

- Nie prosiłem pana nigdy o żadne pieniądze, niech pan powie, prosiłem kiedykolwiek?

- Nie.

- A więc te pieniądze nie są odpowiedzią na jakąś moją prośbę?

- Nie. Chcę tylko pańskiego słowa, to wszystko.

O'Connell odwrócił się do Ashley.

- Nigdy nie prosiłem cię o pieniądze. Czy prosiłem?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie słyszę cię - powiedział O'Connell.

- Nie, nigdy nie prosiłem mnie o pieniądze.

O'Connell wyciągnął rękę i podniósł kopertę.

- Gdybym je wziął, byłby to prezent, mam rację?

- W zamian za obietnicę.



O'Connell się uśmiechnął.

- W porządku. Nie chcę pieniędzy. Ale dam wam obietnicę. Obiecuję. Wciąż trzymał jednak kopertę w dłoni.

- Zostawi pan moją córkę w spokoju? Zniknie pan z jej życia? Odejdzie pan i już nigdy więcej nie będzie jej pan niepokoił?

- Tego by pan chciał, prawda?

- Prawda.

O'Connell myślał przez chwilę, potem powiedział:

- Wszyscy będą mieli to, czego chcą, co?

- Zgadza się.

- Oprócz mnie.

Spojrzał na Ashley, mroząc ją spojrzeniem zwięzonych oczu tak, że nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Surowe spojrzenie pozostawiało w sprzeczności z jego beztróskim, zuchwałym uśmiechem. Ashley pomyślała, że w swoim życiu niewiele widziała rzeczy tak lodowatych jak ten uśmiech.

- A więc podróż warta była zachodu, profesorze?

Scott nie odpowiedział. Był prawie przekonany, że O'Connell rzuci pieniądze na stół albo ciśnie mu je w twarz, napiął więc mięśnie, starając się zachować pełną kontrolę nad emocjami.

Ale zamiast wykonać jakiś dramatyczny gest, O'Connell odwrócił się i raz jeszcze spojrzał na Ashley. Jego oczy wpiły się w nią tak, że zaczęła się wiercić na krześle.

- Czy wiesz, co kiedyś, w czasach twojego ojca, śpiewali Beatlesi?

Pokręciła głową.

- „Nie dbam za bardzo o pieniądze. Za pieniądze nie kupi się miłości...”

Nie spuszczać wzroku z Ashley, O'Connell wsunął kopertę do kieszeni marynarki, zbijając z tropu zarówno ją, jak i jej ojca. Potem, wciąż patrząc na nią, powiedział:

- Okay, profesorze, czas, by mi pan pozwolił odejść. Nie zostanę na obiedzie mimo wszystko. Ale dzięki za piwo.

Scott odsunął się na bok i stanął przy brzegu stołu, a O'Connell zaskakująco zwinnie prześliznął się obok niego i wstał. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w Ashley, potem, z lekkim uśmieszkiem, odwrócił się nagle i szybko ruszył przez salę restauracyjną w stronę drzwi, nie oglądając się ani razu.

Ashley i Scott siedzieli w milczeniu prawie przez minutę.

- Jak mam rozumieć to, co się stało przed chwilą? - zapytała Ashley. Scott nie odpowiedział. Sam nie był pewien.

Kelnerka znowu podeszła do nich.

- A więc tylko dwa obiady? - zapytała, wręczając im karty dań.

Na zewnątrz domu Ashley wieczór wyglądał jak pomalowany cieniami i światłami lamp ulicznych, które z trudem opierały się gęstniejącemu jesiennemu zmrokowi. Nie było miejsca do parkowania, więc Scott zatrzymał porsche przed hydrantem przeciwpożarowym. Nie gasząc silnika, odwrócił się do córki.

- Może powinnaś wyjechać na jakiś czas na zachód. Dopóki nie upewnimy się, że ten facet dotrzyma obietnicy. Zamieszkaż przez parę dni u mnie, potem może kilka dni z matką. Trochę czasu i odrobina dystansu dobrze by ci zrobiły.

- Nie chcę być kimś, kto musi uciekać i się ukrywać - rzekła Ashley. - Mam zajęcia na uczelni, mam pracę...

- Wiem, ale może w tym przypadku powinniśmy zgrzeszyć nadmiarem ostrożności.

- Nienawidzę tego - mruknęła Ashley. - Po prostu nienawidzę.

- Rozumiem cię, kochanie, ale nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

Ashley westchnęła, potem odwróciła się do ojca i uśmiechnęła.

- On po prostu wkurzył mnie trochę. Wszystko będzie w porządku. Tacy faceci jak on są w rzeczywistości tchórzami. Może trochę udawał dumnego, kiedy brał pieniądze, ale tak naprawdę załatwiłeś go. Odczepi się, zobaczysz, będzie mnie obrzucał wyzwiskami w towarzystwie kumpli, ale odejdzie. Nie bardzo mi się to podoba, a ty straciłeś trochę pieniędzy...

- To najmniej ważne - odparł Scott. - On powiedział, że ich nie chce, a potem wsadził je do kieszeni. To było prawie tak, jakby nas nagrywał na taśmę. Mówił jedno, robił co innego. Odrażające.

- Miejmy nadzieję, że już jest po wszystkim - powiedziała Ashley.

- Tak. Posłuchaj. Przyjmujemy taką zasadę: jakikolwiek sygnał od niego, dosłownie jakikolwiek, dzwonisz do domu. Zawiadamiasz mamę, Hope albo mnie, natychmiast. O każdej porze dnia lub nocy, rozumiesz? Coś cię zaniepokoi, masz przecucie, że dzieje się coś złego, i od razu dzwonisz, okay?

- Tak. Posłuchaj, tato. Michael przyprawiał mnie o gęsia skórkę. Nie mam zamiaru odgrywać bohaterki. Chcę tylko móc żyć tak, jak żyłam dotychczas, nawet jeśli to moje życie nie było doskonałe...

Westchnęła znowu, odpięła pas bezpieczeństwa, chwyciła torebkę i wyjęła klucze od swojego mieszkania.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą na górę?

- Nie. Zaczekaj tylko, aż wejdem do środka, jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

- Posłuchaj, kochanie, nic mi nie sprawi kłopotu. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. I chciałbym zapomnieć o całym tym incydencie i Michaelu O'Connellu, zobaczyć, jak zdobywasz tytuł magistra albo doktora historii sztuki i żyjesz szczęśliwie. Ja tego chcę i tego pragnie również twoja matka. I tak będzie, wierz mi. A wkrótce spotkasz kogoś wyjątkowego i wszystko to, co teraz przeżywasz, stanie się tylko wspomnieniem małego problemu, który miałaś w przeszłości. Nigdy już nie będziesz o tym myślała.

- Mały, koszmarny problem. - Ashley pochylila się i pocałowała go w policzek. - Dzięki, tato. Dzięki, że mnie przywiozłeś i przyjechałeś, i pomogłeś mi, i... po prostu, nie wiem... za to, że jesteś taki, jaki jesteś.

Po tych słowach Scott poczuł się naprawdę cudownie, ale pokręcił głową i rzekł:

- To ty jesteś kimś wyjątkowym.

Ashley wysiadła z samochodu i Scott wskazał gestem fasadę budynku.

- Teraz wypij się dobrze, a jutro zadzwoń do nas, żeby pogadać.

Skinęła głową. Scottowi przyszła naraz do głowy dziwna myśl, która zrodziła się gdzieś, w jakimś mrocznym miejscu jego duszy i zanim zdołała się zreflektować, zapytał:

- Hej, Ashley, jedna rzecz mnie zaniepokoiła.

Ashley miała już zatrasnąć drzwi porsche, ale wstrzymała się i pochylila w stronę ojca.

- Co takiego?

- Mówiłaś coś O'Connellowi o mnie? Albo o matce?

- Nie... - odparła z pewnym wahaniem.

- Na przykład, podczas tej pierwszej i jedynej randki, czy mówiłaś w ogóle o nas?

Ashley pokręciła przecząco głową.

- Czemu pytasz?

Scott się uśmiechnął.

- Tak tylko... Bez żadnego powodu. Idź już. Zadzwoń jutro.

Ashley uśmiechnęła się na pożegnanie, odgarnęła włosy, które opadły jej na oczy, i skinęła głową. Scott uśmiechnął się do niej raz jeszcze.

- O tej porze powrót do domu zajmie mi parę minut. Wszyscy policjanci mają wolny wieczór...

- Nigdy nie wydorosłej, tato, proszę. Byłabym wtedy rozczarowana - powiedziała Ashley.

Zamknęła drzwi samochodu i ruszyła energicznym krokiem w stronę swojego domu. W ciągu paru sekund otworzyła zewnętrzne drzwi, weszła do środka, po czym otworzyła następne drzwi. Wchodząc, odwróciła się i pomachała ręką do Scotta, który wciąż jeszcze czekał. Dopiero kiedy zobaczył ją idącą po schodach, włączył silnik, cofnął samochód z placyku przy hydrancie, i w tej samej sekundzie zadał sobie pytanie, skąd O'Connell wiedział, że on jest profesorem.

- A więc poczuli się bezpieczni?

- Tak. Dostatecznie bezpieczni. To nie było odświeżające uczucie w rodzaju: uniknęliśmy kuli, ale w tym momencie wystarczające. Wciąż mieli jeszcze pewne wątpliwości i obawy, jakieś resztki niepokoju. Ale w zasadzie czuli się bezpieczni.

- Anie powinni?

- Czy opowiadałabym panu to wszystko, gdyby na tym cała sprawa się zakończyła? Pięć tysięcy dolarów i cześć, żegnamy, do zobaczenia?

- Oczywiście, że nie.

- Mówiłam panu. To jest opowieść o umieraniu.

Kiedy nie odpowiedziałem, podniosła wzrok i wyjrzała przez okno. Światło słoneczne zdawało się chwytać jej twarz, rozjaśniając profil.

- Czy nie zdumiewa pana - zaczęła powoli - jak łatwo sprawy w czymś życiu mogą się odwrócić do góry nogami? Co nas chroni? O to mi chodzi. Przypuszczam, że fundamentaliści religijni powiedzieliby: „wiarą”. Naukowiec powiedziałby: „wiedza”, lekarz - „umiejętności”. Funkcjonariusz policji - „pistolet półautomatyczny kaliber 9 milimetrów”. Polityk - „prawo”. Ale tak naprawdę co to jest?

- Nie oczekuje chyba pani ode mnie odpowiedzi na to pytanie, prawda?

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Nie. Wcale nie. W każdym razie jeszcze nie. Oczywiście Ashley nie znała jej także.

## 15. Trzykrotne uderzenie

Każde z nich na swój sposób odczuwało przez następne dni niepokój, jakby nisko wiszący obłok ciemnoszarej mgły osiadł nad ich życiem. Scott

wciąż od nowa odtwarzał w pamięci spotkanie z Michaeliem O'Connell-em i raz wydawało mu się ono dziwnie bezowocne, raz dziwnie rozstrzygające.

Powiedział Ashley, że chce rozmawiać z nią codziennie - po to, by się upewnić, że wszystko jest w porządku. Przyjęli więc zasadę regularnych telefonów wczesnym wieczorem. Ashley, mimo że zawsze zaciekle broniła swojej niezależności, tym razem nie zaprotestowała. Scott nie wiedział, że Sally zaproponowała córce taką samą umowę.

Jeśli chodzi o Sally, odkryła nagle, że jej własne życie było zupełnie nieuporządkowane. Wydawało się jej, że została pozbawiona wszystkich punktów oparcia, z jednym wyjątkiem, który stanowiła Ashley, ale nawet to nie było do końca pewne. Zdała sobie sprawę, że codzienne telefony do córki służyły dwóm równie dla niej ważnym celom: chciała w ten sposób zyskać jakiś punkt oparcia, a jednocześnie mieć pewność, że u Ashley wszystko wróciło do normy. Ostatecznie, powiedziała sobie, incydent z Michaeliem O'Connellem należał jedynie do nieprzyjemnych doświadczeń, które stają się udziałem wszystkich młodych ludzi, w tym albo w innym momencie.

Znacznie bardziej martwiły ją i niepokoiły inne rzeczy - niezadowalające efekty w pracy i narastające napięcie pomiędzy nią a Hope. Działo się coś niedobrego, ale nie potrafiła się zmusić do głębszego przemyślenia tych trudnych kwestii. Zabierała się do pracy nad różnymi sprawami, ale robiła to w nerwowy, nieskoordynowany sposób, poświęcając zbyt wiele czasu jakiemuś drobnemu problemowi, który pojawiał się w jednej sprawie, a odkładając na bok naprawdę istotne.

Hope przez kolejne dni próbowała dociec, co się dzieje. Sally tak naprawdę nie informowała jej o niczym, ona sama nie mogła zadzwonić do Scotta i po raz pierwszy, odkąd żyły razem, pomyślała, że byłoby niewłaściwe, gdyby zadzwoniła do Ashley. Zaczęła poświęcać mnóstwo czasu i energii swojej pracy szkolnego psychologa oraz swojej drużynie, gdyż właśnie zbliżały się rozstrzygające mecze. Czula się tak, jakby kroczyła po kawałkach potłuczonego szkła.

Gdy Hope otrzymała pilną wiadomość od dziekana wydziału, mocno ją ona zaskoczyła. Polecenie brzmiało enigmatycznie: „Proszę się stawić w moim gabinecie o drugiej po południu. Punktualnie”.

Rzadkie, strzępiaste chmury sunęły po niebie o łupkowej barwie, gdy Hope szła szybkim krokiem przez kampus, by stawić się o czasie na spotkaniu. Wyczuwała ponury przedzimowy chłód pełzający w powietrzu. Gabinet dziekana znajdował się w głównym gmachu administracji, białym wiktoriańskim budynku z szerokimi, brązowymi drewnianymi drzwiami. W recepcji był kominek, na którym wciąż płonęły polana. Żaden ze studentów nigdy tu nie przychodził, chyba że znalazł się w jakichś poważnych tarapatkach.

Hope weszła do środka budynku, powitała skinieniem głowy kilku urzędników i udała się na pierwsze piętro, gdzie się mieścił niewielki gabinet dziekana. Był weteranem w zespole wykładowców; wciąż jeszcze wykładał w sekcji łacińskiej, prowadził też zajęcia z greki, trzymając się kurczowo coraz mniej popularnej filologii klasycznej.

- Dziekanie Mitchell? - powiedziała Hope, wsuwając głowę przez drzwi gabinetu. - Chciałeś się ze mną widzieć?

Podczas swojej pracy na uczelni rozmawiała ze Stephenem Mitchellem może dziesięć razy, może mniej. W poprzednich latach zasiadali razem w jednej czy dwóch komisjach i wiedziała, że chętnie oglądał mecze o mistrzostwo, do których Hope przygotowała zespół uczelni, choć w zasadzie wołał oglądać występy drużyny chłopców. Zawsze wydawał się jej śmieszny, przypominał zręczliwego nauczyciela prywatnego liceum. Mimo to nigdy nie oceniała go tak krytycznie, jak miała zwyczaj oceniać większość ludzi. Jeśli ktoś mógł akceptować to, kim była, ona gotowa była akceptować jego, choćby to wymagało pewnego wysiłku z jej strony.

- Ach, Hope. Tak, tak, tak, wejdź, proszę.

Dziekan Mitchell wyrażał się w sposób niezwykle precyzyjny. Żadnych słów ze slangu, żadnych werbalnych skrótów. Znany był z tego, że pisał na pracach studentów uwagi w stylu: „Często, gdy myślę o intelektualnej przyszłości ludzkiej rasy, ogarnia mnie rozpacz”.

Gestem wskazał duży, czerwony, wyściełany fotel uszak, stojący przed jego biurkiem. Był to mebel, który wręcz połykał tego, kto na nim siadał; Hope poczuła się w nim śmiesznie mała.

- Otrzymałam wiadomość od ciebie - odezwała się. - W czym mogę pomóc, Stephen?

Dziekan Mitchell zwlekał przez chwilę, potem się obrócił i spojrzał za okno, jakby zbierał się w sobie, by coś zakomunikować. Nie musiała długo czekać.

- Hope, sądzę, że mamy istotny problem.

- Problem?

- Tak. Ktoś złożył nadzwyczaj poważną skargę na ciebie.

- Skargę? Jaką skargę?

Dziekan Mitchell wahał się przez moment, jakby już był urażony tym, co musiał powiedzieć. Przesunął dłonią po rzadkich siwych włosach, następnie poprawił okulary na nosie i dopiero potem powiedział rozdzierającym serce tonem, jakby informował kogoś o śmierci w swojej rodzinie:

- Należałoby ją zaliczyć do godnej pożałowania, pospolitej kategorii zarzutów o molestowanie seksualne.

Prawie w tym samym czasie, gdy Hope siedziała naprzeciwko dziekana Mitchella, słuchając słów, których się bała przez niemal całe dorosłe życie, Scott kończył dyskusję ze studentami uczestniczącymi w jego seminarium na temat wojny Stanów Zjednoczonych o niepodległość. Młody człowiek nie chciał się poddać.

- Czy nie dostrzega pan powściągliwości w słowach Waszyngtona?  
- zapytał Scott. - I czy jednocześnie nie wyczuwa się tam determinacji?

Student skinął głową.

- To wciąż wygląda zbyt abstrakcyjnie - powiedział - by można było wnioskować o motywach i możliwościach. Wszystko, co my opieramy na założeniach, Waszyngton dzięki wrodzonym zdolnościom rozumiał niejako w sposób naturalny.

Scott się uśmiechnął.

- Wie pan, dzisiejszej nocy temperatura ma wyraźnie spaść. Spodziewany jest mróz, być może nawet będą zawieje śnieżne. A może by pan około północy zabrał trochę listów Waszyngtona na dwór i przeczytał je przy świetle latarki albo nawet lepiej przy świetle świecy, na środku dziedzińca. Przekonamy się, czy zyskają wtedy dodatkowy sens dla pana...

Teraz to student się uśmiechnął.

- Poważnie? - zapytał. - Na dworze, w mroku?

- Zupełnie poważnie - odparł Scott. - Powinien pan wziąć tylko jeden wełniany koc, żeby się okryć, oraz włożyć dziurawe buty. Jeśli nie nabawi się pan zapalenia płuc, będziemy mogli kontynuować tę dyskusję, powiedzmy, w połowie tygodnia. Okay?

Na biurku Scotta zadzwonił telefon; podniósł słuchawkę w momencie, gdy plecy studenta zniknęły za drzwiami.

- Słucham? Scott Freeman - powiedział.

- Scott, mówi William Burris z uniwersytetu w Yale...

- Dzień dobry, profesorze. To niespodzianka...

Scott zeszytywniał na krześle. W jego środowisku telefon od Williama Burrisa wydawał się czymś podobnym do znaku z samych niebios. Burris, kierujący katedrą na jednym z najlepszych uniwersytetów, laureat Nagrody Pulitzera, autor naukowych bestsellerów, od czasu do czasu udzielał rad prezydentom i innym głowom państwa, był człowiekiem o znakomitych kwalifikacjach. Znano go również z upodobania do garniturów z Harley Street po dwa tysiące dolarów, które zwykł nosić podczas wykładów w Oksfordzie i Cambridge oraz wszędzie tam, gdzie płacono mu sześciocyfrowe honoraria.

- Tak, upłynęło już trochę czasu, prawda? Kiedy to spotkaliśmy się po raz ostatni na jednym ze spotkań stowarzyszenia?

Burns miał na myśli jedno z wielu stowarzyszeń historyków, których Scott był członkiem, a każde z nich byłoby zachwycone, gdyby Burris znalazł się na liście ich członków.

- Parę lat temu, jak sądzę. Jak się pan czuje, profesorze?

- Doskonale, doskonale - odparł Burris. Scott wyobraził go sobie, jak siedzi siwowłosa i władczy w gabinecie bardzo podobnym do tego, który on sam zajmował, tylko znacznie większym, z sekretarką odbierającą wiadomości od agentów, producentów, wydawców, królów i premierów, a przeganiającą studentów. - Tak, czuję się świetnie, mimo rozpaczy ogarniającej mnie na myśl o przerażającej możliwości, że w tym roku nasza drużyna futbolowa poniesie dwie porażki...

- Być może biuro rekrutacji znajdzie lepszego rozgrywającego na przyszłoroczne rozgrywki?

- Miejmy nadzieję. Ale, och, Scott, nie w tej sprawie dzwonię do ciebie.

- Domyślam się, że nie. Co mogę zrobić dla pana, profesorze?

- Czy pamiętasz artykuł, który napisałeś dla nas do „Journal of American History” jakieś trzy lata temu? Na temat działań militarnych, które nastąpiły bezpośrednio po bitwach pod Trenton i Princeton, kiedy Waszyngton podjął tak wiele kluczowych i, ośmielę się powiedzieć, pro-roczych decyzji?

- Oczywiście, profesorze.

Scott nie publikował dużo, a ten esej pomógł mu skłonić jego macierzysty wydział, by nie dokonywano cięć budżetowych dotyczących podstawowych zajęć z historii Ameryki.

- To był świetny artykuł, Scott - powiedział wolno Burris. - Sugerystyczny i pobudzający do refleksji.

- Dziękuję panu. Ale nie rozumiem...

- Ta praca, ach... jej pisanie... och, czy korzystałeś z czyjejś pomocy przy wyborze tematów i formułowaniu wniosków?

- Chyba nie bardzo rozumiem, profesorze.

- Ten esej, cały tekst, był w pełni twoim własnym dziełem? Badania także?

- Tak. Korzystałem z pomocy jednego lub dwóch studentów ostatniego roku w doborze niektórych cytatów. Ale tekst i konkluzje były moje. Nie rozumiem do czego pan zmierza, profesorze.

- Wniesiono najbardziej godny pożałowania zarzut wobec tej pracy.

- Zarzut?

- Tak. Oskarżenie o nieuczciwość naukową.

- Co takiego?



- O plagiat, Scott. Jest mi ogromnie przykro, że muszę to powiedzieć.

- Ależ to absurd!

- Oskarżenie, które mamy przed sobą, przytacza kilka niepokojących podobieństw pomiędzy twoją pracą a artykułem napisanym na seminarium magisterskim na innej uczelni.

Scott zaczerpnął głęboko powietrza. Poczł natychmiast zawrót głowy i uchwycił się krawędzi biurka, jakby chciał utrzymać równowagę.

- Kto wniósł ten zarzut? - zapytał.

- Tu leży problem - odparł Burris. - Otrzymałem go drogą elektroniczną i był anonimowy.

- Anonimowy!

- Bez względu na to, kto jest jego autorem, nie może być zignorowany. Nie w obecnej atmosferze panującej w świecie naukowym. I z pewnością nie wobec opinii publicznej. Gazety są nienasycone, gdy chodzi o występki i błędy w środowisku akademickim. Prawdopodobnie, waham się, czy to powiedzieć, wyciągną zbyt wiele błędnych wniosków w najbardziej kłopotliwy i niewiarygodnie szkodliwy sposób. Toteż wydaje mi się, że najlepszym wyjściem jest zduszenie tego oskarżenia w zarodku. Zakładając, oczywiście, że możesz odnaleźć swoje notatki i przejrzeć każdą linijkę, tak by „Journal” został przekonany, że oskarżenia są niesłuszne.

- Oczywiście, ale... - Scott się zająknął.

- Wyślę ci nocnym kurierem tę skargę, a potem, jak podejrzewam, będziemy musieli znowu porozmawiać.

- Tak, tak, oczywiście.

- I Scott - głos profesora stał się spokojny, nagle chłodny, prawie bezbarwny i pozbawiony energii - mam nadzieję, że możemy załatwić to wszystko w cztery oczy. Ale proszę, byś nie lekcewał niebezpieczeństwa wiążącego się z tą sprawą. Mówię to jako przyjaciel i kolega historyk. Widziałem już bardzo obiecujące kariery zniszczone z daleko mniej istotnych powodów. Naprawdę mniej istotnych.

Nacisk położony na ostatnie słowa nie wydawał się konieczny, lecz były one niewątpliwie prawdziwe.

Scott skinął głową. Pomyślał, że „przyjaciel” to nie było słowo, którego on sam by użył, ponieważ gdyby informacja o tym oskarżeniu przedostała się do kręgów akademickich, prawdopodobnie nie miałby już tam żadnego przyjaciela.

Sally patrzyła przez okna na gasnące światło późnego popołudnia. Jej umysł znajdował się w dziwnym stanie, pochłaniało ją mnóstwo spraw, mimo to nie myślała właściwie o niczym. Usłyszała pukanie, odwróciła

się i zobaczyła pomocnika biurowego z wielką kopertą w dłoni, stojącego w drzwiach z zażenowaną miną.

- Sally - powiedział. - To przyszło do ciebie przed chwilą pocztą kurierską. Zastanawiam się, czy nie jest to coś ważnego.

Sally nie mogła sobie przypomnieć żadnego pisma procesowego ani innego dokumentu, którego nadejścia oczekiwałyaby w tak pilnym trybie, ale skinęła głową i zapytała:

- Od kogo to przyszło?

- Ze Stanowego Stowarzyszenia Adwokatów.

Sally wzięła kopertę i spojrzała na nią dziwnym wzrokiem, obracając ją w rękę. Nigdy w przeszłości nie zdarzyło się, żeby otrzymała ze stowarzyszenia coś innego niż wezwania do uregulowania składek członkowskich lub zaproszenia na obiady i seminaria, w których nigdy nie uczestniczyła. Żadnego z nich nigdy nie przesłano kurierską pocztą z żądaniem potwierdzenia przyjęcia przesyłki.

Rozerwała kopertę i wyjęła ze środka tylko jeden list. Nadawcą był szef stanowej adwokatury, człowiek, którego znała tylko ze słyszenia, wybitny członek najznakomitszej bostońskiej firmy prawniczej, obracający się w kręgach Partii Demokratycznej, pojawiający się często w telewizyjnych talk-show i kronikach towarzyskich. Sally wiedziała, że nie może się z nim w niczym równać.

Przeczytała bardzo uważnie krótki list. Miała wrażenie, że z każdą kolejną sekundą przestrzeń wokół niej mrocznieje coraz bardziej.

*Droga pani Freeman-Richards,*

*Informuję Panią o skardze, jaka dotarła do Adwokatury Stanowej, dotyczącej obracania przez Panią pieniędzmi z rachunku klienta w znajdującej się obecnie w toku sprawie Johnson przeciwko Johnson przed sędzią V. Martinsonem w wydziale rodzinnym Sądu Okręgowego. W zażaleniu stwierdzono, że fundusze związane z tą sprawą zostały przelane na Pani prywatny rachunek. Jest to naruszenie Kodeksu Prawa Stanowego Massachusetts, paragraf 302, ustęp 4, a także ciężkie przestępstwo naruszające paragraf 112, ustęp 11 prawa krajowego.*

*Stowarzyszenie Adwokatów oczekuje od Pani przesłania pisemnego oświadczenia wyjaśniającego tę sprawę w ciągu tygodnia, w przeciwnym razie będzie ona przekazana do Biura Prokuratora Okręgowego w Hrabstwie Hampshire i do Prokuratora Federalnego dla Zachodniego Okręgu Massachusetts w celu wniesienia oskarżenia.*

Sally zdawało się, że każde słowo tego listu pali ją w gardle i dławi jak zablakany kęs mięsa.

- To niemożliwe - powiedziała na głos. - Absolutnie, cholera jasna, niemożliwe.

Miała wrażenie, że w pokoju zrobiło się nagle gęsto od czegoś wstrętnego, niemal nie do zniesienia. Sally zaczerpnęła głęboko powietrza w płuca i odwróciła się do swojego komputera. Stukając pospiesznie w klawiaturę, przywołała sprawę rozwodową, o której była mowa w liście od przewodniczącego palestry. Johnson przeciwko Johnson nie była w żadnym wypadku jedną z jej bardziej skomplikowanych spraw, choć komplikowała ją prawdziwa wrogość pomiędzy jej klientką a mężem, od którego kobieta odeszła. On był miejscowym chirurgiem oftalmologiem, ojcem ich dwojga dzieci - jedenastolatka i dwunastolatki oraz nałogowym krętaczem, którego Sally przyłapała na próbie przeniesienia wspólnych małżeńskich aktywów na osobiste konto w banku na Bahamach. Zrobił to wyjątkowo niezdarnie; podjął dużą gotówkę z ich wspólnego konta w domu maklerskim, a następnie opłacił bilety lotnicze na Bahamy kartą Visa, by osiągnąć dodatkową korzyść. Sally udało się nakłonić sąd do przejęcia aktywów i dokonać ich transferu na konto jej klientki do czasu ostatecznego rozwiązania małżeństwa, co zgodnie z harmonogramem miało nastąpić w jakiś czas po Bożym Narodzeniu. Według jej oceny, na koncie klientki powinno się znajdować ponad czterysta tysięcy dolarów.

Ale tyle nie było.

Wpatrywała się w ekran i wyraźnie widziała kwotę o połowę mniejszą.

- To niemożliwe - powiedziała znowu.

Bliska paniki jak jeszcze nigdy w życiu, Sally zaczęła sprawdzać kolejno transakcję po transakcji na tym koncie. W ciągu paru ostatnich dni więcej niż ćwierć miliona zostało podjęte za pomocą elektronicznych przelewów i tą samą drogą przelane na blisko dziesięć innych kont. Do tych kont nie miała dostępu, ponieważ figurowały one pod różnymi nazwami; były wśród nich konta indywidualnych osób, których nie знаła, oraz konta zdecydowanie podejrzanych korporacji. Spostrzegła także z rosnącym niepokojem, że ostatni przelew z konta jej klientki został dokonany na jej własny rachunek bieżący. Tę operację na sumę piętnastu tysięcy dolarów przeprowadzono zaledwie dwadzieścia godzin wcześniej.

- To jest niemożliwe - powtórzyła. - Jak...

Przerwała, ponieważ odpowiedź na to pytanie musiała prawdopodobnie być trudna i skomplikowana, a ona nie miała żadnego gotowego wyjaśnienia. Wiedziała tylko jedno: że będzie miała ogromne kłopoty.

- Jest coś, czego nie całkiem rozumiem...
- Co mianowicie? - zapytała cierpliwie.
- Chodzi mi o miłość Michaela O'Connella. Mam na myśli to, że wciąż mówił, że ją kocha, ale czy zrobił cokolwiek, co każdy zrozumiałby jako przejaw miłości?

- Trudno powiedzieć, że cholernie dużo, prawda?
- Prawda. Przypuszczam więc, że było to coś zupełnie innego.
- Być może ma pan rację - powiedziała tonem chłodnym, a mimo to tak obiecującym jak zawsze.

Zawahała się i, jak to się często zdarzało, wydało mi się, że przerwała po to, by starannie uporządkować własne myśli. Odniosłem wrażenie, że pragnęła kontrolować tę opowieść, ale w taki sposób, bym ja tego nie był w stanie w pełni dostrzec. Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie. Czułem, że jestem do czegoś wykorzystywany.

- Myślę - zaczęła powoli - że powinnam podać panu nazwisko człowieka, który mógłby pomóc panu w tym względzie. Psychologa. Jest ekspertem od obsesyjnej miłości. - Zawahała się. - Oczywiście, my tak to nazywamy, ale z miłością ma to niewiele wspólnego. Miłość kojarzy się nam z różami na walentynki lub z romantycznymi pocztówkami, czekoladkami w czerwonych pudełkach w kształcie serca, skrzydlatymi cherubinkowymi amorkami z maleńkimi łukami i strzałami. Hollywoodzkimi romansami. Ale sądzę, że aby dać ją komuś odczuć, potrzeba czego innego. Miłość, tak na prawdę, jest bliższa wszelkiego rodzaju ciemnym siłom, jakie w nas tkwią.

- To brzmi cynicznie - stwierdziłem. - I okrutnie.

Uśmiechnęła się.

- Przypuszczam, że istotnie brzmi to w ten sposób. Jeśli się pozna kogoś takiego jak Michael O'Connell, zyskuje się, tak to określmy, inne spojrzenie na to, czym jest szczęście. Jak już powiedziałam, on zmieniał ludziom definicje różnych pojęć.

Sięgnęła w kierunku stołu, otworzyła małą szufladę, grzebała w niej chwilę, po czym wyjęła niewielki kawałek papieru i ołówek.

- Mam. - Wypisała nazwisko i imię. - Niech pan porozmawia z tym człowiekiem. Proszę powiedzieć, że ja pana przysłałam.

Odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się, choć nie było tam nic śmiesznego.

- I proszę mu powiedzieć, że rezygnuję z jakichkolwiek przywilejów należnych klientowi. Nie, jeszcze lepiej... - napisała coś szybko na tym kawałku papieru - sama to zrobię.

## 16. Seria węzłów gordyjskich

Ashley odeszła ostrożnie od okna, tak jak to robiła każdego dnia od przeszło dwóch tygodni.

Nie wiedziała o kłopotach, jakie przeżywały trzy osoby stanowiące jej rodzinę; uwaga dziewczyny koncentrowała się na niemal stale towarzyszącym jej wrażeniu, że jest obserwowana. Problem polegał na tym, że za każdym razem, gdy to uczucie zaczynało ją całkowicie przytłaczać, nie mogła znaleźć żadnego dowodu, który by je potwierdzał. Kiedy szła na zajęcia na uczelni lub do pracy w muzeum, czasem odwracała się raptownie za siebie, nie dostrzegała jednak nikogo oprócz zdziwionych przechodniów. Zaczęła wskakiwać do tramwaju w momencie, gdy drzwi się zamykały, a potem przyglądała się podejrzliwie wszystkim pasażerom, jakby starsza pani czytająca „Heralda” lub robotnik w podniszczonej czapce zespołu Red Sox mogli być wymyślnie przebraniem O’Connellem. W domu podchodziła powoli do rogu okna i uważnie omiatała spojrzeniem ulicę to w jedną, to w drugą stronę. Przed wyjściem z mieszkania nasłuchiwała pod drzwiami jakichś charakterystycznych odgłosów. Zaczęła zmieniać trasy, nawet gdy szła tylko po zakupy do sklepu spożywczego albo drogerii. Kupiła telefon z identyfikacją numeru, a potem dodała taką samą usługę do swojego telefonu komórkowego. Rozmawiała z sąsiadami, pytała, czy któryś z nich nie zauważył czegoś niezwykłego, a przede wszystkim mężczyzny, odpowiadającego opisowi Michaela O’Connella, który kręciłby się w pobliżu wejścia lub na rogu ulicy. Nikt nie przypominał sobie kogokolwiek podobnego do jej opisu lub zachowującego się w podejrzany sposób.

Ale im bardziej próbowała zmusić samą siebie do uwierzenia, że naprawdę nigdzie w pobliżu nie było O’Connella, tym silniej odczuwała coś przeciwnego, miała wrażenie, że jest on coraz bliżej niej.

Mimo że nie mogła wskazać palcem czegoś konkretnego i powiedzieć jasno: „to on”..., widziała dziesiątki drobiazgów i oznak świadczących o tym, że ani nie zniknął z jej życia, ani nie trzymał się od niej z daleka. Pewnego dnia, po powrocie do domu zobaczyła, że ktoś wydrapał w farbie na jej drzwiach wielkie X, posługując się prawdopodobnie scyzorykiem lub może nawet kluczem. Innym razem zastała swoją skrzynkę pocztową otwartą, a jej rachunki, ulotki, oferty kart kredytowych i katalogów leżały porozrzucane po holu.

W muzeum zauważyła, że w pokoju, gdzie pracowała, ktoś przesuwiał przedmioty na jej biurku. Jednego dnia telefon stał z prawej strony, następnego z lewej. Któregoś ranka górna szuflada była zamknięta na klucz, chociaż ona nigdy tego nie robiła, bo nie trzymała tam niczego cennego.

Jej telefon zarówno w pracy, jak i domowy dzwonił raz lub dwa, po czym milkł. A kiedy próbowała sprawdzić numer nieodebranego połączenia, okazywało się, że był zastrzeżony albo taki, którego nie знаła. Próbowala przechwycić numer z grupy ostatnich połączeń, ale za każdym razem słyszała sygnał „zajęty” lub jakieś zakłócenia elektroniczne.

Nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić. W codziennych rozmowach telefonicznych z Sally i ze Scottem opisała część tych zdarzeń, ale nie wszystkie, ponieważ niektóre wydawały się jej zbyt dziwaczne, by o nich wspominać. Inne z kolei zdawały się zwykłymi pechowymi przypadkami. Na przykład profesor prowadzący zajęcia nie był w stanie dostać się do komputerowego wykazu jej ocen ze studiów licencjackich, a informatycy z serwisu uczelni nie potrafili dociec, skąd wzięła się seria blokad w plikach dotyczących jej danych. Usunęli je, ale kosztowało ich to wiele zachodu.

Ashley kołysała się na krześle w swoim mieszkaniu, patrzyła, jak za oknem zapada wieczór. Pomyślała, że wszystko jest O'Connelllem i nie jest O'Connelllem, i nie miała pewności, co powinna zrobić. Ta niepewność wzbudziła w niej frustrację, a potem zdecydowany gniew.

Ostatecznie, powtarzała sobie, przecież złożył obietnicę. Upierała się przy tym, mimo iż tak naprawdę nie wierzyła, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. A im dłużej o tym myślała, tym mniej uspokajające były te myśli.

Scott spędził bezsenność noc, czekając na przesyłkę od profesora Burrisa z Yale. Miał ją otrzymać pocztą kurierską. Niewiele jest rzeczy bardziej niebezpiecznych dla kariery naukowca niż oskarżenie o plagiat, więc Scott wiedział, że musi działać szybko i skutecznie. Pierwszym krokiem było znalezienie w domowej piwnicy pudełka, w którym przechowywał notatki związane z artykułem dla „The Journal of American History”. Potem wysłał e-mailem wiadomość do dwóch studentów, których trzy lata wcześniej poprosił o pomoc w przygotowaniu cytatów i zbieraniu materiałów. Pogratulował sobie szczęścia; zachował bowiem adresy obu. Nie napisał, w tych e-mailach, że został oskarżony, tylko że kolega historyk zwrócił się do niego z kilkoma pytaniami dotyczącymi artykułu, który kiedyś napisał, i że będą mu potrzebne pewne szczegóły związane z ich pracą dla niego. To była z jego strony tylko próba postawienia ich w stan pogotowia, gdy on sam tymczasem czekał na nadejście dyskusyjnego materiału.

Nic więcej nie był w stanie zrobić.

Siedział przy swoim biurku, kiedy zjawił się doręczyciel, niosąc wielką kopertę adresowaną na niego. Szybko pokwitował odbiór i w momencie, gdy rozdierał kopertę, zadzwonił telefon.

- Profesor Freeman?

- Tak. Kto mówi?

- Ted Morris z gazety uczelnianej.

Scott zawahał się na moment, po czym zapytał:

- Czy jest pan w jednej z moich grup, panie Morris? Jeśli tak...

- Nie, proszę pana, nie jestem.

- Jestem w tej chwili bardzo zajęty. Ale w czym mógłbym panu pomóc?

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie. Scott wyczuł w nim pewną niechęć rozmowy. Po chwili student powiedział:

- Otrzymaliśmy właśnie informację, jest to właściwie oskarżenie i ja po prostu idę tym tropem.

- Informację?

- Tak.

- Nie jestem pewien, czy dobrze pana rozumiem - powiedział Scott, ale to było kłamstwo, ponieważ wiedział doskonale, co usłyszy za chwilę.

- Chodzi tu o zarzut, że z pańską osobą wiąże się, no cóż, z braku lepszego określenia, nazwijmy to pewien problem dotyczący uczciwości naukowej.

Ted Morris bardzo ostrożnie dobierał słowa.

- Kto panu to powiedział? - Ach. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Uważam, że może mieć.

- Informacja pochodzi od jakiegoś zirytowanego studenta z Southern University, ale to jest niemal wszystko, co mogę panu powiedzieć.

- Nie wiem nic o tym, żebym miał jakiegoś studenta na jakiegokolwiek uczelni na południu - powiedział Scott z nutą fałszywej beztroski w głosie. - Ale „zirytowany” to określenie, które pasuje do niemal każdego młodego historyka w którymś momencie jego akademickiej kariery. Rzecz dość typowa, nie sądzisz, Ted? - Scott pominął oficjalne „pan” po to, by podkreślić różnicę pozycji ich obu. To on miał autorytet i władzę, chciał w każdym razie, by Ted Morris z gazety uczelnianej tak uważał.

Ted Morris milczał przez chwilę i, co wzbudziło natychmiast niepokój Scotta, nie sprawiał wrażenia rozbawionego.

- Ale problem, z którym mamy tu do czynienia, jest prosty: Czy oskarżono pana o...

- Nikt o nic mnie nie oskarżył. Ja przynajmniej o niczym podobnym nie wiem - uciął. - O niczym, co nie byłoby sprawą zupełnie zwyczajną w kręgach akademickich...

Scott zaczerpnął głęboko powietrza. Domyślił się, że Ted Morris notuje każde słowo.

- Rozumiem, profesorze. Zwyczajna sprawa. Mimo to sędzę, że powinienem przyjść do pana i porozmawiać z panem osobiście.

- Jak mówiłem, jestem teraz bardzo zajęty. Ale w piątek są moje godziny przyjęć. Proszę mnie wtedy odwiedzić...

To dałoby mu kilka dni zwłoki.

- Mamy tu ogromnie napięty termin, profesorze.

- Niestety, nic na to nie poradzę, Ted. Przekonałem się już wielokrotnie, że pośpiech powoduje zamieszanie lub co gorsza, nieodwracalne pomyłki i błędy.

Teraz Scott blefował. Ale musiał koniecznie zakończyć tę rozmowę.

- Okay, piątek. I jeszcze jedno, profesorze...

- Cóż takiego, Ted? - zapytał Scott najbardziej protekcjonalnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

- Chciałbym, żeby pan wiedział, że współpracuję jako niezależny korespondent z „Globe” i „Timesem”.

Scott przelknął ślinę.

- No, no - powiedział, próbując wykrzesać z siebie maksimum sztucznego entuzjazmu. - Gratuluję. Jest wiele znakomitych historii w kampusie, które powinny wzbudzić zainteresowanie tych gazet. Dobrze, a więc do zobaczenia w piątek - zakończył, mając nadzieję, że po tym, co usłyszał, dociekliwy student dojdzie do wniosku, że sprawa nie jest wcale oczywista. Wstrzyma się od szybkiego działania i będzie czekał do piątku, a dopiero potem zadzwoni do działu miejskiego któregoś z tych dwóch dzienników i za pomocą kilku słów zniszczy całą karierę Scotta.

Odkładając słuchawkę, pomyślał, że dotąd nie przypuszczał, iż mógłby kiedykolwiek w życiu poczuć się przestraszony - nie, przerażony - na dźwięk głosu jakiegoś studenta. Potem szybko skupił się nad materiałem przysłanym przez profesora Burrisa. Czytał słowo po słowie i czuł, jak ogarnia go coraz większy niepokój.

Hope weszła do damskiej toalety mieszczącej się w sąsiedztwie biura rekrutacji studentów, wiedziała bowiem, że było to prawdopodobnie jedyne miejsce w kampusie, gdzie mogła przez chwilę pozostać sama. Kiedy drzwi zamknęły się za nią poddała się wrzącym w niej emocjom i wybuchnęła niepohamowanym szlochem rozpaczy.

W oskarżeniu, które dotarło do gabinetu dziekana w postaci anonimowego e-maila, twierdzono, że osaczyła uczennicę w zaparowanej części damskiej szatni, tuż za prysznicami, gdzie dziewczyna znalazła się sama po sportowym treningu. W e-mailu był szczegółowy opis tego, jak Hope pieściła piersi dziewczyny i sięgnęła ręką do jej krocza, jak



przedstawiała piętnastolatce liczne korzyści, które można czerpać z uprawiania seksu z kobietą. Według oskarżenia, gdy uczennica oparła się tym zalotom, Hope zagroziła, iż może zafalszować jej oceny, jeśli kiedykolwiek poskarżyłaby się komuś z władz uczelni lub rodzicom. E-mail kończył się sugestią wobec administracji uczelni, by zastosowano wszelkie niezbędne środki pozwalające uniknąć sprawy sądowej, a być może nawet oskarżenia o przestępstwo. Do opisanego zachowania Hope użyto słów takich, jak: „drapieżny gwałt”, „naruszenie prawa” i „werbunek homoseksualny”.

W oskarżeniu nie było ani jednego słowa prawdy. Nic z tego, co zostało przedstawione w tym szczegółowym opisie, bliskim pornografii, nigdy się nie zdarzyło.

Hope nie wierzyła jednak, żeby prostowanie tych obrzydliwości mogło dopomóc jej w najmniejszym nawet stopniu.

To wstrętne wyliczanie rzekomych zdarzeń wykorzystywało wszelkie lęki i niedorzeczne przypuszczenia, które snują niedoinformowani. Odwoływało się do tego, co w ludziach najgorsze, epatując ordynarnymi opisami i przerażającymi obrazami.

To, że nic takiego się nie wydarzyło, że Hope nie miała pojęcia, kim była owa dziewczyna, że skrupulatnie przestrzegła zasady, by nigdy nie wchodzić do damskiej szatni przy sali gimnastycznej, jeśli nie było tam innej nauczycielki, że gdy w szkole pojawiała się coś, co miało choć trochę seksualny charakter, ona zachowywała się jak zakonnica, i to, że nigdy się nie afiszowała ze swoim związkiem z Sally - to wszystko nagłe straciło znaczenie.

Nie liczył się także fakt, iż skarga była anonimowa. Plotki i insynuacje mogły zacząć się mnożyć na terenie uczelni, ludzie mogli zacząć poświęcać czas na dociekania, co się wydarzyło, a nie, czy się rzeczywiście wydarzyło. W środowisku szkoły średniej nic nie jest tematem tak zapalnym jak domniemanie zakazanego zachowania seksualnego. Nie ma mowy o przemyślanych, ostrożnych ocenach zarzutów. Hope dobrze o tym wiedziała. A jej stanowcze zaprzeczenia złożone dziekanowi prawdopodobnie znaczyły niewiele. Martwiła się również, jak może zareagować środowisko, do którego należały ona i Sally. Inne kobiety żyjące w podobnych związkach mogły prawdopodobnie oprotestować głośno i gniewnie jej sprawę. Już sobie wyobrażała wiece i przemówienia, artykuły w gazetach i demonstracje pod bramami szkoły, wszystkie rzekomo z jej powodu. Wiele homoseksualistek nienawidziło, gdy je piętnowano, i te mogły stanąć w jej obronie, niepotrzebnie nagłaśniając całą sprawę. To było nieuniknione. I, jak podejrzewała, mogło zniweczyć wszelkie szanse, jakie miała na to, by spokojnie oczyścić ją z podejrzeń.

Podeszła do umywalki i ochlapała sobie twarz wodą kilka razy, jakby mogła zmyć to, co ją spotkało. Nie chciała sprawiać kłopotów komukolwiek ani stracić zaufania uczennic, które zdobywała przez wiele lat.

- Nic takiego się nie wydarzyło - zapewniła dziekana. - Nic podobnego nigdy nie miało miejsca. Jak mogę udowodnić moją niewinność, nie znając nazwisk, dat i innych tego typu informacji?

Przyznał jej rację i zgodził się na razie zachować skargę w sekrecie, choć, jak powiedział, z konieczności będzie musiał omówić ją z dyrektorem szkoły, a może nawet poinformować o niej przewodniczącego zarządu. Hope wiedziała, że nie da się uniknąć plotek. Zaczęła o tym mówić, ale się powstrzymała, bo zrozumiała, że niewiele jest w stanie na to poradzić. Dziekan zaproponował, żeby działała i zachowywała się w szkole tak samo jak dotychczas, dopóki nie pojawią się dodatkowe informacje.

- Prowadź nadal treningi, Hope - powiedział. - Zdobądź mistrzostwo ligi. Nie rezygnuj z poradnictwa dla uczniów. Ale... - Tu dziekan Wilson zawałał się na moment.

- Ale co? - zapytała Hope.

- Za każdym razem niech drzwi pozostaną otwarte.

Przyglądając się w lustrze wiszącym w toalecie swoim zaczerwienionym oczom, Hope czuła się bezradna jak nigdy dotąd. Gdy wychodziła z toalety, zdała sobie sprawę, że świat, w którym - jak uważała - była stosunkowo bezpieczna, stał się niewiarygodnie groźny.

Sally starała się rozpaczliwie zrozumieć sens dokumentów, które miała przed sobą, wydawało się jej, że w pokoju robi się coraz goręcej, ociekała potem, jakby była w trakcie intensywnego treningu sportowego.

Miała już niemal pewność, że komuś udało się zdobyć jej hasło, a następnie spustoszyć konto klientki. Wściekała się na samą siebie, że nie użyła hasła trudniejszego do rozszyfrowania. Sprawa, o którą chodziło, była sprawą rozwodową, więc wymyśliła hasło „prawroz”. Po skontaktowaniu się z pracownikami ochrony różnych banków, które otrzymały depozyty wyrwane z ponoć nienaruszalnego konta klientki, była w stanie zwrócić większą część tych pieniędzy lub przynajmniej zamrozić je, by nikt nie miał do nich dostępu. Banki wyraziły zgodę na założenie elektronicznych blokad przy niektórych funduszach, tak że każdy, kto próbowałby podjąć jakąkolwiek kwotę za pośrednictwem komputera albo osobiście, zostałby zidentyfikowany. Ale nie w pełni powiodło się jej prześledzenie wszystkich manewrów z pieniędzmi. Na kilka transakcji składały się przyprowadzające o zawrót głowy serie depozytów i wypłat z

konta, ostatecznie zakończone zniknięciem pieniędzy w jakimś banku zagranicznym, do którego Sally nie miała dostępu, a kiedy zadzwoniła do niego, wykazano tam znacznie mniej zrozumienia dla jej historii o kradzieży tożsamości, niż mogła tego oczekiwać.

Instykt podpowiadał jej, by wynajęła prawnika, ale na razie się z tym wstrzymała. Zamiast tego podjęła całość gotówki z kredytu, jaki zaciągnęła na dom, który dzieliła z Hope, i wpłaciła tę sumę na konto klientki, a tym samym zadłużyła poważnie siebie i swoją nieostrożną partnerkę. Pomyślała, że potrwa kilka miesięcy, zanim zarobi taką kwotę, by wyrównać straty finansowe, jakie poniosła, ale miała nadzieję, że przynajmniej na pewien czas będzie bezpieczna.

Napisała brudnopis listu do Stanowego Stowarzyszenia Adwokatów, starannie dobierając słowa. Przedstawiła w skrócie niektóre transakcje, oświadczyła, że zostały dokonane przez nieznaną osobę, ale że ona zwróciła brakującą sumę z własnych funduszy i w porozumieniu z bankiem zabezpieczyła konto przed ewentualnym kolejnym elektronicznym włamaniem. Miała nadzieję, że list ubiegnie ewentualne działania prokuratora lub wszczęcie dochodzenia przez Stanową Adwokatówkę, przynajmniej do czasu, kiedy ustalą, kto był sprawcą afery. Myślała o tym, by zażądać informacji, kim była osoba, która złożyła skargę, wiedziała jednak, że dopóki rada adwokacka nie zdecyduje się zająć tą sprawą, nie powiedzą jej, w jaki sposób skarga trafiła do ich biura. Nie wiedziała, jak długo będzie trwać w nieświadomości w tej kwestii.

Sally nigdy nie uważała siebie za bezkompromisowego prawnika. Jej najmocniejszą stroną była umiejętność prowadzenia mediacji, nakłanianie przeciwnych stron do ugody. Nie cierpiała momentów, kiedy kompromis stawał się już niemożliwy.

Ale kiedy teraz obracała się w swoim biurowym fotelu, wpatrując się w stosy dokumentów dotyczących transakcji, które zawały blat biurka, czuła jedynie rozpacz, nic więcej. Kimkolwiek był ten, kto to zrobił, pomyślała, musi mnie naprawdę nienawidzić.

Nikommu nie udaje się prowadzić dochodowej praktyki prawniczej, zwłaszcza gdy ma do czynienia ze sprawami rozwodowymi, o przyznanie opieki nad dziećmi i dotyczącymi drobnych przestępstw, nie przysparzając sobie pewnej liczby wrogów. Większość z nich jedynie dużo krzyczy. Niektórzy nie poprzestają na tym. To nasuwało pytanie, które niechętnie sobie stawiała.

Kto to może być? - pytała sama siebie.

Upłynęło już wiele miesięcy od dnia, kiedy jakiś rozszoszczony klient groził jej w taki sposób, że brzmiało to co najmniej wiarygodnie. Na myśl,

że jest na świecie ktoś dostatecznie cierpliwy, a zarazem zdolny do tego, by zaplanować atak skierowany przeciwko niej, gdy się tego zupełnie nie mogła spodziewać, mimo woli przygryzła mocno dolną wargę.

Sally odchyliła się do tyłu, odwróciła i uświadomiła sobie, że będzie musiała powiedzieć Hope o tym, co się stało. Nie bardzo wiedziała, jak to zrobić. Od pewnego czasu dało się wyczuć między nimi wielkie napięcie, a teraz nagle dojdą do tego kłopoty finansowe.

Przyszło jej do głowy, żeby zawiadomić policję, bo w końcu przecież doszło do kradzieży. Ale byłoby to wbrew jej naturze, wielu innych adwokatów także by tak z pewnością nie postąpiło. Nie miała ochoty, by jakiś detektyw wertował na wszystkie strony dotyczące jej dokumenty. Wołała najpierw uzyskać lepszy obraz całej sprawy.

Uporządkuj to wszystko i wyjaśnij, powiedziała sobie. Wyjaśnij to sama.

Sally wzięła swoją aktówkę, upchała w nią tyle dokumentów, ile się dało, wstała raptownie i wyszła szybko z pokoju, chwyciwszy po drodze płaszcz. Wszystkie biura były już puste, zamknęła więc główne drzwi na klucz, a potem prędko zesłała klatką schodową na ulicę. Zimne powietrze na moment lekko ją odurzyło, podniosła dłoń do czoła, jak gdyby nagle zakreśliło się jej w głowie. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, gdzie zaparkowała samochód. Świat wirował wokół niej, zacerpnęła gwałtownie powietrza, jakby miała atak paniki. Zacisnęła mocno pięści i poczuła nagle ukłucie bólu. Serce waliło jej w piersiach, skronie pulsowały, musiała uchwycić się pobliskiej ściany, by odzyskać równowagę.

Musisz się uspokoić, opanować. Odzyskaj kontrolę nad sobą, nakazywała sobie.

Jej samochód stał tam, gdzie zawsze, na piętrowym parkingu. Zapięła szczelnie płaszcz i zwolniła tempo oddychania do normalnego, czując, że ucisk w piersiach i jamie brzusznej zelżał. W momencie, gdy odzyskała panowanie nad emocjami, nagle poczuła, że nie jest tu sama. Odwróciła się, ale chodnik był pusty, tylko paru studentów weszło do pobliskiego baru kawowego, a paru innych zeń wyszło. Ruch pojazdów na głównej ulicy miasta był taki jak zawsze. Jakiś autobus ze świstem hamulców pneumatycznych zatrzymał się na przystanku przed starym teatrem po drugiej stronie ulicy. Wszystko, co mogła zobaczyć, wyglądało tak jak co dzień. Wszystko znajduje się na swoim miejscu, jest stabilne i normalne, pomyślała Sally.

Ale nic takie nie było.

Raz jeszcze wzięła głęboki wdech i ruszyła równym krokiem w stronę garażu, bo był to dla niej jedyny sposób na to, by powstrzymać się od

biegnięcia kłusem. Otoczył ją wieczorny mrok, nikłe światło lamp ulicznych i witryn sklepowych wykrawało małe miejsca azylu przed zapadającą nocą.

- Wie pan, nawet mimo tak zwanego zwolnienia, złożonego w dodatku na piśmie, czuję się trochę nieswojo, mówiąc panu o czymś, co powiedziano mi w tajemnicy.

- To pańskie prawo - odparłem z fałszywą wielkodusznością. - W pełni rozumiem pańskie stanowisko. - W gruncie rzeczy próbowałem w swoich słowach zawrzeć wręcz przeciwną sugestię.

- Naprawdę? - zapytał.

Psycholog był niedużym mężczyzną w szelmowskim typie, o kędzierzawych szpakowatych włosach kłębiących się bezładnie wokół kołnierzyka, jakby były połączone z jakimiś dziwnymi i wzajemnie sprzecznymi myślami kryjącymi się w jego głowie. Nosił okulary, które sprawiały, że wyglądem nieco przypominał insekta. Miał też dziwną manierę: gdy kończył wypowiadać jakąś myśl, wykonywał dłonią ruchy w powietrzu, by podkreślić znaczenie słów.

- Ostatecznie - ciągnął - nie jestem wcale pewien, czy ci ludzie w pełni uświadomili już sobie wpływ, jaki wywarł na nich Michael O'Connell.

- Jak pan to rozumie? - zapytałem.

Psycholog westchnął.

- Myślę, że jeden ze sposobów, w jaki może pan to rozpatrywać, byłby taki: niech pan pomyśli o skutkach wkroczenia przez niego w ich życie, jakby chodziło o wypadek samochodowy, być może taki, który spowodował nietrzeźwy kierowca. Chwilowa utrata orientacji, moment strachu, nagły konflikt, może pan różnie to widzieć czy określić. Ale coś pozostaje po tym na całe lata, może nawet na zawsze. Życie się zmieniło. Cierpienie, przez długi czas. Z czymś takim właśnie ma pan do czynienia w tym przypadku.

- Ale...

- Nie wiem, czy mogę o tym mówić - powiedział nagle. - Pewne rzeczy wypowiedziane w tym gabinecie muszą pozostać tajemnicą, nawet jeżeli pomagam panu opowiedzieć tę historię. Chociaż nie jestem pewien, czy to robię. Tak naprawdę jeszcze tego nie przemyślałem. I jestem cholernie pewien, że za nic w świecie nie chciałbym powiedzieć tego lub owego, a potem nagle otrzymać wezwanie do sądu albo być zmuszonym do wpuszczenia do siebie kilku detektywów typu Colombo, w źle dopasowanych garniturach, udających znacznie głępszych niż są w istocie. Przykro mi.

Teraz ja westchnąłem, nie bardzo wiedząc, czy powinienem być zawiedziony, czy raczej odczuwać szacunek dla mojego rozmówcy. Uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami.

- No cóż - powiedziałem. - Więc żeby moja podróż tutaj nie była całkowitą stratą czasu, czy może mi pan przynajmniej wyjaśnić istotę obsesyjnej miłości O'Connella do Ashley?

Psycholog prychnął z nagłym gniewem.

- Miłość! Miłość! Mój Boże, co to miało wspólnego z tym słowem? jedno powinien pan wiedzieć o naturze Michaela O'Connella. Mamy tu do czynienia z opętaniem.

- Tak - przyznałem. - Sądzę, że potrafię to dostrzec. Ale o co mu właściwie chodziło? Nie o pieniądze. Nie o pożądanie. To nie było żarliwe uczucie. A jednak wydaje mi się, po tym, czego się dotychczas dowiedziałem, że w jakiś sposób chodziło tu o to wszystko razem.

Psycholog rozsiadł się wygodnie na krześle, potem nagle pochylił się do przodu.

- Jest pan stanowczo zbyt dosłowny - stwierdził. - Napad na bank to coś konkretnego. Może nawet handel narkotykami lub zastrzelenie późną nocą sprzedawcy w całodobowym sklepie ogólnospożywczym. Seryjne morderstwa i powtarzające się gwałty. Takie przestępstwa jest znacznie łatwiej zdefiniować. Tu było inaczej. To, co mówił Michael O'Connell o swojej miłości, stanowiło przestępstwo dotyczące tożsamości. Tak więc stało się czymś daleko poważniejszym, daleko głębszym. Znacznie bardziej niszczyielskim.

Skinąłem głową. Miałem zamiar powiedzieć coś innego, ale wykonał dłonią gest, który już u niego widziałem, i uciszył mnie.

- Tak naprawdę powinien pan pamiętać o jeszcze jednym - oznajmił z pewnym wahaniem. - Zrozumieć, że Michael O'Connell był... - przerwał na moment i zaczerpnął głęboko powietrza - ...nieustępliwy.

## 17. Świat zamętu

Po raz pierwszy w swoim stosunkowo krótkim życiu Ashley miała wrażenie, jakby świat był nie tylko niewiarygodnie mały, ale składał się z tak niewielu elementów, że nie było żadnego miejsca, w którym mogłaby się ukryć, żadnego miejsca, dokąd mogłaby uciec, by spokojnie odechnąć i pozbiierać się wewnątrz.

Drobne przykrości i oznaki świadczące o tym, że jest obserwowana i śledzona, powtarzały się stale. Jej telefon zmienił się w broń naładowaną chwilami milczenia i odgłosami ciężkiego oddechu. Straciła zaufanie do swojego komputera. Nie chciała sprawdzać e-maili, bo nie wiedziała już, kto je przysyła.

Powiedziała gospodarzowi, że zgubiła klucze od swojego mieszkania i przysłał ślusarza, by zmienił zamki w głównych drzwiach, choć nie bardzo wierzyła, by wiele to dało. Ślusarz oznajmił jej, iż większość ludzi nie będzie w stanie sforsować tych nowych zamków, ale da sobie z nimi radę każdy, kto naprawdę zna się na rzeczy. Domyślała się, że O'Connell należy do tej kategorii ludzi, którzy na rzeczy się znają.

W jej miejscu pracy, w muzeum, niektórzy koledzy skarżyli się, że odbierają dziwne anonimowe telefony i niepokojące e-maile sugerujące, że Ashley za ich plecami pracuje nad pewnym projektem lub że obmawia ich przed kierownictwem. Kiedy Ashley próbowała wyjaśnić, że to wszystko nieprawda, czuła wyraźnie, że jej nie wierzą.

Ni stąd, ni zowąd pewnego ranka kolega gej zarzucił jej ostro, że jest cichą homofobką. Oskarżenie było tak absurdalne i śmieszne, że zupełnie ją oszołomiło, nie potrafiła nic odpowiedzieć. Następnego dnia czy może parę dni później czarnoskóra koleżanka spojrzała na nią podejrzliwie i nie chciała zjeść z nią lunchu tego popołudnia. Gdy zaintrygowana Ashley usiłowała się dowiedzieć, o co chodzi, koleżanka oznajmiła wyniośle: „Nie mamy absolutnie o czym rozmawiać. Zostaw mnie w spokoju”.

Po wieczornych zajęciach na temat impresjonistów europejskich profesor poprosiła ją do swojego gabinetu i oświadczyła, że jeśli nie zacznie uczęszczać systematycznie na zajęcia, może nie zostać dopuszczona do egzaminu.

Ashley zamurowało. Z otwartymi ustami patrzyła na profesor, która niemal nie podniosła głowy znad stosów dokumentów, slajdów i wielkich luksusowo wydanych książek o sztuce, zawałających blat biurka. Ashley próbowała rozejrzeć się dookoła, znaleźć jakiś przedmiot, na którym mogłaby skupić wzrok i zapanować nad sobą, bo kręciło się jej w głowie.

- Ale to niemożliwe... - powiedziała. - Byłam obecna na wszystkich zajęciach. Na listach obecności mój podpis powinien się znajdować na samym środku.

- Niech mnie pani nie okłamuje, proszę - odparła chłodno profesor.

- Ale ja nie...

- Jeden z asystentów sprawdza te arkusze, a potem przekazuje je do wydziałowego systemu dokumentacji - powiedziała oschłym tonem profesor. - Mieliśmy dotąd więcej niż dwadzieścia cotygodniowych wykładów i dodatkowych pokazów slajdów. Pani nazwisko figuruje jedynie na dwóch takich arkuszach, a jednym z nich jest ten dotyczący zajęć, które odbyły się dzisiaj.

- Ale ja byłam na wszystkich zajęciach - broniła się Ashley. - Nie rozumiem tego zupełnie. Pozwoli pani, że pokażę jej moje notatki.

- Każdy może znaleźć sobie kogoś, kto będzie robił dla niego notatki.

Albo kogoś, kto pozwoli przepisać własne...

- Ale ja byłam na tych zajęciach. Naprawdę. Zapewniam panią. Ktoś musiał popełnić jakiś błąd.

- Oczywiście. Ktoś. Jakiś błąd. To wszystko jest naszą winą... - odparła z sarkazmem profesor.

- Pani profesor, myślę, że ktoś rozmyślnie usunął moje podpisy...

Profesor zawahała się, potem pokręciła głową.

- Nigdy dotąd nie słyszałam o czymś takim. Jaki cel mógłby mieć ktokolwiek...

- Pewien były mój chłopak... - powiedziała Ashley.

- Powtarzam, panno Freeman: Jaki to miałyby cel?

- On chce uzyskać władzę nade mną...

Profesor znowu się zawahała.

- No cóż - zaczęła powoli. - Czy może pani to udowodnić?

Ashley powoli zaczerpnęła powietrza.

- Nie wiem, jak to zrobić.

- Rozumie pani, że ja nie mogę pani uwierzyć tak po prostu na słowo?

Ashley próbowała coś wyjaśniać, ale profesor uniosła dłoń i przerwała jej w połowie zdania.

- Mówiłam wszystkim od początku, zaraz na pierwszym wykładzie, że obecność na zajęciach jest obowiązkowa. Nie jestem osobą bez serca, panno Freeman. Jeżeli ktoś musi opuścić jedno nasze spotkanie lub nawet dwa, potrafię to zrozumieć. Zdarzają się różne problemy. Ludzie miewają rozmaite kłopoty. Ale uczęszczanie na zajęcia i studiowanie podręczników jest waszym obowiązkiem. Nie sądzę, że będzie pani mogła zaliczyć te zajęcia.

- Proszę poddać mnie testowi. Egzaminowi pisemnemu. Niech to będzie jakikolwiek sprawdzian, który pozwoliłby mi wykazać, że opanowałam elementy każdego wykładu...

- Nie mam zwyczaju udzielania specjalnych zwolnień ani szczególnie traktować kogokolwiek. Gdybym miała, musiałabym postępować tak samo wobec każdego leniwego lub niezbyt pracowitego studenta, który siedział na tym samym miejscu, gdzie pani teraz siedzi, panno Freeman, kłamiąc mi prosto w oczy i wymyślając takie lub inne usprawiedliwienie, łącznie z historią o psie, który pożarł pracę domową, i o babci, która umarła. Po raz kolejny. Wydaje się, że babcie umierają w moich grupach zatrważająco często, bardzo regularnie i niejednokrotnie po kilka razy. Więc nie ma mowy, panno Freeman. Niech pani zacznie przychodzić na zajęcia i uzyska doskonałą ocenę na egzaminie, jeśli pani zdoła, w co wątpię. Może będę mogła podciągnąć pani stopień. To się jeszcze okaże. Czy nie myślała pani o zajęciu się czymś innym? Chodzi mi o to, że być



może sztuka i studia magisterskie nie są tym, czemu powinna się pani poświęcać.

- Sztuka była zawsze...

Profesor znowu uniosła dłoń, uniemożliwiając Ashley odpowiedź.

- Doprawdy? Być może się mylę. Mimo wszystko życzę szczęścia, panno Freeman. Będzie pani z pewnością potrzebne.

Szczęście, pomyślała Ashley, nie ma z tym nic wspólnego.

Wyszła z gabinetu profesor na korytarz. Usłyszała śmiech, rozbrzmiewający gdzieś na klatce schodowej lub na innym piętrze; był jakiś bezcielesny, niemal upiorny. Przystanąła i zastygła w bezruchu. On był tutaj, na pewno jej się przyglądał. Odwróciła się powoli, jakby spodziewała się, że pozostaje poza polem jej widzenia, niczym cień wlokący się za nią. Nasłuchiwała jakiegoś dźwięku, oddechu, szeptu, czegokolwiek konkretnego, co powiedziałoby jej, że on rzeczywiście był tutaj, ale nie usłyszała niczego.

Łzy zakręciły się w oczach Ashley. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że to O'Connellowi w jakiś sposób udało się usunąć jej nazwisko z list grupy. Oparła się o ścianę, oddychając z wysiłkiem. Wszystkie godziny spędzone na zajęciach, cała uwaga, jaką im poświęcała, notatki, jakie robiła, zdobyta wiedza, dotycząca kolorów, kształtów, stylów i piękna dzieł artystów, które studiowała, zostały w tym momencie zakwestionowane. To było tak, jakby te wszystkie chwile istniały w jakimś innym wszechświecie, gdzie Ashley wchodziła ze swojego świata, bo na jej drodze stała niewłaściwa osoba.

On stara się mnie unicestwić, doprowadzić do tego, żebym zniknęła.

Ogarnęły ją jednocześnie i rozpacz, i gniew. Odepchnęła się od ściany. To się musi skończyć, pomyślała.

Scott nie wstawał od biurka sparaliżowany tym, co przeczytał. Czuł się tak, jakby coś w nim pękło. Litery na stronach leżących przed nim drżały jak rozgrzane powietrze nad autostradą i zdał sobie sprawę, że zaczyna się w nim rodzić panika.

Przesyłka od profesora Burrisa zawierała kopię jego własnego artykułu opublikowanego w „Journal” oraz komputerowy wydruk pracy doktorskiej, napisanej przez niejakiego Louisa Smitha z Uniwersytetu Karoliny Południowej. Praca została złożona na Wydziale Historii tej uczelni jakieś osiem miesięcy przed ukazaniem się artykułu Scotta, jej rdzeń stanowiła analiza tego samego materiału. Podobieństwo obu prac było czymś nieuniknionym, obie opierały się w pewnym stopniu na tym samym materiale źródłowym.

Ale nie to przeraziło Scotta. Nie dało się po prostu zaprzeczyć, że w obu pracach tekst pięciu kluczowych akapitów był identyczny, co do jednego słowa. Profesor Burris uprzejmie zakreślił żółtą kredką fatalne fragmenty.

Stanowiły one jedynie maleńki procent tekstu w długim naukowym artykule napisanym dla poważanego ogólnie czasopisma, a także w stu-sześćdziesięciostronicowej, pisanej z podwójnym odstępem pracy doktorskiej. Spostrzeżenia w nich poczynione z pewnością nie miały jakiegось niezwykle istotnego znaczenia naukowego. Ale Scott wiedział, że te aspekty nie liczyły się tu w ogóle. Fragmenty były identyczne i to tylko było ważne.

Przypomniała mu się nagle Królowa Kier z *Alicji w Krainie Czarów*. Najpierw egzekucja, potem odbędzie się sąd.

Scott nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że to on napisał zdania, które widział teraz przed sobą. Jeśli mógł mieć do tej pory jakąś nadzieję, że to jeden z dwóch studentów pomagających mu zbierać materiał do artykułu w jakiś sposób, przez przypadek, umieścił pewne słowa w notatce, a on posłużył się nimi, nie sprawdzwszy ich ponownie, to rozwiąła się ona teraz całkowicie. Obaj wykonali swoją pracę bez zarzutu.

O nim samym natomiast nie można byłoby tego powiedzieć. Zachwiał się w fotelu, nie mogąc opanować wzburzenia.

Profesor Burris nie powiedział, kto wniósł oskarżenie o plagiat. Scott przypuszczał, że zrobił to autor pracy doktorskiej lub ktoś z wydziału Uniwersytetu Karoliny Południowej. Istniała możliwość, że jakiś maniak, jeden z fanatycznych miłośników historii, których są w Stanach tysiące, dokonał takiego samego porównania, ale Scott nie wierzył, że ktoś taki mógłby znaleźć posłuch u tak wybitnego historyka jak Burris.

Było już prawie południe, gdy Scott, nieogolony, z zapuchniętymi oczami, pijąc czwartą filiżankę kawy, zdołał w końcu dodzwonić się do pełniącego obowiązki przewodniczącego Wydziału Historii Uniwersytetu Karoliny Południowej. Ku jego zaskoczeniu okazał się on osobą otwartą i uczynną. Najwyraźniej był nieświadomy tego, że pojawiły się jakieś wątpliwości dotyczące artykułu Scotta. Nie wgrzając się zbytnio w temat, natychmiast założył, że wina leży po drugiej stronie.

- Oczywiście, przypominam sobie tę pracę - powiedział. - Otrzymała bardzo wysokie oceny od wszystkich członków komisji. Była rzetelnie przygotowana, napisana przejrzyście i sądzę, że jest szansa, iż zostanie gdzieś opublikowana. A autor, młody człowiek, świetny student i doskonały kolega ma moim zdaniem wspinałą karierę przed sobą. Ale powiedział pan, że są jakieś wątpliwości dotyczące tej pracy? Naprawdę, trudno mi w to uwierzyć...

- Chcę tylko zbadać pewne podobieństwa. W końcu zajmujemy się, generalnie biorąc, tą samą dziedziną.

- Oczywiście - zgodził się pełniący obowiązki przewodniczącego wydziału. - Jednak byłoby mi ogromnie przykro, gdyby się okazało, że nasz doktorant popełnił jakąś niestosowność.

Scott się zawahał. Zdawał sobie sprawę, że kolega historyk mógł odnieść fałszywe wrażenie, że to były student był potencjalnie winien naukowego przestępstwa.

- Widzi pan - powiedział. - Gdybym mógł porozmawiać z tym młodym człowiekiem, być może sytuacja by się wyjaśniła.

- Ależ oczywiście - odparł pełniący obowiązki przewodniczącego wydziału. - Pozwoli pan tylko, że sprawdzę...

Rozmówca poprosił go, by poczekał, Scott siedział więc nieruchomo przez kilka wykańczających go nerwowo minut i czekał na dane człowieka, z którym rozmowa mogła go kosztować utratę wszystkiego, co budował przez całe lata.

- Profesorze Freeman, przykro mi, że musiał pan czekać. Jest trochę trudno dotrzeć do Louisa i skontaktować się z nim. Młody pan Smith po zrobieniu doktoratu dołączył do grona krzewicieli wiedzy Teach From America. To pewne jak amen w pacierzu, że niewielu studentów wybiera tę drogę. W każdym razie jego adres i numer telefonu to jakieś miejsce leżące na północ od Lander w stanie Wyoming, na terenie indiańskiego rezerwatu. Już je panu podaję...

Scott zadzwonił do Wyoming i dowiedział się, że Louis Smith od paru godzin prowadzi zajęcia z uczniami ósmej klasy i potrwa to jeszcze przez jakiś czas. Podał swoje nazwisko, numer telefonu i zaznaczył, że dzwoni w bardzo pilnej sprawie. Gdy w końcu telefon na jego biurku zadzwonił, poderwał natychmiast słuchawkę.

- Profesor Freeman? Mówi Louis Smith...

- Dzięki, że pan oddzwonił - powiedział Scott.

Młody człowiek wydawał się zachwycony i przejęty.

- Czuję się naprawdę zaszczycony pańskim telefonem, profesorze Freeman. Przeczytałem wszystko, co pan opublikował, przede wszystkim pańskie prace dotyczące pierwszych dni wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. To także moja dziedzina i muszę powiedzieć, że jestem nią niezmiennie zafascynowany. Te gry wojenne, te intryki polityczne, te w najwyższym stopniu niewiarygodne sukcesy. Tyle lekcji dla nas, żyjących współcześnie. Mam na myśli to, że tu, w indiańskim rezerwacie, można się przekonać, w jak różny sposób ludzie postrzegają te wszystkie pojęcia historyczne, które my uważamy za oczywiste... - Młody człowiek mówił szybko, bez żadnych przerw. Ale zanim Scott zdołał coś wtrącić, Smith umilkł nagle, wziął oddech i zaczął go przeproszać. - Proszę mi wybaczyć, profesorze, rozgadałem się. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że zadzwonił pan do mnie?

Scott się zawahał. Zaskoczył go wybuch niespożytej energii młodego nauczyciela.

- Przeczytałem pańską pracę doktorską...  
- Czytał ją pan! Och, to wspaniale... to znaczy... Czy się panu podobala? Czy uważa pan, że ująłem wszystko tak, jak należało?

- Praca jest znakomita - powiedział Scott, znowu trochę zaskoczony.  
- A pańskie spostrzeżenia są niezwykle trafne.

- Dziękuję panu, profesorze. Nie potrafię wyrazić, jak wiele to dla mnie znaczy. Wie pan, pisze się z nadzieją, że może opublikują to w jakimś czasopiśmie naukowym, ale tak naprawdę niemal nikt oprócz komisji uczelnianej i mojej dziewczyny tego nie czytał. Kiedy się dowiaduję, że pan to rzeczywiście...

- Jest jedna kwestia - przerwał Scott chłodno. - Są pewne podobieństwa pomiędzy pana pracą a artykułem, który opublikowałem parę miesięcy później...

- Tak - odparł młody człowiek. - W „The Journal of American History”. Przeczytałem go bardzo uważnie, bo mamy do czynienia w dużej mierze z tym samym materiałem. Ale podobieństwa? Co ma pan na myśli?

Scott znowu wziął głęboki wdech.

- Oskarżono mnie o plagiat, o to, że przepisałem kilka fragmentów z pańskiej pracy. Nie zrobiłem tego, ale zostałem o to oskarżony...

Przerwał i czekał na reakcję młodego rozmówcy. Louis Smith potrzebował paru sekund, by się otrząsnąć ze zdumienia.

- Ależ to jakiś obłąd - powiedział. - Kto pana oskarżył?

- Tego nie wiem. Myślałem, że to mógł być pan.

- Ja?

- Tak.

- Nie. Z całą pewnością to nie ja. Niemożliwe.

Scott był oszołomiony. Nie wiedział zupełnie, co ma o tym myśleć.

- Ale mam przed sobą wydruk pańskiej pracy doktorskiej i muszę powiedzieć, że są tam sformułowania identyczne, słowo w słowo jak w moim artykule. Nie wiem, jak się to stało, ale...

- Niemożliwe - powtórzył Louis Smith. - Pański artykuł ukazał się kilka miesięcy po napisaniu przeze mnie tej pracy, ale musiał go pan przygotowywać i pisać mniej więcej w tym samym czasie. Przy tym były opóźnienia w opublikowaniu mojej pracy. Dostęp do prac doktorskich nie jest łatwy, praktycznie jest to możliwe tylko poprzez sieć uniwersytecką, która ma połączenia z kilkoma historycznymi witrynami. Pomysł, że udało się panu ją odnaleźć, a następnie przepisać pewne fragmenty... no cóż, to jest coś zupełnie tajemniczego. Czy mogłyby mi pan przeczytać te ustępy, które są identyczne?

Scott spojrział w dół na zaznaczone żółtym pisakiem wyrazy.

- Owszem. W moim artykule, na stronie trzydziestej trzeciej, napisałem...

I zaczął głośno czytać oba teksty.

- No cóż - odpowiedział powoli Louis Smith - to bardzo dziwne, bo akapitu, który znajduje się rzekomo w obu pracach, w mojej w ogóle nie ma. Nigdy czegoś takiego nie napisałem. To znaczy, te uwagi są podobne do moich wniosków, ale żadnego z tych zdań u mnie się nie znajdzie.

- Ale przecież - powiedział Scott - ja to czytam z wydruku pańskiej pracy doktorskiej.

- Nie mam całkowitej pewności, profesorze, ale podejrzewam, że ktoś majstrował przy dokumencie, który ma pan przed sobą. Nie domyśla się pan, kto mógłby to zrobić?

Wiatr wzmógł się, wiał teraz ostry jak brzytwa w poprzek boiska, światło dnia gasło na zachodzie, co sprawiało, że świat stawał się coraz bardziej mglisty i szary. Hope zebrała wokół siebie drużynę po skończonym treningu. Pot poprzyklejał dziewczętom do czoł pasemka włosów, które wymknęły się z ich końskich ogonów. Zmusiła je do intensywnego wysiłku, być może większego niż ten, jakiego od nich wymagała zazwyczaj przy końcu sezonu, ale zapamiętała się w bieganiu wraz z nimi, nie przeszkadzała jej zadyszka, jakby zimne ostre powietrze było czymś jedyńskim, co mogło jej przynieść odprężenie.

- Dobrze się starałyście - powiedziała. - Trenowałyście ostro, jak przez cały sezon. Macie dwa tygodnie do decydujących meczów. Trudno będzie was pokonać. Bardzo trudno. To dobrze. Ale do turnieju przygotowuje się siedem innych drużyn, które mogły pracować tak samo solidnie jak wy. Teraz będzie już chodziło o coś więcej niż przygotowanie fizyczne. O to, czego pragniecie. Jak chcecie, by zapamiętano ten rok, ten sezon, ten zespół?

Przebiegła wzrokiem po lśniących od potu twarzach dziewcząt, które już rozumiały, że sukces w sporcie zdobywa się dzięki ciężkiemu wysiłkowi.

Uśmiechnęła się do wszystkich, ale wewnątrz czuła jakąś głęboką wyrwę.

- Posłuchajcie - powiedziała ostrożnie. - Ażeby zwyciężyć, wszystkie musimy uporządkować nasze sprawy. A więc czy jest coś, co któraś z was chciałaby powiedzieć przy całej drużynie? Czy jest cokolwiek, co wam przeszkadza?

Dziewczęta spojrzały dziwnie po sobie. Niektóre pokręciły głowami.

Hope nie była pewna, czy już krążą o niej jakieś plotki, ale trudno jej było sobie wyobrazić, by nie zaczęto dotąd mówić na jej temat. W pewnych środowiskach nie ma żadnych sekretów, pomyślała.

Dziewczęta wzruszyły zbiorowo ramionami. Hope pragnęła to zinterpretować jako poparcie dla siebie.

- Okay - powiedziała. - Ale jeśli którąkolwiek z was, podkreślam którąkolwiek coś niepokoi, coś jej dokucza, może przyjść do mnie, zanim rozpoczniemy decydujące mecze. Drzwi mojego gabinetu są zawsze dla was otwarte. Albo, jeśli któraś wolałaby nie rozmawiać ze mną, niech pójdzie na rozmowę do dyrektora do spraw sportu.

Nie wierzyła niemal, że z jej ust wyszło to, co powiedziała. Wyczuła, że powinna zmienić temat.

- Cisza jak nigdy dotąd. Zaczynam przypuszczać, iż straciłyście wszystkie głos z przeforsowania. Więc darujemy sobie dzisiaj bieg po treningu. Krzyknijcie sobie hip, hip, hura, poklepcie się po plecach, a potem łapcie wasze torby i lećcie.

To wywołało burzę oklasków. Gdy nie zmuszała ich do żadnych dodatkowych okrzyków, reakcja zawsze była podobna.

Hope pomachała im na pożegnanie. Są już odpowiednio przygotowane, pomyślała. Zastanawiała się, czy mogłaby to powiedzieć o sobie samej.

W ciągu paru sekund dziewczęta zaczęły schodzić z boiska w niewielkich grupkach. Hope usłyszała ich śmiechy. Przez chwilę odprowadzała je wzrokiem, potem usiadła na drewnianej bocznej ławce.

Wiatr się wzmógł, Hope pochyliła ramion, szukając ochrony przed chłodnymi powiewami. Pomyślała, że bycie częścią szkoły i drużyny stanowiło istotny element tego, co uważała za swoją tożsamość, a teraz zawiśła nad nią groźba jego utraty. Mrok zalewał stopniowo zieloną trawę boiska, sprawiała teraz wrażenie niemal czarnej. Niewiele jest w życiu rzeczy tak obezwładniających duszę jak fałszywe oskarżenia, pomyślała. Poczula, że ogarnia ją szalona wściekłość. Zapragnęła odnaleźć tego, kto ją skrzywdził, i tłuc go pięściami.

Ale kimkolwiek była ta osoba, w tym momencie wydawała się nie bardziej konkretna, nie mniej uchwytne niż ciemność zapadająca wokół i Hope, choć wciąż wściekła, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła spazmatycznym szlochem.

- Ashley? Ashley Freeman? Nie widziałam jej już od dawna. Chyba od wielu miesięcy. Może nawet ponad rok. Czy ona nadal tu mieszka?

Zamiast odpowiedzieć na to pytanie, zapytałem:

- Pracowała pani w tutejszym muzeum w tym samym czasie, co ona?

- Tak. Była nas cała grupa; robiliśmy dyplomy na różnych wydziałach i pracowaliśmy tutaj w niepełnym wymiarze godzin.

Stałem w holu muzeum, niedaleko restauracji, w której pewnego wieczoru Ashley czekała nadaremnie na Michaela O'Connella. Młoda kobieta dyżurująca w recepcji miała włosy zebrane z jednej strony i nastroszone na czubku głowy, co nadawało jej wygląd koguta; paradowała z co najmniej sześcioma koleczykami w jednym uchu i z jednym dużym pomarańczowym kółkiem w drugim, dlatego jej sylwetce jakoś dziwnie brakowało równowagi. Spojrzała na mnie z lekkim dziewczęcym uśmiechem, po czym zadała mi oczywiste pytanie:

- Czemu interesuje się pan Ashley? Coś jest nie tak?

Pokręciłem przecząco głową.

- Interesuje mnie pewna sprawa sądowa, która ma związek z jej osobą. Zbieram informacje dotyczące tła tego przypadku. Chciałem zobaczyć miejsce, gdzie pracowała. A więc, gdy była tu zatrudniona, znała ją pani?

- Niezbyt dobrze... - Młoda kobieta jakby się zawahała.

- To znaczy?

- Nie sądzę, żeby zbyt wiele osób ją znało. Albo ją lubiło.

- Naprawdę?

- No cóż, słyszałam kiedyś, jak ktoś powiedział, że Ashley wcale nie była taka, jaką udawała, czy coś w tym rodzaju. Myślę, że wszyscy zgadzali się co do tego. Gdy stąd odeszła, bardzo dużo się mówiło na jej temat, była masa różnych spekulacji...

- Dlaczego?

- Krążyły pogłoski, że znaleziono jakieś strony w biurowym komputerze, które stały się powodem jej kłopotów. W każdym razie ja tak słyszałam.

- Strony?

- Coś takiego, jakieś bardzo dziwne rzeczy. Czy ona znowu ma kłopoty?

- Niezupełnie - odparłem. - Kłopoty to chyba nie jest właściwe słowo.

## 18. Kiedy sprawy przybierają gorszy obrót

Michael O'Connell uważał, że jego największym talentem jest umiejętność czekania.

Nie było to przeczekiwanie lub bezczynne siedzenie. Prawdziwe czekanie na właściwy moment wymagało skomplikowanych przygotowań i

opracowania odpowiednich planów, aby gdy nadejdzie przewidywana chwila, znacznie już wyprzedzał innych. Wyobrażał sobie, że jest kimś w rodzaju reżysera, kimś, kto widzi całą historię, akt po akcie, scena po scenie, aż do końca. Mówił sobie, że jest człowiekiem, który zna wszystkie zakończenia, bo sam obmyślił każde z nich.

O'Connell był tylko w bokserkach, jego ciało lśniło. Kilka lat temu, kiedy szperał w przecenionych starych książkach, natknął się na poradnik do surowych ćwiczeń fizycznych popularny w połowie lat sześćdziesiątych. Ta szczególna książka z zestawem ćwiczeń zaczerpniętych z podręcznika Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych zawierała mnóstwo rysunków mężczyzn w spodenkach wykonujących skłony, pompki na jednej ręce i podnoszenie się na podbródku. Znalazł w niej również dziwne ćwiczenia, które chętnie wykonywał, na przykład skok w powietrze i podnoszenie kolan tak, by dotknąć stóp. Było to przeciwieństwo wszystkich popularnych domowych treningów: pilâtes, Billy Blank, Body by Jake i sześciominutowych ćwiczeń mięśni brzucha, które dominowały w programach dziennej telewizji. Osiągnął biegłość w ćwiczeniach przeznaczonych dla kanadyjskich lotników i teraz pod swoim luźnym, wytartym młodzieżowym strojem ukrywał budowę ciała zapaśnika. Nie uznawał próżnych facetów gromadzących się w klubach fitness ani smętnych długich biegów po ścieżkach wzdłuż rzeki Charles. Wolał doskonalić mięśnie samotnie, w swoim pokoju, od czasu do czasu zakładając słuchawki, w których brzmiała pretensjonalna, satanistyczna muzyka jakiejś grupy rockowej w rodzaju Black Sabbath lub heavymetalowego AC/DC.

Opadł na podłogę, podniósł nogi ponad głowę, po czym opuścił je powoli, nieruchomiejąc trzykrotnie, by utrzymać swoje położenie do końca ćwiczenia, w momencie gdy jego pięty znalazły się w odległości zaledwie paru centymetrów od twardej drewnianej podłogi. Powtórzył to dwadzieścia pięć razy. Ale przy ostatnim zatrzymał nogi w górze, położywszy obie ręce płasko na bokach, i trwał tak nieruchomo przez minutę, potem przez następną. Wiedział, że gdzieś po trzech minutach zacznie odczuwać lekki ból, który po dwóch następnych znacznie się nasili, a po sześciu będzie już naprawdę mocny.

O'Connell powiedział sobie, że tak naprawdę nie chodzi już o rozwijanie mięśni. Teraz chodziło o sztukę panowania nad sobą.

Zamknął oczy i przestał myśleć o piekącym bólu mięśni brzucha, zaczął rozmyślać o Ashley, tworzyć w wyobraźni jej portret. Rysował w ten sposób każdy szczegół z wyjątkową cierpliwością artysty kopiującego drobniawo łuczki podpisu, każdą drobną, niewyraźną przerwę. Zacznił od jej stóp, jej palców u nóg, podbicia, naprężenia ścięgna Achillesa.



Potem posuwaj się wzdłuż jej nogi, uchwycić mięśnie kostki, do jej kolana i uda.

O'Connell zacisnął zęby i się uśmiechnął. Zazwyczaj mógł pozostawać w tej pozycji przez całą drogę: od jej piersi - przez trwającą dłuższy czas kontemplację krocza - aż do smukłej, działającej mu na zmysły szyi. Ale stawał się coraz silniejszy i wiedział, że pewnego dnia uda mu się całkowicie zakończyć ten malowany w wyobraźni obraz, dodając rysy jej twarzy i włosy. Czekał z niecierpliwością, aż osiągnie taką siłę.

Wykonał gwałtowny wdech, rozluźnił się i jego stopy odbiły się mocno od podłogi. Przez moment leżał nieruchomo, czując, jak pot spływa mu po piersiach.

Ona zadzwoni, pomyślał. Dzisiaj. Może jutro. To było nieuniknione w tej grze, która miała ją usidlić. Będzie zaniepokojona, powiedział sobie. Rozgniewana. Postawi mu wiele żądań, a żadne z nich nie będzie miało dla niego najmniejszego znaczenia. I, co ważniejsze, uświadomił sobie, tym razem będzie samotna. Wyprowadzona z równowagi, rozgorączkowana i bezbronna.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Przez chwilę miał złudzenie, że czuje Ashley leżącą przy nim, miękką i ciepłą. Przymknął powieki i rozkoszował się tym wrażeniem. Gdy minęło, uśmiechnął się.

Położył się znów na podłodze i obojętnym wzrokiem patrzył w biały sufit i pojedynczą gołą stuwatową żarówkę. Przeczytał gdzieś kiedyś, że w XI i XII wieku mnisi z dawno zapomnianych zakonów wytrzymywali w tamtej pionowej pozycji całe godziny, nie zważając na upał, zimno, głód, pragnienie i ból, doznając halucynacji, doświadczając różnych wizji, kontemplując niezmiennie niebios a i rozważając bezwzględne nakazy Boga. Wydawało mu się to bardzo sensowne.

Tym, co dręczyło Sally, było jedno z kont w banku zagranicznym, na które wpłynęło kilka niedużych depozytów z konta jej klientki. Chodziło o sumę około pięćdziesięciu tysięcy dolarów, co nie stanowiło zbyt wielkiej części wszystkich przywłaszczonych pieniędzy. Ale była to jedyna seria depozytów przekazanych elektronicznie, do której nie mogła dotrzeć.

Zadzwoniła do banku na Grand Bahama, ale nie wykazali najmniejszej chęci pomocy i oznajmili, że musi mieć upoważnienie od ich zwierzchników, sugerując, że uzyskać je jest trudno nawet oficerom śledczym, Komisji Papierów Wartościowych i Giełd lub IRS. W przypadku adwokata działającego samotnie, bez nakazu sądowego lub poparcia Departamentu Stanu, będzie to prawdopodobnie niemożliwe.

Sally nie potrafiła pojąć, dlaczego ktoś, kto mógł opróżnić całkowicie konto jej klientki, ukradł jedynie jedną piątą znajdującej się na nim sumy. Inne przelewy, których listę ustaliła, stanowiące przyprawiającą o zawrót głowy serię transferów tam i z powrotem przez banki w całym kraju, nadal były łatwe do odnalezienia i na ile się orientowała, prawdopodobnie możliwe do odzyskania. Udało się jej spowodować ich zamrożenie w blisko dziesięciu różnych instytucjach, gdzie pozostawały nie-tnięte, zdeponowane na różne, ewidentnie fałszywe nazwiska. Zachodziła w głowę, dlaczego ten ktoś nie dokonał po prostu transferu wszystkich tych pieniędzy na konto w zagranicznym banku, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa byłyby nietykalne? Większość pieniędzy leżała sobie spokojnie, wcale nieprzywłaszczona, czekając, aż ona sama podejmie ogromny trud ich odzyskania. Dręczyło ją to. Nie umiała określić, ofiarą jakiego przestępstwa się stała. Wiedziała tylko, że jej reputacja zawodowa musi na tym poważnie ucierpieć.

Nie była też w stanie odgadnąć, kto był sprawcą tego wszystkiego.

Na pierwszym miejscu listy podejrzanych umieściła oczywiście stronę przeciwną w prowadzonej przez siebie sprawie rozwodowej. Nie potrafiła jednak zrozumieć, po co przeciwnicy stwarzaliby jej tak poważne kłopoty, skoro mogło to spowodować odroczenie sprawy na długi czas, utrudnić postępowanie sądowe i przeciąganie się procesu, co w efekcie wszystkim zwiększyłoby koszty. Przywykła już do tego, że w sprawach rozwodowych pary zachowują się irracjonalnie, ale czegoś takiego nie umiała rozgryźć. Ludzie zazwyczaj byli małostkowi i obrzydliwi w sposób rzucający się w oczy, gdy próbowali stwarzać kłopoty drugiej stronie. A ten atak skierowany przeciwko niej odznaczał się swego rodzaju subtelną, której sensu nie potrafiła dociec.

Drugim podejrzanym stał się dla niej inny jej przeciwnik, w zupełnie innej sprawie. Ktoś, kogo pokonała na procesie parę lat temu.

Ta myśl zaniepokoiła ją nawet jeszcze bardziej: ktoś mógł ukrywać pragnienie rewanżu przez dłuższy czas, czekać miesiące, może nawet lata, zanim podjął działanie. Było to coś w stylu sycylijskim jak z *Ojca chrzestnego*.

Sally wyszła wcześniej z biura i poszła przez centrum miasta do restauracji, która nosiła pseudoirlandzką nazwę i miała cichy, mroczny bar. Sącząc powoli drugą szkocką z wodą, słyszała w tle zespół Grateful Dead śpiewający piosenkę *Jestem przyjacielem diabła*.

Kto mnie nienawidzi? Zapytała samą siebie.

Ktokolwiek to był, wiedziała, że musi powiedzieć o wszystkim Hope. Bała się tego. W sytuacji, gdy ich związek przechodził kryzys, trudno byłoby wymyślić coś gorszego. Sally pociągnęła duży łyk gorzkiego trunku.

Ktoś mnie nienawidzi, a ja jestem tchórzem, pomyślała. Przyjacieli diabła jest moim przyjacielem. Spojrzała na kieliszek, uznała, że w całym świecie nie ma takiej ilości alkoholu, która pochłonęłaby całe to nieszczęście; odsunęła go więc i ruszyła w stronę domu, starając się nie utracić resztek równowagi, jakie zachowała.

Scott skończył pisać list do profesora Burrisa i przeczytał go raz jeszcze. „Głupi żart” - takie słowa wybrał na określenie tego, co się zdarzyło - i wyraził przekonanie, że wszyscy dali się nabrać jakiemuś sprytnemu, tajemniczemu dowcipnisiowi, zapewne studentowi.

Tyle tylko, że Scott nie bardzo się przy tym uśmieł.

List był sformułowany w bardzo wyważony sposób, a jedyny fragment, którego napisanie sprawiło mu prawdziwą przyjemność, zachęcał Burrisa, by zwrócił uwagę na naukowe osiągnięcia Louisa Smitha. Scott miał nadzieję, że w ten sposób pomoże młodemu człowiekowi w akademickiej karierze.

Podpisał e-mail i wysłał go. Potem wrócił do domu, usiadł w starym, mocno sfatygowanym fotelu typu uszak i pograżył się w zadumie nad sytuacją, w jakiej się znalazł. Nie chciało mu się wierzyć, że jeden list, nawet tak stanowczy jak ten, który napisał, uwolni go od wszelkich problemów. Nadal czekała go w końcu tygodnia wizyta wścibskiego reportera gazety uczelnianej. Dzień gasł, w pokoju robiło się coraz ciemniej. Scott wiedział, że w jakimś momencie w przyszłości będzie zmuszony się bronić. Fakt, że oskarżenie nie miało podstaw, był w mniejszym lub większym stopniu nieistotny. Ktoś gdzieś mógł w nie uwierzyć.

To wszystko wzbudziło w Scotcie wściekłość. Siedział, zaciskając pięści, rozboleła go głowa; zastanawiał się, kto mu to zrobił. Nie miał pojęcia, że wiele identycznych pytań dręczyło w tym samym czasie Sally i Hope. A gdyby wszyscy troje wiedzieli o swoich kłopotach, ich źródło stałoby się dla nich o wiele łatwiejsze do odgadnięcia. Ale pech i okoliczności sprawiły, że żadne z nich nie mogło wyjść poza orbitę własnych problemów.

Ashley zbierała właśnie swoje nieliczne rzeczy i przygotowywała się do opuszczenia muzeum, zanim zapadnie wieczór. Podniosła wzrok znad biurka i zobaczyła zastępcę dyrektora, który stał wyraźnie zażenowany parę metrów od niej, jakby na coś czekając.

- Ashley - powiedział oficjalnym tonem, wodząc oczami po pokoju.
- Chciałbym zamienić z tobą parę słów.

Odłożyła niewielką torbę i posłusznie poszła za zastępcą dyrektora do jego gabinetu. Ciche muzeum wydało się jej nagle podobne do krypty,

ich kroki niosły się głośnym echem. Mrok jakby oszpecał dzieła sztuki rozwieszane na ścianach, zamazywał kształty, zmieniał barwy.

Zastępca dyrektora wskazał jej krzesło, a sam zajął miejsce za swoim biurkiem. Czekał przez chwilę, poprawił krawat, po czym spojrział jej prosto w twarz. Miał nawyk nerwowego zacierania rąk w dziwnych momentach.

- Ashley, dotarły do nas skargi na ciebie.

- Skargi? Jakie skargi?

Nie odpowiedział jej na pytanie.

- Czy miałaś może ostatnio jakieś kłopoty?

Jej odpowiedź powinna brzmieć „tak”, ale nie chciała wtajemniczać zastępcy dyrektora w swoje prywatne życie ani odrobinę więcej, niż to było konieczne. Uważała go za człowieka nieszczerego. Wiedziała, że w domu w Somerville ma żonę i dwoje małych dzieci, co jednak rzadko powstrzymywało go od zalotów wobec każdej nowej młodej pracownicy.

- Nie. Nie mam żadnych kłopotów - skłamała. - Czemu pan pyta?

- To znaczy - ciągnął, powoli wymawiając słowa - nie zawałałabyś się powiedzieć, że w twoim życiu nie dzieje się nic nadzwyczajnego?

- Nic niezwykłego się nie wydarzyło. Nie bardzo rozumiem, do czego pan prowadzi...

- Twoje poglądy na, och, ogólne poglądy na świat, och... nie zmieniły się ostatnio, nie stały się skrajnie radykalne?

- Moje poglądy są moją prywatną sprawą - odparła powoli.

Zawałał się ponownie, potem powiedział:

- Tego się obawiałem. Nie znam cię za dobrze, Ashley. Tak więc, jak sądzę, nic nie powinno naprawdę mnie zaskoczyć. Ale muszę powiedzieć... - zastępca dyrektora przerwał na moment. - No cóż, pozwól, że ujmę to w ten sposób: w tym muzeum staramy się być bardzo tolerancyjni wobec poglądów i opinii innych ludzi, a także ich stylów życia. Nie lubimy zbyt łatwo nikogo, och... potępiać. Ale są pewne granice, których nie można przekraczać, zgodzisz się z tym?

Ashley nie miała pojęcia o czym on mówi, ale skinęła potwierdzająco głową.

- Oczywiście - powiedziała. - Są pewne granice, zgoda.

Zastępca dyrektora wyglądał na zasmuconego i rozgniewanego jednocześnie. Pochylił się do przodu.

- Czy rzeczywiście uważasz, że Holocaustu nigdy naprawdę nie było?

Ashley zeszywniała na krześle.

- Co?

- Wymordowanie sześciu milionów Żydów to tylko propaganda, nic takiego nigdy nie miało miejsca?

- Nie rozumiem...
- Czy czarni są istotnie niższą rasą? Submongoidalną? Różnią się tylko trochę od dzikich zwierząt?

Nie odpowiedziała, była tak zszokowana, że nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

- Czy Żydzi naprawdę kierują FBI i CIA? I czy czystość rasy rzeczywiście stanowi dzisiaj najważniejszy problem dla naszego narodu?

- Nie wiem, co pan chce...

Zastępca dyrektora uniósł dłoń, twarz mu poczerwieniała. Wskazał gestem stojący na jego biurku komputer.

- Podejdź tu i wpisz swój ID i swoje hasło - powiedział ostro.

- Nie rozumiem...

- Zrób po prostu to, co mówię - polecił.

Ashley podniosła się z krzesła, przeszła na jego stronę biurka i spełniła polecenia. Komputer ożył, zabrzmiała znana melodyjka otwierającego się systemu, na ekranie pojawił się obraz muzeum, a potem powitalne okno z napisem „Witaj Ashley” i wiadomość: „Masz nieodczytany list w twojej skrzynce odbiorczej”.

- Okay - powiedziała Ashley i wstała.

Zastępca dyrektora gwałtownie przesunął się obok niej i przejął klawiaturę.

- Tutaj - rzucił z wściekłością. - Ostatnio przeglądane.

Mając już wpisany kod identyfikacyjny Ashley i jej hasło, zaczął szybko uderzać w klawiaturę. Obraz muzeum zniknął natychmiast, zastąpiła go wielka czarno-czerwona witryna. Z głośników popłynęła marszowa muzyka, po czym nagle pojawiła się duża swastyka i zabrzmiały niemal ogłuszające dźwięki. Ashley nie rozpoznała pieśni *Horst Wessel*, ale od razu wyczuła jej istotę. Zaskoczona próbowała coś powiedzieć, ale jej wzrok przykuwał monitor, na którym ukazała się stara czarno-biała kronika filmowa prezentująca szereg ludzi podnoszących ramiona w nazistowskim pozdrowieniu, a jednocześnie kilkakrotnie rozległo się gromkie: „*Sieg Heil* Poznała *Triumpf woli* Leni Riefenstahl. Te kadry zniknęły po chwili, a na ekranie komputera ukazała się witryna: „Witamy w Krajowej Aryjskiej Sieci”. Natychmiast pojawiła się pierwsza strona z napisem: „Witaj żołnierzu oddziału szturmowego, Ashley Freeman. Zaloguj się, by wejść”.

- Czy mamy to oglądać dalej? - zapytał zastępca dyrektora.

- To jakieś szaleństwo - powiedziała Ashley. - Ja nie mam z tym nic wspólnego. Nie wiem, jak...

- Nie wiesz?

- Nie. Nie wiem jak, ale...

Zastępca dyrektora wskazał na ekran.

- No więc. Zaloguj się.
- Ale...
- Zrób to, o co proszę.

Ashley schyliła się i wystukała hasło. Obraz na ekranie zmienił się natchmiast, gdy otworzyła stronę. Zabrzmiała inna fanfara. To było coś Wagnera.

- Nie rozumiem...

- No oczywiście - powiedział zastępca dyrektora. - Oczywiście, ty nie rozumiesz.

- Ktoś mi to zrobił - broniła się Ashley. - Mój były chłopak. Nie wiem jak, ale on ma wielki talent informatyczny i musiał...

Zastępca dyrektora przerwał jej gestem dłoni.

- Powiedziałaś przecież, że nic szczególnego nie wydarzyło się ostatnio w twoim życiu. „Nic niezwykłego”, to są twoje słowa. Były chłopak zapisuje cię na członka organizacji siejącej nienawiść w witrynie współczesnych nazistów... no, ja uznałabym to jednak za coś niezwykłego.

- To j est, on j est, j a nie wiem...

Zastępca dyrektora pokręcił głową.

- Oszczędź mi, proszę, tych kiepskich usprawiedliwień. To twój ostatni dzień tutaj. Nawet gdyby to, co powiedziałaś, było prawdą, nie możemy tego tak zostawić. Złośliwy eksprzyjaciel czy autentyczne poglądy, jedno i drugie jest dla nas nie do przyjęcia. Staramy się tutaj utrzymywać atmosferę tolerancji, a to jest nienawiść. Nie mogę pozwolić na coś takiego. Szczerze mówiąc, nie bardzo ci wierzę. Wyślemy ci cze-kciem twoje ostatnie pobory. Do widzenia, panno Freeman. Proszę, żebyś tu już nie wracała. I proszę - dodał, wskazując drzwi - nie spodziewaj się od nas żadnej rekomendacji.

Ashley wracała do swojego mieszkania w zapadającym szybko mroku; na przemian płakała i czuła szalony gniew. Z każdym krokiem wściekłość narastała w niej do tego stopnia, że nie zauważyła otaczającej ją ciemności. Przemierzała ulice szybkim i równym krokiem jak żołnierz, próbując wymyślić jakiś plan działania, ale nie potrafiła; gniew był zbyt silny. Pozwoliła, by owaładnął ją całkowicie, drżała na całym ciele. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby pozwolić na to, by tak spieprzono mu życie, więc rozważywszy wszystko, postanowiła, że musi położyć temu kres jeszcze tego wieczoru.

Cisnęła kurtkę i plecak na łóżko i podeszła prosto do telefonu. W ciągu paru sekund wybrała numer Michaela O'Connella.

W słuchawce rozległ się jego senny, jakby odległy głos.

- Słucham. Kto mówi?  
- Ty dobrze wiesz, cholera, kto mówi - powiedziała Ashley głosem na pograniczu krzyku, przepelnionym goryczą.

- Ashley! Wiedziałem, że zadzwonisz...

- Ty lajdaku! Zaszкодziłeś mi na uczelni. Utrudniłeś mi studia. Teraz straciłam przez ciebie pracę. Co za cholerna menda z ciebie?!

O'Connell milczał.

- Zostaw mnie w spokoju. Dlaczego nie możesz się odczepić ode mnie, raz na zawsze?

O'Connell milczał nadal.

Ashley nabrała rozpędu.

- Nienawidzę cię! Niech cię diabli wezmą! Powiedziałam ci, że z nami koniec, i tak jest! Nie chcę cię nigdy więcej widzieć. Nie potrafię uwierzyć, że mogłeś mi to zrobić. I ty mówisz, że mnie kochasz? Jesteś chorym i złym człowiekiem i chcę, żebyś zniknął z mojego życia. Na zawsze! Rozumiesz?

O'Connell wciąż nie odpowiadał.

- Michael! Słyszysz, co mówię? Między nami wszystko skończone! Ostatecznie! Definitywnie! Nieodwołalnie! Możesz rozumieć to jak chcesz, ale to koniec. Dotarło to do ciebie?

Ashley czekała na jego odpowiedź, ale w słuchawce była cisza, wzbierała wokół niej i oplatała ją jak pnącze.

- Michael? - zapytała. Pomyślała nagle, że już go tam nie ma, że się rozłączył i że jej słowa zniknęły w jakiejś ogromnej elektronicznej próżni. - Zrozumiałeś? To skończone... - spróbowała raz jeszcze.

I znów w pierwszym momencie usłyszała tylko ciszę. Potem wydało się jej, że słyszy w słuchawce jego oddech.

- Michael, proszę - powiedziała. - To się musi skończyć.

Kiedy w końcu się odezwał, zaskoczył ją.

- Ashley. - W jego głosie słyszała lekki śmiech, jakby mówił innym językiem i to takim, którego ona nie знаła. - Tak cudownie jest słyszeć twój głos. Odliczam dni do chwili, gdy znowu będziemy razem...

Przerwał, a potem dodał:

- Już na zawsze.

A potem się rozłączył.

- Ale stało się coś? - zapytałem.

- Tak - odparła. - Naprawdę, wiele rzeczy się stało.

Spojrzałem na nią i zauważyłem, że zмага się ze szczegółami tego, co chciała powiedzieć. Jej twarz na zapas przybrała wyraz niechęci, tak

samo jak twarz kogoś, kto wkłada zimną ciepły sweter, przewidując, że pogoda zmieni się na gorsze.

- No cóż - rzuciłem trochę poirytowany jej dwuznacznym zachowaniem - może przybliży mi pani kontekst? To pani wciągnęła mnie w tę historię, mówiąc na samym początku, że powinienem zrozumieć sens tego wszystkiego. Dotąd nie bardzo wiem, co tak naprawdę rozumiałem. Wiem już, jakie gierki prowadził Michael O'Connell. Ale jaki miały one cel? Wiem też, jak przestępstwo nabierało kształtu, ale o jakie przestępstwo tutaj chodzi?

- Chciałby pan, żeby sprawy były proste. Ale przestępstwo nigdy proste nie jest, działa tu wiele różnych czynników. Zastanawiał się pan może czasami nad tym, czy sami nie pomagamy niekiedy w stwarzaniu psychicznej lub emocjonalnej atmosfery, w której złe i przerażające rzeczy mają swoje korzenie, rozwijają się i kwitną? Sami jesteśmy wylęgarnią zła. Czasami na to wygląda, czy nie tak?

Nie odpowiedziałem jej, a ona wpatrywała się w swoją filiżankę kawy, jakby tam szukała rozwiązania...

- Czy nie wydaje się panu, że wszyscy prowadzimy życie niewiarygodnie rozproszone, chaotyczne? Dawno, dawno temu, w szczęśliwszych czasach dorastaliśmy i pozostawaliśmy tam, gdzieśmy się rodzili. Prawdopodobnie kupowaliśmy domy na tej samej ulicy, w pobliżu domu rodziców. Pomagaliśmy prowadzić interes rodzinny. A więc łączyły nas zawsze rodzinne więzy, pozostawaliśmy w tej samej orbicie. To były czasy prostych zasad, jak w spektaklach telewizyjnych *Nowożeńcy* i *Ojciec wie najlepiej*. Cóż za staroświecki pogląd: ojciec wie najlepiej. Obecnie zdobywamy wykształcenie i odchodzimy.

Umilkła na moment, po czym zapytała:

- Więc co by pan zrobił, gdyby stało się jasne, że ktoś postanowił zrujnować panu życie?

A po chwili dodała:

- I czy pan to rozumie? Gdy patrzymy na tę historię z naszego bezpiecznego miejsca na świecie, wydaje nam się to takie oczywiste, ktoś próbuje zniszczyć ich życie. Ale oni nie od razu to dostrzegli.

- Dlaczego? - wyrwało mi się.

- Ponieważ tego nie rozumieli, wydawało im się to czymś bezsensownym. Dlaczego ktoś chciałby zrobić im coś takiego... myśleli.

- Okay, więc dlaczego?

- Jeszcze nie teraz - odparła. - Musi pan sam dotrzeć do tego. Ale jest tu parę jasnych wątków. Choć Michael O'Connell miał połowę ich wykształcenia, połowę ich środków materialnych, połowę ich prestiżu, cała siła była po jego stronie. Miał dwukrotnie więcej sprytu od nich,



ponieważ oni byli tacy jak wszyscy inni, a on nie. Zostali osaczeni i opleceni mackami jego zła, a jednak tego nie widzieli. Nie wiedzieli też, jaki był tego cel. Co pan by zrobił? Czy nie tak wyglądało pytanie? Wydarzyły się okropne rzeczy, ale co właściwie nam zagraża?

Nie dałem jej odpowiedzi, ale próbowałem sam ją uzyskać:

- Czy coś się zmieniło?
- Tak. Chwila jasności umysłu.
- To znaczy?

Uśmiechnęła się.

## 19. Zmiana taktyki

Początkowo wściekłość dosłownie obezwładniła Ashley.

W parę sekund po tym, jak O'Connell się rozłączył, cisnęła swój telefon komórkowy przez pokój tak, że uderzył o ścianę i eksplodował niczym kula wystrzelona z pistoletu. Zacisnęła pięści, zgrzytając zębami z wykrzywioną gniewem twarzą. Podniosła jakiś podręcznik i rzuciła go w tę samą stronę - uderzył w tynk i spadł na podłogę. Przeszła szybko do sypialni, porwała z łóżka małą poduszkę i zaczęła ją okładać pięściami jak bokser w ostatniej rundzie, zadając brawurowe ciosy to z prawa, to z lewa. Wczepiła palce w materiał poduszki i rozdarła ją. Kawałki syntetycznego wypełniacza frunęły w powietrze i, wirując, opadły na włosy i ubranie Ashley. Jej oczy wypełniły się łzami, w końcu wybuchnęła gwałtownym szlochem i pograżyła się w depresji.

Rzuciła się na łóżko, zwinęła w kłębek i płakała żałośnie. Dyszała ciężko jej ciało podnosiło się i opadało, jakby rozpacz i ból przenikały każdą jego komórkę.

Gdy zabrakło jej łez, przewróciła się na plecy i przyciskając kurczowo do piersi strzępy poduszki, utkwiała wzrok w suficie. Wciągnęła kilkakrotnie powietrze głęboko do płuc. Łzy nie rozwiązały żadnego problemu, ale poczuła się trochę lepiej.

Kiedy jej serce zaczęło bić znowu normalnym rytmem, usiadła na łóżku.

- W porządku - powiedziała głośno. - Bierz się w garść, dziewczyno.

Spojrzała na rozbity telefon komórkowy i uznała, że wybuch gniewu miał zaskakująco korzystny skutek. Musi postarać się o nowy aparat, a przy okazji może wystąpić o nowy numer. Przyrzekła sobie, że tego numeru

Michael O'Connell nie pozna. Spojrzała na biurko, gdzie stał telefon stacjonarny.

- Zlikwiduj go - powiedziała.

Potem przyszła kolej na laptop.

- W porządku - powiedziała do siebie znowu tak, jakby mówiła do małego dziecka. - Zmień swoją stronę internetową. Zmień swoje konto e-mailowe. Zlikwiduj usługę opłacania rachunków. Zaczniij od nowa.

Rozejrzała się po mieszkaniu.

- Jeżeli powinnaś się przeprowadzić, musisz się przeprowadzić - zdecydowała.

Westchnęła głęboko. Mogła pójść rano do sekretariatu uczelni i uporządkować wykaz swoich ocen. Wiedziała, że będą z tym poważne kłopoty, ale gdzieś u siebie miała kopie dokumentów, i bez względu na to, jakie szkody udało się tu wyrządzić O'Connellowi, mogła jeszcze coś naprawić. Nie potrafiła udowodnić swojej obecności na zajęciach, na szczęście sprawa ograniczała się do jednego przedmiotu i choć powodowała komplikacje, nie wyglądały one nazbyt dramatycznie.

Poważniejszym problemem było zwolnienie z pracy. Nie mogła mieć pewności, czy w przyszłości zastępca dyrektora nie przyczyni się do jej kolejnych kłopotów. Był sztywnym dyletantem i cichym seksistą, więc na myśl o tym, że musiałaby znowu mieć z nim do czynienia, robiło się jej niedobrze. Postanowiła zwrócić się do któregoś ze swoich profesorów ze studiów licencjackich, by napisał do zastępcy dyrektora list informujący go, że przypuszczenia związane z jej osobą są pomyłką i że powinien to uwzględnić w jej dokumentach zatrudnienia. Była pewna, że uda się jej znaleźć kogoś takiego, jeśli wyjaśni okoliczności całej sprawy. Mogło to nie zmienić decyzji o jej zwolnieniu, ale przynajmniej zneutralizowałoby szkodliwe skutki tego, co zrobił O'Connell.

Ostatecznie, powiedziała sobie dziarsko, praca w muzeum nie jest jedyną, jaką może zdobyć. Na pewno istnieją inne możliwości, inne instytucje związane ze sztuką, odpowiadające jej zainteresowaniom i uzdolnieniom.

W miarę jak Ashley obmyślała kolejne plany, czuła się coraz lepiej. Każda następna decyzja umacniała ją w przekonaniu, że panuje nad sytuacją, że staje się bardziej zdeterminowana i silniejsza. Po pewnym czasie wstała, otrząsnęła się i poszła do łazienki.

Przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze, kręcąc głową na widok opuchniętych i zaczerwienionych oczu. Napełniła umywalkę gorącą, parującą wodą i zaczęła obmywać w niej twarz.

- No dobrze - powiedziała. - Nigdy więcej cholernych łez z powodu tego sukinsyna.

Nigdy więcej nie dam się przestraszyć. Nie będę się niepokoić. Nie będę zgrzytać zębami w bezsilnym gniewie. Będę żyła dalej własnym życiem, niech diabli wezmą Michaela O'Connella!

Poczuła nagle głód i gdy zmyła z siebie tyle smutku, ile mogła, przeszła do kuchni. Znalazła półlitrowy pojemnik z lodami w zamrażalniku, nałożyła sobie dużą porcję, by słodki smak poprawił jej nastrój, a potem podeszła do stacjonarnego telefonu, żeby zadzwonić do ojca. Wybierając lody z pojemniczka, przeszła przez mieszkanie obok okna, spojrziała w mrok za szybą, zawahała się na moment. Nigdy więcej wpatrywania się w ciemność, powiedziała sobie. Odwróciła się od okna, chwyciła słuchawkę i zaczęła wybierać numer, nieświadoma tego, że para czyichś oczu szuka w nikłym świetle zasłoniętego okna kształtu jej postaci, że ten ktoś jest zadowolony, a zarazem niezadowolony, widząc zaledwie przemierzający się cień. Ten ktoś, czując się zupełnie swobodnie w otaczającym go mroku, był niezwykle podekscytowany faktem, że znajduje się tak blisko niej. To jest coś, czego ona nigdy nie mogłaby zrozumieć, pomyślał. Tego, jak każdy krok, który czyniła po to, by się od niego oddalić, pobudzał go jeszcze bardziej do działania, zwiększał jego namiętne uczucia. Postawił kołnierz płaszcza i cofnął się głębiej w mroczny cień. Jeśli trzeba by było, mógłby stać tutaj przez całą noc i nie czułby chłodu.

Hope była zaskoczona, gdy po powrocie do domu zobaczyła, że Sally czeka na nią. W ich wzajemnych stosunkach panowała teraz dziwna sztywność połączona z długimi okresami milczenia.

Spojrziała na swoją wieloletnią partnerkę i poczuła nagle, jak przebiega przez nią fala znużenia i wielkiego niepokoju. To jest to, pomyślała sobie. Nadszedł chyba czas, żeby sobie powiedzieć, że to koniec. Ogarnął ją jakiś nieokreślony smutek.

- Wróciłaś dzisiaj dosyć wcześnie - powiedziała tak beznamiętnym tonem, na jaki tylko mogła się zdobyć. - Nie jesteś głodna? Mogę coś przyrządzić naprędce, ale nie będzie to nic ciekawego...

Sally niemal nie drgnęła. Objęła dłonią kieliszek z następną porcją szkockiej.

- Nie jestem głodna - oznajmiła niedbale. - Ale musimy porozmawiać. Mamy pewien problem.

- Tak... - Hope zdjęła powoli żakiet i postawiła swój plecak na podłodze. - Ja też tak sądzę.

- Nie tylko jeden - dodała Sally.

- Tak, więcej niż jeden - odparła Hope. - Może ja też powinnam się napić?

I weszła do kuchni.

Kiedy Hope nalewała sobie duży kieliszek białego wina, Sally zastanawiała się od czego powinna zacząć i którą spośród mnóstwa spraw poruszyć najpierw. W jej umyśle dokonało się jakieś dziwne połączenie: ograbienie konta klientki i zagrożenie dla własnej kariery zawodowej powiązało się z niepokojącą oziębłością, jaką czuła wobec Hope. Kim ja jestem? - zadała sobie pytanie.

Czuła się tak, jak w dniach poprzedzających jej rozwód ze Scottem. Przytłoczona ponurym cieniem. To, że nadal jeszcze siedziała w tym samym miejscu, wymagało od niej olbrzymiego wysiłku woli. Miała ochotę natychmiast wstać i uciec. Jak na prawniczkę przywykłą do rozwiązywania trudnych kwestii, czuła się w tym momencie zaskakująco niekompetentna.

Kiedy podniosła wzrok, Hope stała w drzwiach.

- Muszę ci powiedzieć o tym, co się wydarzyło - stwierdziła Sally.  
- Zakochałaś się w kimś innym?  
- Nie, nie...  
- W jakimś mężczyźnie?  
- Nie.  
- W jakiejś innej kobiecie?  
- Daj spokój.  
- Po prostu już mnie nie kochasz? - pytała dalej Hope.  
- Nie wiem, co i kogo kocham. Czuję się, jakbym była... no, nie wiem czym, ale czymś blaknącym jak stara fotografia.

Hope pomyślała, że to przesadnie romantyczne stwierdzenie i że Sally traktuje się ze zbytnią pobłażliwością. Rozzłościło ją to i musiała natychmiast odpowiedzieć. Nie mogła zrobić nic innego, by nie wybuchnąć, jeśli wziąć pod uwagę napięcie, w jakim ostatnio żyła.

- Wiesz, Sally - powiedziała tonem tak chłodnym, że ją samą to za skoczyło - nie mam ochoty roztrząsać twojego stanu emocjonalnego. Co chcesz zrobić? Nie będę dłużej żyć na tym polu minowym, jakim stał się nasz dom. Wydaje mi się, że albo się rozstaniemy, albo... nie wiem. Co byś proponowała? Ale z całą pewnością ja nienawidzę tej psychicznej kolejki górskiej...

Sally pokręciła głową.

- Nie o tym myślałam.  
- A o czym myślałaś, do diabła? - Hope poczuła się trochę winna, że tak łatwo poddała się złości.

Sally zaczęła coś mówić, potem umilkła.

- Jest inny problem - odezwała się wreszcie. - Dotyczy nas obu i od bije się niestety na naszym życiu.

Po czym szybko opowiedziała jej o zarzutach, które były w liście ze Stanowego Stowarzyszenia Adwokatów, i sytuacji finansowej, w jakiej się znalazły, bo znaczna część ich oszczędności przepadła, przynajmniej chwilowo, i że potrwa prawdopodobnie jakiś czas, zanim odnajdzie pieniądze i zgromadzi dokumenty niezbędne, by te pieniądze odzyskać.

Hope słuchała, przerażona.

- Żartujesz sobie, prawda?

- Chciałabym, żeby to były żarty.

- Ale to nie były twoje, to były nasze pieniądze. Powinnas najpierw uzgodnić ze mną...

- Musiałam działać szybko, żeby uniknąć prawdziwego dochodzenia ze strony Rady Adwokackiej.

- Jasne. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego nie skorzystałaś z cholernego telefonu i nie powiedziałaś mi o tym, co się stało.

Sally milczała.

- A więc jesteśmy nie tylko bliskie rozstania się, ale i zupełnie spłukane?

Sally skinęła głową.

- No nie, niezupełnie, ale dopóki sprawa się nie wyjaśni...

- Wspaniale! Po prostu cudownie. Po prostu cholernie niesamowicie. Może mi powiesz, co do diabła, mamy teraz robić?

Hope wstała i zaczęła spacerować po pokoju tam i z powrotem. Była tak wściekła na swoją partnerkę, że wydawało się jej, iż światła w mieszkaniu iskrzą jak przy spięciu elektrycznym.

Nim Sally zdążyła odpowiedzieć: „Nie wiem...”, zadzwonił telefon.

Hope odwróciła się gwałtownie, spojrzała na aparat takim wzrokiem, jakby to on ponosił winę za całe to nieszczęście, po czym tupiąc głośno, ruszyła przez pokój w stronę telefonu. Stawiała kroki i za każdym razem mamrotała pod nosem spróśne przekleństwo; w ten sposób słowa wyznaczały rytm jej marszu.

- Tak, słucham? - powiedziała opryskliwie. - Kto mówi?

Z miejsca, w którym siedziała w fotelu Sally, przytłoczona bałaganem, jaki zapanował w jej życiu, spostrzegła, że twarz Hope nagle zastygła.

- Co się dzieje? - zapytała. - Stało się coś złego?

Hope zawahała się, było oczywiste, że słucha uważnie tego, co mówi ten ktoś na drugim końcu linii. Po chwili skinęła głową i powiedziała:

- Jezu Chryste, jasna cholera. Poczekaj, zaraz ci ją dam.

Odwróciła się w stronę Sally.

- Tak. Nie. Tutaj. Weź słuchawkę. Dzwoni Scott. Ta menda znowu wtargnęła w życie Ashley. To już szczyt.

Po godzinie Scott przyjechał do ich domu. Nacisnął dzwonek przy wejściu, usłyszał szczekanie Bezimiennego i po chwili zobaczył, że drzwi otwiera Hope. Przez moment jak zawsze trwało niezręczne milczenie, potem Hope zaprosiła go do środka.

- Cześć, Scott - powiedziała. - Wejdz, proszę.

Zaskoczyło go to, że Hope wygląda, jakby niedawno płakała, bo zawsze sądził, że w ich związku z Sally to ona była tą silniejszą stroną. Jedno wiedział: w każdym związku jego ekszona z pewnością stanowiła tę kapryśną, kierującą się nastrojami połowę.

Wszedł do salonu.

- Rozmawiałas z Ashley? - zapytał bez przywitania.

Sally skinęła głową.

- Rozmawiałam, kiedy tu jechałeś. Powiedziała mi to, co tobie. Jest bez pracy i ma kłopoty na uczelni. - Westchnęła. - Chyba nie doceniliśmy tego, jak uparty może być Michael O'Connell.

Scott uniósł brwi.

- Ogłędnie powiedziane, jak mi się wydaje - zauważył. - Tego błędu prawdopodobnie nie mogliśmy uniknąć. Ale teraz musimy pomóc Ashley wypłatać się z tego.

- Myślałam, że po to właśnie pojechałeś do Bostonu - powiedziała chłodno Sally, spoglądając na eksmęża. - Z pięcioma tysiącami w gotówce.

- Owszem - odparł Scott równie chłodno. - Jak widać, z przekupstwem nam się nie udało. Więc jaki ma być następny krok?

- Ashley znalazła się w trudnej sytuacji. Potrzebuje najwyraźniej pomocy, ale jakiej? Co możemy zrobić? - Hope przejęła inicjatywę.

- Muszą być jakieś przepisy prawne - powiedział Scott.

- Są, ale jak się nimi posłużyć? - ciągnęła Hope. - I które prawo według nas ten facet naruszył? Nie napadł na nią. Nie uderzył jej. Nawet jej nie groził. Mówił, że ją kocha. I śledził ją. A potem skomplikował jej fatalnie życie, wykorzystując komputer. To łobuzerstwo, ale czy karalne?

- Jest prawo, które tego zabrania - powiedziała Sally. I nagle umilkła.

- Komputerowy łobuz - powtórzył Scott. - To nie jest dobre określenie na to, co on robi.

- Nijakie - powiedziała Sally.

- Mniej więcej tydzień temu miałem naprawdę poważny problem, spowodowany przez kogoś anonimowego za pomocą komputera. Sprawa jest już chyba wyjaśniona, ale... - odezwał się Scott.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, potem Hope powiedziała:

- Ja też mam taki problem.

Sally podniosła wzrok, zaskoczona tym, co usłyszała. Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Hope wskazała na nią.

- Ona też.

Hope wstała.

- Myślę, że każdemu z nas przydałby się drink - stwierdziła, ruszając na poszukiwanie następnej butelki wina. - Może więcej niż jeden - rzuciła przez ramię w stronę Scotta i Sally, którzy spoglądali na siebie z niedowierzaniem.

Detektyw z policji stanowej Massachusetts siedzący naprzeciwko mnie wydawał się początkowo wyjątkowo miłym gościem. Nie przypominał twardego, cynicznego, zmęczonego życiem policjanta z serialu kryminalnego. Niewysoki, drobny, miał krótko przycięte rudawo-złote włosy i gęste wąsy. Nosił niebieską marynarkę i tanie spodnie khaki. Gdyby nie ciemnoszary pistolet Glock kaliber 9 milimetrów w kaburze pod pachą, sprawiałby raczej wrażenie agenta ubezpieczeniowego albo nauczyciela.

Odchylił się w tył na krześle, nie zwracając uwagi na terkoczący telefon.

- Więc chce pan dowiedzieć się czegoś o prześladowaniu, czy tak?

- Tak. Zbieram informacje na ten temat - odparłem.

- Do książki? Do artykułu? Ale nie dlatego, że jest pan osobiście tym zainteresowany?

- Chyba niezupełnie rozumiem, co pan ma na myśli.

Detektyw uśmiechnął się szeroko.

- Wie pan, to trochę tak jak z facetem, który dzwoni do lekarza i mówi: „Mój kolega z pracy chciałby wiedzieć, jakie są objawy, och... choroby wenerycznej, syfilisu albo rzeżączki. I jak on, chodzi o mojego przyjaciela, nie o mnie, mógłby się tego pozbyć, bo bardzo mu to dokuczają”.

Pokręciłem głową.

- Sądzi pan, że jestem prześladowany i chcę...

Uśmiechnął się znowu, ale tym razem jego uśmiech sprawiał wrażenie skalkulowanego.

- Może to pan chce kogoś prześladować i szuka wskazówek, jak uniknąć aresztowania. To byłby zwariowany pomysł, ale autentyczny prześladowca opętany manią mógłby się zdecydować na coś takiego. Popelnia się zawsze ten sam błąd, nie docenia się ich. I tego, co robią, gdy nadchodzi dla nich czas działania.

Znow odchylił się do tyłu.

- Naprawdę zagorzały prześladowca czyni sztukę ze swojej obsesji.

- Dlaczego?

- Bada i poznaje nie tylko swoją ofiarę, lecz również cały jej świat. Rodzinę. Przyjaciół. Pracę. Szkołę czy uczelnię. Wie, gdzie ona lubi jadać obiady. Do którego kina chodzi, gdzie oddaje samochód do przeglądu albo kupuje bilety na loterię. Dokąd chodzi na spacer z psem. Wykorzystuje wszelkie środki zarówno legalne, jak i nielegalne do gromadzenia informacji. Stale coś mierzy, ocenia, przewiduje. Poświęca wszystkie myśli swojej ofierze i często z góry wie, co ona zrobi, niemal jakby czytał w jej myślach. Dochodzi do tego, że zna ją prawie tak samo jak ona siebie.

- Co skłania go do tego wszystkiego?

- Psychologowie nie mają pewności w tej kwestii. Obsesyjne zachowanie jest zawsze w jakimś stopniu tajemnicą. Może chodzi tu o przeszość, by tak rzec, z ostrymi krawędziami?

- Prawdopodobnie z czymś więcej.

- Owszem, prawdopodobnie. Przeważnie jest tak, że jeśli sięgniemy głębiej, znajdziemy jakieś bardzo paskudne doznania z dzieciństwa. Przemoc. Maltretowanie. Wykorzystywanie seksualne. Wszystko co najgorsze.

Detektyw pokręcił głową.

- Prześladowcy to niebezpieczni ludzie. Nie są zwykłymi drobnymi przestępcami. Zagrożona jest zarówno dziewczyna, która mieszka na kempingu i pracuje w kasie miejscowego supermarketu prześladowana przez byłego chłopaka, członka gangu motocyklowego, jak i hollywoodzka gwiazda, którą tropi obsesyjny fan. Nie ma znaczenia, co robisz, jeśli oni naprawdę tego chcą, dotrą do ciebie. A organa porządku publicznego, mimo doraźnych nakazów sądowych i prawa dotyczącego molestowania seksualnego za pośrednictwem Internetu, mają reagować na popełnione przestępstwa, a nie zapobiegać im. Prześladowcy wiedzą o tym. A ponadto, jest to przerażające, często niczym się nie przejmują. Ani trochę. Nie liczą się dla nich zwykłe sankcje. Wstyd. Ruina finansowa. Więzienie. Śmierć. Te rzeczy wcale nie muszą ich przerażać. Boją się jedynie, by nie stracić z oczu osoby, na której punkcie mają obsesję. Ten lęk dominuje w nich nad wszystkim, a pełen determinacji pościg staje się wyłącznym powodem, dla którego żyją.

- Co może zrobić ofiara?

Sięgnął do swojego biurka i wyjął broszurkę, zatytułowaną *Ktoś cię prześladowuje? Rady Stanowej Policji Massachusetts*.

- Dajemy pewne materiały do czytania.

- To wszystko?

- Dopóki nie zostanie popełnione przestępstwo. A wtedy zazwyczaj jest za późno.

- A co z grupami wsparcia?



- Cóż, niektórym ludziom mogą pomóc. To są bezpieczne miejsca, sekretne mieszkania, różne inne metody. Wszystkie mogą w pewnych przypadkach okazać się przydatne. Nigdy nie odradzałbym nikomu kontaktowania się z tymi osobami, ale trzeba zachować ostrożność, ponieważ można wtedy doprowadzić do konfliktu, którego za wszelką cenę chcemy uniknąć. Gdy do niego dojdzie, przeważnie jest już za późno. Chce pan wiedzieć, co naprawdę jest tutaj obłędem?

Skinąłem głową.

- Nasze stanowe ciała ustawodawcze przodują w tworzeniu praw chroniących obywateli, ale zagorzały prześladowca zawsze znajduje sposób, żeby je obejść. I co jest nawet gorsze, gdy w sprawę zaangażują się władze, gdy złożysz skargę i uzyskasz dokument sądowy nakazujący prześladowcy, by trzymał się od ciebie z daleka, łatwo o katastrofę. Prześladowca pod wpływem presji zaczyna działać szybciej. Może naładować całą swoją broń i oznajmić: jeśli ja ciebie mieć nie mogę, nikt ciebie mieć nie będzie...

- I...

- Niech pan uruchomi swoją wyobraźnię, panie pisarzu. Wie pan, co się dzieje, gdy facet w stroju Rambo pojawi się w miejscu pracy, w domu lub gdziekolwiek indziej z automatyczną śrutówką kaliber .12, co najmniej dwoma pistoletami i pasem na piersi z taką ilością amunicji, że mógłby przez parę godzin powstrzymywać atak policyjnego oddziału SWAT. Widział pan takie historie?

Milczałem. Widziałem rzeczywiście. Detektyw uśmiechnął się znowu.

- Jest jeszcze coś, o czym powinien pan pamiętać. Na ile wiemy, mam na myśli zarówno funkcjonariuszy organów porządku publicznego, jak i psychologów z zakładów medycyny sądowej, profil, jaki możemy ustalić zdeklarowanemu prześladowcy, jest w zasadzie taki sam jak profil seryjnego mordercy.

Kolejny raz odchylił się do tyłu na krześle.

- To daje panu coś do myślenia, prawda?

## 20. Działania właściwe i popełnione błędy

Czy ktoś choć trochę rozumie, z czym mamy tu do czynienia?

Pytanie Sally zawisło w powietrzu.

- Chodzi mi o to, poza tym co nam powiedziała Ashley, a nie powiedziała, prawdę mówiąc, zbyt wiele, co my właściwie wiemy o tym facecie, który spał jej życie?

Sally odwróciła się w stronę byłego męża. Sączyła kolejne porcje szkockiej i powinna się już upić, ale ogromne napięcie, jakie odczuwała, sprawiło, że pozostała trzeźwa.

- Scott, z nas wszystkich tylko ty jeden, nie licząc oczywiście Ashley, widziałeś tego typu podczas waszego spotkania w Bostonie. Jakie wrażenie wywarł na tobie? Może spróbujemy zacząć od tego...

Scott się zawahał. W salach seminaryjnych przywykł do tego, że to on kieruje rozmową i nagle pytanie Sally go zaskoczyło.

- Nie wyglądał na kogoś, z kim ktokolwiek z nas mógłby się często stykać - powiedział powoli.

- Co masz na myśli? - zapytała Sally.

- No więc, jest dobrze zbudowany, przystojny i niewątpliwie bystry, ale jednocześnie dość nieokrzesany. Zachowuje się tak jak facet, który jeździ motocyklem, pracuje gdzieś fizycznie, odbija codziennie kartę zegarową i chodzi na wieczorowe zajęcia w dwuletnim college'u przygotowującym do wyższych studiów. Odniosłem wrażenie, że pochodzi z bardzo biednego środowiska, nie jest to młody człowiek, jakiego spotyka się w moim college'u czy też na uczelni Hope. I w żadnym wypadku nie jest typem faceta, z którymi zazwyczaj Ashley się prowadzi. Tych, których jak nam oznajmia, będzie kochała aż do śmierci i z którymi zrywa po czterech tygodniach. Ci chłopcy zawsze wyglądali na artystów. Wątle klatki piersiowe, długie włosy, nerwowi. O'Connell sprawia wrażenie silnego i cwanej. Być może zetknęłaś się z paroma osobami podobnymi do niego w swojej praktyce, ale twoi klienci wywodzą się z trochę wyższych warstw.

- A ten chłopak...

- Zdecydowanie z niższej. Ale to nie musi działać na jego niekorzyść. Sally milczała przez chwilę.

- Ale przede wszystkim, dlaczego, do diabła, Ashley w ogóle z nim się zaadała?

- Popelniła błąd - powiedziała Hope.

Dotychczas siedziała, nie odzywając się wcale; trzymała dłoń na grzbiecie Bezimiennego, ale wszystko się w niej gotowało. Początkowo nie była pewna, czy ma prawo brać udział w tej rozmowie, potem uznała, że ma, jak diabli. Zupełnie nie rozumiała, czemu Sally sprawiała wrażenie tak obojętnej. Mogło się wydawać, że wszystko, co się wydarzyło, łącznie z jej własną katastrofą finansową, w ogóle jej nie dotyczy.

- Złe wybory zdarzają się każdemu. Czasem robimy coś, czego potem żałujemy. Ale żyjemy dalej i posuwamy się do przodu. Ten facet nie pozwala Ashley iść dalej. - Hope spojrzała na Scotta, później na Sally. - Może Scott był twoją pomyłką. Może ja nią jestem. Albo może był ktoś

inny, o kim żadne z nas nie wie, bo pozostaje twoją tajemnicą od lat. Ale mimo wszystko ty idziesz naprzód. Ten facet to zupełnie inny świat. Na chwilę zapadła nieprzyjemna cisza.

- Okay - powiedziała ostrożnie Sally. - Co teraz zrobimy?  
- Proponuję, żebyśmy na początek zabrali Ashley z Bostonu.  
- Ale przecież ona tam studiuje. Ma tam swoje życie. Myślisz, że możemy przywieźć ją tutaj z powrotem, jakby była tęskniącym za domem obozowiczem na pierwszym wyjeździe?

- Tak. Właśnie tak.  
- Sądzisz, że ona przyjedzie? - wtrąciła się Hope.  
- Czy mamy do tego prawo? - zapytała Sally i szybko mówiła dalej:  
- Jest już dorosła. Na zawsze przestała być małą dziewczynką...  
- Wiem o tym - odparł cierpkim tonem Scott. - Ale to my musimy być rozsądni...

- Czy tu cokolwiek ma coś wspólnego z rozsądkiem? - powiedziała ostro Hope. - Czy to jest w porządku, żeby Ashley wycofywała się do rodzinnego domu, gdy tylko pojawiły się pierwsze kłopoty? Ona ma prawo mieszkać tam, gdzie chce, i ma prawo do własnego życia. A ten facet, O'Connell, nie ma prawa zmuszać jej do ucieczki.

- Jasne. Ale nie mówimy tutaj o prawach. Mówimy o realiach.  
- Dobrze - zgodziła się Sally. - Realia są takie, że musimy robić to, czego chce Ashley, a na razie nie wiemy, czego ona chce.

- Jest moją córką. Sądzę, że jeśli zażąda, żeby coś zrobiła, zrobi to - odparł Scott z wyraźną nutą gniewu w głosie.

- Jest twoją córką, ale nie twoją własnością - odparowała Sally.

W pokoju zapadła przykra cisza, wszyscy troje poczulili się teraz nie-swojo.

- Powinniśmy najpierw ustalić, czego chce Ashley.

- To brzmi mętnie, poprawnie politycznie i ogólnie biorąc, mięczakowato - powiedział Scott. - Myślę, że powinniśmy być bardziej stanowczy. Przynajmniej do chwili, kiedy naprawdę zrozumiemy, z kim musimy walczyć.

Znowu na moment zaległa cisza.

- Zgadzam się ze Scottem - oświadczyła nagle Hope.

Sally obróciła się ku niej, na jej twarzy malowało się zdumienie.

- Uważam, że powinniśmy przejąć inicjatywę - ciągnęła Hope. - W jakimś stopniu, w każdym razie...

- Więc co proponujecie?

- Myślę - Scott cedził słowa - że musimy się dowiedzieć czegoś więcej o Michaelu O'Connelli i jednocześnie przenieść Ashley w jakieś

miejsce poza jego bezpośrednim zasięgiem. Każdy będzie robił to, co potrafi. Jedno z nas powinno może go obserwować... Sally uniosła dłoń.

- Wynajmijmy profesjonalistę. Znam jednego, a nawet paru prywatnych detektywów, którzy prowadzą tego rodzaju śledztwa. I biorą umiarkowane honoraria.

- Okay - przytknął Scott. - Zaangażujesz kogoś i przekonajmy się, co uda mu się odkryć. Tymczasem Ashley musi się znaleźć daleko od O'Connella...

- Przywieziemy ją do domu? To wyglądałoby na coś dziecinnego i tchórzliwego - orzekła Sally.

- Ale jest również całkiem sensowne. Możliwe, że teraz naprawdę potrzebuję, by ktoś się nią zaopiekował.

Scott i Sally mierzyli się gniewnym wzrokiem, najwyraźniej przypominając sobie jakiś moment z ich wspólnej przeszłości.

- Moja matka - przerwała tę scenę Hope.

- Twoja matka?

- Tak. Ashley zawsze była z nią w dobrych stosunkach. Matka mieszka w małym miasteczku, gdzie każdy obcy, który przyjechałby i zaczął rozpytywać ludzi, zostałby natychmiast zauważony. W takiej miejscowości trudno byłoby O'Connellowi ją śledzić. I wątpię, czy potrafiłby wytropić, gdzie ona jest.

- Ale jej studia... - powtórzyła Sally.

- Zawsze może nadrobić zawalony semestr - odparła dziarskim tonem Hope.

- Ja się zgadzam - oświadczył Scott. - Okay, mamy więc jakiś plan. Teraz musimy tylko przekonać do niego Ashley.

Michael O'Connell słuchał Rolling Stonesów na swoim iPodzie. Gdy Mick Jagger zaśpiewał: „Twoja miłość jest tylko słodkim nałogiem...”, O'Connell ruszył, pół idąc, pół tańcząc wzdłuż ulicy. Nie zwracał uwagi na spojrzenia mijających go nielicznych przechodniów, jego stopy uderzały o chodnik, imitując odgłosy bębna. Dochodziła północ, ale muzyka jak błyski światła rozjaśniała mu drogę. Pozwolił, by dźwięki kierowały jego myślami, wyobrażał sobie, jaki będzie jego następny krok wobec Ashley. Coś, czego ona się nie spodziewa, pomyślał, coś, co uprzytomni jej wyraźnie, że on jest naprawdę wszechobecny.

Nie sądził, by w pełni to rozumiała. Jeszcze nie.

Czekał na zewnątrz do momentu, gdy zobaczył, że wszystkie światła w jej mieszkaniu zgasły. Wiedział, że poszła już spać. Ashley nie rozumie,

pomyślał, że o wiele łatwiej widzi się w ciemności. Światło draży tylko określone pole widzenia.

Najskuteczniej uderzające drapieźniki działają w nocy, przypominał sobie.

Piosenka dobiegła końca i O'Connell przystanął na chodniku. Po drugiej stronie ulicy dostrzegł niewielkie kino studyjne, w którym wyświetlano francuski film pod tytułem *Nid de guêpes*. O'Connell przesunął się w cień i przyglądał się wychodzącym widzom. Tak jak przypuszczał, większość to były młode pary. Ludzie sprawiali wrażenie ożywionych, nie mieli nadętych min mówiących: „widziałem przed chwilą coś bardzo istotnego i niezwykłego”, jakie można zobaczyć na twarzach tych, którzy wychodzą z kin dla zgrywających się na koneserów, jak je w myślach pogardliwie określał O'Connell. Jego wzrok przyciągnęła jedna z młodych par. Szli pod rękę, śmiejąc.

Natychmiast go rozdrażnili. Czuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. Przyjrzał się im z bliska, gdy przechodzili przed świecącym neonem na chodnik po drugiej stronie ulicy. Zacisnął mocno szczęki i poczuł kwaśny posmak na języku.

W tej parze nie było nic niezwykłego, a mimo to rozwścieczyła go absolutnie. Zobaczył, że młoda kobieta pochyliła się ku chłopakowi, objęła go ramieniem i tak połączeni w jedno szli ulicą; ich kroki brzmiały unisono. Intymne chwile w publicznym miejscu. O'Connell przyspieszył kroku; posuwając się równoległe do nich, mógł obserwować każdy ich gest, a bezkształtny niepohamowany gniew narastał w nim z każdą chwilą.

Ich ramiona ocierały się o siebie, oboje lekko pochyłali się ku sobie. Na przemian śmiali się i prowadzili poważną rozmowę.

O'Connell nie przypuszczał, by tych dwoje było ze sobą od dawna. Język ich ruchów, gestów, sposób, w jaki każde z nich słuchało tego, co drugie mówiło, świadczyły, że są dla siebie czymś nowym, podniecającym, że dopiero się poznawali. Spostrzegł, że dziewczyna oplótła ciałniej ramię chłopaka, i myślał, że spali już ze sobą, ale prawdopodobnie tylko raz. Każde dotknięcie, każda pieszczota, każdy moment odkrycia czegoś nowego miały w sobie jeszcze elektryzujący smak przygody i uderzały do głowy jak mocny narkotyk.

Budzili w O'Connellu bezwzględna, palącą nienawiść.

Nietrudno mu było sobie wyobrazić, jak będzie przebiegała reszta ich wieczoru. Było już późno, więc zapewne nie wpadną już do Starbucks na kawę ani do Baskin-Robbins na lody, choć mogą przystanąć na chwilę przed drzwiami tu i tam i udawać, że się zastanawiają nad decyzją, podczas gdy w rzeczywistości dziko pragną tylko i wyłącznie siebie. Chłopiec

będzie podtrzymywał rozmowę, trajkotał o filmach, książkach, o zajęciach, które ma na jakimś tam college'u, gdzie studiuje, a dziewczyna będzie słuchała, wtrącając sporadycznie jakieś słowo lub dwa, przez cały czas starając się wywnioskować na podstawie jego słów, jaki on jest i kim może się stać dla niej. Chłopiec nie potrzebował innej zachęty prócz nacisku jej ramienia. Wejdą śmiejąc się, do mieszkania. Gdy tylko zamkną za sobą drzwi, wystarczy parę sekund, by odnaleźli łóżko, zrzucili z siebie wszystko i aby całe zmęczenie długiego dnia zniknęło natychmiast bez śladu, kiedy zaczną się kochać.

O'Connell oddychał ciężko, ale spokojnie.

Ci dwoje myśleli, że tak się właśnie stanie. Tak się stać powinno, zgodnie z ich przeznaczeniem.

O'Connell się uśmiechnął. Ale nie tej nocy...

Przyspieszył znowu kroku i teraz poruszał się w tym samym tempie co oni. Przyglądał się, jak szli po drugiej stronie ulicy. Na rogu, kiedy zabłysło żółte światło, natychmiast wszedł na przejście dla pieszych i ruszył ku nim z ramionami wysuniętymi do przodu i opuszczoną głową. Zaczęli iść w jego stronę, przypominali więc dwa statki w kanale, które muszą zbliżyć się do siebie, ale uda im się przesunąć obok siebie. O'Connell ocenił dystans i zauważył, że pochłonięci rozmową nie zwracają dostatecznej uwagi na otoczenie.

W momencie gdy odległość pomiędzy nim a parą zmalała do metra lub dwóch, O'Connell wykonał nagły zwrot w bok, tak że jego ramię zderzyło się mocno z ramieniem chłopaka. Potężne uderzenie uspokoiło go, obrócił się szybko ku parze młodych.

- Hej! - krzyknął. - Co robisz, do diabła! Patrz, jak idziesz! Para odwróciła się trochę w jego stronę.

- Przepraszam - powiedział chłopak. - To moja wina. Przepraszam.

Poszli dalej, rzuciwszy tylko szybkie spojrzenie w kierunku O'Connella.

- Dupek - powiedział O'Connell na tyle głośno, by usłyszeli, ale odwrócił się szybko od nich. Przyjrzeni mu się już wystarczająco.

Teraz odwrócił się chłopak, który wciąż jeszcze ścisnął ramię dziewczyny. Najwyraźniej zamierzał coś odpowiedzieć, ale zrezygnował. Nie chciał zrobić niczego, co mogłoby popsuć nastrój, więc odwrócił się znowu ku niej. O'Connell policzył powoli do trzech, umożliwiając parze odejście na pewną odległość, po czym zaczął iść za nimi. Nagły dźwięk klaksonu sprawił, że dziewczyna odwróciła się lekko, spojrzała przez ramię w tył i spostrzegła go. Zauważył wyraz pewnego niepokoju na jej twarzy.

O to chodzi, pomyślał. Przejdź jeszcze parę kroków, oceniając znacznie niespodzianki, wyobrażając sobie ewentualne zagrożenie.

Gdy tylko O'Connell dotarł do chodnika i zobaczył, że dziewczyna mówi coś szybko do chłopaka, skoczył pod nieoświetloną witrynę sklepową, znikając z ich pola widzenia. Kryjąc się w niewielkiej przestrzeni, miał ochotę głośno się roześmiać. Znowu zaczął odliczać.

Raz, dwa, trzy...

Chłopak zdążył już na pewno wysłuchać tego, co powiedziała dziewczyna, i powinien przystanąć.

Cztery, pięć, sześć...

Teraz chyba się odwrócił i wpatrzył badawczo w mrok za swoimi plecami oraz za łukiem światła neonu.

Siedem, osiem, dziewięć...

Chłopak wyteżał wzrok, usiłując przeniknąć ciemność wieczoru, ale nie dostrzegł Michaela.

Dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Odwrócił się z powrotem do dziewczyny.

Trzynaście, czternaście, piętnaście...

Jeszcze jeden rzut oka, po prostu, żeby się upewnić.

Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście...

Ruszają znowu.

Dziewiętnaście, dwadzieścia...

Dodatkowe nerwowe spojrzenie do tyłu przez ramię, by się uspokoić.

O'Connell wyszedł z cienia i zobaczył, że młoda para przyspieszyła kroku - była już w połowie drogi do następnej przecznicy. Przeszedł prędko na drugą stronę ulicy i ruszył za nimi, biegnąc, dopóki się z nimi nie zrównał.

I tym razem to dziewczyna zauważyła go pierwsza.

Był pewien, że przeszył ją znów niepokój.

Potknęła się, skręcając po drugiej stronie ulicy, a kiedy spojrzała w stronę O'Connella, utkwił w niej wzrok z twarzą pełną gniewu. Ich oczy się spotkały.

Chłopak odwrócił się ku niemu, ale O'Connell przewidział to i ruszył nagle pędem przed siebie w stronę następnej uliczki, wyprzedzając młodą parę. To obcesowe nieobliczalne zachowanie samego go zachwyciło. Czegoś takiego tamtych dwoje nie mogło się spodziewać, wiedział, że wprawi ich w zupełną konsternację.

Z tyłu, za nim, młoda kobieta i młody mężczyzna zapewne się naradzali. Czy iść dalej prosto w kierunku mieszkania, czy zawrócić i znaleźć jakąś inną drogę. Raz jeszcze skrył się w mroku i przez chwilę łapał oddech. Rozejrzał się szybko dookoła i zobaczył, że wzdłuż bocznej ulicy stały niewielkie domy jak tam, gdzie mieszkała Ashley; gałęzie drzew, rozjaśnione światłami miasta, miały upiorny wygląd. Wszędzie, gdzie

było to możliwe, stały zaparkowane samochody, a blade światło płynęło z lamp nad drzwiami budynków.

O'Connell wynurzył się spod osłony mroku, szybko przebył trzy czwarte drogi wzdłuż ulicy, po czym zajął pozycję w następnym zacienionym miejscu. Czekał. Na początku ulicy stała latarnia, więc domyślał się, że para przejdzie tędy, zmierzając w stronę swojego mieszkania.

Nie mylił się. Zobaczył, jak podeszli do rogu, zatrzymali się na moment, potem pospiesznie ruszyli przed siebie.

Są przestraszeni, pomyślał. Nie mają pewności, czy mogą się czuć bezpieczni. Ale już się poczuli lekko odprężeni.

O'Connell znowu pochylił ramiona do przodu i szybkim krokiem przeszedł przez ulicę, by przeciąć im drogę.

Spostrzegli go niemal jednocześnie. Dziewczyna wydała stłumiony okrzyk, a chłopak, dzentelmen, jak się okazało, lekko popchnął ją za siebie i przygotowywał się do walki z napastnikiem. Zaciśnął pięści i przyjął postawę boksera czekającego na dźwięk gongu.

- Nie podchodź! - powiedział podniesionym piskliwym głosem.

Usłyszał też okrzyk dziewczyny.

- Czego chcesz? - rzucił ostrym tonem, próbując zachować pozycję pomiędzy O'Connellem a dziewczyną.

O'Connell zatrzymał się i spojrzał na niego.

- O czym mówisz? - zapytał.

- Trzymaj się z daleka - powiedział chłopak.

- Wyluzuj, kolego - odparł O'Connell. - W czym problem?

- Śledzisz nas? - odezwała się tym razem dziewczyna głosem zbliżonym do pisku, w którym brzmiała wyraźna nuta paniki.

- Ja was śledzę? - zdziwił się O'Connell. - O czym ty mówisz, do cholery?

Chłopak miał wciąż zaciśnięte pięści, ale wydawał się zaskoczony, a nawet speszony.

- Jesteście szaleni, moi drodzy - stwierdził O'Connell. Przeszedł szybko obok nich. - Stuknięte sieroty.

- Zostaw nas w spokoju - powiedział chłopak.

Niezbyt przekonująco to zabrzmiało, pomyślał O'Connell. Gdy znalazł się w odległości jakichś pięciu, sześciu kroków od nich, zatrzymał się i odwrócił. Tak jak przypuszczał, ciągle jeszcze stali wtuleni w siebie w pozycji obronnej, wpatrując się w niego z lękiem.

- Wy dwoje macie szczęście - powiedział. Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Czy wiecie, jak blisko śmierci byliście dzisiaj wieczoru?



Po czym, nie dając im szans na odpowiedź, odwrócił się i zaczął się oddalać tak szybko, jak mógł, ale nie biegł. Przemieszczał się z jednego odkrytego mrokiem miejsca w drugie.

Podejrzewał, że będą pamiętać strach, który przeżyli tego wieczoru, znacznie dłużej niż szczęście, jakie odczuwali na jego początku.

- Myślę, że powinienem wiedzieć więcej o Sally i Scotcie, a także o Hope. - A o Ashley nie?

- Ashley wydaje się niedojrzała. Jeszcze jakby nieskończona.

Zmarszczyła brwi.

- Całkiem słusznie. Ale dlaczego pan sądzi, że Michael O'Connell ostatecznie jej nie wykończył?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, ale wyczułem wyraźny chłód w jej słowach.

- Powiedziała mi pani, że ktoś w tej historii umiera. Z pewnością nie chce pani powiedzieć, że to była Ashley...?

Moje pytanie zawisło pomiędzy nami.

- To jej zagrażało największe niebezpieczeństwo - stwierdziła w końcu.

- Tak - odparłem. - Ale... Przerwała mi.

- Jak sądzę, myśli pan, że rozumie pan już Michaela O'Connella?

- Nie. Niezupełnie. Ale zastanawiam się nad moim następnym krokiem, więc myślałem wiele o tych trojgu.

Milczała przez chwilę, bawiąc się szklanką mrożonej herbaty, potem znowu odwróciła głowę i spoglądała przez chwilę za okno.

- Ja bardzo często o nich myślę - powiedziała. - Nie potrafię prześtać. Nic na to nie mogę poradzić.

Sięgnęła po paczkę chusteczek. Łzy zaszkliły się w jej oczach, ale uśmiechnęła się lekko. Przez chwilę powoli wciągała powietrze do płuc.

- Czy zastanawiał się pan, czemu zbrodnia może mieć tak wielką moc niszczylielską? - zapytała nagle.

Wiedziałem, że sama odpowie na to pytanie.

- Bo jest tak niespodziewana. Nie mieści się w zwykłym porządku życia. Zaskakuje nas. Staje się czymś całkowicie osobistym. I całkowicie intymnym.

- Tak. To prawda.

Spojrzała na mnie.

- Profesor historii w snobistycznym, liberalnym college'u. Adwokat prowadzący praktykę w małym mieście, ekspert od najmniej kontrowersyjnych rozwodów i niewielkich transakcji w handlu nieruchomościami.

Doradca w dziedzinie psychologii, a zarazem trenerka. I bujająca w obłokach młoda studentka historii sztuki. Skąd mieli znaleźć w sobie odpowiednie możliwości?

- Dobrze pytanie. Skąd?
- To właśnie musi pan zrozumieć - powiedziała. - Nie tylko do czego doszli i co zrobili, ale skąd wzięli tyle siły, by zdobyte informacje przekuć w czyn...
- W porządku - odparłem powoli.
- Bo ostatecznie zapłacili wysoką cenę. Na to nic nie odpowiedziałem.
- Z perspektywy czasu zawsze wydaje się to takie proste - przerwała milczenie. - Ale w momencie, gdy się dzieje, nie jest nigdy tak jednoznaczne i klarowne. Ani zupełnie czyste i bezbłędnie wykonane, jak wyobrażamy sobie w naszych planach.

## 21. Seria możliwych błędów

Im dłużej Scott czytał, tym większe przerażenie go ogarniało.

Od razu następnego ranka po niezbyt udanym spotkaniu z Sally i Hope, jak przystało na prawdziwego akademika, pograżył się w badaniu fenomenu, który reprezentował sobą Michael O'Connell. Odwiedził miejscową bibliotekę i zaczął studiować materiały na temat kompulsywnych i obsesyjnych zachowań. Stół w kącie czytelni, przy którym usiadł, pokryły stosy książek, czasopism i gazet. W sali panowała ciężka, przytłaczająca cisza i Scott poczuł nagle, że z trudem może oddychać.

Oderwał wzrok od lektury, serce biło mu tak szybko, jakby miało za chwilę pęknąć.

Śmierć otoczyła go ze wszystkich stron. Wciąż czytał o takich lub innych kobietach, w młodym, średnim lub nawet podeszłym wieku, które stały się obiektami obsesji jakichś mężczyzn. Wszystkie wiele wycierpiały. Niektóre zostały zabite. Nawet te, które ocalały, pozostały w jakiś sposób okaleczone.

Wyglądało na to, że nie miało żadnego znaczenia, gdzie mieszkaly i żyły. Na północy czy na południu, w Stanach Zjednoczonych czy za granicą. Niektóre były młode, studiowały jak Ashley. Inne były starsze. Bogate, biedne, wykształcone lub nie. To się w ogóle nie liczyło. Niektóre były kiedyś żonami swoich prześladowców. Inne ich współpracownicami albo szkolnymi koleżankami. Jeszcze inne ich kochankami. Wszystkie

próbowały najprzeróżniej szych środków, szukały ochrony prawa, pomocy u rodziny lub przyjaciół, wszędzie, gdzie tylko mogły, by uwolnić się od niechcianych obsesyjnych wielbicieli. Scott czytał: „niczym niezrażona namiętność”.

Do tych kobiet strzelano, przebijano je nożem, bito. Niektórym udało się przeżyć. Wielu się nie udało.

Czasami wraz z nimi ginęły ich dzieci. Niekiedy współpracownicy albo sąsiedzi. Ofiary gniewu prześladowców „wśród ludności cywilnej”.

Scottowi zawirowało w głowie po tych informacjach. Oszłomiło go, kiedy zaczął sobie zdawać sprawę, w jakiej pułapce znalazła się Ashley. Na każdej stronie każdej książki i każdego artykułu pojawiał się wspólny mianownik - „miłość”.

Oczywiście, dobrze rozumiał, że to nie była prawdziwa miłość, lecz coś zdecydowanie perwersyjnego, emanującego z najmroczniej szych zakątków wyobraźni i serca ludzkiej istoty. Coś, co zasługiwało na miejsce w opracowaniach psychiatrycznych z dziedziny medycyny sądowej, a nie na pokazywanie na romantycznych pocztówkach Hallmark.

Ale właśnie taka „miłość” leżała u podstaw wszystkich opisywanych przypadków. To przeraziło go jeszcze bardziej.

Scott zaczął przerzucać książki pełne przeróżnych historii i tragedii, szukając takiej, z której mógłby się dowiedzieć, co powinien robić. Omiatał wzrokiem kolejne zdania i akapity, odkładał jeden tekst i na chybił trafił sięgał po następny, naglony rosnącym niepokojem. Jako historyk i naukowiec był przekonany, że na którejś ze stron odpowiedź została napisana. Żył w świecie rozumu, dobrze zorganizowanych dyskusji. W tym świecie musiał znaleźć jakąś pomoc.

Z im większym uporem wmawiał to sobie, tym wyraźniej widział, jak daremne były te poszukiwania.

Scott wstał i odsunął się od stołu z taką siłą, że ciężkie dębowe biblioteczne krzesło runęło na podłogę z trzaskiem, który w tym cichym miejscu zabrzmiał jak wystrzał. Wyczuł, że oczy wszystkich obecnych w sali pobiegły w jego stronę, te spojrzenia paliły mu plecy, zatoczył się, jakby był ranny, kręciło mu się w głowie, chwycił się za serce. W tym momencie całkowicie oładnęła nim panika. Gwałtownym gestem wskazał w stronę leżących na stole materiałów. Zatkąło mu gardło, odwrócił się i zaczął biec, pozostawiając wszystko na stole. Przemknął obok katalogów, obok stanowiska księgozbioru podręcznego i bibliotekarzy, którzy przyglądali się mu zszokowani, nigdy bowiem dotąd nie widzieli, by człowiek mógł do tego stopnia przerazić drukowane słowo. Jeden z nich próbował zapytać go o coś i wołał za nim, ale Scott niczego nie słyszał. Gdy wypadł na zewnątrz i znalazł się pod pokrytym chmurami popołudniowym listopadowym niebem, wiedział tylko jedno: musi wydostać Ashley

z tej pułapki. Nie miał pojęcia, co zrobi, ale wiedział, że musi działać i to tak szybko, jak zdoła.

Sally także zaczęła ten dzień od podejmowania decyzji.

Uznała, że sprawą numer jeden będzie rzetelna ocena człowieka, którego Ashley wprowadziła w ich życie. Że ten ktoś miał zdolności informatyczne i że potrafił ingerować w ich życie, wydawało się oczywiste. Oparła się odruchowi, by przekazać wszystkie informacje policji, przede wszystkim dlatego, że wciąż nie była pewna, czy potrafią zrobić coś więcej poza wysłuchaniem jej skargi, i dlatego, że w ten sposób mogłaby narazić na szwank swoje relacje z klientami. Doszła do wniosku, że wciągnięcie do sprawy policji byłoby kiepskim pomysłem.

Niepokoilo ją, że O'Connell - w stu procentach nie była jednak pewna, że to on dopuścił się tego wszystkiego - miał swoiste wyczucie sytuacji, które czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym. Wydawał się dobrze wiedzieć, jak ugodzić kogoś, nie posługując się pięścią lub pistoletem, ale działając w sposób znacznie trudniejszy do zidentyfikowania. To, że potrafił stworzyć tak poważne kłopoty, do tego stopnia zakłócić życie, stanowiło zagrożenie, które wymagało poważnych przemyśleń.

Jednakże, przypomniała samej sobie, O'Connell nie jest dla nich tak naprawdę godnym przeciwnikiem.

Albo biorąc rzecz bardziej dokładnie, nie jest przeciwnikiem dla niej. Jeśli chodziło o Scotta, nie miała takiej pewności. Lata pracy w kulturalnym, liberalnym środowisku małego humanistycznego college'u osłabiły jego naturalną twardość, która ją tak pociągała, kiedy się pobierali. Był wtedy kombatantem - w owym czasie nie przysparzało to nikomu popularności - i reprezentował bezkompromisową postawę wobec szkoły i nauczania, co uznała za godne podziwu. Kiedy już zrobił doktorat, mieli za sobą lata małżeństwa, urodziła się Ashley, a ona sama postanowiła studiować prawo - zaczęła zdawać sobie sprawę, że Scott mięknie wewnętrznie. Jakby zbliżający się nieuchronnie wiek średni wywarł wpływ nie tylko na obwód jego pasa, lecz i życiową postawę.

- W porządku, panie O'Connell, zadarłeś z niewłaściwą rodziną. Teraz czeka cię niespodzianka, może więcej niż jedna.

Sięgnęła po telefon, w notatniku znalazła numer, którego potrzebowała, i szybko go wybrała. Zachowała cierpliwość, gdy sekretarka poprosiła ją, by poczekała chwilę. Wreszcie na drugim końcu linii usłyszała znajomy głos i poczuła przyływ otuchy.

- Mówi Murphy. Co mogę zrobić dla pani, pani mecenas?

- Cześć, Matthew - powiedziała Sally. - Mam problem.

- No cóż, pani Freeman-Richards, to jest jedyny powód, dla którego ludzie wybierają ten numer. Po co innego mieliby dzwonić do prywatnego detektywa? A więc o co chodzi? O jakąś sprawę rozwodową w pani miłym małym mieście? Coś, co się okazało odrobinę bardziej nieprzyjemne, niż być miało?

Sally wyobraziła sobie Matthew Murphy'ego siedzącego za swoim biurkiem. Jego biuro mieściło się w Springfield w nijakim i nieco brudnym budynku, oddalonym o kilka przecznic od gmachu sądu federalnego, na skraju pewnej mocno podupadłej dzielnicy. Sally przypuszczała, że Murphy'emu odpowiadała anonimowość, jaką zapewniało to miejsce. Nie chciał niczego rzucającego się w oczy.

- Nie, to nie rozwód, Murphy.

Mogła zadzwonić do któregoś z bardziej ekskluzywnych detektywów. Ale Murphy miał burzliwą przeszłość i rozsądne rzeczowe podejście, co powinno się okazać przydatne. Poza tym wynajęcie kogoś spoza jej miasta stwarzało mniejsze prawdopodobieństwo pojawienia się plotek w budynku administracji hrabstwa.

- A zatem coś innego, pani mecenas? Coś bardziej, że tak powiem, delikatnego?

Potrafił wiele wyczytać z tych paru słów, jakie powiedziałam, pomyślała Sally.

- Jakie masz znajomości i kontakty w rejonie Bostonu? - zapytała.

- Mam tam wciąż paru przyjaciół - odparł.

- Jakich przyjaciół?

Roześmiał się, nim odpowiedział.

- No cóż, paru przyjaciół po obu stronach wielkiej przepaści, pani mecenas. Niektórzy to niezbyt miłe typy, wiecznie szukają łatwych pieniędzy, a inni to ci, co szukają tamtych, żeby ich aresztować.

Murphy przez dwadzieścia lat był oficerem wydziału zabójstw policji stanowej, potem przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Krążyły pogłoski, że propozycja rozwiązania umowy o pracę, jaką otrzymał, stanowiła część porozumienia zawartego z „górami”. Zobowiązał się ponoć do milczenia na temat pewnych działań brygady antynarkotykowej z Worcester, którymi się zainteresował, prowadząc dochodzenie w sprawie kilku morderstw związanych z narkotykami. Sally wiedziała, że docieklivość Murphy'ego mogła zaszkodzić wizerunkowi policji, załatwiono mu więc emeryturę. Na pożegnalnej ceremonii dostał zegarek, podczas gdy alternatywą mogło być postawienie go w stan oskarżenia lub nawet ciężka noc, zakończona strzałem z półautomatycznego pistoletu któregoś z członków gangu Latin Kinga.

- Czy mógłbyś zbadać coś dla mnie w rejonie Bostonu?

- Mam teraz parę innych spraw i jestem bardzo zajęty - powiedział Murphy. - Jakiego rodzaju jest to coś?

Sally wzięła głęboki wdech.

- Sprawa osobista. Dotyczy członka mojej rodziny.

Murphy wahał się przez moment, zanim odpowiedział:

- Ach tak, pani mecenas, to wyjaśnia, dlaczego zadzwoniła pani do starego wygi, a nie do jednego z tych młodych sprytnych facetów, którzy odeszli z FBI lub z wojskowego wydziału kryminalnego CID, by działać w bardziej oderwanej od życia atmosferze, w jakiej prowadzi pani swoją praktykę. Co dokładnie miałbym zrobić?

- Moja córka uwikłała się w Bostonie w znajomość z pewnym młodym mężczyzną.

- I mamie on się nie bardzo podoba?

- Łagodnie powiedziane. On powtarza ciągle, że ją kocha. Nie chce jej zostawić w spokoju. Podrzucił do jej komputera jakieś kretyńskie materiały, z powodu których zwalniają ją z pracy. Namieszał jej również na uczelni. Prawdopodobnie stale ją śledzi. Być może narobił poważnych kłopotów mnie samej, mojemu byłemu mężowi i mojej przyjaciółce. Też za pośrednictwem komputera.

- Jakich kłopotów?

- Włamał się do moich kont bankowych. Wysłał anonimowe skargi na mnie, wyrządził wiele szkód.

Sally pomyślała, że w gruncie rzeczy mocno pomniejszyła owe szkody.

- Więc jak widać, to i owo potrafi ten, jak by go pani nazwała... byłychłopak?

- Można go tak określić. Chociaż okazało się, że mieli tylko jedną randkę.

- Zrobił to wszystko po jednej nocy z nią?

- Na to wygląda.

Murphy się zawahał i zaufanie, jakim go Sally darzyła, nieco osłabło.

- Okay. Biorę tę sprawę. Jakkolwiek by na to patrzeć, ten ktoś wyda się złym człowiekiem.

- Masz jakieś doświadczenie w tego typu sprawach? Maniak, obsesjonista, który...

Matthew Murphy znowu milczał przez chwilę. Sally poczuła, jak narasta w niej niepokój.

- Owszem, pani mecenas, jakieś mam. Zetknąłem się z paroma takimi typami jak facet, którego pani opisała. Kiedyś, gdy służyłem w wydziale zabójstw.

Po tych słowach Sally poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

Matka Hope skończyła właśnie grabić liście i wróciła do domu, gdy odezwał się telefon i zobaczyła na wyświetlaczu numer córki. Sięgając po słuchawkę, jak zawsze, doznała mieszanych uczuć.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała Catherine Frazier. - To niespodzianka. Minęło już tyle tygodni od czasu, gdy rozmawialiśmy po raz ostatni.

- Dzień dobry, mamo - odparła Hope i poczuła się trochę winna. - Byłam bardzo zajęta na uczelni i z moją drużyną, no i jakoś ten czas przeleciał. Jak się czujesz?

- Dziękuję, doskonale - powiedziała Catherine. - Oswajam się z pogodą i przygotowuję już do zimy. Wszyscy tutaj przewidują, że będzie w tym roku długa.

Hope westchnęła. Jej stosunki z matką psuło czające się gdzieś głębiej napięcie, które - mimo że obie zachowywały zewnętrzne pozory uprzejmości - stale narastało. Przypominało to węzeł mocujący żagiel coraz bardziej naprężany przez wznoszący się wicher. Catherine Frazier przez całe życie mieszkała w stanie Vermont i miała poglądy liberalne niemal do przesady, z jednym wyjątkiem, bardzo ważnym dla jej córki. Była niezłomną członkinią lokalnego Kościoła katolickiego w małym mieście Putney graniczącym z bardziej ekskluzywnym Brattleboro, zamieszkanym przez ekshipsisów. Catherine przeżyła wczesną śmierć męża, nigdy nie myślała o powtórny zamążpójściu, mieszkała teraz samotnie w domu położonym na skraju lasu i wydawała się zadowolona z takiego życia. Do dziś miała poważne wątpliwości, co do związku swojej córki z Sally. Zachowywała je dla siebie, bo mieszkała w stanie, gdzie takie związki pomiędzy kobietami nie były źle widziane. W każdy niedzielny poranek modliła się gorąco o to, by zrozumieć Hope, co jednak nie nastąpiło, a tymczasem tamten układ umocnił się i utrwalił. W przeszłości szukała czasem pocieszenia w konfesjonale, ale znużyło ją powtarzanie *Zdrowaś Mario i Ojczy nasz*, bo rzadko przynosiło jej to pociechę.

Hope uważała, że leżało to u źródeł napięcia, które narastało między nimi zarówno wtedy, gdy rozmawiały ze sobą, jak i wtedy, gdy nie rozmawiały, iż nie udało się jej być „normalną” i dać Catherine wnuków. Nigdy jednak tego tematu nie poruszały.

- Chcę cię prosić o przysługę.

- Dla ciebie wszystko.

Hope wiedziała, że to nieprawda. Było wiele rzeczy, o które mogła prosić matkę i zawsze spotkać się z odmową.

- Tu chodzi o Ashley - powiedziała Hope. - Musi na jakiś czas wyjechać z Bostonu.

- Z jakiego powodu? Czyżby była chora? Chyba nie jest? Miała jakiś wypadek?

- Nie, niezupełnie, ale...

- Może potrzebuje pieniędzy? Mam dużo pieniędzy i bardzo chętnie bym jej pomogła...

- Nie, mam. Pozwól, że ci wyjaśnię.

- Ale co będzie z jej studiami...

- Studia mogą poczekać.

- Boże, to coś bardzo zawiślanego. Wytłumacz mi, proszę.

Hope wzięła głębokę wdech.

- Chodzi o męzczyznę - wyrzuciła z siebie.

Gdy Scott tego wieczoru zadzwonił na komórkę Ashley, usłyszał: „Połączenie nie może być zrealizowane”. Bliski paniki wykręcił numer jej telefonu stacjonarnego. Kiedy podniosła słuchawkę, ogarnął go niepokój.

- Cześć, Ash - powitał ją dziarskim tonem, starając się, by głos nie zdradził jego lęku. - Co u ciebie słycać?

Ashley nie bardzo wiedziała, co powinna odpowiedzieć na to pytanie. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest obserwowana i że ktoś słyszy każde jej słowo. Czowała się niepewnie, gdy wychodziła z mieszkania, ostrożnie szła ulicą, spoglądając nieufnie na każdy cień, każdy róg, każde przejście. Zwyczajne, tak dobrze znane odgłosy miasta teraz wdzierały się do jej uszu intensywnie, niemal do bólu.

Postanowiła, że nie powie ojcu całej prawdy, nie chciała go martwić.

- Czuję się całkiem dobrze - oznajmiła. - Zrobiło się tylko trochę bałaganu.

- Miałaś może znowu jakąś wiadomość od O'Connella? - zapytał. Nie odpowiedziała mu właściwie na pytanie, powiedziała tylko:

- Tato, muszę podjąć pewne kroki...

- Tak - odparł stanowczo zbyt pośpiesznie. - Tak. Musisz absolutnie.

- Pozbyłam się telefonu komórkowego... - powiedziała, co wyjaśniło mu komunikat, który usłyszał.

- Tak. I pozbądź się też stacjonarnego - doradził Scott. - Prawdę mówiąc, będziesz musiała zrobić o wiele więcej, niż dotąd przewidywalismy.

- Będę musiała się przeprowadzić - oświadczyła urażonym tonem. - Lubię to mieszkanie, ale.

- Myślę - zaczął Scott ostrożnie - że będziesz musiała zrobić coś więcej, niż tylko się przeprowadzić.

Ashley nie odpowiedziała od razu.

- Chodzi mi o następne kroki... - ciągnął Scott.



- O czym ty mówisz? - wybuchnęła Ashley.

Scott wziął głęboki oddech i przybrał swój najbardziej beznamiętny, najbardziej profesorski ton, jakby omawiał błędy w pracy studenta ostatniego roku.

- Przeczytałem trochę różnych tekstów, zebrałem nieco informacji i nie chcę wyciągać pochopnych wniosków, ale myślę, że istnieje możliwość, iż O'Connell stanie się, no cóż, jeszcze bardziej agresywny.

- Agresywny. To eufemizm. Myślisz, że mógłby mi zrobić krzywdę?

- Inne kobiety w podobnych okolicznościach doznały poważnych obrażeń. Chcę tylko powiedzieć, że powinniśmy przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

Ashley znowu zamilkła na chwilę, potem powiedziała:

- Co proponujesz?

- Sądzę, że powinnaś zniknąć. To znaczy opuścić Boston, pojechać w jakieś bezpieczne miejsce, ukryć się tam na pewien czas, a potem zacząć wszystko od nowa, gdy w końcu O'Connell przestanie cię prześladować.

- Skąd masz pewność, że przestanie? Może tylko odczeka...

- Mamy środki, Ashley. Jeśli będziesz musiała opuścić na dobre Boston, wyjechać do Los Angeles, Chicago albo Miami, to się da załatwić. Jesteś jeszcze młoda. Masz mnóstwo czasu, żeby osiągnąć to, czego pragniesz. Musimy tylko podjąć odpowiednie kroki, żeby O'Connell nie mógł cię znów odnaleźć.

Ashley poczuła jak wzbiera w niej gniew.

- On nie ma prawa! - powiedziała, podnosząc głos. - Dlaczego mnie to spotkało? Co ja takiego złego zrobiłam? Czemu on niszczy moje życie?

Scott pozwolił, by córka dała upust swoim emocjom; nauczył się tego, gdy była dzieckiem. Przeczekiwał wybuch jej gniewu, potok skarg i wyrzutów, a po chwili Ashley się uspokajała i była skłonna prawie rozsądnie reagować na jego słowa. Sztuczka, którą poznają wszyscy ojcowie.

- Nie ma żadnego prawa. Po prostu potrafi to robić. Spróbujmy więc wykonać pewne ruchy, których on nie będzie w stanie przewidzieć. Zaczniemy od tego, że zabierzemy cię w jakieś miejsce z dala od tego typu.

I znów Scott wyczuł, że na drugim końcu linii Ashley analizuje sytuację. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że w znacznym stopniu doświadczyła już tego, o czym mówił. Jednakże jego propozycja budziła w niej niechęć i Ashley poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Wszystko, co ją spotkało, było niesprawiedliwe.

- No dobrze, tato - powiedziała z rezygnacją. - Nadszedł czas, żeby Ashley znikła.

- A więc wynajęli prywatnego detektywa?  
- Tak. Bardzo dobrego, świetnie wykształconego.  
- To wydaje mi się sensownym posunięciem. Powinien się na nie zdecydować każdy w ich sytuacji, nawet o skromnym wykształceniu, ale dostatecznie zamożny. To tak, jakby zaangażowali eksperta. Powinienem chyba wybrać się do niego na rozmowę. Musiał przygotować raport dla Sally. Prywatni detektywi zawsze to robią. Ten raport musi być gdzieś dostępny.

- Owszem. Co do tego ma pan rację - powiedziała. - Był taki raport. Wstępny, że tak powiem. Mam kopię tego, który otrzymała Sally.

- No i...?

- Niech pan najpierw spróbuje porozmawiać z Matthew Murphym. A potem dam panu ten raport, jeśli uzna pan, że będzie jeszcze potrzebny.

- Mogłaby pani zaoszczędzić mi trochę kłopotów - odparłem.

- Być może - powiedziała. - Ale nie wiem, czy moją rolą jest oszczędzanie panu kłopotów i wysiłku. A jednocześnie myślę, że wizyta u prywatnego detektywa, jak by to powiedzieć, spełni pewną rolę edukacyjną.

Uśmiechnęła się, ale był to uśmiech pozbawiony wesołości i odniosłem wrażenie, że droczy się ze mną. Wzruszyłem ramionami i wstałem, żeby odejść. Westchnęła, dostrzegłszy wyraz zniechęcenia na mojej twarzy.

- Czasami chodzi tu o różne wrażenia - powiedziała nagle. - Dowiadujemy się czegoś, coś usłyszymy, coś widzimy i odciska się to w naszej wyobraźni. W końcu tego właśnie doznali Scott, Sally i Hope, a także Ashley. To była seria wydarzeń, połączone utworzyły obraz tego, co może ich czekać w przyszłości. Niech pan się spotka z tym prywatnym detektywem - zakończyła energicznym tonem. - To pomoże panu w zrozumieniu całej sprawy. A potem, jeśli uzna pan to za niezbędne, udostępnię panu jego raport.

## 22. Zniknięcie

Gnojek - to było pierwsze słowo, które nasunęło się Matthew Murphy'emu.

Przyglądał się zdecydowanie nijakiej kartotece policyjnej Michaela O'Connella - większość informacji dotyczyła niewiele znaczących konfliktów z prawem. Kilka oszustw przy użyciu skradzionych kart kredytowych, kradzież samochodu dokonana przez O'Connella, gdy był jeszcze nastolatkiem, jeden napad wyglądający na bójkę w barze zakończoną najwyraźniej jego zwycięstwem. Żadne spośród różnych drobnych

przestępstw, o które go oskarżono, nie spowodowało konsekwencji poważniejszych niż dozór sądowy, chociaż O'Connell spędził pięć miesięcy w więzieniu okręgowym, ponieważ nie był w stanie zapłacić dosyć skromnej kaucji. Jego obrońcy z urzędu aż tyle czasu zajęło obniżenie rangi przestępstwa do zwykłego naruszenia nietykalności cielesnej - wyczytał Murphy. Odnotował sobie w pamięci, że powinien zadzwonić do kuratora, który go wtedy nadzorował, choć raczej wątpił, czy ten będzie mógł mu wiele pomóc. Kuratorzy sądowi poświęcali większość czasu i uwagi groźniejszym przestępcom, a z domysłów Murphy'ego wynikało, że Michael O'Connell był drobnym przestępcą, w każdym razie w opinii stróżów prawa.

Oczywiście, pomyślał Murphy, można spojrzeć w inny sposób na to, co zawierała kartoteka - O'Connell mógł dopuścić się groźniejszych wykroczeń - tylko nie został na nich przyłapany.

Murphy pokręcił głową. Nie jest on mistrzem przestępstw.

Spojrzał ponownie na plik papierów leżący na kolanach. Pięć miesięcy w areszcie okręgowym. Zbyt krótko, by się stać kimś więcej niż drobnym przestępcą. Raczej okazja, żeby nauczyć się pewnych przydatnych rzeczy od bardziej doświadczonych współwięźniów, jeśli się miało oczy i uszy otwarte i jeśli umiało się zachowywać tak, by nie paść ofiarą przemocy odsiadujących wyroki twardzieli. Sztuka przestępstwa zdaniem Murphy'ego, jak każda specjalizacja, wymagała odpowiednich studiów.

Wśród dokumentów były czarno-białe zdjęcia policyjne: jedno en face, drugie z profilu. Czy to tutaj wszystko się dla ciebie zaczęło? - zastanawiał się przez chwilę Murphy.

Nie bardzo w to wierzył. Tych pięć miesięcy należało uznać chyba tylko za coś w rodzaju pracy dyplomowej. O'Connell już wcześniej wiele się nauczył.

Funkcjonariusz policji stanowej, który udostępnił Murphy'emu rejestr przestępstw O'Connella, nie potrafił dotrzeć do kartoteki zawierającej informacje na jego temat, gdy ten był młody. Wzbudziło to nieufność Murphy'ego. Nie wiadomo, co mogło tam się znajdować. Jednakże przeglądając wydruki, znalazł w nich tylko nikłe sugestie na temat aktów przemocy z jego strony. To go uspokoiło. Po prostu czarny charakter, pomyślał, a nie czarny charakter z pistoletem kaliber 9 milimetrów.

Z policyjnych dokumentów dowiedział się trochę o środowisku, z którego pochodził O'Connell. Urodził się na kempingu na nabrzeżu New Hampshire. Prawdopodobnie niewiele dobrego zaznał w okresie dorastania. Na pewno nie miał domu z białym szalunkiem, pachnącego szarlotką z piekarnika, nie grywał na podwórku z rówieśnikami w football; należało przypuszczać, że dzieciństwo upłynęło mu przede wszystkim na

unikaniu razów. Zbierał całkiem niezłą ocenę w szkole średniej - wtedy, kiedy tam chodził. Miał bowiem kilka przerw w edukacji. Jakiś czas spędził w izbie zatrzymań dla nieletnich. W jaki sposób - zastanawiał się Murphy - udało ci się skończyć szkołę średnią? Założę się, że wychowawcy mieli z tobą niezłą robotę, pomyślał. Wystarczająco zdolny, żeby się dostać do dwuletniego college'u przygotowującego do wyższych studiów. Porzucił go jednak. Wrócił. Nie ukończył go. Zdolny mechanik z pewnym doświadczeniem. Najwyraźniej te techniczne umiejętności wykorzystał, zdobywając wiedzę o komputerach. Murphy pomyślał, że będzie miał wiele rzeczy do zbadania, jeśli o to właśnie chodziło Sally Freeman-Richards. Wiedział mniej więcej, co znajdzie. Brutalny, stale używający przemocy ojciec. Matka pijaczka. Może zresztą ojca nie było, a matka sprowadzała do domu mężczyzn. Rozwód, niewdzięczna praca robotnicy albo w charakterze służącej, przemoc wobec syna, gdy w sobotnie wieczory wypijała za dużo piwa.

Pewnego pogodnego, mile zapowiadającego się popołudnia Matthew Murphy zaparkował swój samochód w pobliżu domu Michaela O'Connella. Skrawki nieba jaśniały między podupadłymi budynkami mieszkalnymi, za rogiem ulicy widać było w oddali napis „CITGO” rozpięty nad Fenway Park. Murphy rozejrzał się i wzruszył lekko ramionami. Ulica, jakich wiele w Bostonie, pomyślał. Zamieszkała przez młodych ludzi, którzy zmierzali w górę ku lepszym życiowym standardom, i ludzi starych schodzących w dół po tej samej drabinie. I tych nielicznych, takich jak O'Connell, dla których stanowiła przystanek na drodze do czegoś gorszego.

Znajomy funkcjonariusz policji stanowej z łatwością odnalazł nazwisko O'Connella w kartotece. Dzięki temu Murphy dostał wydruk, który leżał teraz na jego kolanach, trochę informacji dotyczących przeszłości O'Connella i środowiska, z jakiego pochodził, a także kilka adresów. W tym momencie chciał tylko zdobyć dobre zdjęcie faceta. Na siedzeniu obok niego leżał nowoczesny cyfrowy aparat fotograficzny z teleobiektywem. Podstawowe narzędzie prywatnego detektywa.

Murphy miał pięćdziesiąt parę lat - wiek poprzedzający okres, gdy zaczynamy czuć niepokój, że się starzejemy. Był rozwiedziony, nie miał dzieci, a najbardziej tęsknił za czasami, kiedy jako młody policjant w mundurze ze sztywnym kołnierzem siedział za kierownicą radiowozu, napędzany kawą i adrenaliną i pędził po ulicach z maksymalną szybkością. Tęsknił też za latami, gdy służył w wydziale zabójstw, był jednak na tyle mądry, by zdawać sobie sprawę z oczywistego faktu: narobił sobie takich wrogów, że na przetrwanie do późnego wieku w tym wydziale nie miał szans. Uśmiechnął się do własnych myśli. Przez całe życie miał dar

wychodzenia cało z wszelkich opresji. W rok po rozpoczęciu służby w policji stanowej skasował radiowóz podczas szaleńczego pościgu, ale jemu samemu, jeśli nie liczyć paru zadrapań, nic się nie stało, tymczasem pogotowie daremnie usiłowało ratować bogatych i pijanych chłopaków uciekających przed nim w bmw tatusia. Pewnej nocy w czasie strzelaniny, do której doszło pomiędzy policją a handlarzami narkotyków, jeden z nich wystrzelał cały magazynek w kierunku Murphy'ego, lecz wszystkie kule rozbiły jedynie ścianę za jego plecami. Murphy strzelił tylko raz, z zamkniętymi oczyma, i trafił tamtego w pierś. Był już w tylu makabrycznych sytuacjach, że nie potrafił nawet sobie ich wszystkich przypomnieć. Stał na przykład kiedyś twarzą w twarz z wielokrotnym zabójcą, który trzymał w jednym ręku nóż rzeźnicki, a drugą przytrzymał dziewięcioletnią dziewczynkę, podczas gdy ciała dwóch kobiet: bylej żony i teściowej przestępcy, leżały na kuchennej podłodze w kałuży krwi. Za jego aresztowanie Murphy otrzymał pochwałę, a morderca poprzysiął mu, że będzie jedną z następnych jego ofiar, jeśli kiedykolwiek wyjdzie na wolność. To ostatnie wydawało się jednak raczej mało prawdopodobne. Matthew Murphy uważał, że liczba gróźb, jakie skierowano pod jego adresem, stanowiła najlepszy wskaźnik jego osiągnięć. Zebrał ich zresztą zbyt wiele, by chciało mu sieje liczyć.

Spojrzał znowu w dół na papiery.

Michael O'Connell był kimś, kto stwarzał ludziom kłopoty, właściwie nikim więcej.

Murphy wziął głęboki oddech i raz jeszcze przebiegł wzrokiem dokumenty, szukając jakichś informacji, które mogłyby świadczyć o tym, że O'Connell nie da się zastraszyć. Nie znalazł żadnej. Zamierzał zaproponować Sally Freeman-Richards następujący sposób działania. Któregoś dnia późnym wieczorem złoży O'Connellowi wizytę z paroma kumplami z policji stanowej w charakterze wsparcia. Wizytę nieoficjalną, ale tak nieprzyjemną i groźną dla gospodarza, jak będą w stanie to osiągnąć, a potrafią wiele, jeśli chodzi o takie rzeczy. Niech O'Connell uświadomi sobie, że prześladowanie córki Freeman-Richards będzie go kosztowało tak wiele, że mu się nie opłaci. A jak uzyskać absolutną pewność, że O'Connell zrozumie, co mu grozi, Murphy doskonale wiedział.

Należy zastosować starą sztuczkę, pomyślał.

Widział w życiu kilku szalonych prześladowców, których nie odstraszłyby ani groźby, ani sądy, ani nawet wymachiwanie bronią przed nosem - te typy, podobne do pitbulteriera, przeszłyby przez falę ognia, by dotrzeć do osoby będącej przedmiotem ich obsesji. Ale O'Connell wydał mu się tylko drobnym przestępcą, z jakimi Murphy miał do czynienia

przez całe lata, więc dobrze wiedział, jak należy z nimi postępować. Im więcej dowiadywał się o O'Connellu z lektury dokumentów, tym bardziej niezrozumiałe wydawało mu się, dlaczego ten kawałek śmiecia uznał, że może komplikować życie i szkodzić takim osobom jak Sally Freeman-Richards i jej córka. Murphy pokręcił głową. W przeszłości nieraz miał do czynienia z zabójstwami dokonаныmi przez porzuconych mężów lub narzeczonych, którzy wyładowywali swój gniew na nieszczęsnych kobietach, próbujących żyć własnym życiem. Odczuwał naturalną sympatię wobec wszystkich, którzy szukali sposobów, by uwolnić się od nieudanych związków. Nie rozumiał, co było przyczyną wścieklej pasji tamtych mężczyzn. We wszystkich przypadkach, z jakimi się zetknął w przeszłości, miłość wydawała mu się najgłupszym powodem, by pozbawić kogoś wolności, przekreślić czyjąś przyszłość czy wreszcie odebrać komuś życie. Murphy spojrzał znów w stronę drzwi domu O'Connella.

- No chodź, chłopcze - powiedział na głos. - Wyjdź, żebym mógł ci się przyjrzeć. Mam jeszcze co innego do roboty.

Wydawało się, że jego słowa mają magiczną moc, ponieważ w tym momencie coś się poruszyło w wejściu, które obserwował. Kiedy wyciągnął szyję, natychmiast rozpoznał O'Connella z policyjnego zdjęcia sprzed trzech lat.

Murphy chwycił aparat fotograficzny i skierował obiektyw na twarz Michaela. Ku jego zaskoczeniu O'Connell zatrzymał się na chwilę, patrząc prosto w jego stronę. Murphy pośpiesznie zrobił sześć zdjęć.

- Mam cię - powiedział głośno do siebie. Uśmiechnął się. - Nie było to zbyt trudne.

Murphy nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że to samo dałoby się powiedzieć o nim.

Telefoniczna rozmowa, którą miał przed sobą Scott, nie należała do trudnych, chociaż trzeba było w niej poczynić trochę skomplikowane ustalenia. Trener piłkarski siedział u siebie w gabinecie i opracowywał z koordynatorem obrony taktykę na najbliższy mecz. Scott spotykał się z nim przy różnych okazjach towarzyskich, starał się też być obecny na jego meczach.

- Trener Warner? Mówi Scott Freeman.

- Scott! To wspaniale, że cię słyszę. Ale w tej chwili jestem trochę zajęty...

- Jakiś finezyjny plan defensywny, który ma oszołomić przeciwnika, unieszkodliwić go i zmienić w żalostną grupkę bezradnych, pozbawionych wszelkich szans facetów? - zapytał Scott.

Trener się roześmiał.

- Zgadza się. Może nas zadowolić jedynie totalne psychiczne załamanie się przeciwnika. Z pewnością jednak nie w tej sprawie dzwonicz?

- Chcę cię prosić o małą przysługę. Potrzebuję paru silnych chłopców.

- Takich mamy mnóstwo. Ale mamy także zajęcia i treningi. Chłopcom naprawdę brakuje czasu...

- No a w niedzielę? Potrzebuję dwóch, trzech facetów. Do przeniesienia bardzo skromnej ilości ciężkiego bagażu. Dobrze im zapłacę. Gotówką.

- W niedzielę? W porządku. Co to będzie za bagaż?

- Muszę pomóc córce wyprowadzić się z mieszkania w Bostonie i oddać jej rzeczy do magazynu na przechowanie. I to szybko.

- A więc jest to ten rodzaj cudownie prostej roboty, jaki my, ludzie boiska futbolowego, potrafimy wykonać lepiej niż dobrze - powiedział ze śmiechem trener. - Okay. Dziś po treningu znajdę paru ochotników.

Następnego dnia w gabinecie Scotta pojawili się trzej młodzi mężczyźni; wszyscy byli potężnie zbudowani i bardzo chcieli zarobić trochę pieniędzy. Scott wyjaśnił im, że zadanie obejmuje wynajęcie ciężarówki, dotarcie nią do Bostonu, spakowanie wszystkich przedmiotów znajdujących się w mieszkaniu do kartonowych pudeł i przewiezienie ładunku do magazynu na przedmieściu, gdzie miały być przechowywane.

- Chciałbym, żeby to było zrobione natychmiast - powiedział Scott. - Bez żadnej zwłoki.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał jeden z chłopców.

Scott przewidział, że padnie takie pytanie. Przemyślał sobie wcześniej, czego młodzi ludzie powinni się dowiedzieć, bo nie zamierzał zdradzać im prawdy.

- Moja córka studiuje w Bostonie. Jakiś czas temu złożyła prośbę o stypendium na studia za granicą. Później już o tym nie myślała, ale niedawno otrzymała pozytywną odpowiedź. Wyjeżdża do Florencji na sześć do dziewięciu miesięcy, żeby studiować sztukę renesansu. Ale są pewne wymagania dotyczące terminu. Za parę dni musi być w samolocie. A ja nie mam ochoty płacić za jej mieszkanie dłużej niż to konieczne. I tak stracę na opłaconym ubezpieczeniu. No cóż - Scott westchnął z przesadnym dramatyzmem - jeżeli komuś podobają się obrazy świętych męczenników i proroków, którym odcięto głowy, myślę, że tam właśnie powinien pojechać. Ale nie sądzę, by słowa: „posada”, „stanowisko” lub „kariera” miały wiele wspólnego z podejściem do życia mojej córki.

To wywołało wybuch śmiechu młodych ludzi, bo usłyszeli coś, z czym mogli się identyfikować. Ustalili ostatnie szczegóły i Scott powiedział, że będzie na nich czekał w niedzielę rano.

Kiedy drzwi za nimi się zamknęły, Scott pomyślał, że jeśli ktokolwiek ich zapyta, odpowiedzą, że Ashley wyjechała. Za granicę. Wiarygodna historia. Florencja. To zapamiętają.

Domyślał się, że będzie ktoś taki, kogo ogromnie zainteresuje trójka spedytorów oraz ta starannie skonstruowana i puszczona w obieg historia.

Ashley czuła się trochę śmiesznie.

Ubrania na pierwszy tydzień upchnęła w czarnym worku marynarskim, a na drugi - w małej walizce z kółkami. Poprzedniego dnia doręczyciel Federal Express przyniósł jej paczkę od ojca. Były w niej przewodniki po miastach Włoch, słownik angielsko-włoski i trzy wielkie książki o sztuce renesansu - dwie z nich Ashley już miała - a także wydany przez uczelnię Scotta *Poradnik dla studiujących za granicą*.

Scott napisał krótki list opatrzony imponującą winietą fikcyjnego Instytutu Badań nad Renesansem - stworzył ją za pomocą swojego komputera. Instytut z radością witał nowego uczestnika swojego programu Ashley Freeman, podał także nazwisko osoby, z którą powinna się skontaktować po przybyciu do Rzymu. Ta osoba nie była fikcyjna. Profesora Uniwersytetu Bolońskiego Scott poznał na jednej z konferencji historyków, wiedział także, że wyjechał on na roczny urlop naukowy i prowadzi zajęcia dydaktyczne w Afryce. Nie sądził, by Michael O'Connell był w stanie dotrzeć do tego człowieka. A gdyby nawet mu się udało, myślał Scott, ta mieszanina faktów i fikcji zdeзорientowałaby go, i to potężnie. Uznał więc swój pomysł za całkiem sprytny.

Ashley miała ten list zostawić w mieszkaniu, jakby o nim przez przypadek zapomniała.

Instrukcje ojca dotyczące tego, co miała zrobić przed wyjazdem, były bardzo szczegółowe i jej zdaniem przesadne. Obiecała jednak, że postąpi tak, jak jej polecił. Przekonywał ją, że do osiągnięcia celu potrzebny jest podstęp.

Jeden z przewodników miała włożyć do zewnętrznej kieszeni marynarskiego worka tak, żeby część okładki z tytułem wystawała na zewnątrz. Każdy, kto zobaczyłby Ashley niosącą bagaż, musiał go zauważyć. Inne książki miała porozkładać w różnych miejscach, w mieszkaniu - przy czym Scott nalegał, by umieściła je w widocznym miejscu - na komputerze i nocnym stoliku.

Przedostatni raz miała zadzwonić ze swojego telefonu stacjonarnego po taksówkę, ostatni - do przedsiębiorstwa telefonicznego, by zrezygnować z jego usług.

Po przyjeździe taksówki miała zamknąć mieszkanie na klucz, a klucze zostawić na framudze nad zewnętrznymi drzwiami, gdzie mogli je łatwo



znaleźć spedytorzy piłkarze.

Ashley omiotła spojrzeniem miejsce, które przywykła uważać za coś w rodzaju swojego domu. Plakaty na ścianach, rośliny doniczkowe, spłowiata pomarańczowa zasłona pod prysznicem należały do niej, były pierwszymi rzeczami, jakie miała na własność. Nagle zdała sobie sprawę, jak silnie emocjonalnie czuje się związana z najprostszyimi przedmiotami. Czasami myślała, że nie wie jeszcze na pewno, kim jest i kim się staje, a to mieszkanie miało jej pomóc odpowiedzieć na te pytania.

- Niech cię szlag trafi - powiedziała na głos.

Nie chciała nawet w myślach przywoływać jego nazwiska.

Spojrzała na odręcznie napisany list ojca. W porządku, powiedziała sobie. Mogę i to zagrać.

Podeszła do telefonu i zamówiła taksówkę.

Czekała zdenerwowana na jej przyjazd tuż za drzwiami wejściowymi do budynku. Zgodnie z sugestiami ojca włożyła okulary przeciwsłoneczne, włosy ukryła pod wełnianą czapką i podniosła kołnierz kurtki. „Powinnaś wyglądać jak ktoś, kto ucieka i nie chce być rozpoznany”, napisał jej w instrukcji. Była trochę niepewna, czy gra jak na scenie, czy zachowuje się rozsądnie. Gdy taksówka podjechała pod budynek, szybko wybiegła przez drzwi i położyła klucz w ustalonym miejscu. Potem, ze spuszczoną głową, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, pomknęła naprzód tak prędko, jak się dało, licząc się z tym, że Michael O'Connell skądś ją obserwuje. Było wczesne popołudnie, światło słoneczne szatkowało otaczającą ją chłodne powietrze i rzucało dziwne cienie na alejki. Rzuciła walizkę i worek marynarski na siedzenie taksówki, po czym opadła obok nich.

- Logan - powiedziała. - Terminal odlotów międzynarodowych.

A potem opuściła głowę i skurczyła się na siedzeniu, jakby chciała się ukryć.

Na lotnisku dała taksówkarzowi skromny napiwek.

- Włochy - oznajmiła ostentacyjnie. - Wyjeżdżam do Florencji. Na studia zagraniczne.

Nie była pewna, czy zrozumiał, co powiedziała.

Potoczyła swoje bagaże do hali odlotów, odgłos jej kroków zagłuszał ryk odrzutowców wznoszących się w powietrze nad wodami portu. Ludzie stojący w kolejkach do odprawy zdradzali pewne podniecenie. Słyszała nieustanny szmer rozmów prowadzonych we wszystkich językach. Ashley skierowała się w stronę wyjść, potem nagle się odwróciła i ruszyła do wind. Przyłączyła się do licznej grupy, która przyleciała rejsem Air Lingus z Shannon. Wszyscy rudzi, o białej karnacji, mówili szybko i z wyraźnym akcentem. Byli ubrani w charakterystyczne dżersejowe bluzy piłkarskie w białe i zielone pasy Celticu, a wybierali się na wielki rodzinny zjazd w południowym Bostonie.

W windzie Ashley szybko otworzyła swój marynarski worek. Wepchnęła do środka czapkę, kurtkę z polaru i okulary przeciwsłoneczne, a wyjęła rdzawoczerwoną czapkę bejsbolową z nadrukiem Boston College i brązowy skórzany płaszcz, po czym się przebrała, wdzięczna pasażerom za to, że wydawali się nie zwracać na nią żadnej uwagi.

Wysiadła na trzeciej kondygnacji w pasażu prowadzącym do głównego parkingu. Znalazła się w szarym, mrocznym rejonie pachnącym benzyną, pełnym przenikliwych piskliwych odgłosów opon na kolistych podjazdach, a potem ruszyła pospiesznie w stronę terminali krajowych. Szła, kierując się oznakowaniem, na przystanek autobusu łączącego lotnisko ze stacją metra.

W przedziale metra znajdowało się tylko sześć osób i żadną z nich nie był Michael O'Connell. Niemożliwe, żeby ktoś mnie śledził, pomyślała Ashley. Teraz już nie. Poczowała, że znów jest wolna i ogarnęło ją podniecenie. Jej puls uderzał szybciej, zdała sobie sprawę, że się uśmiecha, po raz pierwszy od wielu dni.

Mimo to postanowiła postępować zgodnie ze wskazówkami ojca. Mogą być zwariowane, ale dotąd okazały się skuteczne, pomyślała. Wsiadła z metra przy Congress Street, po czym - wciąż taszcząc swoje dwa bagaże - przeszła do położonego o parę przecznic dalej Muzeum Dziecka. Tuż przy wejściu wykupiła bilet i pozostawiła w szatni swoje rzeczy. Potem ruszyła krętym labiryntem sal muzealnych i wędrowała od sali lego do ekspozycji naukowej otoczona chichoczącymi grupami poruszających się szybko dzieci, nauczycieli i rodziców. Ze wszystkich stron dobiegały do niej podniecone, radosne odgłosy i nagle, w jednej chwili, zrozumiała sens planu ojca: Michael O'Connell nie mógłby się ukryć tutaj, mimo tych wszystkich zakątków, schodów i zjeżdżałni, których tu było tak wiele. Natychmiast rzuciłby się w oczy, ponieważ nie pasowałby zupełnie do otoczenia, natomiast Ashley nie różniła się od przedszkolanki lub pomocy do dzieci, wędrujących wśród tłumów przepelniających muzeum.

Sprawdziła na zegarku godzinę, wciąż trzymała się harmonogramu opracowanego przez ojca. Punktualnie o szesnastej odebrała bagaże i w chwilę potem wsiadła do taksówki czekającej na postoju obok wyjścia. Przedtem uważnie zbadała wzrokiem ulicę, sprawdzając, czy gdzieś w pobliżu nie ma Michaela O'Connella. Muzeum znajdowało się w dawnej dzielnicy magazynów, szeroka ulica gwarantowała widok w jedną i drugą stronę. Ashley doceniła wręcz genialny wybór terenu dokonany przez ojca; nie było ani skrawka przestrzeni, gdzie można by się ukryć, żadnych alejek, drzew, żadnych mrocznych miejsc.

Uśmiechnęła się i poprosiła taksówkarza, żeby ją zawiózł na dworzec autobusowy Piotrusia Pana. Kierowca gderał, że to bardzo krótki kurs, ale Ashley wcale się tym nie przejmowała; uświadomiła sobie, że po raz

pierwszy od wielu dni przestała czuć, że jest obserwowana. Nucila sobie nawet pod nosem, gdy taksówka przedzierała się przez śródmieście Bostonu.

Kupiła bilet do Montrealu na autobus, który miał odjechać za niecałe dziesięć minut. Po drodze do Kanady zatrzymywał się on w Brattleboro w stanie Vermont - Ashley zamierzała wysiąść wcześniej niż w mieście, do którego wykupiła bilet. Z niecierpliwością wyczekiwała już chwili, gdy znów zobaczy Catherine.

Wspięła się po stopniach do autobusu i poczuła odór spalin i smaru. Było już ciemno, snopy świateł neonów stapały się z błyszczącą srebrzystą sylwetką pojazdu. Znalazła miejsce z tyłu, przy oknie. Przez chwilę wpatrywała się w gęstniejący mrok nieco zdumiona, że nie doznawała żadnego uczucia niepewności czy niepokoju. Czowała się teraz prawie wolna. A kiedy kierowca zamknął z trzaskiem drzwi i zmienił ze zgrzytem biegi, wyprowadzając autobus ze stanowiska, przymknęła oczy i wsłuchiwała się w rytm silnika, który pracował coraz szybciej; autobus sunął ulicami śródmieścia, zmierzając w stronę autostrady, wkrótce miasto pozostało w tyle. Choć był dopiero wczesny wieczór, Ashley zasnęła głębokim, spokojnym snem.

Słońce paliło bezlitośnie. Był to jeden z tych dni w dolinie, gdy nieruchome powietrze sprawia wrażenie opuchłego od gorąca i uwieszonego pomiędzy górami. Zaparkowałem samochód niedaleko budynku, w którym mieściło się biuro Matthew Murphy'ego. Falująca warstwa ciepłego powietrza wisiała tuż nad chodnikiem.

W wielu starszych miastach Nowej Anglii łatwo zauważyć, gdzie wyczerpały się pieniądze na odbudowę, a lokalni politycy policzyli głosy wyborców i uznali, że nie bardzo by im się opłacała taka inwestycja. Nieliczne ekskluzywne firmy ginęły więc wśród zaniedbanych, podniszczonych budynków.

Odcinek ulicy pomiędzy dwiema przecznicami, gdzie spodziewałem się znaleźć biuro Murphy'ego, podupadł trochę bardziej niż inne. Na rogu znajdował się pograżony w mroku olbrzymi bar z wypisaną odręcznie reklamą: „Kelnerki w strojach topless przez cały dzień i całą noc”, umieszczoną w oknie pod jaskrawoczerwonym neonem reklamującym piwo Budweiser. Naprzeciwko baru dostrzegłem sklepik spożywczy pełen frytek, owoców, słodowego piwa Tecate i puszek z jedzeniem zagrażających przejście; przy drzwiach wisiała flaga Hondurasu.

Inne domy były zbudowane z czerwonej cegły wszechobecnej w prawie każdym mieście. Obok mnie przejechał powoli policyjny samochód.

Odnalazłem wejście do budynku, w którym mieściło się biuro Murphy'ego. Dom był nijaki, z jedną windą, obok której dostrzegłem listę lokatorów - widniały na niej cztery biura usytuowane na dwóch piętrach.

Biuro Murphy'ego znajdowało się naprzeciwko agencji opieki społecznej. Na drzwiach wisiała tania drewniana czarna tabliczka; złotymi literami wypisane były jego imię i nazwisko, pod nim informacja: „Poufne dochodzenia wszelkiego rodzaju”.

Pchnąłem drzwi, aby wejść do środka, ale były zamknięte na klucz. Nacisnąłem jeszcze parę razy na klamkę, a potem zapukałem głośno.

Nie było odpowiedzi.

Zapukałem ponownie i zakląłem pod nosem.

Kiedy zirytowany cofnąłem się, myśląc, że straciłem cały dzień na podróż, której celem było to biuro, otworzyły się drzwi agencji opieki społecznej i stanęła w nich kobieta w średnim wieku z naręczem akt w dłoniach. Spozrzęglszy mnie, westchnęła i oznajmiła:

- Tam nikogo nie ma i już nie będzie.
- Wyprowadzili się? - zapytałem.
- Coś w tym rodzaju - odparła. - Pisali o tym w gazetach.

Zrobiłem zdziwioną minę i kobieta zmarszczyła brwi.

- Ma pan jakiś interes do Murphy'ego?

- Mam do niego parę pytań.

- No cóż - odrzekła. - Mogę dać panu jego nowy adres. To tylko kilka przecznic stąd.

- Wspaniale - powiedziałem. - Gdzie to jest? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Cmentarz River View.

## 23. Gniew

Przypomniał samemu sobie, że ma zachować spokój.

Nie było to łatwe dla Michaela O'Connella. Działał lepiej, gdy był wściekły, furia kierowała nim niezawodnie - ku sytuacjom i działaniom, w których czuł się swobodnie. Walka. Znieważanie kogoś. Nieprzyzwoite postęпки i żarty. Sprawiało mu to niemal tyle samo zadowolenia, co tworzenie planów. Zdaniem Michaela bowiem niewiele rzeczy dostarczało więcej satysfakcji niż przewidywanie, co ludzie zrobią, a następnie przyglądanie się, jak robią to rzeczywiście - tak jak wcześniej to sobie wyobrażał.

Widział, jak Ashley biegła szybko z domu do taksówki, zanotował nazwę korporacji i numer samochodu. Nie dziwiło go to, że gdzieś wyjeżdżała.

Uciekanie jest czymś naturalnym u ludzi takich jak ona i jej rodzina, powiedział sobie. Uważał ich za tchórzy.

Zadzwoił do dyspozytora taksówek, podał spisany numer i powiedział, że znalazł okulary przepisane na receptę w etui, które najwyraźniej wypadły młodej damie na chodnik. Czy był jakiś sposób na to, żeby mógł je oddać?

Dyspozytor przejrzał swój rejestr telefonów.

- Och, raczej nie, mój drogi.

- Dlaczego nie? - zapytał O'Connell.

- To był kurs na terminal międzynarodowych odlotów lotniska Logana - odparł dyspozytor. - Może je pan spokojnie wyrzucić w diabły. Albo włożyć do jakiejś puszki na datki, jeśli ją pan znajdzie.

- No cóż - powiedział O'Connell i spróbował zażartować. - Ktoś nie zwiedzi i nie zobaczy za wiele tam, gdzie wyjechał na urlop, gdziekolwiek by to było.

- Ma pecha kobieta - powiedział dyspozytor.

Ogłędnie powiedziane, pomyślał O'Connell, czując, jak wszystko się w nim gotuje.

Teraz stał w pewnej odległości od domu Ashley i przyglądał się, jak trzech młodzi mężczyźni wynosili paczki. Na ulicy mieli zaparkowaną średnich rozmiarów ciężarówkę i wyglądało na to, że chcą szybko skończyć robotę i zająć się własnymi sprawami. O'Connell raz jeszcze przypomniał sam sobie, że musi zachować spokój. Wzruszył ramionami, próbując rozluźnić napiętą szyję, zacisnął i rozkurczył kilkakrotnie pięści, by trochę się odprężyć. Potem powoli ruszył w kierunku trzech młodych mężczyzn.

Gdy dotarł do frontowych drzwi, jeden z chłopców przynosił dwie paki z książkami, na szczycie tej większej niepewnie kołysała się lampa. Chłopiec chwiał się trochę na nogach pod ciężarem paczek.

- Cześć, przyjechaliście czy odjeżdżacie? - zapytał O'Connell.

- To tylko wyprowadzka - odparł chłopak.

- Pozwól, że wezmę to od ciebie - powiedział O'Connell i chwycił lampę, zanim spadła na chodnik.

Gdy jego palce zacisnęły się na metalowej podstawie, przebiegł przez niego nagły prąd, jakby dotknięcie rzeczy należącej do Ashley było tym samym, co pogłaskanie jej skóry. Pieszczotliwym ruchem przesunął dłoń wzdłuż lampy i w następnej sekundzie przypomniał sobie nocny stolik, na którym stała w mieszkaniu. Oczami wyobraźni widział blask, który rzuciła na jej ciało, oświetlając krągłe kształty. Oddech O'Connella stał się szybszy i gdy podawał lampę chłopakowi, niemal kręciło mu się w głowie.

- Dzięki - powiedział chłopiec, wciskając ją bezceremonialnie do ciężarówki. - Dopiero co wsadziłem tam to cholerne biurko i jeden czy dwa chodniki.

O'Connell przelknął z trudem ślinę i wskazał gestem różową narzutę. Przypomniawszy sobie, jak tamtej nocy odrzucił ją nogą na bok, zanim pochylili się nad ciałem Ashley.

- To nie są wasze rzeczy?

- Nie - odparł chłopak. - Przewozimy rzeczy córki profesora. Bardzo dobrze nam zapłacił.

- No to nieźle - powiedział O'Connell powoli, jakby musiał odgryzać każde słowo, starając się, by w jego głosie zabrzmiała jedynie pusta ciekawość, nic więcej. - To musi być ta dziewczyna, która mieszka na pierwszym piętrze. Ja mieszkam tam dalej - wskazał w stronę pobliskich domów. - Niezła laska. Wyjeżdża z tego miasta?

- Do Florencji - odpowiedział chłopiec. - Dostała stypendium na studia.

- Brzmi nieźle.

- Na pewno.

- No dobra, powodzenia! - O'Connell machnął mu lekko dłonią na pożegnanie i ruszył dalej. Przeszedł na drugą stronę ulicy, wypatrzył jakieś drzewo i oparł się ciężko o jego pień.

Wdychał szybko powietrze, patrząc, jak meble Ashley znikają w ciężarówce, i zastanawiał się, czy to, co widział, działa się naprawdę. Jakby stał przed kinowym ekranem, gdzie wszystko wydawało się rzeczywiste, ale rzeczywiste nie było. Kierowca taksówki, który zawiózł pasażerkę na międzynarodowe lotnisko Logana; trzech osiłków z college'u, którzy zabrali meble i odjechali w spokojny niedzielny ranek; prywatny detektyw ze Springfield, który robił mu zdjęcie z samochodu zaparkowanego naprzeciwko jego domu. Michael O'Connell wiedział, że to wszystko coś oznaczało, ale co, nie bardzo jeszcze rozumiał. Jednego był jednak pewien. Jeśli rodzice Ashley myśleli, że kupując jej bilet na samolot, mogą ją mu odebrać, mylili się zdecydowanie. Sprawili jedynie, że wszystko stało się dla niego znacznie bardziej interesujące. Odnajdzie ją, nawet jeśli musiałby polecieć aż do Włoch.

- Nikt mi się nie wymknie - szepnął do siebie. - Nikt nie zabierze mi tego, co należy do mnie.

Catherine Frazier otuliła się trochę szczelniej kurtką na polarze i przez chwilę patrzyła, jak jej oddech tworzy kłębuszki pary podobne do dymu. Wieczorne powietrze było ostre, co zapowiadało nadchodzące zimne dni. Taki właśnie jest Vermont, pomyślała, zawsze ostrzega przed

tym, co się zbliża, jeśli tylko jest się na tyle czujnym, by zwracać uwagę na te ostrzeżenia. Smak chłodu na wargach, drętwienie policzków, trzask gałęzi drzew nad głową, cienka warstewka lodu na stawach o poranku - za parę dni mogą już lecieć z nieba tumany śniegu. Odnotowała sobie w pamięci, że ma sprawdzić zapas porąbanego drewna, piętrzący się w stosie za domem. Żałowała, że nie umie rozpoznawać ludzkich charakterów równie dobrze, jak rozpoznawała pogodę.

Autobus z Bostonu spóźniał się trochę. Zamiast czekać w restauracji, obok której się zatrzymywał w drodze do Burlington i Montrealu, czekała na zewnątrz. Jaskrawe światła wprawiły ją w dziwnie nerwowy nastrój, o wiele lepiej czuła się w mroku i mgle.

Cieszyła się na spotkanie z Ashley, choć miała pewne wątpliwości, w jaki sposób powinna ją traktować podczas pobytu u siebie. Ashley nie była jej wnuczką ani siostrzenicą; nie była też związana z Catherine poprzez adopcję, choć taka sytuacja wydawała się najbliższa rzeczywistości. Mieszkańcy Vermont z zasady nie wtrącali się w cudze sprawy, uważając - podobnie jak inni mieszkańcy Nowej Anglii - że im mniej się mówi, tym lepiej. Catherine wiedziała jednak, że członkinie jej kościoła, ludzie pracujący za ladą sklepu wielobranżowego, sklepu Ace ze sprzętem komputerowym i inni, którzy ją dobrze znali, mogli mieć wątpliwości. Wszyscy oni - to także cecha mieszkańców Nowej Anglii - mieli wewnętrzne czułe radary wychwytyjące hipokryzję. A przyjmowanie do swojego domu dziecka partnerki własnej córki, skoro wyraźnie potępiała jej związek, było dla nich czymś niepokojącym.

Catherine odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w niebo. Zadała sobie pytanie, czy ktoś może doznawać aż tylu sprzecznych uczuć, ile jest gwiazd, tam, w górze.

Ashley była jeszcze dzieckiem, gdy po raz pierwszy pojawiła się w jej życiu. Catherine przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie i zdała sobie sprawę, że się uśmiecha w ciemności na to wspomnienie. Ubrałam się wtedy zbyt grubo, pomyślała. Było gorąco, a ja włożyłam wełnianą spódnicę i sweter. Strasznie głupio. Musiałam wyglądać, jakbym miała sto lat.

Gdy przedstawiono jej jedenastoletnią Ashley, Catherine była sztywna, prawie wyniosła, głupio oficjalna. Ale dziewczynka natychmiast ją rozbroiła. Sympatia, jaką do niej poczuła, sprawiła, że zawarła rozejm z własną córką, a jej partnerkę (Catherine nienawidziła tego słowa, przez nie ich związek wydawał się czymś podobnym do biznesu) traktowała uprzejmie. Chadzała na pełne wrzasku przyjęcia urodzinowe i rozgrywane w fatalną, deszczową pogodę kiepskie mecze piłki nożnej, oglądała Ashley grającą Julię w wystawianej przez uczniów szkoły średniej tragedii Szekspira, choć nie cierpiała patrzeć, jak odtwarzana przez Ashley

postać umiera. Siedziała na brzegu jej łóżka, gdy piętnastolatka szlochala spazmatycznie po zerwaniu ze swoim pierwszym chłopakiem i jechała samochodem znacznie szybciej niż zwykle, by dotrzeć do domu Hope i Sally i zrobić zdjęcia Ashley w stroju na bal z okazji zakończenia roku szkolnego. Pielęgnowała Ashley, gdy zachorowała na grypę, spijając na podłodze przy jej łóżku, wsłuchując się nocami w jej oddech. Udzieliła gościny, gdy Ashley zjawiała się u niej ze sprzętem turystycznym i kilkoma koleżankami z college'u w drodze do Green Mountains; podejmowała ją obiadem w Bostonie z okazji kilku radosnych wydarzeń i raz - były to wspaniałe chwile - na otwartej trybunie stadionu w Fenway. Znalazła wtedy pretekst, by pojechać do tego miasta, choć w głębi duszy wiedziała, że wybiera się tam tylko po to, żeby się z nią zobaczyć.

Teraz skrobała butem żwir na parkingu, czekając na autobus, i myślała, że życie nie dało jej wnuków, których pragnęła, ale zamiast tego los dał jej Ashley. Wierzyła, że kiedy ją poznała i dziecko spojrzało na nią nieśmiało, a potem zapytało: „Czy chciałabyś zobaczyć mój pokój? Może mogłybyśmy poczytać razem jakąś książkę?”, wkroczyła w zupełnie inny obszar, w królestwo, w którym Ashley była wolna od rozczarowań i kłopotów, jakich doświadczyły ona sama i Hope.

- Szlag by to trafił - powiedziała głośno Catherine. - Ile może się spóźnić ten cholerny autobus?

W tym momencie usłyszała chrapliwy odgłos wielkiego diesla, zwalnającego bieg przed zakrętem i zobaczyła światła reflektorów przecinające mrok parkingu. Ruszyła szybko naprzód i od razu zaczęła machać rękami na powitanie.

Sekretarka Sally zadzwoniła do niej i powiedziała:

- Dzwoni jakiś pan Murphy, mówi, że ma pewne informacje dla pani...

- Połącz go - poleciła Sally. - Słucham, Murphy. Masz coś dla mnie?

- No cóż - powiedział Murphy tonem człowieka znużonego życiem i dość cynicznym - nie tak wiele, jak będę miał, zakładając, że chce pani, abym kontynuował tę sprawę, ale pewnie wolałaby pani otrzymać wiadomości jak najszybciej, wzięwszy pod uwagę, he... osobisty charakter tego dochodzenia.

- Całkiem słusznie.

- Chce pani usłyszeć od razu ostateczną konkluzję? Czy najpierw szczegóły?

- Powiedz mi po prostu, czego się dowiedziałeś.



- No więc, nie sądzę, żeby miała pani jakieś poważne powody do obaw. Na pewno jest się czym martwić, ale powiem tak: widziałem gorsze rzeczy.

Sally poczuła ulgę.

- To dobrze. Powiedz mi teraz coś więcej.

- On był już notowany, ale nie ma za wiele na koncie.

- Akty przemocy?

- Parę przypadków. Bójki, tego rodzaju rzeczy. Nie używał żadnej broni, tak wynika z oskarżeń wniesionych przeciwko niemu. To dobrze. Ale to może też oznaczać, że go po prostu nie przyłapano... Niech pani posłucha - ciągnął Murphy - ten gość, O'Connell, to czarny charakter. Ale czuję, że jest zwykłym przeciętniakiem. Chcę powiedzieć, że spotykałem już takie typy milion razy i wiem, że gdy się ich przycisnie w rozsądny sposób, pękają od razu. Jeśli jest pani gotowa za to zapłacić, mogę to zorganizować, paru moich kumpli i ja złożymy mu małą wizytę. Postraszymy go porządnie. Wyjaśnimy, że pozwala sobie na głupie numery wobec niewłaściwych ludzi. Być może pomożemy mu zrozumieć, że będzie zdrowiej dla niego, gdy zmieni swoje podejście do życia...

- Masz na myśli to, że mu zagroicie...?

- Nie, droga pani. Nie opowiadam się za użyciem przemocy w jakiegokolwiek formie...

Murphy przerwał, chcąc, by te słowa dotarły do świadomości Sally i by mogła zrozumieć, że w istocie pragnie powiedzieć coś całkowicie przeciwnego.

- ...ponieważ to byłoby przestępstwem. I wiem, że pani, będąc prawnikiem, nie wynajęłaby mnie po to, bym wobec kogoś stosował przemoc. Nie, pani mecenas. Ja to rozumiem. Mam na myśli, że mu coś, hę... wy-per-swa-du-je-my. O właśnie. Wyperswadujemy. Wszystko zgodnie z literą prawa. Z tym, czym jest prawo w rozumieniu nas obojga. Ale z pewnością spowoduje to, że odtąd zanim cokolwiek zrobi, będzie się zastanawiał dwa razy.

- Może powinniśmy rozważyć taki krok.

- Cieszę się. To nie będzie wiele kosztowało, tylko moją normalną dniówkę i koszty podróży. I mała kwota dla moich hę... kolegów.

- No, nie wiem - powiedziała Sally z nutką wahania w głosie. - Wołałabym chyba uniknąć angażowania w to innych osób. Nawet przyjaciół, o których dyskrecji jesteś przekonany. Zwłaszcza gdy chodzi o policjantów stanowych; mogą być potem zmuszeni zeznawać zgodnie z prawdą. Staram się wyprzedzić myślą bieg wydarzeń - dodała. - Brać pod uwagę to, co mogłoby się wydarzyć w przyszłości.

Murphy pomyślał, że to cecha prawników - nie umieją dostrzec linii, jaka dzieli rzeczywistość, to, co się dzieje na ulicy, od tego, co jest później opisywane przez rozsądnych ludzi spokojnym tonem w sali sądowej. To są różnice, myślał, których nie widzi prawie żaden spośród nich. Czasami cholerne różnice. Westchnął w głębi duszy, ale jego głos nie zdradził niczego.

- To słuszna uwaga, pani mecenas. Ale sądzę, że będę umiał porazić siebie z tą częścią mojego hę... zadania sam, bez uciekania się do pomocy kogoś, kto służy obecnie w organach porządku publicznego. Jeśli tego sobie pani życzy.

- To byłoby rozsądne.
- Więc mam się brać do roboty?
- Przygotuj plan działania, Murphy. Od tego zaczniemy.
- Będę się z panią kontaktował - powiedział Murphy.

Telefon umilkł. Sally usiadła głębiej na krześle. Odczuwała niepokój i jednocześnie czuła się uspokojona. Wiedziała, że są to całkowicie sprzeczne doznania.

Był to typowy cmentarz, ukryty w opuszczonym zakątku niewielkiego miasteczka i otoczony parkanem z czarnego kutego żelaza. Omiotłem wzrokiem rzędy szarych nagrobków, na których widniały niezliczone imiona i nazwiska. Stały coraz wyżej na zboczu wzniesienia. Proste płyty granitu ustępowały miejsca bardziej wyszukany formom. Coraz wymyślniejsze stawały się również wyryte na nagrobkach przesłania, dowody uczuć i uznania dla „Ukochanych Żon i Matek” lub „Oddanych Ojców”. To co, wiedziałem o Matthew Murphym, kazało mi mocno wątpić, że spoczywa w ziemi z grającymi na rogach cherubinami nad sobą.

Zacząłem spacerować to w tę, to w tamtą stronę wzdłuż rzędów grobów, czując, jak koszula przywiera mi do pleców, a wąska strużka potu zbiera się na czole. Gdy zamierzałem już zrezygnować z poszukiwań, spostrzegłem skromny nagrobek z napisem „Matthew Thomas Murphy” nad dwiema datami. Nic więcej.

Zanotowałem te daty i stałem jeszcze przez chwilę przy grobie.

- Co się wydarzyło? - zapytałem głośno.

Nie odpowiedział mi nawet podmuch wiatru ani żaden duch.

Wtedy pomyślałem, czując, że wzbiera we mnie coś silniejszego niż lekka irytacja: wiem, kto może mi odpowiedzieć na to pytanie.

Kilka przecznic od cmentarza była stacja benzynowa, przy niej automat telefoniczny. Wrzuciłem do aparatu parę monet i wybrałem jej numer.

Gdy podniosła słuchawkę, nie przedstawiłem się.

- Okłamała mnie pani - powiedziałem podenerwowanym tonem.  
Milczała przez chwilę, usłyszałem, jak bierze głębszy oddech.

- Dlaczego pan tak mówi? - zapytała. - Kłamstwo to takie mocne słowo.

- Powiedziała mi pani, że powinienem spotkać się z Murphym. A znalazłem go nie w biurze, lecz na cmentarzu. Zmienia się w pokarm dla dżdżownic i czerwi. Mnie wydaje się to kłamstwem. O co chodzi, do diabła, w tym wszystkim?

Znowu się zawahała, jakby dobierała ostrożnie słowa.

- Ale co pan zobaczył? - spytała.

- Grób. Tanią kamienną płytę.

- Wobec tego niewiele pan zobaczył.

- A cóż więcej, do licha, mogłem tam zobaczyć?

Jej głos zmienił się nagle, stał się chłodny, niemal lodowaty.

- Niech pan się stara lepiej szukać. O wiele lepiej. Czy skierowałabym tam pana bez żadnego powodu? Widzi pan kawał granitu z imieniem, nazwiskiem i jakimiś datami. Ja widzę pewną historię.

W następnej chwili się rozłączyła.

## 24. Perswazja

Matthew Murphy uznał, że jeden dzień wystarczy mu na załatwienie sprawy Michaela O'Connella. Że jeden dzień to będzie aż nadto.

Miał inne, poważniejsze sprawy, którymi powinien się zająć jak najszybciej. Musiał zrobić zdjęcia świadczące o potajemnych romansach, sprawdzić dowody uchylania się od płacenia podatków, śledzić pewnych ludzi, stanąć oko w oko z innymi, a jeszcze innych przesłuchać. Wiedział, że Sally Freeman-Richards nie należała do najlepiej zarabiających adwokatów, nie jeździła bmw ani mercedesem sedanem, wiedział też, że w skromnym rachunku, jaki jej wysłał, uwzględni grzecznościowy rabat. Być może sporo warta była jednak okazja rozprawienia się z tym gówniarzem. Murphy rzadko miał możliwość zmuszania ludzi siłą do tego lub owego, a zawsze budziło to w nim miłe wspomnienia. Uważał, że nic tak nie przyspiesza uderzeń serca i produkcji adrenaliny, jak odgrywanie twardziela.

Zaparkował samochód dwie przecznice za domem O'Connella na strzeżonym parkingu. Pojechał kilka pięter do góry, dopóki nie upewnił się, że jest sam, zatrzymał auto, otworzył bagażnik. Miał tam kilka rodzajów

broni, każdą w osobnym wytartym marynarskim worku. Długi czerwony worek zawierał karabin automatyczny colt AR-15 z magazynkiem na dwadzieścia dwa naboje. Uważał go za broń, która pozwala mu się szybko wydostawać z poważnych kłopotów. W mniejszym, żółtym worku znajdował się pistolet automatyczny kaliber .380 w kaburze do noszenia pod pachą, a w trzecim, czarnym, rewolwer kaliber .357 o piętnastocentymetrowej lufie, naładowany kulami powlekanymi teflonem, zwanymi „zabójcami gliniarzy”, ponieważ mogły przebijać kamizelki kuloodporne.

Przygotowując się do dzisiejszego zadania, Murphy uznał, że najlepsza będzie trzydziestkaósemka. Może będzie musiał tylko pokazać O'Connellowi, że ją ma przy sobie, wystarczyłoby rozpiąć kurtkę, by stała się wyraźnie widoczna. Matthew miał duże doświadczenie, jeśli chodzi o stosowanie przeróżnych metod perswazji.

Załóżył kaburę, włożył parę czarnych skórzanych rękawiczek, a potem - wielokrotnie sprawdzonym sposobem - przeciwiczył szybkie wyjmowanie broni. Gdy się przekonał, że nie utracił dawnej sprawności, ruszył naprzód, a okruchy cegieł niesione podmuchem lekkiego wiatru zawirowały wokół jego stóp. Było jeszcze tyle dziennego światła, że łatwo znalazł zacienione miejsce naprzeciwko budynku, w którym mieszkał O'Connell; w momencie gdy oparł się plecami o ceglany mur, rozbłysły pierwsze lampy uliczne. Miał nadzieję, że nie będzie musiał stać tutaj zbyt długo, chociaż był cierpliwym człowiekiem i umiał czekać.

Scotta ogarnęło uczucie dumy i samozadowolenia.

Odsłuchał nagrany na automatycznej sekretarce wiadomość od Ashley, która postępując zgodnie z jego skomplikowanymi instrukcjami, dotarła do Vermontu i była już u Catherine. Cieszył się, że sprawa dotąd toczy się pomyślnie.

Chłopcy z drużyny futbolowej wrócili już po wyładowaniu rzeczy Ashley w magazynie w Medford. Scott upewnił się, że facet, którego opis pasował do O'Connella, rzeczywiście zadał im parę pytań, a kiedy usłyszał fałszywą historyjkę, gdzieś zniknął. Nie dowiedział się niczego, myślał Scott. To było jak chwytanie widma. Wszystkie odpowiedzi, które usłyszał, prowadziły donikąd.

- Nie wiesz, co się stało i niczego się nie dowiesz, ty sukinsynu - powiedział na głos Scott.

Stał w swoim niewielkim salonie i nagle zaczął tańczyć na poprzecieranym orientalnym dywanie. Po chwili wziął do ręki pilot od zestawu stereo i nacisnął kilkakrotnie klawisze. Z głośników popłynęły mocne dźwięki *Purple Haze* Jimiego Hendriksa.

Gdy Ashley była mała, nauczył ją zwrotu *cut a rug\**, który w młodzieżowym żargonie lat dwudziestych oznaczał „zatańczmy”. W wolnym przekładzie: robić dziurę w dywanie (przyp. tłum.). Potem wiele razy używała tego określenia - przychodziła do jego gabinetu i przerywała mu pracę, pytając, czy mogą potańczyć. Nastawiali wówczas stare przeboje z lat sześćdziesiątych i pokazywał jej, jak się tańczy *The Frug* i *The Swim*, i nawet *The Freddy*, który jego zdaniem miał komiczny zestaw ruchów. Ashley zaśmiewała się do łez i próbowała go naśladować, a w końcu padała na podłogę z przeraźliwym, niepowstrzymanym dziecięcym chichotem. Ale nawet wtedy miała w ruchach grację, która go zdumiewała. W żadnym jej kroku nie można było się dopatrzeć niczego niezgrabnego czy niepewnego, poruszała się, zdaniem Scotta jak baletnica. Wiedział, że podobnie jak wielu ojców jest zadurzony w córce, ale oceniając ją, zastosował godne naukowca - krytyczne - podejście. W efekcie umocnił się w przekonaniu, że nie ma na świecie nikogo tak pięknego jak jego dziecko.

Odetchnął głęboko. Nie wyobrażał sobie, żeby Michael O'Connell zdołał się dowiedzieć, że Ashley jest w Vermoncie. Teraz, pomyślał, musi tylko upłynąć trochę czasu, przygotujemy nowy plan studiów w jakimś innym mieście, a potem Ashley zacznie wszystko od nowa. Drobną komplikacją, sześciomiesięczna zwłoka, ale udało się zapobiec poważniejszym kłopotom.

Scott uniósł głowę i popatrzył na salon.

Nagle, poczuł się samotny, żałował, że nie ma tu kogoś, z kim mógłby dzielić swoją radość. Żadna z jego obecnych znajomych, z którymi chadzał na obiady i od czasu do czasu sypiał, nie była do tego odpowiednia. Jego prawdziwi przyjaciele z college'u byli naukowcami z krwi i kości, wątpił więc, czy którykolwiek z nich potrafiłby go zrozumieć.

Zmarszczył brwi. Jedyłą osobą, z którą kiedyś dzielił się myślami, radościami i smutkami, była Sally. A do niej dzwonić nie zamierzał. W każdym razie nie w tym momencie.

Odżyła w nim na chwilę dawna uraza.

Odeszła od niego, by związać się z Hope. Stało się to nagle. Niespodziewanie. Paczki czekały już na podłodze w przedpokoju, a on próbował znaleźć słowa, które powinien wypowiedzieć, choć dobrze wiedział, że takich słów nie ma. Już od pewnego czasu wiedział, że Sally nie jest szczęśliwa. Miała różne wątpliwości, czuła się niespełniona. Na początku przypuszczał, że wiązało się to z jej karierą lub niepokojami wieku średniego albo że chodziło o znużenie zadowolonym z siebie liberalnym

akademickim środowiskiem, w jakim żyli. Wszystko to potrafił ogarnąć wyobraźnią, przedyskutować, ocenić, zrozumieć. Nie mógł pojąć jednego: jak wszystko, co kiedyś wspólnie przeżywali, mogło nagle okazać się kłamstwem.

Przez chwilę wyobrażał sobie Sally w łóżku z Hope. Co mogła jej dać, czego ja jej dać nie potrafiłem, zapytał sam siebie, po czym szybko zdał sobie sprawę, że było to pytanie niezwykle niebezpieczne. Wcale nie chciał poznać na nie odpowiedzi.

Pokręcił głową. Małżeństwo było kłamstwem, pomyślał. Wszystkie „przrzekam”, „kocham cię”, „nie opuszczę cię aż do śmierci” były kłamstwem. Jedno tylko było prawdziwe - Ashley, choć i co do tego nie miał całkowitej pewności. Czy wtedy, gdy Sally zaszła w ciążę, kochała mnie? Czy kochała mnie, kiedy była brzemienna?

A kiedy Ashley się urodziła, czy Sally wiedziała, że wszystko było nieprawdą? Czy uświadomiła to sobie zupełnie nagle? Może wiedziała o tym przez cały czas i starała się okłamywać samą siebie? Opuścił na chwilę głowę, w jego pamięci odżyły obrazy z przeszłości. Ashley bawiąca się nad brzegiem morza. Ashley maszerująca do przedszkola. Ashley, przygotowująca dla niego niespodziankę na Dzień Ojca, sama rysuje kwiaty. Wciąż jeszcze miał tę kartkę; wisiała przypięta do ściany w jego gabinecie. Czy Sally już wtedy wiedziała? Gdy obchodzili święta Bożego Narodzenia, urodziny? Gdy urządzali przyjęcia na Halloween i szukanie wielkanocnych jajek? Rozumiał też, że „odprężenie”, jakie nastąpiło pomiędzy nimi po rozwodzie, było również kłamstwem, lecz kłamstwem potrzebnym, które miała chronić Ashley. Zawsze uważali ją za kruchą i bali się, że w niesprzyjających warunkach może coś utracić. Scott i Sally utracili już wszystko, co mogli.

- Ale Ashley jest bezpieczna - powiedział sobie raz jeszcze.

Podszedł do szafki i wyjął butelkę szkockiej whisky. Nalał sobie porządnego drinka, upił łyk, zaczął, aż gorzki bursztynowy trunek przepłynie mu powoli przez gardło, a potem uniósł kieliszek w ironicznym, samotnym toaście.

- Za nas. Za nas wszystkich. Cokolwiek, do diabła, miałyby to słowo oznaczać.

Michael O'Connell także myślał o miłości. Siedział w barze. Wlał duży kieliszek szkockiej do kufła piwa i otrzymał w ten sposób napój, który służy do przytępienia zmysłów. Czuł, że wewnątrz kipi z gniewu, zdawał sobie sprawę, że żaden narkotyk ani trunek nie osłabi narastającego w nim napięcia. Wiedział, że choćby wypił nie wiadomo ile, pozostanie obrzydliwie trzeźwy.

Spojrzał na kufel, stojący na barze, przymknął oczy i pozwolił, by wściekłość rozlała się w każdym skrawku jego serca i wyobraźni. Nie znosił, gdy go wyprowadzano w pole lub przechwytrzano, więc jego najpilniejszym celem stało się teraz ukaranie tych, którzy sobie pozwolili na coś podobnego. Był zły na siebie za to, że uwierzył, iż niewielkie kłopoty, jakich przysporzył rodzinie Ashley, korzystając z Internetu, okażą się wystarczające. Muszą otrzymać znacznie surowsze lekcje. Pozbawili go czegoś, co do niego należało.

Im większy gniew z powodu zniewagi i upokorzenia, jakie go spotkały, trawił O'Connell, tym wyrazistszy obraz Ashley wyrastał mu przed oczami. Wyobrażał sobie jej włosy opadające rudoblonde pasmami na ramiona, doskonale, miękkie. Gdzieś wewnątrz siebie mógł malować każdy szczegół jej twarzy, rozkładając światła i cienie jak artysta, odnajdywać na jej wargach uśmiech, a w oczach zaproszenie i zachętę. W myślach wędrował wzdłuż jej ciała, podziwiał każdą krągłość, zmysłowość jej piersi, subtelny łuk bioder, nogi... Kiedy podniósł oczy i jego wzrok napotkał przyćmione światło baru, poczuł, że jest podniecony. Przesunął się na barowym stołku i pomyślał, że Ashley byłaby ideałem, gdyby nie to, że odpowiadała za policzek, który mu wymierzono. To uderzenie w serce. A kiedy trunek go rozluźnił, wiedział już, jaka będzie jego odpowiedź. Żadnych umizgów, żadnych łagodnych, delikatnych działań. Zrani ją tak samo jak ona jego. Tylko w ten sposób zmusi ją do zrozumienia, jak bardzo ją kocha.

Znowu drgnął na swoim stołku. Był już w pełni pobudzony.

Czytał kiedyś w jakiejś powieści, że wojownicy pewnych afrykańskich plemion rzucali się na swoich wrogów z tarczą w jednej ręce, włócznią w drugiej i ze wzwodem pomiędzy nogami.

Podobało mu się to.

Nie starając się wcale ukryć wybrzuszenia w spodniach, Michael O'Connell odepchnął od siebie pusty kufel i podniósł się gwałtownie. Miał przez moment nadzieję, że ktoś spojrzy na niego lub wypowie jakiś komentarz. W tej chwili, jak plemienny wojownik, bardziej niż cokolwiek pragnął walki.

Nikt nań nie spojrzał, nikt się nie odezwał. Trochę rozczarowany przeszedł w poprzek sali i wyszedł na ulicę. Zapadał wieczór, poczuł na twarzy zimny dotyk chłodu. Nie ostudziło to wcale jego wyobraźni. Rzucał się na Ashley, wchodził w nią, wykorzystywał każdy centymetr, każdą szczelinę, każde miejsce jej ciała dla swojej rozkoszy. Słyszał, jak reaguje, lecz niewiele go obchodziło, czy były to jęki i krzyki rozkoszy, czy szloch wywołany bólem. Miłość i krzywda, myślał. Pieszczota i cios. To wszystko jest jednym i tym samym.

Pomimo chłodu rozpiął kurtkę i kołnierzyk koszuli, zimne powietrze przesuwano się po jego ciele, gdy szedł przed siebie z odchyloną głową, oddychając potężnymi haustami. Niska temperatura nie osłabiła jego pożądan. Miłość jest jak choroba, pomyślał. Ashley była wirusem, który niekontrolowany płynął w jego żyłach. Zrozumiał już, że ona nigdy nie da mu spokoju. Nawet na jedną sekundę. Do końca jego życia. Myślał teraz, że jedynym sposobem panowania nad miłością do Ashley było posiadanie władzy nad nią. Nigdy dotąd nic nie wydawało mu się tak jasne.

Michael O'Connell okrążył róg budynku, w którym znajdowało się jego mieszkanie. W głowie kłębiły mu się obrazy pełne pożądan i krwi, zmieszane w niebezpieczny koktajl, toteż nie zwracał zupełnie uwagi na otoczenie, choć powinien, bo naraz usłyszał za sobą cichy głos:

- Pogadajmy sobie trochę, O'Connell.

I ktoś zamknął jego ramię w żelaznym uścisku.

Matthew Murphy z łatwością spostrzegł O'Connella, przechodzącego pod płonąca jasnym blaskiem lampą uliczną. Nic prostszego, jak wynurzyć się z cienia i ruszyć jego śladem. Murphy miał doskonale opanowane tego rodzaju techniki. Instynkt, jaki w sobie rozwinął w ciągu dwudziestu pięciu lat pracy w policji, mówił mu, że O'Connell jest nowicjuszem w kategorii prawdziwych przestępców.

- Kim ty jesteś, do diabła? - wyjąkał O'Connell.

- Jestem twoim najgorszym pieprzonym koszmarem, dupku. Otwórz teraz drzwi i chodźmy do ciebie spokojnie i miło, żebym ci w cywilizowany sposób wyjaśnił, jaki jest ten świat i jak on się toczy. Bo mógłbym także skopać ci porządnie dupę albo załatwić cię w sposób o wiele gorszy. Tego chyba nie chcesz, O'Connell? Jak cię nazywają twoi przyjaciele? OC? A może po prostu zwyczajnie Mickey? Jak to jest?

O'Connell próbował się wywinąć z uścisku, ale w efekcie jego ramię zostało zgniecione jeszcze mocniej, więc zrezygnował. Zanim zdążył odpowiedzieć, Murphy zarzucił go potokiem następnych pytań.

- Być może Michael O'Connell nie ma żadnych przyjaciół, więc nie ma też żadnych przezwisk. Wiesz co, Mickey-boy, wymyślę coś na poczekaniu. Bo, wierz mi, ty chcesz, żebym był twoim przyjacielem. Pragniesz tego bardziej niż czegokolwiek w swoim życiu. W tej chwili, Mickey-boy, to jest twoja najważniejsza potrzeba, numer jeden ze wszystkich twoich potrzeb na tej planecie: dopilnować, żebym pozostał twoim przyjacielem. Czy ty to rozumiesz?

O'Connell stęknął i próbował się odwrócić na tyle, by przyjrzeć się dobrze Murphy'emu, ale były policjant trzymał się wciąż za jego plecami i szeptał mu do ucha.



- Do środka. Schodami w górę. Do twojego mieszkania, Mickey-boy. Żebyśmy mogli uciąć sobie małą prywatną pogawędkę.

Popychając go i zmuszając, by szedł, wciąż pokpiwając i szydząc, Murphy poprowadził O'Connella przez drzwi wejściowe na pierwsze piętro. Gdy dotarli pod mieszkanie, Murphy wzmocnił uścisk, gniotąc mu mięśnie i poczuł, że chłopak zareagował na ostry ból.

- Jest jeszcze coś, o czym musisz pamiętać, jeśli mamy być przyjaciółmi, Mickey-boy. Ty nie chcesz, żebym się rozgniewał. Po prostu nie chcesz, żebym stracił panowanie nad sobą. Mógłbyś mnie zmusić do zrobienia czegoś, czego byś później żałował, jeśli dla ciebie będzie wtedy w ogóle jakieś później, w co mocno wątpię. Rozumiesz? No to otwieraj teraz drzwi.

O'Connellowi udało się jakoś wyjąć klucz z kieszeni i otworzyć zamek. Murphy spojrzął na korytarz i zobaczył gromadę czmychających pospiesznie kotów starszej pani. Jeden wygiął nawet grzbiet i prychnął w stronę O'Connella.

- Nie jesteś tu specjalnie lubiany, zgadza się, Mickey-boy? - powiedział Murphy i znowu wykręcił ramię młodemu mężczyźnie. - Masz coś przeciwko kotom? A może one mają coś przeciwko tobie?

- Nie jesteśmy w dobrych stosunkach - burknął O'Connell.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Murphy popchnął go brutalnie, tak że O'Connell wpadł z impetem do środka.

Potknął się o wytarty dywan, poleciał do przodu, wyrzwał z impetem o ścianę i obrócił się, chcąc wreszcie zobaczyć Murphy'ego. Ale detektyw już na nim siedział, zrobił to zaskakująco szybko jak na mężczyznę w średnim wieku. Zastygł nad nim niczym gargulec zwisający z gontów średniowiecznego kościoła, jego twarz wykrzywił półdrwiący uśmiech, oczy spoglądały gniewnie i surowo. O'Connell szamotał się, by się podnieść choćby do półsiedzącej pozycji, wreszcie spojrzął w górę i utkwiał wzrok w byłym policjancie.

- Niezbyt zadowolony, prawda, Mickey-boy? Nie przywykłeś do tego, żeby tobą rzucano, mam rację?

O'Connell nie odpowiedział. Wciąż jeszcze oceniał sytuację i był na tyle mądry, by się nie odzywać.

Murphy wykorzystał ten moment, rozpiął powoli kurtkę, odsłaniając swoją trzydziestkęósemkę w kaburze pod pachą.

- Jak widzisz, wziąłem ze sobą pewnego przyjaciela, Mickey-boy.

Młodszy mężczyzna stęknął znowu, jego wzrok przesuwiał się z twarzy Murphy'ego na broń i z powrotem. Detektyw sięgnął pod kurtkę i wydobyl pistolet. Nie zamierzał tego robić, ale coś, co dostrzegł w bezczelnym spojrzeniu O'Connella, przyspieszyło bieg wydarzeń. Szybkim ruchem wprowadził nabój do lufy i oparł kciuk na spuście. Powoli przesuwiał

pistolet w dół w kierunku O'Connella, aż wreszcie oparł lufę o jego czoło, dokładnie pomiędzy oczami.

- Pieprzę cię - powiedział O'Connell.

Murphy stuknął go w nos lufą pistoletu. Na tyle mocno, żeby mu sprawić ból, ale nie tak mocno, by mu go złamać.

- Niewybredny język. - Opuścił lewą rękę, chwycił policzki O'Connella i uszczypnął je, mocno ściskając między palcami. - A ja myślałem, że zostaniemy przyjaciółmi.

O'Connell nadal wpatrywał się w byłego policjanta i Murphy nagle trzasnął tyłem jego głowy o ścianę.

- Trochę więcej grzeczności - oznajmił zimno. - Trochę więcej uprzejmości. Dzięki temu wszystko przebiega gładko. - Sięgnął w dół, chwycił kurtkę O'Connella i unióśł go, wciskając mocno pistolet w jego czoło. Prawie rzucił chłopaka na krzesło, tak że O'Connell zwałił się na plecy, krzesło odchyliło się na tylnych nogach i z trudem utrzymał równowagę. - Nie byłem dotąd tak naprawdę zły, Mickey-boy. Wcale nie. My jeszcze ciągle się poznajemy.

- Nie jesteś gliniarzem?

- Znasz gliniarzy, prawda, Mickey-boy? Siedziałeś naprzeciwko gliniarza więcej niż parę razy, zgadza się?

O'Connell skinął głową.

- No cóż, masz pieprzoną, absolutnie stuprocentową rację - powie dział Murphy z uśmiechem. Z góry wiedział, że padnie takie pytanie. - Powinieneś chcieć, i to bardzo, żebym był gliniarzem. Powinieneś modlić się do jakiegokolwiek boga, o którym myślisz, że mógłby cię wysłuchać: „Proszę, panie, pozwól, żeby on był gliniarzem”. Bo gliniarze mają reguły, Mickey-boy. Reguły i przepisy. Ja nie. Ze mną jest o wiele trudniej. Jestem o wiele gorszy. O wiele, wiele gorszy. Jestem prywatnym detektywem.

O'Connell uśmiechnął się szyderczo i Murphy trzepnął go z całej siły w twarz. Odgłos jego dłoni uderzającej w policzek O'Connella zabrzmiał zaskakująco głośno w małym mieszkaniu.

Teraz uśmiech pojawił się na twarzy Murphy'ego.

- Nie powinienem wyjaśniać takich rzeczy komuś z taką przeszłością jak twoja, Mickey-boy. Ale ponieważ chcę, żebyśmy sobie trochę porozmawiali dzisiejszego wieczoru, pozwól, że wytłumaczę ci parę spraw. Po pierwsze, byłem gliniarzem. Przez ponad dwadzieścia lat pierniczyłem się z ludźmi bez porównania twardszymi niż ty. Większość tych twardej siedzi w pudle, przeklinając moje imię. Albo też są martwi i nie rozmyślają za wiele, ponieważ mają znacznie poważniejsze problemy na tamtym świecie. Po drugie, mam licencję prywatnego detektywa jak

należy, sygnowaną przez stan Massachusetts i rząd federalny Stanów Zjednoczonych oraz pełne upoważnienie do noszenia tej broni. A teraz, czy wiesz, co to oznacza?

O'Connell nic nie odpowiedział i Murphy ponownie uderzył go w twarz.

- Gównno! - wyrzucił z siebie O'Connell.

- Kiedy pytam o coś, Mickey-boy, odpowiadaj, proszę.

Detektyw odchylił znowu rękę do tyłu i O'Connell powiedział:

- Nie wiem, co to w sumie oznacza.

Murphy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To oznacza, że mam przyjaciół, prawdziwych przyjaciół, nie takich, jakich udajemy w tej małej zabawie dziś wieczorem, Mickey-boy, ale prawdziwych kumpi, którzy mają wobec mnie długi wdzięczności, których tyłki ratowałem niejedną raz, którzy z wielką chęcią zrobią dla mnie wszystko, ponieważ uwierzą we wszystko, co im powiem o naszym małym spotkaniu. Nie będą się przejmować ani trochę takim śmieciem jak ty. A jeśli im powiem, że rzuciłeś się na mnie z nożem lub jakąkolwiek bronią, którą mogę ci włożyć w martwą łapę i wyjaśnię, że to był cholerny pech, ale zwyczajnie musiałem odstrzelić twoją żalostną małą dupę, też mi uwierzą. Pogratulują mi nawet, że oczyściłem nieco ten świat, zanim zdążyłeś spowodować naprawdę poważne kłopoty. Odnotują to w aktach jako „działanie zapobiegawcze”. Taka jest obecnie twoja sytuacja, Mickey-boy. Inaczej mówiąc, mogę zrobić wszystko, na co będę miał pieprzoną ochotę, a ty nie możesz nic. Czy to jasne?

O'Connell zawahał się, ale potem, gdy spostrzegł, że Murphy szykuje się do następnego uderzenia, skinął głową.

- No to dobrze. Zrozumienie jest, jak mówią, krokiem w kierunku oświecenia.

O'Connell czuł krople krwi na wargach.

- Pozwolisz, że powtórzę, żebyśmy mieli pełną jasność: mam całkowitą swobodę działania, mogę zrobić wszystko, co uznam za słuszne, włącznie z wysłaniem twojej żalostnej duszy prosto do królestwa niebieskiego lub, co bardziej prawdopodobne, do piekła. Dotarło to do ciebie, Mickey-boy?

- Rozumiem swoją sytuację - odpowiedział O'Connell.

Murphy zaczął krążyć wokół krzesła. Nie odrywał lufy pistoletu od O'Connella, uderzając go boleśnie w głowę lub szturchając w miękkie miejsce nad karkiem.

- Masz tu naprawdę nędzne mieszkanko, Mickey-boy. Mocno podniszczone. Brudne...

Murphy spojrział na pokój, dostrzegł na stole laptop i pomyślał, że musi zabrać stąd zapasowe kopie dysków O'Connella. Dotąd wszystko

przebiegało mniej więcej w taki sposób, jak się tego spodziewał. Wyczuwał zdenerwowanie faceta, wiedział, że uporczywie postukując go pistoletem w głowę, wywoła u niego poczucie zagubienia. Jest taki moment podczas każdej konfrontacji, pomyślał Murphy, gdy doświadczony przesłuchujący uzyskuje władzę nad przesłuchiwanym, kontroluje go, doprowadza do uległości. Jesteśmy na dobrej drodze, uznał detektyw. Z pewnością zbliżamy się do celu.

- Nieciekawie wygląda to twoje życie, czy nie tak, Mickey-boy? Nie widzę tu jakiejś przyszłości.

- Mnie ono odpowiada.

- No tak. Ale co takiego pozwala ci myśleć choć przez jedną sekundę, że Ashley Freeman chciałaby być jego częścią?

O'Connell milczał. Murphy grzmotnął go z tyłu swobodną ręką.

- Odpowiedz na pytanie, gnojku.

- Ja ją kocham - powiedział O'Connell. - A ona kocha mnie. Murphy uderzył go znowu.

- Nie sądzę, żeby tak było, ty nędzna szumowino z samego dna. Cienka strużka krwi zaczęła się sączyć z ucha O'Connella.

- To jest dziewczyna z klasą, Mickey-boy. W przeciwieństwie do ciebie ma wielkie możliwości. Pochodzi z porządnej rodziny, jest wykształcona, kulturalna, ma szansę, że znajdzie się na szczycie. Ty natomiast wyrosłeś z gówna... - Murphy zaakcentował te ostatnie słowa, uderzając mocno O'Connella w twarz. - I skończysz w gównie. Co? W więzieniu. A może myślisz, że ci się uda tam nie trafić?

- Jestem w porządku. Nie naruszyłem prawa.

Wielokrotnie powtarzane uderzenia przyniosły efekt. O'Connellowi głos lekko się już łamał.

- Naprawdę? Chcesz, żebym ci się przyjrzał bliżej?

Murphy raz jeszcze stuknął lufą pistoletu w grzbiet nosa O'Connella, domagając się odpowiedzi.

- Nie.

- Tak myślałem.

Chwycił podbródek O'Connella i wykręcił go boleśnie. Zobaczył parę łez w kąciakach oczu Michaela.

- Ale Mickey-boy, czy nie uważasz, że powinieneś mnie poprosić trochę grzeczniej, żebym nie mieszał się do twego życia?

- Proszę, nie mieszaaj się do mojego życia - powiedział O'Connell powoli i cicho.

- Ba, chciałbym. Szczerze mówię, chciałbym. Więc, Mickey-boy, jeśli tylko spojrzysz na wszystko obiektywnie, czy nie sądzisz, że byłoby lepiej

zadbać o to, żebym już nigdy więcej nie pojawił się w twoim życiu? Żeby to nasze małe spotkanie, na tyle przyjacielskie, na ile być mogło, było ostatnie? Zgadza się?

- Zgadza się.

O'Connell nie bardzo wiedział, na które pytanie odpowiada, ale nie chciał, by znowu go uderzono. Nie sądził, by stojący przed nim mężczyzna chciał go zabić, ale nie miał stuprocentowej pewności.

- Musisz mnie o tym przekonać. Mam rację?

- Tak.

Murphy się uśmiechnął. Potem poklepał O'Connella po głowie.

- Tak więc naprawdę się rozumiemy - powiedział. - Negocjujemy te raz nasz własny, prywatny, indywidualny, tymczasowy nakaz sądowy. Zupełnie, jakbyśmy poszli do sądu. Z tą tylko różnicą, że nasz jest ostateczny, zrozumiałaś? Ty wiesz, co taki nakaz oznacza. Trzymaj się z daleka. Żadnych kontaktów. Nasz nakaz jest specjalny, ustalony tylko pomiędzy tobą a mną, Mickey-boy, nie wydał go jakiś stary pierdoła sędzia... Nasz zawiera rzeczywiste gwarancje.

Wypowiadając ostatnie słowo, Murphy uderzył O'Connella pięścią w policzek i zwałił go na podłogę. Zanim Michael zdążył zebrać myśli, Murphy stał nad nim z pistoletem w dłoni.

- Może powinienem przestać się z tobą opierdalać i skończyć to od razu - orzekł.

Zwolnił kciukiem bezpiecznik pistoletu, rozległ się wyraźny trzask. Uniósł lewą rękę, jakby chciał się osłonić przed wytryskiem mózgu i krwi.

- Daj mi jakiś powód - odezwał się Murphy. - W ten czy inny sposób, Mickey-boy. Ale daj mi jakiś powód, bym podjął inną decyzję.

O'Connell próbował wywinąć się spod lufy pistoletu, ale były policjant przygniótł go swoim ciężarem do podłogi.

- Proszę - zaczął nagle błagać O'Connell. - Proszę. Będę się trzymał od niej z daleka, obiecuję. Zostawię ją w spokoju.

- Dobry początek, gnojku. Mów dalej.

- Nigdy nie będę próbował się z nią kontaktować w jakikolwiek sposób. Już dla mnie nie istnieje. Będę się trzymał od niej z daleka. Co chcesz, żebym jeszcze powiedział?

O'Connell prawie szlochał. Każde zdanie, które wypowiadał, brzmiało bardziej żałośnie od poprzedniego.

- Pozwól, że się nad tym zastanowię, Mickey-boy.

Murphy opuścił rękę, którą się osłaniał, i odsunął pistolet od twarzy O'Connella.

- Nie ruszaj się. Chcę tylko rozejrzeć się po twoim pokoju.

Podszedł do tandetnego stołu, na którym stał laptop. Wokół komputera leżało kilka nieopisanych płyt CD. Murphy zgarnął je i wsunął do kieszeni swojej kurtki. Potem odwrócił się w stronę leżącego na podłodze Michaela.

- To tu przechowujesz swój plik z fałszywą stroną Ashley? To tego używasz do robienia durnych kawałów ludziom sto razy więcej wartym od ciebie?

O'Connell skinął głową i Murphy się uśmiechnął.

- Już nie będziesz - oznajmił dziarskim tonem. - Nigdy więcej.

- W następnej chwili trzasnął kolbą pistoletu w klawiaturę. - Ojej, jaka szkoda! - zawołał, gdy plastik się rozłupał.

Uderzył jeszcze dwukrotnie, w ekran i panel dotykowy. Laptop rozpadł się w kawałki.

O'Connell tylko patrzył, nie odzywając się słowem. Murphy dziobnął lufą pistoletu w rozbity komputer.

- Myślę, że już prawie skończyliśmy naszą rozmowę, Mickey-boy.

- Przeszedł przez pokój i stanął nad O'Connellem. - Chcę, żebyś sobie coś zapamiętał - powiedział szybko.

- Co? - zapytał O'Connell.

Miał oczy pełne łez, jak Murphy się spodziewał.

- Mogę cię zawsze odnaleźć. Mogę cię zawsze wytropić, choćbyś się wczognał w najczarniejszą, najobrzydliwszą szczurzą dziurę.

O'Connell tylko kiwnął głową.

Murphy popatrzył na niego z bliska twardym wzrokiem, szukając w jego twarzy oznak sprzeciwu, czegoś, co nie byłoby uległością. Gdy się przekonał, że nie ma tam nic takiego, uśmiechnął się.

- No dobrze. Myślę, że sporo się nauczyłeś dzisiajszego wieczoru, Mickey-boy. I nie było to takie straszne, prawda? Mnie nasze małe spotkanie sprawiło prawdziwą przyjemność. Była niezła zabawa, zgodzisz się ze mną? Nie, chyba jednak się nie zgodzisz. Ale jeszcze tylko jedna, ostatnia rzecz...

Murphy pochylił się, opadł na kolana, raz jeszcze przycisnął O'Connella do podłogi, a jednocześnie wepchnął mu raptownie do ust lufę pistoletu i poczuł, jak metal uderza o zęby. Dostrzegł w jego oczach przerażenie, czyli to, czego w nich szukał.

- Bang - powiedział cicho.

Po czym powoli wyjął broń z ust O'Connella, wstał, uśmiechnął się do niego szeroko, obrócił się i wyszedł.

Zimne wieczorne powietrze uderzyło Matthew w twarz. Miał chęć wybuchnąć głośnym śmiechem. Wsunął trzydziestkęsemkę z powrotem do kabury pod pachą, poprawił płaszcz, żeby wyglądać przyzwoicie, i

ruszył wzdłuż ulicy szybko, ale bez szczególnego pośpiechu, ciesząc się mrokiem, miastem i poczuciem sukcesu. Obliczał, ile czasu zajmie mu powrotna droga do Springfield, i zastanawiał się, czy zdoła tam dojechać na tyle szybko, by dostać gdzieś spóźniony obiad. Po paru krokach zaczął nucić pod nosem. Miał rację: okazja, żeby się rozprawić z takim typem jak O'Connell, warta była dziesięcioprocentowego rabatu, jakiego zamierzał udzielić Sally Freeman-Richards. Nie było to takie cholernie ciężkie, prawda? - powiedział do siebie. Czuł się szczęśliwy i zdecydowanie odmłodzony. Okazało się, że nie utracił swojej dawnej sprawności.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobię jutro rano, pomyślał, będzie sporządzenie małego sprawozdania. Pominę momenty, w których najważniejszą rolę odegrała trzydziestkaósemka, i prześlę ten raport Sally wraz z rachunkiem i opinią, że nie będzie musiała więcej się martwić Michaeliem O'Connellem. Murphy chlubił się tym, że wiedział dokładnie, jaka dawka strachu przemawia skutecznie do słabych ludzi.

Rwało go w uchu i szczypał dotkliwie policzek. O'Connell przypuszczał, że stracił jeden lub parę zębów, bo czuł w ustach smak krwi. Był trochę zdrętwiały, gdy podniósł się z podłogi, ale poszedł prosto do okna i udało mu się dostrzec byłego policjanta, kiedy ten skręcał za róg domu. Michael O'Connell wytarł ręką twarz i pomyślał: nie było to takie cholernie ciężkie. Najłatwiej udawało mu się skłonić policjantów do tego, żeby mu uwierzyli, gdy pozwalał się bić. Czasami był to bolesny sposób, czasami żenujący, zwłaszcza gdy gliniarzem był starszy facet, z którym łatwo dałby sobie radę, chyba że tamten miałby broń, a on nie. O'Connell uśmiechnął się, oblizał wargi i poczuł słony smak. Powiedział sobie, że wiele się nauczył tego wieczoru. Murphy miał rację. Przede wszystkim jednak dowiedział się, że Ashley nie pojechała wcale na stypendium. Gdyby była we Włoszech, tysiące kilometrów stąd, po co jej rodzina wysyłałaby narwanego ekspolicjanta, żeby go zastraszył? Nie miałyby to żadnego sensu, chyba że Ashley była gdzieś blisko, o wiele bliżej, niż mógł sobie to wyobrazić. W jego zasięgu? Wierzył, że tak. O'Connell wciągnął gwałtownie powietrze przez nos. Nie wiedział, gdzie była, ale mógł ją odnaleźć dostatecznie prędko, a czas i tak przestał już mieć dla niego znaczenie. Liczyła się tylko Ashley.

Budynek redakcji „News Republican” stał na opuszczonym terenie przylegającym do dworca kolejowego; roztaczał się stąd przygnębiający widok na autostradę międzystanową, place parkingowe i pola puste

przestrzeni zarzucone śmieciami. Było to jedno z tych miejsc, które sprawiają wrażenie wyeksploatowanych i opuszczonych - porywy niesfornego wiatru targały łańcuchami ogrodzeń, leżały sterty gruzu, a przejścia pod autostradą pokrywały gęsto graffiti. Trzypiętrową siedzibę „News Republican” zbudowano z pustaków i cegły; wyglądał bardziej na arsenał czy twierdzę niż na redakcję gazety. Wewnątrz znalazłem niewielką salę wyposażoną w komputery; niegdyś nosiła uroczą nazwę „kostnica”.

Uczynna młoda osoba pokazała mi, jak się dostać do plików archiwalnych, a znalezienie informacji o ostatnim dniu Matthew Murphy'ego nie zajęło mi wiele czasu. Może zresztą należałoby powiedzieć - o ostatnich jego chwilach.

Tytuł na pierwszej stronie brzmiał: *Były oficer wydziału dochodzeniowo-śledczego policji stanowej zamordowany!*

Były też dwa podtytuły: *Ciało znaleziono na jednej z uliczek i Policja określa to jako zabójstwo wyglądające na egzekucję.*

Zapełniłem parę stron notatnika szczegółami odnotowanymi w serii relacji z tego dnia oraz kilku następnych. Wyglądało na to, że lista podejrzanych nie ma końca. Murphy brał udział w wielu poważnych śledztwach w okresie czynnej służby, a po przejściu na emeryturę w dalszym ciągu nieustannie przysparzał sobie wrogów jako prywatny detektyw. Nie miałem wątpliwości, że to morderstwo potraktowano absolutnie priorytetowo. Dochodzenie prowadzili oficerowie policji w Springfield oraz wydział zabójstw policji stanowej, który przejął śledztwo. Zapewne silny nacisk wywierał na nich tutejszy prokurator okręgowy; zabicie policjanta należy do spraw, które mają decydujący wpływ na przebieg kariery ludzi odpowiedzialnych za ich rozwiązanie. Każdy funkcjonariusz organów porządku publicznego chciał z pewnością włączyć się do poszukiwań zabójcy. Zamordowanie jednego z nich to jak wyrwanie kawałka ciała wszystkim pozostałym.

Kiedy przeglądałem gazetowe relacje, zauważyłem, że z dnia na dzień stawały się one coraz krótsze, a to, na co oczekiwano, nie nastąpiło. Nikogo nie aresztowano. Nikomu nie przedstawiono zarzutów. Nie wyznaczono też terminu sprawy sądowej dotyczącej tego morderstwa.

To była historia, której wielkie dramatyczne zakończenie rozplynęło się w nicości.

Odsunąłem się od komputera, patrząc na tekst mrugający na ekranie: „Nie znaleziono żadnych dalszych wpisów odpowiadających wyszukiwanym słowom”.

To było nie w porządku. Ktoś w brutalny sposób zabił Murphy'ego i musiało to mieć jakiś związek z Ashley. Na pewno łączyło się jakoś z jej osobą, ale nie umiałem dociec jak.



## 25. Poczucie bezpieczeństwa

Sekretarka zapukała w otwarte drzwi gabinetu Sally. W dłoni trzymała kopertę przysланą pocztą ekspresową.

- Do ciebie, przysła przed chwilą- powiedziała. - Nie wiem od kogo. Mam się tym zająć?

- Nie, wezmę ją. Wiem, co to jest.

Sally podziękowała sekretarce, wzięła od niej kopertę i zamknęła drzwi. Uśmiechnęła się. Murphy był nadmiernie ostrożnym człowiekiem. Domyśliła się, że miał skrytkę pocztową po to, by móc się posługiwać jej numerem do korespondencji o bardziej poufnym charakterze. Rzucające się w oczy nagłówki na papierze firmowym i adresy zwrotne były często niewygodne dla osób jego profesji.

Zadzwoił do niej w drodze powrotnej z Bostonu, wieczorem kilka dni wcześniej.

- Myślę, że pani problem od dziś całkowicie zniknie, pani Freeman-Richards.

Była w domu, siedziała naprzeciwko Hope, obie czytały. Hope pogrzyła się w lekturze *Opowieści o dwóch miastach* Dickensa, Sally natomiast przeglądała niedzielno „New York Timesa”.

- To dobra wiadomość, Murphy. Sprawileś mi wielką radość. Ale chciałabym wiedzieć, skąd masz taką pewność? - Sally łatwo przybrała wypróbowany rozsądny ton głosu adwokatki.

- Cóż, nie wiem, jak dokładnej relacji oczekuje pani od mnie. Ale nasz wspólny „przyjaciel”... - wypowiedziawszy to słowo, Murphy się roześmiał. - To znaczy on i ja odbyliśmy rozmowę. Pożyteczną rozmowę. Długą dyskusję na temat wszystkiego, co przemawia za i przeciw jego, nazwijmy to, zachowaniu. I kiedy rozmowa, która przebiegała zgodnie z moimi przewidywaniami, dobiegła końca, pan O’Connell uznał, że dalsze nękanie Ashley może mu istotnie przysporzyć poważnych problemów. W przeblysku rozsądku oświadczył wtedy w sposób jednoznaczny, że zniknie definitywnie z jej życia.

- Murphy, uwierzyłeś mu?

- Miałem wszelkie powody po temu, żeby mu uwierzyć, pani Freeman-Richards. Jego szczerość nie budziła wątpliwości.

Sally milczała przez chwilę, starając się czytać między wierszami tego, co mówił.

- Nikt nie odniósł żadnych obrażeń? - zapytała.

- Trwałych nie. Chyba że pan O'Connell ma teraz złamane serce, ale w to wątpię. Jednakże pomogłem mu uświadomić sobie poważne ryzyko, jakie pociągnęłoby za sobą kontynuowanie jego dotychczasowego postępowania, więc doszedł do bardzo światłych konkluzji. Nie jestem pewien, czy chciałaby pani poznać więcej szczegółów, pani Freeman-Richards. Mogłoby to się okazać zbyt przykre dla pani.

Sally pomyślała, że w ich rozmowie pojawia się jakiś dziwny ton. Sprawiało to wrażenie, jakby była niezdolna do poznania i zrozumienia pewnych rzeczy; kojarzyło się jej to z wiktoriańską wrażliwością - jakby jej rozmówca obawiał się, że nagle zblednie i zemdleje, poczuwszy przykry zapach.

- W porządku, nie chciałbym.

- Tak sądziłem. Przyślę pani sprawozdanie jutro lub za parę dni. I gdyby miała pani jakiegokolwiek powody, by zaś podejrzewać, lub zobaczyłaby pani coś niepokojącego, proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy, a ja się tym zajmę. Chodzi mi o to, że zawsze istnieje nikła możliwość, że pan O'Connell zmieni swoją decyzję. Ale wątpię, by tak się stało. Wydaje mi się bardzo słabym typem, pani Freeman-Richards. To człowiek małego formatu i nie mam na myśli jego wzrostu. Przypuszczam, że na sto procent zniknął teraz z waszego życia. Jeśli więc w przyszłości będzie pani potrzebny ktoś do podobnych zadań, mam nadzieję, że będzie pani o mnie pamiętać.

Sally zaskoczyła trochę charakterystyka O'Connella, którą przedstawił Murphy. Nie zgadzała się za bardzo z jej własną opinią. Ale brzmiała uspokajająco, więc odsunęła na bok zastrzeżenia, jakie mogło w niej budzić to, co usłyszała.

- Oczywiście, Murphy. Wydaje się, że załatwiłeś tę sprawę tak, jak tego oczekiwałam. Trudno mi nawet wyrazić, jak miło było mi to usłyszeć.

- Zadowolony klient to dla mnie wielka przyjemność, pani mecenas. Sally odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Hope.

- Świetnie, i tak właśnie będzie.

- Co masz na myśli?

- Wysłałam znajomego prywatnego detektywa, żeby wyjaśnił pewne fakty tej kreaturze, która przyczepiła się do Ashley. Jak można było się spodziewać, kiedy facet stanął twarzą w twarz z kimś od siebie silniejszym, zdecydowanie twardszym i bardziej doświadczonym, zmiękł od razu. Tacy goście zawsze są tchórzami. Gdy im pokażesz, że nie pozwolisz się zastraszyć, podwijają ogon pod siebie i już ich nie ma.

- Tak sądzisz? - zapytała Hope. - Ja nie jestem tego pewna. Mam wrażenie, chociaż nie bardzo wiem dlaczego, że ten typ jest mocniejszy. Sprytniejszy i sprawniejszy w działaniu, niż sądzisz. Przypomnij sobie, jakiego nam narobił zamieszania, posługując się komputerem.

- Posłuchaj, Hope. Próbowaliśmy pertraktować z nim w uczciwy sposób; dać mu szansę, by odszedł dobrowolnie. Zapłaciliśmy mu nawet sporą sumę pieniędzy. Czy mogliśmy postępować jeszcze bardziej fair?

- Nie wiem.

- Byliśmy wobec niego zupełnie szczerzy, prawda?

- Tak przypuszczam.

- I to do niego nie dotarło? Nie chciał się pogodzić z sytuacją, która zadowoliłaby nas wszystkich? No więc otrzymał teraz małą lekcję, dowiedział się, jak potrafimy być twardzi. I w ten sposób sprawa jest zakończona.

Hope powstrzymała się od pokręcenia głową, ale miała wątpliwości. Sally widziała to w jej oczach, otworzyła usta, by coś powiedzieć, zmieniła jednak zamiar i w pokoju znowu zaległo milczenie.

- No cóż, to tyle - powiedziała tonem, który dawał do zrozumienia, że uważa sprawę za definitywnie zakończoną, trochę zirytowana brakiem bardziej zdecydowanego poparcia ze strony Hope.

Sally sięgnęła po kopertę przysланą przez Murphy'ego, usiadła przy biurku i odtworzyła w myślach swoją rozmowę z Hope. Przyszło jej do głowy, że role dziwnie się odwróciły - to Hope, która była młodsza i często bardziej nieustępliwa, powinna być bardziej usatysfakcjonowana niż ona.

Sally otworzyła kopertę i wysypała jej zawartość na blat biurka.

Oprócz listu przewodniego znajdował się w niej plik papierów spiętych razem, kilka fotografii i zestaw płyt CD.

Były to fotografie Michaela O'Connella zrobione na zewnątrz jego domu. Plik papierów zawierał dane z jego skromnej kartoteki policyjnej, informacje o dotychczasowej pracy i edukacji oraz o rodzinie, łącznie z imionami, nazwiskami i adresami obojga rodziców. Była tam adnotacja, że jego matka zmarła. Do płyt Murphy przykleił notatkę:

*Te płyty są zakodowane. Specjalista bez problemu da sobie z nimi radę. Prawdopodobnie są tam informacje dotyczące pani córki. Może zdjęcia. Zabrałem je z mieszkania O.C., ale domyślam się, że zrobił kopie i gdzieś ukrył. Nie wiedziałem, czy chce pani wydać dodatkowe pieniądze na ich zbadanie przez profesjonalnego informatyka. Komputer, którym się posługiwał O.C., uległ przypadkowemu zniszczeniu podczas naszego spotkania, a więc wszystkie informacje na twardej dysku przypuszczalnie zostały skasowane.*

W swoim liście Murphy opisał krótko spotkanie z O'Connellem, ale nie podał znaczących szczegółów na temat ich rozmowy. Przedstawił wreszcie rachunek za usługę z grzecznościowym rabatem.

Sally natychmiast chwyciła książeczkę czekową i wypisała polecenie wypłaty dla Murphy'ego. Włożyła je do zwykłej koperty wraz z liścikiem,

w którym napisała tylko tyle: *Dziękuję za pomoc. Zadzwoń, jeżeli okazałoby się, że są konieczne dalsze kroki.*

Wepchnęła wszystkie te materiały, łącznie z płytami CD, do szarej koperty i napisała na niej dużymi literami: *Prześladowca Ashley.* Z uczuciem ulgi podeszła do swojej wielkiej szafy na dokumenty i wsunęła kopertę głęboko do najniższej szuflady, gdzie, jak sądziła, będzie spoczywała spokojnie przez następne lata.

W świetle późnego popołudnia na krawędzi Green Mountains wszystko nabierało ostrości. Rysowało się wyraźniej, gdy dzień wtapiał się w noc w ostatnich tygodniach przed nadejściem zimy. Catherine zastygła bez ruchu przy oknie nad kuchennym zlewem; patrzyła na zachód, nie odrywając wzroku od Ashley. Opatulona w jaskrawożółte futerko dziewczyna siedziała na brzegu kamiennego tarasu. Za nią aż po brzeg pobliskiego lasu rozciągało się trawiaste pole. Poprzedniego dnia w Brattleboro kupiły papier, sztalugi, pędzle i akwarele i teraz Ashley była pochłonięta malowaniem, próbowała uchwycić ostatnie promienie światła, które przesuwwały się wzdłuż grzbietów gór i zatrzymywały na krótką chwilę w gałęziach sosen. Catherine starała się odczytać język ciała Ashley; wydawało jej się, że wyraża zarówno frustrację, jak i ożywienie. Była odprężona, a widok pędzla w ręku Ashley i rozłożonych przed nią farb przynosił jej radość. Uderzyła ją myśl, że młodą kobietę i obraz łączyło podobieństwo - i ona, i on znajdowali się w trakcie procesu tworzenia, formowania.

Znaczną część wieczoru po przyjeździe Ashley spędziły, popijając herbatę i rozmawiając o tym, co się stało. Catherine słuchała dziewczyny ze zdumieniem i zarazem z rosnącym uczuciem niepokoju.

Teraz wyjrzała przez okno i zobaczyła, że Ashley za pomocą akwareli przeniosła długie bladoniebieskie pasmo nieba na arkusz papieru rozpięty na sztaludze.

- To nie jest w porządku - powiedziała na głos.

Poczuła lęk z powodu Michaela O'Connella. Ashley może zacząć traktować wrogo wszystkich mężczyzn.

Zacisnęła palce na brzegu zlewu, żeby się uspokoić, niezdolna wyrazić to, co majaczyło w jej podświadomości. Nie chciała się przyznać, że to obawa, żeby Ashley nie stała się taka jak Hope. A kiedy lęk wtargnął do jej serca, zaczął narastać w niej ból. Kochała swoją córkę. Hope była mądra. Hope była piękna. Hope była pełna wdzięku. Inspirowała innych. Wydobywała najlepsze cechy z dzieciaków, z którymi pracowała, i z tych, które trenowała. Taką córkę jak Hope chciałaby mieć każda matka... Z jednym wyjątkiem... i to było coś, co przerastało Catherine, z czym

nie potrafiła się uporać w żaden sposób. I gdy tak, patrząc przez okno, przyglądała się swojej... przybranej wnuczce?... nie mogła się uwolnić od osaczającego ją lęku. Ale Catherine nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej obawy dotyczyły czegoś zupełnie innego, niż dotyczyć powinny.

- Jak zginął Murphy? - zapytałem.
  - Jak? Z pewnością może pan dojść do tego. Czy to była kula? Czy to był nóż? A może to był pułkownik Mustard? Są różne możliwości.
  - Chcę wiedzieć, jak było naprawdę.
  - Nas interesuje: dlaczego - powiedziała. - Niech mi pan powie - podjęła nagle - czy kiedykolwiek aresztowano kogoś podejrzanego o morderstwo Murphy'ego?
  - Nie. A w każdym razie ja nic o tym nie wiem.
  - No właśnie, wydaje mi się, że starając się znaleźć odpowiedź, szuka pan odpowiedzi nie tam, gdzie by należało. Nikogo nie aresztowano. To coś chyba panu mówi? Chciałby pan, żeby ktoś, ja albo jakiś policjant lub prokurator, powiedział panu: „No tak, Murphy został zabity przez... ale nie mieliśmy dostatecznych dowodów, by go aresztować...” Bo to byłoby miłe, uporządkowane i przejrzyste - umilkła na chwilę. - Ale nigdy nie mówiłam panu, że to jest prosta opowieść.
- To, co powiedziała, było prawdą.
- Potrafi pan myśleć tak kreatywnie jak Scott, Sally, Hope i Ashley?
  - Tak - odparłem stanowczo za szybko.
  - To dobrze - mruknęła. - Łatwo powiedzieć. Trudniej zrobić... Nie odpowiedziałem jej, bo mógłbym obrazić samego siebie.
  - Ale niech mi pan powie, czy potrafi pan myśleć podobnie jak O'Connell?

## 26. Pierwsze najście

Z. Longfellow Bridge mógł patrzeć wzdłuż rzeki Charles w stronę Cambridge. W ten wczesny poranek było zimno i rześko, ale środkiem rzeki płynęły już łodzie załogowe. Wiosła przeczesywały atramentową toń zgodnymi ruchami, wywołując drobne wiry na spokojnej powierzchni. Woda zaczęła się srebrożyć zalewana coraz silniejszym światłem dnia. Słyszał, jak wiosłarze wydawali synkopowane sieknięcia, których rytm

wyznaczał spokojny, równy głos sternika. Szczególnie podobało mu się to, że najmniejszy mężczyzna nadawał tempo, ten najslabszy członek zespołu kierował potężniej zbudowanymi, silniejszymi mężczyznami. Najmniejszy był najważniejszy; on jeden mógł widzieć, dokąd płyną, i on jeden władał sterem. O'Connellowi spodobała się myśl, że on, chociaż był wystarczająco silny, by dobrze wiosłować, był także dostatecznie sprytny, by siedzieć na rufie przy sterze.

Kładka nad mostem była miejscem, gdzie Michael O'Connell przechodził, gdy chciał przemyśleć jakiś skomplikowany problem. Samochody pędziły jezdnią z brawurową szybkością. Przechodnie sunęli chodnikiem w tempie typowym dla ludzi podążających rano do biur. W dole woda płynęła w stronę morza, a w oddali pociągi metra pełne pasażerów dojeżdżających do pracy wynurzały się spod ulic. O'Connell miał wrażenie, że jest jedynym człowiekiem, który stoi spokojnie i nie musi się nigdzie spieszyć. Setki rzeczy typowych dla poranka w mieście powinny go rozproszyć, ale niejednokrotnie już przekonał się, że tu, gdzie stał, mógł się skoncentrować nad każdym dylematem, wobec którego postawiło go życie.

Pomyślał, że ma dwa problemy:

Ashley.

I ekspliniarz Murphy.

Było dla niego oczywiste, że może dotrzeć do Ashley poprzez Scotta albo Sally. Odnalezienie dziewczyny wydawało mu się proste; uważał, że potrafi to zrobić. Na przeszkodzie stał jednak detektyw, i był on znacznie poważniejszym wyzwaniem. O'Connell oblizał wargi; wciąż jeszcze czuł w ustach smak krwi i opuchliznę w miejscu, gdzie był bity. Zaczerwienienie i obrzęk znikaly szybko, ale pamięć reagowała znacznie wolniej. Gdyby pojawił się w pobliżu rodziców Ashley, mogliby poszczuć na niego prywatnego detektywa. Jest nieco mniej straszny, niż chciał się wydawać, pomyślał O'Connell. Przypomniął sobie, że dotychczas, we wszystkich kontaktach z Ashley i jej rodziną, to on, Michael, był tym jedynym zdolnym do użycia siły. Jeśli dojdzie do przemocy, to on powinien mieć przewagę i kontrolować sytuację. Murphy zmienił układ i to się O'Connellowi nie podobało.

Wyciągnął ręce i zacisnął dłonie na betonowej ozdobnej barierze, żeby się uspokoić. Wściekłość była jak narkotyk, zalewała go falami, zmieniając wszystko w kalejdoskop emocji. Spojrzał w dół na ciemną rzekę przepływającą pod jego stopami; wątpił, czy nawet jej zimna, bliska zamarznięcia woda mogłaby go ostudzić. Odetchnął powoli, opanował narastającą furję. Gniew był jego przyjacielem, ale nie mógł pozwolić na to, by działał przeciwko niemu. Skup się, powiedział do siebie.

Po pierwsze, należało usunąć ze sceny Murphy'ego.

O'Connell nie sądził, że to będzie trudne. Raczej trochę ryzykowne, ale możliwe do wykonania. I nie tak łatwe jak to, co zrobił kilkoma manipulacjami komputerowymi Scottowi, Sally, Hope i Ashley, tylko po to, by się dowiedzieli, z kim mają do czynienia.

Michael O'Connell spojrział na wodę i zobaczył, że jedna z żałóg zrobiła sobie odpoczynek. Lekka łódź ślizgała się po powierzchni siłą rozpędu, a wiosłarze pochyleni lekko do przodu pozwalali wiosłom wlec się za nią. Podobało mu się to, że łódź płynęła dalej napędzana jedynie wspomnieniem siły. Przypominała brzytwę przecinającą powierzchnię rzeki i O'Connell pomyślał, że jest do niej bardzo podobny.

Prawie cały dzień i pierwszą część wieczoru spędził na obserwacji budynku, gdzie Murphy miał swoje biuro. Ucieszył się, gdy tylko nań spojrział: budynek był stary, brakowało w nim wielu urządzeń zabezpieczających, które mogłyby utrudnić mu realizację zamiarów. O'Connell uśmiechnął się do siebie; jeśli dotąd nie było to jego pierwszą zasadą, stać się nią powinno: „Zawsze wykorzystaj cudze słabości i zmień je w swoje mocne punkty”.

Prowadził obserwacje z trzech różnych miejsc. Ze swojego samochodu zaparkowanego w połowie drogi do najbliższej przecznicy, z hiszpańskiego sklepu spożywczego na rogu i z chrześcijańskiej czytelnicy usytuowanej niemal na wprost tamtego budynku. Miał jeden zły moment: kiedy wyszedł z ostatniego punktu obserwacyjnego, Murphy pojawił się w drzwiach frontowych swojego biura.

Jak każdy doświadczony detektyw umiejący zadbać o własne bezpieczeństwo, natychmiast odwrócił się w prawo i w lewo, zlustrował oba krańce ulicy i zbadał wzrokiem teren po drugiej stronie jezdni. O'Connell poczuł wewnątrz nagły chłód, przeszył go lęk, że mógłby zostać rozpoznany.

Zdał sobie sprawę, że gdyby teraz się odwrócił i dał nura w głąb budynku lub gdyby zamarł w bezruchu, a potem próbował się ukryć, Murphy spostrzegłby go natychmiast.

Toteż postąpił inaczej; przemógł się i leniwym krokiem ruszył wzdłuż ulicy, w stronę sklepiku na rogu, nie starając się zniknąć z pola widzenia detektywa. Zgarbił się tylko i odwrócił głowę nieco w bok, by nie rzucać się zbyt w oczy. Uniósł prawą rękę, poprawił kołnierz kurtki, by zasłonić twarz, i nie odwrócił się ani razu, dopóki nie dotarł do drzwi sklepu. Gdy tylko znalazł się wewnątrz, wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, co robi Murphy.

Zaśmiał się cicho. Detektyw szedł powoli, coraz bardziej się oddalając.

Jak gdyby w ogóle nie obchodził go cały świat, pomyślał O'Connell, przyglądając się Murphy'emu beztrząsco kroczącemu ulicą w stronę

parkingu. A może była to po prostu arogancja, przekonanie, że nikt nie może go tknąć?

Murphy'emu nie przyszłoby do głowy, że O'Connell tak łatwo wytropił miejsce, w którym pracował, że miał w kieszeni jego adres domowy i numer telefonu. Ani to, że po tym jak został przez niego pobity, O'Connell pojechał za nim do zachodniego Massachusetts. Wszystko to przekraczało granice jego wyobraźni, pomyślał Michael. Dlatego właśnie nie mógł mnie dostrzec, nawet gdybym stał nie dalej niż dwadzieścia metrów od niego.

Był pewien, że skończył już ze mną.

O'Connell wrócił do swojego samochodu i czekał, obserwując i notując w pamięci inne, nieliczne zresztą, osoby opuszczające ten sam budynek co Murphy. Jedną z nich była, jak sądził, sekretarka Murphy'ego. Przyglądał się kobiecie, która szła w tę samą stronę co detektyw - na parking. Nieładnie, pomyślał O'Connell, zmuszać kogoś pracującego tak długo za marne pieniądze do zamykania drzwi na klucz wieczorem. Zwłaszcza kogoś, komu obca była zapewne sztuka zabezpieczania drzwi tak, by były naprawdę niedostępne. Po chwili zapalił silnik i powoli ruszył. Chciał znaleźć się blisko jej samochodu, gdy będzie wyjeżdżała z parkingu.

W ciągu dwudziestu czterech godzin Michael O'Connell zebrał dostateczną jego zdaniem ilość informacji, by zrobić następny krok, który miał przybliżyć chwilę uzyskania swobody w poszukiwaniach Ashley.

Wiedział już, kiedy zamykano na noc wszystkie inne firmy w budynku Murphy'ego. Wiedział, że osobą, która codziennie wychodziła ostatnia, był kierownik ośrodka pomocy mieszczącego się naprzeciwko biura detektywa. To on zamykał główne drzwi budynku na jeden zamek. Adwokat, który zajmował parter, miał tylko jedną współpracownicę. O'Connell podejrzewał, że mężczyzna zdradzał żonę, ponieważ zawsze wychodził z dziewczyną pod rękę. Porozumiewali się też charakterystycznym blaskiem pary połączonej potajemną więzią. O'Connell z przyjemnością myślał o tym, że uprawiali seks na podłodze, wijąc się z rozkoszy na jakimś brudnym, wytartym dywanie. Gdy wyobrażał sobie miejsce, gdzie leżeli, ich pozycje, a nawet namiętność, czas mijał mu szybko.

Niewiele wiedział o sekretarce Murphy'ego, choć coś niecoś udało mu się wywęszyć. Miała trochę ponad sześćdziesiąt lat i była wdową. Mieszkała samotnie. Zanedbana kobieta, której jedynymi towarzyszami życia były dwa mopsy - Pan Duży i Piękna. Była do nich bardzo przywiązana.

O'Connell pojechał za sekretarką do supermarketu Stop and Shop. Łatwo udało mu się nawiązać z nią rozmowę, gdy zatrzymała się przed działem z psim jedzeniem.



- Przepraszam, czy mogłaby mi pani pomóc? Moja dziewczyna właśnie kupiła małego psa i chciałem wybrać dla niego najlepszą psią karmę, ale jest ich aż tyle. Czy zna się pani na psach?

Przypuszczał, że gdy kilka minut później wychodziła z supermarketu, myślała sobie: Jakież to miły, grzeczny młody człowiek.

Michael O'Connell zaparkował o dwie przecznice od budynku Murphy'ego. Była za kwadrans piąta. Wszystko, czego potrzebował, miał spakowane w tanim marynarskim worku ukrytym w bagażniku. Oddychał szybko jak pływak wyczynowy, który za chwilę ma wspiąć się na słupek startowy i próbuje uspokoić się przed skokiem w głębinę.

Jeden trudny moment, pomyślał. Potem reszta pójdzie gładko.

O'Connell wysiadł z samochodu, dwukrotnie sprawdził, że parkometr w miejscu, gdzie postawił auto, jest wypełniony po brzegi, a potem ruszył szybkim krokiem ku swojemu celowi.

Przy końcu kwartału ulic przystanął i poczekał chwilę, aż okryje go mrok. W pierwszych dniach listopada nowoangielska noc zapada nagle, przejście od światła dnia do ciemności trwa zaledwie kilka chwil. To czas, kiedy O'Connell czuł się najswobodniej.

Musiał tylko dostać się do środka niezauważony przez nikogo, zwłaszcza przez Murphy'ego lub jego sekretarkę. Wziął kolejny głęboki oddech, skupił myśli na Ashley, przypomniał sobie, że będzie mu do niej znacznie bliżej, gdy ta noc dobiegnie końca, i ruszył pospiesznie. Nikt z pewnością nie spodziewał się, że on może tu być.

Gdy O'Connell dotarł do głównych drzwi, zobaczył, że niewielki korytarz w środku jest pusty. W sekundę znalazł się wewnątrz.

Usłyszał świszczący dźwięk - winda zjeżdżała w jego stronę. Natychmiast przeszedł korytarzem w kierunku wyjścia awaryjnego i zamknął za sobą solidne stalowe drzwi. Przywarł do ściany, próbując wyobrazić sobie ludzi znajdujących się po drugiej stronie. Pot zaczął mu spływać po plecach, miał wrażenie, że poznaje głos Murphy'ego, niemożliwy dlań do pomylenia z żadnym innym, a potem głos jego sekretarki.

Musi nakarmić te mopsy, powiedział do siebie. Na nią już czas.

Usłyszał, jak główne drzwi się zamknęły.

O'Connell spojrział na zegarek. „No, szybciej”, szepnął. „Dzień się skończył. Kierownikowi poradni, pańska kolej”.

Przywarł znowu do ściany i czekał. Awaryjna klatka schodowa nie była zbyt dobrym miejscem do ukrywania się. Wiedział jednak, że tej nocy posłuży mu do jego celów. Jeszcze jeden znak, pomyślał, że Ashley jest mu przeznaczona. To było tak, jakby ona sama pomagała mu odnaleźć siebie. Zostaliśmy stworzeni, żeby być razem, pomyślał. Uspokoił swój

gwałtowny oddech, przymknął oczy i pozwolił, by jego obsesja wyparła zeń wszystko oprócz wspomnień o Ashley.

Michael O'Connell włamywał się już niejedną raz do pustych sklepów i domów mieszkalnych, wielokrotnie do fabryk i lokali różnych firm. Był pewny swojej biegłości w tej sztuce. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby przygotować jakąś historyjkę na wypadek, gdyby ktoś go tutaj znalazł. Wiedział, że jest bezpieczny. Uważał, że chroni go miłość.

Była prawie siódma, gdy usłyszał ostatni skrzypiący odgłos windy. Wstrzymał oddech, pochylił głowę w kierunku, z którego dobiegł ów dźwięk, i nagle spowiła go ciemność. Kierownik poradni nacisnął główne wyłączniki światła znajdujące się obok windy. O'Connell usłyszał, jak drzwi wejściowe otworzyły się, a potem zamknęły, jeszcze szczęk, gdy obrócił się klucz w zamku. Spojrzał na zegarek - tarcza jarzyła się światłem na tyle silnym, że bez trudu mógł odczytać godzinę.

Odczekał kolejnych piętnaście minut, potem otworzył drzwi klatki schodowej i wrócił do holu. Był lekko zdziwiony, że wszystko okazało się tak łatwe.

Ostrożnie wyjrzał przez oszklone główne drzwi, lustrując spojrzeniem ulicę. Potem przekreślił zasuwę i wyszedł na zewnątrz.

Szybkim krokiem doszedł do swojego samochodu, otworzył bagażnik i wyjął marynarski worek.

Po paru minutach znalazł się z powrotem w budynku.

Sięgnął do worka i wydobył stamtąd kilka par gumowych rękawiczek. Włożył je pospiesznie, naciągając jedną parę na drugą; podwójna warstwa powinna być lepszym zabezpieczeniem. Wyjął butelkę środka dezynfekcyjnego w sprayu sporządzonego na bazie amoniaku i obficie spryskał rączkę zasuw, której dotykał. Gdy skończył, zamknął ponownie drzwi i spryskał z kolei klamkę drzwi awaryjnej klatki schodowej oraz wszystkie miejsca, których dotykał rękami. Potem wspiął się po schodach na pierwsze piętro. Po drodze wyjął małą latarkę i przykrył szkło kawałkiem czerwonej taśmy; światło stało się o połowę słabsze, ale zyskał gwarancję, że dostrzeżenie go z zewnątrz przez okno stało się niemal niemożliwe. Trochę czasu zabrało mu sprawdzenie, czy w korytarzu nie ma jakichś urządzeń alarmowych lub kontrolnych - ale nie znalazł żadnego. Pokręcił głową. Sądził, że Murphy wybrał na swoją siedzibę miejsce bardziej bezpieczne, ale czujniki podczerwieni i monitorujące systemy wideo dużo kosztowały. Czynsz za lokale w tym budynku był pewnie niezwykle niski i to właśnie stanowiło jego największą zaletę.

A poza tym co tu można ukraść?

Nie było żadnych pieniędzy. Żadnej biżuterii. Żadnych dzieł sztuki. Żadnych przenośnych urządzeń elektronicznych.

Każdy szanujący się złodziej uznałby, że znacznie łatwiejsze i przynoszące nieporównanie większe korzyści byłoby włamanie się gdzie indziej. Do diabła, pomyślał O'Connell, w sklepiku spożywczym na rogu znalazłoby się prawdopodobnie więcej niż tysiąc dolców w metalowej kasetce z podnoszonym wiekiem i użyteczny pistolet kaliber .12 na półce pod kasą. Byłby to znacznie ponętniejszy cel.

Ale on nie miał zamiaru obrabiać jak byle ćpun jakiegoś sklepiku. Rozejrzał się wokół. Co cennego mogło być w tym budynku?

Uśmiechnął się znowu. Informacje - odpowiedział sam sobie.

Powodem, dla którego zdecydował się na tę nocną przygodę, była chęć upewnienia się, że informacje, których poszukiwał, różniły się trochę od tych, jakich można by się spodziewać w takim miejscu.

Otwarcie zamka w drzwiach prowadzących do biura Murphy'ego zajęło O'Connellowi trochę czasu i kiedy w końcu udało mu się je sforsować, pomyślał przezornie o dodatkowych urządzeniach zabezpieczających, takich jak ukryte kamery lub detektor ruchu. Gdy drzwi się otworzyły, włożył na głowę cienką kominiarkę. Zacisnął zęby, przygotowany na to, że za chwilę usłyszy dźwięk alarmu.

Gdy nic nie złączyło panującej w budynku ciszy, poczuł radość i ulgę.

Ostrożnie przeszedł w głąb pomieszczenia biurowego i rozejrzał się uważnie, by sprawdzić, co się tu znajduje. I znowu miał ochotę się roześmiać.

Był, jak się okazało, w dawno nieodnawianej poczekalni, w której stało kilka mebli: biurko dla sekretarki, tandetna kozetka o nierównej powierzchni i fotel. Przyległy pokój stanowił właściwe biuro, w którym Murphy załatwiał sprawy i przyjmował klientów. Prowadziły do niego znacznie solidniejsze drzwi opatrzone paroma zasuwami.

O'Connell zawahał się, wyciągnął rękę w kierunku gałki w drzwiach, potem zmienił zamiar. Ten podły sukinsyn ma prawdopodobnie wszelkie urządzenia alarmowe i zabezpieczające, jakie uznał za niezbędne, pomyślał.

Odwrócił się i spojrzął w stronę biurka sekretarki. Miała własne stanowisko komputerowe.

O'Connell usiadł na jej krześle i włączył komputer. Pojawiło się powitanie, a po chwili okienko z żądaniem hasła.

Michael raz jeszcze wziął głęboki oddech i wystukał imiona obu psów. Potem próbował różnych połączeń tych imion, mieszał je i zestawiał. Bezskutecznie. Przez moment rozważał inne możliwości, potem uśmiechając się do siebie, wystukał na klawiaturze: „Miłośniczka mopsów”.

Komputer zaszumił, wydał trzask i przed O'Connellem wyświetlił się wykaz plików niemal wszystkich, jak ocenił, spraw prowadzonych przez Murphy'ego. Przewinął go i znalazł *Ashley Freeman*. Przewyciężył chęć, by natychmiast go otworzyć. Jeśli się teraz powstrzymam, pomyślał, tym większa będzie później przyjemność. Potem zaczął przeglądać jeden po drugim pozostałe pliki w komputerze sekretarki; kilkakrotnie zatrzymał się przy skłaniających do refleksji cyfrowych zdjęciach przechowywanych wraz z informacjami dotyczącymi niektórych spraw. Zaczął skrupulatnie kopiować cały materiał na kilka nowych kompaktów kupionych specjalnie w tym celu. Przypuszczał, że nie zdobył wszystkich materiałów zgromadzonych przez byłego policjanta w jego komputerze. Z pewnością był na tyle sprytny, by najcenniejsze ukryć w miejscu, do którego dostęp miał tylko on. Mnie, uznał O'Connell, to, co tu jest, całkowicie wystarcza.

Zanim skończył swoje dzieło, minęło parę godzin. Ciało trochę mu zeszytniało, wstał więc od biurka sekretarki i się przeciągnął. Potem opadł na podłogę i zrobił szybko kilka pompek, by rozluźnić mięśnie. Następnie podszedł do drzwi gabinetu Murphy'ego, sięgnął do swojego marynarskiego worka i wydobyl nieduży łom. Wykonał jakby od niechcienia kilka ruchów, podrapał powierzchnię drzwi, porył trochę drewno i na tym poprzestał. Podszedł do biurka sekretarki, wyważył szuflady i porozrzucił po podłodze ich zawartość - papiery, kartridże do drukarki i ołówki. Znalazł oprawiony portret dwóch mopsów, upuścił go na podłogę i stłukł szkło. Gdy uznał, że narobił wystarczającego bałaganu, wyszedł i zamknął za sobą drzwi na zamek. Gdy zasuwa wsunęła się na swoje miejsce, raz jeszcze podniósł łom, rozbił ościeżnicę, pozostawiając kawałki drewna na podłodze, a drzwi uchylone.

Następnie przeszedł do lokalu poradni i włamał się tam, stosując tę samą brutalną technikę. Znalazłszy się w środku, splądrował szybko szuflady i szafy na dokumenty, rozrzucając w ciągu paru minut tyle papierów i śmieci, ile zdołał.

Zszedł klatką schodową na dół i zrobił to samo w biurze adwokata. Pootwierał szafy na dokumenty i porozrzucił papiery na podłodze. Otworzył łomem biurko adwokata, znalazł kilkaset dolarów w gotówce i wrzucił do marynarskiego worka. Już miał wychodzić, ale zdecydował się zajrzeć jeszcze do szuflad w biurku asystentki adwokata. Mogłaby się poczuć zlekceważona, potraktowana jak autsajderka, gdybym nie zdemolował również jej stanowiska pracy, pomyślał, uśmiechając się do siebie. Ale zamarł na moment, gdy zobaczył, co leżało na dnie ostatniej szuflady.

- A do czegoż to potrzebne takiej porządnej dziewczynie jak ty? - szepnął.

Był to półautomatyczny pistolet kaliber 25. Mały, łatwy do ukrycia, ulubiona broń prawdziwych mężczyzn i zabójców, ponieważ jest cichy, a w dodatku łatwo dopasować do niego tłumik własnej roboty. Gdy jego siedmio-strzałowy magazynek naładuje się pociskami o rozszerzonej zaokrąglonej główce, doskonale nadaje się do celów, do których go skonstruowano. Pistolet dla pań, tylko jeśli trafi do rąk osoby znającej się na broni.

- Zabiorę cię po prostu ze sobą- syknął O'Connell. - Ma pani pozwolenie na coś takiego? Zgłosiła go pani na policji w Springfield? Podejrzewam, że nie, kochanie. Przyjemny, nielegalny pistolecik, prawda?

Michael O'Connell wsunął broń do swojego marynarskiego worka. Bardzo pożytecznie spędzona noc, pomyślał, przyglądając się bałaganowi, jakiego narobił.

Rankiem kierownik poradni zawiadomi policję. Przyjedzie funkcjonariusz i przyjmie zeznania. Powie wszystkim, żeby obejrzel ich rzeczy i ustalili, co zostało skradzione. A potem dojdą do wniosku, że włamał się tu jakiś ćpun szukający łatwej zdobyczy i rozczarowany tym, że tak niewiele było do ukradzenia, porzucił wszystko, w ten sposób wyładowując swoją wściekłość. Ten dzień upłynie wszystkim na sprzątanii, wezwą ludzi, by zreperowali zniszczone drzwi, ślusarza, by założył nowe zamki. Przyniesie to kłopotów każdemu, między innymi adwokatowi i jego kochance, która z pewnością nie zgłosi kradzieży nielegalnie posiadanego pistoletu.

Każdemu z wyjątkiem Matthew Murphy'ego, który uzna, że dodatkowe zasuwki i grube drzwi ocaliły jego biuro. Pogratuluje sobie i dojdzie do wniosku, że nic nie zginęło. Prawdopodobnie nawet nie będzie mu się chciało zawiadamiać swojej firmy ubezpieczeniowej.

Jedyne, co robi, to kupi swojej sekretarce nową ramkę do fotografii jej psów.

Jakąś niedrogą zresztą ramkę, pomyślał O'Connell, gdy wyszedłszy z budynku, zanurzył się w mroku nocy.

Główny śledczy w biurze okręgowej prokuratury dla okręgu Hampden był drobnym, czterdziestoparoletnim mężczyzną. Miał rzadkie, rudawo-złote, rozbrajająco długie włosy i nosił okulary w szylkretowych oprawkach. Patrząc uważnie poprzez pokój w swoją stronę, szybko położył nogi na biurku i zakołysał się do tyłu na czerwonym skórzanym fotelu. Jego dość odpychający sposób bycia wydawał się przyjacielski i nerwowo zarazem.

- A więc śmierć pana Murphy'ego i to, że nie udało nam się zakończyć śledztwa, tak jak należało, sprowadza pana do mnie?

- Tak - potwierdziłem. - Przypuszczam, że badały tę sprawę różne

organy i jeśli któryś z nich był bliski aresztowania kogoś, do pana należałoby doprowadzenie do rozprawy sądowej.

- Zgadza się - powiedział. - Ale nikogo nie postawiliśmy w stan oskarżenia.

- Mieliście jednak jakiegoś podejrzanego?

Pokręcił głową.

- Podejrzanych. To, krótko mówiąc, stanowiło problem.

- Jak to?

- Zbyt wielu wrogów. Nie tylko zbyt wielu ludzi, którym jego śmierć przyniosłaby korzyść, ale i znaczna liczba takich, którzy by się szczerze z niej ucieszyli. Murphy został zabity, jego ciało pozostawiono na przejściu dla pieszych jak kawałek śmiecia, a w naszym stanie wypito niejednen kieliszek, radośnie świętując to wydarzenie.

- Ale na pewno mogliście zawęzić grono podejrzanych?

- Owszem. Do pewnego stopnia. Ludzie, których braliśmy pod uwagę jako potencjalnych zabójców, nie zdradzali chęci, by pomagać policji. Wciąż jeszcze mamy nadzieję, że komuś gdzieś, może w więzieniu, może w sądzie, wymknie się parę słów i pozwoli nam to skupić uwagę na jednej czy dwóch osobach. Ale zanim nadejdzie ten szczęśliwy dzień, sprawa zamordowania byłego policjanta Murphy'ego pozostanie nierozwiązana.

- Musicie przecież mieć jakieś tropy...

Główny śledczy westchnął, zdjął nogi z biurka i zakołysał się ponownie.

- Znał pan detektywa Murphy'ego?

- Nie.

- Murphy nie był zbyt sympatycznym facetem - powiedział, kręcąc głową. - Typ człowieka, który chadzał niebezpiecznymi ścieżkami. Nie da się powiedzieć na pewno, do jakiej kategorii należy zaliczyć to zabójstwo, dopóki nie dowiemy się czegoś nowego. Oczywiście poza tym, co mogliśmy wywnioskować po zbadaniu zwłok, a mogliśmy, niestety, niewiele.

- Ale jednak coś?

- Zabójstwo miało wszelkie znamiona działania profesjonalisty.

Śledczy podniósł się z fotela, stanął za mną i przytknął wskazujący palec do tylnej części mojej czaszki.

- Bach, bach - powiedział. - Dwa strzały w głowę. Dwudziestkapiątka, prawdopodobnie z tłumikiem. Obie kule po wyjęciu okazały się znacznie zdeformowane, ich identyfikacja była niemożliwa. Ciało zaciągnięto do przejścia dla pieszych i wepchnięto za pojemniki na śmieci. Pozostało nie zauważone, dopóki następnego poranka nie przyjechała śmieciarka. Ten, kto zabił Murphy'ego, wiedział, jak go zaskoczyć. Niewiele było materiału nadającego się do badań przez ekspertów z zakresu

medycyny sądowej. Nie znaleziono nawet jednej porzuconej łuski od naboju, co potwierdza, że sprawcą był ktoś biegły w sztuce zabijania, kto nie stracił głowy i pozbierał łuski, zanim odszedł. W tę noc, kiedy zginął Murphy, padał ulewny deszcz, co dodatkowo utrudniło odnalezienie jakichś śladów na miejscu zbrodni. Nie było żadnych świadków. Żadnych natychmiastowych tropów. Bardzo trudna sprawa od samego początku, nie było nikogo, kto mógłby nam wskazać właściwy kierunek śledztwa.

Zatoczył krąg po pokoju i tym razem przysiadł na rogu biurka. Uśmiechnął się, jego spojrzenie przypominało teraz trochę spojrzenie barakudy.

- Czym było to morderstwo? Aktem zemsty? Zapłatą za coś, co miało miejsce w przeszłości? Może był to po prostu napad rabunkowy? Jego portfel został opróżniony. Ale karty kredytowej nie zabrano. To dziwne, prawda? - przerwał na moment, potem zapytał: - A skąd pańskie zainteresowanie? Jaki jest jego powód?

- Murphy był zaangażowany w sprawę, którą się zajmuję - odparłem, starannie dobierając słowa.

- Jeden z oficerów śledczych rozmawiał ze wszystkimi klientami Murphy'ego. Zaznajomił się ze wszystkimi sprawami, którymi się zajmował, w momencie gdy go zamordowano. Wszystkimi sprawami, nad którymi kiedykolwiek pracował. Jaka pana interesuje?

- Ashley Freeman - powiedziałem ostrożnie.

Główny śledczy pokręcił głową.

- To bardzo ciekawe. Nie przypuszczałem, że znajdzie się tam coś interesującego. To było jedno z jego drobniejszych zleceń. Poświęcił tej sprawie kilka dni, nie więcej. I uporał się z nią, tak sądzę, jakiś czas przed morderstwem. Nie, ten, kto zabił Murphy'ego, był związany albo z jednym z gangów narkotykowych, które pomógł rozbić, kiedy jeszcze był gliniarzem, albo z jakąś grupą przestępczości zorganizowanej, której zagrażał, działając jako prywatny detektyw. A może był to jakiś funkcjonariusz policji uwikłany w brudne sprawy rozwodowe. Te osoby są najbardziej podejrzane.

Skinąłem głową.

- Ale wie pan, co naprawdę intryguje mnie w całej tej sprawie?

- Co takiego? - zapytałem.

- Kiedy zaczęliśmy szukać głębiej i odwiedzać ewentualnych podejrzanych, wyglądało na to, że każdy z nich spodziewał się naszej wizyty.

- Spodziewano się was? Dlaczego miałoby być w tym coś niezwykłego?

Śledczy znowu się uśmiechnął.

- Murphy starał się działać w sposób dyskretny. To w końcu naturalne w tym fachu. Był skryty. Nie wtajemniczał nikogo w swoje sprawy zawodowe.

Jedyną osobą, która miała mgliste pojęcie o tym, czym się zajmował i co zamierzał robić w danym dniu, była jego sekretarka. Pisała dla niego na maszynie, prowadziła jego rozliczenia, segregowała papiery.

- Nie potrafiła wam pomóc?

- Nie wiedziała nic. Kompletna beznadzieja. Ale nie w tym był problem. Milczał przez chwilę, wpatrując się we mnie uważnie, zanim zaczął mówić dalej.

- Jak to się mogło stać, że ci wszyscy ludzie wiedzieli, że on im zagraża? To fakt, niektórzy spośród tych, którymi się interesował, musieli się domyślić, że Murphy węszy wokół nich. Ale oni stanowili tylko niewielki procent. Jednakże sytuacja była inna, niż oczekiwaliśmy. Powtarzam: ci ludzie wiedzieli. Wszyscy. Kiedy pojawialiśmy się pod ich drzwiami, czekali na nas, każdy z niepodważalnym alibi. Coś tu jest nie w porządku. W stu procentach nie tak. I to jest istotne pytanie, prawda?

Podniosłem się z miejsca.

- Chce pan mieć prawdziwą powieść kryminalną, panie pisarzu? - za pytał główny śledczy. Uścisnął mi dłoń i powrócił za biurko. - No więc niech pan odpowie na to pytanie.

Przemilczałem tę sugestię, ale w tym momencie znałem już odpowiedź.

## 27. Drugie najście

Hope nie znosiła, gdy wokół niej nic się nie działo.

Zdała sobie sprawę, że chodząc po kampusie, uczestnicząc w ostatnich treningach sezonu, przygotowując się do zimy, znajduje się w stanie ciągłego niepokoju. Była wciąż napięta, ale nie potrafiła zrozumieć swoich emocji. Uświadamiała sobie nagle, że przemierza ścieżki kampusu w pośpiechu, gdy tymczasem nigdzie jej się nie spieszyło. Doznawała raptownie wrażenia, że zaschło jej w gardle, ma spieczone wargi, narzmiwały język, i zaczynała łapczywie pić wodę z butelki. W trakcie rozmów przylapywała się na tym, że wiele z tego, co zostało powiedziane, w ogóle do niej nie docierało. Jakiś niejasny lęk utrudniał jej myślenie, nie pozwalał się dostatecznie skoncentrować i kiedy kolejny dzień mijał spokojnie, wyobrażała sobie, że coś złego wydarzyło się gdzieś w innym miejscu.

Nie wierzyła nawet przez sekundę w to, że Michael O'Connell zniknął z ich życia.



Na ile się orientowała, Scott na powrót rzucił się w wir zajęć dydaktycznych. Sally wróciła do swoich spraw rozwodowych z poczuciem satysfakcji, że podjęła niezbędne kroki, które umożliwiły rozwiązanie problemu Ashley.

A ona i Sally powróciły raz jeszcze do zimnowojennego „odpreżenia”, które stało się ostatnio tak charakterystyczne dla ich związku. Wygasły nawet najsłabsze uczucia. Nie było teraz żadnych pieścizot ani śmiechu, a już na pewno żadnych gestów zachęcających do seksu. Wyglądało to tak, jakby stały się mniszkami mieszkającymi pod tym samym dachem, śpiącymi w tym samym łóżku, ale oddanymi całkowicie czemuś idealnemu istniejącemu poza nimi. Hope zastanawiała się, czy ostatnie miesiące, które Sally przeżyła pod jednym dachem ze Scottem, były podobne. Czy też może zachowywała pozory, spała z nim, udawała uczucia, przygotowywała posiłki, sprzątała, prowadziła z nim rozmowy, a jednocześnie wymykała się o dziwnych porach z domu, spotykała z Hope i mówiła, że to do niej naprawdę należy jej serce.

Z boisk dobiegały do Hope głosy grających. Okres decydujących meczów, pomyślała. Jeszcze jedno spotkanie. Dwa do półfinałów. Trzy do zdobycia mistrzostwa. Z trudem mogła się skupić na myśleniu o meczach; pochłaniało ją całkowicie grzędawisko emocji związanych z Ashley, Michaeliem O'Connelllem i przede wszystkim z Sally, tworzyły one trudną do zniesienia mieszaninę.

Gdy się przechadzała, przypomniała sobie, jak poznała Sally. Miłość, pomyślała, zawsze powinna być czymś tak prostym. Zobaczyły się po raz pierwszy na otwarciu jakiejś galerii. Zaczęły rozmawiać. Opowiadały sobie dowcipy i słuchały swojego śmiechu. Postanowiły wypić razem drinka. Potem coś zjeść. Później spotkały się znowu, tym razem w środku dnia. A wreszcie to lekkie dotknięcie dłoni, szept, szybkie spojrzenie i stało się - zakochały się w sobie, tak jak Hope przeczuwała od pierwszej chwili.

Kocham, pomyślała. To było słowo, którego Michael O'Connell nadużywał, a którego Hope nie wymawiała od tygodni. Może od miesięcy. Ashley powiedziała jej: „On mówi, że mnie kocha”. Hope wiedziała, że wszystko, co robił, nie miało nic wspólnego z miłością.

Pochyliła się i zgarbiła.

On już zniknął, powiedziała sobie.

Tak przecież mówiła Sally.

Tak powtarzał Scott.

Ashley także uważa, że on już zniknął.

Hope w to nie wierzyła.

Ale jednocześnie nie potrafiła znaleźć żadnego konkretnego dowodu na to, że O'Connell znów się pojawił.

Usłyszała głosy i zobaczyła dziewczęta ze swojej drużyny; machały rękami, wykonywały ćwiczenia i rozmawiały, zebrawszy się na środku boiska treningowego. Sięgnęła po gwizdek wiszący na jej szyi, ale postanowiła, że pozwoli im, by odprężyły się jeszcze przez minutę lub dwie. Młodość mija tak szybko, pomyślała, powinny się nacieszyć każdą chwilą. Wiedziała jednak, że młodzi nigdy tego nie rozumieją.

Westchnęła i odgwizdała koniec treningu. Postanowiła, że będzie codziennie rozmawiała z matką i Ashley, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Dziwiło ją, dlaczego Sally i Scott nie postępują tak samo.

Sally wpatrywała się w nagłówek wieczornej gazety i czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Pochlaniała każde słowo z całej serii relacji, potem przeczytała je ponownie, utrwalając sobie w pamięci wszystkie szczegóły. „Były policjant zamordowany. Zwłoki znaleziono na ulicy”. Gdy opuściła gazetę, zauważyła, że jej palce były pokryte czarną farbą drukarską. Przyjrzała się im zaskoczona i zrozumiała, że gdy czytała gazetę, jej spoczone dłonie porozmazywały farbę.

„Zabójstwo jak egzekucja”. Te słowa przykuły uwagę Sally. „Policja bada związki przestępczości zorganizowanej z morderstwem”.

To nie ma nic wspólnego z Ashley, powiedziała sobie.

Przechyliła się do tyłu, jakby ktoś mocno uderzył ją w żołądek.

To z całą pewnością ma związek z Ashley, pomyślała.

W pierwszym odruchu chciała do kogoś zadzwonić. Jako adwokat stykała się z wieloma prawnikami związanymi z biurem prokuratora okręgowego. Z pewnością któryś z nich mógł znać więcej szczegółów. Jakies poufne informacje. Jedną ręką sięgnęła po spis telefonów, drugą – po słuchawkę telefonu, ale się powstrzymała. Co ja robię?

Wzięła głęboki oddech. Nie prowokuj nikogo do grzebania w twoim życiu. Każdy prokurator, nawet luźno związany ze sprawą zamordowania Murphy'ego, zadałby jej wiele pytań; byłoby ich znacznie więcej niż odpowiedzi, których by udzielił na jej pytania. Gdyby zadzwoniła tam, gdzie zamierzała, wszystkie swoje problemy i samą siebie uwikłałaby w coś, czego częścią stać się nie miała ochoty.

Sally zakasłała. Zleciła Murphy'emu, żeby zajął się Michaeliem O'Connelllem. Przysłał jej raport, załatwił sprawę skutecznie. Problem rozwiązany. Wszyscy są już bezpieczni. Ashley może żyć swobodnie. A wkrótce potem Murphy nie żyje. Według niej to nie miało sensu. To było tak, jakby patrzyła, jak słynny matematyk, jakiś Einstein, pisze  $2 + 2 = 5$  na szkolnej tablicy i nie rozlega się żaden głos sygnalizujący błąd.

Złapała gazetę i przeczytała każde słowo od nowa po raz trzeci.

Nic nie wskazywało na to, żeby Michael O'Connell miał z tym cokolwiek wspólnego.

Morderstwa dokonał profesjonalista. Winą należało obciążyć jakichś prawdziwych przestępców, którym Murphy stanął na drodze. To było zabójstwo wykraczające poza możliwości mechanika, maniaka komputerowego studiującego sporadycznie w college'u, drobnego przestępcy Michaela O'Connella, wmawiała sobie uparcie Sally. On naprawdę nie miał z tym nic wspólnego.

Odchyliła się w tył na fotelu, oddychając ciężko.

Nie, wszyscy jesteście bezpieczni. To po prostu zbieg okoliczności. Jego śmierć nie ma żadnego związku z naszą sytuacją. Ostatecznie powodem, dla którego wybrała Murphy'ego, była jego gotowość do pomijania pewnych subtelności prawa. Z pewnością w innych przypadkach używał znacznie gorszych metod działania, robiąc sobie wszędzie wrogów. Któryś z nich w końcu go dopadł. Tak właśnie musiało być.

Powoli wypuściła powietrze z płuc. Nie, prawdziwy problem polegał na tym, że bez względu na to, czym Murphy zagroził O'Connellowi, by go przywołać do porządku, jego groźby straciły znaczenie. I to było teraz dla nich najbardziej niebezpieczne. Prawdopodobnie Michael O'Connell wiedział już o zamordowaniu Murphy'ego i od razu dostrzegł korzyści, jakie z tego płynęły.

Daleko idące założenie, pomyślała. Mimo to znowu sięgnęła po telefon.

Było jej przykro, że to robi. Irytowało ją, że okaże się nieporadna, bo nie umiała właściwie wykonać swojego zadania, ale mimo wszystko musiała zadzwonić do byłego męża.

Sally wybrała numer Scotta i poczuła, że znowu zaczyna się pocić.

- Czytałeś już gazetę? - obcesowo zapytała Sally.

Gdy Scott usłyszał w słuchawce jej głos, jego pierwszą reakcją była irytacja.

- „New York Timesa”? - zapytał dziarskim tonem, choć wiedział, że nie o tę gazetę jej chodzi.

- Nie. Lokalną popołudniówkę.

- Nie czytałem. Czemu pytasz?

- Na pierwszej stronie jest relacja, dokładnie mówiąc, seria relacji o zamordowaniu byłego policjanta w Springfield...

- No tak. To tragiczne. Z całą pewnością. I co?

- To był ten prywatny detektyw, którego wysłałam, żeby się spotkał z Michaeliem O'Connellem, gdy ty organizowałeś wyjazd Ashley z Bostonu. Wykonał swoje zadanie kilka dni po tym, jak udało ci się załatwić jej zniknięcie.

- Swoje zadanie... - powiedział Scott.  
- Nie pytałam go o szczegóły. On też się w nie wdawał. Ze zrozumiałych powodów.

Scott zastanawiał się przez chwilę, zanim odezwał się ponownie.

- A co to ma wspólne z nami i z Ashley?

- Prawdopodobnie nie - odparła pospiesznie Sally. - Prawdopodobnie to tylko zbieg okoliczności, fatalna seria nie mających ze sobą związku wydarzeń. Ten detektyw poinformował mnie, że spotkał się z O'Connellem i że nie będziemy już mieli z nim żadnych kłopotów. A potem został zabity. Trochę mnie to zaskoczyło. Nie jestem pewna, czy to ma związek z nami. Ale pomyślałam sobie, że powinieneś przynajmniej o tym wiedzieć.

- A więc - powiedział Scott, używając modulowanego głosu i tonu, jakim posługuje się profesor podczas zajęć ze studentami - sugerujesz, że możemy mieć problem? Cholera, myślałem, że sprawa jest załatwiona. Sądziłem, że pozbyliśmy się na dobre tego sukinsyna.

- No, nie wiem - zawahała się Sally. - Czy mamy jakiś problem? Wątpię. Informuję cię tylko o pewnym szczególe, który może być istotny.

- A więc posłuchaj. Ashley jest nadal w Vermoncie, cała i zdrowa, z matką Hope. Wydaje mi się, że jej następnym krokiem powinno być rozpoczęcie studiów w Nowym Jorku albo gdzieś na drugim krańcu kraju, na przykład w San Francisco, w każdym razie w jakimś innym miejscu. Wiem, że bardzo lubi Boston, przywiązała się do tego miasta, ale zgodziliśmy się, że rozpoczęcie wszystkiego od nowa to dobry pomysł. Spędzi więc jakiś czas w Vermoncie, patrząc, jak żółkną liście i pada śnieg, a potem zacznie studia w semestrze wiosennym. Sprawa zakończona. Powinniśmy trzymać się takiego scenariusza, a nie denerwować się i martwić każdym drobiazgiem.

Sally zacisnęła zęby. Nie znosiła być pouczana.

- Chimera - rzuciła.

- Słucham?

- Mitologiczny potwór. Brzmi groźnie, ale przecież nie istnieje.

- Tak. No i?

- Po prostu sposób, w jaki można na to patrzeć. Akademicki sposób patrzenia.

Sally powiedziała to, żeby zirytować Scotta. Wiedziała, że nie powinna tego robić, a jednak zrobiła. W związkach, które się rozpadają, pewne nałogi zostają na zawsze.

- No cóż, być może. Mimo wszystko podążajmy naprzód. Musimy zabrać dokumenty Ashley z uczelni, tak żeby mogła się starać o przyjęcie na studia, nawet jeśli musiałaby zacząć od nauki w trybie zaocznym. Najlepiej, jeśli załatwi to któreś z nas, a nie ona. Powinni przesłać te

papiery pocztą do nas, a nie do Vermontu.

- Ja się tym zajmę - powiedziała Sally. - Posłużę się adresem mojego biura.

Zirytowana odłożyła słuchawkę. Doskonale знаła swojego byłego męża. Od czasu, gdy się poznali, w ogóle się nie zmienił, mimo tego wszystkiego, co przez te lata się wydarzyło. Zawsze wiedziała, czego można po nim się spodziewać.

Wciąż siedziała przy biurku. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że ciemność pokonała już całkowicie resztki dnia.

Michael O'Connell spoglądał na ten sam gęstniejący mrok ze swojego punktu obserwacyjnego pod rozrośniętym dębem oddalonym o pół przecznicy od domu Sally i Hope. Czuł przyspieszone bicie serca, jakby Ashley była blisko. Widział, jak po obu stronach ulicy zaczynają rozbłyskać światła. Co chwila jakiś samochód przemykał po jezdni, a blask jego reflektorów omiatał trawniki. Widział też domowników w oknach kuchni, gdzie przygotowywano kolacje, oraz łagodną, metaliczną poświatę włączanych telewizorów.

Mam mało czasu, pomyślał. Nie sądził jednak, że będzie go potrzebować wiele.

Sally i Hope mieszkały na krętej, dość starej ulicy, której architektura stanowiła dziwną mieszaninę: z nowszymi domami stylizowanymi na ran-cza sąsiadowały okazałe budynki wiktoriańskie zbudowane na początku stulecia. Ta osobliwa dzielnica cieszyła się dużym powodzeniem z powodu pełnych zieleni ulic i solidnego, kojarzącego się ze średnią klasą wyglądu. Mieszkali tu przeważnie lekarze, prawnicy i profesorowie uczelni. Wszędzie było mnóstwo trawników, żywopłotów i małych ogrodów. Tu ludzie nie wydawali, jak mieszkańcy niektórych innych dzielnic, dużych sum na supernowoczesne systemy ochrony.

O'Connell szybko ruszył w stronę interesującego go domu. Wiedział, że Sally zazwyczaj zostawała długo w biurze, a Hope prowadziła treningi aż do chwili, gdy robiło się tak ciemno, że nie było już widać piłki. Mógł więc liczyć na to, że wróca wystarczająco późno.

Przebył drogę dzielącą go od celu, przemykając od jednego pnia drzewa do drugiego, po czym wśliznął się bez wahania w mrok na granicy z ich domem. Za podjazdem prowadzącym na podwórko z tyłu był stary, drewniany płot. Michael O'Connell przystanął na moment, gdy w kuchennym oknie sąsiedniego domu rozbłysło nagle światło, i przywarł plecami do ściany.

Dom zbudowano na niewielkim wzniesieniu, więc okna salonów O'Connell miał teraz wysoko nad głową. Ale podobnie jak w wielu starszych domach była tu obszerna piwnica z wysłużonymi drzwiami w ramie z butwiejącego drewna, których używano zapewne bardzo rzadko.

Wyważył je w niecałe dziesięć sekund i wszedł do środka. Zostawił je uchylone, sięgnął do kieszeni i wyjął oklejoną czerwoną taśmą latarkę. Odetchnął głęboko, gdy uprzytomnił sobie, że gdzieś tam, nie dalej niż kilka metrów od zimnego, wilgotnego i pachnącego stęchlizną miejsca, w którym stał, znajdowała się odpowiedź na pytanie, gdzie przebywa Ashley. Jakaś koperta z adresem nadawcy. Rachunek telefoniczny. Wyciąg z operacji dokonanych kartą kredytową. Kawałek papieru z jej imieniem przyklejony do drzwiczek lodówki. Oblizal wargi w podnieceniu, z niecierpliwości drżały mu ręce. Włamanie do biura Murphy'ego było czymś dobrze mu znanym. Posłużyło po prostu do rozwiązania zagadki, gdzie jest Ashley. Uważał, że przeprowadził je wystarczająco ostrożnie i fachowo.

To włamanie mocno różniło się od tamtego. Było obowiązkiem narzuconym przez miłość.

Odetchnął głęboko gęstym piwnicznym powietrzem. Gdyby tylko Ashley mogła wiedzieć, czego musiałem dokonać, żeby ją odnaleźć, pomyślał, zrozumiałaby, dlaczego jesteśmy sobie przeznaczeni. Któregoś dnia, wyobraził sobie, będzie mógł jej powiedzieć, że zniósł bicie, łamał prawo, ryzykował utratę życia i wolności - wszystko dla niej. A potem powiedział do siebie: Jeśli nie może mnie pokochać, nie zasługuje na to, by kochać kogokolwiek.

Poczuł nagły skurcz, drżenie mięśni w całym ciele, musiał stoczyć wewnętrzną walkę, by odzyskać panowanie nad sobą. Czuł, że jego oddech stał się płytki, dyszał gwałtownie. Nakazał sobie zachowanie spokoju. Wyobraził sobie Sally, Hope, Scotta. I wtedy owładnął nim szalony gniew. Nie potrafił już oddzielić splątanych uczuć miłości i nienawiści. Gdy w końcu udało mu się trochę uspokoić, zaczął ostrożnie poruszać się po piwnicy, zmierzając w stronę skrzypiących starych schodów prowadzących na górę. Nie bardzo wiedział, czego szuka, wiedział jednak, że czymkolwiek było, znajdowało się w zasięgu ręki.

Pchnął drzwi u szczytu schodów i natychmiast zrozumiał, że jest w spiżarni tuż przy kuchni. Musiał szybko zgasić latarkę - nawet osłonięta czerwoną taśmą rzucała blask, który mógł wzbudzić zainteresowanie wścibskiego sąsiada prędzej niż górne światło. Na ścianie dostrzegł wyłączniki. Uśmiechnął się i zgasił latarkę.

Stań daleko od okien i zacznij się rozglądać, powiedział sobie. To tutaj jest. Gdzieś tu. To, czego chcesz się dowiedzieć. Czuję to. Idę do ciebie, Ashley.

Zdążył zrobić jeszcze jeden krok do przodu, zanim z pobliskiego holu dobiegł go niski gniewny warkot.

Przypuszczam, że wiedzę o tym, czym jest strach, zawdzięczam podobnie jak większość ludzi przede wszystkim Hollywood, które nas raczej wciąż tą samą strawą duchową: istotami z innych planet, duchami, wampirami i seryjnymi zabójcami. Albo pełnym napięcia nieoczekiwanym momentom w realnym życiu, gdy jakiś samochód pędzi na czerwonym świetle, a my spanikowani z całej siły wciskamy hamulce. Ale prawdziwy, najbardziej destrukcyjny dla psychiki strach rodzi się z niepewności. Niszczy mechanizmy obronne, nigdy nie słabnie i nigdy nie odchodzi daleko. Gdy siedziałem teraz naprzeciwko tej młodej kobiety, mogłem dostrzec każdą zmarszczkę, jaką strach wyrył na jej twarzy, postarzając ją przedwcześnie, każdy nerwowy tik, którego był przyczyną - pocierała nerwowo ręce, koniec jej powieki drgał co jakiś czas i nie mogła tego opanować, a drżenie w jej głosie słyszałem wyraźniej niż wypowiedane przez nią szeptem słowa.

- Nie powinienam się zgodzić na to spotkanie z panem - powiedziała.  
- Czasami jest to nie tyle strach przed śmiercią, ile strach przed dalszym życiem.

Objęła dłońmi filiżankę gorącej herbaty i powoli podniosła ją do ust. Na dworze panował straszliwy żar, więc inni goście siedzący w kawowym barze w pasażu handlowym pili mrożone napoje; ona jednak chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, jaki był upał.

- Jestem bardzo wdzięczny, że się pani zgodziła - odparłem. - Nie zabiorę pani wiele czasu. Chcę tylko uzyskać potwierdzenie czegoś.

- Muszę iść - powiedziała. - Nie mogę zostać. Nikt nas nie może zobaczyć. Siostra jest teraz z moimi dziećmi, a nie mogę pozostawiać ich razem zbyt długo. Wyprowadzamy się stąd. W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy do... - przerwała i pokręciła głową. - Nie, nie powiem, dokąd wyjedziemy. Pan oczywiście to rozumie?

Pochyliła się lekko do przodu i zobaczyłem bardzo wąską, długą bliznę przy linii jej włosów.

- Oczywiście. Niech mi pani pozwoli załatwić to naprawdę szybko - powiedziałem. - Pani mąż był kapitanem policji i wynajęła pani Matthew Murphy'ego, kiedy trwała sprawa rozwodowa, prawda?

- Tak. Mój były mąż ukrywał swoje dochody i nie chciał dawać pieniędzy dla mnie i trójki dzieci. Chciałam, żeby Murphy dowiedział się, w czym on lokuje te pieniądze. Mój adwokat powiedział mi, że Murphy jest dobry w takich sprawach.

- Pani mąż był podejrzany o zamordowanie Murphy'ego, mam rację?

- Tak. Oficerowie z wydziału śledczego policji stanowej przesłuchiwali go wiele razy. Rozmawiali również ze mną. Pokręciła głową, potem dodała:

- Ja byłam jego alibi.  
- Jak to?  
- Tej nocy, kiedy zabito Murphy'ego, były mąż zjawił się w moim domu. Był pijany, w ponurym, samobójczym nastroju. Koniecznie chciał, żebym wpuściła go do środka, by mógł zobaczyć się z dziećmi. Nie potrafiłam zmusić go, żeby sobie poszedł.

- Nie miała pani nakazu sądowego...

- Miałam. Powinien trzymać się ode mnie z daleka co najmniej na sto metrów. Tak było napisane w dokumencie sądowym. Nie na wiele się to zdało... On ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, waży sto osiem kilo i zna każdego gliniarza w dolinie. To wszystko jego kumple. Co miałam zrobić? Walczyć z nim? Wzywać pomocy? Zrobił, co chciał.

- Przepraszam. To alibi...

- No więc najpierw pił. Potem zaczął mnie bić. Bił mnie przez cztery godziny, dopóki całkiem pijany nie stracił przytomności. Kiedy rano się obudził, zaczął mnie przeproszać. Powiedział, że to się już nigdy nie powtórzy. I nie powtórzyło się przez cały następny tydzień.

- Powiedziała to pani oficerom z wydziału śledczego?

- Nie. Chciałabym mieć tyle odwagi, żeby im powiedzieć: „Oczywiście, on to zrobił. Powiedział mi, że to zrobił”... i może w ten sposób uwolnić się od niego raz na zawsze, do końca życia. Ale nie byłam do tego zdolna.

Milczałam przez chwilę, potem powiedziałem:

- Tym, co interesuje mnie w tej sprawie...

Przerwała mi.

- Wiem, co pana interesuje. - Uniosła rękę, dotknęła czoła i przesunęła palcem wzdłuż drobnej blizny. - Kiedy mnie bił, jego pamiątkowy pierścionek z college'u Fitchburg State, gdzie się poznaliśmy, przeciął mi głęboko skórę. Zrobił to, żebym o nim nie zapomniała. Jest pan ciekaw, jak on się dowiedział o Murphym, prawda?

Skinąłem głową.

- Rzucił mi to w twarz w czasie jakiejś kłótni. Wydarł się na mnie: „Więc myślałaś, że nie dowiem się, że wynajęłaś prywatnego detektywa?”

Spostrzegłem łzy w kącikach jej oczu.

- Dostał anonimowy list. W zwykłej szarej kopercie. Była tam kopia wykazu wszystkiego, co na jego temat zgromadził Murphy. Cały poufny materiał, który miał być wysłany do mnie i mojego adwokata. Koperta nosiła stempel pocztowy jakiejś dzielnicy Worcester. Nawet nie znam nikogo w tym mieście. Kto mógł ją przysłać mojemu byłemu mężowi? Kosztowała mnie dwa zęby, które mi wybił. Mogła też kosztować życie Murphy'ego, gdybym miała tyle szczęścia, że to mój eksmąż zacząłby go



ścigać z pistoletem w rękę, a nie ktoś inny. Może zresztą kosztowała życie Murphy'ego. A może ktoś inny dostał taką samą kopertę. Nie wiem. Chciałabym, żeby mój były to zrobił. Wszystko stałoby się wtedy łatwiejsze. Odsunęła się od stolika.

- Muszę już iść - powiedziała.

Rozejrzała się nerwowo dookoła, potem się odwróciła, opuściła głowę i wtuliła ją w ramiona. Przeszła przez drzwi baru i popędziła pasażem handlowym, pospiesznie omijając kupujących, jakby ktoś szeptał jej do ucha o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Patrząc na nią, zastanawiałem się, czy nie tak mogłaby wyglądać przyszłość Ashley...

## 28. Szybka jazda

Hope stała na krótkiej ścieżce z tłuczonej czerwonej cegły prowadzącej do głównych drzwi ich domu, kiedy przednie światła samochodu Sally omiotły trawnik. Czekwała, trochę niepewna, co powinna zrobić. Był czas, kiedy cofnęłaby się do auta Sally, by uściskać ją na powitanie, ale dziś nie wiedziała nawet, czy powinna zaczekać, by mogły wejść razem do domu. Przeszła z nogi na nogę i patrzyła na pogrążoną w ciemności okolicę. Uświadomiła sobie, że obie, nie przyznając się do tego, zaczęły wracać do domu coraz później, aby czas wieczornego milczenia ciążył im krócej.

- Cześć - powiedziała, usłyszawszy trzask zamykanych drzwi samochodu Sally.

- Cześć - odparła Sally zmęczonym głosem.

- Ciężki dzień?

Sally powoli ruszyła przez trawnik w jej stronę.

- Tak - powiedziała zagadkowo. - Pozwól, że opowiem ci o tym w domu.

Hope skinęła głową i podeszła do głównych drzwi. Wsunęła klucz do zamka i otworzyła je szeroko. Wewnątrz panowała ciemność i wydawało się, że noc wpłynęła za nią do domu jak mroczny i niebezpieczny nurt. Hope przystanęła w holu i natychmiast zorientowała się, że coś jest nie na swoim miejscu. Przeraziło ją to. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Bezimienny! - zawołała.

Lampa na suficie rozbłysła i Sally stanęła przy niej.

- Bezimienny! - krzyknęła znowu Hope. A potem. - O mój Boże!

Rzuciła plecak na podłogę i zrobiła krok do przodu. Strach zdominował w niej wszystkie inne uczucia, wywołując kolejno napady zimna, nagłego gorąca i oblewania się potem.

- Bezimienny! - krzyknęła raz jeszcze.

Usłyszała panikę w swoim głosie. Stojąca za nią Sally wciskała kolejne wyłączniki, oświetlając salon, hol, pokój telewizyjny na dole. I w końcu kuchnię.

Pies leżał rozciągnięty na podłodze, nieruchomy.

Hope wydała jęk - wydobył się z jakiegoś miejsca w głębi niej, którego dotąd w sobie nie wyczuwała - i rzuciła się na ciało Bezimiennego. Zanurzyła ręce w jego sierści, próbując wyczuć trochę ciepła, potem przycisnęła ucho do jego piersi, nasłuchując uderzeń serca. Sally stała za nią w drzwiach, zastygła w bezruchu.

- Czy on...?

Hope wydała kolejny jęk, jej oczy wypełniły się łzami. Ale w tym samym momencie wsunęła dłonie pod ciało psa i jednym ruchem uniosła go w ramionach. Odwróciła się do Sally i obie bez słowa wybiegły znowu na zewnątrz, w ciemność.

Po chwili pędziły autostradą międzystanową w stronę szpitala dla zwierząt w Springfield. Sally siedziała za kierownicą; nie pamiętała już, kiedy ostatnio jechała tak szybko. Lawirując między innymi autami - prędkościomierz wskazywał sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę - usłyszała w pewnym momencie głos Hope:

- Sally, zwolnij.

Hope powiedziała chyba coś jeszcze, ale Sally domyśliła się, że opuściła głowę na filtrze Bezimiennego, które stłumiło jej głos. Ostatnie kilometry przejechały w ciągu zaledwie paru minut i kiedy miały ponure ulice miasta, Sally zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa, a każdy przejmujący szloch dobiegający od siedzącej z tyłu Hope odczuwała tak, jakby ktoś kroił ją na plasterki.

Spostrzegła białoczerwona tablicę z napisem „Izba przyjęć”, skrzyknęła gwałtownie i zatrzymała samochód. Odgłos opon przyciągnął uwagę dyżurnego sanitariusza siedzącego w recepcji za rozsuwanymi szklanymi drzwiami. Zanim Hope zdążyła zrobić więcej niż kilka kroków z Bezimiennym na rękach, sanitariusz pomógł jej umieścić bezwładne ciało psa na noszach.

Sally zaparkowała samochód i weszła do środka. Hope siedziała już w poczekalni, skulona, kryjąc twarz w dłoniach. Kiedy Sally usiadła przy niej, ledwie podniosła wzrok.

- Hope, to jest... - zaczęła Sally i umilkła.

- On nie żyje, ja wiem - powiedziała Hope. - Nie było słychać bicia serca. Nie wyczuwałam pulsu. Nie czułam jego oddechu. Był stary, ale...

Nie powinnyśmy tak pędzić. Tak się po prostu dzieje, no wiesz, starzejesz się i to się staje.

Sally usiadła i spojrzała na zegar. Przypuszczała, że za chwilę pojawi się dyżurny weterynarz i powie Hope to, o czym już wiedziała. Ale ku jej zdziwieniu minęło pięć minut, potem dziesięć. Upłynęło dwadzieścia minut, a one wciąż czekały. Po pół godzinie wyszedł do nich wysoki, młody mężczyzna w jasnozielonym czystym kitlu.

- Pani Frazier? - zapytał cichym, modulowanym głosem, który - co odpowiedziało Sally doświadczenie - oznaczał złą wiadomość. Spojrzała na Hope.

- Tak. - Jej głos zdrzął wyraźnie.

- Przykro mi - powiedział powoli mężczyzna. - Próbowaliśmy go reanimować, ale on umarł już, zanim go pani tu przywiozła.

- Wiem - odparła Hope. - Po prostu próbowałam...

- Nic innego nie mogła pani zrobić - oznajmił weterynarz. - A my zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

- Tak. Wiem o tym. Dziękuję panu... - Czują, jakby każde wypowiedziane przez nią słowo musiała wyciągać z jakiejś lodowatej przestrzeni ulokowanej w jej wnętrzu.

- To nie był młody pies - powiedział powoli weterynarz.

- Miał piętnaście lat - potwierdziła Hope.

Weterynarz skinął głową. Zawahał się przez chwilę, zanim zadał jej następne pytanie.

- A jak go pani znalazła?

- Kiedy wróciłyśmy do domu, był w kuchni. Leżał na podłodze.

Weterynarz wziął głęboki oddech.

- Chciałaby pani tam wejść i pożegnać się z nim? Jest także coś, co chciałbym pani pokazać.

- Tak - odparła Hope, próbując daremnie powstrzymać łzy. - Pójdę. Chcę na niego raz jeszcze popatrzeć.

Przeszła za weterynarzem przez wahadłowe drzwi, Sally ruszyła jej śladem, trzymając się parę kroków za nią.

Pokój do badań był skąpany w jasnym, białym świetle górnych lamp zainstalowanych pod samym sufitem. Wyposażony w wentylatory ściennne, aparaty do pomiaru ciśnienia i szafy pełne sprzętu i leków przypominał salę pogotowia ratunkowego. Na środku błyszczącego stalowego stołu, który bezlitośnie odbijał światło, leżał rozciągnięty Bezimienny, jego jasna sierść była zmierzwiona. Hope wyciągnęła rękę i pogłaskała jego bok. Miał zamknięte oczy i Hope pomyślała, że wygląda spokojnie, jakby jedynie spał.

Weterynarz przez chwilę milczał, pozwalając Hope przesunąć dłońią po sierści psa. Potem zapytał ostrożnie:

- Czy zobaczyła pani coś dziwnego dziś wieczorem po powrocie do domu?

Hope odwróciła się w jego stronę.

- Przepraszam? Coś dziwnego?

- Co pan ma na myśli? - wtrąciła Sally.

- Czy nie było jakichś śladów włamania? - zapytał weterynarz. Hope sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

- Chyba nie bardzo rozumiem - powiedziała. Weterynarz zrobił krok w jej stronę.

- Przykro mi, jeśli to będzie bolesne - zaczął. - Ale kiedy badaliśmy Bezimiennego, uznaliśmy, że parę rzeczy może budzić wątpliwości.

- O czym pan mówi? - zapytała Hope.

Weterynarz wyciągnął rękę i rozsunął sierść wokół szyi psa.

- Widzi pani te czerwone pręgi, siniaki? Widujemy czasem takie, to są ślady duszenia. A tu, proszę spojrzeć. - Podniósł delikatnie wargi Bezimiennego, odsłaniając jego zęby. - To chyba ludzkie ciało. I trochę krwi. Znaleźliśmy także na jego łapach coś, co zapewne jest strzępkiem materiału i krwią. Przy pazurach.

Hope spojrzała na weterynarza, jakby niezupełnie potrafiła zrozumieć, do czego zmierza.

- Gdy wrócicie panie do domu, sprawdźcie drzwi i okna, czy nie ma śladów, które świadczyłyby, że ktoś wdarł się do środka - powiedział weterynarz. Spojrzał na Sally, potem na Hope i uśmiechnął się cierpko, jakby chciał nieco osłodzić to, co sugerował. - Jest oczywiście, kogo chciał bronić, uważając to za swój obowiązek, bez względu na swój wiek - dodał powoli. - Nie mogę mieć całkowitej pewności bez wykonania autopsji, ale wydaje mi się, że Bezimienny zginął, walcząc.

- Kto zamordował Murphy'ego. Czy pani uważa, że to Michael O'Connell go zastrzelił? - zapytałem.

Spojrzeła na mnie dziwnym wzrokiem, jakby pytanie było trochę nie na miejscu. Znajdowaliśmy się w jej domu i podczas gdy ona zastanawiała się nad odpowiedzią, rozejrzałem się po salonie. Zdałem sobie sprawę, że nie ma tu żadnych fotografii.

Uśmiechnęła się.

- Sądzę, że powinien pan zapytać, czy Michael O'Connell musiał zabić Murphy'ego. Mógł tego chcieć. Miał broń. Miał sposobność. Ale czy nie zrobił już wystarczająco wiele, by osiągnąć upragniony cel, kiedy rozesłał pocztą poufne informacje do tylu ludzi? Czy nie miał racji, uważając,

że ktoś, kto się znalazł wśród tych osób, zareaguje gwałtownie? Czy nie było to w stylu O'Connella działać nie wprost? Stwarzać wydarzenia i sytuacje? Manipulować otoczeniem? Chciał usunąć Murphy'ego ze swojej drogi. Murphy wywodził się ze świata, który O'Connell dobrze znał, więc zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie stanowił dla niego detektyw, łatwo mu było przewidzieć, że Murphy użyje przemocy, by osiągnąć swój cel, pod tym względem nie różnili się zbytnio od siebie. Musiał usunąć Murphy'ego z gry. I tak się stało, czyż nie?

Spojrzała na mnie i zniżyła głos niemal do szeptu.

- Jak my się zachowujemy? Jak działamy? Nie sztuka wiedzieć, co zrobić, gdy wróg mierzy do ciebie z pistoletu. Czy jednak sami nie stajemy się swoimi największymi wrogami, kiedy nie chcemy wierzyć w to, co mówią nam zmysły? Gdy zbiera się na burzę, myślimy, że pioruny nas ominą. Gdy nadchodzi powódź, wierzymy, że nie zerwie tam. A nieoczekiwanie uderza w nas piorun lub porywa fala, prawda?

Znowu wzięła głęboki oddech, raz jeszcze odwróciła się i spojrzała za okno.

- Ale czy utoniemy, gdy nas porwie?

## 29. Śrutówka na kolanach

Cześć, Michael. Tęsknię za tobą. Kocham cię. Przyjedź i uratuj mnie.

Ashley mówiła to do niego, słyszał jej głos prawie tak, jakby siedziała na miejscu dla pasażera w jego samochodzie. Powtarzał sobie w duszy te słowa setki razy, nadając im różne tony, czasami błagalny i pełen rozpacz, czasami seksowny i kuszący. Były jak pieśń.

O'Connell wyobrażał sobie, że wykonuje pewną misję. Jak żołnierz przedzierający się przez zaminowany teren lub pływak ratownik nurkujący we wzburzonych wodach. Jechał na północ i minął już granice Vermontu, przyciągany nieubłaganą siłą ku Ashley.

Przesunął w mroku palcami po ciętych ranach na grzbiecie dłoni i przedramieniu. Udało mu się zatamować krwawienie z pogryzionej łydki za pomocą kawałka gazy z apteczki w samochodowym schowku. Miałem naprawdę cholernie szczęście, że pies nie chwycił zębami ścięgna Achillesa i nie rozdarł go, pomyślał. Dżinsy były porozrywane i - jak przypuszczał - pochłapane zaschniętą krwią. Rano musiał je zmienić. Ale ostatecznie wygrałem, pomyślał.

O'Connell włączył górne światło w samochodzie. Spojrzał na mapę i spróbował w myślach dokonać obliczeń. Wiedział, że od Ashley dzieliło go mniej niż półtorej godziny jazdy. W tej ocenie uwzględnił nawet to, że mógł raz czy dwa źle skręcić, znalazłszy się na wiejskich drogach prowadzących do domu Catherine Frazier.

Uśmiechnął się w głębi duszy i znowu usłyszał, jak Ashley go wzywa: Cześć, Michael. Tęsknię za tobą. Kocham cię. Przyjedź i uratuj mnie. Znał ją lepiej niż ona siebie.

Chciał ochłonać, opuścił więc szybę i wpuścił do samochodu trochę rześkiego powietrza. O'Connell uważał, że istniały dwie Ashley. Pierwsza próbowała pozbyć się go, wydawała się pełna gniewu, przestraszona i nieosiągalna. Ta Ashley należała do Scotta, Sally i tego dziwoląga Hope. Myśląc o nich, wzruszył z pogardą ramionami. Było coś naprawdę chorego i zбочzonego w ich związku, wiedział, że sytuacja Ashley zmieni się na lepsze, gdy on przejmie nad nią opiekę.

Prawdziwa Ashley to była ta, która siedziała naprzeciwko niego przy stoliku, piła i śmiała się z jego żartów, a później zaprosiła go na intymne spotkanie. Z prawdziwą Ashley połączył go związek zarówno fizyczny, jak i uczuciowy, o wiele głębszy niż to, co dotąd uważał za możliwe w miłości. Prawdziwa Ashley zaprosiła go, by wkroczył w jej życie, więc odnalezienie jej stało się jego obowiązkiem.

Chciał ją uwolnić.

O'Connell wiedział, że Ashley taka, jaką ją znali rodzice i lesbijska macocha, była zaledwie cieniem jego Ashley. Studentka, artystka, darmozjad przesiadujący w muzeum to wszystko fikcja, stworzona przez grupkę mięczakowatych liberalów, należących do średniej klasy miernot, które pragnęły, żeby żyła takim samym głupim życiem jak oni. Prawdziwa Ashley czekała na niego niczym na rycerza z baśni, który pokaże jej inne życie. Marzyła o przygodach, o balansowaniu na krawędzi. Byliby jak Bonnie i Clyde. Ashley działałaby u jego boku, nie licząc się z ogólnie przyjętymi zasadami. Spodziewał się, że będzie niechętnie nastawiona do tego rodzaju wolności. Zamieszanie, jakie spowodował, musiało wzbudzić w niej lęk.

Teraz chodziło tylko o to, by pokazać jej, kim jest naprawdę.

Michael O'Connell uśmiechnął się znowu w duchu. Był pewny siebie. To mogło okazać się niełatwe, a nawet bardzo trudne. Ale w końcu ona to zobaczy.

Czując ogarniające go znowu podniecenie, O'Connell wrzucił następny bieg i wjechał na autostradę międzystanową. W ciągu paru sekund znalazł się na lewym pasie i pędził coraz szybciej. Wiedział, że był niewidoczny. Wiedział, że był bezpieczny. Wiedział, że nikt nie mógłby go

zatrzymać. Nie w tę noc.

Już niedaleko, pomyślał. Zupełnie niedaleko.

Hope pozwoliła, by noc otuliła ją szczerlnie, ukrywając w ciemności jej ból, przez cały czas milczała, jakby była duchem, jedynie widmem siebie samej.

Jechały do domu. Sally ograniczyła się do prowadzenia samochodu, dając Hope możliwość pozostania samej z jej myślami. Czowała się trochę winna, że nie przeżywa tego, co się stało, tak głęboko i boleśnie jak powinna. Ale różne dziwne myśli przelatywały jej przez głowę jedna za drugą i choć strata Bezimiennego była czymś strasznym, jeszcze bardziej dręczyły ją pytania, jak umarł i co to wszystko mogło oznaczać. Próbowała zrekonstruować to, co się naprawdę wydarzyło tego wieczoru, bo czuła narastającą potrzebę działania, podjęcia jakichś konkretnych kroków.

Samochód z chrzęstem opon zatrzymał się na podjeździe.

- Tak mi przykro, Hope - powiedziała Sally. - Wiem, co to dla ciebie znaczy.

Hope wydało się, że były to pierwsze łagodne i ciepłe słowa, jakie od miesiocy usłyszała od swojej partnerki. Wciągnęła głęboko powietrze, bez słowa wysiadła z samochodu i ruszyła w poprzek trawnika, roztrącając butami opadłe liście. Przystanąła przed głównymi drzwiami, przez chwilę badała je wzrokiem, po czym odwróciła się do Sally.

- Nie tędy - westchnęła ciężko. - Chyba że ten, kto to był, umie otwierać zamki, myślę zresztą, że to potrafi. Ale od strony ulicy ktoś, na przykład któryś z sąsiadów albo doreczyciel, mógłby go zobaczyć.

Sally dołączyła do niej.

- Z drugiej strony, od tyłu - powiedziała. - Przez piwnicę. Albo przez któreś z bocznych okien.

Hope skinęła głową.

- Sprawdź tył domu. Ty sprawdź okna, zwłaszcza te od biblioteki.

Hope szybko wypatrzyła zniszczoną ościeżnicę. Stała przez chwilę, wpatrując się w kawałki drewna leżące na cementowej podłodze piwnicy.

- Sally, tutaj, na dole!

Była tu tylko jedna nieoprawiona żarówka wisząca przy suficie, która rzuciła cienie w dziwnych kształtach w pachnące stęchlizną kąty starej piwnicy. Hope przypomniała sobie, że kiedy Ashley była mała, bała się schodzić sama po schodach do jej pralni, jakby w kątach i pajęczynach kryły się trolle lub duchy. Najchętniej brała wtedy ze sobą Bezimiennego. Nawet gdy była już nastolatką i wiedziała, że w jej wieku nie powinno

się wierzyć w takie rzeczy, Ashley zbierała wszystkie swoje zbyt obcisłe dżinsy i kuszą bieliznę - nie chciała, by matka wiedziała, że je nosi - chwyciła ciasteczko dla psa i otwierała drzwi piwnicy. Pies skwapliwie człapał schodami w dół, robiąc tyle hałasu, że wszelkie błakające się tam demony uciekały w popłochu. Siadał na dole i czekał na Ashley, zamiatając z zapalem ogonem kurz z podłogi.

Gdy Sally zeszła po schodach, Hope odwróciła się do niej.

- Tędy wszedł - powiedziała.

Sally spojrzała na kawałeczki drewna i skinęła głową. Odsunęła się na bok, a Sally przeszła obok niej.

- Potem mógł wejść na górę po schodach, miał prawdopodobnie jedną z tych minilatarek, potem do kuchni...

- I tam Bezimienny musiał go usłyszeć. Lub poczuć jego zapach - powiedziała Sally.

Hope zaczerpnęła powietrza.

- Bezimienny lubił czekać na nas w holu, więc mógł zareagować na dźwięk z tyłu domu, zorientował się też natychmiast, że to nie wraca jego pani ani ja, ani nawet Ashley.

Hope rozejrzała się po kuchni.

- To tutaj stoczył bój na śmierć i życie - powiedziała cicho. Swój ostatni bój, pomyślała. Oczami wyobraźni zobaczyła starego psa ze zjezoną siwiejącą sierścią na karku i obnażonymi startymi zębami. To był jego dom, jego rodzina. Nikt nie mógł przejść obok niego, mimo że miał już słaby wzrok i niemal zupełnie stracił słuch. Nie mógł, jeśli nie zapłacił za to należytej ceny, wiedziała o tym. Przelknęła jeszcze kilka łez, po czym uklękła na podłodze i zaczęła uważnie badać otoczenie. - Spójrz - powiedziała po paru sekundach. - To właśnie tu.

Sally spojrzała w dół.

- Co to jest?

- Krew. To musi być krew. I nie krew Bezimiennego.

- Myślę, że masz rację - powiedziała Sally. Potem dodała ciszej : - Dobry pies.

- Ale czego mógł szukać ten, kto tu się włamał?

Tym razem to Sally zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

- To był on - szepnęła.

- On? Masz na myśli...

- Ta kreatura. O'Connell.

- Ale ja myślałam... powiedziałaś, że zniknął z naszego życia. Ten prywatny detektyw powiedział ci...

- Ten prywatny detektyw Murphy został zabity. Zamordowany. Wczoraj.



Oczy Hope rozszerzyły się gwałtownie.

- Chciałam ci to powiedzieć, gdy tylko wejdziemy do domu... - dodała Sally.

- Zamordowany? Jak? Gdzie?

- Na jakiejś ulicy w Springfield. „Zabójstwo jak egzekucja” czy coś takiego, napisano w gazecie.

- Co to znaczy, do diabła, „jak egzekucja”? - zapytała Hope, podnosząc głos.

- To znaczy, że ktoś szedł za nim i wpakował mu dwie kule małego kalibru w tył głowy - odparła Sally. Hope usłyszała nie tylko tę informację, ale i lęk w głosie partnerki.

- Myślisz, że on to zrobił? Dlaczego?

- Nie wiem. Nie mam całkowitej pewności. Wielu ludzi nienawidziło Murphy'ego. Każdy z nich...

- Nas nie interesuje nikt inny. Chodzi mi o to, czy sądzisz... - Hope nagle umilkła. Wpatrzyła się w plamy krwi na podłodze. - Więc w Springfield mógł to być ktokolwiek. Ale myślisz, że tego włamania dokonał...

- A ktośby inny?

- Jakiś inny włamywacz. To nie jest coś niespotykanego w tej dzielnicy.

- Ale jednak coś bardzo niezwykłego. A nawet jeśli zdarzają się tu włamania, to zazwyczaj sprawcami okazują się nastoletnie dzieciaki. To nie wygląda na coś takiego. Czy zauważyłaś, żeby coś zostało skradzione?

- Nie.

- Więc ktoś inny?

- Jeśli to był O'Connell, to znaczy że...

- Znowu ściga Ashley. To oczywiste.

- Ale dlaczego tutaj? - zapytała w końcu Hope. Sally się wzdrygnęła.

- Szuka informacji.

- Myślałam, że Scott wymyślił tę swoją historię i sprzedał ją O'Connellowi. No wiesz. Wyjechała do Włoch, żeby studiować sztukę renesansu. Zostanie tam długo i będzie poza jego zasięgiem.

Sally pokręciła głową.

- Nie wiemy - powiedziała chłodno. - Nie mamy pojęcia, co O'Connell wie ani co myśli, ani też czego się dowiedział. Lub co zrobił. Wiemy, że Murphy został zabity i Bezimienny został zabity. Czy przez tę samą osobę? Nie wiemy. - Westchnęła, potem zacisnęła pięści i uderzyła się jedną z nich w głowę, dając w ten sposób upust swojej wściekłości. - Niczego nie wiemy na pewno.

Hope spojrzała na podłogę i wydało się jej, że spostrzegła następne krople krwi przy drzwiach prowadzących do wnętrza domu.

- Rozejrzyjmy się jeszcze - zaproponowała. - Zobaczmy, czy uda się nam prześledzić jego kroki...

Sally przymknęła oczy i oparła się plecami o ścianę. Odetchnęła powoli i głęboko.

- Przynajmniej nie ma tu nic, co pozwoliłoby mu się dowiedzieć, gdzie ona jest. Byłam naprawdę ostrożna pod tym względem.

Otworzyła oczy i ciągnęła:

- A Bezimienny walczył z nim, po prostu wiesz jak, i to prawdopodobnie wystarczyło aż nadto, żeby przepędzić stąd sukinsyna.

Hope przytaknęła skinieniem głowy, ale w głębi duszy była tego mniej pewna.

- Rozejrzyjmy się po domu - powiedziała.

W korytarzu prowadzącym do niewielkiej biblioteki i salonu znalazła kolejne krwawe plamy.

Zaczęła omiatać wzrokiem przestrzeń, szukając śladów obecności O'Connella. Gdy spojrzała na telefon, wydała stłumiony okrzyk i szybko zrobiła krok do przodu.

- Sally - powiedziała cicho. - Spójrz tu.

Na telefonie było widać kilka szkarłatnych kropelek krwi.

- Ale to jest tylko telefon... - zaczęła Sally i naraz zdała sobie sprawę, że czerwone światelko sygnalizujące odebraną wiadomość migocze uparcie. Nacisnęła przycisk odtwarzania.

Radosny głos Ashley wypełnił pokój.

- Cześć, mamó i cześć, Hope. Tęsknię za wami. Ale jest mi tu wspólnie z Catherine. Jedziemy na obiad do miasta i zastanawiałam się właśnie, czy nie mogłabym w najbliższych dniach wymknąć się tam jeszcze raz, żeby kupić jakieś ciuchy. Catherine pożycz mi samochód. W Vermontie jest pięknie, ale wieczorami robi się chłodno, więc potrzebna mi będzie ocieplana kurtka i może jakieś buty. W każdym razie mam taki pomysł. Zadzwoń do was później. Kocham was.

- O mój Boże - wyrwało się Sally. - Och, nie...

- On już wie - powiedziała Hope. - Wie na pewno. Sally miała zbolalą twarz, serce zastygło jej z przerażenia.

- To jeszcze nie wszystko - odezwała się cicho Hope.

Sally pobiegła wzrokiem za jej spojrzeniem w stronę regału z książkami. Na drugiej półce stały w rzędzie rodzinne fotografie: Hope i Sally, Bezimiennego i ich wszystkich wraz z Ashley. Było tam także świetne zdjęcie Ashley z profilu, zrobione podczas jej wędrówki w Green Mountains, tuż po wschodzie słońca, ich ulubiona fotografia, ponieważ udało

się na niej uchwycić to cudowne stadium przejściowe pomiędzy dzieciństwem a dorosłością, pomiędzy aparatami korekcyjnymi i kościstymi kolanami a prawdziwym pięknem.

To zdjęcie stało zazwyczaj na środku półki.

Teraz go tu nie było.

Sally zapało nagle oddech, porwała telefon. Wystukała numer Catherine, a potem stała bezradnie jak zastygła - w słuchawce dźwięczał sygnał, ale nikt telefonu nie odbierał.

Tego wieczoru Scott wybrał się samochodem do jednego z pobliskich college'ów, by wysłuchać wystąpienia pewnego eksperta konstytucjonalisty z Wydziału Prawa na Harvardzie, które było wprowadzeniem do cyklu wykładów. Gość z Harvardu mówił w sposób bardzo barwny i interesujący, spotkanie podziało ożywczo na Scotta. Wracając do domu, wstąpił do chińskiej restauracji, kupił porcję *lo mein* z kurczakiem, kawałek wołowiny z groszkiem i z przyjemnością myślał o tym, że resztę wieczoru spędzi samotnie nad pracami swoich studentów.

Przypomnił sobie, że ma jeszcze zadzwonić do Ashley, po prostu żeby się „zameldować”, dowiedzieć, jak się czuje i czy nie potrzebuje pieniędzy. Czuł się nieswojo na myśl o tym, że matka Hope, Catherine, ponosi koszty pobytu Ashley w swoim domu. Uznał, że powinien doprowadzić do jakiegoś porozumienia dotyczącego finansów, zwłaszcza że nie bardzo wiedział, jak długo Ashley pozostanie w Vermoncie. Niezbyt długo, to pewne, myślał, mimo to jednak stanowiła jakieś obciążenie. Scott nie wiedział, czy Catherine jest osobą zamożną, czy nie. Zetknął się z nią dotychczas tylko raz, może dwa, te spotkania były na szczęście bardzo krótkie i zachowywał się wobec niej w sposób aż nazbyt grzeczny. Wiedział natomiast, że szczerze kochała Ashley, przez co bardzo zyskała w jego oczach.

*Lo mein* zaczęło już przeciekać przez papierową torbę, kiedy wszedł do domu i usłyszał, że dzwoni telefon. Rzucił je na kuchenny blat i chwycił do ręki aparat.

- Tak... słucham! - zawołał opryskliwie.

- Scott, mówi Sally. On był tutaj, zabił Bezimiennego i teraz wie, gdzie jest Ashley, a ja nie mogę się do nich dodzwonić...

Jej słowa pędziły ku niemu z drugiego końca linii z zawrotną szybkością.

- Sally, uspokój się - powiedział. - Mów po kolei, nie wszystko na raz...

Słyszał wyraźnie ton swojego głosu. Spokojny. Pełen rozsądku. A jednocześnie czuł, jak jego serce, oddech i myśli wirują coraz szybciej, jakby leciały w dół przez posępne, smagane wiatrem niebo.

Ashley i Catherine wracały powoli ulicami Brattleboro do samochodu Catherine z kubkami kawy w rękę, przyglądając się pracownikom rzemieślników, sklepom żelaznym, stoiskom z różnym sprzętem i księgarniom. Ulica przypominała Ashley niewielkie miasto uniwersyteckie, w którym dorastała. Trudno było się czuć nieswojo czy odczuwać zagrożenie w mieście, które robiło wszystko, by wyjść naprzeciw potrzebom mieszkańców.

Dzieliło je dwadzieścia minut jazdy samochodem od miejsca, gdzie przycupnięty między wzgórzami i polami, z dala od innych posesji, stał dom matki Hope.

Catherine wsumiała Ashley, żeby prowadziła, skarżąc się, że jej wzrok wieczorami nie jest już taki jak dawniej, choć Ashley domyśliła się, iż chciała po prostu w spokoju delektować się swoją kawą z mlekiem. Bardzo się ucieszyła, usłyszawszy wyjaśnienie Catherine; starsza pani miała w sobie jakąś dziwną zaciekłość, nie chciała pozwolić, by któraś z dolegliwości związanych z wiekiem ograniczała jej aktywność i tylko postmowała na nieuchronny proces starzenia się.

Podczas jazdy Catherine wskazała gestem drogę biegnącą przed nimi.

- Nie wpadnij na jakiegoś jelenia - powiedziała. - To niezdrowe dla jeleni. Niezdrowe dla samochodu, a już szczególnie dla nas.

Ashley posłusznie zwolniła tempo jazdy i zerknęła w tylne lustro. Zobaczyła światła reflektorów szybko sunące za nimi.

- Wygląda na to, że komuś bardzo się spieszy - powiedziała.

Nacisnęła lekko hamulec, po to tylko, by mieć pewność, że kierowca jadący z tyłu widzi ich światła.

- Jezu Chryste! - krzyknęła.

Jadący za nimi samochód przyspieszył z rykiem silnika, podjechał do ich tylnego zderzaka, z piskiem opon zmniejszył jeszcze bardziej dzielący go dystans i trzymał się teraz zaledwie parę centymetrów za nimi.

- Co jest, u licha?! - zawołała Ashley. - Hej, cofnij się!

- Zachowaj spokój - powiedziała chłodno Catherine, ale wbiła paznokcie w obicie fotela.

- Przestań! - krzyknęła Ashley, bo kierowca jadącego z tyłu samochodu włączył nagle długie światła, zalewając blaskiem wnętrze ich auta.

- Jasna cholera, co ty wyrabiasz?

Nie mogła zobaczyć, kto był w tamtym samochodzie ani rozpoznać marki auta. Zacisnęła ręce na kierownicy i sunęła dalej odludną wiejską drogą.

- Pozwól mu nas wyminąć - powiedziała Catherine, starając się, by nuta strachu w jej głosie była jak najsłabsza. Odwróciła się na fotelu i próbowała spojrzeć w tył, ale oślepiały ją reflektory, a pas bezpieczeństwa krępował jej ruchy. - Zjedź mu z drogi przy pierwszej okazji. Tam

dalej będzie poszerzenie...

Catherine usiłowała zachować spokój, a jednocześnie jej umysł pracował na zwiększonych obrotach. Znała dobrze trasy w tej okolicy, starała się przewidzieć, jak wiele miejsca będą miały.

Ashley próbowała zwiększyć szybkość, żeby oderwać się trochę od tamtego auta, ale droga była na razie zbyt wąska i w dodatku kręta. Samochód jadący z tyłu też przyspieszył i zachowywał ten sam dystans. Ashley zaczęła zwalniać.

- Czego on chce, do diabła!?! - krzyknęła znowu.

- Nie zatrzymuj się - powiedziała Catherine. - Cokolwiek chcesz zrobić, nie zatrzymuj się. Sukinsyn!

- Co będzie, jeśli w nas uderzy? - zapytała Ashley. Zadała to pytanie jedynie po to, by powstrzymać się od krzyku.

- Zwolnij na tyle, żeby przejechał obok nas. Jeśli w nas uderzy, wytrzymaj to, czekaj. Półtora kilometra dalej droga się rozwidła, możemy tam skręcić i cofnąć się do miasta. To pozwoli dojechać nam do straży pożarnej, a może i na posterunek policji.

Ashley mruknięciem wyraziła zgodę.

Catherine nie powiedziała Ashley, że w pobliskim Brattleboro policja, straż pożarna i pogotowie ratunkowe działały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale jej miasteczko po godzinie dwudziestej drugiej mogło liczyć tylko na policję stanową i straż ochotniczą, które trzeba było wzywać za pomocą radia. Chciała spojrzeć na zegarek, ale trzymała się uchwytów i bała się rozluźnić zaciśnięte dłonie.

- Tu, w prawo! - zawołała Catherine. Wiedziała, że kilkaset metrów dalej było niewielkie odgałęzienie drogi utworzone po to, by szkolne autobusy miały więcej miejsca i mogły zawracać do miasta. - Jedź tędy!

Ashley skinęła głową i raz jeszcze nacisnęła pedał gazu. Samochód jadący z tyłu skoczył za nimi i gdy Ashley skręciła gwałtownie na niewielki skrawek ziemi przy drodze, niemal do nich przywarł. Próbowała wykonać ten manewr na tyle szybko i niespodziewanie, by kierowca tamtego auta nie miał wyboru i musiał je wyminąć.

Ale on tego nie zrobił.

Kobiety usłyszały zgrzytliwy odgłos hamulców i żałosny pisk opon.

- Trzymaj się! - krzyknęła Ashley.

Obie przygotowały się na zderzenie, a Ashley wcisnęła hamulec. Otoczyła je chmura ziemi i kurzu, kamyki żwiru uderzały z brzękiem o podwozie i obsypywały pobliskie drzewa.

Kiedy samochód wpadł w poślizg na sypkiej, nieubitej ziemi, Catherine uniosła dłoń, by osłonić twarz, a Ashley odchyliła się na oparcie siedzenia. Obracała kierownicę tak, jak ją nauczył ojciec i odzyskała kontrolę nad autem, zanim uderzył w nasyp. Tył zarzucił na moment, ale

Ashley, zmagając się z kierownicą, zapanowała nad nim. Podniosła wzrok, spodziewając się, że tamten samochód przejedzie obok nich, ale nie zobaczyła niczego.

Auto zadrżało i stanęło, Ashley odwróciła się, oczekując, że zobaczy blask przednich świateł i poczuje zderzenie.

Na miejscu pasażera Catherine poleciała do tyłu, a potem uderzyła głową w okno.

- Trzymaj się! - krzyknęła. Ona także sądziła, że kolejne zderzenie nastąpi za chwilę.

Ale nic nie naruszyło ciszy, która teraz zapadła.

Scott słuchał sygnału, który dobiegał z drugiego końca linii. Nikt nie odbierał telefonu.

Powiedział sobie, że nie powinien wyciągać z tego żadnych daleko idących wniosków. Prawdopodobnie pojechały coś zjeść i jeszcze nie wróciły. Ashley była nocnym markiem, mogła więc wyciągnąć Catherine na jakiś późny seans do kina albo na drinka do baru. Pewnie znalazłyby się i inne powody tego, że wciąż przebywały poza domem. Tylko bez paniki, myślał. Wpadanie w histerię bez rzeczywistej przyczyny nie służy nikomu, mogłoby tylko wzbudzić irytację Ashley, gdy w końcu uda się im nawiązać połączenie. Zdenerwowałyby się prawdopodobnie również Catherine, która nie lubiła, by uważano ją za kogoś, kto nie wie, jak należy postępować.

Wciągnął gwałtownie powietrze i zadzwonił do byłej żony.

- Sally? - powiedział. - Nadal nikt nie odbiera.

- Myślę że ona znalazła się w niebezpieczeństwie, Scott. Naprawdę tak myślę.

- Dlaczego?

Sally przyszło do głowy przewrotne równanie: „Martwy pies pomnożony przez martwego detektywa, podzielony przez rozbitą ościeżnicę, podniesiony do potęgi brakującej fotografii równa się...” Ale zamiast tego powiedziała:

- Posłuchaj, wydarzyło się kilka rzeczy. Nie mogę ci teraz o nich mówić, ale...

- Dlaczego nie możesz mi o nich mówić? - zapytał Scott, który lubił, by wszystko było jasne.

- Ponieważ - odparła Sally przez zaciśnięte zęby - każda stracona sekunda może okazać się...

Nie dokończyła. Przez chwilę oboje milczeli, dzieliła ich teraz otchłanna przepaść.

- Pozwól mi porozmawiać z Hope - powiedział nagle Scott, zaskakując całkowicie Sally.

- Ona jest tutaj, ale...

- Daj mi ją.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza, po czym rozległ się głos Hope:

- Scott?

- Ja też nie mogę się dodzwonić. Nie odzywa się nawet automatyczna sekretarka.

- Ona nie ma automatycznej sekretarki. Wierzy, że ludzie zadzwonią ponownie.

- Czy sądzisz, że... - zaczął Scott, ale Hope natychmiast mu przerwała:

- Tak. Tak właśnie sędzę.

- Czy powinniśmy zawiadomić policję? - zapytał Scott.

Hope milczała przez chwilę.

- Ja to zrobię - powiedziała. - Znam większość tamtejszych policjantów. Do diabła, kilku z nich to moi koledzy ze średniej szkoły. Mogę powiedzieć któremuś z nich, żeby pojechał i sprawdził, co się dzieje.

- Możesz to załatwić bez zbytecznego rozgłosu?

- Owszem - odparła Hope. - Powiem, że nie mogę się połączyć z matką, a ona jest już w podeszłym wieku. Wszyscy ją tam znają, więc nie powinni robić problemu.

- Okay - zgodził się Scott. - I powiedz Sally, że już tam jadę. Jeśli dodzwonisz się do Catherine, przekaż jej, że zjawię się jeszcze tej nocy. Ale potrzebne mi są wskazówki, jak mam dojechać.

Gdy Hope zaczęła mu podawać najważniejsze informacje dotyczące drogi, zauważyła, że Sally zrobiła się biała na twarzy, drżały jej ręce. Nigdy dotąd nie widziała Sally tak przerażonej, więc wprawiło ją to w wielki niepokój.

Catherine pierwsza odzyskała mowę.

- Wszystko z tobą w porządku, Ashley?

Ashley skinęła głową; miała zaschnięte wargi i prawie zupełnie zatkaną gardło, nie ufała swojemu głosowi. Czula jednak, że jej gwałtownie bijące serce powraca do normalnego rytmu.

- Nic mi nie jest. A ty? Coś ci się stało? Jak się czujesz?

- Uderzyłam się w głowę. I to wszystko.

- Nie powinniśmy jechać do szpitala?

- Nie. Czuję się dobrze, chociaż wylałam na siebie kubek kawy za sześć dolarów.

Catherine odpięła pas bezpieczeństwa i otworzyła drzwi samochodu.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem - powiedziała dziarskim tonem.

Ashley wyciągnęła rękę i wyłączyła silnik, po czym także wyszła w mrok.

- Co to było? - zapytała. - Co to wszystko miało właściwie znaczyć? Catherine spojrzała na drogę, którą przebyły. Potem odwróciła się i po patrzyła w stronę, w którą zmierzały.

- Czy widziałaś, żeby ten łajdak przejechał obok nas?

- Nie.

- Ja też nie widziałam, co się z nim stało. Zastanawiam się, gdzie on, do diabła, zniknął. Mam nadzieję, że wjechał na drzewo albo zleciał z jakiegoś urwiska.

Ashley pokręciła głową.

- Próbowałam zapanować nad samochodem.

- I byłaś znakomita - pochwaliła ją Catherine. Jej głos odzyskał pewność, co podziało uspokajająco na Ashley. - Naprawdę jechałaś jak na wyścigu NASCAR. Ci faceci nie pokazaliby nic lepszego. Bardzo ryzykowna sytuacja, z którą doskonale sobie poradziłaś. Obie nadal żyjemy i mój ładny, prawie nowy samochód nie ma nawet jednego wgniecenia.

Ashley uśmiechnęła się, mimo że niepokój nie opuścił jej jeszcze całkowicie.

- Ojciec zabierał mnie kiedyś do Lime Rock w Connecticut i rezerwował dla nas czas na torze wyścigowym; jeździliśmy po nim jego starym porsche. Dużo się wtedy nauczyłam.

- To zapewne nie były typowe wycieczki ojca z córką, ale okazały się niezwykle pozytywne.

Ashley wzięła głęboki oddech.

- Catherine, czy zdarzyło ci się kiedykolwiek coś podobnego?

Starsza pani stała na brzegu drogi, lustrując wzrokiem otaczający mrok.

- Nie - powiedziała. - To znaczy czasami, kiedy jadę tymi wąskimi, krętymi drogami jakiś sfrustrowany dzieciak ze szkoły średniej przemknie obok mnie na zakręcie. Ale tym razem wyglądało na to, że facet miał co innego w głowie.

Wsiadły z powrotem do samochodu i zapięły pasy. Ashley zawahała się na moment, potem wykrztusiła:

- Zastanawiam się, czy... no wiesz, ta menda, która za mną goni...

Catherine rozsiała się wygodnie w fotelu.

- Myślisz, że ten młody mężczyzna, z powodu którego wyjechałaś z Bostonu... - nie dokończyła.



- Sama nie wiem.

Catherine prychnęła.

- Ashley, kochanie, on nie wie, że tu jesteś, nie wie, gdzie mieszkasz, a poza tym cholernie trudno znaleźć cokolwiek na tym pustkowiu. Wydaje mi się też, że jeśli będziesz ciągle oglądać się za siebie i przypisywać każdą złą rzecz, która ci się przydarzy, tej kreaturze O'Connellowi, niewiele skorzystasz z życia.

Ashley skinęła głową. Chciała być przekonywana, że jej obawy nie mają sensu, ale jakoś nie potrafiła ich się pozbyć.

- A poza tym ten młody mężczyzna twierdzi, że cię kocha, moja droga. Kocha. Nie potrafię zrozumieć, co wspólnego z miłością ma fakt, że ktoś spycha nas z szosy.

I tym razem Ashley się nie odezwała, choć pomyślała, że zna odpowiedź na to pytanie.

Przez resztę drogi rozmawiały niewiele. Do domu Catherine prowadził długi podjazd z ziemi i żwiru. Była kobietą, która strzeże swojej prywatności jak skarbu - we własnych czterech ścianach, ale zasypuje pytaniami każdego, kto należy do niewielkiej lokalnej społeczności, gdy tylko znajdzie się poza swoim terenem. Ashley wpatrywała się w dom pograżony w ciemnościach. Kiedyś była tu farma, założona na początku XIX wieku. Catherine lubiła żartować, że zmodernizowała instalację wodno-kanalizacyjną, ale nie tknęła starych duchów. Patrząc na białe oszalowanie, Ashley żałowała, że nie zostawiły wewnątrz jakichś zapalonych lamp. Jednak Catherine przywykła wracać do ciemnego domu, więc szybko wysiadła z samochodu.

- Jasny gwint - powiedziała nagle. - Słyszę, że dzwoni telefon. Odrchrząknęła głośno i dodała:

- Cholernie późna pora, żeby dzwonić do kogoś.

Nie przejmując się ciemnością, pewna, że zna każde obniżenie i każde wzniesienie na drodze do frontowych drzwi, Catherine zostawiła w tyle gramolącą się z auta Ashley. Nigdy nie zamykała drzwi na klucz, wpadła więc prędko do środka, zapalając po drodze światła i podbiegła do starego telefonu, który znajdował się w salonie.

- Słucham - powiedziała. - Kto mówi?

- Mama?

- Hope! Jak to miło. Ale późno dzwonisz...

- Mamo, u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, tak, dlaczego...

- Ashley jest z tobą? Zdrowa i cała?

- Oczywiście, kochanie. O co chodzi?

- On wie! Być może jest już w drodze do was.

Catherine wciągnęła gwałtownie powietrze, ale starała się zachować zimną krew.

- Powoli kochanie. Mów po kolei.

Powiedziawszy to, odwróciła się w stronę Ashley, która stała w drzwiach jak zastygła. Hope zaczęła mówić, ale Catherine niewiele z tego słyszała. Po raz pierwszy zobaczyła w oczach Ashley rozpaczliwy strach.

Scott wcisnął pedał gazu. Mały samochód skoczył ochoczo do przodu i z łatwością przekroczył sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Przebycie odległości dzielącej jego dom od domu Catherine powinno mu zająć prawie dwie godziny, chciał jednak ten czas skrócić o połowę. Nie miał pewności, czy dotrze do celu wystarczająco szybko. Nie bardzo wiedział, co się w ogóle dzieje. Ani co robi O'Connell. Nie był pewien, co kryła w sobie noc. Wiedział jedynie, że gdzieś przed nim czało się dziwne, bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo i że chciał osłonić przed nim córkę.

Gdy tak jechał, zaciskając ręce na kierownicy, opadły go wspomnienia z czasów, gdy Ashley była dzieckiem, a on się nią zajmował. Po każdym kilometrze, który pozostawiał za sobą, z trudem przewyciężał wrażenie, że jechał za wolno, że jeśli cokolwiek się wydarzy, jego przy tym nie będzie, bo spóźni się o parę decydujących sekund. Wcisnął więc pedał gazu, nie zważając na nic, myśląc tylko o tym, że musi jechać tak szybko, jak jeszcze nigdy dotąd nie jechał.

Catherine odwiesiła słuchawkę i odwróciła się w stronę Ashley. Zaczęła mówić cicho, tonem bardzo opanowanym. Koncentrowała się na własnych słowach, co pomagało jej panować nad rosnącym przerażeniem. Zacerpnęła powoli powietrza i przypomniała sobie, że należy do pokolenia, które wyszło zwycięsko z nieporównanie cięższych bojów niż ten, jaki wypadnie stoczyć im z tym facetem, więc wypowiadała kolejne zdania z determinacją godną Roosevelta.

- Ashley, kochanie. Okazuje się, że ten młody mężczyzna, którego, jak się wydaje, pociągasz w całkowicie niezdrowy sposób, dowiedział się, że nie jesteś w Europie, ale tutaj. I mieszkasz u mnie.

Ashley skinęła głową. Nie była w stanie nic powiedzieć.

- Myślę, że byłoby najmądrzej, gdybyś poszła na górę do swojej sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Miej telefon pod ręką. Hope powiedziała, że twój ojciec jedzie już tutaj, powiedziała też, że zamierza wezwać lokalną policję.

Ashley zrobiła krok w stronę schodów i naraz się zatrzymała.

- Catherine, co ty teraz zrobisz? Może powinnyśmy wrócić do samochodu i stąd wyjechać?

Catherine się uśmiechnęła.

- No cóż, wątpię, czy to ma sens. Miałby szansę wpaść na nas na drodze, a już raz tego próbował. Nie, to jest mój dom. I twój dom także. Jeśli ten typ zamierza wyrządzić ci krzywdę, lepiej poradzimy sobie tutaj, na dobrze znanym terenie.

- Okay, wobec tego nie zostawię cię samej - powiedziała Ashley, udając pewną siebie. - Będziemy tu obie siedziały i czekały.

Catherine pokręciła głową.

- To niezwykle miłe z twojej strony, ale sędzę, że będę mogła o wiele spokojniej czekać, wiedząc, że jesteś na górze w zamkniętym pokoju. Zresztą wkrótce powinna się zjawić policja, więc bądźmy ostrożne i rozsądne. A rozsądek w tym momencie oznacza, że powinnaś zrobić to, o co cię proszę.

Ashley zaczęła protestować, ale Catherine machnęła ręką.

- Dziecko, pozwól mi bronić mojego domu w sposób, który uważam za właściwy.

Zdecydowane słowa wypowiedziane stanowczym tonem odniosły skutek. Ashley skinęła głową na znak zgody.

- W porządku, idę na górę. Ale jeśli tylko usłyszę coś, co mnie zaniepokoi, od razu zbiegam - powiedziała.

Catherine patrzyła, jak Ashley lekkim krokiem wchodzi po schodach. Wahala się do chwili, gdy usłyszała odgłos przekręcanego w zamku staroświeckiego klucza, po czym podeszła do szafy wbudowanej w ścianę obok dużego kominka. Stała tam w skórzanym futerale - wciśnięta za szczapy drewna - śrutówka jej zmarłego męża. Nie wyjmowała jej ani nie czyściła od lat i nie była nawet pewna, czy sześć kul leżących na dnie futerału nadaje się jeszcze do użycia. Pomyślała, że gdyby pociągnęła za cyngiel, byłyby mniej więcej równe szanse na to, że broń normalnie wystrzeli, jak i na to, że eksploduje jej w rękach. Była to jednak duża strzelba z wielkim otworem na końcu lufy, więc miała nadzieję, że spełni swoje zadanie.

Załadowała magazynek, odbezpieczyła broń, usiadła w fotelu przy kominku i czekała, trzymając strzelbę na kolanach. Śrutówka była załuszczone, Catherine wytarła palce o spodnie, pozostawiając na nich ciemne smugi.

Gdy usłyszała tuż za oknem ciche odgłosy kroków zbliżających się do drzwi frontowych, położyła dłoń na broni.

Wciąż nie odrywała wzroku od widoku za oknem i mogło mi się wydawać, że przeżuwała powoli tę lub inną myśl, gdy naraz odwróciła się gwałtownie w moją stronę i zapytała:

- Czy kiedykolwiek myślał pan poważnie o tym, że mógłby pan kogoś zabić?

Kiedy zastanawiałem się nad uczciwą odpowiedzią, pokręciła głową. -

To jest prawdopodobnie odpowiedź. Może lepiej rozważyć to, jak upraszczamy zjawisko gwałtownej śmierci.

- Nie bardzo rozumiem, o co pani chodzi - powiedziałem z zastanowieniem.

- Niech pan pomyśli o tych wszystkich sposobach, jakimi wyrażamy siebie samych poprzez agresję. W telewizji lub na filmach. Grach wideo dla dzieci. O tych wszystkich badaniach, które pokazują, ilu tysięcy przypadków śmierci jest świadkiem przeciętne dorastające dziecko? Wielu tysięcy. Ale prawda jest taka, że pomimo całej tej edukacji, kiedy mamy do czynienia z wściekłością, która może stać się powodem morderstwa, rzadko wiemy, jak na nią zareagować.

Odsunęła się od okna, przeszła przez pokój do miejsca, w którym usiadła, a ja wciąż nie odpowiadałem.

- Wydaje nam się - ciągnęła - że zawsze wiemy, co robić w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Ale rzeczywistość jest inna. Popelniamy błędy. Padamy ofiarą pomyłek w ocenie sytuacji. Wszystkie nasze wady i słabości wychodzą na jaw. Nie jesteśmy w stanie zrobić tego, co w naszym mniemaniu zrobić potrafimy. To, co zrobić należy, przekracza nasze możliwości.

Pokręciła głową.

- Nie sądzi pan, że strach okalecza nas psychicznie?

## 30. Rozmowa o miłości

Catherine wzięła głęboki oddech i podniosła śrutówkę do ramienia, nasłuchując odgłosów dobiegających z zewnątrz. Liczyła w myślach kroki. Od okna do narożnika domu, obok doniczek z kwiatami, ustawionych starannie w rzędzie do głównych drzwi. Zacznie od frontowych drzwi, powiedziała sobie. Choć miała wrażenie, że spuchł jej język, krzyknęła ostro:

- Niech pan wchodzi, panie O'Connell!

Nie musiała dodawać: czekam na pana.

Na chwilę zapadła cisza, Catherine słyszała swój ciężki oddech, zagłuszany gwałtownym biciem serca. Wciąż trzymała śrutówkę przy ramieniu i ustawiając celownik, starała się uspokoić. Nigdy w życiu nie strzelała do niczego. Nigdy w ogóle nie strzelała z żadnej broni palnej,

nawet dla wprawy. Jej ojciec był lekarzem, ojciec Hope wychował się na farmie i służył jako szeregowiec w piechocie morskiej w czasie wojny koreańskiej. Nie po raz pierwszy żałowała, że nie ma go teraz przy niej. Po sekundzie albo dwóch usłyszała, jak otworzyły się drzwi, a potem rozległy się kroki w holu.

- Na prawo, panie O'Connell - wyrzuciła z siebie ochrypłym głosem.

W krokach O'Connella, kiedy przemierzał hol i stanął w drzwiach salonu, nie czuło się żadnej niepewności. Catherine podniosła broń, mierząc w jego pierś.

- Ręce do góry - powiedziała. Nie przyszyły jej do głowy żadne inne słowa. - Stój tam, gdzie jesteś i się nie ruszaj.

Michael O'Connell ani nie zastygł w bezruchu, ani nie podniósł rąk.

- Zamierza pani do mnie strzelać? - zapytał.

- Jeśli będę musiała - odparła Catherine.

- Więc - powiedział powoli, przyglądając się jej uważnie, a potem wodząc spojrzeniem po pokoju, jakby starał się zapamiętać każdy kształt, każdą barwę i każdy zakątek - co mogłoby panią zmusić do tego?

- Nie chce pan chyba, żebym na to odpowiedziała - odparła wyniosłe.

O'Connell pokręcił głową, jakby rozumiał, ale się nie zgadzał.

- Nie - zaprzeczył, posuwając się trochę do przodu. - Tego właśnie muszę się dowiedzieć, czyż nie tak? - Uśmiechnął się. - Strzeli pani, jeśli powiem coś, z czym się pani nie zgadza? Jeśli się ruszę? Jeżeli podejść bliżej? Czy jeżeli się cofnę? Co zmusi panią do naciśnięcia spustu?

- Chce pan znać odpowiedź? Może pan ją dostać. W bardzo przykry sposób - odpowiedziała Catherine. O'Connell znów posunął się o krok w jej stronę. - Wszedł pan za daleko - powiedziała Catherine. - I chciałabym, żeby pan podniósł ręce.

Wypowiedziała te słowa spokojnie, mając nadzieję, że ich ton będzie dostatecznie stanowczy. Ale własny głos wydał się jej wątły i słaby jak głos kogoś naprawdę starego.

O'Connell wydawał się oceniać dzielącą ich odległość.

- Catherine, prawda? Catherine Frazier. Jest pani matką Hope, tak? Skinęła głową.

- Mogę panią nazywać Catherine? Czy woli pani coś bardziej oficjalnego. Pani Frazier? Chcę być grzeczny.

- Może mnie pan nazywać, jak pan chce, bo nie zostanie pan tu długo.

- No dobrze, Catherine...

Przerwała mu.

- Zmieniłam zdanie. Proszę mi mówić pani Frazier. O'Connell pokiwał głową, jakby uznał to za żart.

- Dobrze, pani Frazier - powiedział, kładąc akcent na nazwisku. – Nie zostanę tu długo. Chciałbym tylko porozmawiać z Ashley.

- Nie ma jej tutaj.

O'Connell pokręcił głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jestem pewien, pani Frazier, że wychowała się pani w porządnej rodzinie i że potem uczyła pani własne dziecko, jak źle jest kłamać, szczególnie prosto w oczy. To budzi gniew. A rozgniewani ludzie, no cóż, robią przerażające rzeczy, czy nie tak?

Catherine trzymała broń wymierzoną w O'Connella. Przełykając ślinę, spróbowała zapanować nad oddechem.

- Czy jest pan zdolny do robienia przerażających rzeczy? Bo jeśli tak, może powinnam od razu pana zastrzelić i zakończyć ten wieczór w przykry sposób. Przykry przede wszystkim dla pana.

Catherine nie wiedziała, czy mówi serio, czy blefuje. Całą uwagę skupiła na stojącym na wprost niej mężczyźnie; nie widziała niczego poza przestrzenią, która ich dzieliła. Czuła, jak pot po niej spływa i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego O'Connell nie zachowuje się bardziej nerwowo. Wyglądało to tak, jakby broń nie robiła na nim żadnego wrażenia. Przyszła jej do głowy niepokojąca myśl, że ta sytuacja sprawia mu przyjemność.

- Do czego ja jestem zdolny, do czego zdolna jest pani, to są naprawdę istotne pytania, czy mam rację, pani Frazier?

Catherine wzięła głęboki oddech i zmrużyła oko, jakby brała go na cel. O'Connell poruszał się po pokoju, znowu rozglądając się uważnie dookoła i najwyraźniej wcale tym się nie przejmował.

- Bardzo interesujące pytania, panie O'Connell. Ale czas już, żeby pan opuścił mój dom. Dopóki jest pan jeszcze żywy. Niech pan idzie i nigdy nie wraca. A przede wszystkim, niech pan zostawi Ashley w spokoju, raz na zawsze.

O'Connell uśmiechał się, ale Catherine widziała, jak wciąż omiatał spojrzeniem pokój. Dostrzegła też, że spod jego uśmiechu wyzierało coś o wiele bardziej mrocznego, znacznie bardziej niepokojącego niż wszystko, co sobie na jego temat dotąd wyobrażała.

W pewnym momencie odezwał się cichym głosem:

- Ona jest gdzieś blisko, prawda? Czuję to. Jest bardzo blisko.

Catherine nie odpowiedziała.

- Myślę, że czegoś pani nie rozumie, pani Frazier.

- To znaczy czego?

- Kocham Ashley. Ona i ja jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Myli się pan, panie O'Connell.

- Jesteśmy parą, dobraną parą, pani Frazier.

- Nie sądzę, żeby tak było, panie O'Connell.

- Zrobię wszystko, co będzie trzeba, żebyśmy byli razem.
  - Wierzę, że pan zrobi. Inni mogliby powiedzieć to samo.
- To były najodważniejsze słowa, na jakie mogła się zdobyć.

Milczał przez chwilę, badając ją wzrokiem. Pomyślała, że był silny, dobrze umięśniony i sprawny fizycznie jak sportowiec. Mógł być tak szybki jak Hope, pomyślała, i prawdopodobnie znacznie od niej silniejszy. Gdyby ruszył w jej stronę, co mogłoby go zatrzymać? Siedziała bezbronna, tylko dubeltówka mogłaby mu przeszkodzić w tym, co zamierzał zrobić, cokolwiek to było. Nagle poczuła się rozpaczliwie stara, jak gdyby jej wzrok osłabł, słuch się pogorszył, a reakcje się spowolniły. Wydało się jej, że O'Connell ma nad nią przewagę pod każdym względem. Nie miała pojęcia, czy miał przy sobie jakąś broń. Pistolet? Nóż? Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Nie sądzę, żeby pani to rozumiała, pani Frazier. Zawsze ją będę kochał. Myśl, że pani lub jej rodzice czy też ktokolwiek inny mógłby mnie zmusić, żebym trzymał się z dala od Ashley, jest śmieszna.

- Być może, ale nie tej nocy. Nie w moim domu. Tej nocy pan się odwróci i odejdzie. Albo pana stąd wyniosą, ale bez głowy. Po to mam tę strzelbę.

- Stara strzelba na ptaki. Naładowana kulami małego kalibru, niewiele groźniejszymi od śrutu.

- Chciałby pan to sprawdzić?

- Nie - odpowiedział powoli. - Nie sądzę, żebym chciał.

Oboje umilkli. O'Connell zdawał się myśleć o czymś bardzo intensywnie.

- Niech mi pani powie, pani Frazier, skoro prowadzimy tę przyjacielską rozmowę. Czemu pani uważa, że nie jestem kimś odpowiednim dla Ashley? Jestem za mało przystojny? Za mało inteligentny? Nie mam wystarczająco dobrego charakteru? Dlaczego nie mogę jej kochać? Co pani naprawdę o mnie wie? Kto pani zdaniem mógłby ją kochać bardziej niż ja? Czy nie jest możliwe, że mógłbym być kimś najlepszym, kogo spotkała w życiu?

- Wątpię w to, panie O'Connell.

- Nie wierzy pani w miłość od pierwszego wejrzenia, pani Frazier? Dlaczego jeden rodzaj miłości się akceptuje, a inny uważa za zły?

Trafił ją w czułe miejsce, ale milczała nadal.

O'Connell przerwał, a potem naraz zeszytniał.

- Ashley! - krzyknął. - Ashley! Wiem, że mnie słyszysz! Kocham cię! Zawsze cię będę kochał!

Jego głos odbił się echem w całym domu.

O'Connell odwrócił się do Catherine.

- Wezwała pani policję, pani Frazier?

Catherine nie odpowiedziała.

- Myślę, że tak - powiedział cicho. - Ale jakie prawo naruszyłem tej nocy? Odpowiem pani. Nie naruszyłem żadnego. - Wskazał gestem śrutówkę. - Oczywiście pani uważa, że sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Catherine mocniej zacisnęła dłoń na kadłubie śrutówki i położyła palec na spuście. Nie wahaj się, powiedziała do siebie. Nie panikuj. Czują się tak, jakby dobrze znany świat jej domu, jej salon wypełniony dobrze znanymi zdjęciami i pamiątkami stał się nagle obcy. Chciała powiedzieć coś, co przypomniałoby jej o normalności. Zastrzel go! - wołał jakiś głos głęboko wewnątrz niej. Zastrzel go, zanim on zabije was wszystkich!

Gdy się wahała, O'Connell szepnął:

- Nie tak łatwo jest kogoś zabić, prawda? Co innego powiedzieć: „Zrobisz jeszcze jeden krok i strzelam”, a co innego rzeczywiście to zrobić. Może się pani nad tym trochę zastanowi. Dobranoc, pani Frazier. Jeszcze się zobaczymy. Ja wrócę.

Zastrzel go! Zastrzel go! Zabij go teraz! - Kiedy próbowała zrozumieć ten głos rozbrzmiewający w jej głowie, O'Connell odwrócił się i nagle zniknął jej przed oczu. Wydała stłumiony okrzyk. Jakby był upiorem. Przed sekundą stał przed nią, teraz już go nie było. Usłyszała jego kroki na deskach drewnianej podłogi w holu, a potem głuchy odgłos otwieranych głównych drzwi i głośny trzask, z jakim się zamknęły. Catherine odetchnęła powoli i opadła ciężko na fotel. Jej palce zaciśnięte na śrutówce jakby przymarzły do broni i oderwanie ich wymagało pewnego wysiłku woli. Opuściła strzelbę na kolana. Poczowała się nagle wyczerpana, zmęczona tak bardzo, jak nie zdarzało się to już od lat. Ręce jej drżały, oczy wypełniły się łzami i z trudem chwytiała powietrze. Przypomniała sobie podobny moment, który przeżyła przed laty w sali szpitala, kiedy dłoń jej męża wysunęła się z jej dłoni, w chwilę potem umarł. Owładnęło ją wtedy to samo uczucie bezradności. Chciała zawołać Ashley, ale nie była w stanie. Chciała wstać i zamknąć na klucz drzwi wejściowe, ale nie mogła się ruszyć. Nie mamy żadnych szans, pomyślała. Przesiedziała w swoim fotelu kilka minut. Nie potrafiła powiedzieć ile. Potem się poruszyła, ale świadomość tego, co się działo, odzyskała dopiero wtedy, gdy niebieskie i czerwone światła policyjnego radiowozu zaalały nagle pokój.

Przez głowę Ashley myśli przelatywały jak prąd podczas przepięcia.

Pozostała skulona za zamkniętymi na klucz drzwiami sypialni, świadoma tego, że Catherine i O'Connell rozmawiają ze sobą, ale nie słyszała żadnych słów, oprócz tych, wykrzyczanych przez Michaela O'Connella, które wzbudziły w niej gwałtowny lęk. Kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi,



nadal siedziała jak zastygła na podłodze za łóżkiem, przyciskając kurczowo poduszkę do piersi i z głową wtuloną w jej środek, jakby próbowała uniemożliwić sobie słyszenie i widzenie czegokolwiek, a nawet oddychanie. Powłocz-ka była mokra w miejscu, gdzie wpiła się w nią zębami, by nie krzyżeć. Czuła, jak lzy ściekały jej po policzkach i była przerażona. Także swoim strachem. Wstydziała się tego, że zostawiła Catherine samą, gdy trzeba było stanąć twarzą w twarz z O'Connellem, mimo że Catherine upierała się przy takim rozwiązaniu. Miała już za sobą etap zadawania naiwnych pytań w rodzaju: „Dlaczego on nie może zostawić mnie w spokoju?” i wiedziała, że jej sytuacja jest bardziej niebezpieczna niż kiedykolwiek.

- Ashley! - Głos Catherine przedarł się przez ściany i jej lęki.
- Tak - wyrzuciła z siebie w odpowiedzi.
- Policja jest już tutaj. Możesz zejść.

Gdy Ashley wyszła z sypialni i stanęła na szczycie schodów, spojrzała w dół i zobaczyła Catherine stojącą w korytarzu naprzeciwko funkcjonariusza lokalnej policji, mężczyzny w średnim wieku. Policjant trzymał w palcach notes i ołówek. Kręcił głową.

- Rozumiem, pani Frazier. - Mówił powoli, sprawiał wrażenie niezbyt bystrego i Ashley widziała, że Catherine była wyraźnie poirytowana. – Nie mogę wysłać wszystkich swoich ludzi, by szukali kogoś, kogo pani sama zaprosiła do swojego domu dlatego, że wydaje się obsesyjnie zakochany w pannie Freeman. Dobry wieczór, panno Freeman, gdyby mogła pani zejść na dół...

Ashley zeszła po schodach do holu.

- Czy ten gość uderzył panią albo pani groził?

Catherine prychnęła.

- Wszystko, co on powiedział, było groźbą, sierżancie Connors. Nie chodzi tylko o słowa, ale sposób, w jaki je mówił.

Policjant spojrzał na Ashley.

- Była pani na górze? Więc nie była pani świadkiem zajścia?

Ashley skinęła głową.

- A więc był tutaj, ale nic pani nie zrobił?

- Nie - powiedziała Ashley głosem zupełnie pozbawionym siły.

Policjant pokręcił głową, zamknął notes i odwrócił się znowu do Catherine.

- Powinna pani powiedzieć, pani Frazier, że on uderzył panią i zaczęła się pani bać o swoje życie. Jakiś kontakt fizyczny. To dałoby nam podstawę do działania. Mogła pani powiedzieć, że wymachiwał jakąś bronią. Nawet to byłoby naruszeniem prawa. Ale nie możemy aresztować kogoś, bo powiedział, że kocha pannę Freeman.

Sierżant pozwolił sobie na drobny żart.

- Szczerze mówiąc, założę się, że prawie wszyscy chłopcy są zakochani w pannie Freeman.

Catherine tupnęła nogą.

- To nie ma sensu - powiedziała. - Nie może nam pan w ogóle pomóc?

- Dopóki nie będziemy mieli całkowitej pewności, że zostało popełnione przestępstwo.

- No a prześladowanie? To jest przestępstwo.

- Zgoda. Ale tutaj, tej nocy, nie miało miejsca, prawda? Jeśli jednak może pani to udowodnić, trzeba, by panna Freeman zwróciła się do sędziego i uzyskała odpowiedni nakaz. A wtedy mogą panie być pewne, że jeśli ten facet znajdzie się w odległości stu metrów od niej, aresztujemy go. To dałoby nam, że tak powiem, jakąś broń do ręki. Ale bez tego...

Policjant spojrział na Ashley.

- Nie uzyskała pani takiego nakazu w Bostonie, tam gdzie pani mieszka?

Pokręciła głową.

- No cóż, powinna pani zastanowić się nad tym. Oczywiście...

- Oczywiście co? - zapytała ostrym tonem Catherine.

- No więc, nie lubię spekulować...

- To znaczy?

- Musicie być panie ostrożne. Żeby nie wywołać jakichś naprawdę agresywnych zachowań. Czasami taki nakaz niewiele daje, a zwiększa zagrożenie. Niech pani porozmawia z profesjonalistą, panno Freeman.

- Rozmawiamy z profesjonalistą- wtrąciła się Catherine. - Ostatecznie, sierżancie, czy nie na tym między innymi polega pański zawód?

- Mam na myśli kogoś, kto jest ekspertem od tego rodzaju rodzinnych problemów.

Catherine pokręciła głową, ale była na tyle rozsądna, że nie powiedziała nic więcej. Obrażanie przedstawicieli lokalnej policji nie dałoby nic dobrego.

- Jeśli on wróci, pani Frazier, niech pani zadzwoni na posterunek; wyślę kogoś, żeby był w pobliżu. W dzień i w nocy. Przynajmniej tyle możemy zrobić. Wiedząc, że gdzieś tu się kręci policjant, nie będzie prawdopodobnie zbyt śmiały. To najlepsza rzecz, jaką mogę pani zaproponować.

Sierżant odwrócił się, ruszył w stronę drzwi i ostentacyjnie włożył ołówek i notes z powrotem do kieszeni koszuli. Przystanął jednak i jak się wydawało Ashley, miał trochę zażenowaną minę.

- Mamy związane ręce - powiedział. - Sporządzę raport dotyczący tego wezwania na wypadek, gdyby wystąpiła pani do sędziego o nakaz.

Catherine tylko parsknęła.

- Jasne, to wielka pociecha - rzuciła ze złością. - Naprawdę uspokajające. To tak, jakby pan powiedział, że musimy czekać, aż cały dom spłonie, zanim będziemy mogli wezwać straż pożarną.

- Żałuję, że nie możemy być bardziej pomocni. Naprawdę żałuję, pani Frazier, bo rozumiem, że takie sprawy są trudne. Ale, jak powiedziałem, proszę zadzwonić do nas, gdy on pojawi się znowu. Będziemy tu w ciągu sekundy.

Policjant nagle uniósł głowę, nasłuchując.

- Jezu - powiedział. - Ktoś pruje naprawdę szybko...

Catherine i Ashley wsłuchiwały się w odległy odgłos silnika wyjącego na pełnych obrotach. Ashley, oczywiście, rozpoznała ten dźwięk. Zbliżał się z każdą chwilą, stawał coraz głośniejszy i wszyscy troje zobaczyli nagle, jak światła reflektorów przecięły kępy pobliskich drzew.

- To mój ojciec - domyśliła się Ashley.

Pomyślała, że odetchnie z ulgą, gdy go zobaczy i poczuje się bezpieczna, bo on będzie wiedział, co robić. Ale tak się nie stało.

Nie dała mi szansy, żebym odpowiedział.

- Stałam się badaczem strachu - powiedziała. - Badaczem reakcji psychicznych. Stresów. Problemów dotyczących zachowań. Czytałam podręczniki psychiatrii i traktaty z dziedziny nauk społecznych. Czytałam książki na temat tego, jak ludzie reagują w trudnych sytuacjach. Prowadzę notatki, chodzę na wykłady, robię wszystko, co mogę, tylko dlatego, że staram się lepiej to zrozumieć.

Odwróciła się i znowu zaczęła patrzeć przez okno na łagodny podmiejski krajobraz za szybą.

- Ten widok nie bardzo kojarzy się z kliniką - powiedziałem. - Wszystko tu dookoła wydaje się bardzo ciche, spokojne i bezpieczne.

Pokręciła przecząco głową.

- To złudzenie - odparła. - Strach przybiera tylko różne formy w różnych miejscach. Cała rzecz opiera się na sprzeczności pomiędzy tym, co ma nastąpić według naszych oczekiwań w ciągu następnych sekund, a tym, co się dzieje rzeczywiście.

- Michael O'Connell?

Na jej twarzy pojawił się cierpki uśmiech.

- Czy zastanawiał się pan kiedyś nad tym, jak to się dzieje, że niektórzy ludzie wiedzą z natury, jak wywoływać strach? Płatni zabójcy. Psychopaci seksualni. Fanatycy religijni. Terroryci. Każdy z nich ma coś w rodzaju wrodzonej wiedzy, wrodzonych do tego zdolności. On był

jednym z takich typów. Jakby nie był przywiązany do życia tak samo jak pan lub ja albo Ashley i jej rodzina. Zwyczajne więzy i hamulce emocjonalne, które wszyscy znamy, były zupełnie nieobecne u O'Connella. Zastępowało je coś naprawdę niepokojącego.

- To znaczy co?
- Kochał siebie takiego, jaki był.

## 31. Ucieczka przed czymś niewidzialnym

Catherine stała przed domem, wpatrując się w baldachim gwiazd rozpięty na niebie. Było tak zimno, że widziała, jak oddycha, ale silniejszy chłód czuła w sobie po tym, co się wydarzyło. Jej dom na ziemi, jej własność od tylu lat dobrych i złych, gdzie każde drzewo, każdy krzak, każdy powiew wiatru powodujący klekotanie okapu budziły jakieś wspomnienia, wydawał się dotąd jedynym naprawdę bezpiecznym miejscem. Czymś stałym i solidnym w jej życiu. Ale tej nocy poczucie bezpieczeństwa znacznie się obniżyło. Zwłaszcza od chwili, kiedy usłyszała słowa: „Ja wróce”.

Catherine odwróciła się w stronę frontowych drzwi. Wydało się jej nagle, że jest zbyt zimno, by zastanawiać się na dworze nad tym, co należy robić w ich sytuacji. To ją trochę zdziwiło, często bowiem zdarzało się jej stać pod gołym niebem i rozważać różne problemy, niezależnie od pory roku. Ale tej nocy czarne niebo nie wpływało dodatnio na klarowność myśli, powodowało jedynie, że zimne dreszcze przebiegały po jej plecach. Przemknęła jej przez głowę okropna myśl, że Michael O'Connell nie czuł tego mrozu, bo rozgrzewała go jego obsesja.

Przebiegła wzrokiem wzdłuż linii drzew rosnących na granicy jej niewielkiej posiadłości i przez płaski trawiasty teren obok domu; kiedyś jej mąż pożyczył traktor, wyrównał część placu, a następnie obsiał go trawą i ustawił tam bramki - był to prezent urodzinowy dla Hope, gdy skończyła jedenaście lat. Kiedy patrzyła na miniboisko, widok ten działał na nią kojąco, dodawał jej otuchy, budził wspomnienia tylu szczęśliwych chwil. Tej nocy jednak jej wzrok przemknął obok wyblakłych białych słupków. Wyobrazila sobie, że gdzieś tam właśnie, poza zasięgiem jej wzroku, stał Michael O'Connell i obserwował ich trójkę.

Catherine zacisnęła zęby i wróciła do domu, przedtem jednak wykonała nieprzyzwoity gest w kierunku ciemnej linii drzew. Na wszelki wypadek, pomyślała. Jej bagaż był już gotowy, ale Ashley, wciąż zszokowanej, spakowanie się zajęło więcej czasu.

Scott siedział w kuchni, popijając mocną kawę, przed nim na stole leżała stara śrutówka. Przesunął palcem po lufie, przez całą jej długość i pomyślał sobie, że byłoby dla nich o wiele lepiej, gdyby Catherine nacisnęła spust. Spędziliby resztę nocy, pertraktując z lokalną policją i koronerem, wynajęliby dla niej adwokata, choć przypuszczał, że nawet by jej nie aresztowano. Gdyby tylko zastrzeliła tego sukinsyna O'Connella, kiedy wszedł do jej domu głównymi drzwiami, pomyślał Scott, zaraz po przyjeździe pomógłbym załatwić całą sprawę. I w ciągu paru dni ich życie wróciłoby do normy.

Usłyszał, że Catherine otwiera drzwi i wchodzi do kuchni.

- Chyba też się napiję kawy - powiedziała, napełniając filiżankę.
- To będzie długa noc - odparł Scott.
- Już jest.
- Ashley jeszcze niegotowa?
- Będzie gotowa za chwilę. Porządkuje tylko parę rzeczy.
- Wciąż jest bardzo roztrzęsiona.

Catherine potwierdziła to skinieniem głowy.

- Nie miej jej tego za złe. Ja też jestem trochę roztrzęsiona.
- Lepiej to ukrywasz.
- Mam w tym więcej doświadczenia. - odparła Catherine.
- Żałuję... - zaczął Scott i przerwał.

Catherine uśmiechnęła się cierpko kącikami ust.

- Wiem, czego żałujesz - powiedziała.
- Żałuję, że nie wysłałaś go prosto do piekła.

Kiwnęła głową.

- Ja też. Gdy teraz o tym myślę.

Żadne z nich nie powiedziało tego, co uświadomili sobie oboje: szanse na to, że O'Connell znajdzie się raz jeszcze pod lufą któregoś z nich, były znikome. Gdy tylko ta myśl pojawiła się w głowie Scotta, spróbował ją odrzucić. Racjonalna, wykształcona część jego „ja” sugerowała uparcie: „Przemoc nigdy nie jest właściwą odpowiedzią”. W następnej chwili, równie szybko jakiś wewnętrzny głos odpowiedział: „Dlaczego nie?”

Weszła Ashley i stanęła tuż za drzwiami.

- W porządku - powiedziała. - Jestem gotowa. Spojrzała na ojca i Catherine.

- Czy macie pewność, że wyjeżdżając stąd, postępujemy słusznie?
- Ashley, kochanie, to zupełne odludzie - powiedziała Catherine po wściągliwym tonem. - A poza tym bardzo trudno przewidzieć, jaki będzie następny krok pana O'Connella.

- To jest nie fair - oznajmiła Ashley. - Nie fair wobec mnie, wobec was, nie fair wobec wszystkich.

- Kwestia czy to jest fair, jak sądzę, nie może być już dłużej przedmiotem dyskusji - powiedział Scott.

- Interesuje nas teraz przede wszystkim nasze bezpieczeństwo - dodała Catherine, wciąż łagodnym tonem. - Zgrzeszmy więc lepiej nadmiarem ostrożności.

Ashley zacisnęła pięści, z trudem powstrzymując łzy.

- Jedźmy już - powiedział Scott. - Przynajmniej twoja matka poczuje się nieporównanie lepiej, kiedy znajdziesz się w domu. Hope także. A Catherine z całą pewnością nie chce, żebyś została tu sama i miała do czynienia z tym sukinsynem.

- Myślę, że następnym razem - oznajmiła Catherine chłodno - nie będę się z nim bawiła w konwersację.

Wskazała gestem strzelbę, co wywołało uśmiech na twarzach Ashley i Scotta.

- Catherine - powiedziała Ashley, ocierając oczy. - Byłabyś świetnym zawodowym mordercą.

Catherine się uśmiechnęła.

- Dziękuję, kochanie. Traktuję to jako komplement.

Scott wstał od stołu.

- Czy pamiętacie, jak mamy to rozegrać dzisiejszej nocy?

Catherine i Ashley skinęły zgodnie głowami.

- Plan wydaje się dość skomplikowany - powiedziała Catherine.

- Lepiej komplikować, niż później żałować. Najrozsądniej będzie założyć, że on obserwuje dom. I że mógłby pojechać za nami. Nie wiemy, co jeszcze może zrobić. Tej nocy już raz zepchnął was z drogi.

- Jeśli to był on - odparła Ashley. - Nie udało nam się zobaczyć tego faceta. Ani jego samochodu. Zresztą to nie ma sensu. Dlaczego miałby próbować nas zabić, a zaraz potem krzyczałby, że mnie kocha?

Scott pokręcił głową. Dla niego także nie miało to sensu.

- Tak czy inaczej damy mu do myślenia, jeżeli nas obserwuje.

Pozbierał bagaże i ustawił wszystkie przy głównych drzwiach. Catherine pogasiła światła w całym domu. Pozostawiwszy obie kobiety w przedpokoju, Scott wyszedł na zewnątrz w ciemną noc. Zlustrował wzrokiem otaczający mrok i wrócił myślą do czasów, gdy był w Wietnamie - miał tyle lat, co dzisiaj Ashley. Patrzył przez lornetkę w gąszcz dżungli, mając za sobą milczącą baterię haubic, czując stęchły zapach worków z piaskiem ułożonych tuż obok i myśląc o tym, czy są obserwowani zza pnączy i splątanych gęstych zarośli.

Wśliznął się za kierownicę porsche, zapalił silnik i wjechał tyłem na miejsce obok samochodu Catherine - małego kombi z napędem na cztery koła. Podniósł osłonę i wysiadł, nie wyłączwszy silnika. Wysunął rękę i uruchomił silnik w samochodzie Catherine. Podeszedł kolejno z prawej strony do obu aut, pootwierał drzwi i obniżył siedzenia dla pasażera do maksimum.

Wrócił do domu, zabrał wszystkie bagaże i znowu wyszedł w mrok.

Ulokował bagaż Catherine w swoim samochodzie, a bagaż Ashley w aucie Catherine, zamknął bagażniki, ale wszystkie drzwi samochodów pozostawił otwarte.

Powrócił pośpiesznie do frontowych drzwi.

- Gotowe?

Obie kobiety skinęły głowami.

- No to idziemy. Teraz, szybko.

Wszyscy troje ruszyli razem, tworząc jedną ciemną bryłę. Ashley wsunęła się na miejsce pasażera w porsche, a Catherine za kierownicę swojego auta. Ashley natychmiast dała nura w dół, tak że stała się niewidoczna. Włosy ukryła pod ciemną marynarską czapką.

Scott pobiegł dookoła, zatrzasnął drzwi obu samochodów, a potem wskoczył na swoje miejsce w porsche. Dał znak Catherine wzniesionym kciukiem, a ona ruszyła pełnym gazem, rozpryskując kołami żwir. Scott zjechał kilkanaście centymetrów na bok. Teraz, szybko, pomyślał. Ale Catherine już wciskała pedał gazu i oboje pędzili razem w stronę autostrady.

Scott lustrował drogę za nimi, szukając reflektorów. Ale utrudniały to zakręty na autostradzie. Jest pełnia księżyca, pomyślał. Gdybym kogoś ścigał, jechałbym bez świateł.

Na siedzeniu obok niego Ashley nadal była maksymalnie skulona. Przyspieszył i jechał wciąż w tej samej odległości za Catherine.

Catherine zmierzała do dobrze jej znanego miejsca, położonego tuż przed wjazdem na autostradę międzystanową. Był to bank dla zmotoryzowanych, za którym znajdował się niewielki parking. Gdy spostrzegła wjazd, zaczęła do ostatniej chwili z włączeniem migacza, po czym szarpnęła gwałtownie kierownicę. Usłyszała krótki pisk opon i wjechała na tyły budynku, gdzie nie było świateł. Tuż za nią rozbrzmiewał ryk silnika porsche. Zatrzymała kombi i wzięła głęboki oddech.

Scott przystanął obok niej, potem wyskoczył z samochodu i pobiegł do krańca budynku.

Jakieś samotne auto przemknęło główną szosą, potem następne. Nie mógł dostrzec kierowcy ani pierwszego, ani drugiego samochodu.

Ale żaden samochód nie zwolnił ani nie skręcił na autostradę międzystanową, oba zniknęły w dali na szosie. Żaden nie wyglądał podejrzanie, a

kierowcy nie sprawiali wrażenia, że wahają się, dokąd jechać. Scott odwrócił się w stronę, gdzie czekały dwie kobiety.

- W porządku, czas na zmianę miejsc - powiedział. - Nie ma śladu po nim.

Ashley bez słowa zsunęła się ze swojego miejsca w porsche, wcisnęła na miejsce pasażera w kombi i okręciła się starym wełnianym kocem w szkocką kratę. Catherine skinęła głową, potem wrzuciła bieg i ruszyła w stronę wjazdu na autostradę międzystanową dla pojazdów jadących na południe.

Scott pojechał za nią, ale zamiast skierować się w tę samą stronę, przystanął na poboczu. Przyglądał się przez chwilę, jak tylne światła małego auta znikają w oddali. Czekał, by przyjrzeć się każdemu samochodowi, który pojechałby na południe za Catherine, ale żaden się nie pojawił. Policzył do trzydziestu, a potem wcisnął gaz do dechy i z piskiem opon skierował auto ku wjazdowi na autostradę dla jadących na północ. Zanim znalazł się na początku wjazdu, jego sportowy samochód pędził już z prędkością prawie stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Spostrzegł na paśmie z prawej strony ciągnik z przyczepą, który blokował mu drogę, ale zamiast przyhamować, docisnął gaz i przeleciał obok zawalidrogi na pasmo przeznaczone dla pomocy drogowej. Przeraził dźwięk klaksonu rozdarł za nim nocny mrok i wściekły kierowca ciągnika zapalił wszystkie światła. Scott zignorował go; wypatrywał teraz po lewej stronie niedozwolonego skrętu o sto osiemdziesiąt stopni. Miał nadzieję, że nie będzie tam czyhał jakiś policjant. Długie światła porsche wyłowiły napis: „Do użytku dla upoważnionych”; nacisnął hamulce i wyłączył wszystkie światła.

Porsche podskoczyło i opadło na ziemię, gdy Scott zjechał z pasma, które wiodło na północ, na to, którym jechało się na południe. Szybko sprawdził, że droga jest pusta, dodał gazu, wjechał z powrotem na autostradę i znowu włączył przednie światła.

Wziął głęboki oddech. Niech ktoś spróbuje mnie pokonać, powiedział do siebie.

Scott pomyślał, że dogonienie Catherine i Ashley zajmie mu mniej niż dziesięć minut i że zanim znajdzie się tuż za nimi, może sprawdzić każdy mijany samochód. Potem będzie je eskortował do samego domu.

Zacisnął mocno wargi.

Mam jeszcze kilka sztuczek w zapasie, pomyślał. Słyszał warkot silnika pędzącego szybko samochodu i po raz pierwszy tej nocy czuł, że w pewnym stopniu panuje nad sytuacją.

Był jednak na tyle mądry, by dojść do wniosku, iż to uczucie prawdopodobnie nie potrwa długo.



Po tak wielkim napięciu wszystkim bardzo potrzebny był sen i dlatego następnego dnia spotkali się dość późno. Ashley załapała się łzami, gdy poznała szczegóły śmierci Bezimiennego, a potem długo i gorzko płakała w łóżku. W końcu zasnęła, dręczyły ją jednak koszmary. Kilkakrotnie krzyczała przez sen i Sally lub Hope przybiegały pod jej drzwi, by sprawdzić, co się dzieje, jakby wciąż jeszcze była małą dziewczynką.

Scott wrócił do college'u. Udało mu się przespać około półtorej godziny w fotelu w gabinecie, a gdy się obudził, czuł, że cały dzień będzie w jakiś sposób zniekształcony. Myjąc się w męskiej toalecie, przez kilka minut przyglądał się sobie w lustrze. Historia, myślał, to studium mężczyzn i kobiet, którzy potrafią sprostać niezwykłym wydarzeniom. Powtarzający się wciąż od nowa egzamin czyjegoś męstwa, czyjegoś tchórzostwa, czyjejś zdolności przewidywania i czyichś niepowodzeń. To emocje i psychika uzewnętrzniające się w działaniu. Czuł jakiś wewnętrzny chłód, rodzaj mdłości, gdy się zastanawiał, czy rzeczywiście przez całe swoje dorosłe życie badał tylko to, czego dokonali inni, a nie uczył się, w jaki sposób sam mógłby czegoś dokonać.

Scott wierzył, że Michael O'Connell był po prostu chwilą w jego własnej historii. I pomyślał, że to, jak on sam będzie postępował w ciągu kilku najbliższych dni, zadecyduje raz na zawsze o tym, jakim jest człowiekiem.

Sally starała się zapanować nad gniewem.

Wydawało się jej, że wszystkie wysiłki zmierzające do rozwiązania sytuacji zakończyły się fiaskiem. Próbowali postępować rozsądnie i spokojnie. Próbowali działać energicznie. Próbowali uciec się do przekupstwa. Próbowali podstępów oraz ucieczki. I żadna z tych metod nie dała rezultatu. W życiu każdego z nich zaszły niedobre zmiany. Było tak, jakby w jasny pogodny dzień niebo nagle pokryło się chmurami; został zakłócony dotychczasowy ład, wkraśl się chaos. Pojawiło się zagrożenie dla ich karier zawodowych, naruszono ich prywatność, wepchnięto ich w jakiś inny rejon egzystencji.

Świat strachu, pomyślała. To właśnie ich czekało.

Siedziała samotnie w salonie. Zdała sobie naraz sprawę, że się krzywi, kręci głową, wymachuje rękami, coś pokazuje z gniewem, gestykuluje, marszczy brwi, jakby prowadziła jakąś zażartą dyskusję, choć nikt nie mógł usłyszeć słów, formujących się w jej głowie. Ashley spała jeszcze na gorze, ale Sally zamierzała ją wkrótce obudzić. Hope i Catherine wyszły, by kupić coś na kolację. Według wszelkiego prawdopodobieństwa rozmawiały teraz o tym, co się zważyło na nie wszystkie. Ona została w domu, na straży.

Czuła, jak jej puls bije gwałtownie. Znalazły się na rozdrożu i na razie nie miała pewności, którą drogą mogą pójść dalej.

Odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy.

Schrzaniłam wszystko, pomyślała. Paprzę każdą sprawę.

Westchnęła i przeszła przez pokój do biurka, w którym przechowywała albumy z wycinkami i stare fotografie - pamiątki zbyt cenne, by je wyrzucać, ale nie na tyle ważne, by je oprawiać w ramki. Otworzyła wielką szufladę i grzebała wśród zdjęć, aż znalazła to, czego szukała: fotografie swojej matki i ojca. Oboje zmarli stanowczo zbyt młodo; jedno na chorobę serca, drugie zginęło w wypadku samochodowym. Sally nie bardzo wiedziała, dlaczego chciała teraz spojrzeć na nich, a właściwie zobaczyć ich oczy - może dlatego, że patrzyli tak, jakby chcieli dodać jej otuchy. Zostawili ją samą i ona uczepiła się Scotta - mimo wszelkich wątpliwości co do tego, kim była i kim miała się stać - ponieważ powiedziała sobie, że on będzie stałym elementem jej życia. Prawdopodobnie to samo skłoniło ją do studiów prawniczych, była pełna determinacji, żeby zdobyć gwarancję, że już nigdy nie stanie się ofiarą nieoczekiwanych wydarzeń. Pokręciła głową, przypomniawszy to sobie. Głupio myślała. Każdy może się stać ofiarą. Każdy i zawsze.

W tym momencie usłyszała, że Ashley kręci się po pokoju na górze.

Sally wzięła głęboki oddech. Jedno jest istotne, pomyślała, co powinna zrobić matka, by ochronić swoje dziecko.

- Ashley! Już wstałaś?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Sally usłyszała długi przeciągły pomruk i odpowiedź:

- Tak. Cześć, mamó. Zaraz zejść, tylko umyję zęby...

Sally miała coś odpowiedzieć, ale zadzwonił telefon.

Ten dźwięk ją zmroził.

Spojrzała na identyfikator numerów, ale zobaczyła tylko słowa: „numer nieznanym”.

Wyciągnęła rękę, zagryzła wargi i podniosła słuchawkę.

- Słucham, kto mówi? - powiedziała lodowatym, wystudiowanym tonem prawnika.

Nie było odpowiedzi.

- Kto mówi!?!- zapytała ostro.

Po drugiej stronie linii nadal trwało milczenie. Nie mogła nawet dosłyszeć niczyjego oddechu.

- Jasna cholera, zostaw nas w spokoju - szepnęła.

Jej słowa przebiły ciszę jak gwoździe, po czym rzuciła słuchawkę.

- Mamó, kto to był? - zawołała z góry Ashley.

Sally usłyszała, że głos córki zadrzał.

- To nie ważnego - krzyknęła w odpowiedzi. - Cholerny akwizytor, który chciał nam wcisnąć prenumeratę jakichś czasopism. - Gdy tylko te słowa padły z jej ust, zadała sobie pytanie, dlaczego nie powiedziała prawdy. - Schodzisz na dół?

- Zaraz idę.

Sally usłyszała odgłos zamykanych drzwi sypialni. Podniosła słuchawkę i połączyła się ze Star 69. Po chwili usłyszała nagrany głos: „Numer 413-555-0987 to automat telefoniczny w Greenfield, stan Massachusetts”.

Niedaleko, pomyślała. Mniej niż godzina jazdy samochodem.

Kiedy Michael O'Connell odwiesił słuchawkę automatu, w pierwszym odruchu chciał ruszyć na południe, gdzie, jak wiedział, czekała na niego Ashley; pomyślał, że mógłby wykorzystać ten moment. Wszystko, co usłyszał od Sally, uzmysłowiło mu, jak była słaba. Przymknął powieki i wyobraził sobie ukochaną: poczuł, jak krew zaczyna gwałtownie pulsować w jego tętnicach. Wdychał powietrze powoli i płytko jak pływak przed nurkowaniem; uznał, że jeśli teraz pojedzie do jej domu, robi to, czego oni się spodziewają.

Będą się przygotowywali, pomyślał. Wymyślali jakieś sposoby, by uniemożliwić zbliżenie się do niej. Opracują system obrony, zbudują mury. Ale nie mogą mnie pokonać. To był najprostszy, najbardziej oczywisty, ostateczny fakt.

Znowu zrobił głęboki wdech. Będą sądzili, że jestem w drodze do nich. W takim razie, po co pośpiech?

Niech się niepokoją. Niech nie mogą zasnąć. Niech przeraża ich każdy nocny odgłos. A kiedy ich system obrony osłabnie z powodu wyczerpania, napięcia i rosnących wątpliwości - pojawię się. W momencie, gdy najmniej będą się tego spodziewać.

O'Connell uderzył stopą o chodnik jak tancerz, który odnalazł rytm.

Jestem tam, przy nich, nawet wtedy, gdy jestem tutaj, powiedział sobie.

Michael O'Connell uznał, że nie ma żadnego powodu do pośpiechu. Miłość do Ashley mogła być także miłością niezmiernie cierpliwą.

Tym razem powiedziała mi, żebyśmy się spotkali o północy przed oddziałem pomocy doraźnej szpitala w Springfield. Gdy spytałem, dlaczego o północy, wyjaśniła, że pracuje jako wolontariuszka w szpitalu przez dwie noce w tygodniu i że o godzinie duchów ma zazwyczaj przerwę.

- Jaka to praca? - zapytałem.

- Doradztwo, pomoc psychologiczna. Maltretowane żony. Pobite dzieci. Opuszczeni rodzice. Oni wszyscy przychodzą do szpitala i musi

być tu ktoś, kto im wskaże, w jaki sposób mogą uzyskać pomoc władz stanowych - mówiła to tonem, który sprawiał wrażenie chłodnego i zarazem cierpliwego. - Moja praca polega na dokonywaniu odpowiednich ustaleń dotyczących wybitych zębów, podbitych oczu, śladów po brzytwie i złamanych żeber.

Czekając na mnie, paliła papierosa i zaciągała się głęboko. Gdy przeszedłem przez mroczny plac parkingowy i znalazłem się o parę kroków od niej, zwróciłem na to uwagę.

- Nie wiedziałem, że pani pali.

- Nie palę - odparła i znowu zaciągnęła się głęboko. - Jedynie tutaj jednego papierosa podczas przerwy o północy. Nie więcej. Dwa razy w tygodniu. Po powrocie do domu resztę paczki wyrzucam. Każdego tygodnia kupuję nową.

Uśmiechnęła się, część jej twarzy osłaniał mrok.

- Palenie wydaje się niewielkim grzechem w porównaniu z tym, co widuję tutaj. Dziecko, któremu systematycznie łamie palce stuknięty ojczym. Albo matka w ósmym miesiącu ciąży bity metalowym wieszakiem na ubrania. Te bardzo okrutne rzeczy, ale i pospolite. Taka szpetota jest życiem tych ludzi. Czy to nie zdumiewające, jak okrutni potrafimy być jedni dla drugich?

- To prawda - powiedziałem.

- A więc, co jeszcze chciałby pan wiedzieć? - zapytała.

- Scott, Sally i Hope nie chcieli ryzykować i godzić się na niepewną sytuację?

Przytaknęła ruchem głowy.

Przenikliwe zawrodoenie syreny karetki pogotowia rozdarło mrok nocy. Krytycznym momentom towarzyszy wiele różnych dźwięków.

## 32. Pierwszy i jedyny plan

Kiedy później zebrali się razem w pokoju, zapanowało wśród nich poczucie bezradności. Zwłaszcza Ashley sprawiała wrażenie załamanej ostatnimi wydarzeniami. Siedziała skurczona w fotelu - pod kocem, z podkulonymi nogami, przyciskając do siebie kurczowo starego brązowego misia, którego Bezimienny pozbawił części jednego ucha. Czuli się tak, jakby była na scenie i grała swoją rolę: wypowiadała kwestie, wykonywała przewidziane ruchy, mając przez cały czas świadomość, że tuż zza linii reflektorów, z pogrążonej w ciemności widowni obserwuje ją publiczność.

Ashley powiedła wzrokiem dookoła po pokoju. Zdawała sobie sprawę, że to ona jest przyczyną całej tej sytuacji, ale nie bardzo wiedziała, który fałszywy krok ją spowodował. Jedna, trochę pijana noc, kiedy wylądowała w łóżku z Michaeliem O'Connelllem? Rozmowa, w trakcie której zgodziła się wyjść z nim z lokalu, ponieważ uznała, że O'Connell jest inny niż jej koledzy z college'u?

Myślała o tym, że jest naiwna i głupia. I że nie ma pojęcia, co powinna robić. Gdy podniosła wzrok i spoglądała kolejno na Catherine i Hope, swojego ojca i mamę, uświadomiła sobie, że wszyscy oni z jej winy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Chciała ich przeprosić i od tego zaczęła.

- To wszystko przeze mnie - powiedziała. - To moja wina.

- Nie, nie twoja - odparła szybko Sally. - Obwinianie i karanie siebie nie przyniesie nikomu z nas pożytku.

- No cóż - odrzekła Ashley. - Gdybym nie...

- Popełniłaś błąd - przyznał Scott - Przyjeliśmy to już wcześniej do wiadomości i nie mówmy więcej o tym. W dodatku wszyscy powiększyliśmy ten błąd, zakładając, że mamy do czynienia z kimś rozsądnym. Może więc raz się pomyliłaś, ale O'Connell bardzo szybko wciągnął nas wszystkich w tę sprawę i żadne z nas nie doceniło, do czego on jest zdolny. To nasza wina. Wzajemne oskarżanie byłoby niemądre. Twoja matka ma rację: stoi przed nami tylko jeden problem, co powinniśmy zrobić?

- Ja myślę - odezwała się Hope - że problem jest inny.

Scott szybko odwrócił się w jej stronę.

- Jak to?

- Kwestią zasadniczą jest to, jak daleko chcemy się posunąć.

Po tych słowach w pokoju zaległa cisza.

- Ponieważ - Hope mówiła dalej spokojnym tonem, ale w jej głosie pobrzmiwała autorytatywna nuta - mamy tylko bardzo słabe pojęcie o tym, co zamierza zrobić Michael O'Connell. Wiemy, że jest zdolny prawie do wszystkiego. A więc czy są granice, których nie przekroczy? Myślę, że byłoby niemądre, gdyby ktoś z nas uważał, że ten człowiek przed czymś się cofnie.

- Żałuję, że ja... - zaczęła Catherine, po czym przerwała. - No cóż - powiedziała, energicznie jak zawsze - Scott wie, czego żałuję.

- Ja sędzę - wtrąciła się Sally - że nadszedł czas, by zwrócić się do władz.

- Tak, to właśnie powiedział mi funkcjonariusz lokalnej policji pod moim domem po spotkaniu z O'Connelllem.

- Wygląda na to, że nie podoba ci się zbytnio ten pomysł - zauważyła Hope.

- Nie podoba mi się - potwierdziła Catherine i mruknęła pod nosem:
- Kiedy to, do diabła, władze komukolwiek pomogły?

Scott odwrócił się w stronę byłej żony.

- Sally, jesteś prawnikiem. Na pewno w swojej praktyce napotykałaś podobne problemy. Co zrobić, by uruchomić taki proces? Czego mogliśmy się po nim spodziewać?

Sally milczała przez chwilę, przygotowując w myśli listę szczegółów.

- Ashley będzie musiała się zwrócić do sądu. Mogłabym się tym zająć, ale mądrzej jest wynająć adwokata z zewnątrz. Będzie musiała zeznać, że była prześladowana, że bała się, iż spotkają coś złego. Być może zażądają, by udowodniła, że O'Connell zachowywał się w określony sposób, ale większość sędziów odnosi się ze zrozumieniem do osób znajdujących się w podobnej sytuacji i pewnie przyjmą to, co Ashley powie, nie wymagając wielu świadków. Wydadzą nakaz sądowy dotyczący zaniechania działań, który pozwoli policji aresztować O'Connella, jeśli znajdzie się w pobliżu Ashley w odległości mniejszej niż ustalona, zazwyczaj jest to od trzydziestu do stu metrów. Sędzia prawdopodobnie zabroni O'Connellowi wszelkich kontaktów z nią, zarówno telefonicznych, jak i tych za pośrednictwem komputera. Z reguły są to zakazy całkowite, które mogłyby spowodować, że O'Connell naprawdę zniknie z życia Ashley, jeśli...

- Jeśli co? - zapytała Ashley.

- Jeśli im się podporządkuje.

- A jeśli nie?

- Wtedy policja może wkroczyć. Zgodnie z literą prawa, mógłby zostać aresztowany za złamanie nakazu. Przymknięto by go na jakiś czas. Standardowy wyrok to maksimum sześć miesięcy, jeśli założyć, że sędziowie okażą się surowi. W rzeczywistości najczęściej dochodzi do wzajemnych ustępstw. Sędziowie niechętnie skazują na więzienie za to, co często traktują jako rozgrywkę między parą ludzi związanych ze sobą uczuciowo.

Sally wzięła głęboki oddech.

- W ten sposób powinno to działać. Rzeczywistość zawsze odbiega od naszych wyobrażeń.

Potoczyła wzrokiem po twarzach pozostałych osób siedzących w salonie.

- Ashley wnosi skargę i składa zeznania. Ale jakie mamy dowody na cokolwiek? Na to, że przez niego straciła pracę. Na to, że to on spowodował kłopoty, które nas wszystkich dotknęły, i napsuł nam tyle krwi. Na to, że się tutaj włamał. Nie możemy też udowodnić, że to on zabił Murphy'ego, choć pewnie tak było.

Znowu wzięła głęboki oddech. Pozostali zachowywali milczenie.

- Myślałam o tym - powiedziała. - Sposób działania nie jest tu oczywisty. Założę się, że Michael O'Connell ma duże doświadczenie, gdy chodzi o takie nakazy, i wie, jak sobie z nimi radzić. Inaczej mówiąc, uważam, że O'Connell zdaje sobie sprawę, co może, a co nie może ująć mu na sucho. Aby osiągnąć coś więcej niż zwykły nakaz sądowy, by rzeczywiście oskarżyć O'Connella o przestępstwo, Ashley musiałaby dostarczyć sądowi dowody, że on stoi za wszystkim, co się wydarzyło. Musiałaby być przekonująca w sądzie, mimo krzyżowego ognia pytań. A do tego znalazłaby się tam blisko O'Connella. Gdy oskarżasz kogoś o przestępstwo, nawet o prześladowanie, stwarza to swoistą więź pomiędzy wami. Na rozprawie Ashley musiałaby stanąć twarzą w twarz z tym facetem, co jak przypuszczam, mogłoby podsyć jego obsesję. Mogłoby nawet sprawić mu radość. I jedno jest pewne: Ashley i O'Connell byłiby w jakiś sposób już na zawsze ze sobą połączeni. Oznacza to także, że Ashley zawsze oglądałaby się przez ramię, chyba żeby uciekła. Wyjechała w jakieś inne miejsce. Stała się kimś innym. I mimo to nie byłoby gwarancji, jeśli on postanowiłby poświęcić życie na jej poszukiwanie.

Głos Sally nabrał teraz rozpędu.

- Być przerażoną, a udowodnić w sądzie, że istnieją rzeczywiste powody uzasadniające to przerażenie, to są dwie różne rzeczy. Poza tym jest jeszcze dodatkowa kwestia do rozważenia, całkowicie...

- Jaka? - przerwał jej Scott.

- Co on zrobi, jeśli Ashley uzyska ten nakaz? Jak bardzo go to rozgniewa? Na ile rozwścieczy? Może będzie chciał ją ukarać. Ją albo nas. Może uzna, że nadszedł czas, by zrobić coś radykalnego. „Jeśli nie możesz być moja, nie będziesz niczyja”. Jak sądzicie, co to naprawdę znaczy?

Wszyscy milczeli, wreszcie odezwała się Ashley.

- Ja wiem, co to znaczy.

Nikt nie chciał pytać o to, co każde z nich zrozumiało. Ale Ashley wyrzuciła z siebie drżącym głosem:

- On ma na myśli to, że mnie zabije.

- Nie, nie, nie, Ashley, nie wolno ci tak mówić! - krzyknął natychmiast Scott. - Tego nie wiemy, wcale nie wiemy...

Przerwał, bo zdał sobie sprawę, jak śmiesznie brzmiało każde jego słowo.

Doznał na moment zawrotu głowy. Czuł, jakby wszystko to, co było szaleństwem, miało sens, a wszystko, co powinno mieć sens, odwróciło się do góry nogami. Przeniknął go lodowaty chłód i wtedy uprzytomnił sobie, że podnosi się z fotela.

- Jeśli on raz jeszcze zbliży się...

Ta groźba wydała się pusta jak wszystko inne.

- To co? - wyrwało się nagle Ashley. - Co wtedy zrobisz? Rzucisz w niego książkami historycznymi? Zamęczysz go na śmierć niekończącym się wykładem?

- Nie, ja...

- Co? Co zrobisz? I w jaki sposób? Zamierzasz mnie obserwować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i przez siedem dni w tygodniu?

Sally próbowała zachować spokój.

- Ashley - powiedziała cicho. - Nie irytuj się...

- Dlaczego? - krzyknęła Ashley. - Dlaczego mam się nie irytować? Jakie ta kreatura ma prawo rujnować mi życie?

Odpowiedź na to pytanie wydawała się oczywista.

- Co mam robić? - wykrztusiła głosem nabrzmiałym łzami. - Myślę, że muszę stąd wyjechać. Zacząć wszystko od początku. Gdzieś daleko stąd. Schować się na całe lata, dopóki nie zdarzy się coś takiego, że będę mogła wyjść z ukrycia. To taka wspaniała zabawa w chowanego, no nie? Ashley się chowa, a Michael szuka. Czy kiedykolwiek będę mogła wiedzieć, że jestem bezpieczna?

- Przypuszczam - odezwała się Sally tonem wciąż tak powściągliwym, na jaki była w stanie się zdobyć - że jest to wszystko, na co możemy mieć nadzieję. Chyba że...

- Chyba że co? - zapytał Scott. Sally starannie dobierała słowa.

- Możemy wymyślić jakiś inny plan.

- Co masz na myśli? - spytał Scott obcesowo.

- To - powiedziała powoli Sally - że mamy do wyboru dwie drogi.

Jedna: działać w ramach obowiązującego systemu prawnego. Może on nie być wystarczająco skuteczny. W niektórych wypadkach się sprawdził, ale w innych nie. Prawo może ofiarować jednemu człowiekowi bezpieczeństwo, a drugiego zabić. Prawo nie gwarantuje niczego.

Scott pochylił się do przodu.

- Istnieje jakaś alternatywa?

Sally była sama zszokowana swoją odpowiedzią.

- Tak, znalezienie rozwiązania tego problemu działaniem poza prawem.

- W jaki sposób? - dociekał Scott.

- Myślę, że nie powinieneś na razie zadawać takich pytań - odparła chłodno Sally.

Scott wpatrywał się w nią przez chwilę. Nigdy dotąd nie sprawiała wrażenia osoby tak bezwzględnej.

- Zaprosimy sukinsyna na obiad - wyrwało się Catherine - i zastrzelmy go, gdy wejdzie tu głównymi drzwiami. Bach! Mogę sama posprzątać potem podłogę. I będzie po wszystkim.



Na chwilę w salonie zapadła cisza. Pomysł ten wydał się wszystkim dość pociągający. Ale Sally, przyjąwszy swój najbardziej pragmatyczny ton doświadczonego prawnika, zwróciła uwagę na konsekwencje takiego kroku.

- To uwolniłoby nas od problemu Michaela O'Connella, ale stworzyłoby tysiąc innych.

Scott skinął głową.

- Myślę, że wiem, co masz na myśli.

Sally uśmiechnęła się lekko do byłego męża i Catherine.

- Zacznijmy od tego, że to, o czym mówisz, czyli zaproszenie go tutaj i zastrzelenie, oznacza morderstwo pierwszego stopnia, nawet jeśli on na nie zasługuje. W tym stanie za takie przestępstwo przewidziana jest kara więzienia od dwudziestu pięć lat do dożywocia, bez prawa do zwolnienia warunkowego. A fakt, że wszyscy dyskutujemy nad tym, oznacza współudział w zabójstwie, więc nikomu z nas nie ujdzie to na sucho. Można co prawda starać się o uniewinnienie, w języku prawniczym nazywa się to unieważnieniem przez ławę przysięgłych. Jej członkowie uznają, że twoje działanie było usprawiedliwione, ale to rzadko się udaje. Nie ma co na to liczyć.

- Są też inne problemy - dodał Scott. - Wybierając taką drogę, zniszczymy sobie życie. Przystaniemy być ludźmi, jakimi jesteśmy, nasze kariery się skończą. Staniemy się pożywką dla programów telewizyjnych. Wszystkie szczegóły naszego życia zostaną publicznie ujawnione. A jeśli nawet to zrobimy i uda się nam odizolować Ashley od całej sprawy, będzie zmuszona do odwiedzania nas w więzieniu i odmawiania wywiadów przeróżnym programom, kto wie, czy nie do końca życia.

Hope, która milczała od pewnego czasu, teraz włączyła się do dyskusji.

- To, co mówicie, oznacza, że O'Connell by wygrał. Sam mógłby nie żyć, ale życie Ashley i nasze ległoby w gruzach. I to co powiedział: „Jeśli nie będziesz moja...”, sprawdziłoby się w przewrotny sposób. Byłaby na piętnowana na zawsze.

Catherine prychnęła, jakby się z tym nie zgadzała, ale wszystko, co zostało powiedziane, w pełni do niej dotarło. Klasnęła w dłonie i powiedziała energicznym tonem:

- No cóż, musi być jakiś sposób na to, żeby usunąć Michaela O'Connella z życia Ashley, zanim dojdzie do czegoś gorszego.

Coś nagle zawirowało w głowie Scotta, słowo „usunąć” uruchomiło potok myśli.

- Wydaje mi się - powiedział - że mam pewien pomysł.

Oczy wszystkich skierowały się w jego stronę. Wstał i zrobił kilka kroków w jedną, a potem w drugą stronę.

- Zacznę od tego, że powinniśmy się posłużyć jego własną bronią.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Sally.  
- Chcę powiedzieć - ciągnął Scott powściągliwym tonem - że powinniśmy się uczyć taktyki od prześladowcy. Dowiedzmy się wszystkiego, co możliwe, naprawdę wszystkiego o tym sukinsynu.

- Po co? - spytała tym razem Hope.
- Ponieważ musi mieć jakieś czule punkty.

Catherine energicznie pokiwała głową. W każdym człowieku było ukryte coś, co stanowiło jego słabość, cała rzecz polegała na tym, by to coś odnaleźć i wykorzystać.

- Zgoda - przytaknęła Sally. - Myślę, że moglibyśmy to zrobić. Ale jaki byłby ostateczny cel?

Scott dobierał ostrożnie słowa.

- My sami nie możemy go zabić - powiedział. - Ale możemy go usunąć. Kto może to dla nas zrobić? I to w taki sposób, byśmy wszyscy, zwłaszcza Ashley, wyszli z tego bez szwanku, nawet niezadrażnieni?

- Nie wiem, o kim myślisz - odparła za wszystkich Sally.
- Odpowiedz sobie sama - odrzekł Scott. - Kto usuwa kogoś poza nawias społeczeństwa na pięć, dziesięć lat albo do końca życia.

- Władze stanu Massachusetts.

Scott przytaknął ruchem głowy.

- Trzeba tylko znaleźć sposób na to, by władze musiały usunąć Michała O'Connella. Zrobią to z radością i entuzjazmem. My musimy jedynie dostarczyć im pewien drobiazg.

- Jaki drobiazg? - spytała Ashley.
- Odpowiedni powód w postaci dokonanego przestępstwa.
- Czy nie uważa pan, że plan Scotta miał w sobie coś genialnego? - zapytała.

- Nie wiem, czy „genialny” to słowo, którego użyłbym w tym przypadku - odparłem. - Raczej „głupi” i „ryzykowny”. To są określenia, które mi się same nasuwają.

Milczała przez chwilę.

- W porządku, zgoda, na pierwszy rzut oka tak się wydaje. Ale jest coś wyjątkowego w sposobie myślenia Scotta: coś całkowicie sprzeczne go z jego naturą. Ilu profesorów historii zatrudnionych na pełnym etacie w małych, prestiżowych, liberalnych, humanistycznych college'ach staje się przestępcami?

Nie odpowiedziałem.

- Albo szkolny psycholog i trenerka w prywatnym liceum? Adwokat z małego miasta? A Ashley, studentka sztuki? Czy mogłoby być coś bardziej

nietypowego, odbiegającego od normy niż to, że grupa bardzo zamożnych, statecznych osób zdecydowała się popełnić przestępstwo? I wybrała coś, co mogło prowadzić do użycia przemocy?

- Mimo to nie wiem...

- Kto lepiej potrafi omijać prawo? Mieli pełną świadomość tego, co robią, dzięki Sally i jej znajomości systemu sądowego. A Scott był przygotowany do tego, by stać się przestępcą, ponieważ miał za sobą szkolenie wojskowe. Czy największym problemem nie były dla nich moralne zakazy dotyczące popełniania przestępstw, związane z pozycją, jaką zajmowali w społeczeństwie?

- Ja jednak nadal sądziłbym, że wezwą policję.

- A jaką mieli gwarancję, że ten system okaże się skuteczny? Ile razy brał pan do ręki poranną gazetę i czytał o odkryciu jakiejś tragedii, której powodem była obsesyjna miłość? Ile razy czytał pan o policjancie, który skarżył się: „Mamy związane ręce”?

- Mimo to...

- Z pewnością nie chciałby pan, żeby na pana nagrobku wyryto słowa: „Gdyby tytko”...

- Zgadzam się, ale...

- Ich sytuację trudno uznać za wyjątkową. Gwiazdy filmowe, sekretarki pracujące w biurach często odwiedzanych przez interesantów, matki pozostające w domu, mieszkające w przyczepach kempingowych, osobistości telewizyjne wiedzą, co to znaczy być prześladowanym. Obsesja nie zna podziałów ekonomicznych czy społecznych. Ale ich reakcja na to wszystko była wyjątkowa. A jaki mieli cel? Zapewnić Ashley bezpieczeństwo. Czy mogli mieć jakąś czystsza motywację? Niech się pan na chwilę postawi w ich położeniu. Co by pan zrobił?

I to było najprostsze pytanie, pytanie, na które najtrudniej było mi znaleźć odpowiedź.

Wzięła głęboki wdech.

- W rzeczywistości była tylko jedna kwestia: czy mogło im to ująć na sucho?

### 33. Pewna trudna decyzja

Scott ożywił się, poderwał na nogi. Spojrzał na kobiety zebrane wokół niego i zaczął gorączkowo tworzyć plany, pobudzany wściekłością

skierowaną przeciwko Michaelowi O'Connellowi. Sally kręciła się niespokojnie na swoim miejscu i widział, że - jako prawnik - stara się zrozumieć i przemyśleć jego pomysły. Dostrzeże każde niebezpieczeństwo, które wiąże się z tym, co zaproponowałem, pomyślał. Tylko czy jego była żona rozumie, że owe niebezpieczeństwa są mniej ważne niż to jedno, które może grozić Ashley?

Ale, ku jego zaskoczeniu, Sally nagle kiwnęła głową.

- Czegokolwiek by to wymagało - powiedziała chłodno - powinniśmy być gotowi, by to zrobić.

Po czym odwróciła się w stronę Catherine i Hope.

- Słuchajcie, ten plan oznacza przekroczenie pewnej granicy, może więc chcialybyście raz jeszcze się zastanowić, czy zamierzacie w tym uczestniczyć. Ashley jest córką Scotta i moją, to my jesteśmy za nią odpowiedzialni. Hope, co prawda byłaś i jesteś jej drugą matką, może nawet więcej niż drugą matką, a Catherine jej jedyną prawdziwą babcią, ale jednak nie jesteście krewnymi i...

Przerwała, gdy Hope warknęła na nią:

- Sally, do cholery, zamknij się.

W pokoju natychmiast zrobiło się cicho, a Hope podniosła się ze swojego miejsca i stanęła obok Scotta. Zebrała się w sobie i powiedziała:

- Wiesz, że jestem związana uczuciowo z Ashley na dobre i na złe od dnia, kiedy ty i ja spotkałyśmy się po raz pierwszy. I nawet jeśli nasza wspólna przyszłość stoi pod znakiem zapytania, nie osłabia to moich uczuć wobec Ashley. Więc do diabła z tobą. Sama zdecyduję, co chcę, a czego nie chcę zrobić.

- Ja także - dodała cicho Catherine.

Sally zatoczyła się do tyłu na swoim miejscu. Znowu wszystko schrząniłam. Dlaczego jestem taka beznadziejna? - pomyślała.

- Czy ty nie rozumiesz w ogóle co to jest miłość? - zapytała Hope.

Pytanie zawisło w powietrzu. Wszyscy umilkli. Hope odczekała jeszcze chwilę, po czym zwróciła się do Scotta.

- W porządku, Scott, może powinieneś teraz przedstawić swoje plany.

Scott zrobił krok do przodu.

- Sally ma rację - powiedział. - Za chwilę przekroczymy pewną granicę. Od tej pory wszystko stanie się o wiele bardziej niebezpieczne... - Zawahał się. - Co innego mówić o zrobieniu czegoś niezgodnego z prawem, a co innego podejmować takie ryzyko.

Odwrócił się w stronę Ashley.

- Kochanie - powiedział. - To jest moment, w którym powinnaś wyjść z tego pokoju. Chciałbym, żebyś poszła na górę i zaczekała, aż mama albo ja poprosimy cię, żebyś wróciła.

- Co? - prawie krzyknęła Ashley, rozgniewana słowami ojca. - Przecież ta sprawa dotyczy mojego życia. Dlaczego więc mam odejść? Nie zgadzam się, nie dam się wykluczyć.

W salonie znowu zapadła cisza. Przerwała ją Sally.

- Tak, musisz odejść. Ashley, kochanie, posłuchaj: musimy mieć pewność, że z punktu widzenia prawa nie będziesz miała nic wspólnego z tym, co zrobimy. Nie możesz więc brać udziału w układaniu planu działania. Prawdopodobnie będziesz musiała coś zrobić, ale to nie będzie współudział w przygotowywaniu przestępstwa. Musimy cię ochraniać. Zarówno przed O'Connellem, jak i przed wymiarem sprawiedliwości, jeśli nie wszystko się uda i znajdziemy się w trudnej sytuacji. - Sally mówiła rzeczowym, przekonującym tonem. - Więc nie zadawaj już żadnych cholernych pytań. Rób, co powiedział ojciec. Idź na górę i czekaj cierpliwie.

- Traktujesz mnie jak dziecko! - wybuchnęła Ashley.

- Zgadza się - powiedziała spokojnie Sally.

- Ja tego nie zniosę.

- Właśnie, że zniesiesz - odparła Sally. - Bo tylko wtedy będziemy mogli ruszyć dalej.

- Nie możecie ze mną postępować w ten sposób.

- A jak postępujemy? - zapytała Sally. - Nie wiesz, co zamierzamy zrobić. Czy chcesz powiedzieć, że nie mamy prawa działać w interesie naszej własnej córki? Skarżysz się, że nie powinniśmy podejmować żadnych kroków, żeby ci pomóc?

- Mówię tylko, że to jest moje życie!

- Tak - skinęła głową Sally. - Powiedziałaś to. Słyszeliśmy. I właśnie dlatego ojciec poprosił cię, żebyś opuściła ten pokój.

Ashley patrzyła na rodziców gniewnym wzrokiem, łzy napłynęły jej do oczu. Czuła się bezsilna. Zamierzała sprzeciwić się raz jeszcze, gdy głos zabrała nagle Hope.

- Mamo - powiedziała spokojnym tonem. - Chciałabym, żebyś poszła na górę razem z Ashley.

- Co takiego? - oburzyła się Catherine. - Nie mów głupstw. Nie jestem dzieckiem, któremu można rozkazywać i...

- Ja ci nie rozkazuję - odrzekła Hope, po czym zamilkła. - Chociaż, rzeczywiście, to jest rozkaz. Powiem ci to samo, co Scott i Sally powiedzieli Ashley. Trudno mi będzie działać, jeśli przez cały czas będę martwić się o ciebie. Po prostu.

- Miło, że się martwisz o mnie, kochanie, ale jestem za stara i zbyt przywykłam do tego, by sama dbać o siebie, żebyś musiała być moim strażnikiem. Do diabła, sama potrafisz decydować...

- No właśnie - powiedziała Hope. Spojrzała ostrym wzrokiem na matkę. - Nie możesz zrozumieć, że w ten sposób ograniczasz nasze możliwości działania? Jesteś tak egocentryczna, że nie pozwoliś mi wybrać własnej drogi?

To pytanie nie tylko przerwało odpowiedź Catherine, ale też odebrało jej chęć, by ją dokończyć. Sama stawiała je sobie setki razy. I zawsze odpowiadała na nie po myśli córki, chociaż Hope o tym nie wiedziała. Catherine prychnęła i rozsiadła się wygodnie w fotelu, zła z powodu tego, co jej sugerowała córka, i także dlatego, że miało to jakiś sens. Przez chwilę wszystko się w niej gotowało ze złości, potem nagle wstała.

- Myślę, że nie masz racji - powiedziała. - Jeśli chodzi o mnie. A ty - odwróciła się do Sally - mylisz się co do Ashley. Jesteśmy w stanie podjąć wszelkie ryzyko i poradzić sobie z tym doskonale. Skoro jednak chcesz, żebym stąd odeszła, ustąpię ci. - Spojrzała na Ashley. - Mam nadzieję, że zmienicie zdanie. Ale na razie okay. Chodźmy, kochanie, pójdziemy obie na górę. Może ci ludzie zrozumieją wkrótce, jak głupio postępują, wyłączając nas z tego, co robią.

Wyciągnęła rękę, chwyciła Ashley za ramię i niemal podniosła ją z fotela.

- Nie podoba mi się to. Zupełnie mi się nie podoba - broniła się Ashley. - Myślę, że jest to absolutnie nie fair.

Ale i ona, i Catherine zaczęły powoli wspinać się po schodach. Trzy osoby, które pozostały w salonie, przyglądały im się w milczeniu.

- Dziękuję, Hope - powiedziała Sally. - To było świetne posunięcie.
- To nie są szachy - odparła Hope.
- Są - odezwał się Scott. - Albo przynajmniej prawie szachy.

Upłynęło trochę czasu, ale w końcu udało się im wstępnie podzielić zadania.

Wychodząc od najistotniejszych informacji, które znaleźli w raporcie Murphy'ego, Scott miał zgłębić dokładnie Michaela O'Connella. Przyrządzić się jego domowi, wybać, gdzie dorastał, dowiedzieć się wszystkiego, co się da o jego rodzinie, przebiegu pracy zawodowej, edukacji. Do Scotta należało ustalenie, z kim naprawdę mieli do czynienia. Sally miała spędzić weekend na badaniu prawa. Nie wiedzieli jeszcze, jakie przestępstwo chcą przypisać Michaelowi O'Connellowi, przypuszczali jednak, że któreś z najcięższych. Unikali wprawdzie w rozmowach słowa „morderstwo”, ale zdawało się one obecne w każdym niemal wypowiedzianym przez nich zdaniu.

Wykreowanie przestępstwa, które naprawdę nie zostało popełnione - to było zadanie dla Sally. Miała ona sprawdzić, jakie przestępstwo spowodowałyby zniknięcie O'Connella z ich życia na długi czas, a także

byłoby najłatwiejsze do udowodnienia. Powinno też doprowadzić szybko do aresztowania mężczyzny oraz zminimalizować prawdopodobieństwo, że mógłby zostać uniewinniony albo zawrzeć układ z oskarżycielami. O'Connell nie mógł mieć żadnej szansy, by wymigać się od kary, obciążając innych swoimi zeznaniami. Musiałby być jedynym podejrzanym. Sally miała też zbadać, co jest konieczne, by prokurator stanowy mógł dowieść w sądzie, że przestępstwo zostało popełnione ponad wszelką racjonalną wątpliwość. Hope miała odnaleźć O'Connella, śledzić go i poznać jak najdokładniej jego codzienne życie - uznali, że spośród nich trojga tylko jej natychmiast nie rozpozna.

Trudno powiedzieć, kto z nich narażał się na największe niebezpieczeństwo. Sally uważała, że Hope, ponieważ w sensie fizycznym miała być najbliższą O'Connella. Ale wiedziała też, że gdy otworzy pierwszą z brzegu książkę z dziedziny prawa, znajdzie w niej potwierdzenie, że bierze udział w przestępstwie. Natomiast zadanie Scotta wiązało się z najtrudniejszymi do przewidzenia konsekwencjami, ponieważ nikt nie potrafił powiedzieć, co nastąpi, gdy po raz pierwszy wymieni nazwisko O'Connella w okolicy, gdzie on dorastał.

Postanowiono, że Catherine i Ashley pozostaną w domu. Catherine, która wciąż jeszcze żałowała, że nie zastrzeliła O'Connella, gdy miała ku temu okazję, uczyniono odpowiedzialną za stworzenie systemu ochronnego na wypadek, gdyby zjawił się ponownie przed drzwiami ich domu.

Tego Sally bała się najbardziej: że on zacznie działać pierwszy.

Nie mówiła o tym Hope ani Scottowi.

Założyła o prostu, że ich myśli biegną tym samym torem.

Patrzyła na mnie przez chwilę, jakby się spodziewała, że coś powiem, ale milczałem, więc zapytała:

- Czy zastanawiał się pan nad pojęciem „przestępstwa doskonałego”? Ja w tamtych dniach wiele czasu poświęcałam na rozważanie kilku kwestii. Co jest dobre, a co złe? Co jest sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe? Doszłam do przekonania, że przestępstwo doskonałe to nie tylko takie, za które unika się kary, to jedynie konieczne minimum, lecz takie, które wywiera ogromny wpływ na psychikę, odmienia życie.

- Kradzież obrazu Rembrandta z Luwru zaliczyłaby pani do tej kategorii?

- Nie. Coś takiego czyni sprawcę bogatym i tyle. Staje się on jednym ze złodziei sztuki, nikim więcej. Nie różni się zbytnio od punka, który z pistoletem w ręku napada na sklep spożywczy. Myślę, że przestępstwo doskonałe, może lepiej, idealne przestępstwo jest czymś, co się rozgrywa na innym, bardziej etycznym planie. Naprawia pewne błędy. Przywraca sprawiedliwość, a nie jest działaniem z nią sprzecznym.

Odchyliłem się do tyłu na krześle. Nasuwało mi się wiele pytań, ale pomyślałem, że rozsądniej będzie, jeśli pozwolę jej mówić dalej.

- I jeszcze coś - dodała chłodnym tonem.
- Co mianowicie?
- Takie przestępstwo pozwala zachować niewinność.
- Ashley, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

## 34. Kobieta, która kochała koty

Mecz półfinałowy zakończył się remisem. O wyniku miały zadecydować rzuty karne.

Sport, pomyślała Hope. Jej drużyna grała w osłabionym składzie, ale dziewczęta zdobyły się na determinację i utrzymały do końca wynik nierozstrzygnięty. Rzucano się w oczy, jak bardzo są wyczerpane, wszystkie były złane potem i brudne, kilka miało zakrwawione kolana. Ta, która stała na bramce, przechadzała się teraz nerwowo z dala od reszty zespołu. Hope zastanawiała się, czy nie powinna jej dodać otuchy, ale szybko uprzytomniła sobie, że w takim momencie zawodniczkę należało pozostawić samą. Jeśli nie przygotowała jej odpowiednio podczas treningów, teraz nic tego nie skompensuje.

Szczęście im nie dopisało. Piąta zawodniczka Hope wybrana do egzekwowania karnego, kapitan drużyny, która grała od pięciu lat w reprezentacji szkoły i zawsze bezbłędnie wykonywała rzuty karne, tym razem strzeliła w poprzeczkę. Paskudny pojedynczy odgłos piłki uderzającej o metal oznaczał dla nich koniec sezonu. Było to tak samo nagłe jak atak serca. Dziewczęta z przeciwnej drużyny wydały przeraźliwy pisk szaleńczej radości i pobiegły uściskać stojącą na bramce koleżankę, która podczas strzelania karnych ani razu nie dotknęła piłki. Hope widziała, jak jej zawodniczka opadła na kolana na błotnistym boisku, a potem ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Pozostałe dziewczęta były tak samo przybite. Hope także mocno przeżywała porażkę, ale zapanowała nad emocjami. Powiedziała:

- Nie zostawiajcie koleżanki samej. Jesteście jedną drużyną, gdy wygrywacie, i jedną, kiedy przegrywacie. Idźcie, przypomnijcie jej o tym.

Zawodniczki ruszyły pędem w stronę swojego kapitana. Otoczyły dziewczynę ciasnym kołem. Hope nie miała pojęcia, skąd miały w sobie jeszcze tyle energii. Była z nich bardzo dumna. Zwycięstwo, pomyślała,



uszcęśliwia każdego, ale porażka ujawnia nasz prawdziwy charakter. Patrzyła, jak jej drużyna zbiera się na boisku. Przypomniała sobie, że w dniach, które nadejdą, czeka ją jeszcze inna walka. Przeszedł ją dreszcz, poczuła nagle chłód; zima zbliżała się wielkimi krokami. Ta gra była skończona. Nadszedł czas, by rozpocząć następną.

Nie wiedziała, że zaparkowała swój samochód w tym samym miejscu, które Matthew Murphy wybrał do obserwacji budynku, gdzie mieszkał O'Connell. Wełnianą czapkę narciarską naciągnęła niżej na czoło, poprawiła na nosie nowe bezbarwne okulary. Nie nosiła ich stale, uznała jednak, że niewielka zmiana wyglądu jest konieczna. Hope nie miała pewności, czy Michael O'Connell widział ją kiedykolwiek, ale podejrzewała, że tak. Przypuszczała, że śledził ich wszystkich. Hope miała na sobie dzinsy i stary marynarski płaszcz chroniący ją przed chłodem. Była o piętnaście lat starsza od większości studentów, ale można ją było wziąć za studentkę, bo wciąż wyglądała młodo. Ubrała się tak, by nie rzucać się zbyt w oczy. Chciała się wtopić w pejzaż Bostonu, przybierając, jak kameleon, barwy wszystkiego, co ją otaczało.

Doszła do wniosku, że jeśli zostanie w samochodzie, po kilku minutach O'Connell ją zauważy.

Musisz założyć, że on wie wszystko, przypomniała sobie. Wie, jak wyglądasz, i pamięta każdy szczegół twojego czteroletniego samochodu, nawet jego numer rejestracyjny.

Zerknęła na raport Murphy'ego i dołączoną do niego fotografię O'Connella. Zaczęła się zastanawiać, czy potrafiłaby go rozpoznać. Nie bardzo wiedziała, co ma teraz zrobić, otworzyła więc drzwi samochodu i wysiadła.

Rzuciła okiem w stronę domu O'Connella, żałując, że nie ściemniło się na tyle, by mogła zobaczyć, jak włącza światło w swoim mieszkaniu. W chwilę później uświadomiła sobie, że jeśli będzie tak uporczywie patrzyła w tę stronę, on ją prędzej zauważy niż ona jego. Odwróciła się więc i szybko ruszyła w stronę najbliższej przecznicy; wydawało się jej, że czuje na plecach jego świdrujące spojrzenie. Skręciła za róg i przystanęła. Jak ma obserwować jego mieszkanie, skoro pospiesznym krokiem oddala się od niego coraz bardziej?

Wzięła głęboki oddech i pomyślała, że jest do niczego, zupełnie beznadziejna. Wróć, znajdź jakieś miejsce w przejściu albo za drzewem i czekaj na niego. Okaż się tak cierpliwa jak on.

Odwróciła się i poszła z powrotem. Za rogiem zaczęła szukać wzrokiem jakiegoś miejsca, w którym mogłaby się ukryć, i zobaczyła O'Connella: właśnie wychodził ze swojego budynku. Szedł z głową odchyloną do tyłu, beztrudnie uśmiechnięty i pewny siebie, co natychmiast wzbudziło

w niej szaloną wściekłość; miała wrażenie, że drwi z niej, choć nic nie wskazywało na to, by wiedział, że jest tutaj. Przesunęła się w bok, licząc na to, że uniknie kontaktu wzrokowego z mężczyzną, ale wciąż nie spuszczała go z oczu. W tym samym momencie spostrzegła małą, pomarszczoną kobietę w podeszłym wieku, która szła po tej samej stronie ulicy, co O'Connell. Gdy ją zobaczył, zmarszczył gniewnie brwi. Wyraz jego twarzy przeraził Hope; w ułamku sekundy beztroska, zuchwała nonszalancja Michaela zmieniła się w furję.

Stara kobieta sprawiała wrażenie nieszkodliwej. Poruszała się powoli, z wysiłkiem. Miała na sobie nieelegancki czarny wełniany płaszcz, kupiony prawdopodobnie ze dwadzieścia lat temu, jej głowę okrywała zrobiona na drutach wielobarwna czapka. Z trudem dźwigała białe plastikowe torby z zakupami. Gdy starsza pani spostrzegła O'Connella, jej oczy rozbłysły; zboczyła nieco z drogi, blokując mu przejście.

Hope przywarła do drzewa rosnącego naprzeciwko miejsca, w którym O'Connell i starsza pani stanęły twarzą w twarz.

Kobieta próbowała unieść dłoń obciążoną torbą z zakupami i poruszyła palcem w jego kierunku.

- Znam cię! - powiedziała głośno. - Wiem, co robisz!

- Gówno o mnie wiesz - odparł O'Connell podniesionym głosem.

- Wiem, że coś robisz moim kotom - ciągnęła kobieta. - Wiem, że je kradniesz. Albo jeszcze coś gorszego. Jesteś wstrętnym, złym człowiekiem i powinnam wezwać na ciebie policję!

- Nic nie robię twoim przeklętym kotom - rzucił gniewnie O'Connell. - Może znalazły sobie inną zwariowaną starą babę, która je karmi. Może nie lubią żarcia, jakie im zostawiasz. A może po prostu znalazły jakieś lepsze miejsce dla siebie, ty stara suko. A teraz zostaw mnie w spokoju i uważaj, żebym nie wezwał opieki społecznej, bo masz to jak w banku, że schwytają te cholerne, parszywe koty, zabiorą je i pozabijają.

- Jesteś okrutnym człowiekiem bez serca - odparła stara kobieta sztywno.

- Zejdź mi z drogi i odpieprz się ode mnie. - O'Connell przepchnął się obok starszej pani i ruszył dalej.

- Wiem, co robisz! - krzyknęła za nim kobieta.

O'Connell odwrócił się i spojrzał na nią.

- Wiesz? - odparł. - No dobrze, cokolwiek według ciebie robię, masz szczęście, że nie zdecydowałem się, by zrobić to samo z tobą.

Stara kobieta wydała stłumiony okrzyk i cofnęła się o krok, jakby została uderzona. O'Connell wyszczerzył zęby w uśmiechu, wyraźnie zadowolony ze swojej odpowiedzi, odwrócił się i pomaszerował szybkim krokiem wzdłuż ulicy. Hope nie wiedziała, dokąd idzie, wiedziała jednak,

że powinna pójść za nim. Gdy się odwróciła w stronę starszej pani, która nadal stała na chodniku, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Michael O'Connell skręcił za róg najbliższej przecznicy, Hope zrezygnowała ze śledzenia go i ruszyła ku tamtej kobiecie. Spojrzała w tył, by się upewnić, że O'Connell zniknął na dobre, po czym skinęła głową w jej stronę.

- Przepraszam panią - powiedziała tak łagodnie, jak tylko potrafiła. - Przepraszam panią...

Kobieta spojrzała na nią nieufnie.

- Słucham?

- Wybacz pani - zaczęła szybko Hope. - Byłam akurat po drugiej stronie ulicy i mimo woli słyszałam pani rozmowę z tym młodym człowiekiem...

Starsza pani wciąż uważnie przyglądała się Hope, która podchodziła do niej coraz bliżej.

- Wydawał mi się nieuprzejmy i arogancki - powiedziała Hope.

Kobieta wzruszyła ramionami, nadal nie bardzo wiedząc, do czego ona zmierza.

Hope wzięła głęboki wdech i rozpoczęła swoją zmyśloną historię.

- Mój kot, naprawdę słodki calico z jedną białą przednią łapą, nazywałam go Skarpetka, zginął mi parę dni temu. Nie wiem, co mam robić. Jestem zrozpaczona. Mieszkam dwie przecznice dalej. Czy pani przypadkiem go nie widziała?

Prawdę mówiąc, Hope nie lubiła kotów. Była uczulona na ich sierść i nie podobał się jej sposób, w jaki na nią patrzyły.

- Jest taki miłutki, mam go już tyle lat i nigdy się nie zdarzyło, żeby tak długo go nie było - dodała, kłamiąc jak z nut.

- No, nie wiem... - powiedziała powoli starsza pani. - Mam u siebie parę calico, nie pamiętam jednak, żeby ostatnio pojawił się jakiś nowy. Ale...

Powędrowała wzrokiem w kierunku, gdzie przed chwilą zniknął Michael O'Connell. Syknęła prawie tak samo, jak robili to jej podopieczni.

- Nie mogę mieć pewności, że on nie zrobił mu czegoś złego.

Hope zrobiła wystraszoną minę.

- On nie lubi kotów? Jaki człowiek...

Nie musiała kończyć pytania. Starsza pani zrobiła krok do tyłu i otakowała ją czujnym spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie chciałyby pani może wpaść do mnie na herbatę? Zobaczyłaby pani moje dzieci.

Hope skinęła głową i sięgnęła w dół po wyładowane torby starszej pani. Udało się, pomyślała. Poczula się tak, jakby ją zaproszono do miejsca położonego obok jamy smoka.

Scott westchnął, spojrzął na niski gmach szkoły średniej zbudowany z pustaków oraz czerwonej cegły i pomyślał, że człowiek, który go zaprojektował, musiał projektować także więzienia. Przed frontową ścianą stały żółte szkolne autobusy, zaparkowane z pracującymi silnikami i napępiały powietrze silnym zapachem spalin. W górze na maszcie postrzepiona flaga Stanów Zjednoczonych spletała się z flagą stanu New Hampshire; mimo to obie usiłowały łopotać na silnym wietrze. Z boku biegł zardzewiały łańcuch.

Scott miał przy sobie kopię raportu Murphy'ego, wciśniętą do kieszeni kurtki. Były tam tylko najważniejsze informacje na temat przeszłości O'Connella, postanowił więc dowiedzieć się więcej. Uznał, że może zacząć od szkoły średniej, do której chodził Michael. Nawet gdyby miał tam uzyskać informacje wyłącznie o tym, co się działo dziesięć lat temu.

Cały poranek upłynął Scottowi na obserwacji i badaniu świata, w jakim O'Connell dorastał. Przytłoczyło go to. Przybrzeżna część New Hampshire to region pełen przeciwieństw: Ocean Atlantycki sprawia, że jest niezwykle piękny, ale przemysł panoszący się wokół miejsca, gdzie rzeka Merrimack wpada do morza - kominy fabryczne, stacje kolejowe i różne zakłady czynne przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - sprawia przygnębiające wrażenie. To było trochę tak, jakby patrzył na podstarzałą striptizerkę występującą w środku dnia w schronisku dla bezdomnych.

W rejonie, gdzie dorastał Michael O'Connell, budowano wielkie statki. Na tle szarego nieba rysowały się kontury ogromnych dźwigów, zdolnych przenosić tony stali. Było to jedno z tych miejsc, gdzie przez cały dzień chodzi się w kaskach, kombinezonach i mocnych, wysłużonych butach. Ludzie, którzy tu pracowali, pocąc się latem i marznąc zimą, byli silni i solidni, tak niezbędni, jak ciężki sprzęt, którym się posługiwali. W tym rejonie odporność i twardość ceniono pewnie ponad wszystko.

Scott czuł się tu obco. Siedział w swoim samochodzie, przyglądał się młodzieży wychodzącej z wysłużonego szkolnego budynku i miał wrażenie, jakby przyjechał tutaj z innego kraju. W świecie, w którym on żył, jego zadaniem było pokazywanie studentom drogi do sukcesów. Ich wyznacznikami w Ameryce zawsze były wielkie samochody, wielkie konta bankowe, wielkie domy. Teraz patrzył na nastolatki, wsiadające do autobusów i domyślał się, że ich marzenia były znacznie skromniejsze. Większość z nich prawdopodobnie czeka tylko trwająca wiele godzin dziennie praca w fabryce.

Gdybym ja tu dorastał, pomyślał, zrobiłbym wszystko, żeby się stąd wyrwać.

Zapełnione uczniami autobusy zaczęły odjeżdżać, a wtedy Scott wysiadł z samochodu i ruszył szybko w stronę głównego wejścia. Strażnik,

czuwający przy drzwiach, wskazał mu drogę do sekretariatu. Za barierką urzędowało kilka sekretarek. Dostrzegł, jak parę metrów za nimi dyrektor ze smutną miną wygłasza kazanie ubranej w czarną skórzaną kurtkę uczennicy o fioletowych włosach i z kolczykami w brwiach.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała Scotta jakaś młoda kobieta.

- Mam nadzieję, że tak - odparł. - Moje nazwisko Johnson. Pracuję dla Raytheona, wie pani, to w rejonie Bostonu. Zamierzamy zatrudnić pewnego młodego człowieka. Z jego życiorysu wynika, że ukończył tę szkołę dziesięć lat temu. Widzi pani, mamy pewne kontrakty z rządem, więc musimy sprawdzać wszystko bardzo dokładnie.

Sekretarka odwróciła się do komputera.

- Imię i nazwisko ucznia?

- Michael O'Connell. Nacisnęła kilka klawiszy.

- Ukończył szkołę w roku 1995.

- Czy mógłbym dowiedzieć się o nim czegoś jeszcze?

- Nie mogę panu udostępnić jego ocen ani innych danych bez zezwolenia na piśmie.

- Rozumiem, oczywiście - przytaknął. - No cóż, dziękuję pani.

Sekretarka zaczęła segregować dokumenty w komputerze.

Scott zastanawiał się, co robić dalej, kiedy dostrzegł, że w jego stronę spogląda starsza kobieta, która wynurzyła się z gabinetu wicedyrektora w momencie, gdy wymienił nazwisko O'Connell. Kobieta się zawahała, ale potem, wzruszywszy lekko ramionami, podeszła do Scotta.

- Znałam go - powiedziała. - Ma otrzymać posadę?

- Programowanie. Katalogowanie. Tego typu robota. Nie jest to coś istotnego, ale niektóre informacje wiążą się z kontraktami z Pentagonem, pewne rzeczy sprawdzamy więc rutynowo.

Pokręciła głową, wyraźnie zaskoczona.

- Cieszę się, że zaczął żyć normalnie i idzie dobrą drogą. Raytheon to wielka korporacja.

- To znaczy, że kiedyś żył nie całkiem normalnie?

- Można by tak to określić.

- Wie pani, każdy ma jakieś problemy w szkole średniej. Staramy się nie przywiązywać wagi do typowych potknięć, jakie się zdarzają nastolatkom, tylko szukamy spraw poważniejszych.

Kobieta skinęła znowu głową.

- Tak. Chodzi mi o coś istotnego - powiedziała i się zawahała. - Nie bardzo mam ochotę o tym mówić. Zwłaszcza jeśli się zmienił. Nie chciałabym osłabiać jego szans.

- To by nam pomogło, naprawdę.  
Znowu się zawahała.  
- Sprawiał kłopoty, kiedy tu był.  
- Jak to?  
- Był zdolny. Inteligentny. Znacznie bardziej inteligentny od większości uczniów. Tak, zdecydowanie. Ale niepokojący. Zawsze myślałam, że on był „dzieckiem Columbine”\*, choć wtedy jeszcze nikt o Columbine nie słyszał. \* Columbine to nazwa szkoły średniej w Littleton w stanie Kolorado. W roku 1999 dwóch niczym niewyróżniających się uczniów dokonało tam, posługując się bronią palną, masakry wśród kolegów (przyp. tłum.). Wie pan, spokojny, cichy, a jednak miałam wrażenie, że coś knuje. Niepokoilo mnie to, że jeśli uznał, iż ktoś stwarza mu problem lub stoi na jego drodze, koncentrował się tylko na tym. Jeżeli zainteresowała go lekcja, zdobywał najwyższą ocenę. Jeśli nie lubił nauczyciela, działały się dziwne rzeczy. Niedobre rzeczy. Na przykład ktoś niszczył samochód tego nauczyciela. Albo ginęły zapisy ocen z jego przedmiotu. Albo ktoś dzwonił na policję, donosząc, że pedagog postępuje niezgodnie z prawem. Zawsze wydawało się, że O’Connell ma z tym coś wspólnego, ale nie było to na tyle oczywiste, by mu coś udowodnić. Byłam szczęśliwa, kiedy się rozstał z naszą szkołą.

Scott skinął głową.

- Dlaczego... - zaczął, ale kobieta przerwała mu.  
- Gdyby pan pochodził z takiej rodziny, z panem także mogłoby coś być nie w porządku.

- Gdzie... - Scott nie zdążył zapytać.

- Nie powinnam - zawahała się, po chwili jednak wzięła karteczkę i napisała na niej adres. - Nie wiem, czy jest aktualny. Być może już nie.

Scott wziął kartkę do ręki.

- Jak to się dzieje, że pani tak dobrze to pamięta? - zdziwił się. - To było dziesięć lat temu.

- A ja przez cały ten czas czekałam na chwilę, gdy tymi drzwiami wejdzie ktoś, kto spyta o Michaela O’Connella. Nigdy nie myślałam, że ten ktoś zechce dać mu posadę. Sądziłam, że będzie to policjant.

- Wydaje się, że była pani tego pewna.

- Byłam jego nauczycielką. I wywarł na mnie szczególne wrażenie. Niewielu jest takich, których nigdy się nie zapomina. Czy on będzie pracował w biurze razem z młodymi kobietami?

- No tak. Czemu pani pyta?

- Wydawało mi się, że dziewczęta czuły się przy nim nieswojo. A mimo to do niego Ignęły. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Dlaczego pociąga nas ktoś, o kim wiemy, że lubi się wplątywać w kłopoty?

- Nie wiem. Może powinienem porozmawiać z którąś z nich?

- Oczywiście. Ale kto wie, gdzie teraz są? Tak czy inaczej, wątpię, by znalazł pan wielu ludzi, którzy mieliby ochotę o nim rozmawiać. Jak powiedziałam, sprawiał szczególne wrażenie.

- A jego rodzina?

- To jest adres jego rodziców. Jak mówiłam, nie wiem, czy jego ojciec jeszcze żyje. Może pan sprawdzić.

- A matka?

- Nie żyje od lat. Nigdy nie poznałam całej historii, ale...

- Ale co?

Kobieta zeszywniała nagle.

- O ile wiem, umarła, gdy on był dzieckiem. Miał dziesięć lat, może trzynaście. Myślę, że nie powinnam mówić panu nic więcej. I tak po wiedziałam już za dużo. Moje nazwisko nie jest panu potrzebne, prawda?

Scott pokręcił przecząco głową. Dowiedział się już tego, czego chciał się dowiedzieć.

- Earl grey, moja droga? Z odrobiną mleka?

- Byłabym wdzięczna - odparła Hope. - Dziękuję bardzo, pani Abramowicz...

- Moja droga, mów mi Hilda.

- Dobrze, Hildo. Dziękuję bardzo. To niezwykle uprzejmie z twojej strony.

- Wrócę za moment - powiedziała starsza pani.

Hope usłyszała, że czajnik zaczyna śpiewać. Rzuciła okiem na mieszkanie, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów. Na ścianie wisiał krzyż, a obok namalowana jaskrawymi barwami Ostatnia Wieczerza. Otaczały je wyblakłe czarno-białe fotografie mężczyzn w sztywnych kołnierzykach i kobiet w koronkowych strojach. Trochę dalej zobaczyła obrazy przedstawiające ciemny, ale pełen zieleni pejzaż, ulice wybrukowane kocimi łbami i kościół o wieżach zwieńczonych strzelistymi iglicami. Hope podsumowała: dawno pomarli krewni w jakimś wschodnioeuropejskim kraju nieodwiedzanym od dziesiątek lat. To było trochę tak, jakby wytapetować ściany duchami. Nadal śledziła historię życia starej kobiety: dostrzegła łuszczącą się farbę przy parapecie okiennym, rząd fiolek i pudełeczek z lekarstwami. Były tam także stosy czasopism i gazet; obok telewizora, który liczył pewnie z piętnaście lat, stał wyścielany

czerwony fotel i koszyk z robótkami ręcznymi. Wszystko to mówiło o samotności.

Była tu jedna sypialnia, a mieszkanie pachniało starością i kotami. Osiem albo i więcej zwierzków siedziało na kanapie, na parapecie i przy kaloryferze. Kilka z nich podeszło do Hope i otarło się o nią. Domyśliła się, że w sypialni ukryło się ich dwa razy więcej.

Przez chwilę myślała o tym, jak się do dzieje, że ludzie zostają na starość tak samotni.

Pani Abramowicz weszła do pokoju, niosąc dwie filiżanki z parującą herbatą. Uśmiechnęła się do bandy kotów, które natychmiast zaczęły się o nią ocierać i chodzić za nią krok w krok.

- To jeszcze nie całkiem pora obiadu, moje kochanieńkie. Za chwilę. Pozwólcie mamusi najpierw trochę porozmawiać. - Odwróciła się do Hope. - Nie ma twojego Skarpetki w mojej małej menażerii, prawda?

- Nie - odpowiedziała Hope, przybrawszy smutny ton. - Nie widziałam go także na korytarzu.

- Staram się, żeby moje pieszczoszki nie wychodziły na korytarz, chociaż one to lubią. Przypuszczam że on robi z nimi coś bardzo złego.

- Czemu myślisz, że...

- On nie zdaje sobie sprawy z tego, że rozpoznaję każdego z nich. I co kilka dni któryś znika. Mam ochotę wezwać policję, ale on ma rację. Prawdopodobnie zabraliby mi wszystkich moich małych przyjaciół, a tego bym nie zniosła. To zły człowiek i chciałabym, żeby się stąd wyniósł. Nigdy...

Pani Abramowicz przerwała i Hope pochyliła się do przodu. Stara kobieta westchnęła i rozejrzała się po mieszkaniu.

- Obawiam się, moja droga, że jeśli Skarpetka przyszła tu z wizytą, ten zły człowiek mógł go schwytać. Albo skrzywdzić. Nie umiem powiedzieć.

Hope skinęła głową.

- Wydał mi się okropny.

- Jest okropny - przyznała pani Abramowicz. - Boję się go, więc z nim nie rozmawiam, chyba że muszę mu coś powiedzieć, tak jak dziś. Myślę, że inni lokatorzy też go się boją, ale nic nie mówią. Bo co możemy zrobić? Płaci czynsz w terminie, nie hałasuje, nie urządza dzikich przyjęć, a właściciele nic więcej nie obchodzą.

Hope upiła łyk słodkiej herbaty.

- Chciałabym mieć pewność - stwierdziła. - Chodzi mi o Skarpetkę.

Pani Abramowicz usiadła wygodnie w fotelu.

- Jest tylko jeden sposób - zaczęła powoli. - Możesz się upewnić. To mogłoby i mnie dać odpowiedź na kilka pytań. Ja jestem stara i już nie



mam siły. Boję się go, ale nie mam się gdzie przeprowadzić. Ale ty, moja droga, wyglądasz na o wiele silniejszą ode mnie. Silniejszą nawet niż ja byłam w twoim wieku. Założę się, że nie bardzo się go boisz.

- Ani trochę - odparła Hope.

Starsza pani uśmiechnęła się znowu, niby nieśmiało.

- Kiedy żył jeszcze mój mąż, nasze mieszkanie było znacznie większe. Należały do nas te wszystkie pokoje i pomieszczenia, które zajmuje obecnie pan O'Connell. Mieliśmy dwie sypialnie, salon, gabinet, osobną jadalnię, całe tamto skrzydło budynku było nasze. Gdy mój Alfred umarł, właściciele domu podzielili to wszystko, zrobili z jednego dużego mieszkania trzy mniejsze. Ale okazali się niedbali.

- Niedbali?

Pani Abramowicz upiła kolejny łyk. Hope ze zdziwieniem dostrzegła w jej oczach gniewny błysk.

- Tak. Czy nie nazwałabyś niedbalstwem tego, że nie zadali sobie trudu, by zmienić zamki w drzwiach do tych nowych mieszkań?

Hope skinęła głową. Poczowała nagle, że narasta w niej napięcie.

- Bardzo chcę się dowiedzieć, co on zrobił moim kotom - wycodziła pani Abramowicz. Jej oczy się zwięzły, głos nabrał mocy i Hope uświadomiła sobie, że było w tej kobiecie coś imponującego. - Myślę, że i ty chciałybyś się dowiedzieć, co się stało ze Skarpetką. Jest tylko jeden sposób. Trzeba zajrzeć do niego. - Pochyliła się w przód, a potem przysunął twarz do twarzy Hope, tak że dzieliło je nie więcej niż pół metra, szepnęła: - On o tym nie wie, ale ja mam klucz do jego mieszkania.

- A więc - zaczęła i cień przemknął po jej twarzy. - Rozumie pan teraz, na czym polegała gra?

Wiedziałem, że to ona steruje naszymi rozmowami, robiła tak od samego początku. Ale opisując tę historię, mogłem wykorzystać ją w tym samym stopniu, w jakim ona wykorzystywała mnie.

Milczała chwilę, a potem powiedziała:

- Jak często słyszy pan od swoich przyjaciół, ludzi w średnim wieku, że pragnęliby być kimś innym, niż są? By wydarzyło się coś, co całkowicie odmieni ich życie i nie będą dłużej musieli patrzeć w oczy zabójczej rutynie?

- Wystarczająco często - odparłem.

- Ludzie przeważnie kłamią, mówiąc, że chcą zmiany, bo zmiana jest czymś przerażającym. To, czego tak naprawdę chcą, to odzyskać młodość. Kiedy bowiem jest się młodym, każdy wybór staje się przygodą. Dopiero gdy osiągamy wiek średni, zaczynamy przewidywać swoje decyzje.

Idziemy jakąś drogą i musimy kroczyć nią nadal, czy nie tak? Wszystko staje się problematyczne: nie wygrywamy na loterii, a zamiast tego wzywa nas szef i oznajmia, że zostajemy zwolnieni w ramach redukcji etatów. Mąż albo żona po dwudziestu latach wspólnego życia oświadcza: Spotkałam kogoś nowego i odchodzę. Doktor spogląda na wyniki badań ze zmarszczonymi brwiami i mówi: To mi się nie podoba. Muszę skierować pana na dodatkowe testy...

- Scott i Sally...

- Tych dwoje Michael O'Connell doprowadził do takiego momentu. Lub może ten moment zbliżał się wielkimi krokami. Czy mogli ochronić Ashley?

Podniosła nagle dłoń do ust i usłyszałam, że z jej gardła wydobył się stłumiony okrzyk. Dopiero po chwili odzyskała kontrolę nad sobą.

- Żadne z nich tego nie wypowiedziało głośno, ale wszyscy czuli już, że za to, co chcą uzyskać, mogą zapłacić wysoką cenę.

## 35. But w szafie

Hope, spłoszona, z kluczem w ręku, stała pod drzwiami do mieszkania Michaela O'Connella. Za nią, w drzwiach do własnego mieszkania, czaiła się pani Abramowicz. Wokół jej nóg przekomarzały się koty. Gestami ponaglała Hope, żeby weszła do środka.

- Będę uważać. Wszystko będzie w porządku. Tylko się pospiesz - wyszeptwała pani Abramowicz.

Hope zacerpnęła tchu i wsunęła klucz w zamek. Nie była pewna tego, co robi, czego szuka ani czego ma nadzieję się dowiedzieć. Ale miała klucz w ręku i kiedy z leciutkim zgrzytem przekreśliła go w zamku, wyobraziła sobie O'Connella, jak idzie chodnikiem, skręca za róg w swoją ulicę i zbliża się do niej. Zaciśnęła zęby i powiedziała sobie, że jeśli już do tego dojdzie, będzie walczyć do końca.

- Szybko, kochanie. - Pani Abramowicz ponaglała ją, żeby weszła. - Sprawdź, co on wyprawia z moimi kotami.

Hope popchnęła drzwi i weszła do środka.

Nie wiedziała, czy zamknąć drzwi za sobą, czy zostawić je szeroko otwarte, tak żeby... właśnie, pomyślała, żeby co? Jeśli wróci, wpadłam w pułapkę. Tu nie ma tylnych drzwi. Nie ma schodów pożarowych. Nie ma sposobu, żeby uciec. Głęboko odetchnęła i zamknęła drzwi prawie do końca. Przynajmniej, pomyślała, usłyszy ostrzeżenie pani Abramowicz, jeśli starsza pani zdoła je z siebie wydusić.

Hope przyjrzała się mieszkaniu. Było obskurne i zaniedbane. Najwyraźniej O'Connell nie dbał o swoje najbliższe otoczenie. Ani kolorowych plakatów na ścianach, ani roślin na parapecie, ani barwnego chodnika na podłodze. Ani telewizora, ani stereo. Tylko kilka rzuconych w kąt, postrzępionych podręczników obsługi komputera. Mieszkanie było zniszczone i ascetyczne; schronienie mnicha. Hope zaniepokoiła myśl, że cała pasja życiowa Michaela O'Connella sprowadza się do uruchomienia wyobraźni. Żył w świecie innym niż ten, w którym zasypiał.

Wesła szybko w głąb mieszkania i w tym momencie wymyśliła plan. Zapamiętaj, powiedziała sobie. Zapamiętaj wszystko.

Sięgnęła do kieszeni kurtki i znalazła kawałek papieru. Na małym biurku zobaczyła tandetny długopis, naszkicowała nim odręczny plan mieszkania.

Znów spojrzała na biurko, a raczej na tani blat ustawiony na dwóch metalowych szafkach z segregatorami. Drewniane krzesło z prostym oparciem stało naprzeciwko laptopa. Mogła sobie wyobrazić, jak Michael O'Connell zasiada przed ekranem, metaliczne światło zalewa mu twarz, a on koncentruje się na obrazach, które widzi przed sobą. Laptop wyglądał na nowy. Był otwarty i podłączony, świecił się wskaźnik mocy.

Hope przez chwilę nasłuchiwała odgłosów z korytarza, potem usiadła przed komputerem. Zapisała na skrawku papieru firmę i model laptopa. Popatrzyła na czarny ekran. Jak robotnik sięgający po nagi kabel, dotknęła przycisku myszki pośrodku klawiatury. Maszyna ożyła i mignęła. Pokazał się wygaszacz ekranu

Hope poczuła, że wyschły jej wargi, a gardło się zacisnęło.

Na wygaszaczu ekranu było zdjęcie Ashley.

Trochę rozmazane i najwyraźniej zrobione w pośpiechu, z odległości kilku metrów. Wykonano je, kiedy się odwracała, zaskoczona jakimś nagłym hałasem za plecami. Twarz miała skrzywioną ze strachu.

Hope patrzyła na zdjęcie, czując, jak jej oddech robi się coraz krótszy i płytszy. O'Connell uczył chwilę, kiedy Ashley była zaskoczona i przeżona.

To miłość najgorszego rodzaju, pomyślała.

Przygryzając wargi, przesunęła kursor na teczkę „Moje dokumenty” i nacisnęła na nią. Znajdowały się w niej cztery pozycje: „Ashley miłość”, „Ashley nienawiść”, „Ashley rodzina”, „Ashley przyszłość”.

Nacisnęła na pierwszą i zobaczyła okienko z napisem „podaj hasło”.

Przesunęła kursor na „Ashley nienawiść”.

Monitor mrugnął: „podaj hasło”.

Hope pokręciła głową. Pomyślała, że znalazłaby hasło, gdyby się chwilę zastanowiła, ale martwiła się, że i tak wiele czasu spędza w tym mieszkaniu. Zamknęła wszystko w komputerze, przywracając stan początkowy. Potem otworzyła szuflady szafki, ale były prawie puste, nie licząc paru ołówków i papieru do drukarki.

Poczuła się trochę oszłamiona. Pospiesz się. Przeciągasz strunę.

Obejrzała się. Sprawdź sypialnię, pomyślała.

Pokój był przesiąknięty potem. Szybko podeszła do poobijanej komody i błyskawicznie przetrząsnęła zawartość szuflad. Na ramie leżał pojedynczy materac, niedbale rzucone prześcieradła i koc. Uklęknęła i zajrzała pod łóżko. Nic. Podeszła do małej szafy. W środku wisiało kilka marynarek i koszul. Dwa krawaty. Jedna koszula z guzikami i szare spodnie. Ani jednej notatki. Już miała się odwrócić, kiedy w rogu zobaczyła stary bucior, na którym leżała sztywna, sportowa skarpetka oblepiona błotem. Częściowo przesłaniał to stos przepoconych ubrań sportowych.

Rozejrzała się niespokojnie, ale nikogo nie dostrzegła.

Jeden bucior nie miał sensu.

Zaniepokoiła się, po czym zamarła, patrząc intensywnie na but, jakby mógł jej coś powiedzieć. Wreszcie sięgnęła, ostrożnie odsunęła ubrania i chwyciła za but. Był ciężki, więc natychmiast pomyślała, że w środku coś może być. Jak chirurg usuwający kawałek skóry, zdjęła skarpetę i zajrzała.

Usłyszała swój jęk.

W bucie był pistolet.

Już chciała po niego sięgnąć, ale pomyślała, że nie powinna go dotykać.

Równocześnie chciała go zabrać O'Connellowi. Czy tym pistoletem miał zamiar zabić Ashley?

Hope poczuła się uwięziona, jakby trzymano ją pod wodą. Wiedziała, że jeśli zabierze pistolet, O'Connell domyśli się, że któreś z nich tutaj było. To wywoła gwałtowną reakcję. Może ma gdzieś ukrytą inną broń. Może, może. Wrzały w niej pytania i wątpliwości. Żałowała, że nie potrafi unieszkodliwić rewolweru, na przykład usuwając iglicę. Kiedyś czytała o tym w kryminale, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. A zabieranie kul byłoby bez sensu. Dowiedziałby się, że ktoś tu był i po prostu włożyłby nowe naboje.

Patrzyła na pistolet. Widziała tylko jedną stronę magazynka, nazwę firmy i kaliber 25.

Ohyda broni niemal ją obezwładniła.

Nie była pewna, czy postępuje właściwie, ale ostrożnie odstawiała but do szafy i ułożyła ubrania tak, żeby wyglądały jak poprzednio.

Chciała stąd wybiec. Jak długo była już w tym mieszkaniu? Pięć minut? Dwadzieścia? Wydawało się jej, że słyszy kroki, głosy i zrozumiała, że ma halucynacje. Wyjdz natychmiast! - rozkazała sobie.

Wstała i ruszyła do drzwi, przeszła obok łazienki, której nie chciało się jej przeszukiwać, i małej kuchni, przy której się zatrzymała.

Koty, pomyślała. Pani Abramowicz będzie chciała wiedzieć.

Zajrzała do małego pomieszczenia. Żadnego stołu, tylko lodówka i piecyk z czterema palnikami, dwie półki z zupami i potrawami w puszkach. Żadnych puszek z jedzeniem dla kotów. Żadnego pudełka z trucizną na szczury, żeby domieszać ją do śmiercionośnego posiłku.

Hope podeszła do lodówki i szarpnięciem otworzyła drzwi. O'Connell trzymał w niej jakieś pasty do kanapek i dwa zimne piwa. Zamknęła drzwi i po krótkim namyśle otworzyła zamrażarkę, spodziewając się w niej paru zamrożonych pizz.

To, co zobaczyła, było jak uderzenie, ledwie jej się udało stłumić krzyk.

Gapiło się na nią co najmniej pół tuzina zamrożonych kotów. Jeden miał zęby obnażone w potwornym lodowym uśmiechu śmierci i wyglądał jak gargulec.

Hope ogarnęła panika, zrobiła krok w tył, z ręką na ustach. Serce biło jej jak szalone, robiło się jej niedobrze, miała zawroty głowy, czuła, jak skacze jej temperatura. Chciała krzyczeć, ale żaden dźwięk nie mógł wydostać się z zaciśniętego gardła. Każda komórka jej ciała ponaglała ją do ucieczki, do wyjścia bez oglądania się za siebie. Próbowwała wmówić sobie, że ma zachować spokój, ale przegrywała bitwę. Kiedy wyciągnęła rękę, żeby zamknąć drzwi zamrażalnika, cała drżała.

Nagle usłyszała syk z korytarza.

- Pośpiesz się, kochanie! Ktoś jedzie windą!

Hope odwróciła się i pobiegła do drzwi wejściowych.

- Pospiesz się! - słyszała szept pani Abramowicz. - Ktoś idzie!

Kiedy Hope wypadła na korytarz, starsza pani nadal stała w swoich drzwiach. Hope widziała, jak na liczniku przy windzie pojawiają się coraz wyższe cyfry, zamknęła drzwi do mieszkania O'Connella. Manipulowała kluczem, mało go nie upuściła, kiedy próbowała go włożyć do dziurki.

Pani Abramowicz cofnęła się, zgarbiona, szukając schronienia we własnym mieszkaniu. Koty u jej nóg biegały w kółko, jakby wyczuwały strach i panikę w głosie starszej pani.

- Szybko, szybko, musimy uciekać!

Hope zobaczyła, że stara kobieta schowała się w swoim mieszkaniu i przymknęła drzwi, zostawiając tylko szczelinę. Poczowała, że klucz wreszcie

przekreślił się w zamku i się odsunęła. Odwróciła się w stronę windy. Widziała światło w kabinie, która dojechała już na piętro.

Zamarła, nie była w stanie się poruszyć.

Winda przejechała wyżej, nie zatrzymując się.

W uszach huczała jej adrenalina, dźwięki dobiegały ją z daleka, niczym echo z przeciwległej strony szerokiego kanionu.

Zebrała się w sobie, próbując sprawdzić, czy wszystko, co zmroził strach - serce, płuca, umysł - nadal funkcjonuje.

Pani Abramowicz otworzyła drzwi trochę szerzej i wystawiła głowę na korytarz.

- Falszywy alarm, kochanie. Dowiedziałas się, co stało się z moimi kotami?

Słowa, które wypowiedziała Hope, były zimne.

- Nie - skłamała. - Nie ma po nich śladu.

Zobaczyła rozczarowanie w oczach starej kobiety.

- Myślę, że powinnam już iść - powiedziała z trudem. Ale zostało jej jeszcze na tyle siły, że wsunęła klucz od staruszki do kieszeni kurtki. Odwróciła się i szybko poszła w stronę schodów ewakuacyjnych. Wiedziała, że czekanie na windę będzie wymagało cierpliwości, której już jej brakowało.

Schodziła ukradkiem, jak najszybciej, napięcie sprawiało, że nadal czuła ściskanie w dołku. Parła naprzód ze zgarbionymi ramionami, za wszelką cenę chciała wyjść. Kiedy podniosła wzrok, niespodziewanie zobaczyła jakiś kształt w korytarzu prowadzącym do wyjścia. Czaił się przed nią ciemność. Przytłaczający ją strach sprawił, że stanęła jak wryta. Wreszcie zobaczyła, że to dwóch lokatorów wchodzi na klatkę. Jeden z nich mruknął: „Cześć!” - kiedy przepychała się obok nich. Wyszła na nocny chłód, z radością przyjmując otaczającą ją ciemność. Prawie zeskoczyła z ostatnich stopni na chodnik i nie odwracając się, przeszła przez uliczkę do samochodu. Pogmerała przy zamku i wreszcie rzuciła się na fotel za kierownicą. Wewnętrzny głos mówił jej „uciekaj!” „Wynoś się stąd natychmiast!” Już miała ruszyć, kiedy podniosła wzrok i znów zamarła.

Michael O'Connell szedł chodnikiem naprzeciwko niej.

Wbiła w niego wzrok. Zatrzymał się przed budynkiem, grzebał w kieszeni, szukając kluczy, a potem, nawet nie spojrzawszy w jej kierunku, wszedł po schodkach i zniknął w środku. Zaczekała, kilka chwil później zapaliło się światło w jego mieszkaniu.

Hope bała się, że się domyśli tego, że ktoś był w mieszkaniu. Że coś przestawiła, położyła w niewłaściwym miejscu. Wrzuciła bieg i ruszyła. Dojechała do rogu, a potem dalej, szeroką ulicą, mijając kilka przecznic,

aż zobaczyła miejsce, gdzie mogła się zatrzymać. Zaczęła myśleć, ile to było czasu? Trzy minuty? Cztery? Pięć? Ile sekund minęło od jej wyjścia z budynku do jego powrotu?

Ścisnęła ją w dołku i mdliło. Otworzyła drzwi i zwymiotowała do ścieku całą herbatkę pani Abramowicz.

Następnego dnia Scott wstał bardzo wcześnie. Wyszedł z taniego pokoju motelowego tuż przed świtem i pojechał w ponurym listopadowym półmroku do miejsca naprzeciwko domu, w którym dorastał Michael O'Connell. Wyłączył silnik i siedział. Czekał. Czuł, jak pierwsze zapowiedzi zimy wsączają się do środka. Była to smutna uliczka, niewiele lepsza niż parking dla przyczep mieszkalnych. Wszystkie domy były zapadnięte, wszystkie domagały się remontu. Farba łuszczyła się z okapów, rynny zwisały luźno. Połamane zabawki, porzucone samochody i rozebrane skutery śnieżne zaśmiecały podwórka. Druciane osłony drzwi łopotały na wietrze. Wiele okien było załatanych grubymi plastikowymi płachtami. Wydawało się, że jest to miejsce opuszczone. Świetnie pasowało do sześciopaków, kuponów loterii, snów o motocyklach, tatuaży i popijaw w sobotnie wieczory. Nastolatki prawdopodobnie martwiły się w równym stopniu o ciężę, co o hokeja, a starsi myśleli o tym, czy małe pensje uchronią ich przed kuponami na darmowe zupki. Było to jedno z najbardziej odpychających miejsc, jakie Scott widział.

Podobnie jak poprzedniego popołudnia, w szkole, czuł, że znalazł się w zupełnie obcym dla siebie miejscu.

Patrzył na poranną pielgrzymkę dzieci idących do autobusów szkolnych, mężczyzn i kobiet z pojemniczkami na drugie śniadanie spieszących do pracy. Kiedy się uspokoiło, wysiadł z samochodu. W kieszeni miał zwitek banknotów dwudziestodolarowych. Pomyślał, że tego ranka wyda ich parę.

Odwrócił się tyłem do domu O'Connella i poszedł do najbliższych drzwi, po przeciwnej stronie ulicy.

Zapukał głośno, ignorując wściekle, ochryple szczekanie. Po kilku sekundach jakaś kobieta ze złością krzyknęła na psa, próbując go uciszyć, i drzwi się otworzyły.

- Tak? - kobieta była przed czterdziestką, papieros zwisał jej z ust, miała na sobie różową podomkę z emblematem sklepu spożywczego. Starła się utrzymać kubek z kawą w jednej ręce, drugą przytrzymała psa za obrozę. - Przepraszam, jest całkiem przyjazny, naprawdę, ale cholernie straszy ludzi, skacze na nich. Mąż ciągle mi mówi, że powinienam go lepiej ułożyć, ale... - Wzruszyła ramionami.

- W porządku - powiedział Scott przez siatkę zewnętrznych drzwi.

- Czym mogę panu służyć?  
- Jestem z departamentu probacji stanu Massachusetts - skłamał Scott. - Uaktualniamy dane dotyczące ludzi, którzy po raz pierwszy złamali prawo. Chodzi o niejakiego Michaela O'Connella. Mieszkał tutaj, naprzeciwko. Znała go pani?

Kobieta skinęła głową.

- Trochę. Nie widziałam go parę lat. Co przeskrobał?

Scott pomyślał przez chwilę i powiedział:

- Oskarżenie o rabunek.

- Ukradł coś, he?

Owszem, pomyślał Scott.

- Na to wygląda.

Kobieta prychnęła.

- I pozwolił się zapuszkować, ten cholerny dureń, co? Zawsze myślałam, że jest trochę mądrzejszy.

- Cwany gość, zgadza się?

- Udawał cwane go. Nie jestem pewna, czy mówimy o tym samym.

Scott się uśmiechnął.

- Tak czy inaczej - powiedział powoli - interesuje nas jego środowisko. Będę jeszcze musiał przeprowadzić rozmowę z jego ojcem, ale wie pani, czasem sąsiedzi... - Nie musiał kończyć, bo kobieta pokiwała energicznie głową

- Nie wiem za dużo. Mieszkamy tutaj dopiero parę lat. Ale stary... hm, on tu jest od epoki lodowcowej. I nie jest szczególnie lubiany w okolicy.

- Dlaczego?

- Jest na rencie wypadkowej. Pracował w jednej ze stoczni w Portsmouth. Miał jakiś wypadek. Mówił, że bolą go plecy. Co miesiąc dostaje czeki ze spółki, od stanu i od federacji też. Ale jak na faceta, który mówi, że go boli, dobrze sobie daje radę. Dorabia jako dekarz, a to dziwna praca dla kogoś, kto twierdzi, że jest kaleką. Mój mąż mówi, że gotówkę dają mu cichcem. Zawsze myślałam, że przyjdzie tu raczej ktoś z urzędu podatkowego, żeby powęszyć.

- Ale to nie wyjaśnia, dlaczego ludzie go nie...

- To po prostu podły pijanica. A kiedy się upije, robi się zaczepny. Urządza burdy. Można go usłyszeć, jak wrzeszczy w środku nocy. Dziwne tylko, bo nie ma na kogo wrzeszczeć. Czasem wychodzi i strzela ze starej spluwy, którą trzyma w tym bajzlu, co go ma za dom. Wokół kręcą się dzieci, ale jego to nie obchodzi. Kiedyś strzelił do psa jednego z sąsiadów. Na szczęście, nie do mojego. Tak czy inaczej strzela bez powodu, tylko dlatego, że ma ochotę. Typ spod ciemnej gwiazdy.



- A syn?
  - Mówiłam, mało go znałam. Ale jak to mówią, jabłko niedaleko pada od cholernej jabłoni. Przynajmniej tak mi się wydaje.
  - A co z matką?
  - Umarła. Nie znałam jej. To był wypadek. Przynajmniej tak mówią. Niektórzy twierdzą, że odebrała sobie życie. Inni zwalają winę na jej starego. Policja dokładnie przyjrzała się całej sprawie. Byli bardzo podejrzliwi. Ale potem dali sobie spokój. Może coś zostało im w papierach, nie wiem. To się stało, zanim tu przyjechałam.
- Pies szczeknął jeszcze raz i Scott się cofnął.
- Bardzo dziękuję - powiedział. - Jeszcze jedno. Proszę to zachować dla siebie. Ludzie zaczną mówić i pochrzani mi to wywiad środowiskowy.
  - Och, jasne. - Kobieta odepchnęła psa nogą i zaciągnęła się papierosem. - Hej, wy tam, z Massachusetts, nie moglibyście wsadzić starego do więzienia razem z jego dzieciakiem? Zaraz by się tu uspokoiło.

Resztę poranka Scott spędził, chodząc po sąsiadach. Udawał różnych ludzi, którzy mają prawo zadawać pytania. Tylko raz poproszono go o identyfikator i szybko zrezygnował z rozmowy. Niewiele się dowiedział. Rodzina O'Connellów użerała się z większością ludzi z okolicy i wrażeń, jakie robili, ograniczała kontakty z sąsiadami. Ten brak popularności pomógł Scottowi, ludzie chętnie mówili. Ale to, co mówili, tylko potwierdzało wiedzę i domysły Scotta.

Stary O'Connell nie pokazał się poza domem i Scott pomyślał, że mógł się wymknąć, kiedy rozmawiał z którymś z sąsiadów. Niemniej mały, czarny pikap dodge nie ruszył się przez cały dzień. Scott sądził, że to samochód starego O'Connella.

Wiedział, że musi zapukać do jego drzwi, ale nie miał pojęcia, kogo będzie udawać. Postanowił, że potrudzi się trochę w lokalnej bibliotece, żeby dowiedzieć się czegoś o okolicznościach śmierci matki O'Connella.

Biblioteka miejska, w odróżnieniu od odrapanych domów przy bocznych uliczkach i dawnych gruntach rolnych, była piętrowym budynkiem ze szkła i cegły przylegającym do nowej komendy policji i kompleksu urzędów miejskich.

Scott podszedł do głównego biurka, za którym siedziała wiotka, szczupła kobieta, może o sześć lat starsza od Ashley. Podniosła wzrok znad kart bibliotecznych i zapytała go uprzejmie:

- Czym mogę panu służyć?
- Czy macie książki roczne szkoły średniej? I czy zechciałyby pani pokazać mi, gdzie trzymacie mikrofilmy z lokalną gazetą?

- Oczywiście. Pracownia mikrofilmowa jest tam. - Pokazała ręką sąsiednie pomieszczenie. - Zbiory są całkiem niezłe oznakowane. Czy pomóc panu przy obsłudze przeglądarki?

Scott pokręcił głową.

- Myślę, że dam sobie radę. A roczniki?

- W księgozbiornie podręcznym. Którego rocznika pan szuka?

- Liceum Lincolna, rocznik 1955.

Młoda kobieta zrobiła nieco zdziwioną minę, potem się uśmiechnęła.

- To moja klasa. Może pozwoli pan, że pomogę?

- Czy znała pani młodego człowieka o nazwisku O'Connell?

Zamarła. Przez sekundę nie odpowiadała.

Scott patrzył, jak na twarzy młodej kobiety odbijają się złe wspomnienia.

- Co zrobił? - wyszeptła w końcu.

Sally ślęczała nad tekstami i artykułami prawniczymi, szukając czegoś, ale nie była do końca pewna, czego. Im więcej przeczytała, im więcej sobie przyswoiła i przeanalizowała, tym gorzej się czuła. Co innego, powiedziała sobie brutalnie, zajmować się przestępstwem w abstrakcyjnym świecie sali sądowej - walczyć na argumenty, przedstawiać dowody, przesłuchiwać świadków, zlecać badania kryminalistyczne - wtedy system zwycięża. System prawa karnego został przecież zaprojektowany tak, żeby odebrać ludzkości ochotę do działania. Na sali sądowej zbrodnia jest pokazywana w sterylnych warunkach, co czyni z niej coś teatralnego. Sally знаła procedury na wylot i czuła się w nich dobrze. Ale to, co robiła teraz, było krokiem w inną stronę.

Znaleźć jakąś zbrodnię.

Obmyślić, jak przypisać ją Michaelowi O'Connellowi.

Wsadzić go do więzienia. Żyć dalej. Brzmiało to prosto. Entuzjazm Scotta dodawał jej ducha, dopóki nie usiadła i nie zaczęła przebijać się przez teksty prawnicze.

Na razie wydawało jej się, że najlepiej byłoby oskarżyć go o oszustwo i wymuszenie.

To byłoby trudne, pomyślała, ale mogliby zgromadzić informacje na temat wszystkich działań O'Connella aż do dzisiaj i tak je ułożyć, żeby wyglądały na plan wymuszenia szantażem pieniędzy od niej i od Scotta. Zastanawiała się, jak mogłaby to przedstawić, żeby prokuratorowi wydawało się, że wszystko, co zrobił O'Connell - szczególnie molestowanie Ashley - było agresywnym spiskiem przeciwko nim. Musieliby tylko sprokurować jakieś groźby, rzucające pod ich adresem, w celu wydobycia pieniędzy. Scott mógłby zeznać pod przysięgą, że kiedy w Bostonie wręczył

O'Connellowi ponad pięć tysięcy dolarów, ten zażądał więcej i że wzmógł prześladowania, kiedy okazali się oporni. Byliby nawet w stanie wyjaśnić, dlaczego do tego momentu nie powiadomili policji, mówiąc, że obawiali się tego, co mógłby zrobić.

Problemem - albo pierwszym z problemów, myślała ze smutkiem Sally, bo znajdzie się ich prawdopodobnie więcej - było to, co powiedział Scott, kiedy już przekazał te pięć tysięcy. Uważał, że O'Connell miał z sobą ukryty mikrofon i nagrał całą rozmowę.

Jeśli tak, wyszłoby na jaw, że są kłamcami. O'Connell hulaby na wolności, a oni zostaliby postawieni w stan oskarżenia. Jej praktyka i praca Scotta byłyby zagrożone. Znaleźliby się w opałach i nic nie stanęłoby już pomiędzy gniewem O'Connella a Ashley.

Poza tym zdała sobie sprawę, że nawet gdyby im się powiodło, nie było gwarancji, że O'Connell nie dostałby jakiegoś zmniejszonego wyroku. Dwa lata? Ile czasu musiałby spędzić za kratkami, żeby Ashley się odnalazła, uwolniła od tej obsesji? Trzy lata? Pięć? Dziesięć? Czy mogła mieć stuprocentową pewność, że O'Connell nie stanie znów na jej progu?

Sally zakolysała się na krześle.

Zabić go, pomyślała.

Głośno wypuściła powietrze z płuc. Nie była w stanie uwierzyć w to, co powiedziała.

Co świętego jest we własnym życiu, że nie można go poświęcić?

To miało dla niej sens. Tak naprawdę nie lubiła swojej pracy, miała mnóstwo wątpliwości co do wspólnego życia z Hope. Minęły tygodnie, a może miesiące, od kiedy po raz ostatni odczuwała radość z tego, kim jest i o co walczy. Sens w życiu? Chciało jej się śmiać. Była małomiasteczkową prawniczką w średnim wieku, starzała się, patrzyła, jak na jej twarzy co dzień zarysowują się zmarszczki. Pomyślała, że jedynym śladem, jaki pozostawi po sobie, jest Ashley. Córka mogła być owocem fałszywej miłości, ale była też kimś najdroższym dla Sally i Scotta.

Warto umrzeć za jej przyszłość.

I znów Sally była zszokowana własną wyobraźnią. To szaleństwo. Ale w tym szaleństwie jest metoda.

Zabić go, powtórzyła zdeterminowana.

I wtedy pojawiła się kolejna, jeszcze bardziej niesamowita myśl.

- Albo sprawić, żeby zabił ciebie.

I potem za to zapłacił.

Oparła się i popatrzyła na książki i teksty, które ją otaczały.

Ktoś musi umrzeć. Była tego pewna.

Odkąd zacząłem interesować się tą historią, mam koszmary.

Przychodzą nieproszone i sprawiają, że wiercę się w łóżku, pocę się we śnie. Obudziłem się kiedyś późno w nocy, pokuśtykałem do łazienki, żeby napić się wody, i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Wymknąłem się z pokoju i zajrzałem do dzieci, żeby się upewnić, że ich sen nie jest tak niespokojny jak mój. Kiedy wróciłem, żona wymamrotała:

- Wszystko w porządku? - Ale znów zasnęła, zanim zdołałem odpowiedzieć. Przytknąłem głowę do poduszki i próbowałem przebić się wzrokiem przez ciemność.

Następnego dnia zadzwoniłem do niej.

- Chyba powinienem porozmawiać z którymś z głównych aktorów tego dramaciku - powiedziałam szorstko. - Za długo to odkładałem.

- Tak. Spodziewałam się, że w końcu pan tego zażąda. Tylko nie jestem pewna, kto zechce z panem rozmawiać.

- Chcą, żeby opowiedzieć ich historię, ale nie chcą ze mną rozmawiać? - zapytałam z niedowierzaniem.

Kiedy zaczęła mówić, wyczułem lekkie podniecenie w jej głosie; jakieś wydarzenia w tej historii stawały się bardziej istotne. Byłem coraz bliżej.

- Boję się - powiedziała.

- Czego się boisz?

- Stawka jest tak wysoka. Życie przeciwko śmierci. Szanse przeciwko rozpacz.

- Sam ich znajdę - odparłem niespodziewanie. - Nie muszę bawić się z tobą w kotka i myszkę. Mogę przejrzeć listy wydziałów. Przeszukać prawnicze bazy danych. Wejść na internetowe strony studenckie. Strony gejów i kobiet. Pokoje czatowe dla psychopatów. Nie wiem, co jeszcze. Gdzieś trafię na informacje, które pozwolą mi poznać prawdziwe nazwiska, prawdziwe miejsca i prawdę na temat tego, co mi powiedziałaś.

- Myśli pan, że nie powiedziałam prawdy?

- Tak myślę. Ale wiem już wystarczająco wiele, żeby pójść tym tropem na własną rękę.

- Może pan, ale wtedy przestanę odbierać pańskie telefony. I być może nigdy pan się nie dowie, co naprawdę się stało. Pozna pan trochę faktów, złoży parę szczegółów, żeby mieć kanwę opowieści. Ale nie będzie pan wiedział, co dzieje się pod spodem. Zaryzykuje pan?

- Nie - zaprzeczyłem. - Nie będę ryzykował.

- Tak myślałam.

- Zagram według pani reguł. Ale to już koniec. Dotarłem do kresu wytrzymałości.

- Tak, wyczuwam to w pańskim głosie. - Jednak to, co mówiłem, nie wywarło chyba na niej większego wrażenia. Po tych słowach odłożyła słuchawkę.

## 36. Układanka

Ashley nadal była zła i nadąsana, że nie pozwolono jej wziąć udziału w podejmowaniu najważniejszych decyzji. Catherine też nie była zadowolona: dlaczego Hope, Scott i Sally tak bezzasadnie wykluczyli Ashley z całej sprawy. Całe godziny spędzała przy telefonie, wybierała numery, rozmawiała po cichu. W końcu powiedziała do Ashley:

- Jest coś, co musimy zrobić razem.

Ashley stała w kuchni z kubkiem kawy. Gapiała się w kąt, gdzie stała - teraz pusta - miska Bezimiennego. Nikt nie miał sumienia, żeby ją usunąć. Czowała się, jakby ją skrupowano i przywiązano do masztu. Wokół niej działy się rzeczy, które osobiście jej dotyczyły, a ona nie miała o niczym pojęcia.

- Co takiego?

- Hm - powiedziała łagodnie Catherine. - Nie bardzo podoba mi się pozycja autsajdera.

- Mnie też nie.

- Myślę, że powinniśmy coś zrobić.

- Dokąd idziemy?

- Na spotkanie z pewnym mężczyzną - odparła bezceremonialnie Catherine. - Zdaje mi się, że to nad wyraz podejrzany typ.

Ashley musiała wyglądać na lekko zaskoczoną, bo Catherine mimo woli się uśmiechnęła.

- Właśnie taki jest nam potrzebny. Ktoś odpychający. - Odwróciła się i wyprzedzając Ashley, poszła do samochodu. - Nie powiemy twoim rodzicom ani Hope o tej wyprawie - zdecydowała, wyjeżdżając na ulicę.

Ashley milczała, kiedy Catherine dodawała gazu, co chwila spoglądając w lusterko wsteczne, żeby się upewnić, że nikt za nimi nie jedzie. - Potrzebujemy pomocy od kogoś z innego świata. O innych zaletach. Na szczęście - westchnęła - znajomi mieszkający niedaleko mojego domu znają pewnego człowieka, który spełnia te wymagania.

Ashley miała kilka pytań, ale dalej siedziała cicho, wiedząc, że wkrótce i tak się dowie. Uniosła brwi, kiedy Catherine skręciła z bocznej uliczki

na główny bulwar, a potem na rampę prowadzącą na międzystanową. Zmierzała w stronę, z której uciekły kilka dni wcześniej. - Dokąd jedziemy?

- Do miejsca jakieś czterdzieści pięć minut jazdy stąd na północ - wyjaśniła Catherine. - Około dwustu metrów od linii oddzielającej Massachusetts od wielkiego stanu Vermont.

- I co tam znajdziemy?

Catherine się uśmiechnęła.

- Jak mówiłam, pewnego mężczyznę. Wątpię, żeby któraś z nas spotkała kiedykolwiek kogoś takiego jak on. - W jej głosie słychać było zdecydowanie. - Może znajdziemy tam trochę bezpieczeństwa.

Nie wyjaśniła swoich słów, a Ashley o nic nie zapytała, chociaż wątpiła, że bezpieczeństwo było w ich zasięgu.

Scott w pośpiechu wyszedł z biblioteki.

Usłyszał tam opowieść z małomiasteczkowej Ameryki, w której plotka, insynuacja i zawiść mieszały się z odpryskami prawdy, paroma faktami i podejrzeniami.

- Musi pan wiedzieć - powiedziała mu bibliotekarka - jak niejasne były okoliczności śmierci matki Michaela O'Connella.

Słowo „niejasne” w rozumieniu Scotta ledwie oddawało rzeczywistość.

Pewne związki od samego początku są wybuchowe i nie powinny trwać, ale z jakichś diabelskich powodów trwają i wtedy zaczyna się śmiertelny taniec. Takie było życie domowe rodziny Michaela O'Connella: agresywny ojciec, rzadko kiedy trzeźwy i matka, niegdyś celująca uczennica szkoły średniej, która dla mężczyzny odrzuciła obietnicę dawaną jej przez życie. Na pierwszym roku studiów uwiódł ją przystojniak w stylu Elvisa, ciemnowłosa, muskularny, dobrze zarabiający w stoczni, z szybkim samochodem, skory do śmiechu. Znakomicie ukrywał swoją ciemną stronę.

Policja przyjeżdżała do domu O'Connellów regularnie - zwykle w soboty wieczorem. Złamane ramię, wybity ząb, siniaki, wizyty pracowników opieki społecznej, wyprawy do izby przyjęć - to była lista jej prezentów ślubnych. W zamian on dostał złamany nos, który źle złożony zeszpecił jego przystojną twarz, i nieraz musiał patrzeć, jak żona wymachiwała w jego kierunku kuchennym nożem. Wydarzenia układały się w dobrze znaną sekwencję: nadużycie alkoholu, agresja i przebaczenie. Trwałoby to bez końca, gdyby nie wypadek ojca i choroba matki.

O'Connell senior spadł ze stanowiska pracy dziewięć metrów w dół, uderzając po drodze o stalowy dźwigar. Cud, że nie umarł. Pół roku spędził w

szpitalu, gdzie lecząc złamanie kilku kręgow, wpadł w uzależnienie od środków przeciwbólowych. Uzyskał pokaźne odszkodowanie i rentę wypadkową, które marnował, stawiając kolejki w knajpie i padając ofiarą oszustów oferujących szansę na szybkie wzbogacenie się. Tymczasem matka O'Connella zachorowała na raka macicy. Po operacjach - podobnie jak jej mąż - uzależniła się od środków przeciwbólowych.

W wieczór, kiedy umarła, Michael O'Connell miał trzynaście lat. Było to dzień po jego urodzinach.

To, czego Scott dowiedział się od bibliotekarki i podczas pobieżnej lektury lokalnej gazety, było niepokojące. Oboje rodzice pili i bili się; według niektórych sąsiadów działo się to przez dłuższy czas. Ale pewnego razu, tuż po zmroku, nagle rozległy się w ich domu głośne krzyki, a potem padły dwa strzały.

Strzały były najbardziej wątpliwą częścią tej historii. Niektórzy sąsiedzi zapamiętali istotny szczegół: cisza między strzałami trwała trzydzieści sekund, może minutę albo półtorej.

Ojciec O'Connella sam wezwał policję.

Po przybyciu znaleźli na podłodze martwą matkę, zabita strzałem w pierś oddanym z bliskiej odległości, druga kula tkwiła w suficie, w kącie kulił się nastolatek, a ojciec, z podrapaną i pokrwawioną twarzą, trzymał w rękę trzydziestkęósemkę z krótką lufą. Oto wersja O'Connella seniora: pili i bili się, jak zwykle, tylko że tym razem ona wyciągnęła rewolwer zamknięty w szufladzie jego biurka. Nie miał pojęcia, jak udało się jej znaleźć klucz. Groziła, że go zabije. Powiedziała, że uderzył ją o jeden raz za dużo i że ma się przygotować na śmierć. Ale on przebiegł przez kuchnię jak wściekły byk, wrzeszcząc do niej, żeby strzelała. Złapał ją za rękę. Mocowali się. Pierwszy wystrzał poszedł w górę. Drugi w pierś.

Bijatyka. Za dużo alkoholu. Wypadek.

Taka była jego wersja, a przynajmniej tak ją opowiedziała bibliotekarka.

Scott uważał, że policja podejrzewała, iż to ojciec O'Connella wymachiwał bronią, a matka walczyła o życie. Detektywi wielokrotnie obejrzelili zdjęcia z miejsca zdarzenia i doszli do wniosku, że z równym prawdopodobieństwem mogła odrzucić jego pijackie zaloty i chwycić za lufę, usiłując z fatalnym skutkiem nie dopuścić do tego, żeby ją zastrzelił. Strzał w sufit był późniejszy, zaplanowany, żeby uczynić wersję wydarzeń starego O'Connella bardziej prawdopodobną.

To zamieszanie, w którym przedstawiono dwie, równie prawdopodobne wersje wydarzeń - jedną o samoobronie i drugą o najpodlejszym mordzie pod wpływem alkoholu - rozstrzygnąć mógł jedynie nastolatek.

W tym momencie Scott poczuł współczucie dla O'Connella. Dotyczyło ono jednak wyłącznie wydarzenia sprzed prawie piętnastu lat.

Przez chwilę zastanawiał się, co on by zrobił. I wtedy zrozumiał, że Michael nie miał wyboru. Diabeł, którego się zna, jest lepszy od diabła nieznanego.

Zatem młody O'Connell potwierdził wersję ojca.

Scott rozmyślał: czy chłopak widział w koszmarach, jak ojciec zabija matkę? Czy widział, jak walczyła o życie? Czy co rano, kiedy się budził, a ojciec patrzył na niego z niedowierzaniem, czuł na sobie piętno kłamcy?

Przejechał przez miasto i zatrzymał się pod domem O'Connella. Wszystko tu sprzyjało, żeby zostać mordercą.

Niezbyt znał się na psychologii - chociaż jak każdy historyk wiedział, że wielkie wydarzenia rozbudzają emocje. Także te złe. W dodatku nawet najbardziej akademicki freudysta spostrzegłby, że przeszłość O'Connella sprawiła, iż jego przyszłość stała się niebezpieczna. Scott rozumiał też, że jedyną „stałą” w życiu O'Connella była Ashley.

Czy zabije Ashley z równą łatwością, jak jego ojciec zabił matkę?

Scott podniósł głowę i ponownie skupił się na domu, w którym dorastał O'Connell. Nie zauważył postaci, która wyłoniła się z cienia rzuconego przez drzewo, więc kiedy ktoś znieścacka zabębnił w szybę, odwrócił się zaskoczony, czując, że serce gwałtownie mu przyspiesza.

- Wysiadaż z samochodu!

To było żądanie nietolerujące sprzeciwu.

Scott, zmieszany, podniósł wzrok i zobaczył twarz ciemnowłosego mężczyzny o krzywym nosie, nieomal przyciśniętym do szyby. Mężczyzna trzymał w ręce stylisko siekiery.

- Wysiadaż ! - powtórzył.

Pierwszym, panicznym odruchem Scotta było wrzucenie biegu i naciśnięcie pedału gazu, ale nie zrobił tego, bo zobaczył, że mężczyzna podnosi stylisko jak gracz bejsbolu śledzący lot piłki. Nabrał głęboko powietrza, odpiął powoli pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi.

Mężczyzna przyglądał mu się groźnym wzrokiem, nadal wymachując styliskiem siekiery jak bronią.

- To ty rozpytujesz o mnie po okolicy? - zapytał. - A kto ty, do cholery, jesteś? I może powiesz, dlaczego tak się mną interesujesz, zanim zdmuchnę ci tę cholerną głowę?

Sally wróciła do komputera, ale zrozumiała, że to, co miała zamiar zrobić, potencjalnie by ją obciążało. Sięgnęła więc do szuflady biurka i wyjęła starą żółtą podkładkę pod notatki. Utworzenie pliku z niezdefiniowanymi jeszcze szczegółami przestępstwa byłoby błędem, a kawałek



papieru można zniszczyć. To przypominało trochę chodzenie po plaży; odciski stóp powyżej linii przyływu zostaną na zawsze. Poniżej zostaną szybko starte przez fale.

Przygryzła wargę i chwyciła ołówek.

Na górze strony napisała „Motyw”.

Potem kolejna kategoria: „Środki”.

I z konieczności dodała: „Możliwość”.

Przyglądała się słowom, które tworzyły podstawę pracy policyjnej. Wypełniła puste miejsca i w dziewięciu przypadkach na dziesięć wiesz, kogo aresztować i oskarżyć. I równie często, kto zostanie skazany w sali sądowej. Dla obrońcy w sprawach karnych sprawa jest prosta: zaatakować i podważyć jeden z tych elementów. Jak w stołku na trzech nogach: odciąć jedną i mebel się przewróci. Teraz planowała własne przestępstwo, próbując przewidzieć, jak będzie prowadzone śledztwo w sprawie tej niesprecyzowanej jeszcze zbrodni. W myśli nadal używała eufemizmów: „przestępstwo”, „incydent”, „zdarzenie”. Unikała słowa „morderstwo”.

Dodała jeszcze czwartą kategorię: „Badania kryminalistyczne”.

Nad tym można popracować, pomyślała. Zaczęła spisywać rozmaite ewentualne potknięcia. Próbkę DNA - to znaczy włosy, skóra, krew - wszystkiego można uniknąć. Balistyka - jeśli będą musieli użyć broni palnej, należy się postarać, żeby jej z nimi nie powiązano. Albo inaczej: będą musieli jej się pozbyć tak, żeby nikt broni nie znalazł. Było to trudne zadanie - chyba że wrzuciliby ją do oceanu. Rozpatrywała dalsze kwestie. Włókna z odzieży, demaskujące odciski palców, odciski butów w miękkiej ziemi, odciski opon samochodowych. Świadkowie, którzy widzieli, jak ktoś przychodził lub odchodził. Kamery ochrony. I nie mogła być pewna, że siedząc na twardym krześle, pod ostrym światłem z sufitu, naprzeciwko pary detektywów - zapewne grających dobrego i złego gline - Scott, Ashley albo Hope czy Catherine czegoś nie zdradzą.

Jasne, jeśli któreś z nich znajdzie się w pokoju przesłuchań, wszystko, na co mieli nadzieję, będzie stracone.

Przestępstwo musi więc być całkowicie anonimowa. Nikt nie może go powiązać z Ashley.

Sally popatrzyła na leżącą przed nią kartkę. Nagle przypomniała sobie o egzaminach, które czekają ją na Wydziale Prawa. Na swój sposób to egzamin. Różnica polegała na tym, że nie chodziło o stopień, tylko o przyszłość jej rodziny.

Zapisała: „Kupić zestaw rękawiczek chirurgicznych”.

Dzięki temu przynajmniej nie zostawią zbyt wiele śladów DNA i odcisków palców, kiedy już postanowią, co mają zrobić.

Zapisała ponownie: „Iść do Armii Zbawienia i kupić ubrania. Nie zapomnieć o butach”.

Sally pokiwała głową. Możesz to zrobić, powtórzyła jak mantrę. Cokolwiek by to było.

Odpychający mężczyzna, z którym miały się spotkać Catherine i Ashley, stał przy drzwiach poobijanego terenowego chevroleta. Palił papierosa i grzebał prawą stopą w żwirze parkingu jak niecierplivy koń. Catherine zauważyła jego czerwono-czarną kurtkę myśliwską i nalepki stowarzyszenia strzeleckiego zdobiące maskę samochodu. Był niski, łyśawy, o beczkowatej klatce piersiowej. Facet z tych, co to lubią postrzelać i popić sobie, pomyślała Catherine. Kiedyś pracował w jakiejś fabryce, ale odkrył lepsze źródło zarobków.

Zatrzymała samochód naprzeciwko jego wozu i zwróciła się do Ashley.

- Zostań tutaj. Schył głowę. Jeśli będę cię potrzebować, machnę na ciebie ręką.

Ashley nie była pewna, jak ma się zachować w tej sytuacji. Pokiwała głową i odwróciła się tak, żeby widzieć Catherine. Catherine wysiadła z samochodu.

- Domyślam się, że pan Johnson?

- Zgadza się. Pani musi być Frazier?

- W rzeczy samej.

- Normalnie to nie lubię takich spotkań. Wolę załatwiać sprawy na regularnych pokazach broni.

Catherine kiwnęła głową. Wątpiła, żeby to była prawda, ale pewnie należało to do rytuału.

- Doceniam, że poświęcił pan swój czas. Nie dzwoniłabym, gdyby sprawa nie była pilna.

- Użytek osobisty? Osobiste bezpieczeństwo?

- Tak. Absolutnie.

- Widzi pani, jestem kolekcjonerem, a nie handlowcem. I zazwyczaj prowadzę handel i sprzedaż na legalnych pokazach broni. Inaczej musiałbym mieć zezwolenie federalne, rozumie pani.

Pokiwała głową. Rozumiała, że ten człowiek posługuje się swego rodzaju kodem, żeby obejść prawo.

- Tym bardziej jestem wdzięczna.

- Rozumie pani, zwyczajny handlowiec sprzedający broń musiałby wypełnić mnóstwo świstków dla federalnych. A potem trzeba czekać trzy dni. Kolekcjoner może sprzedawać i wymieniać broń bez tych obostrzeń.

Muszę, rzecz jasna, zapytać: nie planuje pani niczego nielegalnego z tą bronią?

- Oczywiście, że nie. To do obrony. W dzisiejszych czasach tak brakuje nam bezpieczeństwa. Więc co pan dla mnie ma?

Handlarz bronią poszedł do bagażnika terenówki. W środku była stalowa walizka z zamkiem kombinacyjnym. Otworzył go szybko. Na czarnej, styropianowej podkładce leżały pistolety i rewolwery. Popatrzyła na nie z obawą.

- Nie bardzo znam się na broni.

Pan Johnson skinął głową.

- Czterdziestkapiątka i dziewiątka bębnowiec to chyba za dużo na pani potrzeby. Niech pani wybiera spośród tych dwóch: automatyczna dwudziestkapiątka i rewolwer trzydzieści dwa. Trzydziestkadwójka z krótką lufą to zapewne to, czego pani szuka. Jest bardziej, hm, kobiecego rozmiaru. Sześć pocisków w bębunku. Wystarczy wycelować i strzelić. Godna zaufania, niezawodna, mała, niezbyt ciężka, każdy da sobie z nią radę. Pasuje do torebki. Rewolwer naprawdę bardzo popularny wśród pań. Ale nie ma dużej siły rażenia, to jego wada. Co nie znaczy, że strzał z trzydziestkidwójki nie zabija. Ale rozumie pani, o co mi chodzi?

- Oczywiście. Myślę, że wezmę tę trzydziestkędwójkę.

- Dobry wybór. Teraz prawo wymaga, żebym zapytał panią, czy ma pani zamiar wywozić tę broń poza stan.

- Oczywiście, że nie - skłamała Catherine.

- Albo przekazać ją innej osobie.

Catherine nawet nie spojrzała na Ashley czekającą w samochodzie.

- Absolutnie nie.

- Ani użyć jej w jakimś niezgodnym z prawem celu?

- Nie.

Skinął głową.

- Oczywiście. - Popatrzył na Catherine, potem na jej samochód. - Mam już kontakt z panią. I mam numer seryjny broni. Jeśli ktoś, na przykład funkcjonariusz, przyszedłby z pytaniami, to ja znalazłbym odpowiedzi. Niechętnie bym ich udzielił, ale musiałbym to zrobić. Inaczej miałbym co nieco do odsiedzenia. Rozumie mnie pani? Jeśli ma pani ochotę zastrzelić męża, hm, to pani sprawa. Ja tylko mówię, że...

Catherine podniosła rękę.

- Mój mąż zmarł kilka lat temu, panie Johnson. Może pan być spokojny. Chodzi tylko o ochronę dla starszej kobiety, która mieszka samotnie na wsi.

- Czterysta dolarów. I dorzucę dodatkowe pudełko z nabojami. Niech pani znajdzie miejsce, gdzie można poćwiczyć. To bardzo ważne.

Wyjął rewolwer i włożył go do taniej, skórzanej walizeczki.

- A to gratis - powiedział i wręczył broń Catherine, a ona dała mu pieniądze. - Niech pani pamięta o jednym. Kiedy postanowi pani pociągnąć za spust - mówił powoli, unosząc ręce do pozycji strzeleckiej - trzeba użyć obu rąk, żeby zachować równowagę, przyjąć wygodną pozycję, wziąć głęboki oddech i jeszcze jedno...

- Tak?

- Opróżnić magazynek. Wszystkich sześć nabojęw. Jeśli już pani postanowi zastrzelić coś albo kogoś, hm, proszę pani, tu nie ma półśrodków. To tylko w Hollywood dobry charakter strzela złemu w rękę albo w ramię. W życiu tak nie jest. Jeśli już się pani zdecyduje, niech pani mierzy w sam środek klatki piersiowej, żeby nie było wątpliwości. Chce pani do czegoś strzelić? Musi pani to coś zabić.

Catherine pokiwała głową.

- Będę o tym pamiętała.

Zastępca dziekana Wydziału Historii Sztuki powiedziała mi, że ma bardzo mało czasu. Były to jej stałe godziny urzędowania i za drzwiami czekał tłumek studentów. Uśmiechnęła się, przedstawiając cały wachlarz studenckich wymówek, skarg, pytań i krytyki, które czekały ją tego dnia.

- A zatem - powiedziała, siadając w fotelu - cóż takiego sprowadza do mnie dorosłego człowieka?

Wyjaśniłem ogólnie sprawę z nadzieją, że powie coś, co byłoby dla mnie interesujące.

- Ashley? - zapytała. - Owszem, pamiętam ją. Kilka lat temu, prawda? Bardzo dziwny przypadek.

- Jak to?

- Doskonale stopnie na pierwszych latach, prawdziwa artystyczna żyłka, miała doskonałą pracę na pół etatu w muzeum, a potem jakby wszystko się rozpadło i to w bardzo dramatyczny sposób. Podejrzewałam, że chodziło o jakieś problemy z chłopakiem, zazwyczaj dlatego obiecujące młode kobiety wpadają w zawirowania. Większość takich przypadków rozwiązuje się za pomocą pokaźnej ilości chusteczek do ocierania łez i paru kubków gorącej herbaty. Jednak na temat Ashley było sporo gadania, głównie plotek na całym wydziale o tym, jak ją wywalono z pracy i dlaczego zrezygnowała ze studiów. Ale niechętnie o tym mówię bez jej zgody. Na piśmie. Może przypadkiem ma pan taki dokument z sobą?

- Nie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Niewiele zatem będę mogła panu powiedzieć.
  - Oczywiście. - Wstałem. - Niemniej dziękuję, że poświęciła mi pani czas.
  - Chwileczkę - powiedziała dziekan. - Może pan mi powie, co się z nią stało? Kompletnie zniknęła nam z oczu.
- Zawahałem się, nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć na jej pytanie. Ta przerwa sprawiła, że dziekan popatrzyła na mnie z niepokojem.
- Czy coś jej się stało? - zapytała i nagle pogodny nastrój prysnął. - Byłoby mi bardzo przykro.
  - Tak, chyba można powiedzieć, że coś jej się stało.

### 37. Pouczająca rozmowa

Scott powoli wysiadł z samochodu, patrzył uważnie na człowieka, który był ojcem Michaela, a teraz wymachiwał groźnie trzonkiem siekiery. Odsunął się poza zasięg narzędzia i głęboko odetchnął zaskoczony swoim spokojem.

- Chyba nie chce mi pan tym grozić, panie O'Connell.

Stary drgnął i warknął:

- Chodzisz pan po sąsiadach i wypytujesz o mnie. Odłóż to, jak mi pan powiesz, ktoś pan jest.

Scott utkwił w nim wzrok. Zmrużył oczy i milczał. Miał pokerowy wyraz twarzy. Wreszcie stary nie wytrzymał:

- Czekam na odpowiedź.

- Wiem. Tylko zastanawiam się, jaką odpowiedź chciałby pan usłyszeć.

To zbiło ojca O'Connella z pantofelku. Odsunął się, potem znów zrobił krok naprzód, uniósł trzonek i powtórzył:

- Ktoś pan za jeden?

Scott nadal patrzył. Obrzucił O'Connella wzrokiem od stóp do głów, jakby nie widział styliska od siekiery wymierzonego w jego głowę. Piwny brzuch mężczyzny zwisał nad jego poplamionymi dżinsami, a grube, umięśnione ramię pyszniło się zawiłymi tatuażami. Miał na sobie tylko czarny T-shirt ze znakiem harleya davidsona, jakby październikowy chłód na niego nie działał. Ciemne włosy, przyprószone siwizną, były obcięte krótko przy skórze. Na przedramieniu widniał tatuaż przedstawiający imię Lucy, prawdopodobnie wszystko, co poza synem i domem

pozostało po jego małżeństwie. Scott pomyślał, że stary pewnie pił, chociaż jego słowa nie były belkotliwe, a krok nie był chwiejny. Wypił prawdopodobnie tyle, żeby pozbyć się oporów i przyćmić sobie umysł, co napawało Scotta pewną nadzieją. Założył ramiona na piersi i pokręcił głową, co miało podkreślić, że panuje nad sytuacją.

- Mogę panu sprawić więcej problemów, niż się panu wydaje. I myślę o tych najgorszych problemach, panie O'Connell. Takich, które boją. Ale mogę też panu pomóc. Może pan trochę zarobić. To jak ma być?

Stylisko siekiery opadło trochę.

- Mów pan.

Scott pokręcił głową. Szedł za ciosem.

- Nie negocjuję na ulicy, panie O'Connell. A człowiek, którego reprezentuję, z pewnością nie chciałby, żebym rozgłaszał jego sprawy po całej okolicy, żeby każdy mógł się dowiedzieć.

- O czym pan, do diabła, mówisz?

- Wejdźmy do pana i wtedy sobie trochę pogadamy. Jeśli nie, to wsiądę do samochodu i tyle mnie pan będzie widział. Ale może wtedy odwiedzi pana ktoś inny. I ten ktoś, a nawet paru ktosiów, zapewniam pana, nie będzie równie rozsądny jak ja. Oni negocjują w zupełnie inny sposób.

Scott pomyślał, że O'Connell prawdopodobnie kawał życia spędził na rzucaniu lub wysłuchiowaniu gróźb i zrozumie taki język.

- Mówiłeś pan, że jak się nazywałeś? - zapytał O'Connell.

- Nie mówiłem. I nie mam zamiaru mówić.

O'Connell zawahał się, stylisko siekiery opadło jeszcze niżej.

- O co chodzi? - zapytał. Ale w jego tonie pojawiło się zainteresowanie.

- O dług. Ale teraz więcej nic nie powiem. To może być dla pana korzystne. Zarobi pan trochę. Albo nie. Pańska sprawa.

- Dlaczego niby masz mi pan coś płacić?

- Bo zawsze lepsza jest zapłata niż jej alternatywa. - Scott chciał, żeby O'Connell senior zaczął się zastanawiać, co kryje się pod słowem alternatywa.

I znów O'Connell się powstrzymał, a stylisko zatrzymało się przy jego nodze.

- W porządku, nie kupuję tych bzdur. Na razie. Ale możesz pan wejść. Powiesz pan, o co chodzi. Założysz pan gadkę.

Za drogą gruntową jest miejsce, gdzie las biegnie równolegle do rzeki Westfield, dalej ciągnie się wąwóz Chesterfield, a tam brzegi strumienia są osłonięte wysokimi na prawie dwa metry płytami szarej skały wyrzeźbionej przez jakieś pradawne przesunięcie sejsmiczne. W chłodniejsze miesiące lubią tu przychodzić myśliwi, a w cieplejsze wędkarze.

W najgorętsze dni lata Ashley i jej przyjaciele zwykli chodzić ukradkiem nad rzeczkę i kąpać się nago w chłodnej wodzie.

- Myślę, że powinnaś użyć obu rąk - doradziła Catherine. - Trzymaj go w prawej, chwyć lewą, wyceluj i wtedy pociągnij za spust.

Ashley stanęła w lekkim rozkroku, objęła lewą dłonią prawą rękę i napięła mięśnie, dotykając spustu palcem wskazującym.

- Zaczynamy - powiedziała cicho.

Nacisnęła spust i rewolwer podskoczył jej w dłoni. Strzał zahuczał w lesie, a z dębu, który stanowił cel, odleciały kawałki kory.

- Jejku. Czuję drżenie aż w przedramionach.

Catherine skinęła głową.

- Myślę, kochanie, że powinnaś nacisnąć spust pięć albo sześć razy, trzymając broń w jednej pozycji, żeby trafienia skupiły się w jednym miejscu. Potrafiłabyś?

- Mam wrażenie, że chce mi się wyrwać z ręki. Szarpie się na wszystkie strony. Jakby ożył.

- Chyba mogłabyś powiedzieć, że ma własną osobowość.

Ashley skinęła głową, a Catherine dodała:

- I to niezbyt przyjemną.

- Pozwól, że jeszcze raz spróbuję.

Znów przyjęła pozycję strzelecką i tym razem mocniej zacisnęła lewą rękę, żeby nabrać stabilności.

- Zaczynamy.

Wystrzeliła pozostałych pięć nabojów. Trzy trafiły w drzewo w odległości pół metra, metra od siebie. Dwa poleciały w las. Słyszała, jak świszczą, odlatując w dal, jak łamią gałązki i strącają parę jeszcze nieopadłych liści. Odgłos strzałów odbijał się echem od bezlistnych drzew i wypełniał, uszy obu kobiet. Powoli, ze świstem wypuściła z płuc powietrze.

- Nie zamykaj oczu - odpowiedziała Catherine.

- Chyba powinnam spróbować jeszcze raz.

Ashley otworzyła z trzaśnięciem magazynek i wyrzuciła łuski na pokrytą sosnowymi igłami ziemię. Powoli wyjęła sześć nabojów i załadowała je.

- Mam zamiar użyć tego tylko raz.

- Tak. Masz rację. I tylko wtedy, kiedy będziesz musiała.

- Zgadza się. - Ashley odwróciła się i znów wymierzyła w pień. - Tylko kiedy naprawdę będę musiała.

- Jeśli nie będziesz miała wyboru.

- Jeśli nie będę miała wyboru.

Scott szedł powoli po częściowo podsypianym żwirem, nieutwardzonym podjeździe, do domu O'Connella stojącego jakieś trzydzieści metrów od cichej uliczki. Był to parterowy, biały budynek z pociętą anteną telewizyjną zwisającą z dachu jak złamane skrzydło ptaka. Obok sterczał nowszy, szary talerz anteny satelitarnej. Na podwórku stała czerwona toyota bez jednych drzwi. Oś miała opartą o betonowy klocek. Wielkie plamy brązowej rdzy szpeciły powierzchnię blachy. Stał tam także nowszy czarny pikap, zaparkowany przy bocznych drzwiach, częściowo schowany pod zadaszeniem z kawałka falistego plastiku. Zadanie pełniło rolę garażu, ale zajęte już był częściowo przez poobijaną czerwoną dmuchawę do śniegu i skuter śnieżny, któremu brakowało gąsienicy. Idąc obok pikapa, Scott zanotował w pamięci aluminiową drabinę, drewnianą skrzynkę na narzędzia i trochę materiałów do naprawy dachu rzuconych niedbale na ziemię. O'Connell prowadził go do bocznego wejścia, ale Scott patrzył na drzwi frontowe. Wątpił, żeby były często używane.

Prawdopodobnie jest tu tylne wejście, pomyślał. Trzeba sprawdzić.

- Tędy. Nie zwracaj pan uwagi na bałagan. Nie spodziewałem się wizyty - powiedział szorstko ojciec O'Connella.

Weszli do małej kuchni przez aluminiową osłonę drzwi, potem przez drugie drzwi z solidnego drewna. Słowo bałagan wiernie oddawało rzeczywistość. Pudełka po pizzy. Obiady do mikrofalówki. Trzy skrzynki jasnego piwa w srebrnych opakowaniach. Butelka johnnie walkera z czarną kartką na stole, w towarzystwie szeregu puszek.

- Chodźmy do salonu. Tam możemy usiąść. Panie... okay, panie, jak panu tam. Jak mam na pana mówić?

- Może być Smith - powiedział Scott. - A jeśli sprawiałoby to panu kłopot, Jones będzie równie dobrze.

Ojciec O'Connella parsknął śmiechem.

- Okay, panie Smith albo panie Jones. Skoro już pana zaprosiłem, dłaczego nie siądziesz pan, o tam. Ja będę mieć na pana oko, a pan wytłumaczy się szybko i ślicznie, żebym nie pomyślał, że mój przyjaciel, stylisko od siekiery, lepiej się z panem załatwi. I szybko przejdź pan do tego, jak mogę zarobić trochę pieniędzy. Piwa?

Scott wszedł do małego saloniku. Stała tam wyliniała kanapa, leżanka, a obok niej wielkie czerwono-białe pudło, które służyło za stół. Naprzeciwko stał wielki telewizor. Gazety i pisma pornograficzne zaśmiecały podłogę wraz ze stosami reklam ze sklepów spożywczych i różnych katalogów myśliwskich. Na ścianie wisiała wypchana głowa jelenia i gapiła się martwymi szklanymi oczami. Z poroża zwisał T-shirt. Scott



próbował sobie wyobrazić ten dom, kiedy O'Connell dorastał, i zobaczył w tych szczątkach potencjał, który mógł zapewnić normalność. Usunąć śmieci i graty z podwórza. Wynieść ze środka rupiecie, naprawić kanapę. Wstawić nowe krzesła. Powiesić parę plakatów na ścianach, pomalować wszystko i mieszkanie byłoby prawie do przyjęcia. Stosy śmieci rozrzucone tu i ówdzie mówiły mu wiele o ojcu, ale nic o synu. Ojciec O'Connella zastąpił zmarłą żonę i nieobecnego syna ogromnym bałaganem.

Scott usiadł na trzeszczącym krześle, które wyglądało, jakby miało się rozlecieć, i zwrócił się do O'Connella:

- Zadawałem pytania, bo pański syn ma coś, co należy do osoby, którą reprezentuję. Mój klient chciałby, żeby to do niego wróciło.

- Więc jesteś pan prawnikiem?

Scott wzruszył ramionami.

O'Connell ułożył się na leżance, ale stylisko położył na podolku.

- Kto to też może być, ten pański szef?

Scott pokręcił głową.

- Nazwiska są naprawdę nieistotne w tej sprawie.

- Niech będzie, panie Smith. Więc powiedz mi pan, jak on zarabia pieniądze.

- Mój klient zarabia ogromne pieniądze.

- Legalnie czy nielegalnie?

- Nie jestem pewien, czy pan naprawdę chciał zadać to pytanie, panie O'Connell. I tak bym skłamał, gdybym musiał odpowiedzieć. - Scott słuchał swoich słów zaskoczony łatwością, z jaką udawało mu się zwozić starego O'Connella. Chciwość jest potężnym narkotykiem.

O'Connell też się uśmiechnął.

- Więc chcesz pan się skontaktować z moim niesfornym synalkiem, hę? Nie możesz go pan znaleźć w mieście?

- Nie. Jakby wyparował.

- I przyszedłeś pan tutaj powęszyć?

- To tylko jedna z wielu możliwości.

- Mojemu dzieciakowi nie podoba się tutaj.

Scott uniósł dłoń, przerywając ojcu Michaela.

- Pomińmy oczywistości - powiedział chłodno. - Może pan nam po moc w odnalezieniu syna?

- Ile?

- Ile może pan pomóc?

- Nie wiem. Niewiele rozmawiamy.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Parę lat temu. Niezbyt nam się układa.

- A w święta?

O'Connell pokręcił głową.

- Powiedziałem już, niezbyt nam się układa. Co wziął?

- Panie O'Connell, tego rodzaju informacje mogłyby sprawić, że znalazłby się pan w sytuacji, że tak powiem, niepewnej. Rozumie mnie pan?

- Nie jestem głupi. Oczywiście. A jak niepewnej, panie Jones?

- Spekulacje są bezużyteczne.

- W jakie wpadł tarapaty, do cholery? Takie, że zbijają? Czy takie, że zabijają?

Scott zaczerpnął tchu. Zastanawiał się, jak daleko posunąć się w konfabulowaniu.

- Powiedzmy, że może naprawić szkodę, jaką wyrządził. Ale to będzie wymagać współdziałania. To drażliwa kwestia, panie O'Connell. A zwłoka sprawa, że trudności mogą być jeszcze większe. - Czuł w środku lodowaty chłód.

- Co, narkotyki? Ukradł komuś narkotyki? Albo pieniądze?

- Panie O'Connell, pozwoli pan, że wyłożę to w następujący sposób. Jeśli pański syn skontaktuje się z panem, a pan powie nam o tym, będzie nagroda.

- Ile?

- Już pan o to pytał. - Scott wstał z krzesła, rozejrzał się i zobaczył korytarzyk wiodący do położonej z tyłu sypialni. Pomyślał, że jest tu za mało miejsca na jakiegokolwiek manewry. - Powiedzmy, że będzie to miły prezent na Boże Narodzenie.

- Więc kiedy znajduję dzieciaka, jak się z wami skontaktuję? Masz pan jakiś telefon?

Scott odpowiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Panie O'Connell, naprawdę nie lubię telefonów. Zostawiają ślady, które można namierzyć. - Pokazał ręką komputer. - Potrafi pan wysłać e-maila?

O'Connell gwałtownie wypuścił powietrze.

- Oczywiście. Kto nie umie? Ale muszę mieć obietnicę, panie Jones albo kurwa Smith, że nie zabijecie za to mojego dzieciaka.

- Okay - skłamał gładko Scott. - Nietrudno złożyć taką obietnicę. Skontaktuje się pan z dzieckiem, wyśle pan e-maila na ten adres. - Podszedł do stołu, znalazł niezapłacony rachunek telefoniczny i ogryzek ołówka. Zapisał na nim fikcyjny adres mailowy i wręczył papier O'Connellowi. - Niech pan tego nie zgubi. A pod jakim numerem telefonu mogę pana złapać?

Ojciec O'Connella wyrzucił z siebie numer, przyglądając się adresowi poczty elektronicznej.

- W porządku - powiedział. - Coś jeszcze?  
- Nie zobaczymy się już. Gdyby ktoś pana pytał, to myślę, że będzie pan miał dość zdrowego rozsądku, żeby powiedzieć, że tego spotkania nie było. A gdyby tym kimś był pański syn, ta uwaga liczy się podwójnie. Czy się rozumiemy?

Ojciec O'Connella po raz drugi zerknął na adres e-mailowy, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Dla mnie okay.
- Dobrze. Niech pan nie wstaje. Sam trafię do drzwi.

Scottowi mocno biło serce, kiedy wychodził. Wiedział, że gdzieś za nim jest nie tylko stylisko siekiery, ale też rewolwer, o którym powiedział mu sąsiedzi, i prawdopodobnie karabin o wielkim kalibrze; podpowiedział mu to jeleń o szklanych oczach wiszący na ścianie. Musiał mieć nadzieję, że ojcu O'Connella nie starczyło rozsądku, żeby spisać numer rejestracyjny jego samochodu, chociaż było wątpliwe, żeby nie rozpoznał rzucającego się w oczy starego porsche, gdyby zobaczył go po raz drugi. Opuszczając ten dom, Scott chciał zapamiętać wszystkie szczegóły, przede wszystkim ustawienie mebli; przecież mógł tu jeszcze wrócić. Na koniec przyjrzał się marnym zamkom w drzwiach i wyszedł. Chciwość to straszna rzecz. Okrucieństwo człowieka, który był gotów sprzedać własne dziecko, przekraczało emocjonalną wytrzymałość Scotta. O mało nie zwymiotował. Ale starczyło mu sił, żeby wyrzeć na tył domu, gdzie rzeczywiście znajdowały się dodatkowe drzwi. Potem odwrócił się i poszedł podjazdem na ulicę. Widział szare chmury płynące z wiatrem na horyzoncie.

Michael O'Connell pomyślał, że już za długo był spokojny i nieobecny.

Musiał przekonać Ashley, że nikt - poza nim - nie jest w stanie jej ochronić. A przedtem udowodnić, że wszyscy, którzy ją otaczają, są narażeni na atak. I że na nic zda się kokon, którym omotali ją rodzice. Myślał też o Catherine i miał wtedy w ustach smak żółci. Była stara, była krucha, była samotna, a on miał sposobność, żeby ją usunąć, ale nie udało mu się, mimo że znajdowała się w zasięgu jego ręki. Postanowił, że drugi raz nie popełni tego błędu.

Siedział przed komputerem, bezmyślnie bawiąc się kursorem, nieświadom ciszy, która go otaczała. Urządzenie było nowe. Po tym, jak Matthew Murphy rozbił jego stary laptop, prawie natychmiast wyszedł z domu i kupił nowy. Wreszcie wyłączył komputer kilkoma przyciśnięciami klawiszy i się odwrócił.

Poczuł nieprzepartą chęć zrobienia czegoś nieprzewidywalnego, czegoś, co przyciągnęłoby uwagę Ashley, czego nie mogłaby zignorować i co powiedziałoby jej, że nigdy nie zdoła od niego uciec.

Wstał, przeciągnął się, unosząc ramiona nad głowę i wyginając plecy. Nieświadomie naśladował koty z korytarza. Poczul przypływ pewności siebie. Nadszedł czas, żeby znowu odwiedzić Ashley; przypomnieć im wszystkim, że on nadal tu jest. I czeka. Wziął płaszcz i kluczyki do samochodu. Rodzina Ashley nie była świadoma, jak blisko jest od miłości do śmierci. A potem pomyślał, że tak naprawdę jest romantykiem. Ale miłość nie zawsze okazuje się różami, diamentami albo słodkimi kartkami pocztowymi. Już czas, żeby się dowiedzieli, jak bardzo jest jej oddany. W jego głowie wrzało od pomysłów.

Kiedy Scott wrócił do domu, dzwonił telefon.

- Scott? - to była Sally.
- Tak - odparł.
- Jesteś zdyszany.
- Usłyszałem, jak telefon dzwoni. Byłem na zewnątrz, więc musiałem biec. Wszystko w porządku?
- Tak. Tak jakby.
- To znaczy?
- Hm, nic ważnego się nie stało. Ashley i Catherine wyjechały, ale nie powiedziały dokąd. Byłam w biurze i próbowałam znaleźć dla nas jakieś wyjście, ale bez szczególnego powodzenia, a Hope prawie się nie odezwała, odkąd wróciła z Bostonu. Wykrztusiła tylko, że wszyscy musimy porozmawiać. Możesz zaraz przyjść?
- Powiedziała o co chodzi?
- Już ci mówiłam, że nie. Czy ty mnie słuchasz? Ma to związek z tym, co znalazła w Bostonie, kiedy obserwowała O'Connella. Nigdy nie widziałam, żeby była taka ponura. Siedzi w drugim pokoju, patrzy w przestrzeń i powtarza, że musimy natychmiast porozmawiać.

Scott zastanawiał się przez chwilę, co mogło sprawić, że Hope stała się tak małowówna. To zupełnie nie leżało w jej stylu. Starał się nie reagować na rozpaczliwe nuty w głosie Sally. Pomyślał, że jego była żona nerwy ma napięte jak postronki. Przypomniało mu to ostatnie miesiące, które spędzili razem, zanim dowiedział się o jej romansie z Hope.

- W porządku. Ja też dowiedziałem się sporo o O'Connellu. Nic dobrego i... - znów przerwał. Po raz pierwszy od powrotu z wyprawy, w jego wyobraźni zaczął kielkować pewien pomysł. - Może uda nam się go wykorzystać. .. Słuchaj, zaraz będę. Jak się miewa Ashley?

- Zamknęła się w sobie. Żyje własnym życiem. Pewnie jakiś psycholog z bożej łaski powiedziałby, że to początek depresji. Ten chłopak w jej życiu jest jak poważna choroba. Jak rak.

- Nie powinnaś tego mówić.
- Nie powinnam być realistką? Może powinnam być optymistką?

Scott urwał. Sally miała prawo być twarda i mogła mieć, po wariacku, rację. Ale teraz, kiedy ich córka znalazła się w takiej sytuacji, przerażało go to. Nie był pewien, kto ma rację. On sądząc, że wyjdą z tego, czy Sally, która twierdzi, że są w opałach i będzie jeszcze gorzej. Chciało mu się krzyczeć.

Ale tylko zgrzytnął zębami i powtórzył:

- Zaraz przyjadę. Powiedz Ashley...

Znów zamilkł. Słyszał, jak Sally ciężko oddycha.

- Co jej powiedzić? Że wszystko będzie dobrze? - zapytała z goryczą. - Jeszcze jedno, Scott - dodała po krótkim wahaniu. - Postaraj się przynieść jakiś pomysł. Albo pizzę.

- Nadal są niechętni - powiedziała.

- Rozumiem - odparłem, chociaż nie byłem pewien, czy rzeczywiście rozumiem. - Niemniej muszę porozmawiać chociaż z jednym z nich. Inaczej opowieść nie będzie kompletna.

- Hm... - Najwyraźniej starannie dobierała słowa. - Jedno z nich jest chętne, a prawdę mówiąc, nawet niecierpliwie czeka na tę rozmowę.

- To nie ma sensu. Jedno z nich chce rozmawiać, ale o czym? Inni odmawiają i myślą, że ochronią siebie? A może pani ich wszystkich osłania?

- Nie są pewni, czy w pełni rozumie pan ich sytuację.

- Niechże pani nie żartuje. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, mam to już za sobą. Wiem, że byli w rozterce. To, co zrobili, żeby z tego wybrnąć, jest usprawiedliwione...

- Naprawdę? Tak pan myśli? Cel uświęca środki?

- Czy ja to powiedziałem?

- Tak.

- Hm, chodziło mi o to, że...

Podniosła dłoń, przerywając mi, i wstała, żeby popatrzeć przez podwórce za drzewa, na ulicę. Westchnęła.

- Znaleźli się na rozstajnych drogach. Musieli dokonać wyboru. Tak jak wiele wyborów i ten miał głębokie konsekwencje. To właśnie musi pan zrozumieć.

- Jaki to był wybór?

- Dobre pytanie - roześmiała się głośno. - Niech pan znajdzie na nie odpowiedź.

## 38. Rozmiar zła

Scott szedł chodnikiem do domu byłej żony pełen wątpliwości i nie najlepszych przeczuc. Kiedy dotarł do wejścia, uniósł rękę, żeby nacisnąć dzwonek, ale się zawahał. Odwrócił się na moment i spojrzął w ciemność ogarniającą ulicę. Był teraz znacznie bliżej Michaela O'Connella, chociaż nadal go nie znalazł. Zastanawiał się, czy oni też zostali tak dokładnie zbadani. Nie wiedział, czy uda się im posunąć dalej, dotrzeć do końca. Wątpił w to. Wiedział, że gdzieś na tej ulicy, właśnie w tej chwili, stoi ukryty w ciemności O'Connell i obserwuje go. Scott poczuł przypływ wściekłości; chciało mu się krzyczeć w niebogłosy. Wydało mu się, że wszystko, co odkrył podczas swojej podróży i co wydawało mu się takie nieprzewidywalne, było w istocie oczywiste, możliwe i całkowicie logiczne. Nie mógł się otrząsnąć z wrażenia - choć było to niemożliwe - że O'Connell dowiedział się o wszystkim, co Scott zrobił.

Wydał krótki jęk, poczuł, że się poci. Gwałtownie odstąpił od drzwi. Był zły, chciał konfrontacji z człowiekiem, który, jak sądził, obserwował go. Ale się zatrzymał.

Drzwi się otworzyły. To była Sally.

Patrzyła przez chwilę w ciemność, idąc za wzrokiem Scotta. Natychmiast zrozumiała, czego szuka.

- Myślisz, że gdzieś tam jest? - Jej głos był rzeczowy i twardy.
- Tak. I nie.
- Hm, to znaczy?
- Myślę, że albo tutaj jest i obserwuje każdy nasz ruch, albo go tu nie ma. Ale dla nas to bez różnicy. I tak jesteśmy przegrani.

Sally położyła mu rękę na ramieniu. Ta drobna czułość sprawiła, że poczuła się obco, bo zdała sobie sprawę, że od lat nie dotykała człowieka, który kiedyś dzielił z nią łóżko.

- Wejdz - powiedziała. - W środku jesteśmy tak samo przegrani, ale jest cieplej.

Hope piła piwo, trzymała zimną butelkę przy czole, jakby miała gorączkę. Ashley i Catherine zostały odesłane do kuchni. Miały przygotować coś do jedzenia - a przynajmniej tak im powiedziała Sally, chociaż było jasne, że chodzi o pozbycie się ich z pokoju, w którym miała się odbyć narada. Scott wyczuwał napięcie, jakby myśli, które ogarnęły go na schodach, przywlokły się tu razem z nim. Ale Sally postępowała w sposób zorganizowany. Odwróciła się do Scotta i pokazała na Hope.

- Odkąd wróciła, prawie nic nie powiedziała. Ale sądzę, że coś odkryła.

Zanim Scott zdołał coś powiedzieć, Hope z impetem postawiła butelkę na stole.

- Jest chyba gorzej, niż sobie wyobrażaliśmy - powiedziała, przerywając milczenie.

- Gorzej? Jak, do diabła, może być jeszcze gorzej? - zapytała Sally.

Hope nagle przypomniała sobie uśmiechniętą maskę śmierci zamarniętego kota.

- On jest chorym, mocno zбочonym facetem. Lubi torturować i zabijać małe zwierzęta.

- Skąd wiesz?

- Widziałam.

- Jezu Chryste! - krzyknął głośno Scott.

- Sadysta? - zapytała Sally.

- Na to wygląda. Ale to tylko część jego osobowości. Jeszcze jedno. - Głos Hope był twardy jak granit. - On ma broń.

- Też ją widziałas? - zapytał Scott.

- Tak. Wszłam do jego mieszkania, kiedy go nie było

- Jak?

- Co za różnica? Zaprzyjaźniłam się z jego sąsiadką. Przypadkiem miała klucz. To, co zobaczyłam, przekonało mnie, że sprawy idą ku gorszemu. Nie ku lepszemu. To naprawdę zły człowiek. Czy wystarczająco zły, żeby zabić Ashley? Nie widziałam niczego, co mogłoby temu przeczyć. Ma zakodowane pliki na jej temat. Jeden nosi tytuł „Ashley miłość”, a drugi „Ashley nienawiść”. To chyba mówi wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć. Ale jest jeszcze gorzej. Ma też coś na nas. Nie wiem co. Słowo „obsesja” chyba nie wystarczy, żeby opisać to, z czym mamy się zmierzyć. A tak mi powiedziałaś. On jest chory. Pełen determinacji. Ogarnięty manią. Czy będziemy w stanie ukryć się przed tym? Czy ktośkolwiek byłby w stanie się ukryć?

- Co ty mówisz, Hope? - zapytała Sally.

- Mówię, że to, co zobaczyłam, przepowiada nieuchronną tragedię. I wiesz, o co mi chodzi. - Hope z trudnością wyrzucała z pamięci obrazy z mieszkania O'Connella. Zamarznęte martwe koty, pistolet w bucie, nagie, klasztorne ściany, brudne, zaniedbane pomieszczenie. W życiu O'Connella jest tylko jeden cel: Ashley.

Dlaczego tak trudno im w to uwierzyć?

Tymczasem Sally zwróciła się do Scotta.

- A jak twoja podróż? Dowiedziałeś się czegoś?

- Mnóstwa rzeczy. Ale niczego, co przeczyłoby słowom Hope. Widziałem miejsce, w którym dorastał. I rozmawiałem z jego ojcem. Trudno

by znaleźć podlejszego, ohydniejszego, bardziej zdeprawowanego sukina syna.

Wszyscy umilkli. Wiedzieli, że nic już nie trzeba dodawać, by uzupełnić obraz sytuacji.

Sally przerwała ciszę.

- Musimy...

Im więcej padało słów, tym większy chłód czuła w sobie. Miała wrażenie, że gdyby podłączyć jej serce do monitora, pokazałaby się płaska linia.

- Czy on jest zabójcą? - zapytała nagle. - Czy mamy pewność?

- A kto to jest zabójca? To znaczy, jak go bezbłędnie rozpoznać? - powiedział Scott. - Wszystko, czego się dowiedziałem, mówi mi, że odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Ale dopóki nie zrobi czegoś oczywistego...

- Mógł zabić Murphy'ego.

- Mógł też zabić Jimmy'ego Hoffę i Kennedy'ego. Tyle wiemy - odpowiedział ze złością Scott. - Musimy skoncentrować się na tym, co wiemy na pewno.

- Hm, właśnie, tej pewności nie mamy zbyt wiele - odparła Sally. - Tak naprawdę to w ogóle jej nie mamy. Nie wiemy nic poza tym, że jest złym człowiekiem i gdzieś tutaj krąży. I że może, ale nie musi, skrzywdzić Ashley. Że może, ale nie musi prześladować ją przez całe życie. Może, ale nie musi zrobić, co mu się, cholera, spodoba.

Znów zapadła cisza. Hope pomyślała, że utknęli w jakimś labiryncie i bez względu na to, jaką drogę wybiorą, i tak nie znajdą wyjścia.

Wreszcie Sally odezwała się szeptem:

- Ktoś musi umrzeć.

Te słowa jeszcze bardziej zmroziły atmosferę.

Pierwszy odezwał się Scott; głos miał ochryply, jakby bolało go gardło. Popatrzył na Sally.

- Plan polegał na tym, żeby znaleźć jakieś przestępstwo i przypisać je O'Connellowi. Tego od ciebie oczekiwaliśmy.

- Jedyne sposob, żeby mieć pewność, niech to diabli, nie lubię tego słowa, to albo sprokurować coś skomplikowanego, na co może nam nie starczyć czasu, albo kazać Ashley skłamać. To znaczy, możemy ją pobić i potem twierdzić, że zrobił to O'Connell. Uznano by to za napaść i pewnie dłuższy czas spędziłby w więzieniu. Oczywiście jedno z nas musiałoby narobić jej sińców, wybić zęby i połamać żebra, żeby wyglądało to na poważne przestępstwo. Jak ci się podoba taki scenariusz? A jeśli miałyby to spalić na panewce, bo jakiś detektyw zaczęłyby zadawać pytania...

- W porządku, ale co...



- Zawsze pozostaje nam wyjście awaryjne: pójść do władz i wydostać od nich zakaz zbliżania się. Czy ktoś z was sądzi, że ochroniłby ją taki kawałek papieru?

- Nie, do diabła - wymamrotał Scott. Sally spojrzała na Scotta.

- Ten człowiek, z którym się spotkałeś... ojciec...

- Drań. Zło w czystej postaci. Sally pokiwała głową.

- A jego relacje z synem?

- Nienawidzi swojego dziecka. Dziecko nienawidzi jego. Od lat się nie widzieli.

- Co wiesz na temat tej nienawiści?

- Nadużywał siły zarówno wobec swojej żony, jak i wobec syna. To taki typek, który najpierw pije, a potem posługuje się pięściami. Nikt w sąsiedztwie go nie lubi.

Sally zaczerpnęła powietrza. Chciała tchnąć nieco racjonalizmu w słowa, które mogły zabrzmieć paranoicznie.

- Czy powiedziałbyś - rzekła ostrożnie - że ten człowiek stał się przyczyną tego, kim jest dzisiaj Michael O'Connell?

Scott pokiwał głową.

- Oczywiście. Myślę, że rozpoznałby to nawet najgłębszy freudysta.

- Przemoc rodzi przemoc - powiedziała Sally. - Zatem Ashley jest zagrożona, bo ten człowiek wytworzył w swoim dziecku obsesyjną potrzebę bycia kochanym, posiadania kogoś po to, by tego kogoś zniszczyć... albo zniszczyć siebie...

- Takie odniosłem wrażenie - słowa Scotta nabierały rozpędu. - Jest coś jeszcze. Matka też nie była niewinna jak lilijka, zginęła w podejrzanych okolicznościach. To stary O'Connell mógł ją zabić, ale nie można go było oskarżyć.

- Więc nie tylko wychował zabójcę, ale i sam prawdopodobnie nim jest? - zapytała Sally.

- Chyba tak można powiedzieć.

- Jeśli przyjrzy się temu z pewnego dystansu - kontynuowała Sally, ważąc rozpaczliwie słowa - czy zgodziłbyś się, że niebezpieczeństwo, które grozi naszej córce ze strony Michaela O'Connella, zostało wpisane w jego duszę przez ojca?

- Tak.

- A więc - rzuciła - sprawa jest prosta.

- Jak to, prosta? - zapytała Hope.

Sally uśmiechnęła się cierpko.

- Zamiast zabijać Michaela O'Connella, zabijemy jego ojca. I znajdziemy sposób, żeby na syna zrzucić winę za morderstwo. W pokoju znów zapanowała cisza.

- To ma sens - szybko dodała Sally. - Syn nienawidzi ojca, a ojciec syna. Śmierć nie byłaby więc nieprawdopodobnym skutkiem ich spotkania, zgadza się?

Scott powoli pokiwał głową.

- Czy możemy zostać zabójcami? - zapytała Sally. - Czy możemy zabić kogoś, nawet z najsluszniejszych powodów, obudzić się następnego dnia i zacząć życie od nowa, jakby nic się nie stało?

Hope popatrzyła na Scotta. Pomyślała, że nie uzyska od niego jednoznacznej odpowiedzi.

Sally się nie patyczkowała.

- Morderstwo zmieni wszystko. Ale jego celem jest przywrócenie Ashley statusu, który miała, zanim spotkała Michaela O'Connella. Prawdopodobnie uda nam się to, jeśli wyłączymy ją z naszych działań. A to będzie trudne. Nasza trójka weźmie jednak udział w spisku. To nas zmieni, prawda? Zmieni nas dogłębnie. Już teraz, prowadząc tę rozmowę, robimy pierwszy krok. Do tej pory byliśmy dobrymi ludźmi, którzy próbowali uchronić córkę przed złem. Ale nagle stajemy się czarnymi charakterami. Bo bez względu na to, co Michael O'Connell mógłby zrobić, jesteście krok przed nim. Powoduje nim zło, które ma swoje korzenie w jego dzieciństwie. Prawdopodobnie nie należy go winić za to, że stał się tak podłym typem. Cokolwiek nam uczynił i cokolwiek mógłby uczynić Ashley, ma przynajmniej jakieś wytłumaczenie. Z drugiej strony, jeśli chodzi o nas, to musimy zachować zimną krew, być samolubni i nie spodziewać się niczego dobrego. Poza jednym.

Zarówno Hope, jak i Scott słuchali z natężoną uwagą przemowy Sally. Wierciła się w fotelu, jakby dręczyło ją każde wypowiedane słowo, aż wreszcie, niespodziewanie, zamilkła.

- Co to takiego? - zapytała ostrożnie Hope.

- Ashley będzie bezpieczna.

Znów zamilkła.

Sally zaczerpnęła tchu gwałtownymi haustami.

- Trzeba też zaakceptować pewien istotny szczegół - powiedziała niemal szeptem.

- Jaki szczegół? - zapytał Scott.

- Że nie ma od tego uciezki.

Zapadła noc. Siedzieliśmy na drewnianych krzesłach na kamiennym tarasie jej domu. Miałem mnóstwo pytań, bardzo chciałem porozmawiać z głównymi bohaterami, a przynajmniej jednym z nich, który mógłby opowiedzieć mi o chwili, kiedy z ofiar przemienili się w spiskowców. Irytowało mnie, że nie dała się zmusić do mówienia. Patrzyła tylko w wilgotny, letni mrok.

- Godne zastanowienia, prawda? Co człowiek może zrobić, kiedy go przytłoczą okoliczności - powiedziała.

- Hm - odpowiedziałem ostrożnie. - Jeśli kogoś przyprą do muru...  
Roześmiała się nieszczerze.

- To jest właśnie to - powiedziała nagle. - Myśleli, że przyparto ich do muru.

- Ich obawy były uzasadnione. Zagrożenie ze strony O'Connella było oczywiste, wzięli więc sprawy w swoje ręce.

- W pana ustach to brzmi tak przekonująco. Dlaczego nie odwróci pan sytuacji? - Jak?

- Hm, niech pan popatrzy na to z punktu widzenia organów ścigania. Ma pan młodego człowieka, który się zakochał i chodzi za dziewczyną swoich marzeń. To stara historia. Pan i ja wiemy, że to chodzenie jest jego obsesją, ale co mógłby właściwie udowodnić detektyw policyjny? Nie sądzi pan, że Michael O'Connell tak ukrył swoje wyprawy komputerowe w ich życie, żeby nie można było ich znaleźć? Niech pan spróbuje go przekupić. Niech pan spróbuje go zastraszyć. Niech go pan pobije. Jeśli byłby pan policjantem, który zajmuje się taką sprawą, kogo byłoby panu łatwiej oskarżyć? Myślę, że Sally, Hope i Scotta. Oni już skłamali. Nawet Ashley ominęła prawo, kiedy dostała rewolwer. A teraz spiskują, żeby dokonać morderstwa. Na niewinnym człowieku. Może nie był niewinny w psychologicznym albo moralnym sensie, niemniej... W dodatku chcieli, żeby im to uszło na sucho. Jak mogliby utrzymywać, że zachowali wysokie standardy moralne?

Nie odpowiedziałem na to pytanie.

Moja wyobraźnia działała na pełnych obrotach.

- Pamiętaj pan, kto im powiedział, że powiedzieć to jedno, a zrobić to drugie? Kto zwrócił im uwagę, jak trudno jest pociągnąć za spust?

- Tak. To był O'Connell.

Roześmiała się gorzko.

- Tak. Powiedział to najtwardszej z tych osób. Tej, która miała najmniej do stracenia, strzelając ze śrutówki w jego pierś, która wiedziała, że spora część życia jest już za nią i że oddając strzał, ryzykuje najmniej. W krytycznym momencie ta kobieta zawiodła, prawda? - Przerwała, patrzyła w ciemność. - Ale ktoś musiał się zdobyć na odwagę.

## 39. Początek zbrodni niedoskonałej

Sally odezwała się pierwsza.

- Musimy określić i podzielić obowiązki. Musimy ułożyć plan. A potem musimy się go trzymać. Z religijnym oddaniem.

Zaskakiwały ją jej własne słowa. Były tak wyrachowane, jakby wypowiadał je obcy człowiek. Nasza trójka nie nadaje się na morderców, pomyślała. Wątpiła, czy będą w stanie wykonać to, co właśnie zaproponowała.

Hope podniosła wzrok.

- Nie nadaję się do tego. Nigdy nie dostałam mandatu za przekroczenie szybkości. Prawie nie czytam powieści grozy i thrillerów. Kiedyś, jeszcze w college'u, przeczytałam na jednym roku *Zbrodnię i karę*, a na kolejnym *Z zimną krwią*.

Scott roześmiał się z lekkim zażenowaniem.

- Świetnie - stwierdziła. - W pierwszej poczucie winy doprowadza zabójcę nieomal do obłędu, aż w końcu wyznaje winę, a w drugiej, hm, czarne charaktery zostają złapane, bo są ciemniakami, i potem idą na szubienicę. Może nie powinniśmy korzystać z tych książek jako wzorców.

Pomyślał, że powinno to zabrzmieć dowcipnie, ale nikt nawet się nie uśmiechnął.

Sally machnęła ręką.

- Wiecie co, zapomnijcie - powiedziała protekcyjnie. - Nie jesteśmy zabójcami. Nie powinniśmy nawet o tym myśleć.

Scott przerwał krótkie milczenie.

- Innymi słowy, czekajmy, aż coś się stanie i miejmy nadzieję, że nie będzie to nieszczęście?

- Nie. Tak. Nie jestem pewna. - Sally nagle straciła pewność siebie. - Może powinniśmy bardziej zaufać prawu. Pewnie uzyskalibyśmy zakaz zbliżania się. Czasem to dobrze działa.

- To niczego nie ułatwia - odparł Scott. - Nadal żylibyśmy, szczególnie Ashley, w ciągłym strachu. Z każdym upływającym dniem czułyby się coraz bardziej niepewnie. Taki zakaz to tylko iluzja bezpieczeństwa.

Sally głęboko westchnęła.

- Scott, bardzo dobrze ci idzie znajdowanie argumentów, ale powiedz, pociągnąłbyś za spust, żeby kogoś zabić?

- Tak - wybełkotał.

- Łatwa, szybka odpowiedź. To rozpacz przez ciebie przemawia, a nie zdrowy rozsądek. A ty, Hope? Zabiłabyś obcego człowieka, żeby chronić Ashley? A może w decydującej chwili powiedziałabyś: „Co ja

robię, to nie moje dziecko”.

- Nie. Oczywiście, że nie - odparła Hope.

- I znów szybko nam idzie z odpowiadaniem na pytania. Scott poczuł, że wzbiera w nim irytacja.

- No, adwokacie diabła, a co z tobą? Zrobiłabyś to? Sally zmarszczyła brwi.

- Tak. Nie. Nie wiem. Scott rozparł się w fotelu.

- Pozwól, że o coś cię zapytam. Kiedy Ashley była mała i zachorowała, czy pamiętasz, jak się modliłaś, że lepiej, żebyś to była ty? Spraw, żebym zachorowała. Spraw, żeby wyzdrowiała.

Sally pokiwała głową.

- Myślę, że każda matka tak czuje.

- Oddałabyś życie za dziecko?

Sally poczuła, że emocje chwytają ją za gardło. Skinęła głową. Przełknęła z trudem, żeby odzyskać równowagę.

- Jestem w stanie to zrobić - powiedziała powoli. - Potrafię zaplanować przestępstwo. Wiem o tym sporo. I może mi się powiedzie, może nie. Jeśli nawet pójdziemy do więzienia, to przynajmniej najpierw spróbujemy ją obronić. A to już coś.

- Tak, ale to za mało. - Scott był trochę zaskoczony, że tak trudno mu się wysłowić. - Powiedz, co myślisz.

- Co uważamy za największą słabość O'Connella? - zapytała Sally.

- To musi mieć coś wspólnego z ojcem - stwierdził Scott.

- Konkretnie - rzekła Sally - chodzi o ich złe stosunki. Sądzę, że nad taką nienawiścią O'Connell nie będzie w stanie zapanować.

Scott i Hope zamilkli.

- To jest chyba jego słaby punkt. Jemu udało się znaleźć nasze słabe punkty. My też powinniśmy. Czy nie tego nas nauczył? Odkrył nasze największe słabości, a potem je wykorzystał. To samo zrobił z Ashley. Przewrócił wszystko do góry nogami, żeby uzyskać kontrolę. Zebraliśmy się tu, bo uważamy, że chce ją skrzywdzić. Może nawet zabić, jeśli jego frustracja wymknie się spod kontroli. Okazuje się zatem, że to, co chcemy mu zrobić, on już uczynił nam. Wprowadzimy zamęt, nie pozostawiając śladów.

Scott i Hope milczeli, ale to, co mówiła Sally, wydawało im się sensowne. Patrzyli na kobietę, którą jedno z nich kochało kiedyś, a drugie kochało nadal, i ledwie ją rozpoznawali.

- Musimy doprowadzić do spotkania ojca z synem. Muszą stanąć na przeciwko siebie. Jeśli podejmą walkę, łatwiej będzie przekonać detektywa o winie Michaela. A my musimy znaleźć sposób, żeby w to wejść. Po cichu. Nie zostawiając po sobie żadnych śladów, niezauważeni przez nikogo, poza człowiekiem, którego zabijemy.

Sally spoglądała przed siebie, potem skierowała wzrok na sufit, nie patrząc w oczy Hope ani Scottowi.

- Rozumiecie, to miałyby sens - zaczęła spekulować. - Nienawidzą się, nie ufają sobie. Ich kontakty naznaczone są przemocą. Nie zakończyli sporu, więc syn zabija ojca w przypiływie wściekłości.

- To prawda - przytaknął Scott. - Poczucie sprawiedliwości rodem z greckiej tragedii. Ale oni nie rozmawiali od lat. Jak my...

Sally uniosła dłoń. Przemówiła cichym głosem:

- Gdyby pomyślał, że Ashley jest u jego starego...

Scott wybuchnął.

- Masz zamiar użyć jej jako przynęty? To jest niemożliwe.

- A mamy inną przynętę? - zapytała chłodno Sally.

- Chyba ustaliliśmy, że Ashley ma być trzymana z dala od tego wszystkiego - wtrąciła się Hope.

Sally wzruszyła ramionami.

- Ashley może zadzwonić, nie wiedząc, po co dzwoni. Możemy jej dać scenariusz.

Hope pochyliła się do przodu.

- Zakładając... ale tylko zakładając, że uda nam się sprowadzić ich do jednego pokoju. A potem my się pojawimy... jak go zabijemy? - nagle przestraszyła się słów, które wypowiedziała.

Sally zamilkła.

- Brakuje nam sił... - Potem twarz jej znieruchomiała. - Powiedziałaś, że Michael O'Connell ma broń?

- Tak. Schowaną w mieszkaniu.

Sally pokiwała głową.

- Musimy użyć tej broni. Właśnie tej. Jego broni. Z jego odciskami palców, a może nawet śladami DNA.

- Jak się do niej dostaniemy? - zapytał Scott.

Hope sięgnęła do kieszeni dzinsów. Wyjęła klucz do mieszkania O'Connella.

Oboje patrzyli na nią. I chociaż ani Scott, ani Sally nie powiedzieli tego głośno, pomyśleli to samo: to jest wykonalne.

Scott i Hope poszli na kolację, którą upichciły Catherine z Ashley. Sally została sama. Pomyślała, że powinna czuć się okropnie, ale wcale tak nie było. Perspektywa morderstwa podniecała ją, dodawała jej energii.

Chciało jej się śmiać na myśl o ironii tej sytuacji. Zrobimy coś, co zmieni nas na zawsze, żebyśmy nie musieli zmienić się na zawsze. Usłyszała głos Hope dochodzący z kuchni i wyobraziła sobie, że jedyna droga

powrotna, wiedząca do czasu, kiedy się kochały, wiedzie przez Michaela O'Connella i jego ojca. Zadała sobie pytanie, czy śmierć może tworzyć życie? Z pewnością tak, odpowiedziała w duchu. Żołnierze, strażacy, ratownicy, policjanci - wszyscy oni wiedzą, że pewnego dnia mogą stanąć przed takim wyborem. Poświęcić się, żeby inni mogli przetrwać. A czy oni robią coś innego?

Sięgnęła po żółtą podkładkę do pisania i tani długopis.

Zaczęła spisywać pomysły na kawałku papieru. Wyliczać przedmioty, które mogły być im potrzebne, i szczegóły, którym nie oparliby się policyjni śledczy po przybyciu na miejsce zdarzenia. Po chwili zastanowienia stwierdziła, że samo pociągnięcie za spust jest mniej istotne niż późniejsze śledztwo. Pochyliła się nad notatkami jak zaniepokojony student, który podczas egzaminu nagle przypomina sobie właściwe odpowiedzi. Zaczęła analizować fakty, które miały doprowadzić do planowanej zbrodni.

Muszę wymyślić to zabójstwo, rzuciła w przestrzeń.

Podniosła rękę do twarzy. Mammy zamiar zrobić coś, co zawsze nas odstręczało, pomyślała. Powoli zacisnęła dłoń w pięść, a chociaż nie czuła napięcia mięśni, miała wrażenie, że chwyciła O'Connella za szyję i wycisnęła powietrze z jego tchawicy. Wyobraziła sobie, że byłaby w stanie udusić go, a potem o nim zapomnieć.

Było późno, stałem w drzwiach pełen wątpliwości. Ktoś opowiedział ci historię. Słowa wypowiadał szeptem. I nagle okazało się, że pytań jest więcej niż odpowiedzi. Musiała to wyczuć, bo powiedziała:

- Rozumie pan teraz, skąd się bierze ta niechęć do rozmowy z panem?

- Tak - rzekłem. - Oczywiście. Chcą uniknąć oskarżenia. A nie ma wybaczenia dla morderstwa.

Prychnęła.

- To oczywistość. To było jasne od początku. Niech pan spróbuje spojrzeć dalej.

- W porządku. Obawiają się pułapek, które mogą na nich czyhać. Gwałtownie odetchnęła, jakby się czegoś przestraszyła.

- A może łaskawie pan powie, jakie to pułapki?

Myslałem przez chwilę.

- Sally ma wykształcenie prawnicze i powinna mieć więcej szacunku dla prawa.

- Tak, tak - pokiwała głową. - Funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości. Widziała w prawie tylko wady, a nie jego potęgę. Proszę kontynuować.

- A Scott, cóż, jest profesorem historii. Bardziej niż pozostali powinien zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie jednostronne

podejście do tej sprawy. On przecież wie, na czym polega sprawiedliwość społeczna.

- Człowiek, który gardził przemocą, nagle wpadł w jej objęcia?

- Tak. Nawet kiedy był młody i poszedł do wojska, widział w tym raczej akt polityczny czy akt sumienia. Nie był napalonym patriotą. To sprawiało, że jeśli nie miał nazbyt czystych rąk, to przynajmniej nie nazbyt zbrukane. Ale Hope...

- Co z Hope? - zapytała nagle.

- Z nich wszystkich ona najmniej nadawała się na kryminalistkę. Była też najmniej zaangażowana.

- Naprawdę? Czy nie ryzykowała najbardziej? Kobieta, która kochała drugą kobietę, z wszelkimi konsekwencjami społecznymi, która, jak się okaże, zrezygnowała z posiadania własnej rodziny, i która traktowała Ashley jak własną córkę. Czy nie wiedziała, że mogła wybrać inne życie? A może jej zazdrościła? Albo kochała ją, czuła z nią jakąś niespotykaną więź, inną niż ta, którą łączy dziecko z rodzicami? A jako sportsmenka, czy nie ceniła ryzyka, szybkiego działania?

Poczułem się zbombardowany tą nagłą serią pytań.

- Tak - odparłem w końcu. - Rozumiem.

- Całe życie Hope polegało na podejmowaniu ryzyka i podążaniu za przecuciami. To właśnie sprawiało, że było takie piękne.

- Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Nie sądzi pan, że właśnie Hope, pod pewnym względem, była kluczem do całej sprawy?

Pokręciłem z lekka głową.

- Taki nie.

- Jak to?

- Kluczem była Ashley.

## 40. Bieg przez mrok

Ashley napała stopami na drewniane wezglowie łóżka; leżała z głową skierowaną w dół. Czuła, jak mięśnie nóg napinają się, aż zaczynają drżeć z wyczerpania. Tak robiła, kiedy była młodsza i nawiedzały ją bóle wzrostowe. Miała wtedy wrażenie, że kości nie mieszczą się w jej skórze. Sport, ostre bieganie popołudniami, pod okiem Hope, pomagały, ale przez wiele nocy rzucała się i wierciła w łóżku, czekając, aż jej ciało wyrośnie i stanie się tym, czym miało się stać.



Było wcześniej i w domu nadal słyhać było od czasu do czasu odgłosy snu. Catherine głośno chrapała w pokoju obok. Od strony Sally i Hope nie dochodziły żadne dźwięki, chociaż słyszała, jak rozmawiały do późna w nocy. Były zbyt daleko, żeby rozumiała słowa, ale domyślała się, że chodziło o nią. Od pewnego czasu nie widziała, by okazywały sobie jakieś cieplejsze uczucia, i to ją martwiło. Bardzo chciała, żeby matka została z Hope. Czasem sądziła, że nie zniesie cierni kolejnego rozwodu, nawet łagodnego. Wiedziała, że „przyjazny rozwód” wcale nie zmniejsza wewnętrznego bólu.

Ashley przez chwilę nasłuchiwała, potem pozwoliła, by w oczach zebrały się jej łzy. Bezimienny sypiał zawsze na końcu korytarza, na poszarpanej psiej macie, przed sypialnią pani, żeby być blisko Hope. Ale kiedy Ashley była mała, ten magiczny pies często przychodził do niej niewołany, jakby wyczuwał, że coś ją trapi. Otwierał nosem drzwi do jej pokoju i siadał na dywanie obok komódki. Przyglądał się jej, dopóki nie powiedziała mu, jaki problem ją nurtuje. W ten sposób, zwierając się psu, pocieszała siebie.

Ashley przygryzła wargi. Zastrzeleń go osobiście za to, co zrobił Bezimiennemu.

Gwałtownie zdjęła stopy z łóżka i wstała. Przez chwilę błądziła wzrokiem po znajomych przedmiotach z dzieciństwa. Na jednej ze ścian, wokół tablicy z plakatem, wisiało kilkanaście jej rysunków. Były to zdjęcia przyjaciół, jej samej przebranej na Halloween, na boisku do piłki nożnej i gotowej na bal maturalny. Wisiała tam wielka, wielobarwna flaga ze słowem „pokój” pośrodku, nad wyhaftowanym białym gołębiem. Pusta butelka po szampanie z dwoma papierowymi kwiatami symbolizowała noc, kiedy straciła dziewictwo. Była wtedy na pierwszym roku. Zwierzyła się z tego Hope, a nie matce i ojcu. Ashley odetchnęła i pomyślała, że wszystko, co przed sobą widzi, to symbole przeszłości, ale potrzebowała ich, żeby wyobrazić sobie, jaka będzie jej przyszłość. Podeszła do torebki wiszącej na gałce w drzwiach szafy, sięgnęła do środka i wyjęła rewolwer.

Zważyła go w rękę, potem odwróciła się i przyjęła pozycję strzelecką, celując najpierw w stronę łóżka. Powoli, z jednym okiem przymkniętym, przekręciła się i skierowała broń w okno. Wystrzel wszystkich sześć pocisków, przypomniała sobie. Celuj w klatkę. Nie szarp za spust. Trzymaj broń pewnie.

Obawiała się, że wygląda śmiesznie.

Pomyślała, że on nie będzie stał nieruchomo. Może się rzucić na przód. Poprawiła postawę, szerzej rozstawiając bosc stopy na podłodze i obniżając pozycję o kilka centymetrów. Przypomniała sobie, ile wzrostu ma O’Connell, jak bardzo jest silny, jak szybko mógł się poruszać. Czy będzie błagał o życie? Czy obieca, że zostawi ją w spokoju?

Strzel mu w serce, do cholery, powiedziała do siebie, jeśli je ma.

- Trach - wyszeptala. - Trach. Trach. Trach. Trach.

Opuściła rewolwer.

- Ty jesteś martwy, a ja żyję. I będę żyć nadal - powiedziała cicho, żeby nikt jej nie usłyszał, choćby spał niespokojnie. - Będzie lepiej, niż jest teraz.

Podeszła do okna, nadal trzymając rewolwer. Ukryła się za zasloną i wyjrzała na ulicę. Dopiero świtało, w słabym świetle niewiele mogła zobaczyć. Pomyślała, że musi być zimno, bo na trawnikach leżała szadz. Za zimno dla O'Connella, żeby spędził noc na dworze, na straży.

Pokiwała głową i włożyła broń do torebki. Potem szybko naciągnęła spodnie, czarny golf i bluzę z kapturem. Chwyliła buty do biegania. Pomyślała, że w najbliższych dniach rzadko będzie sama i że to jest jeden z nielicznych takich momentów. Wyszła po cichu z pokoju i przez chwilę żałowała, że zostawiła tam rewolwer. Pomyślała jednak, że nie będzie biegać z bronią. Za ciężko. I głupio.

W powietrzu czuła kanadyjski chłód, który przywędrował przez Vermont. Cicho zamknęła frontowe drzwi, naciągnęła włóczkową czapkę na uszy i pobiegła ulicą, by jak najszybciej oddalić się od domu, zanim ktoś jej powie, żeby tego nie robiła. Ostro przyspieszyła, błyskawicznie zapominając o niebezpieczeństwie, jakie mogło jej grozić.

Biegła forsownie, w rytm swoich myśli. Miała już tak dosyć zakazów, nakazów, ograniczeń narzucanych przez rodzinę, i własnego strachu, że postanowiła zaryzykować. Oczywiście, powiedziała sobie, nie bądź głupia i nie ułatwiał mu sprawy; mimo to wybierała przypadkową trasę.

Pomyślała, że nierozważne działanie jest właśnie tym, czego teraz chce.

Z trzech kilometrów zrobiły się cztery. Na szczęście nie czuła już zimnego wiatru, wdzierającego się do płuc; na szyi gromadził się jej pot. Kiedy się odwróciła w stronę domu, poczuła się trochę zmęczona, ale nie na tyle, żeby zwolnić. Spojrzała przed siebie i nagle zobaczyła na ścieżce jakiś ruch. Niemal upadła z wrażenia, że nie jest już sama, ale biegła dalej.

Była osiem przecznic od domu, kiedy obok niej niebezpiecznie blisko przejechał samochód. Zdyszana, miała ochotę wykrzyknąć coś nieprzyzwoitego, ale nie zwolniła biegu.

Sześć przecznic od domu ktoś głośno krzyknął jakieś imię. Nie była pewna, czy chodzi o nią, więc się nie obejrzała, tylko przyspieszyła.

Cztery przecznice od domu o mało nie wyskoczyła ze skóry, kiedy tuż za nią zabrzmiał klakson. Zaczęła biec sprintem.

Była już przecznicę od domu, gdy nagle usłyszała obok siebie pisk opon. Ledwo chwytała oddech, ale nie odwróciła się, żeby sprawdzić co się dzieje, tylko przeskoczyła z jezdni na nierówny, betonowy chodnik,

potrzaskany przez korzenie drzew. Wyglądał jak ocean przed sztormem. Stopy bolały ją z wysiłku, ale pobiegła jeszcze szybciej. Miała ochotę odseparować się od wszelkich dźwięków. To było niemożliwe, więc zaczęła sobie nucić. I patrzyła tylko przed siebie, nie zerkając na boki. Chciała jak najszybciej dobiec do domu. Przeskoczyła grządkę kwiatów i pognąła przez trawnik. Niemal zderzyła się z drzwiami. Zatrzymała się i powoli odwróciła.

Na ulicy zobaczyła mężczyznę cofającego samochód na podjeździe. Kilkoro roześmianych dzieci objuczonych wypchanymi tornistrami szło na przystanek autobusu szkolnego. Kobieta w długim, jaskrawozielonym płaszczu narzuconym na koszulę nocną sięgała po poranną gazetę.

O'Connell nie było. A przynajmniej go nie widziała.

Odrzuciła głowę do tyłu, wciągając gwałtownie zimne powietrze. Popatrzyła na normalne życie wokół siebie i zaszlochała. Zrozumiała, że prześladowca jest cały czas przy niej. Nawet gdy go nie ma.

Michael O'Connell zaparkował niedaleko, na ulicy. Nie spuszczał wzroku z Ashley, rozglądającej się niepewnie z ganku domu jej matki. Zgarbiony za kierownicą, popijał kawę z wielkiego kubka. Pomyślał, że gdyby trochę się wysiliła, zobaczyłaby go, ale nie ukrył się lepiej. Po prostu czekał.

Myślał, żeby ją zatrzymać, kiedy biegła, ale zrezygnował z tego. Mogłaby spaść w panikę i uciec bez trudu. Dobrze znała boczne uliczki i podwórka, a przy tym była szybka, więc chyba jej nie złapał. Z pewnością zaczęłaby też krzyczeć, przyciągnęłaby uwagę sąsiadów i ktoś mógłby wezwać policję. Musiałby się wycofać, zanim miałby szansę z nią porozmawiać. A przede wszystkim chciał uniknąć składania wyjaśnień jakiemuś funkcjonariuszowi.

Musiał znaleźć właściwy moment. Nie teraz, nie na ulicy, na której dorastała. Tutaj rozbrzmiewała jej przeszłość. On był jej przyszłością.

Na razie będzie więc napawać się jej widokiem. Szczególnie lubił patrzeć, jak poruszają się jej nogi. Były długie i jędrne. Żałował, że podczas tej jedynej nocy, którą spędzili razem, nie poświęcił im więcej uwagi. Jednak nadal potrafił wyobrazić je sobie nagie, lśniące. Zaczął się wiercić w fotelu, czując pierwsze oznaki podniecenia. Żałował, że Ashley nie zdjęła włóczkowej czapki, wtedy mógłby zobaczyć jej włosy... w tej samej chwili podniósł wzrok, a ona to zrobiła. Uśmiechnął się, czyżby potrafił przesyłać sygnały wprost do jej mózgu? Ta myśl wzmocniła jego przekonanie, jak mocno są ze sobą złączeni.

Michael O'Connell roześmiał się głośno.

Mógł patrzeć na Ashley z daleka i czuć ciepło w całym ciele. Jakby go doenergetyzowała. Nie mógł już dłużej spokojnie siedzieć, więc otworzył drzwi.

W tej samej chwili Ashley weszła do domu.

Michael O'Connell stał jedną nogą na jezdni i patrzył na miejsce, z którego zniknęła Ashley. Oczami wyobraźni widział ją nadal.

Ukraść ją.

Wydawało mu się to takie proste.

Wystarczyło dopaść ją, kiedy będzie sama.

Sama w jego świetle. Nie w jej świetle.

Jestem niewidzialny, pomyślał, wsiadł z powrotem do samochodu i odjechał.

Mylił się. W oknie sypialni na piętrze stała Sally. Ścisnęła ramię okna, aż zbieleły jej palce. Paznokcie wbijały się w farbę. Po raz pierwszy zobaczyła O'Connella. Na początku próbowała sobie wmówić, że to nie on, ale to nie mógł być nikt inny. Był jak zwykle blisko, ale poza ich zasięgiem. Śledził każdy krok Ashley. Poczula zawroty głowy, była wściekła, opanował ją niepokój. Miłość to nienawiść, pomyślała. Miłość to zło. Miłość to niegodziwość.

Patrzyła, jak samochód znika w oddali.

Miłość to śmierć.

Odwróciła się od okna, oddychając ciężko. Postanowiła, że nie od razu powie, iż zauważyła O'Connella o parę metrów od ich drzwi, jak szpiegował Ashley. Rodzina się wścieknie, pomyślała, a rozwścieczeni ludzie zachowują się lekkomyślnie. Musimy zachować spokój. Myśleć. Zorganizować się. Do roboty. Do roboty. Do roboty. Odwróciła się i wzięła kartkę ze swoimi zapiskami na temat morderstwa. Podniosła ołówek i stwierdziła, że jej ręka drży.

Po południu Sally poszła na zakupy. Wróciła wczesnym wieczorem, zajrzała do Ashley, która dziwnie znużona leżała zwinięta na łóżku i czytała; zastanowiła się, gdzie może być Hope, posłuchała, jak Catherine kręci się w kuchni. Potem poszła do telefonu, żeby zadzwonić do Scotta.

- Tak?

- Scott? Tu Sally.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Dzień minął bez incydentów - powiedziała, nie wspominając, że rano widziała O'Connella czającego się przy ich ulicy. - Ale mam wątpliwości, czy potrwa to dłużej.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję. Myślę, że powinieneś zaraz tu przyjść.

- W porządku... - Zawahał się.

- Zaczęło się odliczanie. Zdaje mi się, że więcej spraw uzgodniliśmy przez ostatnie tygodnie niż przez cały czas trwania naszego małżeństwa.

Scott poczuł żal.

- Dziwna uwaga. Kiedy byliśmy razem, nie zawsze było nam źle.
- Nie żyłeś w kłamstwie tak jak ja.
- Kłamstwo to mocne słowo.
- Słuchaj, Scott. Nie chcę się spierać o przeszłość. Przez chwilę oboje milczeli, a potem Sally dodała:
  - Odchodzimy od tematu. Najważniejsze jest to, co będzie.
  - Okay - zgodził się Scott, czując, że pewne słowa, które nie dotyczą ich przeszłości, nigdy już nie zostaną wypowiedziane.
  - Mam plan - wyrzuciła z siebie Sally.
  - Dobrze - stwierdził, choć wcale nie był pewien, że właśnie to chciał powiedzieć.
  - Nie wiem, czy jest dobry. Nie wiem, czy skuteczny. Nie wiem, czy zdołamy go wykonać.
  - Posłuchajmy.
  - Nie powinniśmy rozmawiać przez telefon. Przynajmniej nie na tej linii.
  - Jasne. Oczywiście, że nie. To ma sens - zgodził się, choć wcale nie wiedział, dlaczego miałoby to mieć sens. - Wpadnę zaraz. - Odwiesił słuchawkę i pomyślał, że rutyna codziennego życia jest koszmarna. On uczył studentów, a także obcował z duchami polityków, żołnierzy i mężów stanu, o których mówił na wykładach. Prowadził całkiem przewidywalne życie. Wiedział, że teraz to się zmieni.

Hope wróciła do domu, zanim przybył Scott. Była na spacerze i próbowała, bez większego powodzenia, przemyśleć to, co jej się przydarzyło. Zastała Sally w salonie ślęczącą nad jakimiś kartkami z ołówkiem w ustach. Podniosła wzrok, kiedy weszła Hope.

- Mam plan. Nie jestem pewna, czy zadziała. Ale przyjdzie Scott i siądziemy nad tym razem.
  - Gdzie jest moja matka i Ashley?
  - Na górze. Wcale im się nie podoba, że wygnano je na czas rozmowy.
  - Moja matka nie lubi, kiedy ją się z czegoś wyklucza. Może to jest dziwne, bo większość dorosłego życia spędziła w lasach Vermontu, ale taka już jest. - Hope zawahała się, a Sally podniosła wzrok.
  - Co się stało?

Hope pokręciła głową.

- Spróbuj mnie zrozumieć. Robi to, o co ją poproszono, prawda? To nie jest w jej stylu. Ani trochę. Zawsze była typem samotnika. Człowiekiem, którego nie obchodziło, co inni o niej pomyślą. A jej pozorne porządkowanie się... hm, nie wiem, czy powinniśmy wierzyć, że zrobi to,

co się jej powie. Ona chodzi własnymi ścieżkami. Tato kochał ją za to, ja też, tylko że z czasem, hm, utrudniało to trochę życie. Rozumiesz, o co mi chodzi.

Sally się uśmiechnęła.

- Myślisz, że jesteś inna? Hope wzruszyła ramionami.

- Chyba nie.

- Nie sądzisz, że te cechy przyciągnęły mnie do ciebie?

- Nigdy nie uważałam, że uparty charakter i bycie nieprzewidywalną to moje najlepsze strony.

- Ale przynajmniej o nich wiesz. - Sally zanurzyła rękę w papierach trzymanyh na kolanach.

Zamilkły. Dziwne, pomyślała Hope, po raz pierwszy od wielu tygodni Sally mówi o uczuciach.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- To chyba Scott - powiedziała Sally. Zebrała papiery, a Hope poszła otworzyć. Korzystając z paru sekund samotności, odchyliła głowę i głębo ko nabrała powietrza. Kiedy to się już zacznie, nie będzie odwrotu.

Catherine gotowała się ze złości, chociaż starała się tego nie okazywać. Patrzyła na Ashley, która trzykrotnie przeczytała tę samą stronę książki, a następnie cisnęła nią o podłogę.

- Nie wiem, czy długo jeszcze wytrzymam - powiedziała. - Traktują mnie jak sześciolatkę. Wysyłają do mojego pokoju, każą się czymś zajmować, kiedy oni planują moją przyszłość. Do cholery, Catherine, nie jestem dzieckiem! Mogę sama walczyć o swoje sprawy.

- Zgadzam się, kochanie - powiedziała Catherine.

- Powinnam wziąć ten przekłety pistolet i rozwiązać problem raz na zawsze.

- Sądzę, Ashley, że twoi rodzice właśnie tego chcą uniknąć. I nie po to dałam ci broń, żebyś używała jej kiedy się wkurzasz. Pistolet masz do obrony, gdyby gonił cię O'Connell.

Ashley odchyliła głowę.

- Wiesz, że to zrobił?

- Co zrobił, kochanie?

- Gonił mnie. Prawdopodobnie jest teraz przed domem. Czeka.

- Czeka?

- Na właściwy moment. On oszalał. Oszalał z miłości. Oszalał z obsesji. I nie wiem z czego jeszcze. Ale on tu jest. Tylko jedno liczy się w jego życiu, ja.

Catherine pokiwała głową. Nagle pochyliła się do przodu.

- Potrafiłabyś to zrobić?

Ashley szeroko otworzyła oczy i popatrzyła przed siebie, potem na Catherine i na torebkę z rewolwerem.

- Potrafiłabyś to zrobić? - powtórzyła Catherine.

- Tak - odparła stanowczo Ashley. - Potrafię. Potrafię. Wiem.

- Ja bym nie potrafiła. A powinnam to zrobić, kiedy miałam strzelbę, a on stał naprzeciwko mnie. Powinnam. Ale nie zrobiłam. Czy byłabyś silniejsza ode mnie, kochanie? Bardziej zdeterminowana? Czy jesteś odważniejsza?

- Nie wiem. Ale tak, myślę, że tak.

- Muszę wiedzieć.

- Nie można o tym wiedzieć zawczasu. W tym rzecz. Jestem wystarczająco zła. Może równie bardzo wystraszona. Ale czy będę w stanie pociągnąć za spust? Myślę, że tak.

- Wyobraź sobie, że możesz - powiedziała Catherine. - Jesteś przekonana, że on jest tam na dworze?

- Tak.

- Hm, mogłabyś to wszystko zakończyć, gdybyś włożyła pistolet do kieszeni kurtki i o północy poszła ze mną na spacer. A kiedy spróbował by nas zatrzymać, ty byś strzeliła. Może powiedzieć, że chce tylko z tobą porozmawiać. Oni zawsze tak mówią. Ale ty nie rozmawiaj, tylko go zastrzel. Właśnie wtedy, na miejscu. Przyjedzie policja i prawdopodobnie cię zatrzyma. A wtedy każemy twojej matce wynająć najlepszego adwokata. Staniesz przed sądem. Społeczność, do której należy twoja matka i Hope, nie jest szczególnie skłonna do przyznawaniu mężczyznom, a szczególnie mężczyznom, którzy prześladują młode kobiety, swobody ruchu. Skorzystają zapewne w tej sprawie z dobrodziejstwa wątpliwości.

- Myślisz...

- Myślę, że możesz to zrobić, jeśli będziesz gotowa za to zapłacić.

- Więzieniem?

- Może. Złą sławą. Tak będzie na pewno, co zresztą przepowiedzieli twoi staruszkowie. Ale może warto to zrobić.

Ashley odchyliła głowę.

- Nie wytrzymam już długo. To jestem przerażona, to wściekła. To czuję się bezpieczna, to za chwilę zagrożona.

- Dlaczego nie mamy wykorzystać przemocy, zanim przemoc zostanie wykorzystana przeciwko nam? - zapytała z zapalem Catherine. - Dlaczego to takie cholernie niesprawiedliwe? Dlaczego mamy czekać, aż padniemy czyjąś ofiarą?

- Nie mam takiego zamiaru.
- To dobrze. Wcale tak nie myślałam. Zatem rozważmy, co możemy zrobić.

Ashley skinęła głową na znak, że się zgadza.

Scott popatrzył na kilka stosików przedmiotów leżących w salonie.

- Byłaś na zakupach.
- Owszem - powiedziała Sally
- Chcesz, żebyśmy tym się obeszli? - Scott podniósł i obejrzał pudełko chusteczek nasączonych pochodną amoniaku. - Czymś takim?

Sally mówiła cichym, równym tonem.

- Jeśli ktoś będzie podejrzewał, że zostawił próbki DNA w kompromitującym go miejscu, wystarczy, żeby tym przejechał i zniszczył wszelkie ślady.

Scott wyduł policzki. Prawie czuł zawroty głowy. Chusteczki, pomyślał. Część morderczego spisku.

Sally obserwowała byłego męża i wyczuwała jego wahanie. Dodała stanowczo:

- O ile pamiętam, zgodziliśmy się co do tego, że trzeba doprowadzić do spotkania O'Connella i jego ojca. Jesteśmy w stanie to zrobić. Daliśmy nam taką możliwość. Myślę, że będą się kłócić. Zresztą już to przerabialiśmy. Potem musimy znaleźć sposób, żeby ukraść broń O'Connella, użyć jej przeciwko jego ojcu i wrócić do kryjówki O'Connella, zanim zda sobie sprawę, że broń zniknęła.

- Dlaczego nie zostawimy jej na, hm, miejscu przestępstwa? - zapytał Scott.

- Myślałam o tym - odparła Sally. - Ale to będzie koronny dowód rzeczowy. Policja i prokuratura wprost uwielbiają znajdować broń mordercy. To wokół niej budują swoją teorię. Będzie to bezsprzeczny dowód w sądzie. Musi być znaleziony tam, gdzie tylko O'Connell ma dostęp.

- A po co te inne rzeczy? - zainteresowała się Hope.

Sally spojrzała na zgromadzone przedmioty. Było tam kilka telefonów komórkowych, tubka super glue, przenośny komputer, małego rozmiaru męski kombinezon, dwa pudełka rękawiczek chirurgicznych, kilka par chirurgicznych ochraniaczy na buty, dwie czarne dopasowane maski z przykryciami głowy i szczyryk, szwajcarski nóż oficerski.

- To nam będzie potrzebne, tyle mogę powiedzieć. Są i inne rzeczy, które mogą się przydać, na przykład parę włosów z grzebienia O'Connella. Nadal kompletuję zestaw.

- Po co komputer? - zapytał Scott.

Sally westchnęła. Zwróciła się do Hope.



- To ta sama firma i model, co w mieszkaniu O'Connella?

Hope przyjrzała się bliżej maszynie.

- Tak. Jeśli się nie mylę.

- No cóż - rzekła Sally - powiedziałaś, że w jego komputerze znajdował się zakodowany materiał o Ashley. I o nas. W tym go nie ma.

Hope pokiwała głową.

- Chyba rozumiem.

- Policja zasekwestruje komputer. Wolałabym, żeby to był ten, który przygotowaliśmy.

- Chcesz je wymienić?

- Zgadza się. To zerwie związek między nim a nami. Prawdopodobnie ma gdzieś backup, z całym materiałem o Ashley i o nas, niemniej... gra na czas będzie dla nas najważniejsza.

Wręczyła całej trójce żółte kartki. Na górze napisała, ile co zajmie czasu.

Hope popatrzyła na papier. Sally opisała zadania, wydarzenia, działania, ale oznaczyła wszystko literami A, B albo C. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Sally jej się przygląda.

- Nie rozdzieliłaś ról - powiedziała Hope. - Masz tu troje ludzi, którzy robią powiązane ze sobą sprawy, ale nie napisałaś, co kto robi.

Sally rozparła się w fotelu, próbując zachować spokój.

- Staralam się pomyśleć o tym z punktu widzenia nowoczesnego policjanta - wyjaśniła. - Musicie wziąć pod uwagę to, co znajdują i jak to zinterpretują. Zbrodnie zawsze rozgrywają się według pewnej logiki. Jedno powinno prowadzić ich do drugiego. Używają nowoczesnych technik, jak analiza DNA, kryminalistyczne badanie broni i mnóstwa możliwości, które znamy tylko z grubsza. Staralam się przewidzieć tyle, ile się dało, nie zapominając o tym, co chrzani śledztwa. Na przykład ogień pozostawia po sobie straszny bałagan, ale niekoniecznie zapobiega badaniu kryminalistycznemu broni palnej. Woda naraża na szwank wszelkie rodzaje ran i DNA, niszczy odciski palców. Nasz problem polega na tym, że mamy zamiar popełnić zbrodnię z użyciem przemocy, ale chcemy pozostawić ślad. Nie ślad doskonały, ale wystarczający, żeby poprowadził w pożądanym przez nas kierunku. Resztę, jeśli będziemy ostrożni, zrobi policja, nawet bez zeznań O'Connella.

- A jeśli wskaże nas policji?

- Musimy być na to przygotowani. Możemy zapewnić sobie nawzajem alibi. Ale przede wszystkim musimy sprawić, żeby oskarżenie brzmiało nieracjonalnie. Na tym polega sztuczka. Znacznie lepiej byłoby, gdyby policja nie uwierzyła w nic co on powie, do czego pewnie będą skłonni, i przestała się nami interesować. Pomyślcie, jak mało prawdopodobne jest

to, że możemy zrobić coś takiego. A policja, hm, ona lubi proste odpowiedzi na proste pytania. Nawet jeśli te pytania dotyczą śmierci.

Sally przerwała i popatrzyła najpierw na Scotta, potem na Hope.

- Ale nie sądzę, żeby wskazał nas policji - powiedziała. - Jeśli zrobimy wszystko jak trzeba, nie będzie o nas wiedział.

Scott z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Ale zrozum, ja tam byłem, zadawałem pytania. Ktoś prawdopodobnie mnie zapamiętał.

- I dlatego, w kluczowym momencie będziesz musiał wyjechać daleko i robić coś w czyjejś obecności. Na przykład użyć karty kredytowej i złożyć skargę gdzieś, gdzie jest kamera wideo. Z drugiej strony ważne byłoby, żebyś znalazł się blisko.

Scott się wyprostował.

- Rozumiem, ale...

- To samo dotyczy Ashley i Catherine. One też będą miały role do odegrania.

Scott i Hope znów milczeli. Sally odetchnęła głęboko.

- A to doprowadza nas do najistotniejszej kwestii. Do samego przestępstwa. Przemyślałam sprawę i myślę, że to muszę być ja. Czekala, żeby coś powiedzieli, ale nikt się nie odezwał.

- Będę musiała zabrać ten pistolet - powiedziała Hope. - Wiem, gdzie on jest. Mam klucz.

- Tak. Ale już raz tam byłaś. Masz ten sam problem, co Scott. Pistolet musi zabrać ktoś inny. Powiesz mi, gdzie jest.

Hope skinęła głową, ale Scott się sprzeciwił.

- Owszem, ale jeśli się przyjmie, że nadal jest tam, gdzie go widziałas. A to spore ryzyko.

Sally zakaszła.

- Jeśli nie uda nam się znaleźć tego pistoletu, wycofamy się, ale tylko częściowo. Będziemy mogli wrócić do sprawy i ułożyć plan zastępczy.

Scott nadal był nieprzekonany.

- Okay, kradniemy pistolet. Potem dajemy go tobie... skąd wiesz, że dasz sobie radę z bronią? Szczególnie w takich okolicznościach?

- Po prostu muszę. To moje zadanie.

- Nie sądzę - sprzeciwiła się Hope. - Myślę, że pewne niebezpieczeństwo, próbuję iść w twoje ślady i rozumować jak policjant, kryje się w tym, że to matka Ashley dokonuje przestępstwa. To miałoby dla glin sens, wiesz. Obrona dziecka. Ale wątpię, żeby gliniarze podejrzewali partnerkę matki. Innymi słowy, mój dystans wobec Ashley, fakt, że nie

jest moim dzieckiem, krwią z krwi, chroni mnie przed śledztwem, nie sądzisz? A jestem młodsza, szybsza, silniejsza, gdyby trzeba było trochę pobiegać.

I Scott, i Sally patrzyli na nią uważnie. Oboje wiedzieli, co ma zamiar powiedzieć, ale żadne nie było w stanie wydusić słowa, żeby ją powstrzymać.

Hope próbowała się uśmiechnąć przez mgłę własnych wątpliwości.

- Toja powinnam pojawić się z pistoletem w dłoni - powiedziała po woli.

Tym razem byłem pewien, że się załamała. Słyszałem to w jej głosie.

- Myślał pan kiedyś, jak bardzo życie może się zmienić w ciągu sekundy? Tyle spraw, które wydawały się małe, nagle robi się wielkich.

Zbliżała się północ i zaskoczyła mnie telefonem.

- Sądzi pan - zapytała nagle - że lepszych wyborów dokonujemy w ciemności, samotnie, nocą, kiedy leżymy w łóżku i próbujemy przebrnąć przez morze kłopotów? Czy mądrzej byłoby poczekać do rana, kiedy świeci słońce i jest jasno? Zastanawiam się nad ich wyborami - rzekła powoli. - Nocne decyzje? Dienne decyzje? Niech pan mi powie.

Nic nie mówiłem. Myślałem, że nie zależy jej na odpowiedzi, ale ona nalegała.

- Niech pan powie, jak pan by to określił? Jest pan pisarzem. Czy to było mądre? Czy kroki, które podejmowali, były trudne, ale niezbędne? Czy może działali głupio? Jakie były szanse na sukces? Jakie było ryzyko? To tacy rozsądni ludzie, a tak nierozsądnie się wrobili.

Nic nie mówiłem, a ona stłumiła szloch.

- Mam dla pana tytuł - wypaliła, biorąc mnie z zaskoczenia. - Myślę, że doprowadzi pana bliżej rozwiązania.

Czekałem z przygotowanym piórem.

- Koniec - stwierdziła. - Rozumiesz? Pozwoli pan, że wyłożę to tak: jak pan sądzi, czy byli przygotowani na to, co niespodziewane?

- Nie. Bo któż jest, doprawdy?

Roześmiała się, ale śmiech chyba szybko przeszedł w szloch. Trudno było zorientować się przez telefon.

## 41. Rozwój wydarzeń

Sally patrzyła na Hope. Były w sypialni. Tylko jedna lampka nocna rzucała słabe żółte światło.

- Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobiła - powiedziała Sally.  
- Nie sądzę, żebyś miała wybór. - Hope lekko wzruszyła ramionami.  
- Uważam, że decyzja już zapadła. A przy okazji, to chyba najmniej niebezpieczna część całego przedsięwzięcia. - To było kłamstwo, ale Hope nie była pewna, czy stuprocentowe.

- Przedsięwzięcia?
- Z braku lepszego słowa.

Sally pokręciła głową.

- Bomba wybucha na rynku, a my nazywamy to „zniszczeniami i stratami wśród ludności cywilnej”. Operacja się nie udaje, a my nazywamy to „komplikacjami”. Żołnierz zostaje zabity i zaliczają go do „strat”. Coś mi się zdaje, że żyjemy eufemizmami.

- A co z nami? - zapytała Hope. - Jakiego słowa użyłabyś na określenie nas dwóch?

Sally zmarszczyła brwi. Podeszła do lustra. Kiedyś była piękna. Kiedyś tryskała energią. Ledwie rozpoznawała osobę, która na nią patrzyła.

- Sądzę, że żadna z nas nie wie, co przyniesie kolejny dzień. Niepewność. Oto dobre słowo.

- Mogłaś powiedzieć, że mnie kochasz - powiedziała z żalem Hope.

- Kocham. Tylko siebie już nie kocham. Siedziały w ciszy, a Sally patrzyła na swoje papiery.

- Wiesz, zrobimy to i wszystko będzie inne.

- Myślałam, że chodziło o powrót do stanu poprzedniego. - I tak, i tak - odparła Sally. - Myślę, że będzie i tak, i tak. Podniosła spisana odręcznie serię instrukcji z wierzchu pliku.

- To musi trafić do Ashley i Catherine. Chcesz ze mną pójść, kiedy będę z nimi rozmawiać? Właściwie to nie. Nie idź. Jeśli cię tam nie będzie, nie będą cię mogły o nic pytać.

- Zaczekam na ciebie tutaj. - Hope położyła się na łóżku i wpełzła pod kołdrę. Poczula ciarki na plecach.

Sally znalazła Ashley i Catherine w pokoju Ashley.

- Słuchajcie, dziewczyny, mam do was parę próśb. Mogłybyście zrobić to, co tu spisałam, nie jest tego dużo, i nie zadawać pytań? Chcę wiedzieć.

Catherine wzięła listę od Sally, przeczytała ją szybko i podała Ashley.

- Myślę, że możemy to zrobić - odparła.

- Napisałam scenariusz i daję wam jednorazową komórkę. Chciałabym, żebyście ją zgubiły, jak tylko się z nim skontaktujecie - powiedziała Sally. - Możesz improwizować, oczywiście, ale musisz przedstawić mu główne założenia. Rozumiesz?

Ashley popatrzyła na kartkę i pokiwała głową.

- Czy myślisz...  
- To chyba początek pytania - powiedziała Sally z krzywym uśmiechem. - Rzecz w tym, że musisz, powtarzam, musisz, sprzedać to O'Connellowi. Musi tego chcieć. A wszyscy uważamy, że złość, zazdrość i szczypta niepewności są koktajlem, który zachęci go do działania. Jeśli uda ci się znaleźć lepsze słowa, nie wahaj się ich użyć. Ale efekt końcowy musi być taki sam. Chwytasz? Hope, twój ojciec i ja zrobimy resztę. Ashley, kochanie, dasz radę odegrać tę rolę? Bo wiele będzie zależeć od siły twojej perswazji.

- Wiele czego? - zapytała.

- Och, kolejne pytanie. A ja i tak nie odpowiem. Popatrz tutaj, na końcu. Parę numerów telefonów. Nie spodziewam się, że zapamiętasz je wszystkie, ale to bardzo ważne, żeby do końca dnia ten papier i wszystko inne zostało zniszczone. Tyle tego.

- Tylko tyle?

- Poprosiłam cię, żebyś odegrała swoją rolę. Tak jak sama chciałaś. Ale nie dowiesz się, jaki będzie ostatni akt. W ten sposób ryzyko, na jakie się narażasz, jest mniejsze. Catherine, liczę na to, że wszystkiego dopilnujesz. I że wykonasz inne zadania z tej listy.

- Nie wiem, czy mi się to podoba - stwierdziła Catherine. - Nie wiem, czy mam ochotę działać w ciemno.

- Hm, znajdujemy się na ziemi nieznannej. Ale muszę być stuprocentowo pewna, że każdy zrobi, co do niego należy.

- Zrobimy to, o co prosisz. Chociaż nie rozumiem...

- W tym rzecz. Nie rozumiesz.

Sally zatrzymała się w drzwiach. Popatrzyła na Catherine, potem na córkę.

- Ciekawe, czy wiecie, ilu ludzi was kocha - powiedziała ostrożnie. - I do czego ci ludzie są dla was zdolni.

Ashley nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

- Oczywiście - wtrąciła Catherine - to samo można powiedzieć o Michaelu O'Connellu. To z jego powodu wszyscy tu jesteśmy.

Scott siedział w porsche i dzwonił do ojca O'Connella z komórki, którą dała mu Sally. Dzwonek odezwał się trzy razy, zanim stary odebrał.

- Pan O'Connell? - zapytał rzeczowym tonem Scott.

- Kto mówi? - słowa były z lekka bełkotliwe. Dwa, może trzy piwa.

- Powiedzmy, że pan Smith, panie O'Connell.

- Kto? - Chwila zmieszania.

- Pan Jones, jeśli to panu bardziej odpowiada.

Ojciec O'Connella się roześmiał.

- Ach, tak, oczywiście. Hej, ten e-mail, który mi pan dał, nie działa. Próbowałem i list do mnie wrócił.

- Lekka zmiana procedur wywołana koniecznością. Przepraszam pana. Scott pomyślał, że ojciec O'Connella ma komputer wyłącznie po to, żeby oglądać strony z pornografią.

- Podam panu numer telefonu komórkowego - szybko go odczytał.

- Okay, zapisałem. Ale ni cholery nie miałem wieści od mojego chłopaka i nie spodziewam się, żebym je miał.

- Panie O'Connell, z tego co wiem, nastąpi wielka zmiana. Sądzę, że niedługo skontaktuje się z panem. Jeśli tak, proszę natychmiast zadzwonić pod ten numer. Zainteresowanie mojego klienta rozmową z pańskim synem wzrosło w ostatnich dniach. Sprawa jest coraz pilniejsza. Dlatego jego zobowiązania wobec pana, gdyby zechciał pan zadzwonić, byłyby znacznie poważniejsze, niż z początku sugerowałem. Rozumiem pan, o co mi chodzi?

O'Connell się zawahał.

- Tak, jak będę miał szczęście, dzieciak się u mnie pojawi i coś mi za to skapnie. Ale jak mówiłem, nie miałem od niego wieści i nie spodziewam się, żebym je miał.

- Hm, zawsze możemy mieć nadzieję. Dla dobra nas wszystkich - powiedział Scott i się rozłączył. Oparł głowę i sięgnął do przełącznika otwierającego okno. Miał wrażenie, że się dławi. Prawie zmożyły go mdłości, ale kiedy spróbował zwymiotować, był w stanie tylko sucho zakaszleć.

Szybko spojrział na żółtą kartkę z listą zadań, którą dała mu Sally. W jej zdolnościach organizacyjnych, w matematycznej precyzji, z jaką przemyślała to, czego mieli dokonać, było coś strasznego. Przez chwilę czuł, że znów robi mu się gorąco, a w ustach poczuł ohydny, gorzki smak.

Scottowi wydało się, że całe życie spędził na peryferiach tego, co ważne. Poszedł na wojnę, bo uważał, że tak powinno postępować jego pokolenie, ale potem usunął się w cień i dbał o swoje bezpieczeństwo. Jego wykształcenie, praca nauczycielska miały nieść pomoc studentom, nie jemu samemu. Małżeństwo było upokarzającą porażką, poza Ashley oczywiście. A teraz, gdy był w średnim wieku i dzień po dniu przedzierał się przez monotonię życia, po raz pierwszy poproszono go, żeby zrobił coś wykraczającego poza granice ostrożności; zrzucił wędzidła roztropności, które sobie nałożył. To było coś innego niż udawać porywczego ojca i mówić, „zabiję tego faceta”, wiedząc, że szanse na spełnienie groźby są niewielkie. Teraz ich śmiercionośny plan wystartował i parł niepowstrzymanie naprzód. Wahał się. Zastanawiał się, czy potrafiłby zrobić coś więcej niż tylko skłamać.

Łgarstwa, pomyślał. W tym jest dobry. Mnóstwo doświadczenia.

Znów popatrzył na listę. Wiedział, że słowa nie wystarczą.

Kolejna fala mdłości zagroziła jego żołądkowi, ale zwalczył ją, wrzucił bieg i pojechał do najbliższego sklepu z artykułami żelaznymi. Wiedział, że później, może o północy, będzie musiał wybrać się na lotnisko. Nie sądził, że w najbliższym czasie będzie mógł się przespać.

Był późny ranek i w domu została tylko Ashley z Catherine. Sally wyszła ubrana jak do biura. Inne ubranie włożyła do teczki. Hope też wyszła z domu, jakby nigdy nic, z plecaczkiem zarzuconym na ramię. Żadna z nich nie powiedziała Ashley ani Catherine, co może przynieść ten dzień.

Ale Catherine i Ashley zauważyły w ich oczach coś podejrzanego.

Jeśli nawet Sally i Hope spały, to nie było tego widać - ich gesty były nerwowe, a słowa niecierpliwie. Ashley aż się przestraszyła - jeszcze nigdy nie widziała w ich wzroku i ruchach takiej determinacji.

Weszła Catherine, ciężko dysząc.

- Kochanie, coś wkrótce się stanie. - W ręku trzymała żółtą kartkę z instrukcjami.

- Ładnie to ujęłaś - rzekła Ashley. - Cholera. Nie znoszę stać z boku i patrzeć przez ramię.

- Musimy przestrzegać planu. Jakikolwiek on jest.

- Czy moim rodzicom udało się kiedykolwiek ułożyć plan, który by się powiódł? - zapytała Ashley, chociaż zdawała sobie sprawę, że mówi jak krnąbrna nastolatka.

- Nie wiem. Ale Hope z reguły robi to, co mówi, że zrobi. Jest twarda jak kamień.

Ashley pokiwała głową

- Jak toczący się kamień. Po rozwodzie tato często puszczał mi tę piosenkę z magnetofonu i tańczyliśmy w salonie. Trudno nam było znaleźć wspólny język, więc słuchaliśmy rock and rolla z lat sześćdziesiątych. Jethro Thull. Stonesów. The Dead. The Who. Hendriksa. Joplin. Uczył mnie starych tańców. - Ashley nagle wyjrzała przez okno, nieświadoma, że parę dni temu ojciec też to wspominał. - Ciekawe, czy jeszcze zatańczymy. Zawsze sądziłam, że zdarzy się to jeszcze tylko raz, na moim weselu i wszyscy będą patrzeć. Zrobi zwód, raz czy dwa razy się obrócimy, a goście będą klaskać. On w smokingu. Kiedy byłam mała, bardzo chciałam się zakochać. I żeby to nie był taki smutny, zły związek jak matki i ojca. Raczej coś jak Hope i matki, tyle że powinien to być naprawdę przystojny, inteligentny chłopak. I wiesz, kiedy powiedziałam o tym Hope, stwierdziła, że byłoby wspaniale. Śmiałyśmy się i wyobrażałyśmy sobie suknie ślubne, kwiaty, małe dziewczynki jako drużny. - Ashley się odsunęła. - A teraz pierwszy mężczyzna, który powiedział, że mnie kocha, okazał się koszmarem.

- Życie jest dziwne - stwierdziła Catherine. - Musimy im zaufać, że wiedzą, co robią.

- Myślisz, że tak jest?

Catherine zobaczyła, że Ashley w prawej dłoni trzyma rewolwer.

- Gdybym tylko miała okazję. - zawahała się Ashley.

Pokazała na listę.

- W porządku. Akt pierwszy. Scena pierwsza. Wchodzą Ashley i Catherine, z prawej strony. Od czego zaczyna się twoja kwestia?

Catherine spojrzała na swoją kartkę.

- Pierwsza rzecz jest najtrudniejsza. Musimy sprawić, żeby O'Connella tutaj nie było. Chyba się przejdziemy.

- Co potem? - zapytała Ashley.

Catherine znów spojrzała na kartkę.

- Potem twoja wielka scena. Matka podkreśliła ten kawałek trzy razy. Jesteś gotowa?

Ashley nie odpowiedziała. Nie była pewna.

Wzięły okrycia i wyszły z domu. Zatrzymały się, stanęły na ganku, rozejrzały się po ulicy. Panował familijno-sąsiedzki spokój. Ashley miała palce zaciśnięte na rewolwerze ukrytym głęboko w kieszeni kurtki, palcem wskazującym nerwowo pocierała spust. Strach przed Michaeliem O'Connell'em sprawiał, iż wszędzie widziała zagrożenia. Ulica, na której bawiła się jako dziecko, którą biegła między domami rodziców, powinna być równie przyjazna, jak jej pokój na górze. Ale było inaczej. O'Connell zmienił jej świat i wszystko, co do niego należało: szkołę, mieszkanie w Bostonie, pracę, a teraz miejsce, w którym dorastała. Zastanawiała się, czy wiedział, ile geniuszu ma w sobie jego zło.

Dotknęła lufy. Zabij go, powiedziała w duchu. Inaczej on zabija ciebie.

Catherine i Ashley szły powoli ulicą, przez cały czas obserwując otoczenie. Ashley chciała, żeby się pokazał, jeśli tutaj był. Przed przecznicą zdjęła włóczkową czapkę, chociaż padał deszcz. Potrząsnęła głową, żeby włosy opadły jej na ramiona, i znów włożyła czapkę. Po raz pierwszy od miesięcy pragnęła, żeby nie można było jej się oprzeć.

- Idź - powiedziała Catherine. - Jeśli tu jest, pokaże się.

Przemykając się chodnikiem, usłyszały, jak z tyłu włącza się silnik samochodu. Ashley mocniej ścisnęła pistolet i poczuła, jak jej serce przyspiesza. Ledwie oddychała, słysząc zbliżający się hałas.

Kiedy samochód zrównał się z nimi, nagle się odwróciła, wyciągnęła broń, przykucnęła i przybrała pozycję strzelecką, którą tak pilnie ćwiczyła w pokoju. Jej kciuk prześliznął się z bezpiecznika na kurek. Zrobiła gwałtowny wydech.



Samochód z mężczyzną w średnim wieku za kierownicą przejechał obok nich. Kierowca nawet się nie odwrócił; sprawdzał numery po drugiej stronie ulicy.

Ashley jęknęła. Ale Catherine nie straciła panowania nad sobą.

- Powinnaś schować tę broń - wyszeptwała. - Zanim jakaś sympatyczna matka dzieciom zobaczy cię przez okno.

- Gdzie on, do diabła, jest?

Catherine nie odpowiedziała.

Powoli szły dalej. Ashley była całkowicie spokojna, skupiona, gotowa wyciągnąć broń i strzelając, dać odpowiedź na wszystkie jego pytania. Czy to się czuje, kiedy jest się gotowym kogoś zabić? Ale prawdziwego O'Connella nigdzie nie było widać.

Cierpliwie obeszły kwartał domów. Kiedy wracały do domu Sally i Hope, Catherine mruknęła:

- W porządku. Jedno wiemy. Jego tu nie ma. Musi być gdzieś indziej. Jesteś gotowa na następny krok?

Ashley wątpiła, czy ktokolwiek znalazłby odpowiedź na to pytanie, zanim by spróbował.

Michael O'Connell siedział przy prowizorycznym biurku w zaciemnionym pokoju, oblatany światłem bijącym z ekranu monitora. Opracowywał niespodziankę dla rodziny Ashley. Ubrany tylko w bieliznę, z włosami szczesanymi do tyłu, po prysznicu, przy muzyce techno dochodzącej z głośników komputera, stukał w klawisze w rytm elektrycznych akordów. Piosenki, których słuchał, były szybkie, nieomal wyrwały się spod kontroli.

O'Connell czerpał rozkosz z faktu, że korzysta z pieniędzy, które dał mu ojciec Ashley. Teraz ciężko pracował nad serią elektronicznych wypadów, które miały sprowadzić na nich poważne kłopoty.

Pierwszy miał być anonimowy donos do urzędu skarbowego, sugerujący, że Sally prosi klientów, żeby połowę honorariów płacili jej czekami, a połowę gotówką. Michael O'Connell pomyślał, że faceci od podatków najbardziej nienawidzą takich, którzy próbują ukryć dochody. Będą sceptyczni, jeśli zaprzeczy, i zaczną ślęczeć nad jej rachunkami.

To sprawiło, że roześmiał się na głos.

Drugi, równie anonimowy, miał być skierowany do biur DEA, agencji do spraw narkotyków na Nową Anglię i zawierać wiadomość, że Catherine uprawia na wielką skalę marihuanę na swojej farmie, w szklarni ukrytej w stodole. Miał nadzieję, że donos wystarczy, żeby urząd wydał nakaz przeszukania. A choć wiedział, że przeszukanie nic nie da,

to sądził, że ciężka ręka DEA zniszczy wszystkie jej cenne antyki i pamiątki. Już widział jej dom zasłany szczątkami...

Trzeci miał być niespodzianką dla Scotta. Surfując po Internecie, znalazł pod logo Histprof duńską stronę oferującą wyjątkowo zjadliwą pornografię, głównie z dziećmi i nastolatkami poniżej piętnastego roku życia, w rozmaitych prowokacyjnych pozach. Następnym krokiem był zakup fałszywego numeru karty kredytowej i przesłanie wyboru zdjęć do domu Scotta. Namówić lokalną policję, żeby zrobiła najście na jego dom, byłoby względnie łatwe. Może nawet nie będzie musiał tego robić. Lokalna policja otrzyma zapewne telefon z urzędu celnego, który monitoruje tego rodzaju import do Stanów.

Znów się roześmiał, wyobrażając sobie, jak rodzina Ashley będzie się musiała tłumaczyć, kiedy zostanie wplątana w biurokratyczne procedury albo siądzie za stołem w jaskrawo oświetlonym pokoju bez okien, naprzeciwko agenta DEA, urzędnika skarbowego lub funkcjonariusza policji, który gardzi takimi „bamboszami” z klasy średniej.

Mogą próbować zrzucić winę na niego, ale wątpił w to. Nie miał jednak pewności i to go powstrzymywało. Wiedział, że wysyłając te trzy listy, zostawi elektroniczne odciski palców, które doprowadzą śledczych do jego komputera. Pomyślał, że kiedy rano Scott będzie uczył w szkole, włamie się do jego domu i wyśle zamówienie do Danii z jego komputera. W pozostałych przypadkach również należało stworzyć ścieżki elektroniczne, których nie da się prześledzić. Westchnął. Będzie musiał pojechać do południowego Vermontu i zachodniego Massachusetts. Wymyślenie fałszywej tożsamości to żaden problem. A donosy może wysłać z kawiarenki internetowej albo z lokalnych bibliotek.

Rozparł się na krześle i znów roześmiał się na głos.

Nie po raz pierwszy dziwił się, jak może im się wydawać, że z nim wygrają.

Kiedy opracowywał te niemiłe niespodzianki dla rodziny Ashley, zadzwoniła komórka, którą położył w rogu biurka.

Zaskoczyła go. Nie miał przyjaciół, którzy mogliby dzwonić. Zrezygnował z pracy mechanika, a w szkole, do której czasem przychodził, nikt nie miał jego numeru.

Przez sekundę patrzył na ekranik, w którym ukazuje się identyfikator dzwoniącego. Zobaczył tylko jedno imię, które sprawiało, że serce przestawało mu bić: Ashley.

Zanim podała nazwisko detektywa, kazała mi obiecać, że będę uważał na słowa.

- Niech pan nie mówi niczego, co mogłoby go zdenerwować - powiedziała. - Musi mi pan to przyrzec albo niech pan o wszystkim zapomni. Nie podam panu jego nazwiska.

- Będę ostrożny. Obiecuję.

Teraz, w poczekalni komisariatu, siedząc na wytartej kanapie, byłem mniej pewny swoich zdolności. Po mojej prawej otworzyły się drzwi i pokazał się w nich mężczyzna, mniej więcej w moim wieku, o przyprószonych siwizną włosach, w jaskrawym różowym krawacie, z okazałym brzuchem i wyrozumiałym, nieco krzywym uśmiechem na ustach. Wyciągnął rękę i przedstawiliśmy się. Zaprosił mnie do środka.

- A zatem, czym mogę panu służyć?

Powtórzyłem nazwisko, które podałem mu wcześniej, podczas rozmowy telefonicznej. Skinął głową.

- W okolicy nie ma zbyt wielu zabójstw. A kiedy są, to zazwyczaj w sprawach między chłopakiem a dziewczyną, mężem i żoną. To było trochę inne. Ale nie rozumiem, dlaczego pana zainteresowało.

- Znajomi poradzili mi, żebym się temu przyjrzał. Powiedzieli, że może z tego być dobre opowiadanie.

Detektyw wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Miejsce przestępstwa było zabałaganione jak cholera. Babranie się w tym to było nie byle co. A przecież nie jesteśmy hollywoodzkim wydziałem zabójstw. - Pokazał gestem na pokój. Było to skromne pomieszczenie, gdzie wszystkie meble i urządzenia oraz wszyscy pracownicy zdawali się strzępić ze starości. - Ale jeśli nawet ludzie myślą, że jesteśmy głupi jak but, w końcu i tak dochodzimy prawdy.

- Nie powiedziałbym tak - powiedziałem. - Chodzi mi o to „głupi jak but”.

- Hm, to należy pan do wyjątków. Zazwyczaj ludziska nie mają nas za cwanych, dopóki nie usiądą naprzeciwko jednego z nas w kajdankach, bośmy ich przyszpili w try miga i spodziewają się dużego wyroku.

Przerwał, przypatrywał mi się uważnie.

- Nie pracuje pan aby dla adwokata? Nie chcesz pan wleźć w sprawę, żeby znaleźć jakiś błąd, który potem wyjdzie podczas apelacji?

- Nie. Mówiłem, szukam materiału na opowiadanie.

- Hm - zawahał się detektyw. - Nie wiem. Może z tego będzie opowiadanie. Ale to stara sprawa. Okay. Zaczynamy.

Sięgnął pod biurko, wyjął teczkę wielką jak akordeon, i otwartą położył na blacie. Był tam stos kolorowych, lśniących zdjęć osiem na dziesięć, które rozłożył na papierach. Nachyliłem się. Na zdjęciach były szczałki i ruiny. I ciało.

- Bałagan - powiedział. - Mówiłem panu.

## 42. Pistolet w bucie

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Catherine i Ashley chodziły po ulicy, zastanawiając się, gdzie może być Michael O'Connell, Scott zaparkował w odległej części zalesionego obszaru wypoczynkowego przy drodze numer 2. Zaleta obszaru wypoczynkowego polegała na tym, że od strony drogi był prawie całkowicie osłonięty drzewami i krzewami. Dlatego uznali, że to będzie najlepsza trasa do Bostonu. Nie jechało się tędy tak szybko jak autostradą, ale mniej tu było patroli i samochodów. Scott siedział sam w swojej odrapanej, starej ciężarówce. Porsche zostawił na parkingu.

Słyszał swój płytki oddech i myślał, że chyba zwariował: jeśli już teraz odczuwa napięcie, to co będzie pod koniec dnia. Kilka minut później w pobliżu zatrzymał się biały ford taurus. Za kierownicą siedziała Hope.

Sięgnął w dół, koło nogi i podniósł małą, tanią, czerwoną torbę sportową. Usłyszał, jak zagrzechotało w niej coś metalowego. Wysiadł z ciężarówki i szybko przeszedł przez parking.

Hope opuściła szybę.

- Uważaj - rzucił. - Jak zobaczysz, że ktoś wjeżdża, natychmiast mi powiedz.

Kiwnęła głową. - Dokąd ty...

- Ostatniej nocy pojechałem na parking przy lotnisku Hartford.  
- Nieźle sobie radzisz. Ale czy tam nie ma kamer ochrony?  
- Stałem na parkingu z systemem satelitarnym, gdzie nie robią zdjęć. To wynajęty wóz?

- Tak - odparła. - To wydawało się najbardziej sensowne.

Scott otworzył torbę sportową i poszedł na tył samochodu. Wymiana tablic rejestracyjnych na tablice z Rhode Island, które w ubiegłą noc zdjął z czyjegoś wozu, zajęła mu kilka minut. Do torby, gdzie był mały klucz nasadkowy i kombinerki, włożył właściwe tablice i wręczył ją Hope.

- Nie zapomnij - powiedział. - Musisz je zmienić, zanim oddasz wóz.

Hope skinęła głową. Wyglądała naprawdę blado.

- Słuchaj, dzwoń, gdybyś miała kłopoty. Będę blisko i...  
- Myślisz, że kiedy pojawiają się problemy, będę miała czas na telefonowanie?

- Nie. Oczywiście, że nie. W porządku, ja po prostu... - Zamilkł. Za dużo do powiedzenia. Brak słów.

Scott się odsunął.

- Sally już chyba jedzie autostradą.
- To i ja pojedę - powiedziała Hope. Położyła torbę sportową na fotelu obok siebie.
- Nie przekraczaj ograniczenia szybkości. Niedługo się zobaczymy.

Pomyślał, że powinien powiedzieć „życzę szczęścia” albo „uważaj”, albo coś równie nijakiego i podnoszącego na duchu. Ale nie powiedział. Patrzył tylko, jak Hope szybko wyjeżdża z parkingu, po czym zerknął na zegarek, próbując zgadnąć, gdzie może być Sally. Jechała na wschód równoległą trasą. Wymiana tablic rejestracyjnych na jeden dzień wydawała się drobną sprawą, ale pomyślał, że Sally kazała im zwracać uwagę na takie właśnie, na pozór nieznaczące szczegóły. Po raz pierwszy uznał, że wszystko, czego do tej pory w życiu się nauczył, ma niewielkie znaczenie dla tego, co zamierza zrobić.

Wrócił do ciężarówki i przygotował się do jazdy na wschód, na spotkanie niewiadomego.

Hope dojechała do skrzyżowania, gdzie autostrada między stanowa rozgałęziała się na północny wschód. Jechała bardzo ostrożnie, według wskazań Sally, nie przekraczając dozwolonej prędkości, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Zmierzała do miejsca, w którym miały się spotkać. Uznała, że o tym, co ma zrobić, powinna myśleć najmniej. Weźmie listę z zadaniami i po prostu będzie odhaczać każdy wykonany punkt. Popatrzyła na trzy ostatnie wpisy.

*Popełnić przestępstwo.*

*Uciec. Spotkać się z Sally.*

*Nie zostawić po sobie śladu.*

Żałowała, że nie jest matematykiem, który widziałby to, co ma zrobić, jako ciąg liczb składających się na jakąś teorię lub potrafiłby wyobrazić sobie ludzkie życie jako dane do statystyk ubezpieczeniowych.

Okazało się to dla niej niemożliwe. Spróbowała więc wzbudzić w sobie słuszny gniew, skupiając go na Michaelu O'Connellu i jego rodzinie, wmawiając sobie, że nie może postąpić inaczej, bo tylko tego O'Connell się nie spodziewa. Być może wtedy sama wściekłość poniosłaby ją tak, że zrobiłaby to, do czego zgłosiła się na ochotnika, bez niekończących się rozważań.

Ktoś musi umrzeć, powiedziała sobie. Zanim tamten człowiek zabije Ashley. Powtarzała to, niczym perwersyjną mantrę, jadąc autostradą.

Hope pamiętała mecze, które pozostawały nierozstrzygnięte do ostatnich minut przed gwizdkiem sędziego. A wtedy pół sekundy wystarczyło,

żeby wygrać. Jako trener zawsze namawiała graczy, żeby wyobrażali sobie chwilę, kiedy remis trzeba bez wahania przekuć w zwycięstwo - tak aby umieli podjąć walkę.

To doświadczenie powinno być podobne.

Przygryzając wargi, zaczęła więc wyobrażać sobie - opisany przez Scotta - zniszczony, walący się dom, przerdzewiały samochód na podwórku, garaż pełen części maszyn i odpadków. Pomyślała, że wie, co znajdzie w środku: stopy gazet, butelki po piwie, jedzenie na wynos i stęchły zapach. I on tam też będzie. Człowiek, który wywołał zagrożenie dla nich wszystkich. Wiedziała, że kiedy przed nim stanie, będzie musiała wyobrazić sobie Michaela O'Connella.

Zobaczyła, jak czeka.

Zobaczyła, jak wchodzi.

Zobaczyła, jak staje naprzeciwko człowieka, którego przeznaczyli na śmierć.

Jechała na wschód, zaprzątnięta myślami i żałowała, że nie może traktować tej podróży niczym zwyczajnej wycieczki.

Po południu Sally dojechała do Bostonu i zaparkowała na ulicy naprzeciwko domu, w którym mieszkał Michael O'Connell tak, żeby dobrze widzieć wejście. W ręku ścisnęła klucz, który dała jej Hope.

Zgarbiła się za kierownicą, próbując przybrać niewinny wygląd, ale przez cały czas miała wrażenie, że wszyscy ludzie ją zobaczyli, zapamiętali jej twarz i spisali numer z tablicy rejestracyjnej. Wiedziała, że te obawy są bezpodstawne, ale one nie zniknęły. Sally starała się zapanować nad sytuacją - tak by strach nie zaczął kierować jej uczuciami i czynami.

Żałowała, że nie podziela zamięłowania O'Connella do ciemności. To pomogłoby jej - podobnie jak Scottowi i Hope - zrealizować plan.

Pokręciła głową. Jej jedynym rebelianckim aktem, wykroczeniem poza ogólne przyjęte normy społeczne, był związek z Hope. Chciało jej się z siebie śmiać. Kobieta w średnim wieku, z klasy średniej, niepewna związku z partnerką, nie stawała się automatycznie wyrzutkiem społeczeństwa.

A z pewnością nie stawała się automatycznie zabójczynią.

Podniosła swoją żółtą kartkę i spróbowała wyobrazić sobie, gdzie są pozostali. Hope pewnie czeka na nią. Scott jest na stanowisku. Ashley jest w domu z Catherine. A Michael O'Connell siedzi w domu. Taką miała nadzieję.

Nagle zadała sobie pytanie: co sprawiło, że zaplanowałaś te wszystkie wydarzenia i teraz wykonujesz plan?

„To”.

Poczuła, że zeschło jej w gardle. „To” stanowiło niezły skrót. Nadaj „temu” właściwą nazwę. Morderstwo. Z premedytacją. Zabójstwo pierwszego stopnia. Sam plan w niektórych stanach wysłałby człowieka na krzesło elektryczne albo do komory gazowej. Nawet przy okolicznościach łagodzących dostałaby od dwudziestu pięciu lat do dożywocia.

Ale Ashley będzie bezpieczna.

Nagle zrozumiała, dlaczego musi się udać. Inaczej życie ich wszystkich legnie w gruzach, ale nie O'Connella. On nie zejdzie z obranej drogi i już nie będzie miał przeszkód, by ścigać Ashley czy jakąś inną dziewczynę.

Nie będzie nikogo, kto ją obroni.

Do dzieła.

Podniosła wzrok. Mrok zaczął już ogarniać dachy domów. Powiedziała do siebie: „to” się zaczyna teraz.

Ścisnęła w rękę telefon komórkowy, czuła podniecenie, ale panowała nad sobą, dopóki nie usłyszała głosu w słuchawce.

- Michael. Czy to ty? Ostro odetchnął.

- Cześć, Ashley.

- Cześć, Michael.

Przez kilka sekund oboje milczeli. Ashley zerknęła na papiery, które przygotowała jej matka. Scenariusz z najważniejszym zdaniem podkreślonym trzy razy. Ten telefon był zarazem cudowny i straszny, myślał O'Connell. Mówił mu, że wygrywa. Ledwie dał radę powściągnąć uśmiech. Prawa noga zaczęła mu podrygiwać jak u perkusisty, który stopą kontroluje grzmot basowego bębna.

- Jak cudownie usłyszeć twój głos - powiedział. - Zdaje się, że wielu ludzi stara się nas rozdzielić. Ale ty wiesz, że to się nigdy nie stanie. Nie pozwolę na to. - Roześmiał się i dodał: - Ukrywanie ciebie nie wyjdzie im na zdrowie. Wiesz o tym, prawda? Nie ma miejsca, w którym bym cię nie odnalazł.

Ashley na chwilę zamknęła oczy. Jego słowa czuła jak drzazgi wbijane pod skórę.

- Prosiłam cię, żebyś mnie zostawił w spokoju. Próbowałam wszystkim, żebyś zrozumiał, że nie będziemy razem. Nie chcę cię w swoim życiu. - Wiedziała, że wszystko to mówiła już wcześniej. Bez skutku. I tym razem nie spodziewała się czegoś innego. Żyła w oszalałym świecie i ani rozsądek, ani racjonalne argumenty nie mogły go zmienić.

- Wiem, że nie to chciałaś powiedzieć - odpowiedział chłodno. - Wiem, że kazano ci tak mówić. Wszyscy ci ludzie, którzy chcą żebyś była

kimś innym, niż jesteś. Wiem, że to inni dyktują ci to, co masz powiedzieć. Dlatego nie zwracam na to uwagi.

Gdy Ashley usłyszała słowo „dyktują”, o mało nie wpadła w panikę. Spojrzała na scenariusz. A jeśli to wszystko przewidział, jakoś udało mu się o tym dowiedzieć?

- Nie, Michael. Nie. Milion razy nie. Źle mnie rozumiesz. Od samego początku. Nie będziemy razem.

- To przeznaczenie, Ashley. Tak musi być.

- Nie. Jak możesz tak myśleć?

- Nie rozumiesz miłości. Prawdziwej miłości. Pełnej miłości. Miłości bez końca - ciągnął, a każde słowo powtarzało się echem w telefonie. - Miłość nigdy się nie kończy. Miłość nigdy cię nie opuści. Zawsze jest w środku. Powinnaś to wiedzieć. Wydaje ci się, że jesteś artystką, a nie potrafisz zrozumieć najprostszej rzeczy. Co się z tobą dzieje, Ashley?

- Nic się ze mną nie dzieje - odparła ostro.

- Owszem, tak. - O'Connell zakolysał się na krześle. - Czasem myślę, że jesteś chora. Że coś ci jest. Musi być coś nie tak z kimś, kto nie potrafi pojąć prawdy. Kto nie chce się wsłuchać w swoje serce. Ale nie martw się, Ashley, ja ci pomogę. Wszystko jedno, co się stanie, musisz wiedzieć, że zawsze będę przy tobie i dla ciebie.

Ashley poczuła, że w oczach gromadzą się jej łzy. Była bezradna.

- Michael, proszę.

- Nie musisz się niczego bać. - W jego głosie tuż pod powierzchnią wypowiedzianych słów usłyszała mroczny gniew. - Ja cię ochronię.

Wszystko, co mówi, pomyślała, znaczy coś zupełnie innego. „Ochronić” znaczyło „skrzywdzić”. „Nie bój się” znaczyło „bój się wszystkiego”.

Beznadziejność sytuacji prawie ją dobiła. Poczowała falę mdłości i gorąco. Zamknęła oczy i oparła się o ścianę, jakby chciała sprawić, żeby pokój przestał się wokół niej kręcić. To się nigdy nie skończy.

Otworzyła oczy i popatrzyła z rozpaczą na Catherine.

Catherine słyszała tylko połowę rozmowy, ale wiedziała, że poszło słabo. Wystawiła palec wskazujący w stronę kartek, mocno dźgając w spisane słowa.

- Powiedz to! Powiedz to, Ashley! - wyszeptwała gorączkowo.

Ashley uniosła dłoń i otarła łzy. Głęboko odetchnęła. Nie wiedziała, co wprawia w ruch, ale wiedziała, że jest to coś strasznego.

- Michael, jestem bardzo zmęczona. Próbowałam ci powiedzieć „nie” w każdy możliwy sposób. Nie rozumiem, dlaczego to do ciebie nie trafia. Naprawdę, nie rozumiem. Jest w tobie coś, czego nigdy nie pojmę. Więc mam zamiar porozmawiać z jedyną osobą, która, jak sądzę,



sprawi, żebyś zrobił to, o co cię proszę. Z kimś, kto mi powie, jak mam do ciebie mówić, żebyś mnie rozumiał. Z kimś, kto będzie wiedział, jak mam się ciebie pozbyć z mojego życia. Z kimś, co do kogo jestem na sto procent pewna, że pomoże mi się ciebie pozbyć. Z kimś, komu będę mogła zaufać, że mi pomoże.

Wiedziała, że wszystko, co mówi, sprokurowano tak, żeby wywołać w nim skrajną wściekłość.

O'Connell nie odpowiadał i Ashley pomyślała, że po raz pierwszy słucha, co ma mu do powiedzenia.

- Jest tylko jeden człowiek na świecie, którego naprawdę się boisz. Dzisiaj wieczorem pójde się z nim spotkać.

- Co ty mówisz? - zapytał gwałtownie O'Connell. - O kim mówisz? Ktoś, kto może ci pomóc? Nikt ci nie może pomóc, Ashley. Nikt, poza mną.

- Mylisz się. Jest taki człowiek.

- Kto? - Krzyk O'Connella dotarł do niej.

- Wiesz, gdzie jestem, Michael?

- Nie.

- Niedaleko twojego domu. Nie chodzi mi o twoje mieszkanie, ale o dom, w którym dorastałeś. Idę się spotkać z twoim ojcem. - Ashley kłamała na zimno, robiąc króciutkie przerwy po każdym słowie. - On mi pomoże. - I rozłączyła się. A kiedy po kilku sekundach telefon zaczął dzwonić, zignorowała go.

Sally popatrzyła znad kierownicy i poczuła się, jakby przez ciało przebiegł jej prąd. Michael O'Connell wybiegł pędem z domu. Ręce trzymał w kieszeniach kurtki, schody pokonał jednym skokiem i pobiegł, prawie sprintem, do najbliższej przecznicy. Sally sięgnęła po tani stoper leżący na fotelu dla pasażera. Włączyła go, gdy zobaczyła, że O'Connell wsiada do swojego samochodu i odjeżdża, gwałtownie przyspieszając, przy akompaniamencie pisku opon.

Wzięła komórkę i nacisnęła guzik szybkiego wybierania.

Kiedy usłyszała głos Scotta, powiedziała:

- Ruszył w drogę. - Rozłączyła się.

Teraz Scott powinien włączyć swój stoper.

Nie mogąc się wahać, pomyślała Sally. Czasu było tak mało. Chwyliła plecak i wyszła z samochodu. Szybko przeszła przez ulicę, do domu O'Connella. Głowę nisko zwiesiła, a czapkę narciarską naciągnęła najgłębiej, jak tylko mogła. Miała na sobie ubrania ze sklepu Armii Zbawienia: dżinsy, znoszone tenisówki i męską, dwurzędową kurtkę o marynarskim kroju. Skórzane rękawice nałożyła na cienkie lateksowe rękawiczki chirurgiczne.

Tam będzie broń, powtarzała w myślach.

Nie miała planu awaryjnego na wypadek, gdyby broni nie było. Tylko umowę, że zrezygnują z całego planu, wrócą do zachodniego Massachusetts i spróbują wymyślić coś nowego. Pomyślała, że Michael, wybierając się do ojca, mógł zabrać broń. Miała nawet nadzieję, że ją wzięł. Może użyje pistoletu, tak jak chcieli; może popełni błąd, który rozwiąże ich problemy.

Albo zabrał broń i użyje jej przeciwko nim.

Albo zabrał broń i użyje jej przeciwko Ashley.

Nie było planu awaryjnego, tylko paniczna ucieczka.

Sally poszła tą samą drogą, co Hope kilka dni wcześniej. Za chwilę stała już przed mieszkaniem z kluczem w dłoni.

Żadnych sąsiadów. Obserwowały ją tylko osoby stadka kotów pomiauujących w korytarzu. Czy zabił dzisiaj kóregoś z was? Wsunęła klucz do zamka i weszła.

Powiedziała sobie, żeby się nie rozglądać. Nie patrzeć na świat, w którym mieszkał Michael O'Connell. Wiedziała, że to tylko wywoła w niej strach. Znaleźć broń, powtarzała sobie. Teraz. Szybko.

Znalazła szafę. Znalazła ten róg. Znalazła but z brudną skarpetą, wełkniętą od góry.

Bądź tam, wyszeptła.

Podniosła skarpetę, zapamiętując, jak leżała. Nachyliła się i sięgnęła do środka.

Kiedy jej palce w rękawiczce dotknęły stalowej lufy, głośno odetchnęła.

Niepewnym ruchem wyciągnęła broń.

Wahała się. Idź naprzód albo się cofnij. Nie widziała wyboru, tylko strach. Kradzież broni przerażała ją. Pozostawienie jej - również.

Czuła się, jakby ktoś prowadził jej rękę. Ostrożnie włożyła broń do wielkiej plastikowej torby w plecaku. Skarpetę rzuciła na podłogę.

Jeszcze jedno. Szybko weszła do małego saloniku i spojrzała na podniszczone biurko, na którym stał podłączony do prądu laptop. Pomyślała, że narobił im mnóstwo kłopotów, siedząc przy tym biurku. A teraz nadszedł czas, żeby mu odplacić tym samym. Bardzo się bała, ale czuła też paskudną satysfakcję. Wyciągnęła komputer ze swojego plecaka i szybko zastąpiła nim laptop O'Connella. Były bardzo podobne. Nie wiedziała, czy natychmiast zobaczy różnicę, miała nadzieję, że nie. Poprzedniego dnia spędziła parę godzin, ładując rozmaite materiały ze stron pornograficznych i z ekstremalnie prawicowych, antyrządowych stron internetowych i zapełniając pamięć komputera mnóstwem wściekłych, satanistycznych, heavy-metalowych utworów. Kiedy uznała, że obciążających materiałów wystarczy, zaczęła pisać w Wordzie gniewny list, który zaczynał się od słów:

„Drogi Tato, Ty sukinsynu”. O’Connell stwierdzał w nim, że przed laty nie powinien skłamać na korzyść ojca i że teraz jest gotów naprawić tę wielką, życiową pomyłkę. Jest bowiem jedyną na świecie osobą zdolną wymierzyć mu sprawiedliwość i pomścić śmierć matki. Badania, które Scott przeprowadził nad historią rodziny O’Connellów, były niezwykle pomocne.

Sally zrobiła jeszcze dwie rzeczy. Odkręciła tylny panel, który dawał dostęp do wnętrza komputera, i ostrożnie poluzowała łącze, przez które wchodził główny przewód mocy. Teraz nie można już było włączyć maszyny. Potem z powrotem założyła panel, ale zmieniła coś jeszcze: za pomocą dwóch kropli super glue zablokowała całkowicie jedną ze śrubek. Pomyślała, że O’Connell być może umiałby naprawić komputer, ale nie uda mu się go otworzyć. Policyjnym technikom z laboratorium kryminalistycznego uda się to na pewno.

Szybko sprawdziła ustawienie laptopa. Wydawało jej się, że nowa maszyna stoi tak jak stara.

Sally wepchnęła komputer O’Connella do plecaka, obok broni.

Spojrzała na stoper. Mijała jedenasta minuta.

Za wolno, za wolno, powtarzała sobie, zarzucając plecak na ramię. Czowała, jak broń uderza ją w plecy. Głęboko odetchnęła. Niedługo tu wróci.

Komórka leżąca na fotelu w samochodzie zadzwoniła gwałtownie. Scott odebrał i usłyszał głos, którego się spodziewał.

- Hej, czy to pan Jones?

Głos ojca O’Connella był trochę niewyraźny, ale podekscytowany.

- Tu Smith - odparł Scott.

- Tak, prawda, pan Smith. Zgadza się. Hej, tu...

- Wiem kto, panie O’Connell.

- No, cholera, jeśli nie miał pan racji. Właśnie dostałem telefon od dzieciaka, tak jak pan powiedział. Jedzie tutaj.

- Teraz?

- Tak. Jest około półtorej godziny od Bostonu, ale jedzie szybko, więc chyba będzie trochę wcześniej.

- Uzgodnię sprawy. Dziękuję.

- Dzieciak wrzeszczał coś o jakiejś dziewczynie. Musi być naprawdę wściekły. Prawie oszalał. Panie Jones, czy tu chodzi o jakąś dziewczynę?

- Nie. O pieniądze. I jego długi.

- Hm, on myśli, że o coś innego.

- To, co on myśli, jest nieistotne dla naszych interesów, panie O’Connell, prawda?

- Tak. Chyba tak. To co mam zrobić?

Scott się nie zawahał. Spodziewał się tego pytania.

- Niech pan na niego czeka. Niech go pan wysłucha. Bez względu na to, co będzie mówił.

- A co pan zrobi?

- Poczynimy pewne kroki, panie O'Connell. A pan zgarnie swoją nagrodę.

- A jeśli będzie chciał odjechać?

Zaschło mu w gardle. Poczł skurcz w klatce piersiowej.

- Niech pan odejdzie od drzwi i wypuści go.

Hope piła kawę, czekając na Sally. Gorzki smak palił ją w język. Podjechała pod wielki sklep spożywczy. Ruch był duży, ale ona zaparkowała daleko od wejścia. Od najbliższego samochodu stojącego na placu dzieliło ją ponad dwadzieścia pustych miejsc parkingowych.

Kiedy zobaczyła Sally, w nierzucającym się w oczy samochodzie z wypożyczalni, odruchowo napięła mięśnie. Sally jechała powoli. Hope odstawiła kubek z kawą i szybko popuściła szybę. Machnęła ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę. Czekwała, aż Sally zaparkuje dwa miejsca dalej, potem poszła w jej stronę. Sally rozglądała się nerwowo i wyglądała blade.

Już z daleka zauważyła, że kręci głową.

- Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobiła. To powinno być moje zadanie...

- Już to przerabialiśmy - powiedziała Hope. - Machina ruszyła. Zmiana mogłaby wszystko zepsuć.

- Ja po prostu nie mogę.

Hope zaczerpnęła tchu. Pomyślała, że to jej ostatnia szansa. Mogła jeszcze się wycofać. Odmówić. Zapytać: co my, u diabła, robimy?

- Jak się chce, to się może - odparła. - Ashley uważa, że ją ochronimy. I chyba jesteśmy w stanie to zrobić. To proste.

- Boisz się?

- Nie - skłamała Hope.

- Powinniśmy się powstrzymać, natychmiast. Chyba zwariowaliśmy.

Chyba tak, pomyślała Hope.

- Jeśli tego nie zrobimy, a Ashley przydarzy się nieszczęście, to do końca życia, nawet na jeden dzień nie przebaczymy sobie, że to się stało. Chyba łatwiej mi będzie wybaczyć sobie to, zaplanowaliśmy. Nie możemy stać i patrzeć, jak coś strasznego dzieje się z Ashley.

Hope głęboko odetchnęła.

- Jeśli nie uda się nam, tylko jemu, nigdy nie będziemy miały spokoju.

- Wiem - powiedziała Sally, kiwając głową.

- Teraz broń. Jest w plecaku?
- Tak.
- Nie zostało wiele czasu, prawda?

Sally popatrzyła na stoper.

- Chyba jesteś jakiś kwadrans za nim. Scott też jedzie, żeby zająć pozycję.

Hope pokręciła głową.

- Wiesz, kiedy dorastałam, grałam wiele razy według zegara. Czas to istotny czynnik. Tym razem nie jest inaczej. Muszę jechać. Wiesz przecież. Przegrana z powodu spóźnienia byłaby czymś strasznym. Jedź, Sally, i rób, co do ciebie należy. Ja zrobię to samo i może pod koniec dnia wszystko będzie w porządku.

Sally mogła powiedzieć jeszcze wiele, właśnie teraz, ale wołała milczeć. Ucisnęła mocno rękę Hope, walcząc ze łzami. Hope się uśmiechnęła.

- Jedź. Nie ma czasu. Żadnego gadania. Czas działać.

Sally skinęła głową, położyła plecak na podłodze wozu i odsunęła się trochę. Kiedy Hope zapaliła silnik i wyjeżdżała z parkingu, pomachała jej dyskretnie. Do wjazdu na autostradę międzystanową było pół kilometra i Hope wiedziała, że musi szybko jechać, żeby zniwelować różnicę czasu między nią a Michaeliem O'Connellem. Starła się nie spoglądać w lusterko wsteczne, póki nie znalazła się daleko od miejsca spotkania. Nie chciała widzieć samotnej Sally stojącej na parkingu.

Scott wjechał porysowaną ciężarówką na parking studencki przy wielkim college'u przygotowującym do studiów wyższych, jakieś dziewięć, dziesięć kilometrów od domu, w którym dorastał Michael O'Connell.

Rozejrzał się ostrożnie, czy nikogo nie ma w pobliżu, zdjął ubranie i szybko włożył stare dżinsy, bluzę, powycieraną niebieską kurtkę i buty do biegania. Na głowę naciągnął ciepłą wełnianą czapkę i chociaż słońce zachodziło, włożył okulary przeciwsłoneczne. Chwycił plecak, upewnił się, czy ma w kieszeni telefon komórkowy, i wysiadł z ciężarówki.

Scott pomyślał, że Michael O'Connell jedzie szybko i nic go nie zatrzyma, chyba że patrol policyjny, a to byłoby im na rękę.

Scott zgarbił się i poszedł przez parking. Wiedział, że autobus przejeżdża blisko wejścia do szkoły. Wsiądzie z niego na jakiś kilometr przed domem O'Connella. Zapamiętał rozkład jazdy, w prawej kieszeni miał drobne na bilet w jedną stronę, a w lewej na powrót.

Kilkoro studentów w różnym wieku czekało pod daszkiem przystanku. Pasował do nich: w szkole przygotowującej do studiów uczeń mógł mieć dziewiętnaście lat albo pięćdziesiąt dziewięć. Nie nawiązywał kontaktu

wzrokowego z żadnym z oczekujących. Zmuszał się do obojętnych myśli z nadzieją, że uczynią go niewidzialnym.

Kiedy nadjechał autobus, znalazł miejsce z tyłu i usiadł sam. Odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno na wiejski krajobraz. Scott był jedyną osobą wysiadającą na tym przystanku. Przez chwilę nie ruszał się, stał samotnie na poboczu, patrząc, jak autobus niknie w wieczornym mroku. Potem poszedł przed siebie. Maszerował szybko, zastanawiając się, ku czemu tak się spieszy. Ale wiedział, że teraz najbardziej liczy się czas.

Fotografie z miejsca przestępstwa mają jakąś niesamowitą właściwość. Jakby ktoś zrobił film do oglądania klatka po klatce, a nie w całości zmontowany. Te zdjęcia miały osiem na dziesięć centymetrów, były lśniące i kolorowe. Stanowiły fragmenty wielkiej układanki.

Próbowałem wchłonąć w siebie każde z nich, wpatrywałem się w nie jak w strony książki.

Detektyw siedział naprzeciwko mnie i obserwował moją twarz.

- Wyobrażam sobie to miejsce - powiedziałem - żeby lepiej zrozumieć, co się stało.

- Niech pan myśli o zdjęciach jak o poziomicach na mapie - odparł. - Wtedy nabiorą w końcu sensu. Chociaż, muszę przyznać, to, co tam zobaczyliśmy, nie było wesołe.

Sięgnął i wygrzebał kilka fotografii.

- Niech pan popatrzy tutaj. - Pokazał rozrzucone meble, poczerniałe i zwęglone. - Czasem to kwestia doświadczenia. Człowiek się czyzy porządkować ten bałagan tak, żeby się z niego czegoś dowiedzieć.

Spojrzałem, próbując zobaczyć obraz jego oczami.

- Co konkretnie? - zapytałem.

- Tam się odbyła cholerna walka. Bili się jak wszyscy diabli.

## 43. Otwarte drzwi

Dzięki temu, że kilka dni wcześniej oglądał sąsiedztwo domu starego O'Connella, Scott wiedział, gdzie najlepiej zaczekać.

Nie mógł rzucać się w oczy; gdyby ktoś go zobaczył i powiązał postać w ciemnym ubraniu z mężczyzną w garniturze i krawacie, który zadawał tyle pytań, spowodowałoby to poważne problemy. Ale musiał widzieć

fronton domu, a szczególnie gruntowy podjazd. Miejsce, które wybrał, żeby zaczekać, było kiedyś stodołą, a dziś rudera, z zapadniętą połową dachu. Zza narożnika, gdzie przykucnął, widział wejście do domu O'Connella. Liczył na to, że Michael O'Connell będzie jechał szybko, może nawet ostami zakręć weźmie z piskiem opon, rozrzucając żwir i ziemię pod domem, w którym kiedyś mieszkał. Narób hałasu, szeptał do siebie Scott, jakby chciał zachęcić O'Connella do nieostrożności. Niech ktoś zobaczy twoje przybycie.

W okolicznych domach paliły się światła. Scott wdychał zimne powietrze. Co jakiś czas widział sylwetkę przemykającą za oknem i wszechobecną poświatę ekranów telewizyjnych.

Unióś rękę do twarzy, żeby zobaczyć, czy drży. Pomyślał, że może trochę. Ale nie na tyle, żeby miało to jakieś znaczenie.

Powiedział do siebie, że tej nocy uzyska odpowiedzi na dręczące go od dawna pytania: kim jest on sam, kim jest Sally i kim jest Hope.

Przez chwilę pomyślał o Hope. Poczł przyływ paniki.

Nie znam jej, myślał. Ledwie pojmuję, kim jest.

Ale nagle całe jego życie zależało od niej.

Scott próbował zrozumieć, dlaczego choć przez moment uwierzył, że ich troje dokona czegoś tak im obcego. W tej krótkiej chwili zwątpienia usłyszał odgłos szybko nadjeżdżającego samochodu.

Tymczasem Sally wróciła w okolice Bostonu. Jechała do dzielnicy handlowej w okolicach Brookline. Zatrzymała się przy bankomacie przed sklepami, gdzie za pomocą karty wyjęła sto dolarów. Gdy tylko automat wypluł banknoty, uniosła głowę, żeby kamera ochrony mogła zarejestrować jej twarz. Z rozmysłem włożyła do kieszeni potwierdzenie z godziną dokonania transakcji.

Potem weszła do galerii handlowej, do sklepu z elegancką bielizną.

Przez moment chodziła wśród stojaków obwieszonych jedwabiami i koronkami, aż zauważyła jedną z młodszych sprzedawczyń. Dziewczyna nie była chyba starsza niż Ashley.

Sally podeszła do niej.

- Czy mogłaby mi pani pomóc?

- Oczywiście. Czego pani szuka?

- Hm, chciałabym znaleźć coś dla mojej córki, jest mniej więcej pani wymiarów. Coś specjalnego, bo ostatnio miała ciężkie dni. Zerwała z chłopakiem, wie pani, jak to jest, a ja chciałam dać jej coś, żeby poczuła się piękna i sexy. Wie pani, o co mi chodzi?

- Pewnie, że wiem - powiedziała sprzedawczyni. - Pani bardzo się o nią troszczy.

- Hm, a jak ma postąpić matka? I wie pani, chciałabym też znaleźć coś ładnego dla przyjaciółki, której ostatnio trochę dokuczyłam. Może jedwabną piżamę?

- Służę pani. Zna pani rozmiar?

- O tak. To dla bardzo bliskiej przyjaciółki. Mamy wiele wspólnych spraw w zachodnim Massachusetts, gdzie mieszkamy. Ale ostatnio trochę się pokomplikowały i chciałam to naprawić. Kwiaty zawsze są miłe, ale kiedy związek jest bliski, czasem lepiej dać coś bardziej trwałego, nie sądzi pani?

Sprzedawczyni się uśmiechnęła.

- Absolutnie.

Sally pomyślała, że napomknięcie o zachodnim Massachusetts - słynącym w całym stanie z kobiet umiejących porozumiewać się ze swoimi partnerami - pomoże przekazać tej młodej kobiecie to, co chciała. Poszła za nią w stronę półek z drogą bielizną, sądząc, że powiedziała już dostatecznie dużo, żeby dziewczyna ją zapamiętała. Sally nie omieszczała również skorzystać z karty kredytowej, to też pozwalało ją tutaj umiejscowić. Pomyślała, że mogłaby przed wyjściem zażądać rozmowy z kierowniczką sklepu, żeby pogratulować jej doboru pracowników. Takie rozmowy zawsze się później pamięta.

- To jedno z naszych najładniejszych rzeczy - powiedziała sprzedawczyni.

Sally uśmiechnęła się, jakby to, co robiła, było najbardziej naturalne na świecie.

- Och tak. W istocie.

Mniej więcej w tym samym momencie Catherine i Ashley robiły zakupy w supermarkecie spożywczym niecały kilometr od domu Hope i Sally. Pchały wózek wypełniony drogą zdrową żywnością. Obie milczały.

Kiedy skręciły w jedną z alejek z przodu sklepu, Ashley zauważyła wielki stos świeżych dyń ułożonych w wieżę i ozdobionych suchymi kaczanami kukurydzy. Była to dekoracja na Święto Dziękczynienia, z rzędem orzechów włoskich, żurawin i papierowych indyków pośrodku. Szturchnęła łokciem Catherine i pokazała gestem wystawę.

Catherine kiwnęła głową.

Popchnęły wózek bliżej ekspozycji. Kiedy przejeżdżały obok stołu, który stanowił fundament konstrukcji, Catherine powiedziała na głos:

- Och, psiakrew, zapomniałam sosu do fasolki.

Mówiąc to, tak przesunęła wózek, że przednie koło zahaczyło o nogę stołu. Wystawa chwiała się przez moment, a Ashley pisnęła i pochyliła się do przodu, jakby chciała podeprzeć dynie, ale naprawdę chwyciła jedną z największych, leżących na spodzie.



Całość runęła z wielkim hukiem - suche tykwy, kukurydza, wszystko spadło na podłogę, a żółte dynie zaczęły się toczyć w różne strony. Catherine wydała stłumiony okrzyk strachu.

- Och, wielkie nieba! - krzyknęła głośno.

Błyskawicznie przybiegli sprzedawcy z kierownikiem. Zaczęli naprawiać wystawę, a Catherine i Ashley wylewnie przeproszały i nalegały, że zapłacą za szkodę. Kierownik odmówił przyjęcia pieniędzy, ale Catherine sięgnęła do portmonetki i wyjęła pięćdziesiąt dolarów, które zaczęła mu wpychać.

- Niech pan zadba, żeby mili młodzi ludzie, którzy posprzątali bałagan, jakiego narobiliśmy z Ashley zostali odpowiednio nagrodzeni za pomoc.

- Nie, nie - protestował kierownik. - Naprawdę, proszę pani, to nie jest konieczne.

- Nalegam.

- Ja też - powiedziała Ashley.

Kierownik, kręcąc głową, wziął pieniądze, ku wielkiej uldze personelu.

Ashley popchnęła wózek w stronę kas, a Catherine wyjęła kartę kredytową, żeby zapłacić za zakupy. Obie kobiety upewniły się, że stoją twarzą w stronę kamer ochrony. To była pierwsza instrukcja Sally: „Koniecznie zróbcie coś w miejscu publicznym, żeby było wiadomo, że byliście blisko domu”.

Wykonały, co do nich należało. Nie wiedziały, co o tej samej porze działo się w innych częściach Nowej Anglii, ale wyobrażały sobie, że było to coś niebezpiecznego.

Reflektory samochodu Michaela O'Connella oświetliły fronton jego dawnego domu. Światła odbiły się od wypolerowanego boku ciężarówki ojca. Głośno trzasnęły drzwi samochodu i Scott zobaczył, jak O'Connell idzie do kuchennych drzwi. Pośpiech, z jakim kroczył, zdawał się rozświetlać ciemności.

Scott pomyślał, że gniew O'Connella jest im na rękę. Rozzłoszczeni ludzie nie zauważają szczegółów, które później stają się istotne.

Patrzył, jak O'Connell chwytą klamkę i znika w drzwiach. Na kilka sekund znalazł się poza polem widzenia Scotta.

Scott nabrał głęboko powietrza, przygarbił się i przebiegł przez ulicę, starając się trzymać ciemniejszych miejsc. Na podjeździe, gdzie O'Connell zostawił samochód, pochylił się i sięgnął do plecaka. Wyciągnął rękawiczki chirurgiczne, włożył je. Potem wyjął młotek z twardej gumy i pudło galwanizowanych gwoździ. Rzucił okiem w stronę domu, gwałtownie odetchnął i wbił gwóźdź w tylną oponę samochodu O'Connella. Nachylił się jeszcze niżej i usłyszał syk uchodzącego powietrza.

Wyjął parę gwoździ i rozrzucił je po podjeździe.

Podszedł ukradkiem do ciężarówki starszego O'Connella. Pudełko z resztą gwoździ zostawił otwarte na tylnym siedzeniu. Obok położył młotek, ot jedno z narzędzi, które wałały się po ciężarówce. Po ukończeniu pierwszego zadania Scott odwrócił się i wrócił do kryjówki. Kiedy przechodził przez ulicę, usłyszał podniesiony głos, naładowany gniewem, dochodzący z wnętrza domu. Miał ochotę poczekać, żeby zrozumieć słowa, ale wiedział, że nie może zwlekać.

Kiedy dotarł do rozwalonej stodoły, wyjął komórkę i nacisnął przycisk szybkiego wybierania.

Zadzwoiła dwa razy, zanim Hope odebrała.

- Jesteś blisko? - zapytał.
- Niecałe dziesięć minut.
- Już się zaczęło. Zadzwoń, kiedy się zatrzymasz.

Hope rozłączyła się bez odpowiedzi. Nacisnęła gaz. Obmyślili, że między przyjazdem Michaela O'Connella a jej przybyciem powinno minąć co najmniej dwadzieścia minut. Trzymali się rozkładu, pomyślała. Wcale jej to nie dodało ducha.

Michael O'Connell i jego ojciec stali w odległości kilkudziesięciu centymetrów od siebie w brudnym salonie.

- Gdzie ona jest? - krzyknął syn, zaciskając pięści. - Gdzie?
- Gdzie jest kto? - zapytał ojciec.
- Ashley! Do cholery. Ashley! - Rozejrzał się z wściekłością. Ojciec roześmiał się szyderczo.

- No, co za cholerna sprawa. Co za cholerna sprawa.

Michael O'Connell okręcił się na pięcie i znów stanął twarzą w twarz z ojcem.

- Ukrywa się? Gdzie ją schowałeś?

Starszy z O'Connellów pokręcił głową.

- Nadal nie wiem, o kim, do diabła, mówisz. I kto to, do cholery, jest Ashley? Jakaś dziewczyna, którą poznałeś w ogólniaku?

- Nie. Wiesz o kim mówię. Dzwoniła do ciebie. Miała tutaj być. Powiedziała, że jest w drodze. Przestań robić mnie w konia, bo jak mi Bóg miły...

Michael O'Connell podniósł na ojca pięść.

- Bo co? - zapytał ojciec.

Starszy O'Connell zachował spokój. Niespiesznie popijał piwo z butelki, patrząc spod przymrużonych powiek na syna. Potem spokojnie podszedł do leżanki, położył się, znów pociągnął piwa i wzruszył ramionami.

- Dzieciaku, ja po prostu nie wiem, o co ci chodzi. Nic nie wiem o żadnej Ashley. Nagle, po latach, do mnie dzwoniś, zaczynasz wrzeszczeć o jakiejś lasce, jakbyś był gnojkiem z pierwszej klasy ogólniaka, a ja nie mam o niczym pojęcia. Potem wyskakujesz jak diabeł z pudełka, znowu pytasz o coś tam, a ja nadal nie wiem, o co chodzi. Może otworzysz sobie piwko i przestaniesz zachowywać się jak smarkacz.

Mówiąc to, wskazał w stronę kuchni i lodówki.

- Nie chcę pić. Niczego od ciebie nie chcę. I nigdy nie chciałem. Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest Ashley.

Ojciec znów wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Nie mam, cholera, pojęcia, o kim ty mówisz. To w ogóle nie ma sensu.

Michael O'Connell wydyszał z wściekłością:

- Stary, ty tutaj siedź. Nie ruszaj się. Muszę się rozejrzeć.

- Nigdzie się nie wybieram. Chcesz się rozejrzeć? Proszę. Niewiele się zmieniło, odkąd się wyprowadziłeś.

Syn pokręcił głową.

- Tak, niewiele - powiedział z goryczą, torując sobie drogę przez salonik. Kopnął gazety zalegające podłogę. - Postarzałeś się i pewnie więcej pijesz, a tutaj jest większy bałagan.

Ojciec tylko zerknął na syna, który przebiegł obok niego. Nie ruszył się z miejsca, kiedy młodszy O'Connell wchodził do pomieszczeń położonych za salonem.

Najpierw poszedł do pokoju, który kiedyś należał do niego. Jego stare, podwójne łóżko nadal stało w rogu, a kilka plakatów AC/DC i Slayer wisiało tam, gdzie je powiesił. Tandetne trofea sportowe, stara koszulka piłkarska przyszipiona do ściany, parę książek z ogólniaka i jaskrawoczerwony obraz przedstawiający chevroleta corvette wypełniały resztę miejsca. Przeszedł przez pokój i gwałtownie otworzył szafę. Był prawie pewien, że właśnie tam ukrywa się Ashley. Ale w szafie wisiały tylko dwie marynarki śmierzdzące kurzem i pleśnią, a na dnie leżało kilka pudełek po starych filmach wideo. Kopnął pudełko, rozsypując jego zawartość po podłodze.

Wszystko w pokoju przypominało mu to, czego nienawidził: kim był i skąd pochodził. Zobaczył, że ojciec rzucił rzeczy po matce na łóżko - sukienki, spodnium, płaszcze, buty, kilka emaliowanych pudełek z taną biżuterią i fotografię z ich trojgiem podczas wakacji na kempingu w Marine. Zdjęcie wywołało w nim jedynie koszmarnie wspomnienia: za dużo picia, kłótnia i milczący powrót do domu. To było trochę tak, jakby ojciec wyrzucił do jednego pokoju wszystko, co przypominało mu zmarłą żonę i syna, który z nim zerwał; wykopał wszystko, żeby pokryło się kurzem i zgnilizną.

- Ashley! - krzyknął. - Gdzie jesteś, do diabła?

Ojciec odkrzyknął z fotela w salonie:

- Nie znajdziesz nikogo ani niczego. Ale szukaj sobie, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. - Zaśmiał się fałszywym, sztucznym śmiechem, wywołując w synu jeszcze większą wściekłość.

Michael O'Connell zazgrzytał zębami i gwałtownie otworzył drzwi do łazienki. Odsunął zasłonę prysznicza, brudną, zapleśniałą i śliską. Fiolka, która stała na umywalce, nagle spadła na podłogę, a tabletki rozsypały się po kafelkach. Pochylił się i podniósł plastikową butelkę. Zobaczył, że to lekarstwo na serce.

- Więc stara pikawa sprawia ci kłopoty, co? - powiedział głośno.

- Zostaw w spokoju moje rzeczy - odkrzyknął ojciec.

- Pieprz się - wyszeptał do siebie Michael O'Connell. - Mam nadzieję, że to, co ma cię zabić, będzie bolało przed śmiercią jak diabli.

Upuścił fiolkę na podłogę, zmiażdżył ją stopą, a potem to samo zrobił z rozsypanymi tabletkami. Wyszedł z łazienki. Poszedł do drugiej sypialni.

Królewskich rozmiarów łóżko było nieposłane, a prześcieradła brudne. W pokoju śmierdziało papierosami, piwem i brudnymi ubraniami. Z plastikowego kosza na pranie stojącego w kącie wysypywały się bluzy i bielizna. Na stoliku nocnym stały pojemniczki z tabletkami, do połowy opróżnione butelki z alkoholem i zepsuty budzik. Wysypał tabletki na rękę i włożył je do kieszeni, a pojemniki rzucił na łóżko. Będziesz miał niespodziankę, kiedy będą ci potrzebne, pomyślał.

Jednym szarpnięciem otworzył podwójne drzwi szafy. Połowa szafy - ta połowa, w której kiedyś były rzeczy matki - była pusta. Resztę zajmowały ubrania ojca - spodnie, koszule z kołnierzykiem i sportowe kurtki i krawaty, których nigdy nie nosił.

Podszedł do rozsuwanych, szklanych drzwi wiodących na podwórko z tyłu. Pociągnął, ale były zamknięte. Przycisnął twarz do szyby i spojrzął w ciemność. Wreszcie otworzył drzwi i wyszedł, ignorując krzyk ojca:

- Co ty, do diabła, robisz?

Rozejrzał się na lewo i prawo. Tu nie ma miejsca, gdzie można by się schować, pomyślał.

Odwrócił się i wszedł do środka.

- Idę poszukać w piwnicy - krzyknął. - Jeśli chcesz oszczędzić mi trudu, powiedz, gdzie ona jest. A może powinienem inaczej z tobą porozmawiać?

- Jazda. Szukaj sobie w piwnicy. I wiesz co? Jakoś się ciebie nie boję. Nigdy się nie bałem.

Już ja się o to postaram, żebyś zaczął się bać, powiedział do siebie Michael O'Connell.

Drzwi w korytarzu prowadziły do piwnicy - ciemnego, przytłaczającego pomieszczenia pełnego pajęczyn i kurzu. Kiedyś, gdy miał dziewięć lat, ojciec wsadził go tam i zamknął drzwi na klucz. Matki nie było w domu, a on zrobił coś, co rozgniewało starego. Trzepnął go w głowę, zrzucił ze schodów i zostawił w ciemności na godzinę. Michael O'Connell stał u szczytu schodów i myślał, czego najbardziej nienawidził u ojca i matki: im bardziej na siebie krzyczeli i bili się, tym bliżej siebie byli. Wszystko, co powinno ich dzielić, zdawało się cementować ich związek.

- Ashley! - krzyknął. - Jesteś tam?

Jedyna żarówka dawała niewiele światła. Rozglądał się po ciemnych kątach, szukając dziewczyny.

Pomieszczenie było puste.

Czuł, jak wzbiera w nim gniew, a gorąco spływa po ramionach do zacisniętych pięści. Odwrócił się i poszedł do saloniku, w którym czekał na niego ojciec.

- Była tutaj, prawda? - zapytał. - Wcześniej. Żeby z tobą porozmawiać. Ja nie zdążyłem, a ona powiedziała, żebyś mi nakłamał, zgadza się?

Stary wzruszył ramionami.

- Nadal gadasz bez sensu.

- Powiedz prawdę.

- Mówię prawdę. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Jeśli mi nie powiesz, co się stało, co ci powiedziała, kiedy tu była i dokąd poszła, to zrobię ci coś złego, stary. Nie żartuję. Wierz mi, zadam ci mnóstwo bólu, bo nic mnie nie obchodzisz, nigdy mnie nie obchodziłeś. Więc mów, co jej powiedziałaś, kiedy do ciebie zadzwoniła.

- Jesteś większym wariatem, niż cię zapamiętałem albo całkiem zgłupiałeś. Nie wiem, jedno czy drugie. - Stary podniósł butelkę do ust i rozparł się na fotelu.

Michael O'Connell podszedł i szybkim ruchem wytrzącił butelkę z dłoni ojca. Uderzyła o ścianę i rozbiła się na kawałki. Ojciec ledwo zareagował, popatrzył na rozbite szkło, a potem na syna.

- To nigdy nie było jasne, prawda? Który z nas wyrósł na gorszego drania.

- Pieprz się, stary. Odpowiedz na pytanie.

- Najpierw podaj mi drugie piwo.

Michael O'Connell nachylił się i złapał ojca za koszulę, unosząc go z fotela. W tej samej chwili ojciec złapał syna za kołnierz i skręcił mu sweter tak, że chłopak zaczął się dusić. Patrzyli na siebie z odległości paru centymetrów. Potem O'Connell popchnął ojca z powrotem na fotel, a ten puścił syna.

Michael podszedł do telewizora. Przez chwilę patrzył na niego.

- To tak spędzasz wieczory? Upijasz się i patrzysz w to pudło? Ojciec nie odpowiedział.

- Za dużo telewizji wyjdzie ci bokiem. Wiesz o tym?

Michael O'Connell poczekał sekundę, żeby jego ironiczne słowa dotarły do adresata, i prawą stopą wyprowadził kopnięcie w stylu karate prosto w telewizor. Odbiornik spadł i rozbił się ekran.

- Draniu. Zapłacisz za to.

- Naprawdę? Co jeszcze mam zniszczyć, żebyś mi powiedział, co się stało, kiedy do ciebie zadzwoniła? Jak długo tutaj była? Co ci obiecała? Co jej powiedziałaś?

Zanim ojciec zdołał odpowiedzieć, podszedł do półki i rzucił z niej bibeloty i fotografie.

- To były pamiątki po twojej matce. Dla mnie nic nie znaczyły.

- Mam się rozejrzeć i znaleźć coś, co miałyby dla ciebie znaczenie? Co ci powiedziała?

- Dzieciaku - wycodził ojciec przez zaciśnięte wagi - ja nawet nie wiem, kim ta laska jest dla ciebie. I w co cię wkręciła, też nie wiem. Masz problemy? Finansowe?

Michael O'Connell popatrzył na ojca.

- O czym ty mówisz?

- Ktoś cię szuka, dzieciaku? Bo myślę, że zaraz cię znajdą, a wtedy nie będą mili. Ale to już pewnie wiesz.

- W porządku - powiedział powoli Michael O'Connell. - Ostatnia szansa, zanim dobiore się do ciebie i zapłacę ci za każde bicie, które mi sprawiłeś, kiedy byłem dzieckiem. Czy dziewczyna o imieniu Ashley zadzwoniła dzisiaj do ciebie? Czy powiedziała, żebyś jej pomógł zerwać ze mną? Czy powiedziała, że jedzie tutaj, żeby z tobą porozmawiać?

Stary nadal przyglądał się synowi, mrużąc przepelnione wściekłością oczy. Ale zanim ogarnęła go furia, zdołał wydusić z siebie:

- Nie. Nie, do diabła. Żadnej Ashley. Żadnej dziewczyny. Nic z tych rzeczy, o których mówiłeś. I to jest, do cholery, prawda, czy chcesz w to wierzyć, czy nie.

- Kłamiesz. Ty stary draniu, kłamiesz.

Ojciec pokręcił głową i roześmiał się, co rozwścieczyło Michaela O'Connella jeszcze bardziej. Miał wrażenie, że stoi na parapecie i z trudem utrzymuje równowagę. Najbardziej pragnął teraz poczuć, jak jego pięści miażdżą twarz starego. Ale powiedział sobie, że musi się dowiedzieć, jaki był powód, że go tu zwabiono. Nadal nic nie rozumiał.

- Powiedziała...

- Nie wiem, co powiedziała. Ale panna, jak tam do diabła się ona nazywa, nie dzwoniła tutaj ani nie pojawiła się w drzwiach.

Michael O'Connell cofnął się o krok.

- Ja nie... - Myślał intensywnie. Nie rozumiał, dlaczego Ashley wysłała go w podróż do domu, chyba że coś zamierzała. Nie rozumiał, na co liczyła.

- Z kim masz kłopoty? - zapytał stary.

- Z nikim. O co ci chodzi? - wyrzucił z siebie Michael, zły, że przeważało mu tok myśli.

- Co to jest? Narkotyki? Poszedłeś na właz z jakimiś facetami i wystawiłeś ich potem do wiatru? Co takiego robisz, że forsiaści faceci cię szukają? Co im ukradłeś?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - dziwił go zadowolony wyraz twarzy ojca. W tym momencie zrozumiał, że stary powinien być znacznie bardziej rozzłoszczony rozbitym telewizorem. Michael O'Connell pomyślał, że ojciec nie irytuje się, bo wie, że ktoś jeszcze tutaj jedzie.

- Z kim ty się, kurwa, zadałeś, dzieciaku? Bo ktoś jest na prawdę wkurzony.

- Kto ci to powiedział?

Stary wzruszył ramionami.

- Nic nie mówię. Po prostu wiem.

Michael O'Connell się wyprostował. Nic tu nie ma sensu, pomyślał. A może właśnie ma.

- Stary, dam ci wycisk. Musisz to zrozumieć. Jesteś stary, słaby, a ja zadam ci ogromny ból. Teraz gadaj, o czym mówisz! - krzyknął z drugiego końca pokoju. Zrobił dwa szybkie kroki i znów pochylił się nad ojcem, który uśmiechnięty nie ruszył się z fotela. Myślał, co zrobić, żeby zatrzymać syna w domu dłużej, żeby tajemniczy pan Smith mógł wszystko przygotować jak należy, bez względu na to, co by to było.

Niecały kilometr od domu O'Connella Hope spostrzegła na ulicy kilka odrapanych, starych samochodów i pikapa z naklejonymi na karoserii skrzydełkami harleya davidsona. Stały na poboczu, nieporządnie zaparkowane. Widziała światło dochodzące z zaniechanego domu, odsuniętego nieco od ulicy. Słyszała głośną rozmowę i hardrockową muzykę. Zrozumiała, że ktoś urządził sobie przyjęcie. Piwo i pizza, pomyślała, a na deser metamfetamina. Zatrzymała wynajęty wóz tuż za jednym z parkujących tam samochodów, żeby wyglądało, że jest jednym z gości.

Szybko naciągnęła na siebie czarny kombinezon, który kupiła dla niej Sally. Do kieszeni wepchnęła granatową kominiarkę i czapkę. Potem włożyła rękawiczki chirurgiczne, a na nie skórzane rękawice. Wokół nadgarstków i kostek owinęła kilkakrotnie czarną taśmę izolacyjną, tak żeby między kombinezonem, rękawicami i butami nie było widać ani kawałka ciała.

Plecak z pistoletem przerzuciła przez ramię i zaczęła biec truchtem w stronę domu O'Connella. Przebranie sprawiało, że wtapiała się w mrok. W rękę trzymała telefon komórkowy. Zadzwoiła do Scotta.

- W porządku, jestem tutaj. Kilkaset metrów od ciebie. Czego szukam?

- Chłopak jeździ pięcioletnią czerwoną toyotą z tablicami z Massachusetts - powiedział Scott. - Ojciec ma czarną półciężarówkę, która stoi częściowo pod zadaszeniem. Jedyne światło na zewnątrz jest przy bocznych drzwiach. Tam wchodzisz.

- Czy oni nadal...

- Tak. Słyszałem, jak tam, w środku, coś się tłukło.

- Ktoś jeszcze?

- Nikogo więcej nie widzę.

- Gdzie powinnam...

- Przy daszku nad samochodem. Po prawej stronie. Leży tam mnóstwo różnych narzędzi i części silnika. Będziesz mogła ich widzieć, a sama pozostaniesz niewidoczna.

- Okay - powiedziała Hope. - Obserwuj uważnie. Porozmawiamy później.

Scott się rozłączył. Oparł się o ścianę starej, zrujnowanej stodoły i patrzył. Pomyślał, że jest bardzo ciemno. W tej wiejskiej części świata nie było lamp ulicznych. Dopóki Hope nie wyjdzie z ciemności, wszystko będzie dobrze. Ale zganil się. Uwaga, że wszystko będzie dobrze, nie miała sensu. Żadne z nich nie wyjdzie z tego bez szwanku. Może poza Ashley, ale to ona była powodem ich działania.

Scott zastanawiał się, czy Hope, która gra główną rolę w dramacie stworzonym przez ich troje, będzie w stanie opanować wątpliwości?

Hope biegła zgięta wół jak dzikie zwierzę, a nie sportsmenka, którą kiedyś była. Przecięła podwórze i wśliznęła się za boczną ścianę zadaszenia nad samochodem. Przypadła do ziemi i przez chwilę starała się zorientować, co jest wokół niej. Najbliższe domy stały co najmniej o trzydzieści, czterdzieści metrów dalej, po drugiej stronie ulicy.

Oparła głowę o ścianę zadaszenia i zamknęła oczy.

Próbowała znaleźć jakiś bodziec, który da jej siły na najbliższych kilka minut. Wyobraziła sobie martwe ciało Bezimiennego leżące w jej ramionach, a potem, oczami duszy, zobaczyła Ashley zamiast psa.

To ją wzmocniło.

Jeszcze więcej sił udało się jej wydobyć z myśli, że O'Connell przyjdzie także po Catherine. Wiedziała, że matka będzie ostro walczyć, ale takiej walki starsza kobieta nie mogła wygrać.



Podsumowała wszystkie zagrożenia dla rodziny i ułożyła równanie. Starła się odjąć od sumy wątpliwości i niepewność. Wszystko, co wydawało się takie oczywiste, kiedy we troje siedzieli w wygodnym salonie, stało się teraz przewrotne, błędne i zupełnie niemożliwe. Mocno się po-ciła, wiedziała, że trzęsą się jej ręce.

Kim jestem? Nagle zapytała sama siebie.

Pamiętała, że krótko po śmierci ojca naprawdę się bała. To nie był strach przed samotnością, ale lęk, że nie sprostą temu, czego od niej wymagał. Próbowała sobie wyobrazić, że zmarły ojciec chciałby, żeby była tu, gdzie jest, z głową opartą o ścianę, otoczona nocą, w kombinezonie przesiąkniętym wilgocią idącą od ziemi. Zrozumiałby, że można ryzykować, żeby bronić innych. Zawsze chciał, żeby brała na siebie odpowiedzialność, na dobre i na złe. „To ty jesteś kapitanem”, słyszała jego głos w ciemności.

Pomyślała, że w tym momencie naprawdę znalazła się na skraju szaleństwa. Oczyścić umysł, powiedziała sobie.

Naciągnęła kominarkę na głowę i zakryła nią twarz.

Sięgnęła do plecaka i wyjęła pistolet z plastikowej torby.

Położyła palec na spuście. Po raz pierwszy w życiu trzymała w ręku pistolet. Żałowała, że nie ma więcej doświadczenia z bronią. Była zaskoczona, bo poczuła, jakby od stalowej rączki wypływała elektryczność, która przeszływa jej ciało - jakaś nieznaną jej, oszalałającą siłą.

Podpełzła do skraju zadaszania, nasłuchując rozgniewanych głosów dochodzących z domu. Czekwała na właściwy moment, żeby wkroczyć.

- Muszę wiedzieć, co jest grane - wybuchnął Michael O'Connell. W każdym wypowiedzianym przez niego słowie była zmagazynowana miłość do Ashley i wściekłość od lat żywiona do człowieka, który teraz triumfalnie kołysał się przed nim w fotelu. Czuł, że serce bije mu jak szalone. Miał niemal zawroty głowy z gniewu.

- Co jest grane? Stoisz tu i wrzeszczysz o jakiejś dziewczynie, chociaż znacznie bardziej powinieneś się martwić, że narobiłeś sobie wrogów - powiedział ojciec, machając ręką.

- Nie wiem, o czym mówisz. Nikomu nie nadepnałem na odcisk.

Ojciec wzruszył irytująco ramionami. Michael O'Connell zrobił krok do przodu, pięści miał zaciśnięte. Stary wreszcie wstał z fotela i stanął naprzeciwko syna.

- Myślisz, że na tyle wyrosłeś i zmężniałeś, że możesz się na mnie rzucić?

- Chyba nie chciałeś tego powiedzieć, stary. Trochę się roztyłeś i straciłeś formę. Ten lipny uraz kręgosłupa może teraz okazać się prawdziwy. Byłeś dobry w biciu kobiet i dzieci, ale to też działo się dawno

temu. Ja już nie jestem dzieckiem. Dobrze się nad tym zastanów.

Chłód w jego głosie sprawił, że ojciec się zatrzymał.

- Nie miałem wtedy z tobą kłopotów. Może ci się wydawać, że wyrosłeś, ale ja nadal jestem za dobry, żebyś mi coś zrobił. Nadal mogę ci dołożyć.

- I wtedy, i teraz byłeś mięczakiem. Mama sama dawała sobie z tobą radę. Jeśli nie była pijana, nawet nie mogłeś jej pobić. Tak to było, co? A wieczór, kiedy zginęła? Była zbyt pijana, żeby się obronić i wtedy ją zabiłeś.

Stary wykrzywił twarz.

- Nie powinienem wtedy skłamać. A ty powinieneś powiedzieć glibom prawdę - powiedział z wściekłością Michael O'Connell.

- Nie przeginaj - odparł chłodno ojciec. - Nie pchaj się tam, gdzie cię nie proszą.

Mówili coraz ciszej i z coraz większą wściekłością, jednocześnie byli coraz bliżej siebie jak psy, na moment przed tym, kiedy warczenie przestacza się w walkę.

- Myślisz, że mnie zabijesz i ujdzie ci na sucho, tak jak z nią ci się udało? Nie sądzę, stary.

Ojciec nagle skoczył do przodu i mocno uderzył syna w twarz. Odgłos ciosu rozległ się w małym pokoju.

Michael O'Connell zaśmiał się wariacko. Wyrzucił przed siebie prawe ramię i chwycił ojca za gardło. Zaciśnął dłoń na jego tchawicy, co dało natychmiastowy efekt. Czuł, jak mięśnie kurczą się pod jego ręką, jak ustępują ścięgna, poczuł wszechogarniającą pasję. Spanikowany stary złapał syna za nadgarstek, wbił się paznokciami w ciało, próbując się uwolnić, czuł, że coraz bardziej brakuje mu powietrza. Twarz ojca robiła się coraz bardziej czerwona, Michael O'Connell nagle pchnął starego i puścił go. Stary uderzył o stolik, zrzucając to, co stało na blacie. Padając, chwycił za fotel, przewrócił go i wylądował na podłodze, dysząc ciężko. Czy miał szeroko otwarte z zaskoczenia. Syn roześmiał się i splunął na ojca.

- Zostań tam, stary. Zostań na zawsze. Ale posłuchaj: jeśli zadzwoni do ciebie Ashley czy ktokolwiek, kto ma z nią związek, a ty obiecasz im jakąkolwiek pomoc, wrócę i zabiję cię. Najpierw zrobię ci jakąś krzywdę, a ty będziesz błagał, żebym przestał. I wtedy cię zabiję. Zrozumiałeś? Chciałbym zabić wszystko z mojej przeszłości. Poczulbym się znacznie lepiej. Najchętniej zacząłbym od ciebie.

Ojciec zamarł na podłodze. Syn zobaczył w jego oczach strach i po raz pierwszy tego wieczoru pomyślał, że warto było pojechać na północ.

- Musisz mieć nadzieję, że nigdy mnie już nie zobaczysz, stary głupcze. Bo następnym razem skończysz w piachu, gdzie twoje miejsce czeka na ciebie od lat.

Michael O'Connell odwrócił się i nie oglądając się ani razu, wyszedł bocznymi drzwiami.

Zimne, nocne powietrze uderzyło go jak jeszcze jedno złe wspomnienie, ale myślał tylko o grze, którą obmyśliła Ashley, i o tym, dlaczego wydawało się jej, że stary jej pomoże.

Wśliznął się za kierownicę, włączył silnik i uznał, że musi natychmiast poznać odpowiedzi na te pytania.

Hope przysłuchiwała się kłótni, potem odgłosom krótkiej bójki. Zaciśnęła dłoń na pistolecie i wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła, jak Michael O'Connell idzie do samochodu, przechodząc zaledwie o kilkanaście centymetrów od jej kryjówki. Poczekwała, aż cofnie wóz z podjazdu i odjedzie w ciemność.

Wiedziała, że nadeszła krytyczna chwila.

Sally powiedziała jej: „Nie zwlekaj. Ani sekundy. Jak tylko on wyjdzie, ty musisz wejść”.

Podniosła się.

W uszach rozbrzmiewał jej głos Sally.

„Nie wahaj się. Nie czekaj. Od razu wchodź. Nie mów ani słowa. Po prostu pociągnij za spust. Nie odwracaj się. Wyjdź”.

Hope zaczerpnęła tchu i wyszła z kryjówki. Przez plamę światła szybko podeszła do drzwi. Wpadła do domu.

Była w kuchni, ale już od wejścia widziała salon, tak jak to opisał Scott. Stała tam prawie nieruchomo i patrzyła, jak ojciec Michaela O'Connella zaczyna podnosić się z podłogi.

Odwrócił się w jej stronę. Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Pan Jones cię przysłał? - zapytał, prostując się i otrzepując z kurzu.  
- Minąłeś się z tym gnojem o niecałą minutę. To jego samochód stąd odjechał.

Hope podniosła broń i przybrała pozycję strzelecką. O'Connell senior wyglądał na zdumionego.

- Hej - powiedział ostro. - To tego cholernego dzieciaka chcieliście stuknąć, a nie mnie.

Wszystko wydawało jej się wyolbrzymione. Kolory były jaskrawsze, dźwięki głośniejsze, zapachy ostrzejsze. Oddech rozbrzmiewał echem w jej uszach Hope jak kaskada rżących dźwięków. Próbowwała nie myśleć o tym, co robi.

Wycelowała w pierś starego i nacisnęła spust.

I nic się nie stało.

Detektyw przyniósł wielkie pudło z rozerwaną czerwoną taśmą i z hukiem rzucił je na środek biurka. Potem nachylił się i zapytał:

- Wie pan, jak zachowują się dzieci rano, w Wigilię? Kiedy patrzą na te wszystkie paczuski pod choinką?

- Jasne. Ale co...

- Zbieranie dowodów przypomina oczekiwanie na prezenty, dzieciaki zawsze myślą, że największy prezent będzie najlepszy, ale często nie mają racji. Najbardziej wartościowe dary są w tych mniej rzucających się w oczy pudełkach. Podobnie jest z nami. Najmniejsza rzecz może się stać najcenniejszą, kiedy wreszcie dochodzi do procesu.

- A w tym przypadku?

Detektyw się uśmiechnął. Wyciągnął pistolet w plastikowej torbie zabezpieczonej kolejną czerwoną taśmą. Wręczył mi ją, a ja obejrzałem broń przez przezroczysty plastik. Na chwycie i lufie widać było resztki proszku do zbierania odcisków palców.

- Niech pan będzie ostrożny - powiedział detektyw. - Nie sądzę, żeby był naładowany, ale magazynek jest w chwycie, więc nie ma pewności. Byłby pan zaskoczony, ile ran odnoszą ludzie w magazynach z rekwizytami, kiedy wymachują niby niezaladowanymi splotkami.

Trzymałem pistolet ostrożnie.

- Nie wygląda na coś solidnego.

Detektyw skinął głową.

- Byle jaki. Tańszy trudno znaleźć. Wyprodukowany przez jakąś spółkę w Ohio, która oddzielnie zaznacza każdą część pistoletu, a potem go skręca, wsadza do pudełek i wysyła do marnych sprzedawców. Porządny sklep z bronią nigdy nie przyjąłby takiego gówna. I żaden zawodowiec by go nie użył.

- Ale działa.

- Tak jakby. Automat, dwudziestkapiątka. Mały kaliber. Waga lekka. Zawodowi zabójcy, a nie ma ich wielu, cokolwiek pan sobie wyobraża, lubią broń kaliber 22 i 25, bo łatwo do niej dopasować własnej roboty tłumik, a kula typu magnum pozwala na czystą i ładną robotę. Nie używają takiego śmiecia jak ten. Zbyt niepewny. Trudny w obsłudze, bezpiecznik i kurek zacinają się i trzeba strzelać z bardzo bliska, żeby trafić. Nie ma też porządnej siły rażenia. Nie zatrzyma pitbulla średniej wielkości ani gwałciela, chyba że za pierwszym razem uda się ich trafić w pikawę albo inne wrażliwe miejsce.

Obracałem broń w rękach.

- Albo jak się strzeli z bliska, naprawdę z bliska. Jak w miłosnym zbliżeniu.

Znów się uśmiechnął.

- Ogólnie mówiąc, nie jest mądrze podchodzić z tym do osoby, którą próbuje się zabić.

Pokiwalem głową, a detektyw usiadł ciężko na krześle.

- Widzi pan, codziennie można się dowiedzieć czegoś nowego.

Znów podniosłem broń, trzymając ją pod światło, jakby mogła mi coś powiedzieć.

- Oczywiście - stwierdził detektyw - chociaż, jak mówię, broń jest do niczego, zrobiła swoje. Tak jakby.

## 44. Wybory

Hope natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd.

Przez głowę przelatywały jej szalone myśli. Oparła kciuk o bezpiecznik i popchnęła go w dół, żeby można było strzelić. Podniosła lewą dłoń i zaczęła gmerać przy kurku, żeby wprowadzić nabój do komory - powinna o tym pomyśleć, zanim weszła do domu. Kurek odskoczył, pistolet był gotów do strzału. Pomyślała z przerażeniem, że ani ona, ani Sally nie pofatygowały się, żeby sprawdzić, czy jest naładowany.

Nie wiedziała: uciekać czy działać dalej.

Ojciec O'Connella, który już podnosił ręce do góry, nagle głośno ryknął i rzucił się w jej stronę przez pokój.

Gdy po raz drugi podniosła pistolet do strzału, był już przy niej. Kiedy pociągała za spust, wpadł na nią.

Poczula odrzut pistoletu, usłyszała trzask i wystrzał, a potem zatoczyła się do tyłu, uderzając o stół kuchenny. Przewróciła go z hukiem. Puste butelki po alkoholu poleciały po całej kuchni, rozbijając się o ściany i szafki. Hope padła na podłogę, tracąc oddech. Ojciec O'Connella, wydając przeraźliwe dźwięki, upadł na nią. Wpijał się palcami w jej maskę, próbował zacisnąć rękę na gardle i okładał ją na oślep pięścią.

Nie wiedziała, czy pierwszy strzał go trafił. Rozpaczliwie próbowała unieść broń, żeby znowu strzelić, ale O'Connell nagle, z siłą imadła, złapał ją za nadgarstek, próbując skierować lufę w powietrze.

Hope kopnęła i trafiła go w krocze. Sapnął z bólu, ale nadal walczył zjadle. Był od niej silniejszy, wyczuła to natychmiast, próbował wygiąć jej rękę tak, żeby lufa pistoletu oparła się o jej pierś, a nie o jego. Jednocześnie nadal okładał ją wolną ręką jak cepem. Większość ciosów chybiała, ale te,

które dochodziły do celu, sprawiały, że przed oczami widziała z bólu czerwone plamy.

Znów kopnęła. Tym razem siła ciosu rzuciła ich na bok, a po pokoju rozleciały się jakieś szczątki. Z przewróconego kosza na śmieci wysypały się na podłogę, wydzielając ostry odór, kawowe fusy i skorupki od jajek. Słyszała odgłos tłuczonego szkła.

Ojciec O'Connella, weteran walk w barach, wiedział, że większość bitew wygrywa się paroma pierwszymi ciosami. Był ranny, ból przeszywał mu ciało, ale potrafił go zignorować. Walczył zażarcie. Znacznie lepiej niż Hope rozumiał, że walka z tym zamaskowanym, anonimowym wrogiem, jest najważniejszą potyczką w jego życiu. Jeśli nie wygra, zginie. Napierał na pistolet, starając się przygniść go do ciała napastnika. Pamiętał, że to samo zrobił wiele lat temu, kiedy bił się ze swoją pijaną żoną.

Hope od dawna nie czuła już paniki. Adrenalina huczała jej w uszach, z trudem chwytała powietrze, zbierając siły, żeby wygrać. Mocno uderzyła starego O'Connella w bok i oboje potoczyli się pod stół. Spadła na nich kaskada naczyń i sztućców. Ten ruch dał jej lekką przewagę; ojciec Michaela zawył z bólu, a Hope, kątem oka, zobaczyła krew spływającą po białej szafce. Jej pierwszy strzał trafił go w ramię, przebijając mięsień i kość, ale mimo poszarpanej tkanki i roztrzaskanej kości walczył nadal, nie myśląc o bólu.

Chwycił oburącz za broń, a Hope nagle rąbnęła go wolną ręką, rozbijając mu głowę o szafkę. Widziała, jak pokazuje zęby, wykrzywiając twarz z bólu i ze strachu. Znów uniosła kolano i trafiła go w krocze. Odepchnęła się i trzasnęła go wolną ręką w szczękę. Zatoczył się od siły ciosu, ale ona nadal tkwiła pod nim przygwożdżona do podłogi.

Waliła go lewym ramieniem, trzymając jednocześnie pistolet i natężając wszystkie mięśnie, żeby nie zdołał przytknąć lufy do jej ciała.

W tym momencie poczuła, że nacisk na jej broń słabnie. Wydawało się jej, że zwycięża, ale nagle jęknęła, czując, jak ogromny ból rozlewa się po całym ciele. O mało nie zemdląła.

Ojciec Michaela znalazł na podłodze nóż kuchenny. Jedną ręką przytrzymał jej dłoń z pistoletem, drugą wbijał ostrze w bok, szukając serca. Włożył w to całą swoją siłę.

Hope czuła, jak czubek noża przecina jej ciało. Przez głowę przemknęła jej tylko jedna myśl: To jest to. Zwyciężyć albo zginąć.

Sięgnęła lewą ręką i chwyciła pistolet, szarpnęła go w stronę twarzy starego O'Connella, wykrzywionej bólem pomieszanim z wściekłością. Wbiła mu lufę pod brodę w chwili, gdy ostrze noża zdawało się wykrawać z niej duszę, i szarpnęła za spust.

Scott chciał zerknąć na podświetlaną tarczę zegarka, ale nie mógł oderwać wzroku od daszka nad samochodem i bocznych drzwi do domu O'Connella. Liczył bezgłośnie sekundy od chwili, gdy ciemna postać Hope zniknęła w środku.

To trwało już za długo.

Wyszedł z kryjówki, potem znów się schował. Nie był pewny, co robić. Czuł, że serce mocno mu bije. Jakaś część jego umysłu krzyczała, że wszystko poszło źle, że wszystko stracone, że musi uciekać, teraz, natychmiast, zanim wciągnie go wir katastrofalnych wydarzeń. O mało nie utonął w wielkiej fali strachu.

Gardło miał suche. Wargi spieczone. Noc zdawała się go dławić, szarpał się za kołnierz bluzy.

Powiedział do siebie, że musi natychmiast stąd odejść. Bez względu na to, co się stało, musi stąd uciekać.

Ale nie zrobił tego. Stał jak wmurowany. Penetrował wzrokiem ciemności. Nasłuchiwał. Popatrzył w lewo, w prawo, nie dojrzał nikogo.

Zdarzają się chwile, kiedy wie się, że trzeba coś zrobić, ale każdy kolejny pomysł wydaje się bardziej niebezpieczny niż poprzedni, a każdy wybór niesie w sobie znamiona klęski. Cokolwiek się działo, Scott wiedział, że życie Ashley zależy od tego, co zrobi w ciągu najbliższych kilku sekund.

Być może życie ich wszystkich.

Mimo ogarniającej go rozpacz Scott głęboko odetchnął, starając się za wszelką cenę oczyścić sobie głowę z wszystkich rozważań i niepokojów. Wreszcie pobiegł w stronę domu.

Hope chciała krzyczeć, otworzyła usta, ale nie wydała z siebie głosu. Nie wydobyło się z niej piskliwe wycie strachu, tylko nierówny, słaby, chrapliwy oddech.

Drugi strzał trafił starego prosto w podbródek, przebił się przez usta, roztrzaskał zęby, rozdarł język i wargi, aż wreszcie utkwił głęboko w mózgu, zabijając go niemal natychmiast. Siła wybuchu odrzuciła go do tyłu, niemal unosząc w powietrze. Potem runął na nią, przygwoździł ją do podłogi i o mało nie udusił ciężarem martwego ciała.

Jego ręka nadal trzymała nóż, ale siła, z jaką wbijał ostrze w jej bok, ulotniła się. Hope prawie straciła przytomność od nagłego ataku bólu. W boku czuła palący ogień, a jej głowę omotały płachty czarnego bólu. Poczuli się wyczerpana. Chciała zamknąć oczy i zasnąć. W tej chwili, natychmiast. Ale włączyła się siła woli, Hope zebrała się w sobie i spróbowała zepchnąć z siebie trupa. Za pierwszym razem zabrakło jej siły. Za drugim przesunął się o kilka centymetrów. Pchnęła trzeci raz. To było, jakby chciała przesunąć głaz wbity w ziemię.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi, ale nie widziała, kto wchodzi. Znów zwalczyła ogarniającą ją ciemność, z trudem oddychała.

- Jezu Chryste!

Głos wydawał się znajomy. Jęknęła.

Nagle, w magiczny sposób przytłaczający ją ciężar ciała starego O'Connella zniknął, a ona wypłynęła na wierzch. Kształt, który kiedyś był ojcem Michaela, zwałił się obok niej na podłogę pokrytą linoleum.

- Hope! Jezu! - usłyszała, jak ktoś szepcze jej imię i zmusiła się, żeby odwrócić się w stronę, z której dochodził dźwięk.

- Cześć, Scott - udało się jej uśmiechnąć mimo bólu. - Miałam trochę problemów.

- Dosyć. Muszę cię stąd wyciągnąć.

Skinęła głową i próbowała usiąść. Nóż nadal wystawał z jej boku. Scott już po niego sięgał, ale pokręciła głową.

- Nie dotykaj - powiedziała. Skinął głową.

- Dobrze.

Uniósł jej ciało do połowy, a dalej Hope wstała sama. Ruch sprawił, że zawroty głowy zaczęły jej bardziej dokuczać, ale zwalczyła je. Zgrzytając zębami, oparta o Scotta, zrobiła krok nad ciałem starego O'Connella.

- Potrzebuję pomocy. - Oparła się o jego ramię i zaczęła iść do drzwi. - Pistolet - wyszeptwała. - Pistolet, nie możemy go zostawić.

Scott rozejrzał się i zobaczył broń na podłodze. Podniósł ją i zdjął plecak z ramienia Hope. Wrzucił pistolet z powrotem do plastikowej torby, zamknął ją i zarzucił sobie plecak na ramię.

- Wyjdźmy - powiedział.

Wyszli z trudem za drzwi i Scott pomógł Hope dotrzeć do nieoświetlonej części zadaszania. Oparł ją o ścianę.

- Muszę pomyśleć.

Kiwnęła głową, upajając się chłodnym powietrzem. Pomogło to jej oczyścić umysł, a fakt, że wyrwała się śmierci, wzmocnił ją. Wyprostowała się trochę.

- Mogę chodzić.

Scott czuł równocześnie przerażenie, panikę i determinację. Wiedział, że musi myśleć jasno i konstruktywnie. Uniósł maskę na twarzy Hope i nagle zrozumiał, dlaczego Sally zakochała się w niej. Ból zmienił jej twarz. Wtedy dotarło do niego, że jej czyn był darem zarówno dla niego, jak i dla Sally, i Ashley.

- Musiałam krwawić na podłogę. Jeśli policja...

Scott skinął głową. Zastanowił się, co powinien zrobić.

- Poczekaj tutaj. Dasz radę?



- Wszystko w porządku - powiedziała Hope, chociaż wcale tak nie było. - To zadrapanie, nie kontuzja - wyszeptał. Jeśli ktoś ma tylko zadrapanie, a nie kontuzję, może grać dalej. Jeśli jest kontuzjowany - nie może.

- Zaraz wracam.

Scott poszedł za róg zadaszenia i przykucnął, żeby lepiej się schować. Przyglądał się leżącym w nieładzie częściom mechanizmów, rozrzuconym narzędziom, pustym puszkom po farbie i stosowi gontów na dach. Wiedział, że gdzieś tu, kilka metrów od niego jest to, czego potrzebuje, ale nie był pewien, czy zdoła to zauważyć w mroku.

Miej szczęście, wyszeptał.

Wtedy zobaczył to, o co mu chodziło. Czerwony, plastikowy kontener.

Proszę, nie bądź pusty.

Podniósł kontener, potrząsnął nim i wyczuł, że jest pełny do jakiejś jednej trzeciej. Płyn, który w nim był, zachlupotał. Odkręcił korek i natychmiast uderzył go niedający się pomylić z niczym innym odór zwiętrzałej benzyny.

Scott nachylił się i najszybciej, jak tylko potrafił, wymknął się spod zadaszenia, przebiegł przez płamę światła i wpadł w drzwi.

Przez chwilę chciał mu się wymiotować. Musiał zwalczyć gwałtowny przypływ nudności. Kiedy za pierwszym razem wszedł do domu, był całkowicie skupiony na Hope i wyciąganiu jej z pola walki. Tym razem znalazł się sam na sam z ciałem starego O'Connella. Spojrzał na podłogę, spostrzegł krew i wykręconą w potwornym grymasie twarz człowieka. Sapnął i nakazał sobie spokój, ale bez skutku. Czuł, jak serce mu wali. Pokryte krwią szczątki błyszczały, jakby pomalowano je krzykliwymi kolorami. Gwałtowna śmierć, pomyślał, sprawia, że wszystko wokół staje się jaśniejsze, a nie ciemniejsze.

Scott oddychał z trudem, szedł nierównym krokiem.

Spojrzał na miejsce, w którym znalazł Hope przygniecioną ciałem starego. Tam musiała być krew. Spostrzegł czerwone plamki na podłodze. Pokropił to miejsce benzyną. Resztę wylał na spodnie i koszulę ojca Michaela. Rozejrzał się, zobaczył ścierkę do naczyń i zamoczył ją w mieszanke krwi i benzyny gromadzącej się na piersi starego. Wepchnął szmatę do kieszeni.

Znów zagroziły mu nudności. Sięgnął ręką, żeby znaleźć oparcie, ale się powstrzymał. Każda sekunda spędzona w miejscu, gdzie popełniono morderstwo, pomyślał, zwiększa prawdopodobieństwo, że zostawi się ślady po sobie. Wstał, rzucił pojemnik w kałużę benzyny i podszedł do piecyka. Na blacie obok palników gazowych leżały zapalniczki.

Zbliżył się do drzwi, podpalił całe pudełko i rzucił je na pierś starego O'Connella.

Benzyna buchnęła płomieniem. Przez sekundę Scott stał jak skamieniały, patrząc, jak ogień się rozprzestrzenia; potem odwrócił się i wybiegł na dwór.

Znalazł Hope opartą o ścianę zadaszzenia. Ręką w rękawiczce obejmowała nóż, nadal sterczący z jej boku.

- Będziesz musiała kawałek iść - powiedział.

- Mogę chodzić. - Jej głos zabrzmiał chrypliwie.

Oboje szli, trzymając się nieoświetlonych miejsc, aż znaleźli się na ulicy. Scott objął ramieniem Hope tak, żeby mogła się na nim oprzeć. Powoli kroczyli przez ciemności. Kierowała go do swojego samochodu. Żadne z nich nie obejrzało się na dom O'Connella. Scott modlił się, by ogień, który podłożył, rozpałał się wolno, żeby minęło parę minut, zanim ktoś z sąsiedztwa zauważy płomienie.

- Jak się czujesz? - wyszeptał.

- Dam radę - odparła Hope, opierając się o niego. Nocne powietrze pomogło jej oczyścić myśli, ale każdy krok sprawiał, że przeszywał ją ostry ból. Czowała się na przemian pewna siebie i silna albo zrozpaczona i słaba. Wiedziała, że bez względu na to, jak Sally zaplanowała pozostałą część nocy, nic nie pójdzie już zgodnie z planem. Mówiła jej to krew ciekąca z rany.

- Nie zatrzymuj się - ponaglił ją Scott.

- Ot, parka na różnym, nocnym spacerze - rzekła Hope, żartując mimo bólu. - Musimy pójść w lewo, a samochód powinien być przed nami, w połowie ulicy.

Każdy krok zdawał się być wolniejszy od poprzedniego. Scott nie wiedział, co zrobiliby, gdyby nadjechał jakiś samochód albo gdyby ktoś wyszedł i ich zobaczył. W oddali słyszał szczekanie psów. Wyszli za róg, wyglądali, jakby wypili trochę za dużo do kolacji. Wtedy zobaczył jej wóz. Przyjęcie w pobliskim domu zrobiło się trochę głośniejsze.

Hope udało się wyprostować. Miała wrażenie, że nadweręża każdy mięsień, że wykorzystuje wszystkie zapasy energii, jakie jej zostały.

- Posadź mnie za kierownicą - próbowała powiedzieć to głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Nie możesz prowadzić. Potrzebne ci lekarz i szpital.

- Tak. Ale nie tutaj. I nigdzie w pobliżu.

Hope kalkulowała, próbowała jasno myśleć, chociaż ból sprawiał, że było to trudne.

- Cholerne tablice rejestracyjne - powiedziała. - To był taki problem, żeby je zmienić. Zmień je jeszcze raz.

Scott był zmieszany. Nie rozumiał, dlaczego ważniejsze były tablice, a nie powstrzymanie krwotoku z rany i dowiezienie Hope do izby przyjęć.

- Słuchaj... - zaczął.
- Zrób, co mówię!

Usadził ją na fotelu kierowcy, tak jak tego chciała. Chwycił torbę z tablicami, zmarszczył czoło, głęboko odetchnął, rzucił okiem na dom, w którym odbywało się party, podbiegł pędem na przód i tył samochodu i tak szybko, jak tylko mógł, założył właściwe tablice z Massachusetts. Poprzednie wrzucił do plecaka razem z pistoletem, a obok broni, do plastikowej torby wepchnął ręcznik unurzany we krwi i benzynie.

Wrócił do fotela kierowcy. Hope włożyła kluczyk do stacyjki. Widział, że twarz miała wykrzywioną bólem, kiedy zdierała taśmę z kostek i zdejmowała obie pary rękawiczek. Wręczyła je Scottowi wraz z kominiarką. Stał bezradnie, kiedy wyciągała sobie nóż z ciała.

- Jezu! - jęknęła. Głowa poleciała jej do tyłu, o mało nie zemdląła. Ale ból przywrócił jej przytomność. Zaczęła szybko oddychać.

- Muszę odwieźć cię do szpitala.

- Sama tam dojadę. Ty i tak masz mnóstwo roboty. - Pokazała na nóż. - Zatrzymam to. - Rzuciła go na podłogę wozu i odsunęła tak, żeby go nie było widać.

- Musisz się tego pozbyć - powiedział Scott.

Hope miała problem z jasnością myślenia, ale pokręciła głową.

- Pozbądź się tego razem z tablicami.

Próbowała sobie wszystko przypomnieć, zebrać myśli, ale ból nie pozwalał jej na spokojną, racjonalną refleksję. Żałowała, że nie było tu Sally. Ona widziała szczegóły. W tym była dobra, pomyślała Hope. Zwróciła się do Scotta, próbując zobaczyć w nim cząstkę Sally, którą, jak sobie wyobrażała, kiedyś był.

- Okay. Wracamy do naszego planu. Mogę prowadzić. Ty robisz to, co do ciebie należy. - Pokazała na plecak z pistoletem.

- Nie mogę cię zostawić. Sally nigdy by mi tego nie wybaczyła.

- Nie będzie miała szansy ci przebaczyć, jeśli tego nie zrobisz. Jesteśmy mocno opóźnieni. To, co masz zrobić, jest bardzo ważne.

- Jesteś pewna?

- Tak - powiedziała Hope, chociaż wiedziała, że to kłamstwo. Niczego nie była pewna. - Idź. Idź już.

- Co mam powiedzieć Sally?

Hope zamilkła. Mnóstwo myśli przemknęło jej przez głowę, ale powiedziała tylko:

- Po prostu powiedz jej, że wydobreję. Porozmawiam z nią później.

- Jesteś pewna? - patrzył na jej bok, z którego wcześniej wystawała rączka noża. Widział miejsce, w którym czarny kombinezon roboczy był splamiony krwią.

- Nie jest tak źle, jak wygląda - znów skłamała Hope. - Idź już, bo stracimy okazję.

Przygniotła ją myśl, że po tym wszystkim, co zrobili, mogliby przegrać. Pomachała ręką do Scotta.

- Idź.

- Okay - odparł, podniósł się i odszedł.

- Ach, Scott.

- Tak?

- Dziękuję, że przyszedłeś mi z pomocą.

Skinął głową.

- To ty odwaliałaś najtrudniejszą robotę. - Zamknął drzwi i patrzył, jak Hope nachyla się nad kierownicą i włącza silnik. Odsunął się, a ona powoli odjechała. Patrzył za nią. Stał samotnie w ciemnościach, aż czerwone światła zniknęły. Zrzucił plecak na ramię i zaczął biec truchtem do przystanku autobusowego. Wiedział, że był spóźniony. To mogło się okazać fatalne, ale i tak musiał rozegrać partię według kart, które dała mu Sally. Nie był pewien, co uda się zrobić Hope tej nocy, ale całe ich szczęście powinno sprzyjać właśnie jej. Potem zdał sobie sprawę, że może się mylić. Szczęście było potrzebne tej nocy i w innych miejscach.

Sally zatrzymała wóz na skraju parkingu przy markecie, czekała na Scotta. Spojrzała na zegarek, potem sprawdziła stoper, podniosła telefon komórkowy i już miała zadzwonić, ale się rozmyśliła. Była jakieś czterdzieści pięć minut jazdy za Bostonem, niedaleko międzystanowej, w miejscu, które wybrała z tych samych powodów, dla których wybrała miejsce spotkania z Hope, żeby przekazać jej pistolet. Dawało ono Scottowi łatwy dostęp do trasy powrotnej do Massachusetts.

Oparła głowę o wspornik nad fotelem i zamknęła oczy. Nie pozwoli sobie na rozpamiętywanie wszystkich strasznych rzeczy, które mogły się zdarzyć tej nocy. Są amatorami w sztuce zabijania. Każde z nich było w stanie zaplanować, zorganizować i wyobrazić sobie śmierć, ale kiedy przyszło do wykonania planu, okazali się nowicjuszami. Podczas przygotowań wydawało się jej, że niedoświadczenie może okazać się ich mocną stroną. Fachowcy nie zrobiliby tego, co oni. Plan był zbyt chaotyczny, zdawał się na przypadek, był za bardzo uzależniony od indywidualnych możliwości każdego z nich. To była siła całego pomysłu, pomyślała.

Ludzie wykształceni nie zrobiliby tego. Narkomani albo posługujący się przemocą mogli się wspiąć po drabinie zbrodni. To było logiczne.

Zacisnęła powieki.

Natychmiast wyobraziła sobie Scotta i Hope w kajdankach, otoczonych przez policjantów. Ojciec Michaela złożyłby zeznanie, a ona byłaby

następna w kolejności, gdyby tylko Scott albo Hope załamali się w ogniu pytań.

A Ashley, z Catherine u boku, musiałaby stawić czoło Michaelowi O'Connellowi.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po zabarwionym zielonym światłem parkingu.

Ani śladu Scotta.

Hope powinna już być w drodze do domu.

Michael O'Connell powinien stać teraz na poboczu i wymieniać przebitą oponę albo czekać na pomoc drogową. Powinien być zły, kłąć i zastanawiać się, co do diabła się dzieje. Jednego tylko nie mógł się spodziewać, że znalazł się w środku przedstawienia, w którym odgrywa główną rolę. Sally się uśmiechnęła. Pomyślała, że jego rola jest najłatwiejsza, a on nawet nie wie, że ją gra. Nie wiedział, że właśnie dzisiaj został zneutralizowany, wyrzucony z życia Ashley.

Zacisnęła pięści i pomyślała: mamy cię, ty draniu.

Oddychała powoli. Może.

Scott powinien już tu być. W każdej chwili.

Zaczęła bić pięścią w kierownicę, zła i zrozpaczona.

- Gdzie jesteś, do diabła? - szeptała gorączkowo, rozglądając się po okolicy. - Przyjeźdź wreszcie. Bądź tu!

Znów sięgnęła po telefon komórkowy, ale go odłożyła. Czekanie było trudne. Ale najtrudniejsze było zaufać komuś, komu się kiedyś powiedziało, że się go kocha, zostawiło go, oszukało. I rozwiódło się z nim. Prawdę mówiąc, jedynie Ashley pozwalała na utrzymywanie cywilizowanych stosunków między nią a byłym mężem. Pomyślała, że to wystarczy, żeby przebrnąć przez tę noc.

Potem zwróciła się myślami ku Hope. Poczwała, że oczy ma pełne łez. Wiedziała, że mogła jej zaufać do końca, chociaż w ciągu ostatnich miesięcy nie zrobiła wiele, żeby zasłużyć na zaufanie. Miała wrażenie, że otacza ją atmosfera niepewności.

- No przyjeźdź! - znów wyszeptała.

Wielki, zielony pojemnik na śmieci stał w rogu parkingu, gdzie Scott zostawił swoją ciężarówkę. Ku jego wielkiej uldze, był niemal pełen. Leżały w nim nie tylko plastikowe torby wypchane odpadkami, ale także butelki, puszki i śmieci luzem. Wyjął jeden z worków, który wyglądał na wypełniony tylko w części, rozwiązał go i wrzucił do środka skradzione tablice rejestracyjne, resztki taśmy i rękawiczki. Potem starannie zawiązał worek, żeby nic z niego nie wypadło, i włożył go w środek kupy śmieci. Domyślał się, że kontener wkrótce zostanie opróżniony, prawdopodobnie następnego dnia.

Szybko wrócił do ciężarówki, zorientował się, czy odjeżdżają także inne samochody i włączył silnik.

Położył plecak na podłodze, znów przebrał się w garnitur i krawat. Wiedział, że musi się spieszyć, ale co ważniejsze, musi unikać zainteresowania. Żałował, że nie może jechać szybciej, ale odpowiedzialnie trzymał się ograniczenia szybkości. Nawet na między stanowej, na spotkanie z Sally, sumiennie jechał środkowym pasem.

Nie wiedział, co ma powiedzieć, kiedy ją zobaczy.

Próbował dobrać słowa, żeby poinformować ją, co wydarzyło się w nocy, ale to wydawało się nie do zrobienia. Jeśli nic jej nie powie, ona znienawidzi go. Jeśli powie jej wszystko, przerazi się i go znienawidzi. Będzie chciała natychmiast dołączyć do Hope, zamiast robić to, co wynikało z planu.

Wszystko mogło się rozpaść.

Podczas tej jazdy rozumiał, że będzie musiał skłamać. Może tylko trochę, ale zawsze. Z tego powodu czuł złość i smutek.

Kiedy zjechał z rampy na parking przy autostradzie, zobaczył Sally. Szybko podjechał i zatrzymał się obok niej. Chwycił plecak z pistoletem i ścierką do naczyń poplamioną krwią i benzyną i wysiadł z samochodu.

Sally została w swoim wozie, ale włączyła silnik.

- Spóźniłeś się - powiedziała. - Nie wiem, czy zostało mi dość czasu. Czy wszystko poszło według planu?

- Niezupełnie - odparł Scott. - To nie było takie proste, jak nam się wydawało.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Sally energicznym, prawniczym tonem.

- Było trochę walki. Hope udało się, zrobiła to, do czego zgłosiła się na ochotnika. - Zawahał się. - Ale podczas starcia mogła zrobić sobie niewielką krzywdę. Jedź teraz samochodem do domu. A ja obawiałem się, że zostawiła coś, co mogłoby wskazać na jej obecność, więc wznieciłem mały pożar.

- Jezu! - krzyknęła Sally. - Tego nie było w planie!

- Martwiłem się o wygląd miejsca, w którym to się stało. Pomyślałem, że to najlepszy sposób, żeby zatrzeć ślady i wtedy gliny się nie zorientują, co się stało. Czy nie tak kazałaś nam rozumować?

Sally pokiwała głową.

- Tak, tak. W porządku. Nie sądzę, żeby to był problem.

- W plecaku jest ręcznik. W ten sposób na lufie pistoletu zostaną ślady benzyny. Pozbędę się go później.

Sally znów potaknęła.

- To było mądre. Ale Hope, co się stało Hope?

Scott pomyślał, czy po jego twarzy nie widać czasem, że kłamie.

- Działa według planu. Zrób, co masz do zrobienia, a potem z nią porozmawiasz.

- Co dokładnie stało się Hope? - zapytała Sally ostrym tonem.

- Musisz już jechać. Musisz wrócić do Bostonu. Czas jest tu najważniejszy. Nie wiadomo, co robi O'Connell.

- Co się stało Hope? - powtórzyła Sally z gniewem i goryczą w głosie.

- Mówiłem ci, wdała się w walkę. Została skaleczona nożem. Kiedy odjeżdżała, kazała ci powiedzieć, że z nią wszystko jest w porządku. Trafiło? To są jej słowa: „Powiedz Sally, że ze mną wszystko jest w porządku”. Musisz zakończyć sprawy jeszcze tej nocy. Wszyscy musimy. Hope zrobiła swoją część. Ja swoją. Teraz twoja kolej. To ostatnia rzecz i... - Nie dokończył.

Sally się zawahała.

- Skaleczona nożem? Co to znaczy, skaleczona nożem? Powiedz prawdę.

- Mówię prawdę - odparł oficjalnym tonem Scott. - Została skaleczona. To wszystko. Teraz jedź.

Sally wyobraziła sobie sto pięćdziesiąt różnych odpowiedzi, których mogłaby udzielić w tej chwili byłemu mężowi, ale się powstrzymała. Była zła, ale wiedziała, że kiedyś, przed laty, okłamała go i teraz on ją okłamuje i absolutnie nic nie może na to poradzić. Skinęła głową, bo nie ufała już swojemu głosowi, wzięła plecak i odjechała. Scott znów został sam, patrząc, jak światła wozu nikną w mroku.

- I tak - detektyw pokazał na zdjęcia z miejsca przestępstwa - ogień naprawdę nieźle wszystko poplątał. A jeszcze bardziej woda, którą zalali pożar ci cholerni strażacy. Oczywiście, nie ma co ich prosić, żeby tego nie robili - zakpił. - Mieliśmy prawdziwe szczęście, że cały dom nie poszedł z ogniem. Ogień ograniczył się właściwie do kuchni. Widzi pan tylną ścianę? Cała osmalona. Facet od podpaleń powiedział, że ktokolwiek podłożył to cholerstwo, nie wiedział, jak się to robi, więc zamiast rozprzestrzenić się po całym pomieszczeniu, ogień wspiął się na ścianę oraz sufit i dzięki temu zauważył go sąsiad z naprzeciwka. Mieliśmy więc szczęście i mogliśmy wszystko zebrać do kupy.

- Miał pan wcześniej dużo spraw o zabójstwo?

- Tutaj? To nie Boston ani Nowy Jork. My jesteśmy małym wydziałem. Ale stanowe biuro kryminalistyczne jest całkiem nieźle, a w wydziale patologii sądowej nie siedzą same flejtuchy, więc kiedy mamy do czynienia z zabójstwem, wiemy od czego zacząć. Większość zabójstw jest popełnianych podczas domowych awantur, które wyrwały się spod kontroli, albo podczas handlu narkotykami, kiedy sprawy poszły nie tak jak

trzeba. Zazwyczaj czarny charakter albo jego kumpel jest na miejscu, więc ktoś nam mówi, kogo szukamy.

- Tym razem było tak samo, prawda?

- Nie. Było parę pytań i z początku musieliśmy się solidnie głowić. Ludziska wcale się nie cieszyli, że O'Connell kupił tam sobie farmę. Był z niego okropny mąż, okropny ojciec, okropny sąsiad i skończony sukinyś. Do diabła, gdyby miał psa, to pewnie by go głodził i kopał dwa razy dziennie dla zasady, rozumie pan? Tak czy siak, w domu, na miejscu przestępstwa zostało wystarczająco dużo, żebyśmy mogli pójść za tropem.

Pokiwałem głową.

- Ale co wam pokazało właściwy kierunek?

- Dwie rzeczy. Ma pan pożar i częściowo spalonego trupa. A my jesteśmy prawdziwe jełopy, bo z początku myśleliśmy, że stary O'Connell upił się i udało mu się podpalić kuchnię i siebie przy okazji. Wie pan, że niby usnął z papierosem i butelką szkockiej w ręku. Oczywiście, bardziej prawdopodobne byłoby to w salonie, na fotelu albo w sypialni, w łóżku niż w kuchni na podłodze. Ale kiedy chirurg sądowy położył zwłoki na stole i zdjął trochę zwęglonego ciała, zobaczył rany od postrzałów i znalazł kulę kaliber 25 w jego mózgu, a drugą w ramieniu. Hm, to zmieniło postać rzeczy. Wróciliśmy więc do tego ociekającego wodą bajzlu i zaczęliśmy szukać jakiejś wskazówki. Ale lekarz znalazł też fragmenty naskórka pod paznokciami tego faceta, więc mieliśmy trochę całkiem interesującego DNA. I nagle bałagan w kuchni zaczął wyglądać na krajobraz po bójce, która źle się skończyła dla tego starego drania. A kiedy zaczęliśmy chodzić po sąsiadach, jeden z nich przypomniał sobie samochód na rejestracji z Massachusetts odjeżdżający z piskiem opon niedługo przed wybuchem pożaru. To oraz wyniki badania DNA dały nam nakaz przeszukania. I jak pan sądzi, co znaleźliśmy?

Parsknął śmiechem. Zadowolony policjant, który po raz kolejny dowiaduje się, że świat od czasu do czasu funkcjonuje tak jak trzeba. Ja tak łatwo nie dałbym się do tego przekonać.

## 45. Głuchy telefon

Hope jechała na północ, minęła punkty pobierania opłat na granicy z Maine. Zmierzała do położonego niedaleko brzegu rezerwatu, który zapamiętała z letnich wakacji sprzed lat, niedługo potem, jak Sally i ona się zakochołały. Tutaj zabrały małą Ashley na pierwszą wspólną wyprawę.



To było dzikie miejsce, gdzie gęsty las i splątane poszycie dochodziły do samej wody, a o skalistą linię brzegową rozbijały się grzywacze napływająca z Atlantyku, rozpylając w powietrzu słoną wodę. Latem było tu magicznie, foki bawiły się na skałach, kilkanaście gatunków ptaków morskich śpiewało, unosząc się na powietrznych prądach idących od morza. Teraz będzie to samotne i puste miejsce, jedyne znane jej spokojne miejsce, gdzie może przemyśleć dalsze działania.

Przycisnęła łokciem zraniony bok. To pomagało powstrzymać krwotok. Rana pulsowała nieustannym bólem. Kilka razy miała wrażenie, że zemdleje, ale wraz z przejechanymi kilometrami zebrała trochę sił i zaciśniętą z bólu zęby, myślała, że wytrzyma całą podróż.

Próbowała wyobrazić sobie, co się dzieje w jej wnętrzu. Oczami wyobraźni widziała różne wewnętrzne narządy - żołądek, śledzionę, wątrobę, wnętrzności - i jak w dziecięcej zgadywance próbowała odpowiedzieć na pytanie, które z nich zostały rozcięte i poranione ostrzem noża.

Krajobraz zdawał się być ciemniejszy nawet od nocy, która go spowijała. Wysokie sosny, jak świadkowie stojący przy drodze, zdawały się obserwować jej podróż. Zjechała z autostrady i syknęła z nagłego bólu, obracając kierownicę. Skreśliła na rampę, potem jechała bocznymi drogami, które przywodziły na myśl dom jej dzieciństwa. Starła się uregulować oddech, każąc sobie ostrożnie wdychać nocne powietrze.

Wyobrażała sobie, że naprawdę jedzie do domu, w którym dorastała. Widziała matkę taką, jaka była przed laty, z upiętymi wysoko włosami, w ogrodzie, zmagającą się z kwiatami, podczas gdy ojciec, na zrobionym dla niej boisku, podbijał piłkę nogą. Słyszała, jak woła na nią, żeby włożyła korki i wyszła pograć. Głos miał mocny, inny niż na szpitalnym łóżku, trawiony przez chorobę.

Zaraz tam będę, pomyślała.

Małe brązowe strzałki co kilka kilometrów wskazywały, którędy jedzie się do parku. Wyczuwała już sól w powietrzu. Przypomniała sobie ukryty parking. Wiedziała, że teraz, w chłodną listopadową noc, będzie pusty. Wąska dróżka, gęsto wyścielona sosnowymi igłami, wiodła między drzewami i krzakami, obok miejsca na pikniki i dalej, jeszcze prawie kilometr, do oceanu. Podniosła głowę i zobaczyła księżyc w pełni. Wiedziała, że będzie jej potrzebne jego skąpe światło. Księżyc myśliwych. Był w lisiej czapie i pomyślała, że pierwsze śniegi i lód nadejdą już niedługo. Wątpiła, żeby ktokolwiek tu przyjechał. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, gdyby ktoś się pojawił. Zostało jej za mało energii, żeby skłamać, nawet wobec najmniej ciekawskiego policjanta czy gajowego.

Hope zobaczyła kolejny znak, wielkie białe H na niebieskim tle. Pomyślała, że ta pokusa nie jest fair. Zapomniała, że rezerwat położony

jest zaledwie kilka kilometrów od szpitala.

Przez chwilę wyobrażała sobie, że skręca w tamtą stronę. Będzie tam wielka połać jaskrawego światła i neon głoszący: „Izba przyjęć”. Karetka albo dwie stoją pewnie zaparkowane w pobliżu, na kolistym podjeździe, a w środku za biurkiem siedzi pielęgniarka.

Wyobraziła ją sobie: mocnej budowy kobieta w średnim wieku, której nie odstręcza krew ani niebezpieczeństwo. Spojrzałaby na ranę w boku Hope, a następnie widziałaby świetlówki w gabinecie chirurgicznym i słyszała przytłumione głosy lekarza i pielęgniarki, którzy nachyleni nad nią próbowaliby uratować jej życie.

„Kto ci to zrobił?”, zapytałby ktoś. Mieliby przygotowany papier, żeby zapisać jej słowa.

„Sama to sobie zrobiłam”.

„Policja jest już w drodze, będą chcieli wiedzieć. Powiedz teraz”.

„Nie mogę powiedzieć”.

„Mamy pytania. Potrzebne są nam odpowiedzi. Dlaczego tutaj jesteś? Dlaczego znalazłaś się tak daleko od domu? Co robiłaś dzisiejszej nocy?”

„Nie powiem”.

„To nie znaczy tego samego, co »nie wiem«. Mamy podejrzenia. Mamy wątpliwości. Jeśli przeżyjesz noc, będziemy mieli mnóstwo pytań”.

„Nie odpowiem”.

„Owszem, odpowiesz. Wcześniej czy później. I powiedz, dlaczego na twoim kombinezonie jest cudza krew? Skąd się tam wzięła?”

Hope zgrzytnęła zębami i pojechała dalej.

Sally zatrzymała samochód naprzeciwko mieszkania Michaela O’Connella prawie w tym samym miejscu, w którym stała wcześniej, tego wieczoru. Ulica była pewnie pusta, tylko kilka samochodów parkowało przed i za przecznicą. Panowały miejskie ciemności, kiedy to czerń nocy wpęła w zakamarki, walcząc z nastrojowymi światłami docierającymi z tętniących życiem części miasta.

Spojrzała na zegarek, potem na stoper, który tykał przez cały dzień. Powoli odetchnęła. Czas biegł za wolno.

Popatrzyła na fasadę domu Michaela O’Connella. Okna jego mieszkania były ciemne.

Rozglądając się po ulicy poczuła, że robi się jej gorąco. Czy był już blisko? Dziesięć minut? Dwadzieścia minut? Czy w ogóle jechał w tę stronę?

Pokręciła głową. Gdyby rzecz była dobrze zaplanowana, powiedziała do siebie, ktoś śledziłby go od domu jego ojca i monitorowałby każdy jego krok.

Przygryzła wargi. Ale to byłoby niebezpieczne dla nich wszystkich, bo

ktos musialby znalezc sie bardzo blisko Michaela O'Connella. Dlatego zaplanowala lukę - między jego wyjściem a powrotem. Ale Scott niebezpiecznie późno oddał broń i teraz nie miała pojęcia, gdzie mógł być O'Connell. Czy powietrze uszło mu z dętki, tak jak obiecywał Scott? Czy zatrzymał się na długo? Pytania wrzeszczały w jej głowie jak symfonia na nienastrojone instrumenty.

Spojrzała w bok, na plecak z pistoletem i stłumiła w sobie chęć, żeby wetknąć to do pojemnika na śmieci za budynkiem. I tak byłoby duże ryzyko, że gliny znajdą broń. Ale nie było pewności, której tak potrzebowała w tę noc pełną zwątpień.

Przez chwilę ścisnęła w rękę telefon komórkowy. Myślami była przy Hope.

Gdzie jesteś? - pytała siebie.

Czy wszystko z tobą w porządku?

Ręce jej się trzęsły. Nie wiedziała, czy to ze strachu, że O'Connell przyłapie ją i zepsuje wszystko, czy z obawy o Hope. Wyobraziła sobie partnerkę; próbowała zobaczyć oczami duszy to, co się z nią stało, czytała między wierszami tego, co powiedział jej Scott, ale bała się coraz bardziej.

O'Connell z każdą minutą był bliżej, wyczuwała to. Wiedziała, że musi działać szybko. A jednak, opanowana wątpliwościami, wahała się.

Hope była gdzieś tam, bolało ją. Czula to. I nic nie mogła na to porazić.

Cicho jęknęła.

A potem, kierowana impulsem woli, chwyciła plecak i wysiadła energicznie z samochodu. Modliła się, żeby noc ją ukryła, kiedy ze spuszczoną głową przechodziła przez ulicę. Wiedziała, że jeśli ktoś ją zobaczy i połączy z O'Connellem, wszystko może pójść na marne. Wiedziała, że nie może biec, tylko iść miarowym krokiem. Kontakt wzrokowy z kimkolwiek mógł się okazać zgubny. Rozmowa z kimkolwiek mogła się okazać zgubna. Wszystko, co zwróciłoby na nią uwagę w najbliższych minutach, byłoby zgubne w skutkach. Dla nich wszystkich.

Wiedziała, że nadeszła dla niej chwila próby. Błąd z jej strony byłby zgubny dla wszystkich. Prawdopodobnie także dla Ashley. Miała przy sobie broń, z której dokonano zabójstwa. W tej chwili była całkowicie bezbronna.

Idź naprzód, Sally szeptała do siebie.

Kiedy wchodziła do domu, usłyszała głosy w windzie, więc skręciła w klatkę schodową i pobiegła w górę, biorąc po dwa stopnie naraz.

Zatrzymała się przy solidnych drzwiach przeciwpożarowych próbowała usłyszeć, co się z nimi dzieje, ale zrozumiała, że to na nic, więc otworzyła je i równym krokiem poszła korytarzem do drzwi O'Connella. W rękę trzymała klucz od pani Abramowicz. Przez moment z przerażeniem, wyobraziła

sobie, że on jest w środku, leży na łóżku, przy wyłączonym świetle. Powinna coś obmyślić. A co, jeśli rzeczywiście jest w środku? Jeśli wróci, zanim ona skończy? Jeśli zauważył ją w korytarzu? Jeśli widział ją przy windzie? Albo zobaczy na ulicy, kiedy będzie wychodziła z budynku? Co powiedziała by wtedy? Czy podjęłaby z nim walkę? Czy próbowałaby się schować? Czy w ogóle by ją poznał?

Trzęsła się jej ręka, kiedy otwierała drzwi.

Weszła szybko do środka i zamknęła drzwi za sobą.

Nasłuchiwała oddechu, kroków, wody spuszczonej w toalecie, stukania klawiszy komputera - wszystkiego, co mogłoby jej powiedzieć, że nie jest sama - ale słyszała tylko swój umęczony oddech, który z minuty na minutę zdawał się być coraz głośniejszy i częstszy. Zrób to teraz! Zrób to teraz! Nie ma czasu!

Przeszła korytarzykiem, ale bała się włączyć światło, więc uderzyła w ścianę. Zakłęła. Przez okna sypialni z ulicy sączyło się trochę światła. Wystarczyło, żeby zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Mało nie krzyknęła.

Podbiegła do szafy, gorączkowo otworzyła plecak i wyjęła pistolet. Poczula ostry odór benzyny, tak jak powiedział Scott. Włożyła pistolet z powrotem do buta, a na wierzch wepchnęła starą skarpetę, żeby stłumić zapach. Ustawiła wszystko na miejscu z nadzieją, że wszystko dobrze zapamiętała. Wstała.

Mówiła sobie, żeby poruszać się spokojnie, sprawnie, planować każdy krok, ale nie była w stanie tego zrobić. Wzięła pusty plecak, rozejrzała się, pomyślała, że wszystko wygląda tak jak rano i odwróciła się, żeby wyjść.

Potknęła się w ciemności.

Próbowała utrzymać strach pod kontrolą, mówiła sobie, żeby nie biec. Nie chciała na nic wpaść ani niczego przewrócić. Nie powinien zostać ślad, że ktoś był w mieszkaniu dwa razy w ciągu doby. Nic nie jest teraz ważniejsze, mówiła sobie, czekając, aż serce przestanie jej bić jak szalone.

Zwlekanie z wyjściem niemal sprawiało jej ból.

Kiedy wreszcie dotarła do drzwi, prawie wpadła w panikę. On tu jest, pomyślała. Wyobraziła sobie, że słyszy jego klucz obracający się w zamku. Wydawało się jej, że słyszy głosy, kroki.

Powiedziała sobie, żeby zignorować figle, jakie płata jej strach, i wyszła z mieszkania. Zerknęła w prawo, potem w lewo. Była sama. Niemniej drżała jej ręka i z każdej strony słyszała dźwięki zbliżające się do niej. Zebrała się w sobie.

Tak jak wcześniej zamknęła drzwi i poszła korytarzem. Znow wybrała schody. Znow przeszła przez hol i wyszła na ulicę. Nagle ogarnęło ją poczucie zwycięstwa. Przeszła przez ulicę, radując się anonimowością.

Tuż przed jej samochodem znajdowała się studzienka burzowa. Wrzuciła klucze od pani Abramowicz między pręty kraty, słyszała, jak z pluskiem wpadają do zamulonej wody na dnie.

Dopiero kiedy wsiadła do wozu, zamknęła drzwi i odrzuciła głowę do tyłu, poczuła, jak zbiera się jej na płacz. Przez moment wierzyła, że wszystko się uda. Powiedziała sobie: ona jest bezpieczna. Zrobiliśmy to, Ashley jest bezpieczna.

Ale potem przypomniała sobie o Hope i znów ogarnęła ją panika. Zdawała się unosić z jakiegoś ciemnego miejsca w jej wnętrzu, niepowstrzymanie przez naprzód, grożąc, że znowu ją zaleje. Sally głośno sapnęła, łapiąc oddech. Sięgnęła po komórkę i wystukała numer do Hope.

Scott odczuł ulgę, wjeżdżając na swój podjazd. Postawił ciężarówkę za domem, tam gdzie zawsze, gdzie nie mogli zobaczyć jej sąsiedzi ani przechodnie. Chwyił ubranie, które miał na sobie nocą, wsiadł do Porsche i znów wyjechał na ulicę. Podkreści obroty silnika, żeby każdy, kto jeszcze nie spał i oglądał telewizję albo czytał, mógł go usłyszeć.

W środku miasta znajdowała się ulubiona pizzeria studentów. O tak późnej porze - zamykano ją o północy - trudno było nie dostrzec obecności profesora. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego - nauczyciele poprawiający prace znani byli z tego, że późną nocą szukali okazji do wyładowania energii. Miejsce było równie dobre, jak każde inne, żeby się w nim pokazać.

Zaparkował przed wejściem, a sportowy samochód przyciągnął uwagę paru młodych mężczyzn siedzących przy oknie. Za tym samochodem zawsze się oglądano.

Kupił kawałek pieczonego kurczaka oraz pizzę z ananasem i celowo użył karty kredytowej, żeby zapłacić.

Gdyby go pytano, nie byłby w stanie wytłumaczyć, gdzie był wcześniej. „W domu, sprawdzałem wypracowania”, powiedziała. „Nie, nie odpowiadam na telefony, kiedy zajmuję się pracami studentów”. Ale nie byłby w stanie dojechać z domu starego O’Connella do Bostonu, a potem z powrotem do Massachusetts w istotnym dla sprawy czasie. „Zabić kogoś, a potem kupić sobie kawałek pizzy? Detektywie, to absurd”. Nie było to najlepsze alibi, ale przynajmniej coś. Wiele zależało od tego, czy Sally odłoży broń na miejsce tak, jak obiecała. Scott o mało się nie udlażył z napięcia, myśląc, jak fundamentalne znaczenie ma odnalezienie pistoletu tam, skąd został zabrany.

Zabrał swoje zamówienie do pustego stolika i jadł powoli. Starał się nie myśleć o mijającej dobie, nie przypominać sobie każdej sceny po kolei.

Ale obraz zamordowanego człowieka pojawił się w głowie Scotta, kiedy patrzył na kawałek pizzy. Na myśl, że czuć od niego zapach benzyny i smród przypieczonego ciała, znów o mało nie wymiotował. Wmówił sobie, że jest na wojnie. Odetchnął i jadł dalej, koncentrując się na tym, co mu zostało do zrobienia. Musiał wrzucić wszystko, co miał na sobie w domu starego O'Connella, do pojemnika miejscowego oddziału Armii Zbawienia, gdzie ubrania zmieszałyby się z masą innych darów. Przypominał sobie o butach. Na podszewkach mogła zostać krew. Wszyscy mamy krew na sumieniach, pomyślał.

Spojrzał na kawałek pizzy. Ręka mu drżała, kiedy podnosił jedzenie do ust.

Co ja zrobiłem?

Odmówił odpowiedzi na własne pytanie. Zaczął myśleć o Hope. Im bardziej wyobrażał sobie jej położenie, ranę w boku, tym bardziej trafiało do niego, że jeszcze wiele czasu minie, zanim będzie mógł spokojnie odetchnąć.

Rozejrzał się po restauracji, przyjrzał się innym nocnym klientom. Prawie wszyscy byli milczący, patrzyli w przestrzeń za oknem albo gapili się na ścianę. Przez chwilę wyobrażał sobie, że każdy z nich zna prawdę o nim, że nosi na sobie piętno winy jak jaskrawą plamę purpurowej farby.

Lewa noga podrygiwała mu spazmatycznie.

Wszystko weźmie w łeb, pomyślał sobie. Pójdziemy do więzienia.

Nie licząc Ashley. Próbował wyobrazić ją sobie, szukając ucieczki przed ogarniającą go rozpaczą.

Pizza nagle zaczęła smakować mu jak kreda. W gardle miał sucho. Rozpaczliwie zapragnął samotności, a jednocześnie towarzystwa.

Odsunął od siebie papierowy talerz.

Po raz pierwszy Scott zrozumiał, że wszystko, co zrobili, żeby przywrócić Ashley stabilność życia, wepchnęło ich w czarną dziurę wątpliwości.

Powoli wyszedł z restauracji i wrócił do samochodu, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś będzie w stanie spokojnie zasnąć. Pomyślał, że nie.

Hope nadal siedziała w wynajętym samochodzie, ale silnik nie pracował, światła były wyłączone, a ona głowę miała opartą o kierownicę. Zatrzymała się w odległej części małego parkingu, u wejścia do rezerwatu nad brzegiem morza, jak najdalej od drogi, w najbardziej ukrytym zakątku, który udało się jej znaleźć.

Czuła lekkość, ale była wyczerpana. Myślała, czy starczy jej sił, żeby dotrzeć do końca tej nocy. Oddychała płytko i z trudem.

Na fotelu obok leżał nóż, który narobił tyle spustoszeń, tani długopis i kartka. Przetrasała umysł, starając się znaleźć coś, co mogłoby ją wydać.

Spostrzegła telefon komórkowy i pomyślała, że powinna się go pozbąć. Kiedy po niego sięgała, zadzwonił.

Hope wiedziała, że to Sally.

Podniosła go, przyłożyła do ucha i zamknęła oczy.

- Hope? - Głos Sally był szorstki z niepokoju. - Hope?

Nie odpowiedziała.

- Jesteś tam?

Znów nie odpowiedziała.

- Gdzie jesteś? Co z tobą?

Hope pomyślała, jak wiele mogłaby powiedzieć, ale ani jedno słowo nie wyszło z jej ust. Oddychała z trudem.

- Hope, proszę, powiedz, gdzie jesteś.

Hope pokręciła głową, ale nic nie powiedziała.

- Jesteś ranna? Żle z tobą?

Tak.

- Hope, proszę, odpowiedz - błagała Sally. - Muszę wiedzieć, że nic ci nie jest. Jedziesz do domu? Jedziesz do szpitala? Gdzie jesteś? Przyjadę. Pomogę ci. Tylko powiedz, co mam zrobić.

Nic już nie możesz zrobić, pomyślała Hope. Tylko mów. Tak cudownie jest słyszeć twój głos. Pamiętasz, jak spotkałyśmy się po raz pierwszy? Kiedy podałyśmy sobie ręce, koniuszki naszych palców się zetknęły, a ja myślałam, że zapłonimy ogniem tam, w galerii, na oczach wszystkich.

- Nie możesz mówić? Czy obok ciebie ktoś jest?

Nie. Jestem sama. Ale nie. Ty jesteś ze mną. Ashley jest ze mną. Catherine i mój ojciec też. Słyszę, jak szczeka Bezimienny, bo chce wyjść na boisko. Otaczają mnie wspomnienia.

Sally chciała poddać się panice, wszystkim strachom, które owiewały ją z siłą huraganu, ale przytrzymała się czegoś, co miała w sobie, co pochłonęło wszystkie poddmuchy napięcia.

- Hope, wiem, że mnie słyszysz. Wiem. Będę mówić. Jeśli możesz, odezwij się. Powiedz, dokąd mam pojechać, a ja tam się zjawię. Proszę.

Jestem w miejscu, które pamiętasz. Będziesz się śmiała i płakała, kiedy się dowiesz.

- Hope, już po wszystkim. Skończyliśmy. Zrobiliśmy to. Mamy to za sobą. Będzie bezpieczna, wiem o tym. Wszystko będzie po staremu. Będziemy razem. Będzie tak jak wtedy, kiedy byliśmy szczęśliwi. Nie miałam racji, wiem, że byłam okropna, wiem, że było ci trudno, ale proszę, od tej chwili będziemy zawsze razem. Ty i ja. Proszę, nie zostawiaj mnie. Nie teraz. Kiedy mamy szansę.

To jest naszą jedyną szansą.

- Proszę, Hope, proszę. Mów do mnie.

Gdybym do ciebie coś powiedziała, nie byłabym w stanie zrobić tego, co muszę. Wyperswadowałabyś mi to, wiesz o tym, Sally. Byłabyś przekonująca, uwodzicielska, śmieszna, wszystko naraz. Tak jak to już bywało. To właśnie w tobie kochałam od samego początku. Gdybym zaczęła z tobą rozmawiać, nie potrafiłabym przeciwstawić się argumentom, których użyłabyś, żeby mnie przekonać.

Sally wsłuchiwała się w ciszę, szukała w myślach, co mogłaby jeszcze powiedzieć. Nie była w stanie właściwie dobrać słów. A przecież wiedziała, że musi znaleźć się jakaś fraza, której mogłaby użyć, żeby zapobiec temu, co, jak się obawiała, wkrótce ma się stać.

- Słuchaj, Hope, kochanie, pozwól, żebym ci pomogła.

Już pomagasz. Mów. To mnie wzmacnia.

- Wszystko jedno, co się stało. Wydobędę nas z tego. Wiem, że zdołam. Zaufaj mi. Jestem do tego przygotowana zawodowo. Znam się na tym. Nie ma takiego problemu, z którym nie dałybyśmy sobie rady, pracując razem. Czy nie nauczyliśmy się tego dzisiejszej nocy?

Hope położyła przed sobą kartkę i długopis. Ramieniem przytrzymała telefon przy uchu, żeby dalej słuchać.

- Hope, damy sobie radę. Zwycięzimy. Wiem. Powiedz tylko, że ty też o tym wiesz.

Nie. Za dużo pytań. Wszyscy znajdziemy się w niebezpieczeństwie. Muszę to zrobić. Tylko w ten sposób będę miała pewność, że wszyscy jesteśmy bezpieczni.

Sally zamilkła, a Hope pisała na kartce. *W moim życiu jest za wiele smutku.*

Pokręciła głową. Pierwsza linijka z wielu, pomyślała. Pisała dalej.

*Niesprawiedliwie oskarżono mnie w szkole, którą uwielbiam.*

Sally wyszeptwała.

- Hope, proszę. Wiem, że tam jesteś. Powiedz mi, co złego się stało. Powiedz mi, co mam zrobić. Błagam cię.

*A kobieta, którą kocham, już mnie nie kocha.* Hope lekko pokręciła głową, pisząc te słowa. Przygryzła dolną wargę. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby było jasne, że to stek kłamstw, tak to ująć, żeby tylko Sally poznała prawdę, a nie gajowy, który znajdzie list, ani detektyw, który go przeczyta.

*Więc przyjechałam w to miejsce, które kiedyś uwielbiałyśmy, żeby przypomnieć sobie, jak tu kiedyś było i jak byłoby w przyszłości, gdybym była silniejsza.*



Łzy spływały Sally po policzkach. Ogarnęło ją uczucie, które wychodziło daleko poza przerażenie. Uczucie czegoś nieuchronnego. Ona chce nas ocalić.

- Hope, kochanie, proszę - wykrztusiła te słowa między spazmami rozpaczki. - Pozwól mi być z tobą. Zawsze, od samego początku wspierałyśmy się wzajemnie. Pomagałyśmy sobie. Pozwól, że zrobię to jeszcze raz, proszę.

Ależ Sally, ty mi pomagasz.

*Usiłowałam dźgnąć się nożem, ale tylko wszystko pokrwawiłam. Przepraszam. Chciałam dźgnąć się w serce, ale chybiłam. Więc wybrałam inną drogę.*

Tak jest dobrze, pomyślała Hope.

*Jedyną drogę, która stoi przede mną otworem. Kocham was wszystkich i ufam, że odplaciecie mi tym samym we wspomnieniach.*

Była wykończona.

Głos Sally zszedł do szeptu.

- Słuchaj, Hope, kochanie, proszę, bez względu na to, jak poważnie jesteś ranna, możemy powiedzieć, że ja ci to zrobiłam. Scott powiedział, że jesteś skaleczona. Cóż, powiemy glinom, że toja zrobiłam. Uwierzą nam, wiem. Nie musisz mnie zostawiać. Wyjdziemy z tego razem.

Hope znów się uśmiechnęła. Bardzo atrakcyjna propozycja, pomyślała. Wyłgać się z wszystkiego. Może by poskutkowało. Ale raczej nie. Jest tylko jeden sposób, żeby mieć pewność.

Chciała się pożegnać, chciała powiedzieć wszystko to, co kochankowie i partnerzy szepczą w ciemnościach, chciała powiedzieć coś o swojej matce, o Ashley i o wszystkim, co stało się tej nocy, ale nie powiedziała. Nacisnęła guzik na komórce i się rozłączyła.

Sally, siedząc w samochodzie nadal zaparkowanym przed domem Michaela O'Connella, poddała się wszystkim wrzącym w niej uczuciom i zaczęła lkać. Miała wrażenie, że się kurczy, że nagle robi się coraz mniejsza, słabsza i jest tylko cieniem człowieka, którym była na początku dnia. Nie była pewna, czy to, co zrobili, warte było ceny, jaką za to zapłacili. Kopała nogami, waliła pięściami w kierownicę, machała na oślep ramionami. Potem przestała i jęknęła, jakby dostała cios w dołek. Zamknęła oczy i zaczęła się kołysać do przodu i do tyłu, zjeżdżając coraz niżej na fotelu, ogarnięta bólem, całkowicie nieświadoma tego, że Michael O'Connell, przeklinając głośno, nie kryjąc wściekłości, pałając czerwonym gniewem i czarną nienawiścią, ślepy na wszystko, przeszedł obok - do swojego domu.

## Epilog Chcielibyście usłyszeć pewną opowieść?

- Widzę - powiedziała ostrożnie - że udało się panu spotkać z detektywem, który badał tę sprawę?

- Tak - odparłem. - To było bardzo pouczające.

- Ale wrócił pan, bo ma pan jeszcze kilka pytań, zgadza się?

- Tak. Nadal sądzę, że są inni, z którymi też powinienem porozmawiać.

Skinęła głową, ale nie odpowiedziała. Widziałem, że rozważa sprawę, konfrontuje szczegóły ze wspomnieniami.

- To będzie to samo żądanie, prawda? Żeby porozmawiać z Sally i Scottem?

- Tak.

Pokręciła głową.

- Nie sądzę, żeby chcieli z panem rozmawiać. Ale mimo wszystko, czego się pan po nich spodziewa?

- Chcę wiedzieć, jak się to dla nich skończyło.

Tym razem roześmiała się, ale bez wesołości.

- Jak się skończyło? Zupełnie nieodpowiednie słowa, by opisać to, przez co przeszli i jak mogło to wpłynąć na ich życie.

- Hm, pani wie, o co mi chodzi. O ocenę.

- I myśli pan, że powiedzą panu prawdę? Nie sądzi pan, że kiedy zapuka pan do ich drzwi, powie, „proszę państwa, muszę zadać kilka pytań na temat człowieka, którego zabiliście” to oni popatrzą na pana, jakby pan kompletnie zwariował, i zatrzasną panu drzwi przed nosem? A nawet jeśli by pana wpuścili, a pan zapytałby, „no, to jak wam się żyło, odkąd morderstwo uszło wam na sucho?”, w jaki sposób nakłoniłby ich pan, żeby powiedzieli prawdę? Nie widzi pan, ile w tym śmieszności?

- Ale pani zna odpowiedzi na te pytania?

- Oczywiście - odparła ostrożnie.

Był wczesny wieczór, dopiero co minęło letnie popołudnie, ta nie zdecydowana pora między dniem a nocą, kiedy dzień nabiera spłowiałego wyglądu. Otworzyła okna, wpuszczając do środka przypadkowe odgłosy, do których po wielu wizytach zdążyłem się już przyzwyczaić: głosy dzieci, przejeżdżające samochody. Koniec kolejnego błogosławionego dnia na przedmieściu. Podeszedłem do okna i zaczerpnąłem powietrza.

- Pani nigdy nie będzie o tym myślała jak o domu, prawda? - zapytałem.

- Nie. Oczywiście, że nie. To miejsce śmierci. Smutne, bo takie normalne.

- Przeprowadziła się pani, zgadza się? Po tych wszystkich wydarzeniach.

Pokiwała głową.

- Jest pan spostrzegawczy.

- Jak to?

- Już nie sądzę, żeby samotność, którą otaczałam się od lat, dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Zbyt wiele duchów. Zbyt wiele wspomnień. Pomyślałam, że mogę zwariować. - Znów się uśmiechnęła. - Więc co panu powiedział ten policjant?

- Że to, co Sally przewidziała, rzeczywiście się zdarzyło. Właściwie to nie powiedział tego: to moje wnioski. Kiedy detektywi weszli do domu Michaela O'Connella, znaleźli zabójczą broń ukrytą w bucie. Jego DNA znaleziono pod paznokciami zamordowanego ojca. Na samym początku przyznał, że tam był, że walczył ze starym, ale zaprzeczył, że go zabił. Oczywiście człowiekowi, który sadystycznie miażdży podeszwami lekarstwa na serce innego człowieka, brakuje wiarygodności w takich wypadkach, więc mu nie uwierzyli. Nie, mieli go, nawet bez pełnych zeznań, a kiedy znaleźli komputer, który dał do naprawy i znaleźli pełen gniewu list do jego staruszka... cóż, motyw, możliwości, środki. Święta trójca pracy policyjnej, tak to chyba nazwała Sally, kiedy opracowywała plan?

- Tak. Właśnie tak - powiedziała. - Tak właśnie sądziłam, że panu powiedzą. Ale musieli powiedzieć jeszcze coś?

- Próbował rzucić to na Ashley, na Scotta, Sally i Hope, ale...

- Spisek, który wymagał zrobienia tak wielu nieprawdopodobnych rzeczy? Po pierwsze, należało ukraść broń, która posłużyła do zabójstwa, dać ją komuś innemu, przekazać przez trzy pary rąk i odłożyć do mieszkania O'Connella, pożar... Doprawdy, to nie ma sensu, prawda?

- Zgadza się. To nie miało sensu. Szczególnie jeśli wzięło się pod uwagę samobójstwo Hope i rozpaczliwy list, który zostawiła. Detektyw powiedział mi, że aby uwierzyć O'Connellowi, należało wyobrazić sobie,

że kobieta, która chciała popełnić samobójstwo, zatrzymała się w połowie drogi, żeby zabić mężczyznę, którego wcześniej nigdy nie widziała, w miejscu, w którym nigdy nie była, po czym wróciła do Bostonu, podrzuciła pistolet do mieszkania O'Connella i wróciła do Maine, żeby rzucić się do oceanu, pozostawiając list, w którym o tym nie wspomniała. Albo może zabójczynią była Sally, ale ona była w Bostonie, gdzie kupowała bieliznę z falbankami mniej więcej w czasie, kiedy dokonano zabójstwa. A co do Scotta, hm, może to był on, ale nie miał czasu, żeby popełnić ten czyn, wrócić do Bostonu, a potem z powrotem do zachodniego Massachusetts, żeby zjeść późną nocą kawałek pizzy.

Kiedy mówiłem, widziałem, jak w jej oczach zbierają się łzy. Siedziała w fotelu jeszcze bardziej wyprostowana, jeszcze sztywniejsza, jakby każde moje słowo wywoływało w niej wspomnienia.

- I co dalej? - zapytała, ale tym razem jej słowa były jakby stłumione.

- To, co przewidziała Sally, ziściło się. Michael O'Connell został oskarżony o zabójstwo drugiego stopnia. Najwyraźniej chciał walczyć w sądzie, twierdził do ostatniej chwili, że jest niewinny. Ale kiedy gliny powiedziały mu, że kaliber broni, która została użyta do zabicia jego ojca, zgadza się z kalibrem broni użytej do zabicia prywatnego detektywa, Murphy'ego, i być może zajmą się nim również w związku z tamtą sprawą, wybrał łatwiejszą drogę. Oczywiście z ich strony był to błąd. Strzały, które zabiły Murphy'ego, pozostawiły po sobie zbyt zdeformowane kawałki kul, żeby przeprowadzić porównanie w laboratorium kryminalistycznym. To mi powiedziała policja. Ale groźba poskutkowała. Dwadzieścia do dożywocia. Możliwość zwolnienia warunkowego po osiemnastu latach.

- Tak, tak - powiedziała. - Wiemy.

- Więc uzyskali to, czego chcieli.

- Tak pan myśli?

- Uszło im na sucho.

- Doprawdy?

- Cóż, jeśli mam wierzyć temu, co mi pani powiedziała, to tak.

Wstała, podeszła do kredensu i nalała sobie drinka.

- Przedwczesny sąd - odezwała się.

Widziałem, jak w kącikach oczu

znów zbierają się jej łzy.

Nic nie mówiłem, patrzyłem na nią.

- Mówi pan, uszło im na sucho? Naprawdę tak pan sądzi?

- Nie będą oskarżeni, nie staną przed sądem.

- A nie sądzi pan, że są inne trybunały, w każdym z nas, gdzie poczucie winy i niewinność bywają w równowadze? Czy komukolwiek, szczególnie ludziom takim jak Scott i Sally, cokolwiek uchodzi na sucho?

Nie odpowiedziałem. Pomyślałem, że ma rację.

- Czy sądzi pan, że Sally nie leży samotnie w ciemności, łkając godzinami w zimnym łóżku, w którym kiedyś leżała Hope? Uszło jej na sucho? A ciężar, który teraz obarcza Scotta? Jak pan myśli, czy wydarzenia z tamtych dni nie smagają go w każdej chwili spędzonej na jawie? Czy nie czuje smrodu spalonego ciała i śmierci w każdym powiewie wiatru? Czy może patrzeć prosto w oczy młodym ludziom w szkole, wiedząc, jakie kłamstwo na nim ciąży?

Przerwała.

- Chce pan, żebym mówiła dalej?

Pokręciłem głową.

- Niech pan to dobrze przemyśli. Cenę za to, co zrobili, będą płacić do końca swoich dni.

- Powiniennem z nimi porozmawiać - powtórzyłem.

Westchnęła głęboko.

- Naprawdę - nalegałem. - Powiniennem przepytać Sally i Scotta. Nawet, jeśli nie będą chcieli ze mną rozmawiać, powiniennem spróbować.

- Nie sądzi pan, że powinno się ich zostawić samych z ich koszmarami?

- Powinni być wolni.

- Wolni od jednego, może. Ale czy naprawdę im się to udało?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Wypila długi łyk.

- A więc docieramy do końca, prawda? Opowiedziałam panu historię. Co powiedziałam na początku? Opowieść o zabójstwie? Opowieść o zabijaniu?

- Tak. To właśnie pani powiedziała.

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Myliłam się. Albo, żeby ująć to precyzyjniej, nie powiedziałam panu prawdy. Ani krzty. To historia miłosna.

Musiałem wyglądać na zaskoczonego, ale zignorowała to, podeszła do stolika i otworzyła szufladę.

- Taka była ta opowieść. Historia miłosna. Zawsze tak było. Czy zdarzyłoby się to, gdyby ktoś kochał Michaela O'Connella, gdy dorastał, żeby rozumiał, na czym polega różnica między prawdziwą miłością a obsesją? A czy Sally i Scott nie kochali córki tak bardzo, że byli w stanie zrobić wszystko, żeby chronić ją przed krzywdą bez względu na cenę, jaką przyszedłoby im za to zapłacić? A Hope, czyż nie kochała Ashley bardziej, niż ktokolwiek zdawał sobie z tego sprawę? I kochała Sally mocniej, niż Sally się domyślała, a dar, który im ofiarowała, był darem wolności, nieprawdaż? I doprawdy, jeśli przyjrzeć się wszystkiemu, co stało się w te dni i noce, kiedy w ich życiu pojawił się Michael O'Connell, czyż nie była to opowieść miłosna?

Siedziałem w milczeniu.

Mówiąc, wyjęła plik papierów z szuflady i napisała kilka linii.

- Ma pan - stwierdziła nagle - jeszcze parę rzeczy do zrobienia, żeby naprawdę zrozumieć całą sprawę. Wydaje mi się, że powinien pan przeprowadzić jeszcze jedną ważną rozmowę. By zebrać i, hm, rozpowszechnić jeszcze parę istotnych informacji. Liczę na pana.

- Co to jest? - zapytałem, kiedy podała mi kartkę.

- Kiedy załatwi pan to, co niezbędne, niech pan tam pójdzie o tej godzinie, to pan zrozumie.

Wziąłem kartkę, spojrzałem na nią i włożyłem do kieszeni.

- Mam kilka zdjęć - powiedziała. - Teraz trzymam je głównie w szufladzie. Kiedy je wyjmuję, po prostu płaczę i nie mogę tego powstrzymać, a to niedobrze, prawda? Niemniej powinien pan je obejrzeć.

Znów odwróciła się do kredensu, otworzyła szufladę, przejrzała kilka ramek i wreszcie wyjęła jedną z nich. Popatrzyła na nią i uśmiechnęła się, mimo że oczy jej lśniły.

- Proszę - powiedziała z lekka załamującym się głosem. - To jest równie dobre, jak każde inne. Zrobiono je po mistrzostwach stanowych. Brakowało jej kilku tygodni do osiemnastych urodzin.

Na zdjęciu było dwoje ludzi. Ubłocona, radosna nastolatka trzymająca nad głową złote trofeum. Podnosił ją w górę łysiejący, potężny, starszy mężczyzna, z całą pewnością jej ojciec. Twarze obojga jaśniały niedającą się z niczym pomylić radością po zwycięstwie okupionym ofiarą. Patrzyłem na fotografię. Zdawała się żyć. Przez chwilę niemal mogłem wyobrazić sobie wiwaty, podniecone głosy i lzy szczęścia, które musiały towarzyszyć tej chwili.

- Ja zrobiłam to zdjęcie - powiedziała. - Ale żałuję, że mnie na nim nie ma, naprawdę.

Znów głęboko odetchnęła.

- Wie pan, nie znaleźli ciała - powiedziała. - Dopiero po paru dniach ktoś zauważył samochód i znalazł list zostawiony na desce rozdzielczej. Dzień po tym przeszła wielka burza, jedna z tych klasycznych burz późnojesiennych z północnego wschodu i nie mogli wysłać nurków, żeby jej poszukali w wodzie. W listopadzie był bardzo silny odpływ i musiał ją zabrać głęboko w morze. Z początku nie mogłam tego znieść, ale z czasem zrozumiałam, że może tak jest lepiej. Pozwoliło mi to zapamiętać ją z lepszych czasów. Pan pytał, dlaczego o tym mówię?

- Tak.

- Są dwa powody. Po pierwsze, bo była dzielniejsza niż ktokolwiek mógł się spodziewać, i ktoś powinien się o tym dowiedzieć.

Catherine uśmiechnęła się przez łyżę i pokazała na kieszonkę, do której włożyłem kartkę.

- A drugi powód? - zapytałem.
  - Wkrótce będzie dla pana oczywisty.
- Oboje zamilkliśmy.
- Historia miłosna - powtórzyła. - Historia miłosna o śmierci.

Wnętrza są różne. To zależy od wieku więzienia i pieniędzy, które stan jest skłonny zainwestować. Ale jeśli odjąć światła, detektory ruchu, elektroniczne oczy i monitory wideo, to więzienie jest tylko jednym: zamknięciem.

Przeszukano mnie w poczekalni, najpierw elektroniczną laską, a potem w staroświecki sposób. Poproszono, żebym podpisał papier stwierdzający, że jeśli w jakiś sposób zostaną wzięty na zakładnika, to nie będę spodziewał się po stanie, że podejmie nadzwyczajne kroki, żeby mnie uratować. Przejrzano moją teczkę. Każdy długopis, który ze sobą miałem, został rozkręcony i sprawdzony. Przekartkowano mój notatnik, żeby się upewnić, czy nie przemycam czegoś między kartkami. Potem zaprowadzono mnie do długiego korytarza przez elektroniczne przesuwane wrota. Kraty zamknęły się za mną z trzaskiem. Eskorta zaprowadziła mnie do pokoiku tuż przy bibliotece więziennej, jak mi powiedziano. Zazwyczaj służył spotkaniom więźniów z ich prawnikami, ale pisarz szukający tematu do powieści zaliczał się chyba do tej samej kategorii.

Były tam jaskrawe światła na suficie, pojedyncze okno, które wyglądało na lśniący płot z drutu kolczastego, i ogrom pustego, błękitnego nieba. Jedynym meblowaniem pokoiku był solidny, metalowy stół i tanie składane krzesła. Eskortujący strażnik polecił mi usiąść i wskazał na boczne drzwi.

- Będzie za minutę. Niech pan pamięta, może pan mu dać paczkę papierosów, jeśli o nie poprosi, ale to wszystko. Nic więcej. Okay? Może pan wyjść mu naprzeciw i podać rękę, ale na tym kończy się kontakt fizyczny. Według regulaminu ustalonego przez Sąd Najwyższy stanu nie mamy prawa przysłuchiwać się waszej rozmowie, ale kamera, tam, w rogu, w górze - pokazał ręką - hm, rejestruje całe spotkanie. Włączając ostrzeżenia, których teraz panu udzielam. Zrozumiał pan?

- Jasne - powiedziałem.

- Mogło być gorzej. U nas jest znacznie lepiej niż w niektórych stacjach. Nie podobałoby się panu w pace w Georgii, Teksasie albo w Alabamie.

Pokiwałem głową, a strażnik dodał:

- Widzi pan, ten monitor jest także dla pana ochrony. Mamy tu facetów, którzy gotowi byłiby poderżnąć panu gardło, gdyby pan powiedział coś nie tak. Więc uważnie obserwujemy takie spotkania.

- Będę o tym pamiętał.  
- Ale nie musi pan się martwić. O'Connell uchodzi tu za dżentelmena-. Chce tylko powiedzieć ludziom, że jest niewinny i w ogóle.

- Tak mówi?

Strażnik się uśmiechnął. Otworzyły się boczne drzwi i wprowadzono Michaela O'Connella, w kajdankach, niebieskiej, dżinsowej koszuli robotniczej i ciemnych dżinsach.

- Oni wszyscy tak mówią - dodał i podszedł do więźnia, żeby rozpiąć kajdanki.

Podaliśmy sobie ręce, usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole. Zapuścił mizerną bródkę i krótko obciął sobie włosy. Wokół oczu pojawiło mu się kilka zmarszczek, których, jak się domyślałem, nie było jeszcze kilka lat temu. Położyłem przed sobą notes i bawiłem się długopisem, kiedy on przypalał papierosa.

- Szkodliwy nałóg - powiedział. - Nauczyłem się tego tutaj.

- Może cię zabić.

Wzruszył ramionami.

- Tutaj to ostatnie z moich zmartwień. Wiele rzeczy może zabić. Do diabła, popatrz się krzywo na jakiegoś gościa, a on cię zabije. No, niech pan powie, po co pan tu przyszedł.

- Zajmuję się przestępstwem, za które tu siedzisz - zacząłem ostrożnie.

Lekko unióśł brwi.

- Naprawdę? Kto pana przysłał?

- Nikt mnie nie przysłał. Po prostu zainteresowało mnie to.

- Dlaczego?

Nie byłem pewien, jak odpowiedzieć. Wiedziałem, że zada to pytanie, ale nie ułożyłem sobie wcześniej odpowiedzi. Odchyliłem się trochę do tyłu i powiedziałem:

- Usłyszałem na cocktail party coś, co mnie zaciękało. Trochę się rozejrzałem i pomyślałem, że przyjdę tutaj, żeby z tobą porozmawiać.

- Ja tego nie zrobiłem. Jestem niewinny.

Pokiwałem głową, nie odpowiedziałem. Miałem nadzieję, że będzie mówił dalej. Obserwował moją reakcję, zaciągając się papierosem. Potem wypuścił dym w moją stronę.

- Czy to oni pana przysłali?

- Kogo masz na myśli?

- Scott. Sally. Ale przede wszystkim Ashley. Czy to oni pana przysłali, żeby się upewnić, że nadal siedzę za kratkami?

- Nie. Nikt mnie nie przysyłał. Sam się przysłałem. Nie rozmawiałem z żadnym z tych ludzi.



- Jasne. - Parsknął śmiechem. - Jasne, że nie. Ile ci płacą?  
- Nikt mi nie płaci.  
- Jasne. Robisz to za darmo. Skurwysyny. A myślałem, że teraz zostawią mnie w spokoju.

- Możesz myśleć, co chcesz.

Przez chwilę jakby był mocno zamyślony, potem pochylił się do przodu.

- Niech mi pan powie - rzekł powoli - kiedy się pan z nimi spotkał, co powiedziała Ashley?

- Z nikim się nie spotykałem. - To była nieprawda. Wiedziałem, że on o tym wie.

- Niech pan mi ją opisz. - Znow pochylił się do przodu i przygarbił się, jakby przycisnęła go siła pytania. W każdym jego słowie była raptowna, głęboka żądza. - W co była ubrana? Czy obcięła włosy? Niech pan opowie o jej rękach. Ma długie delikatne palce. A jej nogi? Nadal takie długie i sexy? Ale naprawdę to chciałbym usłyszeć o jej włosach. Nie ścięła ich, prawda? A zmieniła kolor? Mam nadzieję, że nie.

Oddychał coraz szybciej i przez chwilę wydawało mi się, że jest podniecony.

- Nie mogę odpowiedzieć - stwierdziłem. - Nigdy jej nie widziałem. Nie wiem, o kim mówisz.

Odetchnął powoli.

- Dlaczego marnujesz mój czas na kłamstwa? - Ale zignorował własne pytanie i dodał: - Hm, kiedy się z nią spotkasz, zrozumiesz, o czym mówię. Na pewno.

- Co zrozumiesz?

- Dlaczego nigdy jej nie zapomnę.

- Nawet tutaj? Po latach?

Uśmiechnął się.

- Nawet tutaj. Po latach. Nadal potrafię sobie jej wyobrazić taką, jaka była, kiedy żyliśmy razem. To jest tak, jakby zawsze była ze mną. Czuję nawet jej dotyk.

Pokiwałem głową.

- A pozostałe imiona, które wspomniałeś?

Znow się uśmiechnął, ale to był inny uśmiech. Uśmiech łowcy.

- Ich też nie zapomnę. Wiesz, oni to zrobili. Oni mnie tu wsadzili. Możesz mi wierzyć. Myślę o nich codziennie. Co godzinę. Co minutę. Nigdy nie zapomnę tego, co zrobili.

- Ale uznano cię za winnego. W sądzie. Stałeś przed sędzią, przysięgłeś mówić prawdę i powiedziałeś, że to ty popełniłeś to przestępstwo.

- To było praktyczne. Nie miałem szans. Gdyby mnie skazano na podstawie procesu, dostałbym z urzędu dwadzieścia pięć do dożywocia. Przyznając się, obciąłem jakieś siedem albo więcej lat od górnej granicy i kupiłem sobie prawo do zwolnienia warunkowego. Dam sobie radę. A potem wyjdę i zrobię porządek.

Znów się uśmiechnął.

- Nie spodziewałeś się, że to usłyszysz?

- Nie miałem żadnych szczególnych oczekiwań.

- Jesteśmy skazani na siebie. Ashley i ja. Nic się nie zmieniło tylko dlatego, że jestem tutaj od lat. Nic. Tylko tyle że musi minąć trochę czasu, zanim stanie się to, co jest nieuchronne. Możesz to nazwać przeznaczeniem, losem, ale tak już jest. Potrafię być cierpliwy. A potem ją znajdę.

Pokiwałem głową. Wierzyłem mu. Odchylił się na krześle i spojrzął w kamerę ochrony. Zgasił niedopałek, wyjął zmiętą paczkę z kieszeni koszuli i zapalił kolejnego.

- To nałóg - powiedział wypuszczając dym. - Prawie niemożliwe, żeby to rzucić. Przynajmniej tak mówią. Gorsze od heroiny, a nawet cracka. Chyba jestem kimś w rodzaju ópuna.

Popatrzył na mnie uważnie zza stołu.

- Byłeś kiedyś od czegoś uzależniony? Albo od kogoś?

Nie odpowiedziałem. Milczenie było moją odpowiedzią.

- Chcesz wiedzieć, czy zabiłem ojca? Nie. Ja tego nie zrobiłem - powiedział. - Mają nie tego człowieka.

Informacje, które powinienem rozpowszechnić.

Tak powiedziała. Niewiele czasu mi zajęło, żeby domyślić się, o co jej chodziło.

Zatrzymałem samochód na podjeździe i wysiadłem. Upał się wzmógł. Pomyślałem, że popychanie kół wózka inwalidzkiego w takie gorące popołudnie musi być szczególnie ciężkie.

Zapukałem do drzwi domu Willa Goodwina, odsunąłem się i czekałem. Ogród z kwiatami, który po raz pierwszy widziałem parę tygodni temu, rozkwitł. Kolorowe równe grządki wyglądały jak oddział wojska na defiladzie. Usłyszałem odgłos wózka posuwającego się po drewnianej podłodze. Drzwi otworzyły się na oścież.

- Pan Goodwin? Nie wiem, czy pan pamięta, ale byłem tutaj kilka tygodni temu.

- Jasne. Pisarz. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś pana zobaczę. Ma pan jakieś nowe pytania?

Goodwin się uśmiechał. Zauważyłem zmiany, które zaszły, odkąd widziałem go po raz ostatni. Głowę miał bardziej kudłatą, a wgniecenie na

czole, gdzie uderzono go rurką, jakby trochę się wypełniło i było lepiej zasłonięte zwisającymi lokami. Zaczął zapuszczać brodę, która dodawała jego twarzy determinacji.

- Jak pan się czuje? - zapytałem.

Machnął ręką i pokazał na wózek.

- Właściwie to zrobiłem parę kroków. Z każdym dniem poprawia mi się pamięć. Dziękuję za zainteresowanie. Oczywiście samego ataku nie pamiętam. To przypało i nigdy nie wróci. Ale szkoła, studia, przeczytane książki, kursy, wie pan, to wraca z dnia na dzień. Więc jestem większym optymistą. Może któregoś dnia spojrzę w przyszłość.

- To dobrze. To naprawdę dobrze.

Odsunął się trochę z wózkiem i pochylił w moją stronę.

- Ale nie z tego powodu pan tutaj przyszedł, prawda?

- Nie.

- Dowiedział się pan czegoś? O napadzie na mnie?

Pokiwałem głową. Jego żartobliwy nastrój natychmiast się zmienił. Podjechał do mnie.

- Co? Niech pan powie! Co pan znalazł? - dopytywał się.

Zawahałem się. Wiedziałem, co mógłbym zrobić. Zastanawiałem się, czy to właśnie ma w głowie sędzia, kiedy słyszy werdykt ławy przysięgłych. Winny. Czas ogłosić wyrok.

- Wiem, kto pana krzywdził. - Szukałem jakiejś reakcji na jego twarzy. Długo jej nie było. Jakby cień przesłonił mu oczy, zwiększając dystans między nami. Cień i zaciekle nienawiść. Ręka mu drżała, mocno zaciskał usta.

- Pan wie, kto mi to zrobił?

- Tak. Problem w tym, że to, co wiem, nie nadaje się dla policji. Z tej informacji nie będzie sprawy. Nie zbliży to pana do sali sądowej.

- Ale - mówił wysokim, napiętym głosem - jednak pan wie? Wie pan i jest pan pewien?

- Tak, jestem całkowicie, w stu procentach pewien. Nie mam żadnych wątpliwości. Ale niech pan zrozumie, to nie jest informacja, z której mógłby skorzystać gliniarz, tak jak panu mówiłem.

- Niech pan powie. - Mówił prawie szeptem, ale żądanie w jego głosie było jasne i straszne. - Kto mi to zrobił?

Sięgnąłem do teczki i wyjąłem kopie zdjęcia policyjnego Michaela O'Connella. Wręczyłem mu je. „Dwa powody”, powiedziała mi Catherine. To był ten drugi.

- To on?

- Tak.

- Gdzie on jest?

Wręczyłem mu kartkę.

- Jest w więzieniu. Oto jego adres, jego więzienny numer identyfikacyjny i kilka szczegółów z wyroku, który odsiaduje. Oraz wstępna data posiedzenia komisji decydującej o zwolnieniu warunkowym. Do tego czasu zostało jeszcze wiele lat, ale zawsze. A to jest numer telefonu, pod którym można uzyskać inne informacje, jeśli komuś na nich zależy.

- Jest pan pewien? - zapytał znowu.

- Tak. Na sto procent.

- Dlaczego pan mi o tym mówi?

- Pomyślałem, że ma pan prawo wiedzieć.

- Skąd pan o tym wie?

- Proszę mnie o to nie pytać.

Pokiwał głową.

- W porządku. Chyba to mi wystarczy.

Popatrzył najpierw na zdjęcie, potem na kartkę.

- Więzienie to straszne miejsce, prawda?

- Tak. Ciężki czas.

- Prawie wszystko może się tam człowiekowi zdarzyć.

- Zgadza się. Mogą zabić za paczkę fajek. Sam mi to powiedział.

- Myślę, że to prawda.

Patrzył przez chwilę w dal, wreszcie powiedział:

- Jest o czym pomyśleć.

Chciałem już iść, ale się zawahałem. Kręciło mi się trochę w głowie, temperatura chyba mi podskoczyła. Myślałem o tym, co właśnie zrobiłem. Will Goodwin siedział sztywno, mięśnie ramion miał napięte.

- Dziękuję - powiedział wolno. Słowa wydobywały się z niego opornie, każde nosiło ślad nieszczęścia, które go dotknęło. - Dziękuję, że pan o mnie pamiętał. Dziękuję, że mi pan to dał.

- Pójdę już. - Ale wiedziałem, że to, co zostawiałem za sobą, nigdy mnie nie opuści.

- Jeszcze jedno pytanie - rzucił na odchodne.

- Jasne. O co chodzi?

- Wie pan, dlaczego on to zrobił?

Głęboko nabrałem powietrza.

- Tak.

Twarz znów mu się nachmurzyła, dolna warga zadrgała.

- No to dlaczego? - Ledwie udało mu się wydusić z siebie to pytanie.

- Bo pocałował pan niewłaściwą dziewczynę.

Zamilkł, oddychał z trudem, jakby wiatr wyrwał mu powietrze wprost z płuc. Patrzyłem, jak dociera do niego to, co powiedziałem.

- Bo pocałowałem...

- Tak. Tylko raz. Jeden pocałunek.

Zachwiał się, jakby chciał zadać mnóstwo pytań naraz. Ale powstrzymał się. Pokręcił tylko lekko głową. Potem zobaczyłem, że mocno ścisnął obręczę kół, aż zbieleły mu kostki. I zobaczyłem, że rodzi się w nim zimna wściekłość, jakiej jeszcze nie widziałem.

Kartka, którą dała mi Catherine, zaprowadziła mnie przed wielkie muzeum sztuki. Nie był to ani Boston, ani Nowy Jork. Tuż po piątej po południu na ulicach tłoczyli się ludzie idący do domu. Słońce dopiero zaczynało zachodzić za dachy biurowców. Słyszałem pierwsze takty wieczornej symfonii wielkomiejskiego życia. Rozbrzmiewały klaksony, warczały silniki autobusów. Stałem u podnóża szerokich schodów, a tłum omijał mnie, jakbym był skałą w strumieniu, z obu stron omywaną prądem. Patrzyłem przed siebie, na schody. Niezbyt liczyłem na to, że ją rozpoznam. Kiedy ją zobaczyłem, nie miałem wątpliwości. Nie wiem, dlaczego. O tej godzinie z muzeum wychodziło wiele młodych kobiet i we wszystkich była ta swoboda końca dnia; niosły plecaczki albo torebki przewieszzone przez ramię. Wszystkie były uderzająco ładne, kuszące, magiczne. Ale w Ashley było coś więcej. Otaczało ją kilkoro innych młodych ludzi. Głowy mieli pochylone, rozmawiali żarliwie, jakby dla wszystkich, za dzień, dwa, miała się zacząć jakaś przygoda. Patrzyłem, jak schodzi w moją stronę. Wietrzyk i światło zachodzącego słońca bawiły się jej włosami i niosły w dal jej śmiech. Kiedy przepłynęła obok mnie, miałem ochotę wyszeptać jej imię i zapytać, czy to, co widzi przed sobą, warte jest tego, co minęło, ale zdałem sobie sprawę, że pytanie byłoby nie na miejscu, bo odpowiedź leżała gdzieś w przyszłości.

Więc nic nie powiedziałem, tylko patrzyłem, jak przechodzi obok mnie. Nie sądzę, żeby mnie zauważyła.

Róbowałem wyczuć w jej głosie i w jej kroku coś, co mogłoby stanowić odpowiedź na moje pytania. Chyba to zobaczyłem, ale nie byłem pewien. Patrzyłem, jak wieczorny tłum połyka Ashley i dziewczyna zatapia się we własnym życiu.

Jeśli to była naprawdę Ashley. Mogła to być Megan albo Sue Molly, albo Sarah. Nie sądzę, żeby robiło to różnicę.